

# Stach z Konar

Józef Ignacy Kraszewski



calibre 0.9.27

Józef Ignacy Kraszewski

## **STACH Z KONAR**

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z CZASÓW KAZIMIERZA SPRAWIEDLIWEGO

*Non enim adolescentularum Inter musas collascivire choris,*

*sed sacri senatus assistere tenemur suggestui;*

*non umbratiles palustrium harundines,*

*sed aureas patriae columnas, non pupas fictiles,*

*sed veras patrum effigies de sinu oblivionis,*

*de ebore antiquissimo iubemur excidere:*

*immo divinae lampades lucis in arce*

*Regia iubemur appendere et bellicis*

*inter haec insudare tumultibus.*

*Mag[istri] Vincentii Episcop[i] Cracov[iensis]*

*Chron[ica] Po-lonor[um], Prologus.*

*Panu Gustawowi*

*baronowi Manteufflowi*

*w dowód przyjaźni i głębokiego szacunku*

*przesyła*

*Autor*

## **TOM I**

### **I**

Wiosna była i ranek wiosenny, majowy, taki, jakim Bóg tylko północne obdarza kraje,

plącąc im za długą zimę oczekiwania sennego. Po ciepłych deszczach, słonecznymi przeplatanych uśmiechami, nabrzmiąte pączki otwierały się, jakby rozmiłowane w promieniach jasnych,

rozpościerały liście szeroko, aby światło przeniknęło do ich głębi; z czarnych śmieci zimy

wylatywały motyle ubarwione złotem i purpurą, muszki brzęczące i łuskami szmaragdowymi okryte zuczki, zrywające się do lotu skrzydłami jeszcze na wpół splątanymi snem śmierci.

Na wschodzie rumieniło się, mające dopiero z pieluch chmurek różowych i mgły srebrzystej rozpowić, słońce; mrok rozkoszny ów oblewał ziemię, który już nie jest nocą, a dniem się nie stał jeszcze i czuć w nim nie zapadające zasłony ciemności, ale precz uchodzący sen ziemi. Z ciszy głębokiej, która panowała przed chwilą, szmerów tysiącem świat się rozśpiewywał do życia. Chór ten, poczęty przez muszki drobne skrzydły dźwięcznymi, wzmagał się świergotem ptasząt, śpiewem ich i szumem rannej lasów modlitwy, rósł w wielki chór uroczysty na powitanie słońca bożego.

A tak było na świecie pięknie i miło, że chyba znużona starość mogła zaspać ranek taki.

Kamienie nawet omszone zdawały się, potniejąc od rosy, wracać na chwilę do straconego żywota. I woń płynęła we wtór pieśni taka jakaś nie- białńska, nieokreślona, złożona z zapachów tysiąca, że się nie czuło, czym była, a poilo tylko błogością, jaką z sobą niosła. Mieszały się w niej oddechy pączków drzew, liści świeżych, kwiatów rozpękłych, zwilżonej ziemi, parujących źródeł, unoszącej się w powietrzu rosy i traw młodych, i borów starych. Dobrze żyć było, oddychać, słuchać, czuć, że się jest na tym świecie, który za chwilę ozłocić miało słońce. Król dnia jeszcze był nie wszedł na godowe gmachy, dwór jego poprzedzał pana. Biegły obłoczki, zwrócone twarzą ozłoconą ku niemu, zwiastując go rozpostartymi skrzydły, sunęły się chmury, rozbijając w biegu jak przelekkę majestatem pana, i mgły się rozplęwały jak omdlałe z rozkoszy w lazurach coraz silniejszej nabierających barwy. Na dole, na lasach, w nizinach, spał jeszcze poranek i było szaro a mroczno.

W półcieniach tylko podnosiły się lasy sine, wyciągały łąki strojne wierzbami, strzelały gdzieniegdzie sterczące wysoko odwiecznych drzew wierzchołki z liści ogołocone. W górze stawało się coraz jaśniej.

Wtem zza obsłon wybiegł promień jak snop złoty, posypał światłością wierzchołki drzew, smugami jasnymi poprzerywał łąki. Ziemia drgnęła od ognistego pocałunku. Jakby na ten promień czekało wszystko, wnet żywiej zadrgało, ozwało się głośniejsz na ziemi, co jeszcze drzemało ospałe przed chwilą.

Okolice była piękna, a na pół dzika jeszcze, choć czuć w niej już było człowieka i jego pracę. Opasywały ją lasy jak wały ciemne, lecz w głębie ich już się wdzierały polany od łąk zieleńsze, ręką ludzką uprawne, tu i ówdzie żółta drożyna biegła obok rzeki, przeskakiwała ją mostem z kłód grubych skleconym i sunęła, wijąc się, ku puszczom. Z pośrodku gęstych drzew po słupach dymów domyślać się było można osad ludzkich. Stada pały się na wygonach, na wzgórzach gdzieniegdzie widniały dachy słomiane i chaty szare.

W pośrodku doliny małymi otoczonej wzgórzami, jeszcze gąszczem porośniętymi, u brzegu

rzeczki, na pagórku niezbyt podniosłym, ale wałami i ostrokołami obwiedzionym, widać było stary gródek, dość rozległy. Z dala, zza okopów zielonych, podnosiła się tylko okrągła, przysadzista wieżyca z polnych kamieni, panująca nad okolicą. Gmachów, co się z nią zrastały, za drzewy i wałami prawie widać nie było. Wyszczerbiony wierzch jej nie miał dachu, sterczało tylko nad nią coś, jak belki powiązane z sobą, nie okryte niczym.

Gródek ten zwał się Ściborzyce, a obszerne dokoła włości należały do niego, i mało było

żupanów w sandomirskiej ziemi nad Ścibora ze Ściborzyc, starego, już stuletniego może wojaka, co swe ostatnie walki z Krzywoustym odbywszy, złamany i posieczony przyszedł tu wieku swego

dożywać, śmierci doczekiwać. Zgrzybiały rycerz nie ruszył się już z gniazda, a nie było go komu wyręczać, bo nie miał, ino jedną córkę, żadnego syna, wszystko mu pomarło w pieluchach.

Dziecięcia jedyne, choć je dawno czas było dać komuś. Ścibor z domu nie puszczał, a do domu też nie wpuścił, kto by mu, usynowiony, gospodarzył.

Kto temu był winien? Czy piękna Jagna Ściborzanka, czy stary ojciec? Mówiono różnie,

nikt pono całej prawdy nie wiedział, a kto ją znał, ten milczał. Ludzie obcy patrzyli na tę dziewczkę wielkimi, ciekawymi oczyma. Było co bo patrzeć i wypatrzyć oczy — nikt jej nie rozumiał. Długo się na nią oglądając, potrząsali głowami, ruszali ramiony, nie mówili już nic.

I oto tego poranku, kto by był widział Jagnę, jak spod strzechy się zawczasu wyrwawszy,

nim słońko weszło, wybiegła na wał gródka ; stojąc na nim poglądała smutnie po okolicy,

zdumiałby się pięknej dziewce, nie rozumiejąc, co ją zbudziło i co ją pędziło. Stała tak już dobrą chwilę na najwyższym cyplu wałów, wyszedłszy z pośrodku rosnących wewnątrz, u stóp jej, lip świeżo rozpękniętych, stała patrząc w dal zadumana, piękna, posępna, nieodgadnięta.

Co ona tam widziała i na co patrzała, dlaczego się zerwała tak rano, nikt z domowników

nawet nie rozumiał. Ale ci byli nawykli do dziwactw pięknej dziewczyny, której ojciec na wszystko pozwalał, co chciała. Ona tu sobie, jemu i wszystkim była panią. Czyniła, co się jej zamarzyło, mówiono, nie zawsze to, co by młodemu przystało dziewczęciu, ale Ścibor, syna nie mając,

dozwał jej być taką, jak chciała. Chowało się po śmierci matki dziko, samowolnie, pieszczono, a że w żyłach jej jakaś bujna krew płynęła, trzepotała się jako ptak, co nie zna, ino to, co mu słońce, wiatr, pogoda i burza do główki napędzą.

Stała Jagna Ściborzanka na wysokim okopie sama jedna, dziwnie na rano przystrojona, a

taka piękna, jakby z gałęzi starych lip wyrosła dziwożona. Dziewczę było wzrostu słusznego, rozkwitłe bujno, krew z mlekiem, twarz miała tylko opaloną nieco, oko czarne i śmiałe, brwi

ruchome i łatwo biegające, w pośrodku których groźny marszczek czasem czoło przerzynał. Nosek mały rozdymał się różowymi jak u konia chrapkami, usta drobne dumnie ku górze były wzdęte, miały wyraz nadąsania i dobroci razem, a jak wiśnie różowe wyzywać się zdawały pocałunków.

Cała była tak kształtna, a tak silna, że mimo swej piękności niewieściej podobniejszą była z podstawy i ruchu do młodzianka raczej niż do pańskiego dziewczęcia.

Tego poranku miała na sobie białe gźło, szyte wzorzysto na ramionach i piersi, i

przyodziewek sukienny krótki a spódniczkę kraśną, szkarłatną, złotem obramowaną, na nogach buciki ze spiczastymi nosami, pas szeroko obmotany aż pod pierś do góry podniesioną, kształtną i jak z kamienia wykutą. Ręce, które spod rękawów występowały, ogorzałe jak twarz, formy miały piękne, rozmiary drobne, a czuć w nich było jednak siłę; nóżka wystająca spod spódniczki

wyglądała niemal kopytkowato, tak była małą i garbatą. Kilka sznurów koralii z bursztynów i szklanych pereł ciasno jak pancerzem białą jej szyję obejmowały. Na głowie zamiast dziewiczego wianka, który dla dziewczuch był w obyczaju, miała czapeczkę czerwoną, małą, zielonymi liśćmi dokoła obwiedzioną.

Ślicznie jej było w tym stroju, choć twarzyczkę miała zasepioną, a rozglądając się po

okolicy, nie rozjaśniła jej uśmiechem. W oczach, jakby łąą rozpląniętą zwilżonych, smutek i niepokój znać było, do ust przylgnął ból jakiś stary, z którym się już zżyła. Stała, patrzyła, oddychała, jakby jej tam pod dachem powietrza było zabrakło, a tu go szukać musiała i chwytą spragnioną.

Gdy tak patrzyła zadumana, poza nią budziło się wszystko na gródku: piał na wyprzódki

kury, gdakały kokoszę, gruchały gołębie, rżały konie, bydło ryczało, beczały owieczki i czeladka ruszała się gwarno, a szmery i głosy przemykały po podwórcach, choć jeszcze wczesną dnia dobą stłumione.

Stary Ścibor spał, więc podle dworu cicho stąpano, nie rozpuszczano głosu; bliżej wałów,

kędy o dziewce pańskiej już rozbudzonej, wiedziano, śmielej pomrukiwali ludzie.

Daremna to rzecz, choćby silną panią była niewiasta, nigdy jej takiego posłuchu i

poszanowania nie oddadzą ludzie, co najslabszemu mężczyźnie. Jagny też nie bardzo się czeladź

obawiała, choć chwilami straszną być umiała i gniewy miewała męskie. Wiedziano o tym, że gniew jej przychodził jak piorun, przechodził jak burza. Kochali ją ludzie więcej, niż się lękali, a litowali się bardziej, niż miłowali. Gdy ranku tego wybiegła nagle o brzasku na wały, dziewczęta i parobcy popatrzeni na nią, spojrzeli na siebie, głowami potrząśli, nie mówiąc nic. Stare baby po cichu zwały ją „nawiedzoną”. Nikt jej dobrze nie rozumiał, dlatego znachorki myślały, że chyba kto czar w kolebce rzucił na nią, i wiele z nich utrzymywało, że trzeba było „odczyścić urok”, aby dziewczka do rozumu przyszła.

Nie bez przyczyny mówiły to staruchy, bo była jakby szaloną i nawiedzoną. A za drugi czar przyznać jej było można, że ojca wojaka starego, który się nigdy niczego i nikogo nie uląkł, tak ona dziewczucha sprawowała, iż dawał jej czynić, co sama chciała. Miała już Jagna, jak liczyła ta, co ją karmiła, dobrych lat dwa dziesiątki, panią była znacznych włości, starało się o nią ludzi możliwych nie wiedzieć ilu, a na wszystkich głową trzęsła i ramionami ruszała wzgardliwie: nie chciała nikogo. To by jeszcze nie było nic, bo nawykła do samowoli, a włożywszy namitkę i postrzygłszy kosy, już by pana wy- brawszy go sobie, słuchać musiała, więc pod niewolę spieszyć się nie miała czego, ale żyła dziewczyna po niewieściemu.

Prząść len i szyć w krosnach, i inne roboty niewieście umiała Jagna począć tak zręcznie, jak mało która. Gdy się do tego wzięła, prędzej jeszcze i piękniej niż inna potrafiła, ano serca do tego nie miała. Zrobiwszy co, rzucała w kąt, na chwilę i to ją zabawiało, popatrzwała potem, usta się jej pogardliwie do góry podnosiły i więcej już ani spójrzała. Za to męskie zabawy, które dziewczkom nie przystały, zdawała się woleć nad inne.

Siąść na konia, choćby dzikiego, hasać na nim pół dnia, wrócić zmęczonej, często

podrapanej — niczym dla niej było. Na takie wyprawy ze psy, z sokołem przebierała się po męsku dziwnie i aż się jej oczy śmiały, gdy z zamku w świat się puszczała. I to by jeszcze nie było nic, bo wiele naówczas niewiast miało męskie upodoby; najgorzej ze wszystkiego, że czasem Jagna, wyrwawszy z domu, porzucała czeladź, obłąkała swoich ludzi jakby umyślnie, przepadała bez wieści na dni kilka, a zjawiała się potem z powrotem, jakby się jej nic nie stało. Gdy jej potem wymówki czynili, ramionami ruszała i śmiała się, pogardliwie odrzucając: „Nic mi nie będzie!”

Stare ojczysko już się z tym było oswoiło. Córka ta toć było jedno oko w jego głowie, cały świat, słońko i życie! W początkach Ścibor z rozpacz głową tłukł o ścianę, ludzi rozsyłał, nagrody obiecywał, narzekał, włosy sobie rwał; ano, jak się to człowiek i z najgorszym oswaja, potem już to znikanie dziecka tak go nie przerażało. Mruczał stary: „Już ona wie, co czyni, niech tam sobie! Tyle jej, co poszaleje!”

A gdy powracała, to ją cisnął do piersi i płakał póki mu się nie rozśmiała białymi ząbkami, nie pocałowała w czoło i nie poszeptowała coś do ucha.

Ścibor był już prawie dziecinniał. Za Krzywoustą, gdy się nieustannie z Pomorzany

ścierano, kędyś pod Santokiem pono, Ścibor w głowę został ranny przez dzikiego człeka i legł na poboju jak bez ducha; a nie ocucił się, aż gdy swoi, grzebać trupy przyszedłszy, już go do kurhana wlekli, by po- chować. Gdy go rzucono o ziemię, zmysły jakoś odzyskał, długo potem chorzał, powróciło życie, ale sił już nie było. Odwieźli go do Ściborzyc, tam czeladź i córeczka a baby lekarki na chorego chuchały, że mu się i rany pogoiliły, i pamięć wróciła. Tylko na wojnę już iść nie było sposobu. O kijach dwu się włóczył i grzbiet miał przełamany. Dziewczę właśnie dorastało, miał ze szczebioczącej ptaszyny pociechę, a choć i dawniej Jagnę miłował bardzo, teraz gdy na nią jedne zszedł i z niczego więcej nie miał rozrywki, cały się dziecku oddał.

Za króla Krzywoustą w zachowaniu był wielkim, a liczył się ze Skarbimierzem, Żeliszławem

i innymi do najlepszych wojaków, potem, gdy tak złamany został a do barłogu przykuty, odwiedzał

go sam król i dzieci posyłał. Jeździł do Ściborzyc starszy królewicz Władysław, przybywali na łowy i zabawiali się po dni kilka Bolko, Mieszko. Nawet najmłodszy dwaj, po śmierci króla, pamiętni ojcowskiego kochania, przez matkę tu byli posyłani; Henryk i Kazimierz, najmłodszy królewice, nieraz tu z ochmistrem po kilkanaście dni na łowach przesiadywali. Henryk i Kazimierz z małą naówczas Jagną bawili się, po wałach i okopach ścigając, śmiejąc się, hucząc a pokrzykując w najlepsze. Dzieweczka naówczas po męsku się nauczyła dla nich przebierać i męskich nabrała obyczajów.

Później za Władysława, gdy cięższe nastały czasy, a królewicze wiele mieli do

przecierpienia, bo nimi, młodszymi zwłaszcza, tu i owdzie rzucano, już ich w Ściborzycach nie było, Przejazdem tylko Kazimierz tu czasem zaglądał.

Gdy dziewczę dorosło, że to było piękne jak kwiatek, bogate jak księżniczka i u ojca jedyne, na odgłos o nim sypały się swaty starym obyczajem. Nie pytano Jagny, kogo by ona chciała, a słano do ojca z ofiarami. Ten syna stręczył, ów bratanka, inny brata, inny krewniaka — wszystko z wielkich rodów.

Zrazu Ścibor myślał może wydać Jagnę, takiego sobie tylko szukając w przyjmy, aby synem

był, nie tylko zięciem. Wiadomo, iż zięciowie po wsze czasy złą sławę mieli, nie przysięgając.

Niektórzy się kusili gwałtem ją porwać, ale dwu to na złe wyszło, bo jednego z łuku postrzeliła, drugiego ludzie jej brzydko stłukli. Inni się już nie posuwali, odstręczeni tą nauką.

Niektórzy przyjeżdżali z podarkami, nawiedzając starca, a dziewce starając przypodobać.

Więc, gdy się z zalotami oswoiła, odprawiała je różnie: szydersko, czasem pogardliwie, niekiedy litośnie i bez gniewu, a z grochowinami. Żaden jej do smaku nie był. Choć drudzy się układali: „Ino mnie weź!", położywszy sierść gładko, ona zawsze się w nich jeźów i kolców domyślała. Ci, co poszli precz odprawieni, z gniewu potem wymyślali na nią, że „nawiedzona" była; drudzy, że coś miała w myśli i sercu tak podłego, że się do tego przyznać nie śmiała. Łatwo ją było o wszystko posądzić, bo nie dbając o nic, znikwała często, nie wiadano, gdzie się podziewała. Prawili ludzie, co chcieli. Dziewucha była jak koń dziki, co uzdy nie uczuł nigdy, ale gdy się komu uśmiechnęła, każdy by był za nią życie dał.

Dobrze już słońce podeszło na niebie, gwar w podwórzach rosnał. Jagna, co się była w

okolicy na lasy zapatrzyła, zbudziła się dopiero, obejrzała dokoła, posłyszała, że się życie brało na dworcu i powoli zeszła z wałów. Wprost z łąk ciągnęła do ojca.

Stary się budził nierychło, często dobrze po wschodzie, bo po nocach sen go nie brał, późno zasypiał, musiał potem na dzień zachwycić. Naówczas, gdy na wyrostka, który legiwał u progu, w dłonie klasnął, bo głos miał mały i krzyczeć nie mógł, szedł Szurka zaraz okienniczkę w głowach pańskich odsunąć, aby do izby światło weszło i powietrze. Potem, zimą czy latem, ogień mu rozpalano, bo bez niego żyć nie mógł. Dawali mu wodę do umycia i ręczniki, a tuż i polewkę z mięsem niosła albo stara

mamka Jagny, Wierucha, albo i ona sama, jeśli była w domu i pogotowiu.

Miał stary psy ulubione, które wówczas wpadały do niego, bo nocą za drzwiami z Szurką

legały. Czasem potem włodarz przychodził, czasem się gość zjawił i — ot tyle. Dzień się poczynał, który potem włókł się różnie, najczęściej długo a nudno, jeżeli Jagny nie było, a pora nie dozwalała starego wynieść pod lipy, na przyzbę albo gdzie mu się zamarzyło.

Jagna ku dworowi podchodziła, gdy już Wierucha miskę staremu niosła; skinęła na nią

milcząc, aby ją oddała, i sama niosąc, do izby weszła ojcowskiej.

Stary właśnie pacierze mówił, bo człek był pobożny jak wszyscy rycerze Krzywousta, pana,

który bez modlitwy nie wojował, a Bogu więcej służył niż światu. Towarzysze jego moc modlitw i pieśni na pamięć się w obozach ponauczali, bo je tam co dzień wieczór i, rano czytano, odmawiano, śpiewano. Zobaczywszy córkę, Ścibor prędko dokończył służbę bożą, przeżegnał się, usta mu się do niej uśmiechnęły, ręce drżące wyciągnął i zaszeptał tylko:

— Moja ty, moja!

Ona też uśmiechnęła mu się, ale tak smutnie, że już wiedział, iż dzień będzie niewesoły.

Postawiła misę na ławie, uklękła przy starym, a gdy on głowę jej obejmował całując, ona po rękach go całowała. Nie rzekli do siebie nic. Wstała potem i misę mu z ręcznikiem postawiła na kolanach, aby pożywał wygodnie.

On patrzył tylko na nią i jeść mu się już nie chciało. Starzec był, choć wychudły, pożółkły, choć porąbany i posieczony, a bliznami czerwonymi jak pręgami poprzepasywany, pięknego

oblicza. Skóra na nim przyległa do kości, a sucha twarz rysy miała pańskie i jasne. Orli nos nad nią panował, kształtny, ruchomy w nozdrzach jak u córki, oczy nad rum, choć zbladło, jeszcze bystro patrzyły. Pierś miał wpadła, ale szeroką, ramiona wychudłe sterczały pokazując, jakim był niegdyś, póki nie wysechł na szczapę. Siedząc w tym mroku, choć żółkł, wybielał też razem, włosów reszta srebrna śniegiem odbijała od lica. Gdy sam pozostał, twarz tę całą obejmowała zaduma i smutek, występowały fałdy na czole i przy ustach. Gdy córkę miał u boku, miłość wielka go rozpromieniała i był nią jakby ubłogosławiony.

Wojak stary a zuchwały niegdyś, teraz nad wszystko pokój cenił i nie mogąc walczyć, rad

go był okupić, choć drogo. Pragnął go może więcej dla córki jak dla siebie.

— Ptaszę ty moje — odezwał się cicho — cóżeś to tak rano z gniazda się ruszyła?

Jagna potrząsała główką, nie odpowiedziała nic.

— A dzień tam jaki? — zapytał Ścibor. — Widzę z okna, że już słońko dokazuje. Ho ho!



Wiadoma to rzecz, kiedy zawczasu jasno wnijdzie, na potem pewna burza lub słota.

— Ranek był długo pochmurny — odparła Jagna — na pogodę ptactwo śpiewa.

— A ty jak? — zapytał stary.

— Ja? Albo mi się pogoda na co zdała? — szepnęło dziewczę. — Mnie z tym jedno: pogoda czy słota. Czasem, gdy pioruny biją, to mi rzeźwiej i raźniej.

Starzec jeść zaczynał, rękę podniósł, głową potrząsnął. Psy siedzące nie opodal przypomniały mu się skomląc i pomrukując.

— Burza — począł zamyślony, jakby sam do siebie, Ścibor — pod dachem to nic. Bóg broni od niej i krzyż święty. Na łowach w lesie to tam mniejsza; a nie daj Boże z nią na

pobojowisku się spotkać. Pomnę to, gdyśmy raz na Ruś ciągnęli z panem naszym i wśród zaciętego boju Pan Bóg też swe strzały sypać na nas zaczął, padł grad jak jaja gołębie i pioruny leciały jak słupy ogniste. Stało się wówczas, żeśmy wszyscy o bitwie zapomnieli, a Ruś, korzystając z tego, uszła nam, aniśmy się spostrzegli. Naówczas tuż obok mnie Niemirę piorun zwałił z koniem, że się na nim odzież zapaliła. Ten już nie wstał, a mnie ogłuszyło tylko na czas długi. Nie wywoływać ognia bożego!

— Jam to na wojnie nie bywała — smutnie się uśmiechając odpowiedziało dziewczę — a w

lesie, gdy na łowach burza napadła, pięknie z nią było Tylko patrzeć, a dziwować się! Co palnie piorun w sosnę, to się pali i gore jako jedno łuczywo! Co uderzy w dąb, to rozpląta korę aż do ziemi; co się zsunie po jodle, to we złocie stanie cała. Raz mi koń ze strachu na kolana padł, żem go ledwie podźwignęła. Dopieroż gdy spalone drzewa z trzaskiem i hukiem walić się zaczną, a iskrami sypać dokoła jak deszczem ognistym!

Mówiła tak, a stary z łyżką stygnącą, którą do ust niósł, a donieść zapomniał, słuchał zapatrzony w nią, jeśli nie mowy, to głosu.

— Eh, ty — rzekł w końcu — ty Jagno szalona jakaś, tyś się nie do podwiki, a na rycerstwo rodziła, w tobie mój duch gra, taki, jaki we mnie dawniej bywał! Gdybyś mogła wojakiem być, nie byłoby nad cię dzielniejszego. Prawda, że na niewiastę zuchwałości tej do zbytku.

— Bóg mi taką dał być — odparło dziewczę spokojnie — radzić trudno, strzymywać się nie umiem.

— Ty byś inną też być nie chciała! — zaśmiał się stary.

I począł zajadać chciwie, jak to czasem starzy umieją, którym, że pokarm siły nie daje, tym więcej zdają się go pragnąć. Jagna patrzyła, wedle zwyczaju swojego ręce założywszy na piersiach.

Miała bowiem i ten dziewczynie nie przystojny nałóg, że gdy się zadumywała, gdy na czole jej chmurnym pręga występowała między brwiami dwiema, ręce się jej same pod piersią składały i wiązały u pasa. Ze starca potem wzrok pokierowała na okno otwarte, przez które nic widać nie było krom kawałka światłości dziennej. Na krawędzi okna dwa psy stróże, których do izby nie puszczano, pokładały mordy kosmate, jadło czując i ku panu poglądając.

— Wiesz — rzekł stary, kość biorąc w ręce, bo cmoktać je i wysysać lubił — wiesz ty,

Jagno, kto mi się dzisiaj śnił w nocy? He? Śnił mi się ktoś, a to pewna, że ja stary mieszam sny takie, iż roi się zawsze wyśni, kto się do mnie zbliża. Ot, jakoś dusza czuje, co do niej idzie.

— Ale kogożeście to wyśnili? — zapytała Jagna obojętnie. Ścibor popatrzał na nią smutnymi oczyma.

— Kogo? kogo? — powtórzył. — Albo to tobie co po kim? Albo to ci miłszy jeden niż drugi? Żebyś wiedział, kto ci upodobany, Boże odpuść, czarami bym go tu gotów ściągnąć.

Rozśmiała się Jagna pół ustami, ale brwi zostały zmarszczone.

— A co mi tam po nich? — poczęła, ręce zaciskając mocniej jeszcze. — Po co oni tu jeżdżą, ten i ów? Ten, kogo bym ja mieć chciała, i czary go tu nie ściągną!

Jagnie oczy zabłysły żywo.

— A kogóż byś ty mieć chciała? — zapytał podchwytyjąc. — Kogo?

Złapane za słowo, dziewczę usta podniosło, głową potrząsnęło.

— E, nikogo, nikogo! — odparła półgłosem. Stary westchnął.

— Któż to ci się śnił, mój ojczu? — dodała zaraz.

— A co ci potem, choćbyś się dowiedziała — rzekł Ścibor. — Tyle wiem, że — pomnisz

go? nie? — Stach z Konar pewno przyjedzie! Dawno, dawnom go nie widział. Po co on tu miałby przybyć, nie wiem, a choćbym się i domyślał, mówić nie mam potrzeby.

Znowu spojrzął na córkę, której rumieniec żywy na twarz wypłynął, gdy imię Stacha posłyszała.

— Stach z Konar! — zawołała nagle, zzymnąwszy się cała. — Stach z Konar! Wiem! Nie cierpię go!

— Toć mi nie tajno! — odparł stary.

— Stach z Konar! — ciągnęła dalej Jagna. — A toć nie ma człowieka w świecie, który by mi nienawistniejszym był nad niego.

Zamilkł Ścibor.

— Stach z Konar! — powtórzyła raz jeszcze. — Zbój ten niepocziwy!

— E e! — przerwał stary — Za cóż go to zbójem i nicponiem zwiesz, za co?

— Alboż nie wiecie?! — z oburzeniem odparła Jagna.

— Już ci się dorozumiewam — mówił ojciec. — Jeszcze ci pewno w pamięci owa przygoda, którą z księciem Kaźmierzem miał za młodu. A toć sam ksiązę dawno o tym zapomniał i przebaczył mu wspaniałomyślnie, a biedaczysko za winę odpokutowało sownicie.

— Odpokutował! — wtrąciła, gniewnie miotając się, dziewczyna. — Głowę, głowę za to powinien był dać. Im lepszym i wspaniałomyślniejszym dla niego pan się okazał, tym on winniejszy! Sądzi go wówczas na rozszarpanie końmi i ja bym go była na kawały rozerwać dała, bo żyć niewart! Stary wzdrygnął się, posłyszawszy mowę córki.

— Jagno! — zawołał. — Jagno, tyś niesprawiedliwa! Boże ci odpuść! Posłuchaj mnie starego. Ja też panów naszych kocham, a księcia Kaźmierza i Henryka nieboszczyka miłowałem więcej nad wszystkich. Aleś ty spełna tej sprawy nieświadoma, a katem byś zaraz mu być chciała.

— I byłabym była — odezwała się Jagna porywczo, podnosząc złożone pięści do góry — i łeb by dał!

— Więc posłuchaj no, ty zła moja Jagno jakaś — odezwał się, zwracając ku niej, stary. — Znać, żeś dobrze nie znała sprawy, a ludzie pletli nie do rzeczy.

— O, wiem ci ja dobrze, jak było! — odparło dziewczę.

— A ja lepiej wiem niż ty — rzekł stary uparcie. — Gdy raz się o tym zgadało, musisz

posłuchać.

Potrząsała głową Jagna i zapatrzyła się w okno, ale obojętność jej ojcu ust nie zamknęła.

— Ot, jak było! — mówił Ścibor. — Ot i że Kaźmierz bardzo młodym naówczas był, Stach też, bo są równolatki, należał do jego dwora, jako rówieśnicy bawili się zwykle razem.

— A tak — wtrąciła dziewczyna — zabawiali się! Księżę go przez łaskę do osoby swej przypuścił, a ón jak pies, któremu drzwi do izby otworzą, wnet chciał po niej plądrować i paskudzić.

Stary, ścierpiawszy przerwanie, mówił dalej:

— Ot, jak było. Młodzi, zwyczajnie młodzi, czymże się zabawiać mieli? Pili oba. Pił księżę Kaźmierz i dolewał Stachowi, aż się obu we łbach zakręciło. Więc kośćmi rzucać zaczęli. A po co było królewskiemu synowi z lada dworzaniem i z służbą tak się poufalić, dać mu z sobą siadać na równi i po pijanemu kosterzyć ?

Oczy Jagny paliły się z gniewu, słuchając, ale ojciec, ożywiwszy się, mówić i wygadać się potrzebował.

— Stawił królewicz, stawił i Staszek, co miał: kości na przemiany to jednemu, to drugiemu szczęście dawały. Wtem Stachowi poczęło iść licho a licho. Co rzucił kości, przegrywał. Pijany rozumu nie ma, stawił więc wszystko aż do pasa, łańcucha, pierścieni, a w ostatku, zgrawszy się, ojcowiznę któremuś z rycerzy, co świadkami byli, założył za sumę wielką, aby grać dalej. Znać mu dobrze w głowie szumiało, bo zgrawszy się, co miał srebra, na kupę zsunął, ważąc wszystkie na kość jedną.

Na księcia Kaźmierza kolej rzucać wypadała, cisnął tedy i tyle ok wyrzucił, ile ich na

kościach było. Wygrywał więc mu ostatnią koszulę. Z rozpaczki Stach, ojcowiznę i cześć tracąc, podniósłszy się, nieprzytomny policzek dał księciu.

Jagna krzyknęła z oburzenia.

— A nie powinienże był wisieć tej godziny?! — wyrwało się jej z ust.

— Na krzyk przytomnych — mówił dalej Ścibor — nie czekał też Stach wyroku ni sądu, od stołu skoczywszy, dopadł konia i uchodził. Puścili się za nim wnet w pogoń drudzy i związanego przyprowadzili do sądu. Krzyczał, kto żył, wołali wszyscy, aby go końmi szarpano, głowę mu odcięto, rękę odrąbano i palono. Tu dopiero królewicz się okazał, jakim był i jest.

— Okazał się prawie świętym i wielkim! — zawołała Jagna z zapalem.

— Tak — potwierdził ojciec — bo sam wystąpił spokojny, otrzeźwiony, upokorzony, w

obronie winowajcy. „Nie on winien — rzekł — ale ja. Mnie kara zasłużona spotkała, żem się w grę niepocziwą wdał z nieprzytomnym. Łacniej jemu przebaczyć, który z rozpaczy, że wszystko postradał, zmysły też utracił, niżeli mnie, com krwi swej, powagi i dostojęństwa nie szanował.”

A tak owego Stacha wolno puszczono, królewicz mu wygraną nazad wrócić przykazał,

jedno to z sądu zatrzymawszy, aby mu się Stach więcej na oczy nie śmiał okazywać.

— Jakże więc — podchwyciła dziewczyna — i powiecie, że obraza takiego męża, który z nadludzką pokorą winą darował, siebie obwinił, nie jest najokropniejszą zbrodnią? Cóż, gdy się kto na świętość w ołtarzu targnie, albo mu rąk nie obcinają, na stosie go nie palą?

— Ależ słuchaj, dziecko ty gniewne, kotko ty moja drapieżna — rzekł starzec spokojnie. —

Stach się stał przez to na całe swe życie nieszczęśliwym, bo tego pana jak kochał wprzód, tak umiłował od tej godziny stokroć więcej i za niego by był gotów krew przelać, tęskni do niego, u nóg jego pokutę rad by sprawiać, a wygnanym jest na wieki sprzed oczów tego, którego kocha.

— O tego mało, mało! — odezwała się Jagna.

— Nie ma książe Kaźmierz, ja to wiem — ciągnął Ścibor — nie ma sługi, przyjaciela, niewolnika wierniejszego nad niego. O tym do dziś dnia albo nikt, lub mało kto wie, że Stach potajemnie ciągle nad Kaźmierzem czuwa, jak pies stoi na straży, obrania go, a ani mu się pokazać na oczy, ani mu o tym dać wiadomości nie może. Taki los tego człowieka!

— Dobrze mu tak! Choćby całe i najdłuższe życie miał się męczyć i przepadać —

podchwyciła niezmiękczone Jagna. — O, dobrze mu tak! Litości niewart! Zbrodzień jest! Mała to kara dla zbrojca!

— Zawinił ci, prawda — westchnął Ścibor — ależ Kaźmierza przez to wywyższył, przez

niego wiedzą dziś ludzie, jakie ten pan ma serce, i pokochali, i poszanowali nad wszystkich pono jego braci.

— Bo godzien jest tego — przerwała Jagna — bo nie tylko między jego bracią, ale na całym świecie drugiego takiego nie ma, jak on!

Domawiała tych słów, gdy chłopak wszedł do izby i u wrót się trąbka ozwała.

— Oto i mój sen! — zawołał Ścibor.

Jagna zerwała się szybko, spojrzała na ojca i zbiegła co prędzej, drzwi zatrzasnąwszy za sobą, kryjąc

się do izby swojej. Chłopak Stacha z Konar oznajmił po cichu.

## II

Stach z Konar był tu niegdyś znanym za swych lat młodszych. Ojciec jego Żyrośław

wojował razem ze Ściborem, dalekie jakieś łączyło ich powinowactwo przez żony; syn też

dzieckiem bywał czasem w Ściborzycach, ale po owym nieszczęsnym policzku, gdy się go wyrzekli wszyscy, i on nikomu nie śmiał już pokazać oczów. Tułał się kędyś, nie wiadomo było, co się z nim działo, nikt nawet o niego nie spytał. Młodszy synowie Krzywoustego, Henryk i Kazmierz, mieli wielką miłość u ludzi. Oburzyło zuchwalstwo wyrostka wszystkich, a choć z życiem ujść mu dano, nikt go znać potem nie chciał.

Stary Ścibor, który był ojca przyjacielem, dziś ostyglejszy, winę młodzieńczą, jeśli nie

rozgrzeszał, to tłumaczył. Tęsknił trochę za biednym potępionym, żał mu go było, dziwił się, że przez lat tyle nie szukał u niego ani rady, ani pomocy, ani pociechy. Myśliwał często o nim i to mu może poddało sen ów proroczy.

Jagna od bardzo dawna tego znieawidzonego i wyklętego nie oglądała, zapomniała o nim,

stał się jej zupełnie obcym. Mało się i dawniej znali. I teraz, gdy oznajmiono jego przybycie, nie chciała go widzieć ani się z nim spotkać i być widzianą: uciekła. Ciekawość jednak niewieścia podzęgała ją do zobaczenia, jak też ten zbrodzień wyglądał.

Obok izby Ścibora, przez ścianę tylko od niej, była komnatka Jagny, świetlica, do której

wszedłszy, trudno odgadnąć było, kto tu mieszkał: niewiasta, dziewczka czy młokos. W

najdziwniejszym nieładzie rozstawione były sprzęty osobliwie dobrane. Na ścianach wisały i niewieście stroje, i męskie suknie a oręż. Rogi i łuki, chusty kraśne i przyodziewki razem się z sobą mieszały. Na krośnach rozpoczętych leżał kołczan ze strzałami, na kądzieli zawieszony sterczał kołpaczek, kwiatki stały po oknach, a przy nich toporki. W kącie twarde posłańko jakby męskie, skórąmi pokryte, zmięte, świadczyło, że pani na nim często i dniem spoczywała. Posłańko to przypierało do ściany, przy której sypiał z drugiej strony ojciec. Okno w niej z zasuwą dozwalało dziewczęciu nocą, gdy stary jęknął, wnet doń wyrzeć, spytać, czego chciał, i biec mu na usługi.

Nieraz, gdy Ścibor mocniej w nocy chrapał tylko, a Jagna nie spała, z wolna odsuwała okienniczkę, przysłuchując się ciężkiemu ojca oddechowi. Jagna kochała go, jak on ją, duszą całą. Teraz ta okienniczka wpadła jej w oko z pokusą zajrzenia przez nią na niepocziwego Stacha, którego tak nienawidziła. Nie było nic łatwiejszego nad odsunięcie deszczki nieznaczone i zajrzenie przez szparę, a podsłuchanie rozmowy. Chciała wiedzieć, z czym przybywał, aby ojca nie dać więcej bałamucić, gdy i tak słabość okazywał dla niego. Uklękła więc ostrożnie na ławie, a że okienniczka znalazła się już nieco przesuniętą, mogła natychmiast oko przyłożyć do szpary.

W tej chwili właśnie zapowiedziany Staszek wchodził do izby Ścibora nieśmiało i po cichu.

Oko Jagny wprost nań padło.

Był to dosyć piękny, młody jeszcze mężczyzna, który jak książę Kazmierz zdawał się mieć

lat trzydzieści kilka, ale twarz zdradzała przebyte cierpienia. Słusznego wzrostu, głowę miał nieco małą na barki szerokie, twarz ogorzałą mocno, ale rysów szlachetnych. Świeciły w niej oczy czarne, ogromne, dość głęboko pod łukiem brwi osadzone, trochę dziko biegające i jakby wylękłe. Mała bródka okrywała mu dół twarzy, a wąs ciemny — wargę, spod której rząd białych zębów jasnym paskiem wyglądał. W sprzeczności z obliczem młodym było czoło pofałdowane i wyraz całej

postaci malował w tej chwili niepokój, smutek, upokorzenie.

Ubiór miał skromny, ciemny, tak że niełatwo po nim poznać było, do jakiego stanu należał, tylko dumna postawa, ruchy różne i śmiałe, mimo zakłopotania, okazywały wojaka i człowieka, co rozkazywać był nawykły. Wszedłszy Staszek przystanął chwilę nie opodal od progu, spojrzął na Ścibora, jakby chciał zbadać, jak go przyjmie, niepewien jeszcze, czy mu dozwoli przystąpić do siebie, czy precz odegna. W rękach obu trzymał kołpaczek pogotowiu, a włosy, spod niego się dobywszy, długimi i gęstymi puklami ciemnymi spadały mu na ramiona.

Inaczej pewnie tego niepocziwego zbója Jagna sobie wystawiać musiała, bo zdziwienie

odmalowało się na jej twarzy i baczniej, do szpary przyległszy, przypatrywać mu się zaczęła.

Zdziwił ją tym szczególnie, że był onieśmielony, że oczyma strzelał tak bojaźliwie i niespokojnie.

Może się w nim zuchwalca spodziewała.

Ścibor, zobaczywszy go wchodzącego, rękę ku niemu litościwie wyciągnął, nie mówiąc nic.

Dość było tego, aby zdziżatego Stacha ośmielić. Podszedł wzruszony widocznie, zgiął się i przypadłszy do ręki starca, chwycił ją namiętnie ściskając i całując. Znać było, że go ta dobroć Ścibora, jakiej nie doświadczył od nikogo, głęboko przejęła. Staremu łzy się w oczach zakręciły.

Na twarz Jagny wystąpił rumieniec oburzenia: miała ojcu za złe tę czułość. Nastawiła ucha, ale nierychło głos posłyszała, bo się nie zebrawi zaraz na słowa.

Stach, gdyby się nie wstydził, z wdzięczności rozplakałby się może, choć mężnym był, a

bieda go twardym uczyniła. Ścibor na ławę wskazał tuż obok jego łoża stojącą, a trzeba jej było Stachowi, bo ledwie się z ziemi podnieść mógł. Padł na nią, oczy sobie dłońmi zakrył i milczał.

Ścibor mu się oczyma osłabłymi pilno z bliska przyglądał.

— Hej hej! — zaczął z cicha. — Stachu, co się to z ciebie zrobiło?! Jakżem ja ciebie nie

widział dawno!

— Bom ja tu pokazać się nie śmiał — westchnął przybyły — ani tu, ani gdziekolwiek

między ludźmi. Wszyscy się mnie zapani. Upłynęło już lat tyle, a ja jeszcze przeklon na sobie noszę i będę go nosił do śmierci.

Mówił głosem przerywanym i słabym.

— Cóż się z tobą działo? Co dzieje? — zapytał Ścibor.

— Albo to opowiedzieć można — począł Stach — albo ja sam wiem, co było ze mną? Ani policzę, ani opiszę, com wycierpiał! Gdy mię łaska pana Kazmierzowa życiem obdarzyła i

swoboda, gdy mię rozwiązali i puścili, poszedłem jak szalony skryć się w lasy, nie wiedząc, co czynić z sobą. Chciałem umierać; potem inne myśli przystąpiły. Zawróciłem do Konar. Tu ojca starego zastałem, który na wieść o moim nieszczęściu miał mnie za zginionego i ze wstydu a bólu konał. Gdym głodny i półżywy padł u jego łoża, pchnął mnie tylko od siebie i życia w nim już nie stało.

Żem naówczas nie oszalał! — mówił Stach dalej. — A! Oszalałem ci, tylko mi pomsta boża

rozum wróciła, abym czuł, com za zbrodnię popełnił. Jak ojciec, tak wszyscy się odwrócili ode mnie. Młodszy bracia znać nie chcieli, żem im zakałę uczynił, wzbronili się do siebie zbliżać bratanki. Nikt z rycerstwa stać ze mną nie chciał, nikt się za stół ani pić, ani jeść, gnano mnie zewsząd: „Idź na skrócenie karku!”

Musiałem precz, sam nie wiedząc dokąd. Zabrawszy trochę srebra, powlokłem się na Ruś do

Halicza, potem po innych dworach kniaziów, aż do Kijowa i Nowogrodu. Imieniem się swego

musiał zaprzeć i służyć pod cudzym. Śmierci szukałem, ale znaleźć jej trudno bez woli bożej. A tu i tęsknica smagać mnie zaczęła, choćby przyszło ginąć, na powrót do Konar, do swoich. Wytrzymać u obcych było trudno, choć na niczym tam nie zbywało; bodaj szyję dać, musiałem wracać do domu. Wróciłem, myśląc, że mnie jedni zapomnieli i drudzy nie poznają. Tak się i stało. W

Konarach pustki były, włodarz się na nich pasł tylko, bo bracia nie chcieli się tykać, póki by o śmierci mej nie wiedzieli dowodnie. Wziąłem moją mająć- ność i zamknąłem się w niej, myśląc, jak tu żyć, żeby się życiem nie struć.

Najwięcej mnie to gryzło, dniem i nocą chodząc po głowie, żem panu Kazmierzowi

zawdzięczyć tego nie mógł, iż był dla mnie tak świętym a dobrotliwym. Chciałem mój grzech odpokutować, aby na przebaczenie zasłużyć, pójść choćby za parobka do niego, a życie darowane okupić czymś.

Zabrakło głosu Stachowi i oczy sobie zakrył, pomilczał i po małym przestanku ciągnął



dalej, śmielej coraz.

— Cóż mam przed tobą, ojczy miłościwy, taić — uderzył się w pierś, suknię na niej targając

— co się mam kryć? Służyłem i służę panu Kaźmierzowi potajemnie, choć on nie wie o mnie, płacę mój dług, to moje życie, moja pokuta, moje wszystko!

Ścibor nań popatrzał zdumiony nieco i wzruszony.

— Co ci we łbie, Stachu — odparł upamiętywając go — a na co ty się jemu zdać możesz?

Jak ty mu służysz, kiedy nie masz prawa na oczy się pokazywać?

— A! Tak ci jest, na oczy mu się pokazać nie mogę, bom ja dlań policzkiem! Póki życia, mu się ani dam widzieć, ni wiedzieć o sobie. Tak ci jest, ale i z dala coś uczynić można, jam dziś tak zmieniony, że mnie rodzeni nie poznają bracia; choćby mnie zobaczył z dala, nie pozna i on!

Poznaliżbyście wy mnie, ojczy, gdybym się wam nie oznajmił, kim jestem?

— Pewno nie — odparł Ścibor — bieda i wiek cię zmieniły strasznie, ale moje stare oczy!

Ufać w to nie można, że cię nie poznają. Ty się sam zdradzić możesz.

— A ja wam się przyznam — szepnął półgębkiem Stach — co mam kłamać, zem ja już niejeden raz był blisko niego; widział mnie, choć kryć się starałem, patrzył i nie poznał.

— Jak cię kto wyda, głowę dasz! — odparł Ścibor z politowaniem.

— To dam — rzekł Stach powoli i dobitnie — to dam, albo mi to ona i tak nie cięży? Co mi po niej? Czegóż ja w życiu jeszcze mam się spodziewać dla siebie? Nie obmyję się, choćby krwią własną.

Głową potrząsł rozpaczliwie.

Gdy potem trochę pomilczeli, Ścibor, który szelest usłyszał za okienniczką, rzucił na nią okiem z ukosa i głos zniżył, pochylając się do Stacha.

— Ano, mów, z czym przyszedłeś do mnie.

— Z czym? Z bolem i z żalem — zawołał Stach — poskarżyć się, wynurzyć! Myślałem,

poprobuję, czy i ten mnie popchnie, a nie to choć przed nim usta otworzę, serce rozkryję, powiem, co za pazuchą jak kamień mi cięży, bo nie mam się zwierzyć komu.

Ścibor zdziwiony popatrzał nań, jakby nie rozumiał, co Stach kryć, co wyznać i powiedzieć może więcej. Tymczasem jemu oczy błyskały dumnie i usta się krzywiły od jakiegoś wzruszenia.

— Prawda — mówił — żem ja dziś robak na pół zgnieciony, żem ja proch i nędza, ano i mały, i najmniejszy coś może, kiedy tak bardzo chce, jak ja; Bóg świadek!

Ścibor ciągle z otwartymi usty słuchał coraz bardziej zdumiony, myśląc, co ten biedny człowiek uczynić może. Stach na ławie kręcił się, jakby go piekło, ruszał się, wstawał, siadał, włosy rękami rozrzucał, wąsy targał, odzież na sobie ciągnął. Widać w nim było człowieka, co się dawno nie mógł wygadać z tym, co miał w duszy, a teraz mu się razem wszystko do ust cisnęło. Z piersi jego dobywały się tłumnie łkania, głosy, westchnienia niezrozumiałe, jakby nadmiar ich go dusił.

— Jakbym ja wam zaczął opowiadać wszystko, com uczynił, co robić, wzięlibyście mnie może za kłamcę! — zawołał. — A cóż, kto mógł być takim, jak ja, zbójem, ten i łgaczem być może. Jam już nawykł wszystko dźwigać na ramionach, co mi rzucają na nie.

— No, gadajże — przerwał Ścibor — cóżeś to zrobił?

— Jakem umiał, takem pokutę odprawiał — począł Stach. — O, mała to była chwila, w której człek, zapomniawszy się, oszalawszy, ręce podniósł na świętego młodzieńca. Szatan opętał! A za tę chwilę, ot, ile lat zgryzot mnie męczy!

Ścibor, na łokciu się sparłszy, oczy wlepił weń i słuchał.

— Com robił, powiedzieć trudno — ciągnął Stach — służyłem mu skrycie, broniłem go, stróżowałem nad nim, dawałem mu życie i daję, i dawać będę, aż zdechnę.

— Gdzież? co? — zapytał trochę niecierpliwie stary. Zawahał się z odpowiedzią Stach i włosy na głowie targać począł.

— Nie uwierzycie — rzekł — byłem u niego parobkiem przy koniach, aby ino patrzeć i stróżować. Ani mnie znał, ani wiedział o mnie. Com robił? Oto, gdzie było największe niebezpieczeństwo, stałem za nim w gotowości; choć małe człecze, mozem ja i niemało dokonać! Zawahał się znowu.

— Trudno wszystko gadać — dodał — czyż to wy nie znacie losu pana Kaźmierza? Dziś on, dzięki Bogu, na Sandomirzu księżę i pan. Nie wiecie, co było, gdy Krzywousty umierał? Chłopię zostało u nieboszczki pani roczniaczkiem na kolanach, w pieluchach. Przyszło

dzielić, panowie biskupi radzili, ziemi dla niego nie stało. Nieboszczyk król, panie mu świeć, gdy ową swą wolę ostatnią, dogorywając, powiadał do pisania, niespełna już wiedział, co czynił. Myślał może, iż Kaźmierz do klasztoru pójdzie jak córka, a może? kto wie? Gdy go pytano, jakby nieprzytomny odpowiadał. Mówił o czterech rzekach, czterech synach i o wiadrze złotym, o czterech kołach i o wozie. Nikt go nie rozumiał. Dość, że dla Kaźmierza ziemi nie stało. Chował się przy braciach, przy Bolku, przy Mieszku, na łasce jak sierota bezdomny. Henryk się wybrał z krzyżem do Ziemi Świętej, on był jeszcze nie dorósł, iść z nim nie mógł. Dali go Kędzierzawemu, ten tylko że go uczyć kazał jakby na księdza. Rycerskiego tyle, co sam chciał, pochwyił. Karmili go pargaminami i modlitwą. Przecie się nie popsuł.

Pamiętacie ową chwilę złą, gdy cesarz niemiecki wtargnął do nas, a nie było sposobu mu się obronić. W Kargowie przyszło przed nim pokorę odprawiać. Rudobrodemu nie bardzo się chciało iść na puste ziemie za cudzą sprawę: stanął pokój obrzydły. Zażądał cesarz zakładników. Kogo dać? Nie myśleli długo, dali Rudobrodemu Kaźmierza na przepadłe imię.

— Toć wiem — mruknął Ścibor.

— A któż tego nie wie? — mówił Stach dalej. — Ale tego wy nie wiecie i nie wie nikt, żem ja tam lichym służką był z Bolkiem w Kargowie, gdy tę nieszczęsną pokorę boso odprawiać musiał, z mieczem u szyi, a brata — wrogowi dać. Byłem ci tam i serce mi się krajało, co za dola spotka biednego Kaźmierza. Gdy go wydawali, płaczącego ze sromu i trwogi, Rudobrodemu, jam dobrowolnie pachółkiem poszedł za nim. Myślałem sobie: 'Życie dam, gdyby na niego nastawali'.

Dziwy naówczas prawili o Rudobrodym: jakoby ludzi jadł, a krwią popijał. Ano, co miało być zgubą, pan Bóg na łaskę obrócił. Wydali brata jako na rzeź, a stało się, że mu niewola u cesarza była wychowaniem i nauką.

Sześć lat byliśmy ja i on na cesarskim dworze jako w szkole. Ja, com z dala patrzył na tego straszego pana, przed którym drżało wszystko, powiem tylko jedno, że sprawiedliwym był i księcia naszego sprawiedliwości nauczył. Cesarz to chłopię bardzo polubił i nie dał mu długo nad Renem u dziada Wichfrydowego siedzieć, wodził go z sobą na wyprawy. Było na co patrzeć.

Uczyliśmy się świata i obyczaju wszelakiego na dworze, między rycerstwem i duchownymi, choć ja na to tylko ze stajni poglądałem.

— Nie widziałże was książę? — zapytał Ścibor.

— Nic prawic, bom ja widzianym być nie chciałem — rzekł Stach — choć u jego namiotu, u

drzwi izby nikt na straży nie sypiał, ino ja.

Uśmiechnął się dumnie Stach.

— Możem ja mu też niejedyn raz życie ocalił, zbudził, ostrzegł, ale zawsze tak, aby inny za mnie to zrobił.

Zaraz potem, gdy nas w Kargowie zabrano, cesarz ruszył na Włochy. Ciągnęli i my z nim.

Rudobrody pono sam mawiał do Kaźmierza: „Patrzaj a słuchaj, ucz się, nie stracisz czasu u mnie”.

Prawda, że ani rycerzy dzielnych na dworze jego, ani prałatów i uczonych nie brakło. Ciągnęliśmy tłumem wielkim na zbuntowane miasta, Karynty, Szwaby, Burgundy, Sasy... Może we sto tysięcy darliśmy się przez okrutne góry na południe, aż pod wielki gród Milan, który opór stawiał, żeśmy go głodem brać musieli. W obozie, gdyśmy mury jego opasywali, tyle prawie było duchownych, co starszyny rycerskiej. Wieczorami i dniami przy spoczynku było się czego nasłuchać. Rudobrody z uczonymi zasiadał, co mu ich zewsząd zwozili, rozkładali księgi ogromne i z nich prawa mu wykładali, a on i drudzy uczyli się. Tam to nasz książę nabrał wielkiej do ksiąg miłości, do ludzi mądrych i do wszelkiego dobra. U Rudobrodego na wargach nie było nic, jeno sprawiedliwość.

Srogi nie był z natury, ale jak miecz boży nieubłagany.

Kiedyśmy onego Milanu dobyli pierwszy raz, patrzałem się i ja na to, jak rycerstwo tamtejsze boso szło, z głowy odkrytymi, miecze w rękę niosąc, do przysięgi; prosty lud z postronkami na szyi, na wozach chorągwie.

Nasz pan to się wszystkim przypatrywał sprawom, to z większą jeszcze miłością podsluchiwał, gdy przyszły narady nad prawem, które uczeni pisali dla zwyciężonych. Gdy poszli umawiać się o to, a czytać, a rozprawiać, on tam wciąż stał i słuchał, że go spod namiotu wywołać było trudno.

Co my to tam przeżyli i przebyli!

Zbuntował się potem drugi raz ten gród ogromny, podatki płacić i pańskich urzędników słuchać nie chciał, musieliśmy iść nań po raz drugi. Cesarz kazał palić i niszczyć bez miłosierdzia, mówiąc, że posłuch musi być! Ogłodziliśmy miasto po raz wtóry, ścisnęli, a nie było dlań ratunku.

Wyszedł lud i urzędnicy z grodu w pokutniczych szatach, z krzyżem poprzód, padając do nóg cesarzowi. Sto chorągwi rzucili mu pod stopy, żebrząc zmiłowania. Cesarz nie rzekł nic zrazu ani groził, ni przebaczał. Dziesięć dni ich zostawiwszy w niepewności i trwodze, potem ludowi życie darował, a gród z ziemią zrównano, że jeden kościół Świętego Ambrożego ocalał.

Poczęło się na tej ziemi piekło srogie a pomsta straszna. Na tośmy patrzali z panem naszym.

Tak nam tam sześć lat upłynęło, aż księcia nazad odesłano, a jam za nim z końmi pociągnął. Żył

jeszcze naówczas Henryk, który też był świata za morzami widział wiele, bo krzyż włożywszy, szedł z Niemcami i Francuzami do Ziemi Świętej, ale mu się i im nie wiodło, a mówiono, że królowa francuska, płocha bardzo, przyczyną była niebłogosławieństwa bożego. Henryk z Jaksą z Miechowa powrócili cali i mnichów z sobą przyprowadzili.

— Trzeba to było widzieć — mówił Stach dalej — kiedyśmy nazad z niewoli powracali, jak

Henryk nam drogę zabiegał, brata najmilszego ze łzami, gdyby straconego i zmartwychwstałego witając. Widać było naówczas, że ci dwaj młodsi z sobą zbratani są jako najserdeczniej, jedna w nich była dusza. Żyli z sobą społem, nie odstępując jeden od drugiego, a co jeden chciał, oba czynili. Jam na to patrzył.

— Cóż! — przerwał Ścibor z uśmiechem. — Zawsze ze stajni?

Rzekł to jakby z niedowierzaniem.

— Ojcie — rzekł Stach, poczuwszy niewiarę — szydzicie sobie ze mnie, widzę, sądzicie, że kłamię. Ano tak było, odprawiałem pokutę i w stajni, i różnie, Bóg świadek, prawda, co mówię.

Byłem i u koni, i pod chorągwią, alem się poznać nie dał. Toć wiecie, że jak Henryk, tak Kazmierz oba naówczas nieżonaci byli, a żenić się nie chcieli. Różnie o tym mówiono — dodał Stach głos zniżając — Henryk krzyż nosił i o zakonie pono rycerskim myślał, więc się wiązać nie mógł, a mój pan...

— Ludzie powiadali — szepnął cicho bardzo Ścibor — że ten od podwiki nie uciekał.

— Tego ja tam nie wiem, czy gonił, czy uciekał — rzekł Stach — a to pewna, że kochanicę jakąś jedną miał. Z tą się tak krył, że i diabeł nie dopatrzył, kto i gdzie ona była.

— Jakże mógł to tak ukrywać? — zapytał stary. Stach głową potrząsnął.

— Oprócz jednego może Smoka, sługi, z którym się wrywał do tej miłej, nikt nie wiedział i nie wie, kto ona była, dziewczka czy zamężna niewiasta, prosta kmiecianka czy co lepszego.

Mówiono, że się z księciem gdzieś zjeżdżali, że ona do niego przybywała. Szpiegowali ciekawi, podpatrzeć chcieli, nikomu się nie udało. Spotykali się w lasach, słyszę, na łowach. Kazmierz tak ginął gdzieś na dni czasem kilka, powracał smutny i nie zwierzał się nikomu, nawet bratu.

Dworzanie szeptali, że Henryk nalegał nań i na miłość braterską zaklinał, aby się przed nim zwierzył, na co Kazmierz miał odpowiadać: „Gdyby to moją było tajemnicą, dałbym ci ją, ale cudzą jest — nie mogę!”

I tak to trwało, a może i do dziś dnia trwa jeszcze — dokończył Stach.

— Przecież księżę żonaty jest — mruknął Ścibor.

— A żonaty — mówił Stach — ale nie po swej woli. Gdy Henryk w tej niegodziwej zasadzce na trzęsawiskach zamordowany został, mimo Mirosława przyjaciela, co go własnym okrył ciałem, już był naówczas wolę swą kazał spisać przy świadkach, że w razie śmierci na niego, dzielnica sandomierska nie komu się ma dostać innemu, tylko bratu najmiłszemu.

Tu Stach uśmiechnął się spuszcżając oczy.

— Nie uczynicie mnie kłamcą, proszę, za to, co teraz powiem. Klnę się wam na zbawienie, nie dla chwalby, ile dla świętej prawdy, że księżę Kaźmierz mnie po trosze winien, iż po Henryku wziął Sandomierszczyznę.

— Świta bo ci w głowie! — zawołał Ścibor.

— Posłuchajcież — mówił Stach — a cierpliwie, zobaczycie. Było tak naówczas, żem ja ode dworu Kaźmierza musiał iść precz, bom się tam zwaśnił; zaciągnąłem się w służbę na dwór biskupa krakowskiego, Macieja Cholewy, który potem zmarł na rok przed księciem Henrykiem.

— Znaliście wy go? — zapytał Stach.

— Nie — potrząsając głową odparł Ścibor — nie znałem go bliżej, choć się o nim nasłuchałem wiele. Mąż, mówią, uczony był, mądry, wielkiej gęby i języka. Ten ci to, co gdy raz księciu Władysławowi pieniędzy pożyczył w potrzebie, potem go już za bogacza miano. Ślali potem doń posłów, aby księciu wygodził znowu pieniędzmi. Gdy przybyli doń z tym posłowie, wysłuchawszy ich, rzekł: „Ano, dobrze, chodźmy do skarbcza mojego”. I powiódł ich miasto do skarbcza do wychodka, a wskazując nań i śmiejąc się, odezwał się: „Oto gdzie są wszystkie skarby moje! Maciek zrobił, Maciek zjadł!”

Albowiem imię mu Maciej było. Obżartuchem przeto nie był wcale, tylko że ludzi wielu przy sobie karmić musiał, a na księgi też, których siła kupował, wydawał wiele, nie miał więc w skarbcu zapasu. Pan był pobożny, uczony, ale wesołą rozmowę lubiący, do żartów skłonny, a gotów słowy szermować noc i dzień, i nie było nikogo, co by mu w rozumnej mowie sprostał, co po dziś dzień ludzie dobrze pamiętają.

— Tak, tak — przerwał Stach — jakbyście go znali. Na dworze biskupim na małym żołdzie i ja służyłem, byłem się tam docisnął, a stał niedaleko. Zwali mnie tam, jak i do dziś dnia mnie swą, bom sobie to imię przybrał od uroczyska mojego na granicy od Spicymirza, Zabora z Przegaju.

Biskup mnie dosyć lubił. Choć poważny mąż, gdym przy nim służby sprawiał, wedle obyczaju swojego nieraz ze mną pożartował. Wolno mu było wesołym słowem odeprzeć, byle do rzeczy..

Obu młodszych książąt lubił bardzo stary, szczególnie Kaźmierza, bo ten go bywało godziny, ba i dnie całe gotów był słuchać, gdy rozprawiał o wszelkich dziejach. Biskup zaś mówić potrzebował, ażeby go rozumnie słuchano, i o obu książętach powiadał zawsze, że z całego rodu najmędrsi byli.

Raz tedy, gdy do tego przyszło, że książę Henryk, który krzyż nosił ciągle, a gdy nie mógł z nim iść do Ziemi Świętej, bo okazji nie było, parł się na swoich pogan, życie ciągle ważył i o mało już zabit nie został — począł biskup boleć, że gdyby zszedł bezpotomnie, bardzo by krwi pocziwej żal było.

Zdało mi się wtedy rzec słowo, że żal by też było, aby po nim, uchował Boże czego,

Kędzierzawy albo Mieszko zagarnął dzielnicę, a sierota bezdomny Kaźmierz i nadal na łasce braci miał zostawać.

Uderzyło to biskupa i jak był zwykł drwić, rzekł do mnie śmiejąc się: „Patrzcie go! Oślica Balaamowa rozumnie przemówiła!”

Od tej chwili, jak sam przyznawał, począł na księcia Henryka nalegać, aby dał spisać wolę ostatnią i umiłowanemu bratu, sierocie, księstwo po sobie przekazał. A że mąż był prawości wielkiej, i czego się sam nie domyślił, tym się chwalić nie chciał, koniecznie nalegał na mnie, aby księciu Kaźmierzowi opowiedzieć, iż to ja myśl tę poddałem. Padłem mu do nóg błagając, aby tego zaniechał, a gdy się i zdumiewał, i wyśmiewał, o spowiedź go prosiłem, na której zeznałem mu, com zacz był, dlaczegom się ukrywać z sobą musiał.

Tedy pobłogosławił mnie ze łzami starzec święty i rzekł: „Pan Bóg niech będzie z tobą,

dziecko moje, wszelako co nie moje, tym ja się chwalić nie chcę, abym grzechu na sąd boży nie poniósł, w cudze się strojąc pióra.” I odtąd śmiejąc się opowiadał zawsze: „Nie jam ci to wymyślił, oślica Balaamowa przemówiła do mnie.”

Słuchał Ścibor z zajęciem, a Stach, czoło otarłszy, spoczął trochę.

— Cóż dalej, boście odbiegli od swego? — zapytał stary.

— Gdy książę Henryk, święte paniątko, padł w tej zdradzieckiej wyprawie na moczarach, a

ciało jego nawet dzicz tak rozszarpała, że mu pogrzebu poczestnego dać nie było można, Kaźmierz po bracie z żalości wielkiej szaty na sobie darł, utulić się nie mogąc. Przez tę śmierć jednak panem został na Sandomierzu i Lublinie. Duchownych wszystkich za sobą miał, bo choć na stolicy w Krakowie Gedko już siedział, i on, i wszyscy pasterze, Kaźmierza za swego uważając, z nim trzymali. Nie mógł mu więc nikt przeczyć spadku i poszedł zająć Sandomierz. Bracia wnet i duchowni, widząc go tam, nalegać poczęli, aby — jak przystało książęciu — bez żony nie był, a owe miłostki, o których przebąkiwano ciągle, porzucił. Biskup Gedko surowy człek, domagał się tego koniecznie.

Opierał się w początku księżę, ale naleganiom ojca duchownego w końcu musiał być

posłusznym. Poczęto mu zaraz z Niemiec swatać dziewczek siłą, bo o to tam łatwo i zapas zawsze trzymają dla obcych, aby się do naszych ziem przez niewiasty wciskali. Niemkini księżę nie chciał, powiadając, że „Ta nade mną panować zechce, jako Władysława, więc gdy się żenić mam,

Rusinkę wolę brać”. I wziął Helenę księżną, którą mu z Belza od Wsiewołoda Mściławowego przyprowadzono, a no wziął, jak się bierze narzucone.

— He? — zapytał stary. — A nie rozmiłował się w niej potem?

Stach głową pokręcił i głos zniżył.

— Przeciw pani tej nie można nic rzecz, dobrą być chciała i jest, ale piękności wielkiej nie miała, ani mógł do niej przystać.

— Przecie swą potajemną miłośnicę dla niej porzucić musiał? — odezwał się Ścibor.

Na to pytanie Stach, jakby odpowiadać nie bardzo chcąc, zmilczał trochę, ramionami poruszywszy.

— Spełna ja tam tego nie wiem — dodał. — Ludzie prawią różnie, nie powiem lepiej nic.

Pan pobożny, widać, że z żoną chciałby żyć po bożemu, a zmusza się do tego. Czasami trwa

wiernie przy niej, powiadają, gryzie się, chodzi jak obłąkany, męczy widomie, to pierzchnie w lasy i nie będzie go dni kilka. Ludzie dworscy prawią, że do swojej dawnej pojechał, bo odstać się od niej nie może, ale kto to tam wie, co się z nim dzieje? Prawią, że mu napój zadano. Ja nie wiem.

Ścibor ramionami potrząsał.

— Do dziś dnia więc to trwa? — zapytał.

— Pono — rzekł Stach. — Jam ostatnich czasów na dworze nie był, musiałem gdzie indziej, bo...

Nie dokończył; Ścibor go przynaglał:

— Gadajże już wszystko, gdyś począł.

— Zawczasu bo o tym mówić — odparł Stach. — Ot, pozwólcie, abym ja też was popytał.

Tu, z ławy wstawszy, pochylił się do starego i głos bardzo zniżywszy, począł:

— Co byście wy na to rzekli, gdyby ziemianie pomyśleli Kaźmierza na Krakowie posadzić?



Ściborowi brew się ściągnęła, nie odpowiedział nic długo.

— Teraz bo wam panów raz w raz chce się mieniać jak kukły dzieciom — rzekł z wolna. —

Nie może być, aby się przy tym krew nie lała. Czemuż Mieszko raz posadzony na Krakowie, ostać się na nim nie ma spokojnie?

— Spokojnie! — podchwycił Stach szydersko. — Wy tu chyba, ojcze, spokojnie w kącie

siedząc, o niczym nie wiecie, nie słyszycie nic, nie zalano wam niczym, to się wam zdaje to panowanie do wytrzymania. Toć to ręka żelazna, nie ojciec, ale gorzej ojczyma. Nie słyszeliście, co Henryk, ów Kietlicz dokazuje? Jeden jęk się rozlega po całym kraju, w takie go dyby wzięli. Ze skóry drą i ziemian, i kmieciów, nikomu nie przepuszczając.

— E, cicho byś był! — przerwał Ścibor. — Nie słyszałem nic i słyszeć nie chcę. Ty bo

Stachu, jakeś, złym będąc, szalał, tak teraz, dobrym chcąc być, znów szalejesz niepomierne. Cóż to za łaskę wyrządzisz Kaźmierzowi, gdy go w wojnę z bratem wwiążesz, ty czy kto inny? Cóż ty oszalał chyba?! Albo to Mieszkowi synowce, zięciowie, szwagrowie nie obronią go?! A możnych ma i na Czechach, i po Niemcach! I sam też ów Stary, człek, z którym igrać niebezpieczne Młodym był, gdy go Starym przezwano, bo rozum i wolę miał niemłodą.

— No no! — począł Stach. — Nie tak on straszny, gdy go i biskupi, i ziemiany wszyscy nie lubią. Rycerstwu dopiekł do żywego.

— Milczałbyś — przerwał Ścibor surowo — prawisz nie do rzeczy. Gdybyście nawet po

szalonemu Kaźmierzowi drogą usłali, toć mówicie, że sprawiedliwy jest i bogobojny, czyżby on chciał brata zrzucić, aby się jego mieniem bogacić. On, który za Kędzierzawego już, gdy go Jaksa z przyjaciół na kolanach błagali, aby Kraków brał, prośby ich odepchnął, a po śmierci Bolesława jeszcze raz toż samo uczynił.

— A! — zawołał porywczo Stach. — Inaczej stało naówczas, a teraz! Jaksa z przyjaciół

nie byliby go utrzymali, potem Mieszka nie znano i spodziewano się po nim wiele. Teraz inaczej ludzie myślą.

— A milcze! — począł Ścibor jakby przelękły. — Milcz i tego pana, którego kochasz, nie

wiedź na pokuszenie, aby głową nie przyplacił jeszcze waszego szaleństwa. Wy bo — mówił stary

— aby wam nowe sitko na kołku powiesić, aby coraz nowy pan, a taki, co by wszystkim cugli popuścił. Ej, Mieszko na was dobry jest, bo żelazną rękę ma, a wam takiej trzeba. E, milcz! I podąsał się Ścibor, Staszek zmilczał, ale sposepniał.

Wtem około okienniczki coś zaszeleściało. Jeszcze oba, na siebie patrząc, milczeli, gdy z

podziwianiem starego drzwi się otwarły i Jagna, co na oczy Stacha widzieć nie chciała, weszła do izby nagle.

### III

Zdumiał się niepomału ojciec, ujrawszy ją, ale więcej jeszcze widokiem dziewczęcia

zdziwiony był Stach, który zmięszany w ciemny kąt cofać się począł. Srom mu na twarz wystąpił.

Jagna weszła śmiało. Strój trochę zmieniała poranny, kosy puściwszy na ramiona, na koszulę wdziawszy krótki, jedwabny przyodziełek z rękawami rozprutymi, długimi. Jakby się jej zachciało być piękną, występowała z główką raźnie do góry podniesioną i rumieńcem na dumnej twarzyczce, bystro oczyma rzucając dokoła. Padły one naprzód na chłopca, który się w ciemny kąt zasunął, potem na ojca, przypatrującego się jej z uśmiechem dziwnym, na pół szyderskim.

— Gości macie — rzekła do niego — toć by przyjąć potrzeba, a jam wasza gospodyni.

Każecie podać jadło i napój?

Staszek ciągle jeszcze nie występował, stary wskazał nań ręką.

— Gościa tego albo znasz lub nie, Jagno? Stach prędko mu przerwał:

— A skądże by Zabor z Przegaja mógł być znajomym?! Dziewczę się uśmiechnęło jakoś

zartobliwie; gniewu już ani wstrętu takiego, jaki z rana dla Stacha z Konar okazywała, widać po niej nie było, przypatrywała mu się śmiało.

— Zabór z Przegaja czy kto tam kolwiek bądź — odezwała się — chleba i napoju

potrzebuje. Może by wstyd było, gdyby głodnym stąd odchodził.

Zwróciła się z wolna, a Stach za nią ciekawymi powiódł oczyma. Gdy wyszła, Ścibor

dziwnie uśmiechnął się sam do siebie, znać pomyślawszy: „Otóż niewieście dąsy i gniewy. Z rana go wieszala i ścinała, a teraz mu się uśmiechać i karmić gotowa! Wierzze tu babom!”

Potrząsał głową i spytał:

— Widziałeś ty dawniej Jagnę? Poznałbyś ją?

— Dzieckiem może ją najrzałem kiedy — rzekł Stach — alem nie pamiętał. Urosła na

panią.

— I czas by jej nią być — dodał Ścibor — ano nie chce. Zalecało się wielu, a ta dzika koza pana nad sobą cierpieć nie chce.

— Przecież prędzej, później ktoś ją weźmie — odparł Stach. Ścibor westchnął:

— Jeżeli się ona wzięć da komu!

Mówili jeszcze, gdy drzwi się otworzyły znowu i stara sługa, a za nią dziewczęta jednako

poodziewane chędogo poczęły iść, misy niosąc, dzbany i ręczniki, a wszystko, co do jedzenia było potrzebne.

Ścibor nie wstawał, więc mu ławę przystawiono tak do niskiego łoża, aby mógł na niej

wygodnie pożywać. Resztę mis i dzbanów porozstawiano na stole, a Jagna pierwsza, dając znak ręką gościowi, aby usiadł, miejsce zabrała.

Znak ten łaski mocno zdziwił Ścibora, nie mógł strzymać, aby uśmiechem córce nie okazać,

jak był rad jej postanowieniu. Zrozumiawszy to piękna Jagna, pogardliwie podniosła usteczka, tymczasem rączki myjąc i ręcznikiem je ocierając, co też i Stach, wedle zwyczaju ówczesnego, zrobić musiał.

Siedli naprzeciw siebie, gość na nią jak w tęczę patrzył. Dziewki takiej, jak żyw, nie widział, bo pod te czasy mało było podobnych; niewiasty słuchały, nie rozkazywały, a choć która władzę miała, kryła się z nią jak ze zbrodnią. I nie mówiły one wiele z obcymi, oczyma więcej niż usta rozmawiając, a aż nadto wiele nimi wypowiadać umiały.

— Dużoście podobno świata widzieli? — odezwała się Jagna, na pół rozogniona,

półobojętna, nie pomyślawszy o tym, iż się zdradza z podsłuchanej rozmowy. Stach zdziwił się pytaniu.

— Rycerska to rzecz — odparł — po świecie się włóczyć, gdy wojny nie ma, innych

wszelakich przygód szukając. Spokojnie siedzieć starym się tylko godzi, ci się wysłużyli.

Jagna popatrzyła nań szydersko.

— Jużci też rycerzowi włodarzowi nie przystoi, miejsce jego w wojsku i przy dworze. A

wy, pozwolicie spytać, komu służycie?

Stach się zmięszał, ale wnet odzyskał przytomność.

— Bywało się różnie — odezwał śmielej — a teraz, teraz jestem sam, nie wiem, dokąd się obrócę. Jest dworów dosyć...

— Ano — odparła żywo Jagna — prosta rzecz zdaje się do swojego pana iść, który ziemią

rządzi, do swego księcia.

— Tak, to mnie by przystało ku Mieczysławowi służyć — rzekł Stach — a ja do tego serca nie mam.

— To ziemia wasza pod krakowskim księciem? — zapytała. Stach nic nie odpowiedział, zajęty był wrzekomo jedzeniem i pytanie puścił mimo uszu, zagadując, że na Rusi w tym roku o wojnie słyhać nie było.

— Tam ona prawie zawsze trwa, jak zapamiętam — wtrącił Ścibor. — Kniaziowie się z sobą swarzą, biją, jedni drugich zrzucając nieustannie. Było tak za Chrobrego, za Szczodrego, a od tych czasów bodaj nie gorzej jeszcze. Byleśmy i my — dodał cicho — na Rusinów się nie zapatrzyli, bo to przykład nie do rzeczy. Od śmierci Krzywoustego i u nas nie ma bo pokoju, a już by go czas mieć.

Stach spojrział: twarz Ścibora sposepniała.

— Miłościwy panie — odparł po chwili — pokoju pono pod te czasy nigdzie nie szukać ni znaleźć. W Niemczech nie lepiej, choć tam cesarze zwierzchnią moc mają, nie inaczej i na południu około papieża rzymskiego, boć życie to wojna! Tak już Bóg przeznaczył!

Stary zamruczał coś niewyraźnie, unikając sporu, Jagna niecierpliwie to na niego, to na

Stacha patrzała. Coś jej było nie po myśli. Stach, rozmawiając, więcej oczyma biegał ku

dziewczęciu, niż pilnował tego, o czym mówił. Ile razy wzrok jego trochę natarczywszy spostrzegła Jagna, zrywała się i minę stroiła dumną a groźną, dając poznać, że czytania w swej twarzy nierada była dopuścić. Stach mało zważał na to.

Siedzieli tak jeszcze u stołu, bo miski ciągle podawano, a podróżny jadł i pił zdrowo po

długim poście, gdy Jagna ledwie czego dotknęła; aż w podwórzu pod oknami szmer, gwar i ruch budzić się począł. Baczne ucho dziewczęcia poznało może skąd to pochodziło, bo zaraz rzuciwszy jedzenie, pilniej się przysłuchiwać zaczęło. I Ścibor też ku oknu obrócił głowę, a psy, które tam na kości czatowały pod nim, choć nie odstępowały z miejsca, coraz to zwracały pyski i groźnie ujadając, poszczekiwały ku wrotom. Ojciec i córka spojrzeli ku sobie, jakby pytając, co to znaczyć miało.

Gwar ten niezrozumiały coraz wzrastał. Szło to widocznie kędyś od wałów i bramy, a w

podwórzach się tylko odbijało. Ludzie spór jakiś żwawo wiedli. Niekiedy dziki głos krzykliwy, nakazujący, wysilony, gniewny, z dala dochodził.

Brwi Jagny coraz się mocniej marszczyły. Gdyby byli sami, pewnie by skoczyła zaraz

dowiedzieć się, co się tam u wrót działo, uczynić porządek, wydać rozkazy; wobec człowieka cudzego wstydziła się pewnie zająć męską sprawą. Czekwała więc niecierpliwie, aż znać dadzą.

Ścibor się zżymał niespokojny.

Nie było zwyczaju w Ściborzycach, aby lub na gródku będący tak się z sobą sarn ujadali, umiano go utrzymać w karności i porządku. Łatwo więc było odgadnąć, że przyczyna wrzawy z zewnątrz pochodzić musiała.

— A kież tam lichy kaszy jakiejś nawarzyło? — odezwał się z prosta Ścibor do córki. — Co się tam za łby biorą czy co?

Ruszyła Jagna ramionami i chciała już wstawać, iść, ale gość się zerwał z ławy prędko, aby ją wyręczyć.

— Jeśli mi dozwolicie, pójde się dowiem — rzekł patrząc na Ścibora.

Nikt nie bronił, skoczył więc za próg Stach, i słychać było, jak kilka słów zamieniwszy na podsieniu z ludźmi, pobiegł ku wałom i bramie.

Dosyć obojętna, zadumana Jagna, podparłszy się na stole, na ojca patrzyła, który brwi zmarszczył i ku oknu wyzierał.

— Cóż Stach — rzekł potem do córki — nie tak ci coś krzywy, jak zrazu był? — I rozśmiał się Ścibor do niej. — Chłopak przystojny i zaprawdę, choć zawinił raz, szkoda by go było ćwiertować.

Jagna wzgardliwie wykrzywiła usta i krótko zbyła ojca:

— Juści gościa trzeba przyjąć, choć pewnie bym innego wołała, bo nie mogę patrzeć na tę rękę, co się na pana targnęła.

Ścibor zmilczał, przysłuchiwali się znowu, gdy weszła stara mamka Jagny i w progu stanęła.

Ku niej się dziewczę zwróciło.

— Co tam u was?

— U nas nic — odpowiedziała stara. — Za wrotami jacyś ludzie z odźwiernym się swarzą.

Książęcy urzędnik czy coś — dodała.

— Naszego księcia Kazmierza? — zawołała z oczyma zaognionymi, nagle zrywając się, Jagna, jakby już biec chciała.

— Nie wiem, czyj, ano urzędnik! — odparła starucha, zabierając misy opróżnione. — Łaja strasznie!

Wtem i nadbiegającego Stacha posłyszano, który na próg wpadł z twarzą płomienistą, gniewny i zburzony.

— Co każecie robić, nie wiem — zawołał, zwracając się do Ścibora. — Urzędnik z

Krakowa, bodaj sam ten Kietlicz Mieczysławowy, z dużą ludzi kupą, prowadzi jakichś pobranych, winnych i niewinnych kmieciów, osadników i czerń po drogach połapaną, i przewodu się domaga od was. Słusznie mu się ludzie opierają. Juści przewód swoim zakon dawać nakazuje, ale

Mieczysławowym, z krakowskiej ziemi, co tu w cudzym księstwie plądrują, nie macie obowiązku.

Jagnie brwi się ściągnęły gniewnie.

— A co im do nas, co nam do nich?! — wybuchnęła. Ścibor milczał.

— Grożą, że gwałtem konie zabiorą i ludzi popędzą — dodał Stach.

Spuściwszy głowę, stary, zafrasowany, nie odpowiedział jeszcze. Nierychło podniósł oczy i westchnął.

— Jak się tu opierać i prawa szukać — rzekł smutnie. — Niech ich lichy porwie! Gotowi gwałt uczynić jaki! Odczepnego ich zbyć, konie dać, a niech idą do...

— Ależ to nie ich ziemia! — zakrzyczała Jagna.

— Będieszże z nimi wojnę prowadziła? — rzekł stary. — Ich ziemia czy nie, krakowski

książę zwierzchnią władzę ma, a choćby jej nie miał, gniewać go — źle. Niedaleko granica, mścić się będą, spokoju nie dadzą! — Ręką zamachnął. — Kat ich bierz!

— To musi być Kietlicz sam — mówił Stach — bo bardzo zuchwale, pod bramą stojąc, włamaniem się grozi. A nie tylko przewodu chce, ale ukarania tych, co mu go odmówili. Dobija się, jakby moc i prawo miał!

Soborowi ręce się aż załamały z niepokoju i trwogi, czuł się słabym. Jagnie piersi się

podnosiły gniewem, usta drżały.

— Precz by go odegnąć zuchwalca! — zawołała. — To ziemia księcia Kaźmierza, on tu

żadnego prawa nie ma! Gródka przecie siłą nie weźmie, a da mu się raz posłuch i przewód, nie będzie od niego spokoju.

Stary, podsłuchawszy to, aż się rzucił.

— Jagno, ty sokolicho drapieżna! — zawołał do niej. — Ty byś ciągle wojowała! Tobie się

było mężem rodzić, idź do swej izby! Ja spokój mieć chcę, niechaj go wpuszczą, niech nakarmią, kto by kolwiek był, ugłaskać go lepiej.

Oburzone dziewczę, posłyszawszy ten rozkaz, rzuciło się, jakby chciało mu opierać, potem

spojrzało na Stacha, pomyślało i na ojca z wymówką popatrzywszy milcząca, wybiegło precz, trzaskając drzwiami.

— Stachu mój — odezwał się Ścibor głosem słabym — opatrność cię tu dziś nadała. Choć

obcy, idź, proszę, każ im wrota otworzyć, przyprowadź go tu, juści z nim radę damy. Zadzierać się nie chcę.

Stach się trochę zawahał.

— Idź, idź — powtórzył Ścibor. — Wrzasku nie znoszę, trzeba skończyć z nimi, puść go tu

do mnie i sam z nim powracaj.

Nie było sposobu opierać się staremu, choć Stach wolałby był dziewczyny posłuchać i

Kietlicza tego za bramą zostawić. Musiał spełnić rozkaz starego, który więcej już nie mówiąc, rękami dawał znaki, aby pośpieszał, bo gwar i wrzawa coraz rosły.

Wyszedł więc. W podwórzach wszystko, co żyło na grodzisku, mężczyźni i niewiasty

powybiegali z zakątów, psy ujadały biegnąc ku wrotom i okopom, ludzie postraszeni, to przypadali do tynów, aby spojrzeć za wały, to się od nich cofali tłumnie. Z dala hałas, krzyki i bicie drągami we wrota nieustannie słychać było. Zobaczywszy biegnącego Stacha, wszyscy ku niemu się skupiać zaczęli, domyślając się, że musiał iść z pańskim rozkazem. Dziwiło ich, że Jagno, która zwykła była pierwsza zawsze pośpieszyć, gdzie powstał niepokój, dotąd nie widzieli.

Jagno, gniewna na ojca, na siebie, na Stacha, rzuciła się na posłanie w swej świetlicy i co znalazła pod ręką, miotała bezmyślnie o ziemię. Oburzało ją, że ojciec ulegał. Dumne dziewczę byłoby wolało, bądź co bądź, strzałami napastników od wrót odegnąć, niż taką powolnością

uzuchwalić.

Gdy Stach przypadł z rozkazem, aby wrota otwierano, ludzie już przy nich, zajątrzeni

łajaniem, do oporu się zabierali. Słowo pańskie zamknęło im usta, mrużąc zaczęto ciężkie drągi odwalać i wrota otwierać.

Tuż pod nimi stał na koniu pianą okrytym mężczyzna krępy, czarny, którego długie, czarne

włosy kręcone wiatr rozwiewał. Twarz mu się czerwieniła od gniewu, a że brzydkim był, jeszcze go zapamiętałość czyniła straszniejszym.

Stach poznał w nim zaraz tego, którego się domyślał, prawą rękę księcia Mieczysława,

osławionego jego doradcę, owego Henryka z Kietlic od Budziszyna, któremu naówczas

przypisywano wszystko, co księżę poczynał, i o straszne kraju uciemiężanie obwiniano. Obcy ten człek, najbliższy osoby księcia kra- kowskiego, zienawidzony przez panów duchownych, ziemian i rycerstwo, najmniej o to dbał.

Wejrząwszy nań, widać było w silnym, jak żubr zbudowanym, z krótką szyją, głową dużą,

oczyma wypukłymi, patrzącymi groźno, żywych ruchów i szorstkiej mowy człowieka, łakiego, co nie nawykł ulegać nikomu, a wszystkich gotów był łamać, bo czuł potężną opiekę nad sobą. Sługa to był, któremu pańska moc dawała zuchwalstwo bez miary.

Trząśł się cały z gniewu, gdy mu nareszcie wrota otwarto i Stacha ujrzał przed sobą. Spiał

zaraz konia i jak burza wpadł na podwórze, klnąc głośno. Tuż za nim tłoczyło się kilkudziesięciu zbrojnych, a w pośrodku, między ich końmi, postrzegł Stach znaczną kupę ludzi, starców, ziemian poważnych, kmieci, razem z parobkami i pastuchy pomieszanych, powiązanych łykami,

rozwścieczonych lub wylękłych. Ludzie Kietliczowi batami ich gnali i popędzali z sobą, końmi ściskając i napierając.

Wszystko to, za wjeżdżającym we wrota Kietliczem, wpadło w podwórze jak do domu,

natychmiast z koni zsiadając i zabierając się tu obozować, nie spytawszy nikogo.

Kietlicz tymczasem, ledwie na Stacha spojrzawszy z ukosa, popędził do dworca. Ten musiał

biegiem go dognać, aby razem z nim stanąć, jak chciał stary. Kietlicz z koniem wpadł aż w podsienie, tu dopiero z niego skoczył, a że nikogo nie znalazł oprócz starej baby w progu, spokojnie się mu przypatrującej, krzykliwie wołać zaczął, domagając się gospodarza.

Stara, wcale nie przestraszona tym wrzaskiem, głową trzęsąc, rzekła mu spokojnie:



— Pan nasz z łoża nie wstaje, ani nawet dla księdza, słabuje od dawna.

Widząc, że nikt mu nie wskazuje drogi, Kietlicz począł ją sobie sam torować do wnętrza.

Rzucił się do jednych drzwi, które do czeladnej prowadziły, postrzegł błąd, zwrócił się i zobaczył dopiero Stacha, który właśnie nadchodził.

— Gdzież ten wasz władzyka?! — krzyknął głosem zachrypłym. — Gdzie?!

Stach, choć go złość brała i krew mu na twarz występowała, udał bardzo spokojnego.

— Władzyka to nie mój — odparł — bom ja tu! gość jak i wy. Nie krzyczcie tak, bo stary słaby jest i nie znosi wrzasku.

— Słaby, a choćby i zdychał! — przerwał Kietlicz. — A co mi to? Ja posłuchu wymagam!

Wy tu ze mną wojnę prowadzić myślicie, he?! A wiecie z kim?!

— Hej no, hej, ktośkolwiek jest, ciszej! — odparł Stach. — Toż nie w zdobytym grodzie jesteście, a na ziemi pana Kaźmierzowej, przystałoby tak głosu nie podnosić.

Kietlicz poskoczył ku niemu, mierząc go od stóp do głów iskrzącymi oczyma.

— Cóż ty, ty jakiś, będziesz mnie tu uczył?! Ty, mnie?! Jam tu z ramienia pana, który i nad Kaźmierzem waszym jest, i nad wszystkimi! Rozumiesz?!

Już się kłótnia na dobre miała zawiązać, bo Stach ustępować nie myślał, gdy drugie drzwi

się otworzyły i wylękły tym hałasem Ścibor, o dwu kulach powoli się wlokąc, wystąpił sam, przygarbiony, współzłamany, z włosy siwymi i brodą okrywającą mu piersi obnażone. Widok

starca zgrzybiałego, drżącego, niedołężnego na chwilkę opamiętał Kietlicza nieco. Gniew jego nie ustał, ale nieco złagodniał. Rzuciwszy Stacha, wprost poszedł na starego.

— To wyście tu władzyka — zawołał do niego — wy! A dobry u was ład i posłuch dla książęcych urzędników! Wiecie, ktom jest?!

Stary podniósł ku niemu głowę, której usta bezzębne, otwarte, z wargami drżącymi i zbieleiałe oczy wyrażały więcej zdumienia niż postrachu.

Nie czekając odpowiedzi, Kietlicz krzyczał ciągle:

— Najwyższego pana, Mieczysława krakowskiego, jestem pierwszym urzędnikiem! Ho ho,

słyszeliście pewnie o mnie, bom ja się niejednemu dał we znaki i żartów nie ma ze mną. Tu mi w waszych włościach ludzie przewodu odmawiają, u wrót mi każą stać! Cóż to ty pan jesteś udzielny?

Co to władzy książęcej nie znasz nad sobą? Coś ty za jeden? co?

Na to zuchwałe pytanie w niedołężnym starcu poruszyła się żółć, podniósłszy głowę znów, oczyma go zmierzył.

— Coś ty za jeden? — powtórzył Kietlicz.

— Jam Krzywoustego wojewoda — odparł poważnie i spokojnie Ścibor. — Choćbyście byli pańskim urzędnikiem, siwy włos powinniście szanować.

Zamilkł jakoś Kietlicz, ale gdy stary, któremu na nogach dłużej ustać było ciężko, do izby się nazad zawrócił, aby na łożu lec znowu, napastnik, jak stał w hełmie, z biczem w ręku wpadł za nim.

— Słyszysz ty stary, choćby i wojewoda nieboszczyka, sam na pół trup, żeby mi przewód

był, owies i siano dla koni, strawa natychmiast dla ludzi, a na tych, co mi się opierać śmieli, kara w moich oczach, chłosta i ciemnica.

Ścibor, który był legł już, dysząc mocno ze wzruszenia i ręką piersi cisnąc, zrazu

odpowiedzieć nie mógł. Zmierzył stojącego przed sobą oczyma raz jeszcze i Stachowi ręką dał znak.

— Dać mu, co chce. Na gwałt rady nie ma i niechaj mi idzie stąd!

Jakby nie rozumiejąc tego, Kietlicz się nie ruszał. Spojrzał po izbie, zobaczył na stole

pozostałe misy i dzbany, nie pytając przystąpił ku nim, nalał sobie kubek i wychylił go chciwie.

Niegościnnie przyjęty, nie zważając na to, że mu precz iść kazano, na ławę się rzucił. Milczenie groźne trwało chwilę. Drzwi stały otworem, za nimi włodarz Ścibora, Domuch, czekał na rozkazy drżący. Stary się ku niemu zwrócił:

— Domuch, dawaj im, co chcą, niech żrą i idą stąd! Przewód nakazać zaraz. Słyszysz?!

Wojować z nimi nie będę, niech mi długo na karku nie ciążą i idą precz, skąd przyszli! Ze dworu przewód wybrać dla psiechu, bo do wsi daleko, a tam już ludzi porozpędzać musieli.

— Spędzić mi ich na powrót zaraz — krzyknął Kietlicz — żeby mi te psy w oczach moich chłostę wzięły!

Ścibor twarz ku niemu zwrócił.

— Tego nie będzie — rzekł — tego nie dam! Czyń sobie, co chcesz. Masz swój przewód i strawę, ruszajże, jakoś przyszedł. W głosie starca było coś nakazującego, groźnego, czemu się oprzeć było trudno. Kietlicz się rozśmiał szydersko i począł jakby sam do siebie, rozpierając się na ławie:

— Oh oh, myślicie sobie poczynąć z nami tak, jakoście z dawnymi swymi pany czynili! Ale mój pan inny! Sprawa nie z Wodzisławem, nie z Kudrawym. My wam pokażemy, kto tu ma prawo życia i śmierci, nakazu i posłuchu! U mnie ziemianin, kmięć, klecha, rab — wszystko jedno; nie patrzę ja, kto on! Łby polecą! Dopiero się nauczycie pana szanować. Mieszko was i panów duchownych rozumu nauczy! Nauczyl! Zobaczycie! Wy tu mi śpiewacie, zem ja na Kaźmierzowej ziemi; mnie i pana mojego tak dobrze Kaźmierz, jak i ty, i wszyscy wszędzie słuchać musicie.

Jeden tu pan i więcej ich nie będzie. Nie znamy ani biskupów, ani wojewodów, ani żupanów, gdy nieposłuszni są. Chcecie kaźni, będzie kaźń; będzie taka, jakiej nie bywało za książęcych braci. Ze skóry was drzeć, kołem tłuc, wieszać i ścinać będziemy, aż się rozumu nauczycie i ładu!

To mówiąc, pięść z biczem podniósłszy, zdał się nim grozić staremu.

Na ten wybuch gniewu Kietliczowi nikt nie odpowiedział. Znikł tylko zaraz Domuch, a

Stach, naprzeciw siedzącego stanąwszy, o ścianę sparty, słuchał go milcząc, z miną szyderską, wyzywającą, tak że ona gniew w nim jeszcze rozżarzać musiała. Zdawał się mówić mu oczyma:

— Ano ano, pozwól sobie, nic nie kosztuje, pleć!

Ścibor, leżący na swym posłaniu, ręką głowę podparłszy, zadumał się, twarz jego bladła,

czoło się zasnuwało marszczkami. Kietlicz kubek po kubku wychylał, nie pytając ni dziękując, wreszcie chleb łamać począł i reszty mięsa z misy wyciągać, nie troszcząc się o gospodarza. Stara gospodyni, która na to zza drzwi otwartych ciągle patrzyła, położyła temu koniec, śmiało do izby wszedłszy i zabierając sprzed siedzącego dzbanek, kubki i misy. Nikt się do niego nie odezwał, nikt go przebłagać nie myślał, więc coraz mocniej sierzdził.

— Ufacie w to, żeście Kaźmierzowi! — począł, ryhocząc ze złością, po chwili. — No to

się jemu poskarżcie! Niechaj probuje zadrzeć się z naszym panem. Ano, może my byśmy temu i radzi byli. Dosyć już tego ziemiańskiego i książęcego gospodarstwa, czas na inne. My wam pokażemy, co ład, co zakon i co kaźnia!

Znów tedy pięść z biczyskiem do góry podniósłszy, na Ścibora patrzył uparcie, który

milczał, to na Stacha stojącego z miną drwiącą. Nie odpowiedzieli mu. Nie było tu już co robić; powstał z ławy gburowato, stół popychając przed siebie, pasa ociągnął, hełmu poprawił, obejrzał się dokoła, plunął ze złości i wyszedł.

Drzwi się natychmiast za nim zamknęły.

We dworze, nie mając już co poczynać, poszedł z wolna w podwórze do ludzi rozłożonych

tu taborem, chciwie pożerających strawę, którą im w necułkach i wiadrach dostarczano. W

pośrodku tych rozpasanych siepaczy, kupka więźniów po drodze pochwyconych leżała na ziemi, ponakrywawszy głowy, twarzami do murawy, spoczywając i jakby nie słysząc zmagania się,

łajania, szyderstw i wyzywań, którymi ich jątrzyć chciano. Jeńcom tym nie dano ani jeść, ani pić.

Gdy Domuch przez litość przynieść i dla nich kazał strawę, żołnierstwo ją pomiędzy siebie rozchwyciło, a potem kośćmi na powiązanych jak na psy rzucali wołając, że im i to nadto dobre.

A więźniowie, jak można było miarkować z odzieży i twarzy, byli w większej części ludzie

dostatni, pod różnymi pozorami z domów pobrani, na gościńcach pochwytni, którzy wiedzieli, czego się mieli spodziewać, dostawszy Kietliczowi w ręce. Nikt z nich cały nie wyszedł. Gbur ów, nie mogąc się dłużej nad Ściborem znęcać, bo mu ten ani odpowiadał nawet, poszedł się mścić na więźniach swoich. Smagał ich szyderstwami i groźbami.

— Dam ja wam dobrą gościnę w Krakowie, dam, dam! Popamiętajcie pana i mnie; który z

was z całą skórą wyjdzie i ze łbem na karku, będzie do śmierci pamiętał, że był w moich łapach!

Drużyna pana Kietliczowa, za każdym takim wykrzykiem, wtórowała mu śmiechem

pijanym. Niektórzy leżących na ziemi więźniów oszczepami żgali wołając:

— Ano, nie spijta, słuchajta, kiedy pan gadał

Kietlicz szukał może powodu, aby się nad którym mógł pastwić, chciał wywołać jakie

rozpaczliwe z nich słowo, ale biedota owa, głowy poukrywawszy, milczała. Poczęło się tedy rzucanie a groźby na włodarza Domucha, aby dawał coraz więcej strawy, mięsa, napoju, owsa, obroków. Gdy wreszcie konie i wozy do przewodu z szop prowadzić poczęto, aby się zbyć ich, Kietlicz wpadł między nie i począł wybredzać, aby mu innych, lepszych szkap i powózek

dostarczano.

Przykazanie było od Ścibora, by się ich zbyć jako bądź, więc ściągano i prowadzono, co

chcieli, wpośród wrzawy, kłótni i śmiechów. Kietlicza, który był za pan brat z księciem

najwyższym, wzgradliwe to przyjęcie w Ściborzycach bolało. Nie przełamano się z nim nawet chlebem, nie chciano gniewów przebłagać, zbył się go stary jak napastnika. Kietlicz, nie mogąc się mścić na gospodarzu, gniew spędzał na jego czeladzi, głośno przeciw jej panu odzywając się ze złością i pogardą. Czeladź też ujmować się nie mogła, ale zębami zgrzytała.

Dzień już był w drugiej połowie, gdy nareszcie wszystko do wyjazdu stanęło pogotowiu.

Więźniów na wozy powciągano, po dwu i po trzech powiązawszy razem plecami do siebie;

gromada Kietliczowa na konie siadać zaczęła, wiadra i necułki próżne porozbijawszy umyślnie.

Pańskiego konia już podprowadzono. Nie było pozoru gościć się dłużej, a Kietliczowi z tak małym zyskiem precz się odjeżdżać nie chciało. Już na konia siadać miał, gdy coś sobie pomyślawszy, nazad pode dwór zawrócił.

W czasie gdy tak w podwórzach gospodarowano, Stach na czatach stał, nie wiedząc, co

czynić, choć mu krew w żyłach kipiała przeciwko napastnikowi. Do pilnującego progu wybiegła Jagna z twarzą zapłonioną gniewem.

— Do ojca mi go więcej nie puszczajcie! —zawołała i znikła.

Rozkaz ten odebrawszy, Stach gotował go się spełnić, bądź co bądź, i pierwsze drzwi

zasunawszy, stanął u nich na straży z rękami złożonymi. Kietlicz, któremu do głowy przyszło pewnie jeszcze pieniężną karę ściągnąć za odmówienie przewodu, gdy podbiegł ku dworowi, zastał

Stacha u progu. Spojrzał nań wskazując na drzwi.

— Do władyki chcę! Otwierać! — zawołał nakazujące.

— Nie pójdziecie do niego, bo i tak chory już leży — odparł Stach.

— A wy mi tu stawić opór będziecie, he?! — krzyknął Kietlicz.

— Tak mi polecono, nie puszczę — rzekł Stach, rozkrzyżowując się we drzwiach.

Kietlicz, porwawszy za rękę stojącego, chciał go na stronę odepchnąć, ale trafił na równą swojej siłę. Stach ani drgnął, nie łatwo go było ruszyć lada komu. Oparłszy się plecami o drzwi, nogi mocno wbiwszy w ziemię, stał jak mur. Szarpnął go Kietlicz raz i drugi nadaremnie i opór znalazłszy niespodziany, przyskoczył, oburącz go chwytając, aby odrzucić na stronę. Gniew obu dodawał siły. Kietlicz miał jej dosyć, ale Stach bronił się dzielnie, pchnął go w piersi, aż odskoczył, na nogach się zachwiawszy.

Wrzasnął natychmiast na swych ludzi:

— Sam do mnie, Bereza! Tyś co za jeden?!

— Ktom jest, tom jest — zawołał Stach gniewnie — nie ustąpię ci!

— Ty mnie się myślisz opierać — miotając się krzyknął Kietlicz — ty?! Ja cię nauczę!

I ku swoim zwróciwszy się, coraz głośniejsz wrzeszczał:

— Bereza! Sam do mnie!

Bereza, chłop straszny, i trzech innych, najsilniejszych z orszaku Kietliczowego, już biegli mu w pomoc. Walczyć z nimi jednemu było niepodobieństwem. Zbladła twarz Stachowi, zaciął usta, nie ustępował. Siepacze nadbiegli i runęli na niego.

— Wziąć tego ptaszka i związać! — krzyknął Kietlicz. — Rozmówimy się z nim w Krakowie!

— Ziemianin jestem wolny! — zawołał Stach.

— A choćbyś i kniazem był! — zaryczał Kietlicz. — Ja na was wszystkich uzdy nałożę!

Po chwili krótkiej namysłu Stach, spuściwszy głowę, gdy Kietliczowa służba nań padła, nie mówiąc słowa, dał się jej ująć. Z dala stała jego czeladź wylękła i poburzona, jakby chciała stanąć w pańskiej obronie. Stach, nie broniąc się już, krzyknął do swych ludzi:

— Wy z końmi ruszajcie za mną!

Spokój ten zmieszał trochę napastnika, ale cofać, co rozkazał, nie chciał, wstyd mu było.

Wiedział, że nieznanego sobie ziemianina, z poczem jadącego chwycił, niesprawiedliwej

opierającego się napaści; nie zgrzeszył on tak dalece, aby go za to srodze karać można, Kietlicz byłby go zwolnił, gdyby się prosił; milczącemu nie mógł przepuścić.

— Wiazać go! — powtórzył. — W Krakowie się z nim rozgadamy.

Drzwi od mieszkania Ścibora stały tymczasem ze środka zamknięte, Kietlicz przypadł do

nich ze złością, uderzył parę razy, nie odzywał się nikt, nie myślano otwierać. Ciupnął w nie jeszcze raz mieczem i splunął.

— Licho na was, z dziadami nie będę wojny prowadził. Na koń! A tego — wskazał na

Stacha — związać mi dobrze i z innymi niech rusza do Krakowa.

To mówiąc, odszedł ode drzwi, rozkazując sobie konia podprowadzić; klnąc i łając jeszcze, siadł nań i popędził ku wrotom. Cała gromada jego wnet na konie swe wspinać się zaczęła, wozy popędzając przed sobą, na których już więźniowie leżeli. Ciury te, po drodze jeszcze chwytając, co

napadły, kury, świnię, gęsi, ze śmiechem uwożąc te łupy, z wolna wrotami nazad wyciągnęły na podzamecz, odgrażając się odźwiernemu stojącemu w bramie, którego kilku kijmi poczęstowało, że im zrazu wrót nie chciał otwierać.

Za ostatnim z Kietliczowych oprawców zaparły się wrota natychmiast i orszak nie odciągnął

jeszcze, gdy czując się bezpiecznymi, ludzie zamkowi powybiegali nad wrota i na wały, od psów i zbójów łając wściekle odjeżdżających, którzy im z dala pięści pokazywali. Kilka kamieni nawet świsnęło w powietrzu za odjeżdżającymi i padło na gościńcu.

W tejże chwili otwarły się drzwi dworu i Jagna z włosami rozpuszczonymi, z załamanyimi rękami, z bezsilnymi łzami na zarumienionych policzkach, wypadła trzymając toporek w ręku.

Dłużej by już była wytrzymać nie mogła. Powstawszy chwilę na progu, zawróciła do ojca. Ścibor leżał oburącz głowę trzymając w dłoniach, podniósł ku niej wejrzenie i uląkł się wyrazu, jaki na jej twarzy zobaczył.

— Jagno, Jagno ty moja! Nie złość się nadaremnie, nie było na to rady! Stacha wzięto, słyszę, ale temu się nic nie stanie.

Ruszyła ramionami wzgardliwie.

— O Stacha tego mi nie chodzi! — zawołała. — Nie byłby mężczyzna, żeby sobie nie dał rady, ale ty, ojczy, ty! Po coś im otwierać kazał, aby nam srom uczynili?!

— Dziecko moje — odparł Ścibor — stary jestem, stary; i niedołączny, gródka bronić nie mogłem, nie było czym. Jutro by go Mieczysławowi najechali. Nastaly takie czasy, dożyliśmy!

Głowę trzeba spuściwszy, uszy położywszy, słuchać.

Jagna ręce sobie wyłamywała.

— A! Nie, nie! — wołała rzucając się. — Tak nie będzie, nie może być, ziemianie mu się nie dadzą, niewolnikami nie są. A dadzą się, no to warci być nimi.

Przeszła się po izbie usta zaciskając, głowę unosząc, dysząc prędko; gniew czynił ją

piękniejszą, niemal młodszą, niż była. Oczy jaśniały blaskiem nadzwyczajnym, rumieńce krwią się tryskać zdawały, spod maleńkich ust zębki świeciły zacięte zgrzytaniem.

— O, tak się ostać nie może! — powtarzała ciągle. Starzec ku niej wyciągnął ramiona, przyklęka przy nim, pochwycił ją ścisnąć i pieścić.

— Cicho, ty sokolico drapieżna, cicho! Niech się tam dzie- je, co chce! Dajcie mi choć

umierać spokojnie, nie moja te sprawa a tych, co żyć będą. Mnie aby cisza i pogoda. Jagno, uspokój się!

Ale Jagnie łzy z oczów płynęły, upokorzenia swojego i ojcowskiego zapomnieć nie mogła.

Krzykliwy głos Kietlicza rozkazującego na grodku brzmiał jej w uszach i dreszcz ją przechodził.

#### IV

Tegoż dnia wieczorem Kietlicz ze swą zbrojną gromadą, z którą jakby na łowy puścił się na dwory i ludzi, był już znowu na krakowskiej ziemi. Tu siepacze jego śmielszymi się stali jeszcze.

Dla Staszka, któremu z lekko związanymi rękami pozwolono jechać na własnym koniu,

otoczonemu swoimi ludźmi i strażą, widok tego pochodu był oburzeniem nieustannym. Ale choć mu twarz srom i gniew oblewał, milczeć musiał. Zżymnął się czasem, strząsnął, do swoich coś zagadał; strażę otaczające, co innego mając do czynienia, wcale nań nie zważały.

Kietlicz wracał z wyprawy do Krakowa, czasu nie tracąc po drodze. Nie pominęli

człowieka, dworu, chaty, nie przystanawszy dla rozpatrzenia się i rozpytania, czy nie było się tam do czego przywiązać, o co zaczepić, aby kmiecia obdrzeć, uwięzić lub osmagać. Szło o to

Kietliczowi widocznie, aby trwożę siał po kraju, cel ten też zdawał się dopiętym, gdyż ludzie, z dala zobaczywszy kupę zbrojną, poznawszy książęcego urzędnika, pędzili w lasy, rzucając domy i trzody, chroniąc się w gąszcze i błota. Samo to zbieganie Kietlicz już poczytywał za winę, kazał

ścigać uchodzących, a kogo pochwycono, wiązano, i męczono, aby wyznał, co przewinił i czego się lękał.

Ludzie towarzyszący Kietliczowi, przywykli do tego polowania, zuchwali, burzliwi, ciągle

na pół pijani, bo na wozach beczułki mieli, z których nieustannie czerpali, znęcali się nad wszystkimi, kto im pod rękę podpadł, bez względu na stan i płeć jego.

Parę osad należących do benedyktyńskich klasztorów trochę śmieiej wystąpiło opornie,

ufając, że im, jako poddanym duchownych, ludzie królewscy nic nie uczynią, ale gruby Kietlicz nie zważał na nic, kazał brać podwody, odgrażając się jeszcze, że nie tylko mnichów, ale i panów biskupów Mieszko rozumu nauczy.

Ostrożny tylko poseł pański na obronne gródki ziemian, na starszyznę bogatszą i silniejszą wprost się napadać nie ważył, szarpał ich z boku. Mniejsi ziemianie, kmiecie, osadnicy i czerń najwięcej cierpiała. Był to początek. Za każdą sprawą zausznik pański powtarzał, że ład wprowadza i zakonu pilnuje. Obładowywano wozy wedle tego zakonu, bo co się tylko po drodze schwycić dało, szło na



nic, siepacze rychotali, ciesząc się dobrym obłowem.

Drugiego dnia, gdy tak ciągnęli, nie opodał już będąc od Krakowa, wśród puszczy, Staszek

pierwszy spostrzegł na łące pośród lasu kilku ludzi z oszczepami i łukami, stojących około czegoś czarnego, leżącego w pośrodku. Zdało mu się to jakby zabitą grubą zwierzyną. Zaledwie się przypatrywać zaczął, już i drudzy obaczyli zdobycz i kilku cwałem się puściło ku łączce i stojącym ludziom.

Ci jakoś nie umykali, choć tętent posłyszeli i zobaczyli najeżdżających; gwarzyli wesoło, stojąc nieopatrzni, ukazując sobie ogromną bestię, która z okrwawionym pyskiem i rozdartymi trzewy pośród nich leżała.

Sam Kietlicz, brwi najeżywszy, konia ścisnął i poleciał. Z dala już postrzegł Stach, że tam około zwierza wrzask się począł, a ludziska przed chwilą tak weseli ze strachu popadali na kolana.

Gdy podjechali bliżej ku miejscu, gdzie się już Kietlicz i jego przybocznicy do wiązania łowców i zabierania niedźwiedzia zabierali, usłyszał wrzask ogromny.

Kmieć, który szkodnika zamordował w lesie, czuł się całkiem niewinnym. Kietlicz to rozumiał inaczej, smagał go i krzyczał na całe gardło:

— A! Myślisz, ty nicponiu, rabusiu, że ci po lasach bezkarnie będzie wolno polować?! Cóż to ty masz takie prawo, jak książę?!

Kmieć zbladły usiłował się bronić jeszcze.

— Ależ, miłościwy panie, las ci to mój własny, ta jucha mi barci popsowała i poniszczyła, pola potratowała, pokoju z nią nie było. Musiałem się bronić!

— A! Pewnie, bronić! — szydził Kietlicz. — Tak! A kogoś to prosił o pozwolenie robienia sobie samemu sprawiedliwości? Cóżżeś to ty zwierzchni pan? Sprawiedliwość i wymiar nie do kogo należy, tylko do księcia! Ty sobie będziesz jego prawa przywłaszczał i bił niedźwiedzie, które z książęcych lasów przychodzą?!

— Wiązać go! — zagrzmiało.

Pachołkowie wnet się do kmiecia porwali. Ani się już śmiał bronić, spodziewając w

Krakowie może innego wyroku. Kietlicz wołał śmiejąc się:

— Zapłacisz siedemdziesiąt! O, zapłacisz, miły kmieciu, za polowanie na pańskie niedźwiedzie i będziesz miał naukę, kto tu jakie ma prawo!

Wnet ogromne zwierzę, dobry obłów, pochwycono na wóz, rzucając ze śmiechami

wielkimi, a że na wozach już dla kmiecia miejsca nie było, ręce mu związawszy, pieszo go za wozem popędzono. Kmieć, jak widać było z odzieży, dostatni, szedł zniewagą tą i samowolą

zburzony, tak że od zmysłów odchodził prawie, a że bronić się nie miał siły, smagali go, popędzając i drwiąc pacholkiem.

Na niego teraz, jako na nową ofiarę, całą swą złość wywierał Kietlicz, potrzebujący ciągle kogoś smagać językiem.

— U nas tu wszyscy panowie — wołał — księcia nikt znać nie chce, kmieć chce być panem

u siebie, zagrodnik u siebie, ziemianin, władyka — każdy se pan, nie licząc duchownych, co nie tylko u siebie, ale u drugich jeszcze panami chcą być! Ano tego dosyć! Mieszko was weźmie w kluby i nauczy lepszego rozumu! Będziesz ty się bał i wiewiórki zabić w ogrodzie, jak powrócisz z Krakowa! Wkrótce by na pańskie łowy zwierza nie stało na ziemi.

Szukająca przyczepek, rzucając oczyma na wszystkie strony, gromada Kietliczowa, prawie

co krok nowe chwyciła ofiary. Żadnego człowieka nie pominięto, nie zatrzymawszy go, nie

spytawszy, kto był, skąd, jakiego stanu, a pytania te Kietlicz i Bereza, Łużyczanin też, namiestnik jego, z ogromnym łbem rozczochranym i czerwonym pyskiem, bez jednego oka i ucha, tak umiał

zadawać, że każdy się splątać musiał, gdy się nań raz usiedli.

Wśród gościńca obskakiwano pola dokoła, przejeżdżających zahukiwano, badano, targano i

mało komu się udało wyklamać i wydobyć z rąk napastliwych. Nim do Krakowa się zbliżyli,

nabranych ludzi narosło, wozy się wszelkie zdobyczą powyścielały do góry, a dobra myśl taka była u wszystkich, że gdyby nie Kietlicz, gromada by jak łotrzyki puściła się pewno na dwory.

Już się do grodu zbliżali, gdy na gościńcu od Krakowa pokazał się orszak znaczny, z wolna się ku nim posuwający. Z dala widać było nie lada pański dwór i Kietlicz, który przodem jechał, wzięwszy się w boki, a wzroku nie miał zamąconego, bo od innych być trzeźwiejszy, niespokojnie się jakoś na ludzi swoich obejrzał. Na razie dał znak pewien, który oni zaraz zrozumieli. Wnet dokoła się ścisnęła jazda i obstała wozy, aby ich i jeńców jak najmniej widać było. Staszka też z końmi jego pchnięto gwałtownie w środek taboru i ukryto. Ciszej stało się w gromadzie, wrzaski ustawać zaczęły, rozpasana swawola przycichła.

Bereza, który jednym swoim okiem lepiej widział niż drudzy dwoma, pomrukiwał sam do

siebie:

— E e, wojewoda, daj go katu! Dość, że my go zawsze gdzieś spotkać musimy.

Z twarzy Kietlicza widać było, że i on zetknięciu się z wojewodą niekoniecznie był rad;

wstyd mu było tych łupów, które wiózł z sobą.

W istocie jechał naprzeciw nich od Krakowa Szczepan Pobożanin, wojewoda krakowski,

wielkiego znaczenia między ziemiany mąż, którego i sam książe szanować musiał. Jak on doszedł

do tej wziętości, iż wszystkich ziemian krakowskich w garści trzymał i czynił z nimi, co chciał, odgadnąć było trudno. Więcej pono winien był zręczności i przebiegłości niż rozumowi, dużo gościnności swej, a trochę i temu, że wiedział, za co kogo brać i z której strony łaskotać. Niemniej wszystkim był potrzebny i uważali go, a nawet biskup Gedko, choć często się nań zżymał, bez niego się nie obchodził.

Poznał go Kietlicz z dala po znajomym koniu cisawym, na którym jechał, i postawie

rycerskiej, bo choć stary, Pobożanin rad młodego udawał, na ostatek po kołpaku, u którego zawsze kilka piór czaplich, do góry nastrzępionych nosił.

Człek był, mówiono, mężny w potrzebie, zuchwały na czasie, a tak zręczny, że nikt go

nigdy w pole nie wyprowadził, on zaś niemal każdego. Dla bab tylko miał pono za wiele słabości, za co go biskup łąjał. Twarz wojewoda miał mało zarosła, pełną, oczy przymrużone nieco, jakby mu światło wadziło, oblicze całe dobrodusznie się uśmiechać zdawało, ale chytróść z niego przeglądała.

Nikt nigdy nie mógł powiedzieć z pewnością, komu on praw był, komu krzyw, bo ze

wszystkimi równo obchodził się jak najlepiej, potakiwał, pochwalał; nikt nie zgadł, co myślał i trzymał. Nie pogniewał się też nigdy prawie, rzadko sprzeczał; gdy do dzieła przychodziło, skinął

lub sam wystąpił, dwoma słowy swoje robiąc. Rozprawiać z nim nie było co, bo w słowie był

niemocny, ani uważał wiele na nie, ni go słuchał. Jednakże od niejakiego czasu wojewoda, jak powiadano, podupał był nieco i osłabł, o co obwiniano jakieś pokątne miłostki. Nosił się sam niezbyt z pańska, przystojnie jednak i ochędożnie, dwór zaś miał taki, że i książęcemu nie ustępował. Mieszek i jego zausznicy, choć nigdy się nie przeciwiał księciu i rozkazy jego spełniał

milcząco, nie lubili go, bo im był za silny i nie korzył się jak inni.

Nie stąpił pan Szczepan ani do Krakowa, ani po województwie, żeby ze dwóchset ludzi

doskonale uzbrojonych nie miał przy sobie. Oprócz tego dwór go znaczny otaczał: młodzież

ziemiańska, Pobożaninów krewniaków siła i powinowatych, urzędnicy różni, podkomorzowie,

cześnik, komornicy, kapelan, który razem za kanclerza mu służył.

I tym razem gromada ich była około niego: za wojewodą jechała starszyzna mnoga, potem

pułkownik, niejaki Nagoń, olbrzym, pod którym mało który koń wytrzymał, dwornia, czeladź i konnych mnogo, ciągnących się długim pasem. Wyglądało to, jakby się na wojnę wybierali, bo i wozy były z namiotami, i luźne szkapy, i zbroje wieziono zapaśne.

Garstka Kietliczowa szczupła się wydawała przy tym tłumie, a sam urzędnik ksiązący na

widok pana wojewody dużo stracił ze swej buty. Nareszcie dał rozkaz Berezie, aby się z ludźmi swymi i wozami w jedną stronę gościńca zsunął, dając przejazd wolny dla Pobożanina.

Wojewoda, już z dala zobaczywszy powracających z wyprawy Kietliczowych, których

dobrze znał, zwolnił koniowi kroku, bacznie się rozpatrując. Parę słów rzekł do kapelana i przybocznych, a gdy Kietlicz tuż podjeżdżał, wystąpiwszy przed swoich, rażno mu się kłaniać począł a witać, wojewoda konia strzymał, lekkim skinieniem głowy ukłon mu oddając. Musiał i Kietlicz stanąć.

— Skądże to pan Bóg prowadzi? — zapytał Pobożanin głosem na pozór obojętnym i wesołym.

— A skądże by — odparł Kietlicz, którego gromada tymczasem pod wodzą Berezy co

żywiej bokiem gościńca przeciągała, nie bardzo się dając przypatrywać sobie, jakby chciała bystrego wzroku wojewody uniknąć.

Ten jakby na przekorę, Kietlicza słuchając, oczyma ciągle szedł za jego taborem.

— A skądże by? — mówił urzędnik. — Ze służby pańskiej. Człowiek, wiernie chcąc panu

służyć, nie ma dnia i nocy spokojnej. Wszystko się za nieboszczyka Bolka tak porozpuszczało, że teraz siłą i mocą trzeba posłuch wprowadzać, bo nikogo ludzie znać nie chcą.

— Nikogo znać nie chcą, he, nikogo — powtórzył obojętnie wojewoda.

— Bez grozy ładu nie będzie — dodał Kietlicz.

— Groza, groza! — mruknął wojewoda, tak że poznać było trudno, czy ją pochwalał, czy ganił.

Kietlicz nadrabiał pozorną wesołością, chcąc ukryć zakłopotanie. Stał tak, jakby rozrostłymi swymi plecami zakrywać chciał wozy i jeńców, ale wzrok Pobożanina sięgał w bok i zdawał się ciekawie rozpatrywać w tych skutkach grozy, o której słuchał.

— O o! — zawołał. — A to co?! Widać, żeście po drodze i łowy sprawiali, a niedźwiedzia

tęgiego położyli!

— Ja?! Uchowaj Boże! — odparł Kietlicz żywo. — Gdzie bym miał czas na zabawę?! W prawa łowów książęcych się nie wdieram, nie śmiałbym takiej pańskiej zwierzyny tknąć!

— He? — spytał wojewoda poglądając mu w oczy.

— Oto ten, co go związanego prowadzą, zuchwały człek — odezwał się Kietlicz, wskazując na jeńca swego. — Oto ten, pod pozorem, że mu bestia barcie i pola psuła, samowolnie ubił książęcego niedźwiedzia. To ujść nie powinno bezkarnie!

— Bezkarnie — powtórzył wojewoda — hm, bezkarnie!

W tej chwili oko jego padło na Staszka przejeżdżającego ze związanymi rękami. Uderzyła go znać rycerska postawa człowieka.

— A cóż to za winowajca? — spytał wskazując nań, bo jadący jakby naumyślnie zwolnił kroku i spoglądał ku wojewodzie.

— E, ten to nic jest! — rzekł Kietlicz. — Sprawa inna. Jest tych spraw do licha, gdzie się potkniesz. Ten mi się śmiał opierać, urzędnikowi pańskiemu! Do tego już teraz przyszło, że lada ziemianin, ot taki, jak ten, nie chce znać ani księcia, ani tych, co są z jego ramienia wysadzeni!

— Wysadzeni! — wtórował wojewoda. — Ale cóż to było? gdzie?

— A, mała rzecz zaprawdę — odparł Kietlicz ręką rzucając — nie ma o czym opowiadać.

— Ciekawym — rzekł wojewoda. — Cóż to było? co?

— Wjechałem jakoś na sandomierskie ziemie — odpowiedział Kietlicz — bo to tam granice od Krakowskiego niepewne.

— Granice niepewne, hm? Sądzicie, że niepewne? — rzekł wojewoda dobrodusznie. — A ja zawsze sądziłem, że się to wie dobrze, kędy ziemia krakowska się kończy, a Sandomirszczyzna się zaczyna.

— Ja tam tego tak bardzo nie patrzę — mówił Kietlicz — albo to nasz książę nie jest wszędzie zwierzchnim panem?

— A, wszędzie panem, wszędzie! — potwierdził wojewoda.

— Zajechałem do jednego dworu po przewod i obroki na sandomirskiej ziemi — ciągnął

dalej Kietlicz — hę, ci mi nie chcą dawać! Hu, tego ja ścierpieć nie mogę! Niechaj idą z żalobą na mnie, kiedy chcą, psubraty jakieś, ale co ja każę, to dać muszą! Pobieżałem z ludźmi do dworu, tam stary niby chory leży, umyślnie się czyniąc takim, aby się mnie zbyć psim swędem.

— Hę hę! Któryż to? kto? — począł dopytywać wojewoda.

— Kto? Ot, ja go tam nie pomnę — odpowiedział, coraz bardziej niecierpliwiąc się już tym

badaniem, Kietlicz. — Ten drab zuchwały drzwi mi zaparł przed nosem i do starego, niby chorego, puszczać nie chciał! Kazałem go wziąć, aby się do Krakowa przejechał i trochę strachu najadł, aby drugi raz mi w drogę nie śmiał leżeć.

— W drogę leżeć! W drogę leżeć! — powtórzył Pobożanin, ciągle się przypatrując Stachowi.

— Ja bo tego człeka gdzieś już widywałem, ochapia mi się, a przypomnieć nie mogę.

Kietlicz widocznie tej znajomości nie był rad.

— Ja tam o niego wiele nie stoję — odezwał się sądząc, że Pobożanin za nim wstawiać się zechce.

— Cóż z nim czynić myślicie? — zamruczał wojewoda.

— Należałoby go przed sąd postawić — rzekł Kietlicz — za to, że śmiał ksiąźcemu słudze opór dawać. Oni wszyscy są zuchwali, przepuścić jednemu, drugi mi na kark wlezie.

— Wlezie na kark — rzekł zamyślony wojewoda, poglądając ku Staszкови, jakby go sobie usiłował przypomnieć. — Jak on się zowie, ten, ten?

Kietlicz nazwiska nie wiedział, obrócił się do Berezy stojącego blisko i krzyknął, wskazując na Stacha, który też niezbyt się oddalił:

— Spytaj go, jak on się tam woła!

Posłyszawszy pytanie i widząc, że się ono do niego stosuje, Stach, nie czekając Berezy, huknął ku wojewodzie:

— Zabór z Przegaja, miłościwy panie!

Pobożanin głową kiwnął, zadumał się nieco, zdawało się, jakby miał zamiar za jeńcem przemówić, a Kietlicz był gotów mu go dać, byle słówko rzekł, ale wojewoda, popatrzawszy,

rozmyśliwszy się, jakby go jakaś pobudka nieznana wstrzymała od tego kroku, już usta na pół

otwarte przymknął z lekka, Kietlicza pozdrowił głową skinieniem i konia swego podżegnał ostrogą, słowa nie mówiąc, wyminął go, puszczając się dalej gościńcem.

Kietlicz jeszcze stał, czekając na coś, gdy już pułk wojewody, dwór, wozy przeciągać

zaczęły. Z twarzy jego znać było, że mu szło nie w smak, iż się wojewoda nie wstawił za Zaborem: chętnie by się go zbył. Z dobrej zaś woli puścić go tak nie uchodziło. Klnąc więc po cichu, konia gwałtownie w boku zwrócił i z głową spuszczoną za swą gromadą, o kilkadziesiąt kroków nań oczekującą, podążył razem z Berezą. Wyprzedzili ją zaraz i stanęli na przedzie. Mijając Stacha, Kietlicz popatrzył nań z ukosa ze złością; chciał może wywołać pokorne słowo, aby mu dać

wolność i znajomego wojewodzie ziemianina nie ciągnąć z sobą, lecz Stach, jakby nie rozumiał, głowę odwróciwszy, stał niemy i obojętny.

Spotkanie z wojewodą i rozmowa z nim na usposobienie wodza wyprawy i jego towarzysza

źle jakoś wpłynęło: buta ich opuściła, twarze pochmurniały, stali się milczący, oglądali się po kilkakroć na pułk wojewodziński, mierząc go niespokojnymi oczyma.

— Ot ot, jakie to wojska za sobą wszędzie pan wojewoda prowadzi! — począł [Bereza],

wpatrując się w pana i śledząc skutek swej mowy. — Czy się jeździć boi, czy chce, aby się jego obawiano? Niechajżeby wojewoda, bo na to on wódz, a tu niemal każdy z tych ich panków,

władyków, ma tyle ludu przy sobie, że i księciu ich na żołdzie utrzymać takiej mocy trudno, aby się im zrównała! Namnożyło się panowi Albo to mała siła w Tęczynie, a u Leszczyców, a u Ciołków, a u Bogoriów, u Cholewów i kto ich tam policzy! Pełne spichrze broni, jak zechcą więcej jeszcze uzbroić, kto im zabroni? Kietlicz nie odpowiadał nic, Bereza prawił dalej, cmokając:

— Hej, panku, paneczku! Jak sobie człek pomyśli o własnym księciu, aż strach! Jak im to rady dać? Bo to wszystko z biskupami jeszcze za ręce się trzyma.

— Eh — rozśmiał się Kietlicz szydersko — eh, głupis! Radę im damy, ano, nie od razu,

powoli! Niektórzy też z nami trzymają, jak oba z Tęczyna. Od małych też bić poczniemy, przyjdzie na starszyzną kolej.

Bereza człek na pozór prosty, chytrą siłą może pana swojego przechodził.

— Miłościwy panie — począł kręcąc głową i uśmiechając się — ja to tam chłopisko jestem

i rozumu mam niewiele, ino to wiem, że jak stado zdiczeje, a zechce je człek wziąć znowu pod bicz, nie od cieląt i krów poczynać musi, a od byków, co idą przodem. Za tymi trzoda pociągnie.

Kietlicz odwrócił się ku niemu zdziwiony, rozśmiał się na całe gardło, ale nie odpowiedział nic.

Noc tymczasem nadchodziła, piękna, gwiazdzista, spokojna noc wiosenna. Na ciemnym tle niebios z dala zarysowała się czarno góra, na której stał gród, wież parę i kościelne krzyże. Dołem miasto ukryte w drzewach i ogrodach całe tonęło w gęstym mroku, tylko gdzieś wpośród cieni, czerwone jak gwiazdki, zakopcone przyświecały domostw okienka. Chłodem wieczornym wiało od rzeki i doliny. Wesołość dawna zupełnie jadących opuściła, gromadka skupiona postępowwała w milczeniu, kiedy niekiedy tylko z wozów, na których więźniowie leżeli, jęk lub westchnienie słyszeć się dawało, skrzypienie kół i wymierzony chód koni.

Stach jechał zadumany, nie bardzo strwożony, rozpatrując się swobodnie po okolicy i więcej zdając śledzić, co go otaczało, niżeli się zajmować sobą. Gdy uwaga straży odwrócona była od nich albo głośniejsza rozmowa jej dozwoliła, pochylał się ku wozom i po cichu jeńców rozpytywał, którzy mu półgłosem o swojej biedzie rozpowiadali. Nie bardzo na to zważali dozorczy.

— Dobrej myśli bądźcie — mówił do powiązanych — co u licha! Głowy nam nie zdejmą z karku, ano mieszkiem trzeba będzie przyplącić.

— Juści, juści — mrucał jeden. — My te sądy książęce dobrze znamy, jam już pod nimi bywał. Nie ujdzie z nich człek całym, nie opłaciwszy się. Kiedy się na siedemdziesiątej skończy, jeszcze Bogu dziękować.

— A jak siedemdziesiątej nie ma czym płacić — wtrącił inny — to co?

— No, to ci wezmą i bydło, i stado, i bracie, aż do gźła, jeśli je masz; na to rady nie szukać.

Daj choćby gardło!

Tak po cichu gwarząc, już i na zamek wjeżdżali.

W niektórych oknach na Wawelu świeciło jeszcze spoza okiennic pozasuwanym, przez szpary, kilka z nich stało otworem i czerwone światło z nich się dobywało. We wrotach straż chodziła, po wałach też snuli się wartownicy. Spokój wielki panował na grodzie, martwy jakiś i straszny, jakby stąd wszelkie życie uciekło. Kietlicz, Berezie coś poszeptawszy, sam przodem, konia sparłszy, podbiegł ku skrzydłu dworca, około którego kilku ludzi wybiegających pospiesznie na spotkanie widać było, zsiadł i zniknął.

Wozy z więźniami zawróciły na prawo poza kościół, w głąb podwórców, ciągnąc ku



ciemnym szopom, przy których się zatrzymały. Tu pobudzone czeladź, pachołkowie poczęli wychodzić na wołanie Berezy i wozy otaczać. Jednooki z konia zsiadł i zaczął wydawać rozkazy, co z jeńcami czynić miano, rozdzielając ich różnie.

Więzień, ciemnic i kar rozmaitych nie brakło na zamku, gdzie od niejakiego czasu na więźniach i pozamykanych nigdy nie zbywało. Pachołków też do obsługi przy nich było podostatkiem. Z wozów spędzać i ściągać zaczęli pobranych, dzielić ich i gnać na wszystkie strony.

Stach, nie zsiadając z konia, na los swój czekał, ale nim się wcale nie zajmowano. Czelaź, zobaczywszy na wozie zabitego niedźwiedzia, naprzód się tłumnie zbiegła do niego, radując się zdobyczy, rozpytujac, targając za łapy i uszy. Tymczasem więźniów po parze, po jednym, popychając kijami i kułakami, pędzono do szop i komór.

Pachołkowie z pozapalanymi szczapami stali we drzwiach, spierając się z sobą i znęcając nad biednymi, z których wielu już wprzód potłuczonych i zbitych ledwie się wlec mogło.

Dla Stacha widok to był bolesny, ale ciekawy. Nigdy tak z bliska nie widział gospodarstwa Kietliczowego, o którym się nasłuchał wiele. Pomyślał właśnie, co z nim w końcu uczynią, gdy kolejan przyjdzie, ale popychany, znalazł się nie wiedząc jak zupełnie sam z ludźmi swoimi poza taborem i strażą. Żegieć, sługa jego wierny, i czelaź ręce mieli wolne, w oczy mu patrzali, czekając skinienia. Jakby naumyślnie zdali się o nim zapominać a że Stach zrazu z miejsca się nie ruszał, ten i ów z drogi go spychał dalej, nikt ani nań spojrział, ani się o niego zatroszczył. Brano go może, iż jezdny był, za jednego z przystawów.

Przychodziło mu już na myśl, że gdyby rąk nie miał spętanych, łatwo by mu cofnąć się w

ciemny kąt ku kościołowi, a może nawet i za wrota wydobyć. Widać, że tę samą myśl powiązać musiał Staszka wiemy sługa, koniuszy jego Żegieć (od Żegoty tak przezwany), bo przyskoczywszy do pana, nie mówiac nic, poczał mu co prędzej ręce spętane rozwiązywać.

Uczuwszy ręce wolnymi, Stach z koniem w głąb cofać się poczał, czemu nikt nie był na

przeszkodzie. Czelaź go własna zasłaniała i otoczyła. Kietliczowi ludzie, będący na straży, wszyscy około szop i wozów mocno byli zajęci i Stacha, równie jak Bereza, z oczów stracili.

Światło od łuczywa nie dochodziła daleko, otoczyła go ciemność nocna. Wszyscy więc razem

cofnęli się, z koni nie zsiadając, ku wrotom, w których straż wprawdzie stała, ale ucieczki choć próbować było można. Stachowi się uśmiechała ta myśl dziwnie.

Żegieć milcząc ruszył przodem, starając się przemknąć jak najciszej, wszyscy ciągnęli za

nim. Stach jeden oglądał się, czy nie gonią. Nie było widać nikogo, słyszeli tylko hałas za sobą i krzyki a nawoływania tych, co więźniów do szop pędzili, a śmiechy czeladzi, co jeszcze się niedźwiedziem ubitym zabawiała, ustawiając go przy wozie.

Cofając się tak bez przeszkody, Stach dostał się pod kościół, zdjął czapkę i przeżegnał się.

Przed nim widać już było wielkie wrota zamkowe zaparte i straż z żelazcami na drągach, która około nich się przechadzała. W ciemności rozeznac ludzi, twarzy, nawet stroju było trudno. Żegieć na to pono rachował i niewiele myśląc, zuchwale wprost na wrota już jechał, sam przodem. Dotarł

aż do straży, a tu półgłosem, ale nakazująco wołać począł:

— Wrota otwieraj, słyszysz!? Pańskie rozkazanie! Wrota dawaj, hej! Sam, a prędzej!

Stacha jakoś strach nie brał wcale i o mało się ze śmiałości swojego koniucha nie rozśmiał

na głos. Żegieć nakazywał natarczywie i groźno; a jak to najczęściej bywa, że wielkie zuchwalstwo popłaca, strażnicy rozespiani, posłyszawszy wołanie groźne i śmiałe, nie pytając więcej, rzucili się do wrót, poczynając je otwierać.

Stach jeszcze patrzył i słuchał, rychłoli ich nagonią i kijmi może popędzą do więzienia, gdy już wrota skrzypnęły na wrzeciędzach, otwarły się na wpół, a Żegieć, nie myśląc czekać na drugą połowę, rzucił się w nie, wołając na swoich, aby za nim pospieszali:

— Miłościwy panie, za mną, za mną!

Wpadli tedy wszyscy jak w czarną czeluść w bramę ciemną, w której z drugiej strony blade

światełko niebios migało, wskazując im drogę. Stach posłyszał mijające straże, jak klęły, że spokoju nie mieli po nocy z wjeżdżającymi i wyjeżdżającymi bez ustanku.

Za wrotami ku dolinie się spuszczaających chłodniejsze obwiało powietrze, ciasną drogą

zjeżdżali ku miastu. Żegieć przodem pospieszał, aby co prędzej minąć wąwóz i wpaść w miejskie uliczki, gdzie już byli bezpieczni. Śmiejąc się Stach za nim podążał i czeladzi reszta.

— Bóg ci zapłać — rzekł do koniucha — boś ten rozum miał, którego ja nie znalazłem w sobie.

— A czegoż mieliśmy czekać, kiedy, Bogu dziękować, zapomnieli o nas. Musiałem ja

rozum mieć, kiedy im go zabrakło — odparł Żegieć wesoło. — W miasto! W miasto! Tu nas już nie pochwycą!

Ucieczka się tak powiodła niespodzianie, jakby na nią z umysłu przyzwolono. Stach był

nawet tego przekonania, że nie wiedząc, co z nim robić, a innych mając dosyć, dali im wolę.

Jednakże nie bardzo się na to spuszczać było można, pogoń mogła wyniść po obliczeniu się więźniów, uchodzić trzeba było co najrychlej z drogi i gościńca, a wpadłszy na miasto i

przedmieścia, szukać sobie gdziekolwiek tymczasowej gospody, bo konie były zmęczone. Stach bywał często w Krakowie, ale poufałej znajomego nikogo tu tak dalece nie miał, do kogo by się o przytułek mógł zgłosić. Szukał próżno po głowie.

Ruszyli więc z Wawelu na oślep, pomijając ledwo większe ulice, w najciaśniejsze opłotki i ogrody, nie oglądając na resztę ludzi, która za panem i Żegciem, jak mogła, podążała.

o nich się frasować nie mieli potrzeby, bo czeladź była młoda, zwawa i roztropna, po drodze się więc pogubić nie mogła i rady by sobie dała zawsze.

Noc była późna i ciemna, na wypogodzonym niebie iskrzyły się gwiazdy, a rąbek jeden ku

wschodowi już jakby odblaskiem zbliżającego się dnia bieleć zaczynał. W uliczkach wąskich, którymi się przeciskali, spało wszystko: okiennice były pozasuwane, światła pogaszone, grobowa cisza panowała, przerywana tylko śpiewem słowików, które zawodziły pieśni po gęstych krzewach ogrodów, i pianiem kurów czujnych. Gdzieniegdzie, spoza płotów i tynów, budzące się psy ujadają, tętent posłyszawszy a na ich głos odpowiadające inne wzdłuż drogi witały ich szczekaniem.

Nie wiedzieć, gdzie się podzieć było i co czynić z sobą; Stach już myślał, czy się nie rzucić za miasto kędy w lasy, aby tam dnia czekać, konie puściwszy na paszę i wymiarkować, co

począć dalej, gdy w dali smugą jasną, szeroką światło się pokazało na drodze i trzy okna zobaczyli rozwarte szeroko, jak za białego dnia, z których oprócz jasności głosy się huczne i hałaśliwe dobywały. Zbliżając się bardziej, ujrzeli na drodze, około oświetconego dworku, stojące tu i owdzie przy płotach konie posiadłane, wozów parę i czeladzi dosyć leżące na ziemi.

O tej porze to późne jakieś oczekiwanie w mieście było rzeczą niezwykłą, zrazu też Stach

się wstrzymał, nie wiedząc, na co popadł, i chcąc zrozumieć, co się we dworku tym działo. Pogrzeb to był czy wesele? Jechać miał dalej czy zawracać? Niepewien jeszcze wahał się, gdy

przysunawszy się dosyć blisko, z okien otwartych chwycił począł dolatujące aż tu głosy. Było ich tyle zmieszanych, że w początku, oprócz wykrzyków i zaklęć, nic nie mógł zrozumieć. Wkrótce jednak gwałtowniejsze wybuchy się uśmierzyły i pojedyncze głosy wyraźniej występować zaczęły.

Widocznym było, że się tu jakieś narady odbywały, z których wielkiej nie czyniono tajemnicy, mając dokoła rozstawioną czeladź i nie obawiając się podsłuchania.

Z urywanych słów dorozurwał się Stach, łatwo, iż tu jacyś ziemianie zebrani być musieli.

Ten i ów występował z narzekaniem na złe czasy, z tym, że nigdy jeszcze tak ciężko żyć nie bywało.

Gdy Stach zatrzymał się, Żegiec, który powodzeniem był rozochocony i śmielszy, nie

pytając pana, z konia się zaraz zsunął, dał go trzymać jednemu z czeladzi i pieszo popod płotem przysunął się do śpiącej i spoczywającej służby, porozkładanej na ziemi przy koniach i wozach.

Niektórzy gwarzyli i zabawiali się. Zobaczywszy Żegcia przekradającego się, Stach już pewny, że mu języka przyniesie, sam się zatrzymał, nie idąc dalej.

Jakoż nie wyszło i trzech pacierzy, gdy już Żegiec rażno ku panu przyskoczył, spiął się doń i zawołał:

— E, dobra nasza! Toć to wszystko swoi! Miłościwy pan znasz dobrze Jaśka Bogorię, on ci

tu też jest. Pachołka jego, Maćka, widziałem pod płotem chrapiącego. On sam, jakom żyw. Tylko się wam między nich dostać, a tu już bezpiecznie, ci nas nie wydadzą!

Stach tedy z konia zsiadł i poszedł pieszo. Jaśka Bogorię znał w istocie dobrze. Był to już naówczas bardzo możnego rodu syn, człek rycerskiego powołania, wesołego umysłu, najlepszego serca, ale wietrznik i szaleniec. Gdzie jeno gwar był, wrzawa, pijatyka, kości i zabawa, tam ino patrzeć, a pewno go znaleźć było można. Znał Bogoria Stacha jako Zabora z Przegaju. Czy się domyślał, co się kryło pod tym przezwiskiem, trudno było zgadnąć; to pewna, że nigdy go o nic nie pytał, nawet o dawniejsze lata. Godzili się z sobą dosyć dobrze: choć Bogoria młodszy był, a Stach poważniejszy i na oko nie byli do siebie podobni, przecie Bogoria bardzo rad z nim przestawał i czasem po całych tygodniach go u siebie ugoszczał, odpuścić nie chcąc.

Wprost do niego mógł się więc Stach udać, nie tając, co go spotkać miało. Wcisnąwszy się

śmiało pomiędzy czeladź, wszedł we wrota, które stały otworem. Tu gwar jeszcze słyhać było większy, we dworku przez okna poroztwierane zobaczył gromadę wielką ludzi, po większej części poważnych, których znał ledwie z widzenia. Zatrzymał się w progu, tu mu się człek służebny ze dwoma dzbanami w rękach nawinął. Sięgnął do kieszeni Stach po pieniążków parę.

— Słyszysz, człecze — rzekł do niego — jeżeli Jaśka Bogorię znasz, daj mi go tu; jeśli nie znasz sam, pytaj o niego.

Tych słów domawiał, gdy poza sienią u drugiego progu Jaśka postyszał, głośno coś

wykrzykującego; nie pytając więc, poskoczył i za rękę go pochwyciwszy, wywiódł do sieni. Ten, z gębą jeszcze pełną śmiechu, zdumiał się niezmiernie gościowi niespodziewanemu.

— I ty tu?! A to co?! — zawołał.

— Chodźmy do sadu na słowo — odparł Stach.

Szli tedy razem w cień pod drzewa, a Bogoria nie śmiał się już.

— Widzisz, bieda mnie tu przygnała — począł Stach prędko. — Byłem w sandomirskiej

ziemi w jednym domu, gdy lichy tam Kietlicza o przewód przyniosło. Nie chcieli mu go dać, mało gródka szturmem nie zdobył, a gdy go puścili, dokazywał tak, iż broniąc gospodarza, starca chorego, musiałem mu opór stawić. Wziął mnie bestyja związanego na zamek i aż do Krakowa

przyciągnął, alem mu się po ciemku z Wawelu wyrwał, no uciekłem. Gotowi za mną gonić, nie ma godziny, gdy się to stało; albo mnie ratuj, a daj się gdzie przechować, a nie, to pójdę szukać jakiej mysiej dziury, aby do czasu im z oczów zejść.

Bogoria go po obu ramionach rękami uderzył.

— A psubrat Kietlicz! — zawołał. — Szczęście, żeś się tu do nas dostał. Jest tu kupa

ziemian, władyków, starszyny, nie damy cię, choćby przyszli, bywaj z nami! Chodź ino ze mną. W

samą porę, żywy świadek, powiesz im, co Kietlicz dokazuje, on i pan jego już nam wszystkim kością w gardle siedzą. Przecieśmy tu ojczyce, ziemia nasza, nie czyja! Trzeba radzić! Chodź ino!

I ująwszy go pod rękę, pociągnął za sobą do oświetlonej izby, w której ścisk i gorąco były niezmiernie.

## V

Z dawien dawna tak bywało, że gdzie się ziemian kupa zebrała, nigdy na wesołej myśli nie zbywało. „Sprawa sprawy nie tamuje”, mawiano, naradziwszy się o rzeczach poważnych, choć rzadko się na nie kilku zgodziło, miód, wino, ba i piwsko proste wszystkich potem serca i umysły jednało. Dopiero przy kubkach zgoda wyśmienita rosła, a choć z niej czasem znów zniecka zwada wybuchła, byle trochę krwi sobie upuszczono, wracano w przyjaźni do dzbana. Bez dzbana nie obesła się ani rada, ani zwada. Dobrze to było czy źle, dosyć że serca rozgrzewać musiano, po miodzie w oczach się stawało jaśniej, w piersi swobodniej. Obyczaj to niedzisiejszy, a wiekowy.

I tu też we dworku pana Leszczyca, który na swój czas obszerny był, a czy pan doma, czy

nie, za gospodę ziemianom służył zawsze, i jechał doń, kto zamarzył, myśl panowała nader wesoła, zwłaszcza że już nocy zostawało niewiele, na dzień się brało, mieli więc czas ludzie nagadać się, pobratać, wyściskać, wyklócić i pogodzić.

Dnia tego pełno było jak nigdy; zdawało się, że od gąszczy tej ściany się rozsada, ludzie ledwie się poruszali. Ław nie stało do siedzenia, niektórzy już legli na ziemi, inni się, spoczywając mieniali, niektórzy, na zimny piec wlaższy i nogi pospuszczawszy, bili nimi, aż glina z niego leciała. Siedzieli i na progu, i na beczułkach pustych, i na kolanach jedni u drugich.

Mówili, prawda, wszyscy razem, ale to nic nie wadziło, bo mało kto czego słuchał. Każdy

mówić chciał i tego mu było dosyć, gdy się wygadał. Rozmawiali więc niektórzy podochoceni i w ten sposób, że jeden i drugi razem prawił, każdy co innego, a śmieli się oba, bo im jakoś na sercach lekko było. W istocie zaś śmiać się tak bardzo nie było czego, gdyż nie lada o czym mowy były w początku i nie na lada co się wskutek narad zbierało.

Gdyby Kietlicz mógł być posłuchać, o czym tu gwarzono, włosy by mu na głowie powstały, tak pana jego i sługi nie szanowano. A nie lada ludzie zbierali się tu we dworku Leszczyca, choć po nich powszechnego dnia nie widać było tak dalece ani zamożności, ani mocy. Byli to sami władcy, ziemianie, starych tutejszych rodów dzieci, ojczyce krakowscy, siwe głowy, jasne czoła podnoszące się dumnie do góry.

Nie znajdował się tylko między nimi wojewoda Szczepan, któregośmy na gościńcu spotkali, ale w jego miejscu starszy syn i młodszy brat gościli u Leszczyca. Obok nich Starżowie, Bogorie, Leliwy, Różyce, Ciołki, Gryfy, Kaniowy, Grzymały. Któż zresztą mniejszych i większych policzy?!

Wszystko to byli potomkowie rodzin, z których książęta musieli brać swych wojewodów, palatynów, sędziów, marszałków, podkomorzych, panów radnych, komitów — rodzin, których dzieci zasiadali teraz coraz częściej przed cudzoziemcami na biskupich stolicach, tych, co naówczas kraj przedstawiali i myśleli zań, a prawie sami nim byli.

To, co niżej stało u pługa, na roli, nie mieszało się do niczego, a słuchać musiało starszyny.

Kmieć, by najbogatszy, choć się trochę sprzeczał i spierał, przecie woli swej nie miał, inne stany jeszcze skąpiej nią były obdzielone i służbę tylko znały. Choć który wolnym się zwał, w rzeczy nim był mało.

Książęta ze swym dworem, duchowieństwo, ziemianie a władcy, rycerstwo z nich złożone — stanowili kraj, reszta się nie liczyła, szła tylko jak na podściół, a miano nad nią tyle dze z chat, po gościńcach, po polach, powiązanych, zbiedzonych aż strach.

Ścibor odczepnego dawać kazał, co zażądają, aby się zbyć. Mało było wszystkiego. Ledwie, nahałasowawszy, wyszedł Kietlicz od chorego Ścibora, zamknięto drzwi, bo zaniemógł gorzej stary. Począł się do nich dobijać, a jam stanął wchodu bronić, więc i mnie ziemianina obcego wiąź i prowadź pod sąd na zamek.

— A psubrat! — zawołał któryś z tłumu. — Zapłaci mu się za to!

— Dostałem się i ja w jego łapy — kończył Stach — a com się po drodze napatrzył, włosy na głowie stawały. Byle za co ludzi chwyтали. Niedźwiedzia jeden ubił, co mu barcie i pola psuł, wnet go pod sąd chwycili; innych pobrano, że się wygadać nie umieli, co zasz byli.

— Toć to powszednie rzeczy! — dodał inny.

— Dostałem się tedy na Wawel, na zamek, a tu, ot sam nie wiem, jak się stało, pakując

innych do ciup, o mnie zapomnieli. Staliśmy, stali czekając, aż mi sługa mój ręce rozwiązał, no i pojechaliśmy do wrót. Stać się uprzykrzyło. We wrotach kazaliśmy otwierać, otwarto, my w konie i ot zbiegłem tu do łaski waszej.

Poczęli się śmiać.

— Dobrześ uczynił

— Byle w pogoń nie puścili się! — zawołał któryś.

— To się na strych schowa albo do szopy — odparł Bogoria. — Kietlicz tu pomiędzy nas

nie wlezie, nie byłby bezpieczny od kułaków! Ma on węch: tam, gdzie oberwać można, drugich posyła.

Mówili jeszcze, gdy w uliczce tętent posłyszano. Wszyscy zaczęli wołać:

— Ot, i pogoń macie!

Bogoria z Leszcycem zabrali Stacha do komory — zniknął. Inni oknami poczęli wyglądać poświstując.

Dnieć już poczynało, choć słabo, w uliczce postrzegli konno jadącego jednookiego Berezę,

który z kilką pachołkami za sobą przybywał. Stanął przed dworkiem, ale postrzegłszy gromadę wielką ziemian, nie śmiał iść między nich, a w początku i pytać nie chciał. Oglądał się dokoła, potem obrócił się do czeladzi przy koniach stojącej.

— Nie jechał kto tędy?

Czeladź zmilczała, ale z okien podweseleni krzyżeć zaczęli:

— Ano, jechał na srokatym koniu mnich z dziewczyną! Czy tych szukacie?!

Drugi poddał:

— Jechał diabeł na krowie, nosem do ogona, trzymając się chwosta! Czy tego wam trzeba?!

— Jako żywo — prawilł trzeci — jechał na świni Serb z Łużyc, poganiając pomiotłem, pytał

o drogę do Budziszyna i Kietlic! Jedźcie za nim prosto, potem od se, potem ksobie i jak strzelił w wilczą jamę! Siady szkapa zostawiła po drodze, nosem dojdziecie!

Śmiano się do rozpuku z grubych tych żartów, Bereza jednym okiem błyskał, trzęsąc się z gniewu, i zębami zgrzytał. Drwiny z niego nie ustawały.

Ktoś inny począł zza okna:

— Ja to tylko wiem, kogo szukacie! Posłuchajcie mnie! Ja wam powiem. Jechał, tylko co go nie stało, palatyn Kietlicz dworno bardzo. Psiarzy miał z sobą dwudziestu, a na wozach świń, wieprzów i wszelkiej zdobyczy co niemiara. Ruszył wprost na Łużyce, jedźcie i wy za nim, to go napędzicie i słoniny dostaniecie.

Bereza już dłużej nie mógł wytrzymać, podniósł rękę z bizunem do góry, konia ściągnął i zęby zacisnąwszy, szybko popędził dalej. Pognano za nim śmiechami.

Choć to rozweseliło i tak już podochoconych, po odjeździe Berezy poważniejsza myśl wstąpiła we wszystkich. Młodzież się poczęła rozłazić na siano i po domach dla spoczynku, kupka starszych została sama w izbie, Stach z Bogorią przyłączyli się do nich.

Wtem Wawrek Leliwa, mąż poważny, pomyślawszy i roz- gładnąwszy się iż płochej młodzieży a obcych nie było, począł mówić:

— Ot, czegośmy dożyli! Pęta nas ziemian czekają! Pęta! Nie ma się tu już co okłamywać.

Mieszek chce tu sam jeden sobie panować bez nas, bez duchownych i ziemian. Nas czeka ciemnica albo kloc, a on sobie z Łużyc Kietliczów na wojewodów pościąga. Panowie ojczyce krakowskiej ziemi, trzeba około swej skóry radzić!

— Ano — odparł stary Cholewa, brat tego, który niedawno biskupem był — radzić trzeba, ino niesierdzisto, powoli. Jak my wszyscy ziemianie i ksiądz biskup z nami zaśpiewamy, że tego nie ścierpiemy, musi się ksiązę miarkować.

— Jako żywo — przerwał Stach, który wśród ogólnego milczenia głos zabrać się ważył — ja, choć do ziemian krakowskich się nie liczę, przecie słowo rzec mogę. Mieszka starego znam z dawna. Człek to twardy jak kamień, nie zmoże go nikt, ani nawet biskupi. Ufa w to, że szwagrów i zięciów ma po Niemczech i po całym świecie, chce mu się być więcej niż królem nad nami.

Wszyscy gardła damy, jeśli się tak pociągnie, nikogo on nie oszczędzi. Gorzej to niż z Władysławem!

Śmiała ta mowa wszystkim usta zamknęła.

— Ino powoli — odezwał się Cholewa — wyście młodzi w ukropie kąpieni. Myślicie pewnie tego się zbyć, a drugiego posadzić; abo to tak łatwa rzecz?



— Tośmy już przecie próbowali — odezwał się Leszczyc — gdy pana Władysława przegnano.

— A mało to krwi kosztowało? — podchwycił Cholewa.

— Dziś-że się ona nie leje? Albo nie zabijają, nie sieką i nie drą ziemian ze skóry? — odparł Stach.

— Posłuchajcie mnie — odezwał się Cholewa — z tym naprzód potrzeba iść do biskupa, do Gedki, niechaj ojcowie duchowni poprobują i pogrożą.

— Tych on się nie złąknie — wrzucił Stach. — Samem na uszy słyszał, jak się Kietlicz odgrażał na duchownych, że i ich rozumu uczyć mają a posłuszeństwa.

— Co takie puste odgróźki ważą? I — odparł Cholewa.

— Zatem nic nie czynić i dać się ze skóry drzeć? — spytał Bogoria.

— Uchowaj Boże, coś się na to uradzi i poradzi! — zawołał Cholewa. — Kietlicz musi iść precz!

— Choćby tak i było — odezwał się Stach — nie pomoże to wiele, bo Kietlicz nie z siebie to czyni.

Zmilczeli trochę, spoglądając po sobie, a tu dzień biały w okna zaglądał. Stach widząc, że niektórzy ze znużenia ziewają dłońmi się zasłaniając, począł wnet, póki by się rozchodzić nie myśleli:

— Nie byłoby już żalu i sromu tego pana znosić z Kietliczami, gdybyśmy jego jednego mieli, a innego na podoręczu nie było. A tu, obok, tuż jak ze złota ulany siedzi pan, co go zda się umyślnie dla naszej szczęśliwości Bóg stworzył. My, biały kołacz mając, suchar spleśniały gryziemy.

— Hę, co?! — zakrzyczeli drudzy. — Gdzie?! O czym mowa?! Kędy kołacz twój?!

— Któż by inny miał być, jeśli nie Kaźmierz? — dokończył Stach. — U niego i rozum, i serce, praw jest i miłosierny, wszelakiej cnoty pełen. Jemu się dostało na szmatce ziemi siedzieć gdzieś w kącie, a nam trzeba Mieszka znosić z różgą żelazną! Ot, dola jego i nasza!

Zamilkli znów wszyscy, tylko Bogoria gorętszy poparł:

— Pan dobry, miłosierny, ludzki bardzo, Boga się bojący; ano, nie wiem, czy gdyby my go

chcieli, on nas zechce. Już za Kędzierzawego prosił go Jaksę i Światosław, i drudzy, klęczeli i błagali, aby Kraków brał, odpowiedział, że jako żyw, bratu krzywdy nie uczyni.

— Ba, za Kędzierzawego! — przerwał Stach. — Za Kędzierzawego ciałe co innego było, to i księżę Kaźmierz sam poczuje. Tamtego jedni lubili, drudzy — nie, a pan znośny był i na ziemian się oglądał.

— Prawda — dodał Leszczyc — Kędzierzawego z Mieszkiem nie równać, jakby nie jednej matki dziatkami byli. Tamten i słodkim podczas umiał być, ten ino grozę zna, więcej nic, ale Kaźmierz jak na tamtego iść nie chciał, tak nie pójdzie i na tego. Przecie po śmierci zaraz prosili go i nie doprosili się, nie chciał przed starszym miejsca zabierać. Kruk krukowi oka nie wykolę, brat nie pójdzie na brata.

— Co? Brat, brat! — zaśmiał się stojący z tyłu, żartobliwy zawsze Chmara, stary ziemianin, który zwykł był ze wszystkiego przedrzwiewać, — Książęta krewnych nie mają. Widzieliśmy

przecie, jeśli nie my, to ojcowie nasi, jak na siebie nastawali i oczy sobie łupili.

Jedni się uśmiechnęli, ziewać już poczynali drudzy, nastało milczenie znowu. Dzień się wielki robił, od zamku i od świętego Michała słyhać już było dzwonki kościelne. W uliczce pastuch miejski, który zbierał bydło, aby je gnać na paszę, trąbił w róg, oznajmując o sobie. Z

wolna otwierały się wrota domostw i krowy rycząc szły do gromady. Rozmawiający, znużeni bezsennością, zabierali się rozchodzić, kto spoczywać, inni jechać po domach lub szukać kąta, aby nocną zabawę wydychać na sianie.

Bogoria też, kołpak z kołka na ścianie zdjąwszy, gotował się wychodzić, Stachowi dając znaki, że go z sobą zabierze. Już mieli żegnać gospodarza i precz iść, gdy Leszczyc się z ławy podźwignął, idąc do Stacha.

— Możecie u mnie jaki dzień przesiedzieć — rzekł — i nie wylazić na ulicę, dopóki o was nie zapomnę. Zostańcie tu lepiej, komorę wam dam dla spoczynku, a może też i nie zmarnujecie czasu u mnie, zdacie się wy nam, my wam. Pogadamy o Kaźmierzu.

Ostatnie słowa wyrzekł ciszej i tajemniczo jakoś. Stach, posłyszawszy to, Bogorii coś na ucho szepnął i został. Rozchodzili się wszyscy. Konie gościa już dawno z Żegciem były pod szopą u żłobów, Leszczyc do komórki od ogrodów zaprowadził Stacha na posłanie i rzekł mu krótko:

— Teraz sobie wypocznij, pomówimy później o naszej sprawie.

Zmęczonemu długą jazdą miło było móc się wyciągnąć na sianie i skórze, oczy przymknąć i snu próbować. Złamany był na ciele, ale w ciągu tych dni kilka różnych rzeczy zakosztowawszy, pragnął więcej jeszcze, potrzebował się też z pamięcią obrachować i tym, co czuł a przeżył, więcej niż snem pokrzepić. Ochota do czynnego jakiegoś zajęcia przejmowała go, rzeczy się dlań pomyślnie składać zdawały.

Dziwną ten Stach naturę miał, choć lata i przygody znacznie ją już ukołysały i przytarły.

Gorący nad miarę, gdy sobie w łeb wbił ćwiek jaki, nikt, ani on sam nawet, już mu go z niej dobyć nie mógł. W innych ludziach lata tępią, co przyostre było, chłodzą, co za gorące, w nim się wszystko zdawało zaostrzać jeszcze i rozpalać z latami. Tak dla sprawy księcia Kaźmierza nie tylko nie zobojętniał i nie ocięzał, ale coraz stawał się gorliwym. Zdało mu się, że właśnie teraz przychodziła chwila najpomyślniejsza, aby go na stolicę wprowadzić. Cieszył się niepomiernie, że on, mały i niewidoczny, pomoże do tego, podbudzi i wahających się napędzi. Snuł już teraz, jak to zrobić, aby Mieszka co rychlej się pozbyto, a Kaźmierza wzięto. Ziemianie byli do tego

przygotowani, wahali się tylko, obawiając ofiar; trzeba ich było zagrzać i do stanowczego skłonić kroku.

W Krakowie przekonał się, krótszą chwilę goszcząc pomiędzy nimi, że choć stary Cholewa i inni ostyglejsi jeszcze się nad zmianą wahali, wojny, krwi i zamięszania lękając, młodszy, a butniejszy, co dzień drażnieni przez Kietlicza, zzymali się niecierpliwi, pragnąc jarzmo zrzucić z siebie. Stach chciał żelazo bić, póki gorące, i z młodych korzystać, aby starych popychali. Sam los zdawał się mu sprzyjać, nastreczywszy schronienie u Leszczyca i Bogorię do pomocy; stąd jak z ogniska na wszystkie strony sięgnąć było można.

Dokąd się naprzód miał udać i jak poczynać, rozmyślał właśnie. Leszczyc mu się dogodnym wydawał narzędziem, a dom jego najlepszym do wycieczek obozem. Bogoria mógł być pośrednikiem, inne znajomości łatwo się przez niego porobić by dały. Imię Kaźmierza już raz rzucone zostało i nie znajdowało oporu, trzeba więc było otwarcie go zalecać i jednać mu pomocników.

Z tymi myślami płaczącymi mu się po głowie Stach, rozgorączkowany, to się zdrzemował, to budził, a nie one jedne go trapiły marami swymi. Biedny człek, który imienia i przeszłości wyrzec się musiał, nie miał gniazda ni rodziny, niewiast też nie znał, krom takich, z którymi gdy się jednego dnia zrobi znajomość, drugiego się do nich nie przyznaje. Piękne liczko Ściborzanki, śmiałej, dumnej, prawdziwej córki rycerza, utkwilo w jego pamięci dziwnie: prześladowało go przez drogę, nie dawało pokoju i teraz. Dziewka dlań była jakby z innego świata, rodem z niebios czy z piekła, podobnej i w swych włóczęgach po świecie nie spotkał nigdzie. Wzrok pogardliwy, lekceważący, nienawistny, jakim na niego rzucała, piekło go dotąd jeszcze, oczów tych zapomnieć nie mógł; widział

je zwrócone ku sobie, paliły go jak dwa węgle rozżarzone, bodły jak dwa noże w piersi wbite.

Opędzał się tym myśłom niedorzecznym, a wracały uparte. Marzył ci on też o niewiastach

za młodu i później, ale zawsze o innych cale: o takich giętkich, miłych, łagodnych, co się na ramionach wieszają, do piersi lgną, uśmiechają słodko, szepcą cicho, a drżą i płaczą rade. O takiej dziewczce królowej ani mu się śniło, aniby jej pożądał, przecie zobaczywszy, chciwym się czuł

poznać ją lepiej i przybliżyć się do niej. Mówił już sobie: „Wziąłbym ją, choćby ona mnie potem albo ja ją zabijać musiał”.

Na przemiany tak, to o dziewczce myśląc, to o Kaźmierzu swym, to o tych oczach dwojgu, co

nań patrzyły z głębi ciemności same, bez twarzy, straszne, Stach w końcu snem usnął kamiennym.

Tysiące obrazów zwiły się w jakiś jeden zamęt straszny i zapadły w mrok nieprzebity. Spał potem już snem śmierci bez marzeń, bez czucia, bez miary i nierychło by się był może przebudził po znużeniu ciała i ducha, gdyby Żegieć nie począł go targać a ciągnąć, gdyż pod wieczór już było i sługa lękać się począł, czy się co panu złego nie stało.

Stachowi, gdy oczy otworzył, zdało się, jakby ledwie tylko co usnął. Spierał się, gdy mu

Żegieć przez okna brzask zachodzącego słońca za krzakami ukazał. Leszczyc też dawno już był

wypoczął i na nogach, czekał na Stacha, kilku już starszych mając znowu w gościnie. Prędko więc zerwał się rozespany i z pomocą sługi umył i przyodział, aby czasu marno nie tracić. Dziwno mu tylko było, że sen, co miał pokrzepić, gorzej go jeszcze złamał i znużył. Czuł się po nim zbity i osłabły.

Wielka izba, do której wszedł, po wczorajszej w niej ciźbie wydawała mu się prawie pustą.

Leszczyc jeden chodził po niej, Cholewa i Leliwa siedzieli za stołem, dwu na uboczu w kącie szeptali coś, ławę zajmąwszy.

Stach począł się tłumaczyć, iż zasnął tak długo, uśmiechano się nie dziwując. Gospodarz

kazał podać jeść, bo sen głodu przysporzył. Nie mówiono zrazu, tylko o małych sprawach, a jak się wczoraj zabawiano. Dopiero, gdy się służba rozeszła, zostali sami, Leszczyc zagaił.

— Wczoraj rzekliście słowo, pewno nie na wiatr — odezwał się do Stacha — utkwilo ono w

pamięci u nas. Znacie wy bliżej księcia Kaźmierza niż my? Mówiliście z naprawy czyjej czy z siebie?

Tu, że się nań wszystkich oczy obróciły i utkwily w nim, Stach zarumienić się musiał,

zmieszał, oczy spuścił, uląkł, czy się czego nie domyślano. Przyznać się nie mógł, kim był, kłamać

dobrze nie umiał, musiał wywijać ni tym, ni owym.

— Księcia Kaźmierza znam dobrze — odezwał się. — Czasu swego byłem u niego na

dworze, a choć z dala stałem od osoby pańskiej, toć się z daleka często lepiej widzi niż z bliska, gdy oczy są olśnione. Znam go sam przez się i przez ludzi. Zresztą, miłościwi panowie, mało to, że ja go znam, mnie się zda, że go wszyscy znają.

Z całego potomstwa Krzywousta nie było nad ich dwu najmłodszych, jak perły w koronie

siedzieli oni w rodzie swym. Nieboszczyk Henryk, złota dusza, rycerz pobożny, który się w ojca wdał, ano mu Bóg długiego nie użyczył żywota i oto ten nasz Kaźmierz, co bezdomnym był, jak sierota się tułał, w niewolę był oddany przez braci, a wyszedł z niej i z rąk Niemców jak złoto z ognia. Dość powiedzieć, że go nieboszczyk Henryk kochał, to starczy za wiele pochwał, a

przyszłoby go zalecać, nie wiedzieć od czego poczynać, na czym kończyć. Teraz tylko dodam, że co mówią, z niczyjej naprawy nie jest, ale z własnego serca.

— O o! — przerwał Cholewa. — Coś boście się wy w nim do zbytku może rozmiłowali.

— Ja? — odparł Stach. — Miły panie, jednego nie ma, co by znając go, nie miłował!

Wtem Leliwa, milczący dotąd, ozwał się kręcąc wąsa:

— Prawda święta, że pan miły, dobry, sprawiedliwy i pobożny, ano tak to dobry pan jest, że go łatwo źli ludzie poprowadzić mogą, kędy zechcą.

— Nie, zaprawdę, nie! — rzekł Stach gorąco. — Dobry pan złym się prowadzić nie da, a że

go pociągnąć niełatwo mimo woli, najlepszym dowodem, że gdy Jaksa, druh jego, chciał go

prowadzić przeciw Kędzierzawemu, jemu i Swiatosławowi oparł się, odtrącił pokusę i większego panowania nie pragnąc, przy swoim został. Pamiętał o tym, że go Bolesław wychowywał, że się miłowali, miłości tej został wiernym do śmierci nieboszczyka, który mu opiekę nad żoną i synem, umierając, przekazał.

Nie odpowiedział Leliwa.

— Kiedy tak — ozwał się Śreniawa — toć się oni i z Mieszkiem Starym też kochają,

siedział Kaźmierz i przy nim, nie zechce i przeciw temu iść pewnie.

— To pewna — odparł Stach śmiało — że sam przeciwko bratu nie wystąpi, ale gdy

panowie biskupi i ziemianie gwałt mu zadadzą, posłuszny im będzie. Tu nie o niego chodzi, ale o ziemie wszystkie; musi je wziąć, gdyby nie chciał, aby je wybawić od niewoli.

Spojrżeli po sobie starsi w milczeniu, głowami tylko dając znaki potwierdzające. Zeszli się potem do gromady i cicho, długo poczęli szeptać z sobą. Stach na boku pozostał czuł, że ich przekonał, nie przeciwili się więcej.

Po naradzie Leszczyc doń przystąpił.

— Co wy z sobą myślicie czynić? — zapytał Stacha. — Kietlicz was już ma na oku, czy do domu chcecie jechać, aby zejść od niego?

— Doma ja nie mam co robić — odezwał się Stach. — Koło roli chodzić nie nawykłem, rycerstwem się i dworem parałem za młodu, rad bym u kogo służbę znalazł, przecie bym się na co zdał. Przy mocnym panu choćby i Kietliczowi zajrzeć w oczy strachu bym nie miał.

— Nie ma dla was, chyba ksiądz Gedko, biskup albo wojewoda Szczepan — rzekł Leszczyc — od tych was porwać nie będzie śmiał.

— Właśnie pan wojewoda widział, gdy mnie związanego prowadzono, cośmy go na gościńcu spotkali — rzekł Stach.

— Widział was? — spytano.

— Widział i Kietlicza o mnie pytał, i więźniom się przypatrywał długo, ale nie rzekł nic, pomrukiwał coś tylko spod nosa.

Rozśmiał się Leszczyc, a za nim inni.

— To jego obyczaj — rzekł — z niego niełatwo co kto dobędzie, ale oko bystre ma i pamięć dobrą.

— Szkoda, że wyjechał, poszedłbym doń — dodał Stach.

— Niebawem powróci, sądzę — rzekł Śreniawa — poza Krakowem teraz długo bawić nie będzie; wie że tu gorąco u nas i potrzebny nam a biskupowi.

— Tymczasem też u mnie macie gotową gospodę — dodał Leszczyc — nie nawijajcie się tylko Kietliczowym na oczy.

Stach ramionami ruszył.

— Miłościwy panie — odparł — choćby się do mnie uczeplić mieli, ja skóry nie pożałuję,

byłem się jemu i sprawom jego mógł z bliska przypatrzeć. Kto na zwierza polować ma ochotę, powinien długo wprzód nań naglądać.

— O o, ochotę nań macie! — rozśmiał się Leliwa.

— Jak Bóg żyw, ogromną! — zawołał Stach. — Toć lepsze niż na niedźwiedzia polowanie.

Rozmowa się przeciągnęła jeszcze, gdy ten i ów począł

"Stacha rozpytywać o Kaźmierza, o życie jego, o którym, os nierad był szeroko rozprawiać, aby się nie zdradzić. Wtem Jaśko Bogoria nadciągnął, za druhem zatęskniwszy. W progu zaraz się tym oświadczył, że rad by go zabrać z sobą do miasta, bo o mroku nikt poznać nie może, a dobrej myśli razem zażyć chciał. Leszczyc przestrzegał, aby na Kietliczowych gdzie nie popadli, ale oba młodzi to sobie lekceważyli. Nie broniono więc im uciechy i pod ręce się pobrawszy, ze dworku poszli.

Bogoria w rynku mieszkał gospodą i tam przyjaciela ciągnął. Wieczór był już, ale nie noc

jeszcze, lepsze oczy łatwo człowieka poznać mogły, na to jednak nie zważano. Uliczkami

mniejszymi, śmiejąc się i gwarząc, ciągnęli ku rynkowi, gdy od strony zamku zatętniało i tuż w kilka koni jadący Kietlicz pokazał się za nimi. Chciał się Stach cofnąć do wrót których, ale już było za późno i wstyd uciekać przed zbójem, szli więc dalej, ufając, że Stacha nie pozna, gdy jadący za Kietliczem nieodstępny Bereza krzyknął:

— Ot-że, on! Ot, on!

Kietlicz się odwrócił. Stach z Bogorią stanęli, a Jaśko zastawił się hardo za przyjaciela.

— To wczorajszy zbieg! Ten sami — wołał pokazując Bereza.

Kietlicz na nich natarł z koniem żywo, ale zobaczywszy Bogorię, którego znał, strzymał się nieco.

— Ot, on — powtarzał natarczywie Bereza — ot, on! Stach, nie chcąc się ukrywać ni zapierać, wystąpił śmiało.

— A, tyś tu! — krzyknął Kietlicz.

— A jam jest! Albo co?! — zawołał Stach,

— A jakoś to zbiegł wczora? — począł Serb.

— Ja? Nie zbiegłem jako żywo! — zawołał Stach śmiało. — Stałem w podwórzu

zapomniany, aż się rozleźli, a mnie samego zostawiono. Cóżem miał czekać? Jechałem do wrót; wszak ci by konie z głodu pozdychały. Wrota mi otwarto nie pytając. Widzicie, zem ani uszedł, ani się skrył.

Kietlicz, śmiałością tą zmieszany, zzymając się, burcząc, rzucając, pono nie wiedział, co pocnie, aż Jaśko Bogoria, ufając w swój ród i znaczenie, krzyknął:

— Znacie mnie, miłościwy panie, otóż ja za niego stawię porękę! Jeśli zawinił w czym, toć go sądzić! Stawi się na sąd i ja z nim, i niemało przyjaciół, bo on i ja ich mamy. Czego więcej możecie chcieć? Przecie o gardło nie idzie!

— A kto wam rzekł, że nie o gardło? — rozśmiał się dziko Kietlicz. — Albo to trzeba zabić lub gwałt zadać, by być karanym na gardle? Ano ten — wskazał Stacha — porwał się na mnie!

— Nieprawda — odezwał się Bogoria porywczo — wyście się pierwsi na niego porwali!

— Ja! Alem ja tam książęcą ręką był! Co wy się ze mną mierzyć będziecie?! — zawołał z gniewem Kietlicz.

— No, to niechaj książę sądzi, czy tam ręka jego była prawa — odparł Bogoria. — Do sądu ja go sam dostawię i dziesięciu ziemian, jeśli potrzeba!

Kietliczowi brwi się strasznie ściągnęły, wąsa zakasywał, jak gdy złym był nad miarę. Sąd ten i sprawa licha warta były mu teraz nie na rękę, aby ziemian bez potrzeby nie drażnić, ale od poczętego cofać się nie było sposobu.

— Ano, zobaczemy! Na sąd, na zamek! — krzyknął — Niechaj on stanie, stanę i ja, wyrok dadzą!

— A kiedyż się stawić? — zuchwale spytał Stach.

— Jutro — odparł Kietlicz — na gród jutro, nie dalej! Wy — odwrócił się do Bogorii — wy mi za niego odpowiadacie!

— Odpowiadam i przyjdę sam, a przywiodę go. Ma być sąd, niech będzie, zobaczemy, jaka u was sprawiedliwość! — rzekł Bogoria.

Kietliczowi pilno już odjechać było, cisnął okiem krwawym na obu stojących i na Berezę

swego, na którego złym był może, iż mu niepotrzebnego napytał kłopotu. Bogoria, aby go utraścić więcej, śmiał się głośno. Zaledwie kilkanaście kroków odjechali, gdy Kietlicz ku Berezie zwrócony pięścią mu, pogroził. Jednooki, zrozumiawszy to, łeb spuścił na piersi.

Wiedział teraz, że chcąc bardzo usłużyć panu, na wspak mu uczynił. Stało się.

Tymczasem rozgrzany Bogoria co prędzej do gospody szedł ze Stachem, aby mieć czas



dziesięciu ziemian zebrać na jutro i jak obiecał, stawić się z nimi do sądu na zamek. Takie już było usposobienie wszystkich w Krakowie, iż każdy z ziemian chętnie się ofiarował za Stacha stawać, aby Kietliczowi pokazać, że się gonie lękają.

Bali się go mimo to, lecz burząc i okazując niechęć, sądzeni, że Mieszka zniewolą, aby go precz odesłał. Byłoby może naówczas starczyło odprawienie człowieka nienawistnego, gdyby w porę się stało. Książę jednak wcale nie myślał pozbywać najlepszego sługi, którego sam z dziecka prawie ułożył do swych posług, który był w rękach jego narzędziem, bez jakiego obejść by się nie mógł. Na Kietlicza zrzucano wszystką winę, gdy on spełniał tylko, co mu zlecono, i szedł, jak rozkazano, nie troszcząc się o nienawiści, a ziemian krakowskich mając za obcych i wrogów.

## VI

Stoją wieki mury jedne, ni z nich cegła wypadnie, ni kamień do nich przyrośnie, przeżyją

ludzi nieruchome, nie zmienione, ale z nimi jako z gniazdem, w które się co wiosną inny ptak wnosi. Z nowym panem i gniazdo zaraz wygląda inaczej. Tak do grodu, gdy nowy wniwdzie gość, wszystko się zda zmienione.

Na owym grodzie wawelskim mało kto co pod te czasy budował, przystawiał i lepił, przecie

za każdym nowym panem zdawał się on innym. Mrówił się inny lud, wstępowało życie odmienne, różne odzywały głosy, inaczej ludzie patrzyli na mury i mury na ludzi.

Wiele już razy odmieniał się ów lud od Szczodrego. Za Kędzierzawego roiło się dosyć

rycersko i ludno, a luźno nieco, wrzawliwie i niesmutno. Gdy ten zmarł, żonę i synka schorzałego przekazując Kaźmierzowi, a Mieszko potem zajechał na stolicę, zaraz się wszystko zmieniło. Pan był wcale inny, do braci swej mało podobny: jeszcze za młodu Starym zwany, poważny, surowy, małowówny, stateczny, swoje państwo noszący tak dumnie, jakby na króla był stworzony. Miłości u ludzi nie miał on wiele, ale się go obawiali wszyscy, począwszy od żony i dzieci. Spojrzawszy nań, poznał zaraz każdy człowieka, któremu o pozyskanie serc ludzkich niewiele chodziło.

Z namarszczonym czołem, z długimi, napuszczonymi na nie włosami chodził, patrząc z

wysoka i nierad się z nikim szeroko rozprawiać. Słuchał cierpliwie, a wysłuchawszy, gdy swoje słowo rzekł, drugiego już nie miał. Co powiedział, stać się musiało. Prosić go i jednać było próżno.

Gdy na stolicę swą wjeżdżał, ziemiaństwo krakowskie, które naówczas na cały kraj

najbutniejsze było, zbiegło się go witać z pokłonami. Postrzegli zaraz w pierwszej chwili, że z tym panem nowym niełatwa będzie sprawa. Hołdy przyjmował jako należne sobie, ale odpłacać za nie ani myślał. Rozkazywał, nie troszcząc się, czy miłe będą rozkazy. Wszystko, co po Kędzierzawym tu zastał, nie w smak mu szło, potrząsał głową przebąkując:

— U mnie tu inaczej być musi! Rozpręgåło się, nie ścierpię tego!

Gdy rządzić począł, poznano, że nadaremno nie mówił. Duchowieństwo, nawykło stawać na równi z książętą, wystąpiło śmiało, do boku mu się cisnąc; przyjął je chłodno. Biskupi poczuli, że ich chciał mieć pod sobą, nie przy sobie. Szanował je, ale się z nim nie bratał.

Zmarł wkrótce jeden z pasterzy, nim drugiego obrano i zamianowano w Rzymie, książę dobra biskupie zajechać kazał, zajął i trzymał je, mimo wielkiego wrzasku i nacisku, póki z Rzymu potwierdzenie nie przyszło. Ani się myślał z tego tłumaczyć. Popłoch poszedł po wszystkich i duchowni pierwsi na gwałt wołać poczęli.

Z Mieszkiem przybywał Kietlicz, którego on z pacholęcia sobie na ślepego wykonawcę sposobił, prowadził go tak po stopniach, próbując, puszczając, strzymując, podnosząc, dając mu coraz szersze pole, aż pewnym go będąc, zrobił zeń rękę prawą. Poczęły się na zamku sądy surowe, napaści na ludzi bezlitosne, srogość nikomu nie przebacząca. Milczenie głucho zaległo dokoła.

Ziemianie się ode dworu precz ruszać zaczęli i schodzić z oczów księcia. Myśleli, że weźmie to do serca, aliści nie pokazał, aby go to obeszło. Swoich zastąpił obcymi, ci jeszcze lepiej słuchali. Poczęły się rozjazdy wielkie po wszech gościńcach pańskich urzędników, chwyтали podwody, ludzi, ko- nie; kmieciów objadali; na skargę próżno iść było, bo kto z żałobą przyszedł odchodził z karą. Na zamku też teraz, choć nie było pusto, bo pański i liczny dwór otaczał księcia, cicho wyglądało i grobowo. Mieszek się mało okazywał, zabawy nie lubił, na łowy jeździł sam, do rozmowy z sobą nikogo nie wołał. Przybył doń z biskupów który, sadził go poczestnie, słuchał obojętnie, zbywał półsłowem. Ani go było rozgniewać, ni zmiękczyć.

Kamiennym go zwali, chciał takim być i nie zmienił się. Skarżono mu się na Kietlicza, słuchał, a potem jego nagradzał i wywyższał, a płaczącym odprawę dawał, podniósłszy do góry czoło chmurne.

— Z mojego rozkazania to czynił, nie winien nic; tak ja chcę, tak ma być!

Od biskupich dworów popłoch popadł na ziemiańskie.

— W niewolę nas myśli zakuwać! — wołano. — Ano, nie damy się! Ziemianie sobie pana wybierać mogą, starszeństwo dla nas niewiele waży. Poszedł ci Władysław stąd, gdy nam krzyw był, może i ten pójsć, gdy dokuczy.

Tak mówiono po dworach, na zamku nie troszczono się wcale o pogróżki. Mieszek miał możliwych zięciów i powinowatych, patrzył się na Niemców i u siebie inaczej mieć nie chciał, tylko aby mu, kto żył, posłuch dawał. Na grodzie co dzień sądy się odbywały, żalób bywało mnóstwo, a i z

ramienia książęcego do nich ciągnano nieustannie, grzywnami okładając za najmniejsze

przewinienia. Chciał pan grozy, wysadzeni sędziowie umieli ją siać, nie było człowieka, co by spod ich sądu wyszedł czystym.

Najwyższym sędzią na grodzie był podówczas człek, co się do dojadania ludziom jakby

narodził umyślnie. Zwał się Gabryk Mierzwa. Mówiono, jakoby z ubogich ziemian na Szląsku

pochodził. Dali go byli za młodu do szkoły biskupiej, na księdza chcąc kierować, uczył się lepiej od innych, ale dokazywał też lepiej niż wszyscy i w suknię kleszą odziać go nie było sposobu, bo nim święceń dostał, dzieci miał kilkoro w domu i bab tyle na karku, że go biskup o to chciał wykli- nać.

Właśnie surowsze były dla duchowieństwa nastąpiły prawa, wzbraniające ożenienia i wszelkiego zgorzenia. Mierzwa wcale na nic nie patrzył. W kości też grał, tak że się do ostatniej koszuli zgrywał, a kiedy pił, to go na rękach potem do łóżka zanosić musiano. Z tym wszystkim głowę miał

taką, że mu żaden duchowny nie sprostał w kanonach, a żaden prawnik — w kodeksach i dekretach.

Jakim sposobem dostał się ów półklecha do Rzymu i Bononii, nikt nie wiedział, dość że tam lat parę przebywszy, nauczył się u tych, co Rudobrodemu prawa układali, takiej mądrości, iż gdy z nią do kraju wrócił, musiano go szanować i nim się posługiwać. Umiał na pamięć wszystkie

rzymskie zakony, a gdy je po swojemu subtelnie wyklądać zaczął, wywodzić, naciągać, robił, jak chciał, z czarnego białe, a z białego czarne. Na śmiech, gdy sobie podochocił, a podobało mu się z rozumem popisać, dowiódłszy raz cokolwiek bądź, wnet sprawę na nice obracał i jak począł

mędrować, kręcić, okazał, że co wczora było prawdą, jutro fałszem być musiało.

Sumienia w tym człeku wcale nie było, ale rozumu dostatek i frymarczył nim, aby zań grosz zyskać. Zarobiwszy grosz, jeszcze ciepły w świat puszczał, potrzebował wiele, marnował dużo, więc na wszelką podłość gotów był, aby tylko zarobek. Przed księciem Mieczysławem, do którego Kietlicz go pierwszy zalecił, Mierzwa przybierał postawę człowieka surowego, spokojnego,

pokornego, jakby postami i wstrzemięźliwością wysuszonego.

Słuszny był Mierzwa, chudy, nieco w lewo pochylony od młodu, bo łopatkę jedną miał

niższą, głowę spiczastą, twarz bladą, wygoloną, po której miał zwyczaj ręką gładzić ciągle, gdy o jakiej wielkiej podłości zamyślał. Oczu nigdy nie pokazywał nikomu, zerkał nimi, tak, aby w nie nie mógł zajrzeć nikt. Rozpusta go zniszczyła i zjadła, ale tak jakoś dziwnie, że na anachoretę wyglądał, co mu bardzo było na rękę. Świętego mógł udawać wyśmienicie. Gdy do zamku na sądy szedł, postawę przybierał mniszą, oczy spuszczał, ręce skła- dał, zginał grzbiet, głowę na piersi zwieszał: litość brała nań patrzeć.

U sądów też, choć ludzi żywcem jadł, zawsze, ich kąsał tak słodko, tak miłosiernie zabijał, tak karał serdecznie, jakby mu dusza się wzdrygała nad wymiarem sprawiedliwości. Nie nazwał

nigdy nikogo inaczej jak dzieckiem swym, kochaną istotą, bratem, ojcem, ale gdy go ujął w szpony, wysłał ostatnią kropelkę. Czy się tam było kłaniać, prosić, czy bronić lub gniewać — na próżno.

Słodki a dobry Mierzwa nie uląkł się, nie zmiękł, westchnął, czasem zapłakał, ale świętej sprawiedliwości domierzył. Na cztery oczy, gdy go datkiem zmiękczyć usiłowano, udawał

zadumanego, nie bronił się. Co mu dano, do kieszeni schował, ale nie zmieniało to wcale jego postępowania: darł ze skóry tego, co go przekupił, tak samo lub gorzej jak tych, co nic nie dali.

Spraw do sądu książęcego było zawsze co niemiara; niekiedy sam Mieczysław siadał je rozstrzygać. Naówczas z innymi dworu urzędnikami stał u boku jego Mierzwa dla porady, częściej jednak trafiało, że na niego samego spadało rozstrzyganie spraw i wydawanie wyroków.

Obok Mierzwy w drugiej izbie tuż zasiadał skarbnik książęcy, który kary pieniężne odbierał od osądzonych, a do pomocy przy nim byli pacholki, aby kto zapłacić nie mógł zaraz, do więzienia pociągnąć.

Całe jedno na zamku skrzydło izby te sądowe zajmowały, do których przez kryte chodniki,

gdy chciał, przystęp miał Mieszko. Oprócz tego izba była tak urządzona, że mógł zza gęstej kraty drewnianej, okrytej zasłoną, gdy chciał, siadłszy u niej, słuchać, co się na sądach działo, i patrzeć na obwinionych. Mierzwa niby nigdy nie wiedział, kiedy miał pana za sobą, ale bystry człek chwycił

szelest najmniejszy, lada drgnienie zasłony nie uszło z ukosa rzuconego wejrzenia, a miał też ludzi, co skinać umieli, aby wiedział, gdy książę był przytomny. Naówczas sędzia stawał się jeszcze troskliwszym, pilniejszym w wymiarze sprawiedliwości, wiedząc, jak do smaku pańskiego

przygotować potrawę.

Następnego dnia rano nad zdobyczą Kietlicza można się było spodziewać sądów i rozpraw

ciekawych, bo ciemnice i szopy pełne były ludzi, którzy wszyscy stawieni być mieli. Zawczasu też w podwórzu zamkowym ukazał się Mierzwa w długiej sukni czarnej, na kształt kleszej skrojonej, tylko bez kaptura, pasem rzemiennym podpasany, u którego miał wiszący kałamarz i pochwę, a w niej zamknięty przyrząd do pisania. Wysoką, szczególnego kształtu czapkę, podobną do zawoju czarnego, nakrytą miał głowę, ręce w szerokie rękawy pozasuwane, a chłopak za nim, z krótko ostrzyżoną głową, na ramieniu dźwigał księgę ogromną, w drewnianych okładzinach, z klamrami mosiężnymi.

Straszemu temu ramieniu sprawiedliwości wszyscy ustępowali z drogi, obchodząc go z

daleka; bał się go bowiem każdy, nikt nie mogąc być pewnym, ażeby nie popadł w jego ręce. Ten i ów kłaniał mu się z dala i uchodził.

W izbach sądowych wszystko już było pogotowiu na przyjęcie; wymieciono je i posypano

podłogę kosaćcem, bo ludzie zawsze tyle błota i pyłu ponanosili, iż po skończonych sądach kupy śmiecia wyprzątać było potrzeba. Smutne to były izby, niskie, ciemne, ławami dokoła otoczone, a dla zaduchy w nich i przykrej woni drzwi i okiennice ciągle stać musiały otworem. W pierwszej izbie trzymano obwinionych i skarżących się. Tu czasem tłum bywał taki, że się przecisnąć było trudno. Stąd po jednym, po dwu, gdy świadkowie byli potrzebni, przyprowadzano ich do trybunału.

W samym sądzie nieco okazańniej wyglądało. W głębi, na przypadek przybycia samego

księcia, stało zawsze wysoko na stopniach podniesione siedzenie, obite suknem szkarłatnym, a poza nim ławy dla dworu. Niżej dopiero stała ława z poręczami dla Mierzwy i dla tych, których czasami do boku swego przybierał. Przed nią był stół wielki, a na nim krzyż czarny w pośrodku. Tu składano ową księgę praw, przynoszoną przez chłopca, i Ewangelię dla przysięgi. Wielkiego owego kodeksu sędzie czasem się niby radził w razach trudniejszych, ale to była gra tylko, gdyż z pamięci tak dobrze kłamał i prawił, jak z księgi. Obok leżały długie zwitki pozszywanego z wąskich pasków pergaminu, na których kleryk chudzina, służący przy zamkowej kaplicy, dekreta w kilku słowach zapisywał znaczniejsze.

Gdy książęcia nie było, a sądy się przeciągały, Mierzwa, znużywszy się, wychodził czasami do trzeciej izby skarbnego, do której w rogu wiodły drzwiczki. Tu balasami drewnianymi

oddzielony od ludzi zasiadał człek stary, z siwą rzadką bródką i głową zawsze czarną czapeczką okrytą, z nosem kobuzim, oczkami maleńkimi, jakby w głowie wyświdrowanymi. Zwał się

Joachim, a że imię to niezbyt było powszednie, częściej go na Juchima przerabiano. Ludzie mówili, że skarbnny był pochodzenia judzkiego, ale mu z tego nie czyniono winy, ani w głos zadawano, gdyż u księcia był w wielkich łaskach i u niego wszystek pieniądz był pod kluczem. Podskarbnim był

Niemir, zacny pan, ale ten pono tylko dla popisu czasem przed księciem stawał z workiem, bo Juchim w rękach trzymał wszystko.

Mówiono też, że skarbnny bardzo się był już z bogacił, ale tego po nim całe widać nie było: chodził ubogo, dominę miał lichą, żył w niej na rygle zamknięty, sam i oprócz księcia,

podskarbnego, Kietlicza i Mierzwy z nikim się nie bratał.

Sam przez się wszystko był zwykł robić, dlatego też na sądy przychodził, aby grzywny do

rąk pobierać, nie spuszczać się na nikogo. Z Mierzwą jawnych a ścisłych stosunków nie mieli, prawiono jednak, że po nocach do siebie chadzali i długo jeden u drugiego przesiadywali. Gdy Mierzwa w sądzie się znużył gadaniem, bo mówić musiał wiele, dawał sobie czasem chwilę

wypoczynku i wysuwał się do skarbnego. Postrzegali ludzie, iż od niego powracając, twarz, zwykle bladą, miewał czasem zarumienioną mocno i usta ocierał rękawem. Domyślano się, iż Juchim pod płaszczem flaszki nosił dla pokrzepienia siebie, z których po bratersku Mierzwie kapka się jakaś czasem dostała.

W sądzie wszystko się z nader surowym odbywało obrzędem. Gdy Mierzwa przybył na swe miejsce, księgi, kałama- rze, pargamin i kleryk także, gdy pierwsza komora wypełniła się ludźmi oczekującymi lub z więzień posprowadzanymi. Mierzwa naprzód klękał przykładnie, ręce składał i przeżegnawszy się, modlitwy do Ducha Świętego i *Veni, Creator* odmawiał, przy czym kleryk i pacholę *responsoria* dawali.

Potem dopiero zasiadał w pośrodku ławy blady mąż, oczyma rzucał wokoło, suknię pociągał, rękawy zarzucał, brodę potarł i dawał znak, że sądy się rozpoczynać miały. Było zaś we zwyczaju, że naprzód powoływano tych, których ksiązę chciał mieć sądzonych, dopiero po nich szli, którzy przynosili żaloby i domagali się sprawiedliwości.

Dnia tego właśnie obłów Kietlicza, spędzony do pierwszej izby, na powoływanie po kolei oczekiwał. Sam Kietlicz i Bereza, namiestnik jego, jako świadkowie, w izbie się sądowej znajdowali. Pierwszy z nich zasiadał na górnej ławie, za tronem u ściany, w której była krata przysłonięta, aby Mieszko mógł każdego czasu słuchać przez nią, drugi stał w kącie u drzwi wchodowych. Kleryk blady i mizerny, z długą szyją obnażoną, w rogu stołu pilnował oprócz pargamrnu i piaskowego zegara, który czas mierzył. Gdy się z niego ostatki dosypywały, przewracał go natychmiast.

Gdy Mierzwa zasiadł, Kietlicz z górnej ławy dał znak: wprowadzono naprzód kmiecia, który niedźwiedzia ubił u siebie. Człek był odziany jak do lasu, bo go niespodzianie pochwycono, trochę już wylękły, pomieszany, jednak nie tracący ducha, bo ufał, że mu się nic stać nie może.

Sprawa była jawna

Mierzwa, naprzód uwiadomiony, jakby na szyderstwo przybrał postawę słodziuchną, usta mu się uśmiechały łagodnie, kazał się przybliżyć do stołu.

— Miły człecze, kmieciu mój — odezwał się głosem miękkim — cóżeście to takiego się dopuścili, że was tu przed sobą widzę? Człkiem mi się wydajecie statecznym i spokojnym.

Miałyżby mylić pozory?

Kmieć jeszcze nie zebrał się na odpowiedź, gdy z górnej ławy zabrzmiał głos Kietlicza, na swój sposób opowiadający przygodę. Mierzwa zwrócony ku mówiącemu słuchał z natężoną uwagą, dając oznaki podziwienia, przestachu, grozy, litości. Ręce łamał, głową trząsał, ramionami poruszał, oczy ku niebu wznosił.

— Miły Boże, możeż to być?! — zawołał, gdy Kietlicz dokończył. — Możeż to być,

abyście się wy tak strasznej dopuścili zbrodni?!

Kmieć (zwał się Ladra), słuchając, ruszał ramionami.

— Miłościwy sędzio a panie — rzekł — cóżem ja to tak straszego uczynił? Bronilem

mojej własności. Świadczę się wszystkimi, co w pobliżu mieszkają, iż niedźwiedź mi barcie ze szczeniem popsował, i gdyby na sobie dziewięć skór miał, nie zapłaciłyby one dziesiątej części szkody mojej.

Mierzwa, ręce załamawszy, głowę z ramienia na ramię przechylał.

— Miły, kochany kmieciu mój — odezwał się — nie przeczę, że czuleś się

pokrzywdzonym, niebożatko! Barcie wiele warte, pole też trudu kosztuje dużo, słuszna bardzo jęła cię chęć powetowania szkody swojej. Niedźwiedź winowajcą był, łupieżcą — zgoda, a ty — sędzią we własnej sprawie i sprawcą. Aleś się tu grubo omylił, kochanie moje! A możesz kto być sędzią we sprawie własnej, he? A kto ci miły, kochany człecze, niebożatko moje, dał one najwyższe prawo sądu i miecza? A wieszże ty, dziecko moje, że targnąłeś się przez to i przywłaszczyłeś sobie władzę, którą sam Bóg daje w ręce książąt, że przez to stałeś tak winnym, tak winnym, jakbyś nic na niedźwiedzia, ale na samego się porwał księcia? Dziwujesz się! Toć jak na dłoni!

Kmieć stał osłupiały. Subtelna ta argumentacja siły umysłu jego przechodziła, z usty

otwartymi, drżący, słuchał, bronić się już nie umiejąc. Brzmiało mu jeszcze w uszach oskarżenie niepojęte dlań, iż na niedźwiedzia się porwawszy, księcia samego znieważył i dotknął.

Mierzwa się uśmiechnął zwycięsko.

— Przecie to jasne jak słońce — dodał. — Nie przysługiwało ci prawo karania, bo nie jesteś księciem, miłe dziecię moje, sędzią też nie jesteś; stałeś się więc buntownikiem. Znieważona powaga prawa wymaga surowego sprawiedliwości wymiaru. Serce boli, ale zbrodnia tak straszna bezkarnie ująć nie może. Występek twój równa się zbrodni obrażonego majestatu. Tu głowę spuścił

ku księdze.

— Bez wątpienia, surowym chcąc być, skazać by cię można na ścięcie, powieszenie,

rozszarpanie końmi, bicie kołem, postradanie ręki lub kopanie kruszców życie całe, ale musimy mieć miłosierdzie nad nieświadomością twoją. Litując się nad tobą, dziecię miłe, nie możemy mniejszej ci kary naznaczyć nad siedemdziesiątą.

Kmieć jęknął:

— Siedemdziesiąt grzywien!

Skąd miał wziąć tyle pieniędzy? Załamał ręce, rzucił się na kolana. Bereza, usta zatulając, śmiać się począł. Nie chciano już nawet słuchać winowajcy dłużej, pachołkowie, chwyciwszy pod ręce, natychmiast go do izby skarbnego poprowadzili, a że z sobą ani siedmiu grzywien nie miał i nie wiedział na razie, skąd ma wziąć sumę tak znaczną, wkrótce go też pod strażą zaprowadzono do więzienia.

Mierzwa otarł pot z czoła, spojrzął ku Kietliczowi, a we wzroku jego można było niemal przeczytać pytanie: „A cóż, albowiem niedobrze usłużył?”

Kmiecia wypychano już za drzwi, gdy drugiego ciągnął Bereza. Za nim z tyłu szedł parobczak krępy, niski, z głową wielką, na nogach grubych jak kłody, w siermiężkę dziwną przyodziany, bosy, w spodniach zgrzebnych, u dołu sznurkami słomianymi poprzywiązywanych.

Kmieć idący przodem zamożnego i śmiałego miał postawę. Odzież na nim sukienka szykownie leżała, gzło pod nią widać było białe, na guz świecący zapięte pod szyją. U pasa kaleta wisiała skórzana, w rękę trzymał kołpak z lisa. Kmieć widać do swobody lasów swoich nawykły, wśród których sam był panem, rozglądał się tu zdziwiony swej niewoli i temu prawu, co go nagle dało w niewolę. Mierzwa przypatrywał mu się bardzo bacznie, jakby badał, z której go ma zająć strony i jak doń zaśpiewać. Zuchwała postawa dawała mu do myślenia. Człek był już widać na wszystko gotów, byle go raz do jego lasów zwolniono. Szedł przed stół niecierpliwie, gdy Kietlicz z ławy mówić począł:

— Ten winien jest więcej jeszcze! O, kmieć zuchwały! Ludzi sobie w niewolę zabiera!

Patrzajcie, wina jawna. Parobka oto tego, który tu stoi, wziął na służbę. He? Jakim prawem? Bez prawa, bez pozwolenia, gwałtem!

— Jako żywo! Miłościwy sędzio — począł kmieć oburzony — parobek tu oto jest, niech świadczy sam. Przybył do mnie, na służbę się prosząc, wziąłem go.

Powołany parobczak zaczął wprawdzie coś bełkotać, ale językiem takim i tak niewyraźnie, że nikt go zrozumieć nie mógł. Widać jednak było, że do swojego gospodarza żadnego żalu nie miał.

Mierzwa nastawił ucha, kiwał głową i udawał, że chwyta znaczenie bełkotu parobka; uderzył ręką o stół i pogroził kmieciowi łagodnie.

— Miły, kochany człeczku, dziecko moje — odezwał się — złą, ej, złą wybraliście się drogą! Ta was nie zaprowadzi, gdzie myślicie. A godziź się to targać na najdroższą człowiekowi swobodę? Toć kary najgodniejsza zbrodnia. Powiecie mi może, iż on wolnym nie był? Tym ci



gorzej, kochanie moje, a więc miał pana, do którego należał! Pytaliście go? Nie. Targnęliście się więc na własność cudzą! He? Widzicie, darmo się wykręcać, nie wyjdziecie z tego. Wzięliście wolnego — zbrodnia, zabraliście cudzego poddanego — rabunek! 2le i źle, ani wyniść z tego.

— Miłościwy sędzio — począł kmieć, któremu krew na twarz wystąpiła.

— Miły kmięciu, ostrożnie — przerwał Mierzwa, nie dopuszczając tłumaczenia —

ostrożnie! Przez miłosierdzie nad wami mówię to, patrzcie, abyście jakim słowem nieopatrznym sprawy sobie nie pogorszyli. Możecie popaść głęboko! Litość mając nad wami, po ojcowsku was tylko grzywnami siedemdziesiąt obłożę. Winniście za to księciu, którego jesteście sługą małuczkiem, do nóg upaść i podziękować, bo pismo powiada, prawo głosi, zakon wymaga: „Oko za oko, ząb za ząb.” Cóż z tego wynika? Oto, że wy, coście tego nieboraczka, chudzinę, chcieli niewolnikiem uczynić, sami winniście za to pójść w niewolę! Tak ci jest!

Kmieć zamilkł pomieszany. Nie dano mu już ust otworzyć i popchnięto do izby Juchima,

który przez drzwi otwarte ciekawie się przysłuchiwał sprawie. Siedział z głową na rękach spartą, poglądając ku rozwartej skrzyni, które przed nim stała, jak zwierz zacząjony na przesmyku. Gdy kmięcia doń wprowadzono, drzwi się zamknęły.

Mierzwa, odpoczywając po drugim wyroku, rozłożył wielką księgę i cały się w niej zatopił czekając, aż mu nowego winowajcę przyprowadzą.

Bogaty kmieć, który już musiał zawczasu los swój przewidywać i co rychlej chciał się z

więzów wydobyć, miał już gotowych grzywien siedemdziesiąt spełna w wypchanej kalecie, która u pasa wisiała.

Na widok zbliżającego się Juchim łokcie ze stołu usunął, i zmierzwszy go oczyma,

chrypliwym, zgasłym głosem zapytał pachołków wiodących go:

— Siedemdziesiąt?

Kmieć, na skarbnego popatrzwszy, westchnął ciężko, kaletę odpiął, garść w niej utopił i

dobywając srebrne pieniądze, liczyć począł. Lecz zaledwie się one ukazały na stole, Juchim, porywając się za głowę, wykrzyknął głośno:

— Gwałtu! Gwałtu!

Kmieć osłupiał, nie rozumiejąc, co się stało, i oglądając dokoła. — Co to jest? — począł

skarbnym. A toć fałszerz pieniędzy!

Pochwycił kilka z nich, popatrział na nie i cisnął, spluwając pogardliwie.

— Cóż to? Czy to są pieniądze? Cha! cha! To plewy, nie pieniądze! To skorupy z garnków potłuczonych! Takimi to pieniędzmi chcecie płacić panu swojemu?

— Na miłego Boga! — zawołał kmieć strwożony. — Czegóż wy chcecie ode mnie?! Toć są pieniądze, którymi wszyscy płacą i każdy je przyjmuje.

— Ale ja ich nie przyjmę! — krzyknął Żyd. — To plewy, to śmiecie! To drzazgi, nie pieniądze! Patrz! Gdzie na nich pieczęć państwa? gdzie znaki?

— Toć nie moja wina, ale tych, co je bili! — zawołał kmieć zrozpaczony.

— Aha, aha! — zawołał Juchim. — Tu się dopiero odkrywa całe niepocziwe zuchwalstwo wasze! Obwiniacie mennicznych, a to są z ramienia pańskiego urzędnicy! Ho ho! Sprawa nowa, będziecie za to odpowiadali. Kto urzędników pańskich obwinie, pana obwinia! Hej!

Skinął na pachółków.

Kmieć, przywiedziony do rozpacz, na wszystko się już ważąc, z błagającym wzrokiem zbliżył do stołu, ale Juchim się cofnął od niego, ręce podnosząc. Gniew objął uciśnionego.

— No, nie ma ratunku! — zawołał zębami zgrzytając. — Róbcie ze mną, co chcecie, drzyjcie skórę z żywego. Mówcie, co mam uczynić!

— Co? Dawaj, coś winien! — odparł Juchim. — dawaj, coś winien! Ja więcej nie chcę!

— Płacę, czym mam! Odrzucacie, cóż więc poradzę? Pieniądze te biorą i dają wszyscy.

Za drzwiami zamkniętymi co się już później z kmiecem działo, nikt nie wiedział, bolesne

krzyki jego i miotanie się aż w izbie sądowej słyhać było. Mierzwa i Kietlicz uśmiechali się, poglądając ku izdebce Juchima, skąd ciągle szum, wrzawa i wołanie o ratunek dochodziło.

Domyślali się wszyscy, że kmięcia męczono, bo kilku oprawców z powrozami i żelaznymi na ręce śrubami pobiegło do drzwi skarbnego.

Tymczasem nowa sprawa się przed sąd wytaczała. Z wielkim wołaniem ukazał się w progu

człek rozczochrany i odarty, lat średnich, w odzieży poszarpanej, z nogami bosymi, za ledwie płaszczem obłożonym przysłaniając nagość swoją. Na twarzy miał ślady świeżego pobicia.

Wpuszczony do izby, ledwie się dowlokłszy do stołu, upadł na kolana, jęcząc i szlochając:

— Zabili, zabili, rozbójnicy! Patrzajcie! Spokojnego, niewinnego człowieka napadli w biały dzień, na ulicy! Aj, gwałt, zabili!

Z mowy żalącego się rozerwanej, niewyraźnej, szlochaniem gwałtownym przerywanej

zrozumieć nic nie było można. Wtem wystąpił inny ode drzwi człek, w czarnym płaszczu, z brodą długą, wzrostu słusznego, w spiczastym kapeluszu, z żółtą łata na wierzchu, i ręce

rozkrzyżowawszy, zaczął wołać, jakie się działo pod bokiem pańskim bezprawie, iż biednego człeka żaki szkolne potłukli, nie żeby im w czym winnym był, ale że w nim Żyda czuli. A ksiązę sam i jego, i innych współwyznawców gościnnie u siebie przyjmował, opieką ich swoją okrywał.

Do drzwi pachołkowie przypędzili kupę chłopaków wylękłych i postawili ich sędziemu. Ci

tak byli przerażeni, iż słowa nie mogli przemówić, wielu płakało. Biedactwo to było, z garnuszkami u pasa, żyjące jałmużną dla nauki, służące przy kościołach i zakrystiach, przybłądy, bezdomne sieroty.

W całej naówczas Europie wojny krzyżowe wywoływały podobne na Żydów napaści. W

Niemczech krwawe, bo tam Ren nieraz płynął trupami, a rynki pełne były ciał pobitych. Tu

Mieszek Żydów w opiece miał. Juchim za nimi obstawał. Mierzwa też, rozśluchawszy się w sprawie, ze zgrozy uszy zatulił.

Zabitego nie było nikogo, zacy tylko z naprawy starszych suknie na biednym Żydzie

poszarpały.

— Świętokradcy są! — krzyknął sędzia. — Tak jest, świętokradcy! Albowiem kto gościa

pańskiego, któremu sam ksiązę dał opiekę i płaszczem go swoim otulił, napada i targa się nań, ten jakby na pomazańca bożego się targnął. O zbrodni straszliwa, niewysłowiona, o pomstę do nieba wołająca! A to popełnili ci, co zaledwie żywot rozpoczynają, cóż tedy uczynią, gdy dorosną?!

Z wielkim zapalem puścił się sędzia w długi wywód po- pełnionego świętokradztwa i byłby

srogi wydał wyrok, gdyby starszy ów człek, co w obronie pobitego stawał, nie zmiarkował, że zbyt surowa kara za Żydów domierzona, mnożąc ku nim nienawiść, na nich samych spaść może. Cicho więc jakoś zagodzono ją i pobity, nogi wlokąc za sobą, jęcząc i płacząc, wysunął się razem z obrońcą, a chłopaków zabrali pachołkowie.

Znowu tedy nastąpiła chwila odpoczynku dla umęczonego sędziego, który ku drzwiom

skarbnego się oglądał, jakby tam pragnął zajrzeć, lecz dochodzące jeszcze stąd krzyki dowodziły, że sprawa z kmieciem upartym o pieniądze jeszcze skończoną nie była. Mierzwa ani się do niej mieszać, ni świadkiem jej być nie chciał.

Po chwili wypoczynku wprowadzono człeczka dobrze odzianego, z twarzą okrągłą i spastą,

który od tego począł, że z dala siedzącemu Kietliczowi pokłonił się nisko, potem Mierzwie niemniej głęboki złożywszy pokłon, nie pominął w poszanowaniu nawet kleryka. Ten do odbierania pokłonów niezwykły, dłonią usta zatulając, uśmiechnął się, widząc się tak uczczonym.

Rażna mina wchodzącego, który tak pięknie kłaniał się na wsze strony, kazała się domyślać, że chyba obwinionym nie był. Kietlicz też spoglądał nań bardzo łaskawie. Mierzwa, trąc brodę, uśmiechał mu się i okiem pomrugiwał. Tuż za nim wciągnięto opierającego się, związanego, bez czapki, z rozczochranymi cudzymi rękami włosy, człeka, który stękał i jęczał.

— O, Boże mój miłościwy, o święci pańscy, ratujcie! Usłyszawszy to, Mierzwa ulitował się niby wielce, ręce złożył.

— Biedny człeczku! — zawołał. — A cóż to ci jest? A czegoż to tak jęczysz, niebożę?!

Mów a prędko, aby prawica książęca domierzyła ci sprawiedliwości, jeżeli jesteś pokrzywdzonym.

Na to ja tu jestem wysadzony, na to władza książętom dana od Boga, aby zakon trzymali. Mów, kochanie, nie sromaj się, rozkryj serce, otwórz usta i ulżyj uciskowi swemu.

Jęczący człek miał się już odezwać, gdy pierwszy, który był wszedł przed nim,

uśmiechnięty i kłaniający się, nie dał mówić i sam podchwycił:

— Miłościwy panie — tu wskazał na związanego obu rękami — toć zbój jest, złodziej

jawny! Krów mi moich dwie z cielętami skradł i w swoim chlewie zamknął. Nieszczęśliwy,

pokrzywdzony, tracąc ostatnią chudobę, rozpaczalem! Myślałem, że wilcy rozszarpali żywicielki moje, że mi z głodu przyjdzie zdychać z drobnymi dziatkami, gdy mi dano znać, że moje krówki u tego złodzieja w chlewie. Odkryło się złoćstwo!

Związany człek, słuchając oskarżenia, wzdrygnął się.

— A niechże cię, kłamco bezwstydnny, niech cię pomsta dotknie boża! — zakrzyknął.

— Człecze dobry, nie unos się, nie klnij, proszę! — odezwał się Mierzwa.

— Jakże się tu wstrzymać, gdy tak jawna krzywda się dzieje! — zawołał związany. — Nie

skradłem rnu nic! Jawnie, w biały dzień zająłem mu krowy, które moje zboże spasty, na polu

własnym! Było żyta na pięć kop, nie zostanie go i na dwie! Bydło zająłem w szkodzie!

Obwiniony, spasy człek uśmiechnął się pogardliwie i ruszył ramionami. Mierzwa przerwał:

— O, źle, źle, kochanie moje! Radzisz sobie nieładnie! Do występku swojego dodajesz

gorsze może nadeń kłamstwo. Gdzieś świadkowie? Nie ma? Widzisz! Bydło skradzione znaleziono w twojej oborze, rzecz jawna. Kajajże się i sromaj niepoczciwej sprawy twej.

— Miłościwy panie — zawołał, w piersi się bijąc, związany — przysięgnę!

— O o, zgroza! Okropność! Krzywoprzysięstwo! — zakrzyknął Mierzwa. — Tego już

nadto! A toć staje i świadczy przeciwko tobie człowiek nam znany, który nigdy obwinionym nie był, wierny sługa zamkowy, panu swojemu miły. I wy śmiecie...

— Panie! — głosem rozpaczliwym odezwał się obwiniony.

— Bereza! — przerwał Kietlicz z góry. — Końca nie będzie temu, pysk mu kneblem zabić,

niech nie bluzga!

Nim się spełniło rozkazanie, nieszczęśliwemu głowa na piersi opadła, złożył ręce, na kolana się rzucił, zdawał modlić do Boga, u ludzi nie znalazłszy sprawiedliwości.

Mierzwa tymczasem mówił z uroczystością wielką:

— Cóż by to z tobą się stało, nieszczęsny winowajco, gdyby obok sprawiedliwości nie

zasiadało miłosierdzie? Głową byś przypłacić musiał albo by cię na kopanie soli i kruszców na cały żywot dać musiał książę, abyś więcej światła słonecznego, którego oglądać nie jesteś godzien, nie widział. Złodziej, potwarca, kłamca, krzywoprzysięzca, zbrodzień wielokrotny! Miłosierdzie tylko pańskie zwalnia ci karę na siedemdziesiąt!

Domawiał tych wyrazów, gdy w izbie wchodowej wrzawa głośna się słyszeć dała. Kietlicz

się namarszczył, ruszył i Berezie dał znak. Tymczasem dwu sporzących przed stołu popchnięto ku Juchimowi. Drzwi się otwarły i Stach wszedł, a za nim dziesięciu młodych ziemian krakowskich z Bogorią na czele.

— Mówcie, proszę, błagam, zaklinam, macie co może na swą obronę? — dodał Mierzwa.

— Innego nie mam nic — odparł Stach — krom, zem chorego starca bronił od napaści. A

działo się to nie na krakowskiej dzielnicy księcia naszego, ale w sandomirskiej, kędy panem jest książę Kazmierz.

Tu Mierzwa z podziwieniem szyderskim się wzdrygnął.

— Co słyszę?! — zawołał. — Jest więc na tej oto ziemi dzielnica, na której by zwierzchnia władza najstarszego pana naszego nie była uznawaną?! Cóż to się stało?! Rozerwały się więc węzły, które łączą te ziemie wszystkie?! Jawnie więc wypowiedziane posłuszeństwo?!

— Miłościwy panie — odezwał się Stach wcale nie zmieszany — nie wywodźcie tak

przemądrze ze słów moich, czego w nich nie ma. Nikt nie śmie przeczyć panu Mieczysławowi

władzy zwierzchniej, ale ona w cudzej dzielnicy inaczej się sprawia niż we własnej. Jeżeli ten, którego sądziliście przed chwilą, nie miał prawa zabić niedźwiedzia nie spytawszy wprzód o pozwolenie, toć urzędnik ksiązęcy, Kietlicz, sandomirskiego ziemianina, na którego gród naszedł, winien był skarżyć wprzód do jego pana, domagać się nań kary, a nie sam ją domierzać. Mnie, ziemianina, wiązać i wlec do grodu prawa nie miał.

Kietlicz zerwał się z ławy.

— O zuchwalstwo! — krzyknął. — Otóż prawnik! Oto wywody! Uczcie się, sędzio, praw od ziemian, oni je lepiej od nas znają.

Mierzwa oczy sobie zakrył ręką.

— Niestety — zawołał — do tegośmy przyszli, do tego, iż ziemianie prawa książąt będą

rozbierali i sami o nich wyrokowali. Sodoma i Gomora! Książęta a bracia nie mogą się między sobą ułożyć ku wspólnemu zaszczytowi władzy swojej bez zezwolenia ziemian!

Tu na chwilę zamilkł i powiódł oczyma.

— Miłościwy panie, ziemianinie — odezwał się do Stacha — serce mi się ściska i boli, iż

tak złych zaprawdę, wy-krętnych a nieprawych środków zażywacie na waszą obronę. Mogliście krewkość młodzieńczą, namiętność nierozważną, uniesienie się przemijające stawić na ułagodzenie winy, a wy do praw i kodeksów ściągacie! Wy, którzyście ich ani dotknęli, ani powąchali! Samiście się tym potępili, Niestety, ręce mi wiążecie! Młodość waszą widząc, a litując się zaślepieniu, bylibyśmy skłonni łagodnie brać, co surowo być wziętym powinno, a nie możemy, nie możemy!

Tu, jakby mu słów zabrakło, milczący Mierzwa oczy spuścił na roztwartą księgę,

westchnienie głębokie z ust się wyrwało.

Szelest nie dosłyszany prawie w tej chwili za drewnianą kratą przysłoniętą przybycie księcia zwiastował. Kietlicz spojrział w tę stronę, Mierzwa przeczuł czy odgadł, iż świadka miał i nadzorcę nad sobą. Młodość wcale się nie domyślała tego, tylko Jaśko Bogoria, zwany Żywcem, bo był

niecierpliwym, i drudzy też z nim poczynali się tym powolnym sądem niepokoić, iż się do zbytku przeciągał. Spoglądali po sobie, ramionami zzymając, jakby mówić chcieli: „A pókiż to tego będzie?!” Sądzieli pewnie, że lik ich i postawa, znane imiona Kietliczowi dadzą do myślenia, tak jak on sądził, iż grozą sądu ich upokorzy. Obie strony stały teraz naprzeciw siebie, ważyło się między nimi, która weźmie górę.

Nie szło o wyrok, bo ten miał paść zawsze na stronę Kietlicza, ale o zwycięstwo

niewidzialne śmiałości i buty. Nie wiadomo, która by strona wzięła przewagę, gdyby Kietliczowi niespodzianie w pomoc nie przybył ten, który go nigdy nie opuszczał. Czuć było Mieszka za kratą.

Stach nabierał odwagi, a może Jaśko, potrąciwszy go i coś mu poszeptawszy do ucha, nią go natchnął. Odezwał się śmiało:

— Miłościwy sędzio, czym ja co winien, we własnej sprawie trudno mi wyrokować, ale że

urzędnik książęcy Kietlicz nie bez grzechu jest — to pewna! Albo to tak ziemiańskie dwory na cudzych dzielnicach najeżdżać wolno? Bramy tłuc, włamywaniem się grozić, przewód brać, gdy go nie należy, chorego starca straszyć, nie poszanowawszy siwych włosów rycerza, co Krzywoustemu stał u boku? Cóż biedny starzec zawinił, iż go znieważono? Toż nie gwałt? nie przestępstwo?

W oknie zadrgała zasłona, Kietlicz podniósłszy się z siedzenia, pięści wyciągnął ku mówiącemu.

— Słuchaj, sędzio, słuchaj! — zawołał gniewnie. — Patrz, do czego zuchwalstwo dochodzi!

W co ufa ono? Ufacie, żeście ziemianie i ojczyce? Więc wam ma być wszystko wolno, panu przewodu odmawiać, pogoni, strawy i obroku?! A co dalej będzie, gdy się tego nie ukarze?!

Mierzwa głowę zatopił w ramionach. Milczenie panowało w izbie, gdy w ścianie podle

kraty drzwi niewidoczne się uchylily, zaskrzyptały. Ci, co siedzieli, powstawali, popłoch się zrobił wielki. W otwartych drzwiach ukazał się Mieszek. Stał nie wchodząc jeszcze, izbę mierzył oczyma, a najpilniej ową gromadkę młodzieży, a najsurowiej Stacha. Stał tak długo, jakby wzrokiem sobie drogę uścielał, chcąc postrach siać. Potem powoli ruszył się ku siedzeniu na stopniach

wywyższonemu i słowa nie rzekłszy, głową nie skinąwszy tym, co mu bili pokłony, zasiadł, a raczej padł na siedzenie.

Postać to była w istocie strwożyć mogąca, majestatyczna, z twarzą nachmurzoną, bladą, z

usty, które się niechętnie otwierały, ale i milcząc, groźne były. Wejrzenie oczów przeszywało. W

drganiu mięśni twarzy czytać było można, iż gniew tłumiony przynosił z sobą. Na ramionach

płaszcz miał szeroki, spodem suknię szkarłatną, pas złocisty i miecz u boku. Na złotym łańcuchu u piersi klejnot wisiał błyszczący.

Mierzwa, posłyszawszy przybywającego pana, z miejsca swojego zszedł na bok i pod ścianą pochyłony krocząc z rękami na piersiach założonymi, pospieszył wraz z Kietliczem stanąć za pańskim siedzeniem. Przytomność księcia czyniła go sędzią; przy nim ten, co zastępował, zamilczeć musiał. Klecha i chłopak od stołu w bok zbiegli, Stach, Bogoria i poręczyciele znaleźli się niespodzianie przed obliczem księżęcym, z którym sprawa stokroć gorszą była jeszcze niż z wykrętym Mierzwą.

Mieczysław zwrócił się do Kietlicza naprzód i oczyma mu dał znać, aby obwinienie powtórzył. Urzędnik, któremu księżę nigdy winy żadnej nie przyznawał ani się go zaparł, śmiało powtórzył, o co Stacha winił. Nic nie mówiąc, długo nań patrzył księżę.

Stach, sądząc, że i jemu należy powtórzyć obronę, już ją rozpoczynać miał, gdy Mieszko, po kolanie się uderzywszy, dał mu znak, aby milczał. Podparł się na łokciu i milczał groźny.

— Coś za jeden? — zapytał.

— Zabór z Przegaju spod Spicymierza, rycerskom służył — rzekł Stach krótko.

Księżę pogardliwie głowę odwrócił ku Kietliczowi.

— Jakiej nań chcesz kary? — zapytał.

Zagadnięty mocno się zawahał, nadto srogim być na ten raz nie chciał, aby na siebie nie oburzać więcej, zbyt łagodnym być nie mógł, wolał się zdać na księcia.

— Wasza Miłość niech sądzi, ja nie chcę nic — rzekł z pokłonem.

— Bez kary nie ujdzie! — rzekł księżę.

Wtem Jaśko Bogoria zapragnął przemówić, księżę mu ręką pogroził.

— A ty milcz! — rzekł krótko.

— Skarb potrzebuje grosza — mówił po namyśle — niech siedemdziesiątą zapłaci!

To rzekłszy, ani już spojrzął na gromadę, wstał, tyłem się do niej obróciwszy, i wnet nazad szedł, Kietlicza prowadząc z sobą.

Kara nie była tak sroga, jak upokarzająca. Bogoria ramionami dźwignął, chcieli już ruszyć i iść precz, gdy Mierzwa rękami począł wskazywać na drzwi Juchima, skazanemu drogę



wyznaczając.

— Tam się płaci — dodał — tam idźcie. A kto grosza nie ma, idzie gdzie indziej.

Wskazał z uśmiechem drzwi drugie, przy których czatował Bereza z pacholkami.

Nie szło o siedemdziesiąt grzywien, które poręczyciele złożyć mogli między sobą i zapłacić za Stacha byli gotowi, Stachowi wstyd było pożyczać.

Szepnął Bogorii:

— Postójcie mało, a czekajcie na mnie, ja sięsam ze skarbnym rozprawię.

— Maszże czym? — spytał Bogoria.

— Dam jakoś rady — odparł Stach obojętnie. To rzekłszy, śmiało wszedł do izdebki.

Przed chwilą właśnie kmiecia z niej umęczonego jakimiś gwałty, okrwawionego

wyprowadzono do więzienia. Stach się z nim minął po drodze. Juchim siedział, licząc i ważąc pieniądze drobne, porozsypywane po stole. Zobaczywszy ziemianina przy mieczu, począł od tego, iż mu pilnie się przypatrywał zmrużonymi oczkami, jakby rachował, co z niego wycisnąć może.

— Siedemdziesiąta! — zawołał głos od progu.

Juchim ciągle się wpatrywał w przybyłego, mierzyli się wzajem oczyma. Stach, który dotąd

odwagi nie stracił, nie wiedzieć z jakiej przyczyny, pokonany wejrzeniem bystrym Juchima, mięsząc się począł. Żyd ręką wskazywał na stół, zapraszając do liczenia pieniędzy, na które czekał.

— Miłościwy panie — szepnął głosem stłumionym — my się bodaj nie pierwszy raz  
widziemy? Jam już gdzieś was spotykał?

— Nie wiem — odpowiedział Stach, odzyskując odwagę — gdybyście wy mnie widzieli,  
pewnie bym i ja was zobaczył i nie zapomniał, a nie pamiętam.

— Niechno, miłość wasza, dobrze sobie tylko przypomni? — szydersko trochę dodał  
skarbny.

— Nie mam na to czasu — odparł Stach — musimy się rozplącić.

— Nie pilno mi — rzekł Żyd — miłość wasza krótką ma pamięć.

— Jaką mi Bóg dał — odpowiedział zagadnięty. — Do sprawy!

— Dziwna rzecz — powiedział Juchim — ja stary, a przysięgłbym, że was znam i żeśmy

niejeden się raz widywali.

Stach spuścił oczy, naleganie to niepokoiło go. W istocie przypominał on sobie Juchima,

były to stare młodości dzieje. Skarbny nie miał naówczas jeszcze miejsca przy dworze, dostawano u niego pieniędzy na zastawy; młodzież, co grała w kości, często się u niego zapożyczała. Naówczas dzisiejszy Zabor z Przegaju zwał się jeszcze Stachem z Konar i brał u Juchima pieniądze, gdy z księciem Kaźmierzem grywali. Długi te wprawdzie pospłacane były, ale pamięć ich została

Żydowi. Stach, który potrzebował, aby o nim zapomniano, nierad był, że Juchim go poznał i mógł

nawet może sobie nazwisko jego prawdziwe przypomnieć. Dziś ono było w ohydzie i wstydić się go musiał.

Juchim ciągle mu się pilno przypatrywał, uśmiechając po troszę.

— Panie skarbnny — rzekł Stach, usiłując co prędzej z nim skończyć — kazano mi

siedemdziesiątą zapłacić, pieniędzy z sobą nie mam, a choć poręczyciele za mną stoją, Jaśko Bogoria i inni, nierad bym u nich prosił o pomoc. Wy mi nie zawierzycie i ja też o wiarę nie proszę.

To mówiąc, dobył spod kaftana łańcuch złoty, ciężki i piękny, i na stole położył.

— Wart on pewnie więcej we dwójnasób niż te grzywny — chcecie go przyjąć w zastaw?

Niestety, zapomniał był i o tym Stach, że ten sam łańcuch przed laty już bywał u Juchima w zastawie, gdy na te nieszczęsne kości grosza było potrzeba.

Juchim pochwycił go w chude palce kościste, popatrzał, poszukał jakiegoś znaku i znalazłszy go, śmiać się począł.

— Aj aj — zawołał — toć to sami dziś znajomi do mnie. przychodzą! Ja ten łańcuch znam bardzo dobrze, on w moich rękach już bywał! Stach się zarumienił.

— Ach — zawołał nadrabiając zuchwałością — wszystko to może być! Ten łotr, nicpoń,

kostera, zbój Stach z Konar, mój cioteczny, do którego nawet mówią, że mam być trochę podobny, był właścicielem łańcucha. Jedyny to spadek, jaki po tym łotrze otrzymałem. On ci to go u was zastawiać musiał.

Zdawało mu się, że tym kłamstwem się wykręci. Juchirn, nic nie dając poznać po sobie, głową potrząsał, łańcuch w rękach wążąc.

— A a! To był wasz cioteczny! — zawołał. — Cóż się tam z nim stało? Mnie jego było zawsze żal.

— Nie masz go co żałować! — rzekł Stach żywo. — Przepadło licho, nie wiedzieć gdzie się podział. Powiadają, że zginął, z księciem Henrykiem poszedłszy na jakąś wyprawę. Łańcuch mi przyszedł przez dziesiąte ręce. Ale co my tam o tym łotrze mówić będziemy, mówimy o łańcuchu. Weźcie go na zakład, póki nie wykupię.

Juchim kręcił dziwnie głową, ciągle się bawiąc łańcuchem, zdawał się jakby umyślnie rozmowę przeciągać i męczyć nią Stacha.

— To się mnie nie godzi — rzekł powoli — ja jestem skarbnym, ja muszę dziś pieniądze złożyć księciu, a skąd ja je wezmę tak prędko? On łańcucha nie potrzebuje!

Bawił się nim Żyd ciągle, a może i Stachem, na którego spod brwi poglądał.

— Wy to nie wiecie — dodał — kto pieniędzy nie ma, idzie do ciemnicy; dopóki ich nie da.

Tak!

Stach oniemiały stał. Juchim nie mówił nic stanowczego, a łańcucha z rąk nie puszczał i przypatrywał mu się ze stron różnych.

— W ciemnicy siedzieć, a jeszcze ziemianinowi i rycerzowi, co do wolności nawykł, to jest zła i paskudna rzecz — dodał Żyd.

— No, w ostateczności to przyjaciele moi, którzy czekają na mnie, zapłacą — rzekł Stach, po łańcuch swój sięgając.

— A gdzie oni czekają? — spytał Żyd.

— W podwórzu.

— A co po nich! Wam, nie dawszy pieniędzy, kroku stąd zrobić nie wolno — mówił Żyd.

— Oni tam sobie mogą czekać do jutra, a was tędy — wskazał na drzwi boczne — powiodą prosto do ciemnicy.

Stach pobladł i wstrząsł się, więzienia się teraz więcej niż kiedy obawiał. Juchim łańcuchem ciągle potrząsał.

— To jest bieda — mówił obojętnie — że ja nie mam pieniędzy. Gdybym miał, założyłbym

za was te grzywny, chociaż łańcuch, kto go wie, ja nie powiem, żeby on był wart i tyle. Aj aj, ciężki się on zdaje, ale czy to my nie wiemy, jak złotnicy we środek ołowiu nalewają. On może i

siedemdziesiąt niewart. Dla Stacha z Konar, waszego ciotecznego, pamięci, który ze mną był w przyjaźni, ja bym chciał co zrobić dla was.

Zdawał się wahać, kto wie, kusił może Stacha, aby mu się wydał z sobą, ale ostrożny człek nie odzywał się. Wolał cierpieć, niż się przyznać do Stacha.

— Szkoda w istocie, że ja tu wam nieboszczyka sprowadzić nie mogę — odezwał się,

namyśliwszy — ale na to rady nie ma. Dziękuję wam, żeście na tego biedaka byli łaskawi, dajcież łańcuch, pójdę do ciemnicy, póki mnie przyjaciele nie wykupią.

Wyciągnął rękę, Juchim nie puszczał łańcucha, uśmiechał się. Widać po nim było jakąś walkę wewnętrzną.

— No, chcecie dać łańcuch za grzywny? Głowa na głowę? — spytał.

— Nie mogę — rzekł Stach — pozbyć się pamiątki tej mi nie godzi. Raz, że lego łotra

Stacha lubiłem, a to po nim jedyna spuścizna, po wtóre, iż łańcuch ten od Szczodrego wyszedł, który go dziadowi dał. Sprzedać mi nie wolno.

I ręką wziął za leżące na stole ogniwa.

— Wiecie co — dodał — za te siedemdziesiąt dam wam sto, ale za pół roku. Jaśko Bogoria da porękę za mnie.

Juchim, puściwszy łańcuch, zamyślił się i patrzył mu w oczy.

— A gdzie on jest ten poręczyciel? — zapytał.

— Znajdziemy go w podwórzu.

Juchim myślał, głową potrząsał.

— Nie mogę, łańcuch wolę — rzekł cicho.

— Weź go z tym, abyś mi odprzedał — rzekł Stach zniecierpliwiony.

— Mogłoby to być — zamruczał Juchim — ale co on ma tak leżeć u mnie! Ja go zaraz dam

do złotnika, aby go piękniejszym i ważniejszym zrobił jeszcze. Trzeba będzie dołożyć złota, kto wie

ile! Może on wówczas i dwieście kosztować!

Stach wzięty na te tortury zżymnął się, chciał łajać, wstrzymał, miarkując, iż to by nie pomogło.

— Obedrzeć mnie chcecie! — zawołał.

Żyd zmilczał, a potem z westchnieniem jakimś począł, cedząc słowa: — Aj aj, za każdą posługę płacić potrzeba! Lepiejże wam będzie w ciemnicy siedzieć i bożego światła nie widzieć?

Co znaczą te grzywny przeciw wolności, a jeszcze młodemu? Dla nas starych już tylko w nich pociecha.

Jeszcze się wahał Stach, gdy stary tymczasem zadumany to na niego, to na łańcuch spoglądał i ciągle z sobą walczyć się zdawał. Niezrozumiałe wyrazy jakieś z ust mu się wyrzywały.

Czas upływał, a Stach się niecierpliwił.

Wytrzymał go Juchim długo, na ostatek z siedzenia wstał i skrzynię otwartą, która przy nim była, począł pilnie na kłódki zamykać. Stach z łańcuchem w rękę czekał. Nagle dziwny obrót wzięła sprawa: Żyd z uśmiechem jakimś smutnym odwrócił się ku niemu.

— Jakże was zowią? — zapytał.

— Zabor z Przegaju.

— Panku Zaborze — odezwał się Żyd z wolna — co by to było z wami, żebyście wy tego

Stacha nie mieli ciotecznym? Musielibyście albo łańcuch stracić, albo dać grzywien dwieście, albo w ciemnicy siedzieć. Ano, idźcie sobie z Bogiem i z łańcuchem! Dla pamięci waszego ciotecznego ja za was grzywny zapłacę. Oddacie mi je bez lichwy, gdy będziecie mogli. Stach mnie raz w ulicy od motłochu wybawił i życie obronił. Godzi się, abym za niego wam zapłacił.

Stach zarumienił się mocno, przygodę tą, dawniejszą jeszcze, ledwie sobie teraz przypomniął; skłonił głowę.

— Bóg zapłać — rzekł.

— Nie był to zły człowiek ten wasz cioteczny, choć wy go łotrem zwiecie.

To mówiąc, Juchim się uśmiechał chytrze.

— Szkoda tego człowieka, że umarł — dodał. — Z niego by kiedyś był urósł mąż słuszny,

młodość by przesumiała, a co dobrego byłoby zostało.

— I za to dobre słowo Bóg zapłać! — odezwał się Stach mimowolnie wzruszony mocno.

Skarbny zawołał zaraz na pacholców stojących za drzwiami, aby więźnia wypuścili, i tak

Stach niespodzianie obronną ręką wyszedł z gorącej łaźni. Niemiło mu wszakże było, iż Juchim mógł się w nim prawdziwego Stacha domyślać.

Gdy powrócił do swoich poręczycieli, którzy opodal od dworca w podwórku nań czekali, na twarzy jego widać było pomieszanie tak wielkie, iż Jaśko Bogoria z daleka już począł pytać go, co mu się tam stało.

— Ano, jeszcze nic — odparł Stach, który spowiadać się nie chciał. — Stało się lepiej, niżem się mógł spodziewać. Skarbny mi przez osobliwe miłosierdzie jakieś na grzywny czekać bez poręki przyobiecał.

Gdy się to działo w podwórku, do izby skarbnego, który jeszcze swą skrzynię zamkami ubezpieczał, wsunął się Kietlicz. Wszyscy oni tam na dworze, Mierzwa, Kietlicz, skarbnny, za ręce się trzymali. Były to narzędzia w ręku księcia posłuszne, uległe, pokorne, ale zarazem o sobie też nie zapominające.

Kietlicz, z góry biorąc rozkazy, wszystkim kierował. Gdy wszedł, Juchim podniósł się od skrzyni i stanął, z wielkim uszanowaniem pokłon mu dając. Tuż za nim uśmiechnięty wśliznął się Mierzwa po cichu. Nigdy go idącego słyhać nie było, chód miał miękki i ostrożny.

— Spodziewam się — odezwał do Kietlicza — iż z dzisiejszych sądów miłość wasza będzie rada!

Spojrzał ku niemu; Kietlicz miał twarz posępną, skinął tylko obojętnie głową. Juchim milczał, ściągając swe rupiecie do wyjścia. Nikt się już odzywać nie śmiał, czekając aż nachmurzony pan przemówić raczy.

— Tak, wszystko to dobre — rzekł w końcu — ale to początek dopiero; ani księży, ani ziemian jeszcześmy nie nastraszyli i nie złamali. Nie trwożą się, a burzą. Źle mi to jakoś wygląda! Księżę w nic wierzyć nie chce, a ja czuję, że oni się już na nas zmagają.

Mierzwa kościste swe, chude ręce podniósł do góry.

— O o, czyżby śmieli?! — zawołał. — A któż by się na to ważył?! Jest na kogo

podejrzenie? Dajcie go tylko w ręce moje, znajdziemy winę i posadziemy tam, gdzie ciało z niego kawałkami opadać będzie.

Kietlicz popatrzał nań z politowaniem.

— Myślicie, że to łatwo dać wam w ręce tych, których ja podejrzewam? — począł

szydersko. — He? Dać wam wojewodę Szczepana, biskupa Gedkę i wszystkich tych niecnotów, co się kręcą około księcia Kaźmierza, jemu dworują, jego pod niebiosa wynoszą, aby naszego pana zohydzili?

Mierzwa się zadumał usta zacisnąwszy.

— Miłościwy panie — rzekł z wolna wychodząc z zadumy — księcia Kaźmierza się

obawiać śmiesznym by było. Ja go znam. Pan to dobry, ale miękki, woli on z klechami rozprawiać o Bogu, o duszy, o prawach wszelkich i zwyczajach, woli słuchać retorów i czytania z ksiąg starych, niż dobijać się władzy. Dawali mu ją za Kędzierzawego, a wziąć nie chciał. Strach to próżny: Kaźmierz na klechę stworzony, jemu cystersi i ich klasztory smaczniejsze niż krakowski zamek.

— Jeżeli on nie straszny — odparł Kietlicz — to ci, co o nim myślą; a że są tacy, co już

powiadają, że lepiej by im z Kaźmierzem było, to ja wiem.

Mierzwa usta wykrzywił.

— Co tam zważać na trutniów brzęczenie — rzekł — ludzie, co gadają wiele, robią mało. A

książę Kaźmierz, woli mieć z jednej strony księdza, z drugiej piękne liczko niewieście niż moc, z którą by nie wiedział, co robić.

Popatrzyli sobie w oczy. Mierzwa pokornie spuścił głowę, zerknął ku Juchimowi, jakby mu

chciał dać jakieś do porozumienia, pokłonił się Kietliczowi i powoli z izby wyszedł, przybierając postawę, jaką zwykł był dla ludzkiego oka przywdziewać. Kietlicz sam pozostał ze skarbnym, przeszedł się parę razy po izdebce.

— A wy, Juchim, co o tym myślicie? — zapytał stając przed nim.

— Ja — rzekł skarbny — a co ja mam powiedzieć oprócz tego, że wasza miłość, gdy co

mówicie, zawsze macie słuszość. Sędzia — wskazał na drzwi — ten, póki sędzi, rozumny człek jest, a gdy z ławy zejdzie, ślepy. Na księcia jeżeli się już nie zmawiają, no to przynajmniej mruczą, a jak ziemianie krakowscy mrużyć poczną, to do biedy niedaleko. To naród jest bardzo

zapalczywy.

Kietlicz słuchał bacznie.

— A i to jest prawda — kończył stary, długie włosy, wiszące mu z obu stron twarzy,

gładząc chudymi rękami — że na tego księcia Kaźmierza oczy mają wszyscy, bo to jest miękki człek, który by słuchał wszystkich: i biskupów, i władyków, a takiego im potrzeba, bo oni chcą panować, nie słuchać, a księcia mieć tylko na okaz.

Kietlicz głową potakiwał staremu. Ten zza drewnianych balasów, za którymi stał dotychczas, wyszedłszy, zbliżył się do palatyna, aby się ciszej mógł z nim rozmówić.

— Co miłość wasza myśli? Jeżeli się co knuje — dodał — pierwsza rzecz mieć na

Sandomierz oko i ucho. Tam najlepiej poznać można, czy się co gotuje, kto jeździ i posyła. No —

dodał zniżając głos — na to potrzeba człowieka, co by dobrze usłużył, a mnie się zdaje, że ja takiego będę miał.

— Ty? — zapytał Kietlicz zdziwiony.

— Nu! Kto to wie? Ja! — rzekł stary. — Nie jestem pewny, ale mi się coś zdaje.

Tu zatrzymał się trochę.

— Widziała miłość wasza tego ziemianina, co na ostatku kazano mu zapłacić grzywny?

— Tego, co mi się opierał? — mruknął Kietlicz.

— On się opierał? — zapytał Juchim. — Ano, gorąca krew, to nic nie znaczy. Wie miłość

wasza, kto to może być? Jak on się zwie?

— Zabor z Przegaju!

— Ach! — rozśmiał się Juchim. — Ja powiadam, że nie jestem pewny, ale mnie się zdaje,

że ja go znam. On się tego wypiera, a to jest ten Stach z Konar, co księciu Kaźmierzowi dał w policzek, co go końmi szarpać miano.

Kietlicz cofnął się, słuchając, zdumiony mocno.

— Co ci się śni! — zawołał. — Skądże by się wziął, mówiono, że przepadł bez śladu.

— Ja nie jestem pewny — dodał Żyd — ale mam dobre oczy i pamięć dobrą; to on jest! A



jeżeli on, nie może być, ażeby w sercu przeciw Kaźmierzowi jadu nie miał!

— Książę mu darował życie — przerwał Kietlicz.

— Aa! — rzekł Juchim gładząc włosy. — Człowiek zawsze ma największą urazę do tego, co go dobrodziejstwem upokorzył. Tego żaden człowiek nie przebaczy. On go musi nienawidzić, a przez to może nam być przydatny. No i ubogi jest — dodał Żyd ciszej.

To mówiąc, twarz dziwnie wykrzywił, zmrużył jedno oko, usta mu się przeciągnęły.

Kietlicz zamyślił się.

— On mi jest nawet trochę pieniędzy dłużny — dodał Żyd — mogę z nim pogadać.

Kietlicz przerwał zadumę.

— Zuchwalec jest! — rzekł krótko.

— Aa! — zawołał Juchim. — Z ostrym nożem niebezpieczno, to prawda jest, ale on lepiej kraje niż tępy. Człowiek biedny bywa zuchwały z rozpacz. Jeżeli to Stach, a mnie się tak widzi, czemu koło niego nie próbować? Czemu go nie wziąć na żołąd?

Myśl poddana przez skarbnego zdała się przyjmować powoli w Kietliczu, ale ani przyzwalał, ni się z przyjęciem śpieszył.

— Nie jesteście pewni, kto on — rzekł podumawszy — po- próbujcie wprzódę się o tym przekonać. Na dwór do Sandomierza lada kogo posłać nie można! Niepewnego człowieka używać gorzej niż żadnego. To wasza sprawa, no, próbujcie go. Ruszył ramionami.

— Ja mam moich, co mi donoszą — począł ciszej. — Nowych rzeczy się nie dowiem.

Zmowy na nas czynią, zbierają się, jeżdżą, jedni drugich podszczuwają. Kaźmierza oni wszyscy na ustach mają. Chytry wojewoda po nocach jeździ do biskupa, a Gedko wszystko prowadzi, do wszystkiego podburza. Na biskupim dworze wszystkiego złego gniazdo! Książę się nierad porwać na niego; z nim się pojednać, to mu się trzeba pokłonić, na to Mieszko nie przystanie.

Westchnął Kietlicz. Juchim czapeczkę niecierpliwie na głowie poprawił, zdjął ją, włożył i począł, szepcząc z gorącością wielką.

— Aa! Miłościwy panie, jeżeliby się co złego miało stać Najmiłościwшему Księciu naszemu, to kto będzie winien? Chyba on sam. Albo on siły nie ma w rękę? Albo zięciów nie ma takich, co mu dać mogą wojska, choćby na zawojowanie tej ziemi? Albo jemu kto się sprzeciwić

będzie śmiał, gdy karać zechce? Czy to on i do Sandmiera, i na dworzec biskupi nie może sięgnąć? Czy to już nie bywało? Książę Kaźmierz, albo to on nie człowiek? — zakończył Juchim znacząco. — A kto siebie broni — dodał jeszcze — temu wolno wiele, at!

Na tym głośna się skończyła rozmowa, Kietlicz i skarbnik poszli do kąta i szeptać zaczęli.

Przeciągnęło się to dość długo, nareszcie w zgodzie się być zdawali. Kietlicz raźniej izdebkę opuścił, niż wchodził do niej; Juchim zdjął z kołka swój płaszcz, przyodział się i zaryglowawszy drzwi, wolnym krokiem puścił się ku miastu, starając przejść nie postrzeżonym.

ciągnąć. Zdało się to rzeczą niepodobną, bo mąż był Boga się bojący i w latach podeszły,

ale co pięknej a zalotnej niewieście niemożliwe?! Święci pańscy nieraz gorzkimi łzami upadek swój oplakiwali. Dorota jechała potajemnie do Krakowa wiedząc, że wojewoda tam podczas był, z tą myślą upartą, iż go mieć musi. Słała do niego, prosząc o rozmowę, jako biedna wdowa opieki i rady potrzebująca. Wojewoda Szczepan udał się do niej, aby skarg na braci wysłuchać.

Piękna niewiasta dnia tego, choć się żałobno odziała, a łzy z powiek wymusiła, tak się

wystroiła i mówić umiała a przymilać, jednać, patrzeć, wzdychać, uśmiechać, mrugać, że stary wojewoda, któremu, jak powiadano, napoju jeszcze jakiegoś poddała, ledwie pod noc wyrwać się od niej mógł, nie tyle pijany, co upojony.

I stał się cud, że ów oto dziad milczący, zimny, który nigdy na żadną niewiastę nie spojrział, jak zielony młokos przystał do wdowy. Drugiego dnia sam już przyjechał do jej domu, a trzeciego wybrał się na Skąły do niej, i już ludzie dziwowali się a gwarzyli, że go miała, że rzucała nim, jak sama chciała.

Stał się z tego rozgłos wielki, tak że Gedko, biskup krakowski, widząc zgorszenie jawne, bo stary się ze swoją miłością kryć nawet nie umiał, zwołał do siebie krewniaka, a strofował go mocno. Gdy i to nie pomogło, zagroził mu, że będąc w grzechu, ile razy do Krakowa wjeżdżać zechce, każe nań w dzwony bić, jak na jawnego złoczyńcę, aż będzie musiał precz. Uląkł

się trochę wojewoda i opamiętał, ale to krótko jakoś trwało. Dorota, z obawy, aby jej nie porzucił z małym dworem, przebrana, sama pojechała do niego. Wygnać jej nie śmiał i popadł znowu w

dawne zdrożności.

Niewiasta bo była jakby stworzona na pokuszenie ludzkie. Przy najdorodniejszych

mężczyznach gdy stanęła, żaden jej i o pół palca nie przerastał głową, a była tak zbudowaną, iż się przez to wielką nie wydawała. Urodę miała nie tylko twarzy, ale całego ciała tak przedziwną, iż gdy zwyczajem onego czasu włożyła suknię bardzo obcisłą a słała, ludzie stawiali patrzeć jak na cudo.

Przy tym i lice było pańskie a królewskie, oko czarne, ogromne, nasek orli, usta maleńkie, czoło jak ze słoniowej kości utoczone, włos ciemny, gdy go puściła, do kolan sięgał. A wszystko to niczym było przy kunszcie niewieścim uczynienia z siebie, co się jej zamarzyło. Mogła godziny jednej być

straszną i miłą, wesołą i smutną, jak chciała. Łzy rzęciście zawsze w pogotowiu na zawołanie, a w mowie jej nikt też nie sprostał. Na męstwie nie zbywało równie: im trudniejszym co było, tym się chciwiej do tego brała. Z koniem w Wisłę skoczyć, przepłynąć ją, na górę się wdrapać, z urwiska się rzucić, na zwierza się porwać z oszczepem — niczym dla niej było. A zachciało się jej potem doma niewiastą być łagodną i miłą, potrafiła jak najlepiej.

Żeby zaś kogo miłować miała naprawdę, oprócz może powieszzonego owego przez braci

sokolnika, nie wierzył nikt. Z mężczyznami zabawiała się tylko, mieniając ich jako dziecię kukły; jeśli się nawet który więcej podobał, po kilku dniach pewnie pogardliwą dostał odprawę. Ci, którzy u niej łaski wprzód mieli, a potem zostali odegnani, szaleli, chcąc się pomścić; ona się z nich wyśmiewała.

Szydźła też ze starego swego wojewody, który zalecając się młodej wdowie, śmiesznym się stawał, bo córki od niej miał starsze; ale że potrzebowała obrony i opieki, na uwięzi go trzymała.

Bracia, patrząc na to, co Dorota dokazywała, zzymali się i wściekali, ale z wojewodą Szczepanem zadzierać się nie chcieli, mając zawsze nadzieję, że na babę z czasem przyjdzie upamiętanie albo wreszcie znajdzie się dla niej mąż, który płochości jej płaszczem swym pokryje.

Tymczasem po staremu wszystko szło: gdy wojewody nie było, młodzież się w murowance na Skałach zbierała, sprawiano uczyty, przybywali grajkowie, rozlegały się pieśni, wino lało w bród i po nocach otwarte okna gorzały, tak że ludzie pobożni, z dala na nie patrząc, żegnali się.

Miała to do siebie owa Dorota z Tęczyna, że sama zuchwałą będąc nad miarę, najwięcej się rozlubowywała w ludziach mdłych a spokojnych, w nierozgarniętych wyrostkach i w takich, co swej woli mieć nie śmieli. Zresztą byle kto wesół był, niehydsko wyglądał, pieśni zawodzić umiał, do płasów się zdał, głowę miał tęgą, gębę wyprawną, przyjmowała u siebie chętnie. Na te czasy, gdy sama w domu ze dworem być musiała, że samotności znieść nie mogła, trzymała czeladzi i dworzan płci obojej czeredę wielką. Dziewcząt zawsze przy niej bywało dwanaście co

najpiękniejszych a zręcznych, a że z nich często która ubywała, albo za mąż idąc, lub pochwyciona bez wieści przepadając, zaraz na ich miejsce drugie dobierała sobie. Nie obawiała się Dorota, aby przy niej która piękniejszą się wydała, bo miała taki urok, że wszystkie gasiła.

Z różnych jej miłostek przemijających, z których tajemnicy nie czyniła, najniezszczęśliwszą była jedna, z której się wyśmiewano po cichu. Pod ten czas, gdy jeszcze książe Kaźmierz w Krakowie przebywał i dosyć płocho czas trawił, choć na przemiany i mądrymi się zajmował

rzeczami, zobaczyła go Dorota naprzód w ulicy idącego, a że młodzian był bardzo piękny, nad którego chyba we wszystkich tych ziemiach urodziwszego nie było, wpadł jej w oko bardzo.

Wiedziała też, że od niewiast nie stronił, za co go duchowni strofowali i w końcu ożenili, aby odwieść od nich.

Rozmawiała się w nim z dala Dorota, mówiąc sama, że dla tego pana o sokolniku by nawet

zapomniała. Szukała go, zabiegała, w końcu i znalazła, ale Kazmierz, którego o to pomawiano, że dla niewiast słabym był, dla tej się okazał surowym i obojętnym. Czyniła, co tylko mogła, aby się zbliżyć doń, zjednać go sobie: i ten raz się jej nie powiodło. Żał miała wielki, zapomnieć nie umiając tej porażki, tak że często powtarzała: „Nie ma nieszczęśliwszej niewiasty nade mnie: albo mi to, co kocham, śmierć weźmie, lub wstręt ode mnie odpycha.”

Frasowała się tym wielce Dorota, że Kazmierza w swe sieci ułowić nie potrafiła, biadała na to ciągle, a nie wychodziło jej to z myśli i teraz. Ci, co ją znali, zapowiadali, że prędzej, później na swoim postawić musi, bo wiadano powszechnie, iż księcia mimo jego woli z Rusinką ożeniono i serca do niej wielkiego nie miał.

Tymczasem wdowa, choć jej ten Kazmierz w pamięci był, zabawiała się jako przedtem, a co było w Krakowie i okolicy młodzieży, ziemian i rycerzy, ciągnęło do niej na pląsy, uczyty i śpiewy.

Czas tam schodził jak najmilej, choć nieraz zazdrośni się pookrwawiali, a niejedni te rozkosze życiem przypłacił. Starzy ojcowie synom tam na Skałach bywać zakazywali, matki dzieci straszyły Dorotę jak wiedźmą, ale utrzymać było trudno, sama ciekawość ciągnęła, wyrostki i mężowie dojrżeli jak w dym biegli do wdowy.

Tylko gdy się wojewody spodziewano, który widzianym być nie chciał, gości odprawiała

Dorota, inaczej zawsze im była rada. Stoły dzień i noc były pozastawiane, izby pooświecane, grajki brzdąkali, dziewczki śpiewy zawodziły, a wśród tego gwaru i wesela czasem chodziła jak

skamieniała, posępna, a gdy kto do niej przemówił, nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Dnia tego, gdy Stach szczęśliwie się wyrwał spod sądu, a Bogoria z towarzyszami ujęli go

w podwórcu zamkowym, poszli naprzód wszyscy w miasto zażywać dobrej myśli, potem zachciało im się psów, sokołów i koni probować, i puścili się ku Tęczynowi.

Tu zapędziwszy się dość daleko, Bogoria, który wdowę Dorotę dobrze znał, bo nawet przez

dni kilka u niej był w łaskach takich, że się ze Skał nie ruszał i jak w domu się u niej rozgościł, począł drugich pobudzać, aby jechali do wdowy. Wielu się wzdragało, Stach też, który o niej słyszał, brzydził się płochą niewiastą, ale Jaśko nalegać zaczął, upewniając, że długo tam popasać nie będą. Kilku się więc jechać zgodziło, a Stacha tym pobudzili, że mu o zabiegach Doroty około księcia Kazmierza z przypadku opowiadano; skłonił się więc jechać, aby poznać niewiastę, którą za niebezpieczną uważał. Ciągłe myśląc o tym, jak by księciu służyć miał, wziął zaraz do serca, aby bałamuctwu temu, szkodliwemu dlań przeszkadzać.

Droga boczna do dworu wiodła pod górę, wijąc się nad urwiskiem, u którego stał on

drzewami starymi otoczony. Dnia tego pusto jakoś było dokoła, w domu nad pospolity zwyczaj cicho.

Że droga stroma była bardzo, posiadali wszyscy z koni i szli, śmiejąc się, pieszo. Już byli pod dworem, gdy na łące dębami wkoło ostawionej, które się właśnie świeżym liściem okryły, postrzegli Dorotę o pień drzewa opartą, siedzącą na ziemi, samą jedną. Głowę miała w tył

odrzuconą i patrzała kędyś w błękit niebios, gdzie skowronki zwijając się śpiewały. Smutną 'się wydawała i znużoną. Z dala dziewczęta jej uwijające się około domu czekały, aby je zawołała.

Gdy na drodze ukazał się Bogoria i śmiechy słyszeć dały, wdowa popatrzała na przybywających, poznała ich pewnie i chustką, którą miała w ręku, na powitanie powiała.

Stanęli tedy goście przed nią kłaniając się, a Jaśko, który był wygadany i już tu obyty,

wystąpił z przemową. Stacha nie знаła, więc go stawiono przed nią jako Zabora z Przegaju, świeżo ze szpon Kietliczowych szczęśliwie uwolnionego.

Milcząca w początku wdowa wstała, twarz rozchmurzając, bo miała to w naturze, że ją nowi

ludzie najwięcej zabawiali. Jak dziecko zabawkę nową chwytała ich, póki złamawszy rękę lub nogę, precz nie odrzuciła.

Popatrzała na Stacha, który choć do zbytku młodym nie był, przystojną miał twarz i postawę rycerską, wnet poczęła go pytać o to i owo i tak wiodła do dworu. Stacha uderzyło to, że choć słusniejsza wzrostem, śmielsza jeszcze w obejściu, podobną była do Ściborzanki. Lecz gdy tamta na nim czyniła wrażenie miłe, ta mu się wydała wstrętliwą.

Obyczajem było na Panieńskim, że w dolnej izbie wielkiej. przyjęcie i stół zawsze były dla gości gotowe. Skinęła tylko na służbę, wnet niesiono misy i dzbany.

Gospodarzem był stary i siwy Przegala, który ochmistrzował u stołu, wesół zawsze,

przepijał, zachęcał i panią zastępował. Człek był mimo siwego włosu śmieszny jakiś, nikt go nie szanował, naśmiewać się z niego było we zwyczaju. Dorota łajała, goście stroili zeń żarty, on to wszystko znosił, jakby skórę miał łosia i nic przez nią nie czuł. Poszturgano go czasem nawet, na ręce pochwycono, sińce mu się dostały; nie poskarżył się nigdy.

Głodna gromada zaraz się do stołu przysiadła. Izba też owa murowana z głęboko w ścianach

siedzącymi okienkami, z pu- łapem, który miał misterne belkowanie, chłodna, dość jasna, opatrzona w ławy kryte, posypana zielenią, do wesołego wytchnienia dobrze się nadawała.

Chociaż Stach rad by był z dala się trzymać od wdowy i przypatrywać się jej tylko, Dorota nie puściła go, rozpytując o przeszłe życie, o rodzinę, o niego samego, tak że gość był jak na mękach, bo kłamać nie lubił, a tu się ni tym, ni owym zasłaniać musiał, aby się nie wydać, kim był.

Dowiadująca się, kędy bywał, co robił, kogo znał, a zbywając się ciekawej, Stach przebąknął, że i na dworze księcia Kaźmierza był czas jakiś, gdy w zastawie u Rudobrodego siedział.

Zaledwie księcia Kaźmierza wspomniał, gdy niewiastę jakby co poruszyło, uczepliła go się mocniej jeszcze, nie odpuszczając od siebie.

— A miłujecie wy księcia Kaźmierza? — spytała. — Boć to pan, którego nie wiem jak mężczyźni, ale niewiasty wszystkie za nim przepadać muszą!

— Mężczyźni go też kochają — rzekł Stach — bo nie można z nim być, znać go, aby się w nim nie rozmiłować. Niewieściej miłości on nie żądny — dodał — bo miał jej i ma podostatkiem.

Dorota, jakby nie słyszała, mówiła dalej: — O, piękny pan jest jako żaden, królewską krew w nim czuć!

— I serce też królewskie — dorzucił Stach mimo woli.

— O, ja o nim też wiem wiele — mówiła Dorota — bo on u mnie w głowie i sercu od dawna! Albo to nie piękna historia tego Stacha z Konar, niegodziwca, co śmiał go uderzyć, a któremu on tak wspaniale przebaczył?!

Stach głowę spuścił, aby skryć nagle na twarz uderzającą krew. Dorota nie przestawała:

— Wyście powiedzieli, że on miłości niewiast nie żądny, a ja wiem, że tak nie jest. Piękne liczko mu miłe! Żonę mu narzucili, mówią niehożą i niespełna rozumu, miłośnice musi mieć. A czemu by ich nie miał?

— Jako żywo ich nie ma — przerwał Stach — na dworze żadnej nie słychać. Więcej tam

księży niż niewiast, a co z księżną Heleną najechało z Rusi, na to się nikt nie połakomi, bo umyślnie dobierali pono, aby zgorzenia nie było. Dorota się rozśmiała.

— Wy, widać, nie o wszystkim dobrze wiecie — odrzuciła śmiało — ja na pewno wiem, że

choć jedną miłośnicę miał i pewno ją jeszcze ma! Mnie on głowę zawracał ten piękny książę — poczęła z dziwną otwartością — nie sromam się wyznać, że wołałabym go nad was wszystkich, wiele jest!

Uśmiechnęła się lekceważąco, dumnie, Stach na nią spojrział, ciągnęła dalej:

— Był taki czas, żem ja go koniecznie ująć chciała, ale ani patrzeć nie myślał. Zarazem wyrozumiała, że inną krasawicę musi mieć, boby nie oparł się mnie.

Rozśmiała się sucho, przykro, aż po Stachu ciarki poszły.

— Ja, jak mi co na sercu legnie, nie zaśpię, nie spocznę, aż na swoim postawię — mówiła

Dorota.

Stach, którego to paplanie gniewało już, przerwał umyślnie:

— Pewnie miłość wasza tyleście się dowiedzieli, co i cały świat wie. Nietajna to nikomu, że księżę jakąś niewiastę z dawna sobie upodobaną ma, że się do niej wykradał, a choć duchowni karcili, nie porzucił jej pono, ale kto ona i gdzie jest, i jaka, o tym nie wie nikt, i wy, miłościwa pani, wiedzieć nie możecie.

Dorota głową potrząsała.

— Ja pono wiem trochę więcej — dodała dumnie — przyznam się, zem nie doszła, kto ona niewiasta jest, alem widzieć ją widziała!

Stach ciekawie a niedowierzająco popatrzał na nią.

— E e! — syknął na pół szydersko.

— Nabiedowałam dobrze, namarzłam i przymarłam głodem — ciągnęła dalej wdowa — a

było tak, zem ludzi przekupiła, aby wiedzieć, kiedy na te łowy księżę wyjedzie, z których w lasy gdzieś zbiega i znika, i po kilka dni go nie widać. Puściłam się śladami w pogoń za nim, a com twarzy i rąk na- darła o krzaki, tom nie czuła wcale, bo w takiej pogoni, gdyby i głowę urwało, nie zaraz bym się opamiętała.

Wszyscy słuchali ciekawie; nie zmieszana mówiła ciągle Dorota:

— Otóżem ich złapała we dwoje, w chacie na lasach; stałam na czatach, aż póki się nie

rozjechali. Gdy ruszyła, ja w pogoń za nią. W głuchej puszczy, gdy konia już pędzić nie mogła, spotkałyśmy się oko w oko. Hoża dziewczka a śmiała! Spojrzała na mnie, grożąc oszczepem. Myślę, że ubiłaby mnie, gdybym popatrzywszy, nie dała jej ujść, bo po cóż gnać ją było? Chciałam tylko wiedzieć, która z nas piękniejsza.

Stach oczyma zdawał się zadawać pytanie, ale wdowa nie odpowiedziała na nie.

— Myślałam jeszcze zająć ich w chacie, ale jeździć do niej przestali albo ją Kazmierz porzucił może.

— Ludzie o tym plotą baje — odezwał się Stach — prawdy pono nie Avie nikt. Bywałoć co może, ale przebyło pewnie. Pobożny i mądrość miłujący pan, choć młodość miał burzliwą,

ożeniwszy się, starego obyczaju zaniechać musiał. O księżętach radzi ludzie mówią i więcej zawsze, niż prawdy jest.

Dorota rozśmiała się, czarne jej oczy błysnęły straszno i groźno.

— E, ty pobożny człeczku! — zawołała. — Myślicież wy, że kto za młodu skosztował napoju, na starość trzeźwym być może? O, nie! Albo ust weń nie maczać, albo się upijać potrzeba.

Nie będzie ta, będzie druga — dokończyła i nagle zmieniając rozmowę, poczęła całą inną, zwracając się do Bogorii i towarzyszków:

— Cóż u was słyhać w Krakowie? Kochacie bardzo Mieszka, he? Dobry pan, nieprawdaż?

Widziałam go raz, dobrze go Starym nazwali, pewnie młodym nigdy nie był. Wygląda jak niedźwiedź, gdy go z barłogu ruszą, broda mu się rozczochrana do góry zadziera, a usta ma jakby świekiem zabite. He, dobry pan!

— Cóż? Myślicie z nim żyć?! — plotła prędko i żywo. — Niebabska to rzecz, kto tam rozkazuje i rządzi, ale pomyśleć wstyd nawet niewieście, że on wam na łbach kołki cieszę, a wy stoicie jak trusie. E e, z mężów się teraz baby stały, zobaczycie, wkrótce z nas się mężowie porobią!

Za Szczodrego się ziemiaństwo nie dało, za Włodka też nie pozwolili sobie oczów łupić bezkarnie, ano, teraz Kietlicze z wami robiąco chcą!

Stach usta zaciął; prawila mu do smaku, ale że baby nie lubił od pierwszego wejrzenia, potakiwać jej nie chciał.

Ona ciągle mówić jeszcze nie przestawała.

— E e, żebym ja na waszym miejscu była, wiedziałabym, co robić. Mieszka by posłać w pogoń na Niemcy za Władysławem, niechby razem cesarzowi służyli, a Kazmierza na pana wziąć!

Zaraz by nam było raźniej, bo dobry pan, a co mnie, serce by aż poskoczyło, bo do Krakowa niedaleko, taki by choć spojrzął!

Rozśmiała się pokazując zębki białe, wstydu najmniej nie okazała, tak jej to szło z ust, jakby nie czuła nawet, że zasromać się była powinna.

Jaśko Bogoria stojący blisko, wysłuchawszy, co mówiła, skinął ku niej.

— Nie od rzeczy mówicie — odezwał się — ale kto co poczynać chce, zawczasu nie trąbi z



wieży. Jak do was pan wojewoda Szczepan przyjedzie, z którym wy czynicie, co chcecie, jemu o tym szepnijcie. Oni we dwu z księdzem biskupem więcej mogą niż nas stu.

Na wspomnienie o wojewodzie Dorota uśmiechnęła się inaczej, brwi się jej namarszczyły, cisnęła na Bogorię liśćmi, które trzymała w ręku.

— Co ty mnie wojewodą oczy będziesz wypiekał? — odezwała się. — Myślisz, że ja się tego starego dziada wstydzę? Ze się wypieram, iż go na powrozie trzymam? A choć biskup go za mnie wyklina, ja odczyniam śmiechem klątwy biskupie! Ej ej, toć to moja pociecha! Co za dziw, że młodzi szaleją za mną? Suche takie próchno przegniłe rozgorzeć — to dopiero nie każda potrafi.

— Wojewody — dodała — (o wilku prawisz) tylko co nie widać, dlategoście mnie zastali samą i zasepioną. Dziad mnie nudzi, a do śmiechu zazdrosny jest, sam by rad być i wszystkich ode mnie poprzepędzać! Obejrzała się dokoła.

— Byle go oznajmili — rzekła — i wy się sobie wynoście, nie chcę, aby mi się sierdził, a bez niego panom braci się nie oprę.

— Pójdziemy my i sami — przerwał Bogoria. — Zagadajcież o królewiczu Kaźmierzu wojewodzie, ano bacznie, bo jak poczuje, że wam on miły, to go do Krakowa nie wprowadzi.

— A wy mnie nie uczcie! — odparła Dorota. — Będę ja wiedziała, jak mówić z nim.

Zamyśliła się piękna gospodyni i na chwilę umilkła.

Poważniejsza nieco rozmowa, niedługo potrwawszy, wrędcę się na żarty i zaloty śmiałe do

zbytku zmieniała, ale Dorota tego dnia serca nie miała do nich, myślą była gdzie indziej, spoglądała oknami na drogę ku Krakowu, niepokoiła się widocznie, a goście, co się trochę rozruszali, wzrokiem jej i mową onieśmieleni, stygli i milkli.

Stach byłby się dawno wyrwał z tej niemiłej gościny, która mu wcale nie smakowała, ale

nowy człek jeszcze miał od innych więcej łaski, nie puszczano go a z nim i drugich; i dotrwać musiał, aż nadbiegł stary Przegala oznajmując, iż wojewodę na gościńcu ujrzano.

Znakiem to było dla młodzieży, aby się chyłkiem wynosiła. Bogoria, pozartowawszy z

wdowy wesoło, wziął odprawę i obiecał swoich poprowadzić boczną drogą, tak aby się z

Pobożaninem nie spotkali. Wdowa, słuchając tej obietnicy, ramionami ruszyła, jakby jej to było obojętnym.

Jeszcze Jaśko z towarzyszami ledwie był na bocznej drożynie za wrotami, gdy spostrzegli mały i skromny orszak gościńcem, po cichu i jakby ostrożnie, podążający ku dziedzińcowi. Stawał on i rozpatrywał się, a przysłuchiwał; wysłano człeka na zwiady. Wojewoda, który zawsze co najmniej po kilkadziesiąt koni z sobą prowadził, miał ich teraz tylko kilka; ale skromny swój, zwykły ubiór powszedni na bardzo pyszny i okazały strój zamienił. Wjeżdżając już we wrota, jeszcze, jakby się obawiał być spostrzeżonym, oczyma naprzód powiódł po dziedzińcu ku dworowi, a nie znalazłszy ani koni, ani ludzi, ani zwykłej tu wrzawy, raźniej pode drzwi podjechał. Widać było samą panią, która na spotkanie jego wychodziła.

Stary aż nadto żwawo na swój wiek, udając młodego, spuścił się z konia i podbiegł ku wdowie. Z nią razem znikli, wchodząc do sieni. Widocznym było z niespokojnych ruchów i twarzy Pobożanina, że się sromił tego, co czynił, a namiętność go wiodła silniejsza nad srom i postanowienie, nad groźby i przestrogi biskupie.

Razem z wdową weszli do wielkiej izby, ale tu pozostały *świeże* ślady po gościach, które wdowa ukryć chciała i poszeptawszy coś, posunęła się z nim razem do bocznej komory. Tu znać było dobrze zalotną zbytnicę, żadna królowa pewnie kosztowniej ustrojonej sypialni nie miała.

Wszystko, na co się ów wiek mógł zdobyć, składało się na jej upiększenie. Od rana podłoga posypana była wonnym zieleńcem i kwiatami, których zapach odurzał. Po rogach stały całe rozkwitłe i jak śniegiem osypane gałęzie czeremchy, przyniesione z lasu. Na ścianach wisały opony od jedwabów i złota, część podłogi zasłana była sukniem, a sprzęt w większej części poobijany złotymi blaszkami świecił i połyskiwał. Na stole w pośrodku stały dla oka więcej niż dla użytku zręcznie dobrane naczynia złociste, ze szkła kolorowego, nasadzone kamieniami, w kształcie zwierząt i ptaków, emaliami okryte. Na ścianach też, na oponach pozawieszane były błyszczące naramienniki, sznury pereł, koralów i bursztynu. Srebrne konwie i misy stały u łóżka, około którego fioletowa zasłona, drogo ceniona wówczas dla barwy swojej, spadała w fałdach bogatych, obramowana złotem.

W tej izbie tak strojonej, pełnej woni i barw, w półmroku zlewających się w mozaikę różnokolorową, piękna wdowa rzuciła się na pozłociste krzesło, poduszkami wysłane miękkimi, siadła w postawie wyzywającej i zalotnej, a wojewodzie wskazała wygodną ławę, którą on zajął uśmiechnięty, usiłując się jak najbardziej do niej przybliżyć.

— A! Królowko ty moja! — zawołał głosem drżącym. — Tęskniłemże ja, tęsknił za tobą! A

tu się ani wyrwać! Biskup bez miłosierdzia klątwą straszy. Musiałem, Panie przebacz, zwodząc go, udać się w drugą stronę i cichaczem manowcami nocą ku tobie podążyć, ludzi moich porzuciwszy w obozie.

— I chwalicie się z tym — przerwała Dorota — jakbym to ja tego nie była warta? —

Poczęła się śmiać przymuszonym śmiechem. — E, ty stary! Ty stary!

— Choćbym życiem nałożył, nie pożałuję go dla ciebie! — dodał wojewoda bijąc się w piersi.

Popatrzała nań Dorota, ale w jej wzroku czułości nie było, trochę tylko litości, a dużo pogardy.

— Biskupa się, widzę, więcej niżeli mnie boicie — odezwała się. — Niech on lepiej swoich księży pilnuje, aby po dwie i trzy żony nie trzymali i brody golili. — Rozśmiała się znowu. — A!

Ten wasz Gedko! — dodała.

— Gedko mi powinowatym jest, a miłosierdzia nie ma nade mną — począł wojewoda. —

Przecie i drudzy nie lepsi ode mnie, choć starzy i żonaci, duchowni i świeccy, którzy z nich kochania jakiego nie ma? A mnie biskup karci i smaga dlatego, że na widoku stoję. Od klątwy ledwie się wypraszam!

Wdowa nie zdawała się bardzo zabawiać tą rozmową, patrzyła na wojewodę i uśmiechała się niepocziwie, szydersko.

— Przecież — dodała — biskup was potrzebować musi i nie obejdzie się, jeśli z księciem chce rozpocząć sprawę.

Wojewoda zamilkł nagle jakby przestraszony.

— Jaką sprawę?! — zawołał. — Skąd wy o tym wiecie?!

— E, wróble już o tym na dachach ziemiańskich gródków świergocą — rzekła Dorota — a wy jeszcze chcecie z tego przede mną czynić tajemnicę.

I ręką zamachnęła około twarzy starego, jakby go uderzyć chciała. A wojewoda, pochwyciwszy ją, namiętnie ścisnąć i całować począł, pewnie naraz o księciu i biskupie zapomniawszy.

— Ja — szepnęła Dorota — chcę wiedzieć o wszystkim.

— O czymże?

— Co z Mieszkiem myślicie uczynić?

— A cóż my z nim czynić mamy? — wyjąknął zafrasowany stary.

Dorota pogroziła mu.

— Cóż? Dobrze wam z nim?

— Dobrze czy nie, przecież to tak z panem zwierzchnim niełatwo.

Wdowa usteczka wykrzywiła.

— Nie chcecie przede mną prawdy powiedzieć, bom niewiasta długowłosa i długojęzyczna.

Mniejsza o to! Wiem przecie dobrze, iż ziemianie z Mieszka nieradzi, a więcej jeszcze z Kietlicza.

— To nie tajemnica dla nikogo — odparł wojewoda — przecie probować potrzeba, nie

tykając księcia, Kietlicza wygnąć. Tak ci bywało z Sieciechem i z Dobkiem, gdyby w czas go odegnali, nie poszedłby Władysław precz.

— Wyście tchórze i miękkich serc ludzie — przerwała Dorota — jeśli wam Mieszek dobry,

niech na karkach siedzi; Kietlicza nie stanie, znajdzie się drugi. Wyrwiecie babie pomiotło, to weźmie kociubę; baby się zbyć trzeba, aby koniec był!

Pobożanin, zatopiony w frasobliwej zadumie, nierychło mówić począł.

— Biskup — rzekł — musi użyć naprzód wszelkich środków upamiętania księcia, nim

wyrzeczę słowo ostatnie, które zaważy. Biskup...

Dorota mu nie dała dokończyć.

— E, słowo, słowo! Co tu po słowach?! — rozśmiała się lekceważąco. — Weźcie za miecze

i tarcze, one tu potrzebniejsze od grózb i napomnień biskupich. A co pomogło, gdy gnieźnieński Włodzisława wyklinał? Macie księcia Kaźmierza pod bokiem, z którym by wam było jak najlepiej, a wolicie Starego tego cierpieć!

Na wspomnienie Kaźmierza wojewoda niespokojnie z siedzenia się ruszył.

— Najmilejsza królowko moja — zawołał czule — jam do was przybył zapomnieć o

wszystkim, upoić się wami, a wy mnie książętami karmicie, których ja mam do syta, i nędzą moją powszednią! Dajcież bo mi lepiej w oczy wasze popatrzeć i... — wojewodzie splątał się język.

Rozmówiony starzec drżący tak był śmiesznym, gdy powagę swą na młodzieńczą swawolę chciał mieniać, iż Dorota mu się w oczy rozśmiała.

— E, stary ty grzybie — przerwała mu nagle — młodości ci się zachciewa! Biedaku ty, nie wraca ona, nie wraca!

Purpurą okryła się twarz wojewody, który bliskim był gniewu, ale dość było wdowie spojrzenia nań, aby nie chcąc go przywozić do rozpacz, zmieniła ton natychmiast. Białą rączką pogłaskała po zmarszczonej twarzy i tym trochę ułagodźszy, klasnęła w ręce.

Dwoje dziewcząt z długimi kosami, w białych, obcisłych sukienkach, w wiankach różanych na głowach, wbiegły na próg.

— Hej, żywo, grzanego wina dla pana!

Był to środek, którego zwykle używała Dorota, aby się trochę jego pieśczoć i umizgów pozbyła. Wniesiono zaraz dzban pozłocisty i kubki, sama nalała mu po brzegi. Wzdragał się zrazu, bo znał napój zdradliwy.

— Dla miłości i dla rozkazania mojego musicie pić! — zawołała i sama mu do ust, śmiejąc się, kubek przyłożyła.

Patrząc jej w oczy, rad nierad, wojewoda pić musiał. Wnet Dorota, unikając czulszych rozmów, zagadnęła o sprawy poważne.

— Nie myślcie — rzekła — że ja darmo się tak troszczę, co się z Mieszkiem stanie.

Rozumiecie to, że bracia, którzy czyhają na mnie, nienawidzą, radzi by mnie pochwyć i zamknąć, u Mieszka służą, jemu dworują, i z Kietliczem na mnie zmowy czynią. Jeżeli Mieszko rządzić będzie, mnie chyba w świat przyjdzie uciekać.

Wojewoda się porwał gwałtownie.

— Do tego nie dopuszczę! — zawołał. — Gdyby, uchowaj Boże, targnąć się i porwać was śmieli, z wojskiem bym na Tęczyn poszedł i zdobył go, aby was uwolnić!

— I nimbyście go zdobyli, bracia by mnie udusić dali! —

odparła Dorota. — Nie ma co czekać, panie wojewodo, chce się wam ze mną spokojnie

siedzieć i zalecać się, myślcie zawczasu o Mieszku i o Kietliczu. Muszą oni precz iść!

To mówiąc, staremu drugi kubek naląła, a że się opierał znowu, poddała mu go do ust ręką własną, gładząc drugą po twarzy.

— Ano, pijcie! — rzekła, swawolnie nóżką tupiąc. — Nie wiecie chyba, że wino was odmładza, rumieni się zaraz twarz, oczy pobłyskują, zarażecie inni! Pij, miły wojewodo, pij!

Oczarowany starzec, chciał ją wpół ująć ręką, ale mu się zręcznie wyśliznęła. Musiał naprzód spełnić kubek, po którym, gdy go wino grzane a korzenne rozmarzać zaczęło, pochylił się na poręcz ławy i westchnął. Czuł, że mu ono nie dodawało sił, a odejmowało.

Dorota siadła opodal trochę, dała znak, z drugiej izby ode drzwi ozwała się pieśń dziewcząt, która miała do reszty starego rozmarzyć gacha. Była już teraz uspokojoną, że zbyt natarczywym nie będzie.

Trzeci kubek rozpaczliwie sam już wychylił za zdrowie gospodyni i tak w nią patrząc nieruchomy, przykuty do ławy, pozostał z oczyma osłupiałymi.

## IX

W rozwartym oknie biskupiego dworu w Krakowie, w jednej z izb jego przedniejszych, której ściany ciemnym obiciem były pokryte i zawieszzone godłami pobożnymi, stał mąż lat średnich, z twarzą posępną, zadumany.

Chociażby nie miał na sobie stroju duchownego, krzyża złocistego na piersiach i ogromnego pierścienia na palcu, choćby miejsce, w którym się znajdował, nie kazało się domyślać jednego z najwyższych dostojników, z postawy i twarzy wszędzie w nim łatwo było poznać człowieka wielkiego rodu, ciężkie brzemie dźwigającego na ramionach.

Twarz to była już długimi laty jak wyrzeźbiona do infuły, usta nawykłe do

błogosławieństwa i nauczania, rzekłbyś jedna z tych głów cesarów rzymskich, w twardym kamieniu wyrzezana, co się wiekom oparła, świadcząc, jakiego majestatu panowie ziemią dawniej władali.

Czoło wysokie jak kopuła świątyni, siwiejącymi włosy gdyby wieńcem opasane, mimo zmarszczek, które myśli na nim porały, wypogodzone było siłą woli. Spod niego patrzyło oczu dwoje wielkich, jasnych, niezamglonych, choć barwy lazuruwej, i razem łagodnych. Usta, około których

pofałdowała się twarz pełna, wyraz miały zgodny z wejrzeniem, namaszczone były dobrocią razem i ukrzepione siłą. Całość przedstawiała piękne, harmonijne oblicze, choć ze śladów na nim

pozostałych widać było, że się ono ogniem i potęgą wielką zmienić mogło w groźne i niezłagane.

Cała postać odpowiadała wspaniałej głowie, a była krzepką, silną, pełną, choć nierozrosłą zbytecznie. Pół kapłana, pół rycerza, coś królewskiego w nim było, a więcej nad wszystko spokoju i majestatu, jaki daje poczucie własnej potęgi.

Był to Gedko Gryf, biskup krakowski, po gnieźnieńskim metropolicie pierwszy w Kościele dostojnik, a ze stanowiska swojego przy głównej państwa stolicy, u boku najwyższego księcia, często większego wpływu i znaczenia na losy kraju od samego arcybiskupa.

Kraków liczył się za gród główny, w Krakowie wiązały się i rozwiązywały sprawy państwa, ziemiaństwo też i duchowieństwo krakowskie nad inne miały powagę większą i przewagę.

Duchowieństwu zarówno i ziemianom przodował biskup. Władzy książęcej można się było naówczas opierać i ziemianie butni porywali się na nią łącno, na powagę ojca i pasterza nikt nastawać nie śmiał. Biskup był tu panem istotnym.

Szczęśliwą też była ta stolica, że na niej jeden po drugim zasiadali mężowie dorośli do wysokiego swego stanowiska: po Rupercie — Cholewa, po Cholewie — Gedko. Takich właśnie potrzeba naówczas było państwu i Kościołowi. Łagodny Rupert zajmował się budową katedry,

Cholewa uczony światło szerzył i uczonych garnął ku sobie, dowcipem swym rozbudzając umysły, Gedko pod te czasy grożące niespokojem, gdy ziemianie, z panów swych nieradzi, burzyli się, stawiać im ostro, musiał najwyższą władzę w silnym trzymać ręką, aby jej między siebie nie rozerwało niespokojne rycerstwo. Gdyby jej nie ujął w dłoń żelazną, zamieszkom i bezrządom nie byłoby końca.

Od Szczodrego już rosła moc ziemian, którzy z duchowieństwem razem wyparli zabójcę biskupa na wygnanie. Od tej pory ziemianie coraz głośniej sobie przyznawali prawo stanowienia panów i zrzucania ich, gdyby nie po myśli im rządzili. Miał książę prawo, nie pytając nikogo, łeb dać uciąć ziemianinowi, ale gdy się zań butne rody ujęły, precz też iść musiał.

Gedko nie od dziś w rozmyślaniu pędził godziny swe i rozterce z sobą. Widział on, co się działo: na Kietlicza wykrzyki- wano, odgrazano się na księcia, zjazdy po zjazdach się mnożyły. W

Krakowie, po gródkach tu i owdzie już coraz głośniej przebąkiwano, że Kaźmierz lepszym by był, że potrwa-li Mieczysław, swoboda, i prawo ziemian za niego przepadną. Duchowieństwu też

zagrozała samowola księcia, bo nietajnym było, iż Mieszko się i na biskupów odgrazał, że ich do posłuszeństwa przywiedzie. Trzeba było ratować kraj od zamieszania i samowoli.

Biskup dnia tego wysłał był właśnie po wojewodę Szczepana, który mu powinowatym był i

we wszystkim szedł za nim. Gedko znał jego nieszczęśliwe miłości i oburzał się na nie, ale bez Szczepana obejść się nie mógł. Postanowił więc razem zagrozić mu i przywieść do upamiętania, a naradzić się, co czynić przystało, aby się uciskowi oprzeć i praw swych bronić.

Wysłany w ślad za wojewodą dworzanin biskupi Samko pojechał był, języka dostawszy, do

dworu wojewody w mil kilka od Krakowa, ku górcom położonego. Zastał tam orszak jego, dwór i kilkuset ludzi leżących obozem. Powiedziano mu zrazu, że Pobożanin chory był, że widzieć go podczas nie mógł, ale sprawny Samko rychło się dorozumiał, iż wojewody na dworze nie było, a kędy go szukać miał, o tym mu powiadać nie potrzebowano.

Miłości wojewodzińskie, o których już raz dzwony krakowskie z rozkazu biskupiego

głosiły, nikomu nie były tajne, namyślał się więc krótko Samko, co miał czynić, i że sprawa ważną była, ruszył zaraz nazad wprost na Panieńskie Skały. Tu przybywszy i ludzi wojewody znalazłszy, mocno ich zmieszał tym, że biskupi poseł na gorącym ich złapał uczynku. Koniuszy Pobożanina, wierny jego sługa nieodstępny, który mu wszędzie towarzyszył, natychmiast do dworu pobiegł oznajmić panu.

Wojewoda właśnie upojony słuchał pieśni, oczyma chodząc za wdową, która mu się

szydersko uśmiechała i starała uspokoić, aby sobie marząc wypoczywał, gdy koniuszy i ochmistrz Przegala nadbiegli, dając staremu znaki. Zrazu upojony nie zrozumiał ich. Wyszła sama Dorota do nich, a dowiedziawszy się o posłańcu, gniewna wypchnęła zaraz wojewodę, aby biedę łatał, jak chciał.

— Biskup nie ma wiedzieć, żeś tu był — rzekła rozkazująco i gniewnie — dosyć już na mnie nawieszali sromu. Czyń, co chcesz!

Wybiegł stary do podsienia na nogach się chwiejąc, bo mu wino w głowie szumiało, strapiony i zburzony. Tu koniuszy nań czekał i rzekł krótko:

— Samko, posłaniec biskupi, przytarł aż tu, widział nas, domaga się gwałtem do miłości waszej.

— A niech idzie na wskroś ziemi! — krzyknął w uniesieniu wojewoda. — Niech przepada!

Ubij go, rób z nim, co chcesz, a mnie tu nie było i nie ma! Słyszysz?! Zapakuj mu gębę złotem, aby milczał. Nie ma mnie tu, nie było; niech idzie precz do kulawego szatana, szpieg ten niegodziwy! Kto mu o mnie powiedział, kto zdradził, bodaj go pioruny paliły! Ja jutro do biskupa przybędę!



Koniuszy chciał coś odpowiedzieć, gdy wojewoda dodał pospiesznie:

— Daj mu, co sam chcesz, łańcuch z szyi, kiesę moją całą, aby mi przed biskupem milczał

Mnie tu nie ma! Nie ma! Nie ma! Nie było nigdy! Niech mi się stąd wynosi!

Tak odprawiony koniuszy pobiegł posłuszny pańską sprawę naprawiać, lecz źle stała.

Samko, dworzanin biskupa, przyjąć nic nie chciał, milczeć obiecywał, ale się domagał, aby wojewoda zaraz z nim jechał do Krakowa. Gdy koniuszy z tym do starego pana powrócił, wyszła doń razem z wojewodą Dorota; rozsierdziwszy się mocno, jak to jej było łatwo. Wnet wojewodzie płaszcz podawać kazała, miecz przypasać, konia doprowadzać, aby nie mieszkając jechał.

Stary gniewał się, opierał, modlił, prosząc do jutrzejszego ranka; nie pomogło nic. Dorota rozkazywała, słuchać musiał. Co się tam przekleństw posypało po cichu, zliczyć nie można. Kazano na kilkoro staj przodem jechać posłańcowi biskupiemu, a otrzeźwiony już wojewoda, rad nierad, konia dosiadł i kazawszy go przez las i wąwozy w ręku wieść przy łuczycach, nie pożegnany prawie, ruszył nocą już ku Krakowu.

Po kilku dniach ciepłych jak na biedę od Tatrów ciągnęła burza, chmury ciemne waliły,

błyskało z dala strasznie i nimby wojewoda do miasta się dostał, ulewa się obiecywała. Jechać przeto musiał, gniew mu siły dodawał i gorącości młodzieńczej. Ochłonał rychło z miłosnych zapałów i sam już je teraz sobie wyrzucał, sromając się po czasie. Nadciągała nawałnica, pioruny zaczynały trzaskać w okoliczne drzewa, gdy po utrapionej tej wędrowce nocnej wojewoda stanął na dworcu biskupim. Było późno, ale się jeszcze u Gedki świeciło, bo czekał na wojewodę; modlił się i sen go nie brał. Właśnie kończył pacierze, gdy Szczepana mu oznajmiono.

Wyszedł kapłan z surową twarzą przeciwko niemu, ale że obcy ludzie byli przytomni w

pierwszej izbie, rękę dał do pocałowania i nic nie mówiąc, powiódł przybyłego za sobą. Wojewoda szedł czując winę swoją, gotując się na wyrzuty, upokorzony, milczący, zawstydzony, gdyż

wiedział, że Gedko się domyśli, skąd go ściągnięto. Choćby mu o tym nikt nie powiadał, gdzie znaleziono starego, ze zdradzieckiej twarzy starca byłby odgadł winę.

Zamknęły się drzwi za nimi, Gedko odwrócił się do krewniaka stojącego w pokornej

postawie, popatrzył nań i poruszył głową.

— Szczepanie mój — ozwał się ręce załamując — będziesz ty wiecznie zakamieniałym

grzesznikiem?

Wojewoda podniósł głowę milczący.

— Widzę z twarzy twej, na której się poczciwsze od ciebie odbiło sumienie, że znowu

popadłeś w sidła wszetecznicy! Miłościwy Boże! Policzże się z latami, rachuj z sumieniem, rozum powołaj, patrz na dostojęństwo, które ci w ręce dano. A godziż się to? a godzi?

Szczepan bełkotał:

— Ojczy mój, ale cóż... cóż się stało?

— Ja o niczym nie wiem — rzekł Gedko — ale ty sam się obwiniasz. Nie masz wejrzenia i twarzy człowieka, co staje z czystym sumieniem.

Ręce załamywał biskup. Wojewoda po spotniałym czole powiódł dłonią drżącą, jakby z niego zetrzeć chciał ślady myśli, i westchnął głęboko, bijąc się w piersi.

— Bracie kochany — mówił Gedko — ty i ja stojemy na straży poczciwości ziemi tej. Cóż będzie, gdy ta straż sama jawno grzeszną się stanie? Gdy sól ziemi tej zwietrzeje? Małym jest grzech jeden, ale jak plugawy robak mnoży się on w tysiące. Nie swój tylko grzech, ale zrodzone z niego mieć będziesz na swym sumieniu, a ja — wasze wszystkie, jeżeli im pobłażę.

Powietrze to, którym na biskupstwie oddychał, zdało się odczyniać na niego; wojewoda upokorzony ciągle się bił w piersi i stękał.

— Ojczy mój — wyjąknął — winienem, ale poprawę obiecuję.

— Nie dosyć jej chcieć — zawołał biskup — trzeba na nią pracować! Znasz słabość swą, uciekaj od tego, co ją sprowadza! Nie idź tam, gdzie upadasz! Bracie mój, bracie — dodał coraz silniej — ty mi zakrwawiasz serce! Ja cię kocham, a muszę ci być sędzią i katem, bo bym z tobą winę dzielił. Gdy nie pomoże nic, świecę wezmę i rzucę, i wyklnę cię, do kościoła nie puszczę, z miasta znowu wydzwonię.

Wojewoda po rękach go całował.

— Ojczulku — rzekł — nie będę! Niech lichy porwie tego szatana niewiastę, urok rzuciła na mnie, przysięgam ci, sromam się, płaczę, a siła jej nieczysta wlecze mnie.

Biskup krzyż zrobił nad pochyloną jego głową.

— *Vade retro satanas!* — szepnął.

Zadumany parę razy przeszedł się po izbie, dając odetchnąć wojewodzie, który wzdychał i ciągle pot z czoła ocierał, choć go już na nim nie było.

— Zbierzże myśli — mówił biskup po chwili — bo nie o tobie i nie o płochych sprawach twych mówić mamy, ale o tym, co nad wszystko waży.

Zwrócił się ku niemu.

— Tak, radzić potrzeba a niepłochy. Pora po temu. Ziemianie na skargi do mnie płyną,

zżymają się, srożą, burzą. Na zamku też same pogrozki słyszać. Na nas teraz leży wszystko. Książę Mieszko słucha Kietlicza, obcego człeka, lekceważy sobie ziemian i rycerzy swych, ufa w siły cudze. Mało tego, wczora na zamku, gdy mu zauszniak doniósł, że biskupi i duchowni na zajazdy majątności swoich się uskarżają, rzekł, co kapelan słyszał: „Biskupów tak potrafię obuzdać, jako innych, poddani moi są.”

— Słyszysz? — dodał Gedko. — Świętokradzkie słowo! Porwą się na nas. A kto swobód

ziemian i praw wszelkich, ludzkich i bożych, strzec będzie? Kto? Pójdzie samowola rozpasana po gardłach waszych. Dał już przykład Bolesta, że na biskupa porwać się można, gdy Wenera

nieszczęśliwego zamordował, dali przykład Kościeszce, gdy u mszy świętej przy ołtarzu Magnusa wrocławskiego zabili. Wprawdzieśmy po pierwszej zbrodni z Piotrem arcybiskupem i Bernardem chwycili winowajcę, osadzili go i dali zżec na stosie, ale przykład zły nasienie po sobie zostawia.

Nie uszło bezkarnie morderstwo kasztelanowi Bolescie, Mieszkowi może iść płazem, silniejszy jest.

— A, nie może to być! — zawołał wojewoda.

— Ani ja chcę wierzyć temu — mówił biskup dalej — aby ze krwi świątobliwego

Krzywousta miał taki powstać wyrodek, który by zbrodnią na pomazańcu bożym spełnioną się pokalał, a jednak wcześniej radzić potrzeba. Od ziemian się gwałty poczynają, na nas skończą.

Przeszedł się Gedko po izbie, wojewoda stał z rękami założonymi.

— Czyżbyśmy już byli zmuszeni o innym panu myśleć? — szepnął nieśmiało.

— Chyba gdy już żadnego innego nie będzie ratunku — odrzekł biskup. — Póki nadzieja w

Bogu, na wojnę domową hasła dawać się lekko nie godzi. Mieszko jeszcze upamiętać się może.

— Podżegacza oddalić trzeba — rzekł wojewoda.

— Ziemianie — ciągnął dalej Gedko — już, za gorąco biorąc krzywdy swoje, o Kazmierzu

przebąkują, wzięli się żywo do popierania go na stolicę. Znam ci i ja tego dobrego, pobożnego, czcigodnego księcia, który najwyższej władzy jest godzien, ale anim pewny, czy ją przyjmie, bo

dwakroć odmawiał, ani wiem, czy godzi się okładać go tym brzemieniem.

— Cóż więc myślicie? — zapytał wojewoda.

— Chcę wyczerpać środki wszelkie — rzekł biskup. — Nie oddalajcie się ani na chwilę stąd, bo i dzień jeden wiele dziś stanowić może. Wstrzymujcie ziemian waszych, aby

nierozważnych kroków nie uczynili, stójcie przy mnie, potrzebuję was. Zrozpaczym-li o Mieszku, niech się dzieje wola boża! Pismo święte powiada: „Godzi się, aby jeden człowiek ginął, gdy przezeń lud ma być wybawiony.” A tu i nie o los ludu idzie, ale o władzę Rzymu najwyższą i o prawa tej ziemi naszej. Jeśli to wszystko dla jednego ma przepadać człowieka, ocalić musimy prawa, choćby przyszło go skazać!

Słuchał, nie odzywając się, wojewoda, przybity widocznie.

— Na zamku dawno nie bywałem — rzekł Gedko — wiem, że tam na mnie kosym okiem

patrzą, ale jutro na sądy pojedę, a jako pasterz tej owczarni, obowiązek mój spełnię. Tu biskup zawahał się nieco. — Wy bądźcie w pogotowiu stawać w mojej obronie, jeśli bym jej potrzebował.

Z tego, co od zamku zawiewa, wnosząc, groźno tam dla mnie być może. Nie ulęknę się przecież, ale chcę, byście wy pogotowiu stali i gwałtu jakiego nie dopuścili.

— Na jakież gwałt ważyć się mogą? — zapytał Pobożanin przejęty i nastraszone, zbliżając się do biskupa.

— Na wszelaki — odparł Gedko spokojnie. — Alboż Szczodry nie zarąbał u ołtarza poprzednika mojego, a ten mi nie jest przykładem, co w zaślepieniu stać się może?

Wojewoda wzdrygnął się zaprzeczając.

— A! Nie, to być nie może! Wysłuchał go biskup niestrwożony.

— Chcesz posłyszeć, co na zamku śpiewają? — zapytał. — Będziesz miał sprawę.

Uderzył w dłonie, i wszedł kleryk, który w drugiej izbie czekał.

— Ojca Siegfrieda proście do mnie, boć do snu pewnie się nie udał jeszcze.

Kleryk wyszedł pospiesznie, a po krótkiej chwili, z pokornym pokłonem, w długiej sukni czarnej zjawił się mężczyzna młody, blady; przyklęknął przed biskupem i w rękę go pocałował.

— Ojczy Siegfriedzie — odezwał się Gedko — powiedzcie, coście na zamku słyszeli. Nie

tajono się z tym przed wami, nie podsłuchiwałoście, chciano, aby o tym wiadomość doszła do mnie.

Mów.

Kapłan, chwilę pomyślawszy, rzekł głosem stłumionym:

— Kietlicz począł naprzód oskarżać ziemian o spiski, potem duchownych, że z nimi są we

spółce. Otwarcie wymienił imię pasterza naszego dowodząc, że nie tylko u ziemian, ale i na biskupstwie już mowa jest i zmowa, aby powołać księcia Kaźmierza. Książę się począł śmiać z tego i szydził. A gdy Kietlicz ponownie dowodzić usiłował, iż duchowni wszyscy rękę do tego przyłożą pewnie, bo się na gwałty i zajeżdżane majątności żalą, rzekł książę: „Biskupów tak posądzam do ciemnic albo precz z kraju wyżenę, jak i prostych ludzi. Niech ołtarza pilnują i Boga chwala, a w moje sprawy się im mięszać — wara! Pierwszy ksiądz Gedko pójdzie na wygnanie, niech się w Rzymie skarży, znajdę ja na to sposoby, aby posłuchanym nic był. Na jego miejsce powołam

takiego, co mnie słuchać będzie. Nieposłuszny, choćby najwyżej siedział, ściągnę go z wyżyny i zgniotę, a na dostojęństwo zważać nie będę.”

Gedko spojrział na wojewodę, który znów rękę załamał.

— Idź, ojcze Siegfriedzie, na spoczynek — dodał biskup — chciałem, abyś mi był

świadkiem. Niech ludzie wiedzą, co nam zgotowano.

Gdy ksiądz wyszedł, Szczepan się długo na słowo zebrać nie mógł.

— A wy, ojcze — rzekł wreście — jeszcze się czego po Mieszku spodziewacie?

— Tak, dziecko moje, bo znam jak wielka przestrzeń dzieli słowo od czynu. Rzecz się słowo płocze łatwo, gdy gniew oczy zaciągnie, ale porwać się ręką — niełacno. Zadrzy ręka i serce.

A i o tym wiedzieć powinniście, że gdzie słowo łatwe i bujne, tam po nim rzadko czyn idzie. Spali się ogień cały na mowę, nie stanie sił na nic więcej.

Słuchaj więc — kończył biskup — bądź ty przygotowanym i ludzi miej pogotowiu;

zobaczemy, co czynić mamy. Nie upamięta się Mieszko, Bóg miłosierny przebaczy, musimy

nastąpić nań i niech padnie! — dodał głosem uroczystym. — Niech tak padnie, jako padł Szczodry i brat Mieszków, Władysław, niech padnie.

Tymi wielką groźbą brzemiennymi słowy pożegnał wojewodę, a gdy ten go w rękę całował,

błogosławiąc go szepnął jeszcze:

— Bracie, bracie, uczyni, jakoś obiecał, kajaj się, popraw! Nie chcesz-li mieć nieprzyjaciela we mnie!

Miasto całe już spało, gdy Szczepan z biskupiego dworca na swój wojewodziński powracał

dla spoczynku. Potrzebował go starzec utrapiony wielce i złamany przygodami dnia tego. Droga najbliższa wiodła popod dworek Leszczyca, około którego tuż przejeżdżać było potrzeba. Dnia tego, choć świeżo burza sroga przeszła była nad Krakowem, zabawiano się w gościnnym domku jak niedawno, ale zgromadzenie mniej było liczne i spokojniejsze daleko. A że deszcz niewiele powietrze ochłodził, okiennice wszystkie pootwierano, część nawet gości przed dworem stała w dziedzińcu, aby świeższym odetchnąć.

Wojewoda chciał się przesunąć mimo nie postrzeżony, gdy stary Leszczyc, który po nocy

miął dobre oczy, poznawszy go, do konia pobiegł z pokłonem. Ziemianie wszyscy lubili wojewodę, choć milczący był i nie zalecał się im bardzo. Przebaczano mu słabości jego wiedząc, że sprawę ziemiańską na sercu miał i gorliwym zawsze był jej obrońcą. Za Leszczycem po- biegli i inni ku niemu, tak że wojewoda mimo woli zatrzymać się musiał, aby na powitanie odpowiedzieć.

— W nocy nawet spoczynku nie macie — zawołał Leszczyc, ściskając go za kolana — znać, że tam coś gorąco być musi.

Wojewoda głową poruszył i uśmiechnął się tylko, nie chciało mu się mówić, a tu go obstępiono dokoła.

— Wojewoda nasz — ozwał się stary Cholewa — a to nam z nieba spadłeś, głowy traciemy! Część nocy już ci i tak przepadła; zleżże miłościwie ku nam z tej szkapy, a uspokój...

— Wstąpcie, prosiemy! — wołał Leszczyc natarczywie.

Chciał się stary opierać i wskazał na rozpogodzone, gwiazdziste niebo. Wóz na północy odsłonięty przez chmury stał, znacząc już późną godzinę.

— Zaśpicie na dzień, ojczy! — wołał Cholewa.

— Cóż wam tam tak do mnie pilno? — odparł wojewoda.

Wtem go już prawie gwałtem z konia ściągając poczęto, opierać się nie było sposobu.

Ziemianie byli poważni ludzie, starszyzna sama. Zsiadł więc i wszyscy za nim wtoczyli się do izby, otaczając go kołem.

— Nie wiecie o niczym — odezwał się Leszczyc. — Dzisiejszego dnia dwu naszych

ziemian pochwycił Kietlicz, pod błahym pozorem zasadził do ciemnicy, tylko aby nam grozy napędzić. Jednemu z nich, co się śmieiej odzywał, gardłem grozą, drugiemu — wygnaniem.

— Cóż za wina? — zapytał wojewoda.

— Jeden się pono z dala na gościńcu na Kietlicza pięścią pogroził, a drugi mu w pomoc

przyszedł ze słowem. Sługa ten Mieszkowy nie ojczyc tuteczny, a przybłęda, i on tu nad nami panem, sędzią i sprawcą ma być?!

— Jacyż to ziemianie?

— Janek Lubicz, Matek Zadora. Wojewoda ruszył ramiony i głową zakłopotany.

— Chodził kto za nimi? — spytał.

— Nie ma po co! Daremne upokorzenie i pokłony — przerwał Leszczyc — dosyć nam już tego, trzeba myśleć o sobie.

Bez pana być nie możemy, a z tym nie wytrwać. Trzeba o tym myśleć.

Wszyscy spojrzeli po sobie odwagi dodając oczyma. Wojewoda rękę podniósł i położył ją na ustach.

— Nie spieszcie no się, nie spieszcie — rzekł cicho — powracam od Gedki, cierpliwość nakazuje. On sam jutro na zamku będzie i nie na próżno jedzie. Słowo powie, które zaważy.

— To już nie pomoże — odparł Cholewa.

— Z rysia barana nie zrobi — dodał drugi.

— Darmo — rzekł inny z gości — u nas już postanowiono: z Mieszkiem nie ma co i mówić, pošlemy do Kaźmierza, aby go wybadać.

— A tak — dodał Leszczyc — wypadaloby posłać znacznego człowieka, ale zaraz podpatrzą i przewąchają. Musiemy tymczasem potajemnie i ostrożnie poczynać. Mamy takiego małego człeczka z dużą głową, co się do Sandomierza ofiaruje jechać. Sam on nie dostąpi księcia, a przez drugich przygotowuje go, aby się nam nie opierał.

Wtem jeden ze starszych odwrócił się, odszedł kroków parę i z drugiej izby Stacha

przyprował. Wojewoda, który bliżej go nie znał, choć po świecie spotykał, ciekawie nań począł patrzeć.

— Nie spieszcie zbytnio, czekajcie — przebąknął — przed niewodem ryb łowić nie trzeba.

— Ale, ale! — zawołał Cholewa. — I ja zrazu tak radziłem, do tego jednak doszło, że już nóż mamy na gardle. Dostyc tego pana i jego sługi! Precz z nimi!

Szczepan wojewoda, jak był małomówmy, szczególnie gdzie ludzi dużo widział, na to gwałtowne wyrzeczenie ramiona tylko ściągnął i ku Stachowi się obrócił.

— Księcia Kaźmierza znasz? — spytał.

— On mnie nie bardzo, ja jego doskonale — odezwał się Stach śmiało. — Ze wszystkich

synów nieboszczyka króla Henryk i on to były dwie perły najpiękniejsze i najdroższe. On nam jeden został, równego jemu nie ma i po długie wieki nie będzie. Szkołę wielką sieroctwa i nieszczęścia przechodził, bezdomny był, w niewoli się męczył, a świętym z niej powrócił. Ten nam panować powinien, a nie inny.

Mówił Stach z takim zapałem, iż we wszystkich przelał uniesienie swoje. Widząc to, bił dalej gorące żelazo.

— Dostyc nam spojrzeć — kończył — aby w nim majestat, do którego był przeznaczony,

poznać i uszanować. Krzywousty to żywy, aliści piękniejszy od ojca, powaga z dobrocią, majestat z łaskawością w nim, cześć sprawiedliwości wielka. Nie sięgnie on po swobodę niczyją, nie będzie nam innym, tylko ojcem rodzonym. On nam powinien panować! On! Sam Pan Bóg tego chce, gdy

Mieszka powiódł na manowce, aby tamtemu drogę otworzył.

Wojewoda uląkł się i zmieszał, uszy sobie zasłonił.

— Na Boga ciszej — odezwał się — nie budźcie śpiącego licha. — A do Leszczyca się

obracając, dodał: — Ma-li jechać ten człek, niech się strzyma, póki ksiądz biskup nie powie.

— Biskup — przerwał Cholewa — jako ojciec duchowny, z pewnością nie chce zguby

grzesznego, a upamiętania. Może próbować mądrych środków. My prości ludzie wiemy, że się już tu nie ma czego spodziewać ani czekać na co. Niechaj jedzie lepiej dziś niżeli jutro.

— Natychmiast! — powtórzyli inni. — Aby księżę miał czas się przygotować.



Stach się odezwał z gotowością:

— Choćby tej godziny!

Wybór dłań był już skończony, koń stał od południa osiodłany, ludzi dwóch miał do posługi i wiernego Żegcia. Sam Stach już był wdział ubiór do podróży, zawinał się więc z pokłonami tym, co go wysłali, rażno a wesoło, bo mu aż serce biło, że księciu mógł czymś usłużyć. On to pierwszy przez Bogorię nastęrczył się do tego poselstwa. Wprawdzie sam na oczy księciu nasuwać się nie mógł i nie chciał, ale na dworze znany jako Zabor z Przegaju miał znajomych siła, szczególnie rad ował prawą rękę Kaźmierza, Goworka, którego dobrze znał i był przezeń lubiony. Do niego więc chciał nieść poselstwo wojenne. Jeszcze wojewoda usiłował go wstrzymywać i hamować ziemian zapalonych, gdy Stach, obawiając się, aby mu do pożądanej nie przeszkodzono podróży, wyrwał się z izby, wybiegł w podwórze i koni dopadłszy, korzystając z ciemności, natychmiast wyruszył z małą swoją gromadką.

Po burzy niebo się było prawie całkiem wyjaśniło, przebiegały po nim tylko chmurki lekkie, a zza nich dziwnie silnym, jakby obmytym świeżo, światłem płonęły gwiazdy iskrzące. Miasto jeszcze spało, a na przedmieściach, gdzie wiejski panował obyczaj, już ku dniowi po chatach budzili się ludzie ubodzy i światełka u nich płonęły.

Stach, Żegiec i czeladź znali doskonale miejskie uliczki i drogi do gościńca wiodące, ku

któremu się dostać chcieli. Przesuwali się więc bezpiecznie pomiędzy płotami, nikogo nie

spotykając, i już ostatnie chaty w ogrodach pominęli, gdy Żegiec, pod niebo już się rozjaśniające spojrzawszy, zamruczał:

— Ano, paneczku, patrzcie, tam jacyś konni stoją na drodze. Było to w miejscu, gdzie

zarośla się i pojedyncze drzewa nad gościńcem tak uszykowały, że je łącno z dala bodaj za ludzi wziąć było można. Stach się rozśmiał.

— U stracha wielkie oczy! Co ci w głowie? — rzekł. — Krzaki stoją nade drogą.

— Ano się ruszają — odparł Żegiec.

— Bo wiatr gałęźmi miota.

— Wiatru ani czuć.

— Bośmy tu zakryci — rzekł Stach.

— Ano, ludziel — powtórzył Żegiec.

— Drzewal — uparł się Stach.

Podjeżdżali tak ku temu strachowi, puściwszy konie klusem, gdy niespodzianie wcale nagle

coś z krzaków ruszyło się i nim się Stach miał czas wziąć do miecza, ujrzał się ściśniętym przez zbrojnych, z których jedno, przypadłszy doń, za piersi go pochwycił. Drugi ręce mu porwał i w tył wykręcił. Z bliska poznać mógł jednookiego Berezę. Żegieć próbował się bronić, drudzy też oszczepami wywijali, ale na ich trzech — ludzi było kilkudziesięciu, którzy tak nagle nacisnęli, że i mieczów z pochew dostać nie było podobna. Bereza jeszcze pałką okutą płątnął Stacha po łbie i byłby go ranił ciężko, gdy na żelazne nie trafiła obręcze.

Obrona była niepodobieństwem. Bereza i jego ludzie pochwyconych, poobalanych już rozbrajali, łykami ich pętając. Stach wrzaskiem wielkim zrazu bronił się jeszcze napaści zbójckiej, ale nikt tu słyszeć go nie mógł, a wśród nocy nie ważyłby się biec na pomoc. Ogłuszony Stach, ranny Żegieć, powiązana czeladź nie opamiętali się jeszcze, co się z nimi działo, gdy już nazad do miasta bocznymi drożynami wlec ich poczęto.

Jawnym było, iż Stacha wyprawę ktoś zdradził i że nań tam czekała zasadzka. Kto ją postawił, domyślać się było łatwo. Kietlicz zręczny miał swoich wszędzie, szczególnie między służbą, bo czeladź nie wszystka bardzo rycerstwu i ziemianom sprzyjała.

Postrzegł zaraz pochwycony, że go ku zamkowi prowadzono. We wrotach dał Bereza znak, aby go puszczono, wjechali w podwórze po cichu, skręcono w bok ku szopom i tu ściągnięto z konia Stacha, osobno do więzienia wepchniętego, czeladź jego gdzie indziej uprowadziwszy.

Izba, do której go wtrącono, miała wysoko w ścianie małe okienko, zaparte okiennicą i kratą drewnianą, trochę słomy wyleżanej w kącie, dzbanek na pół rozbity i drzwi okute, które zaraz za nim drągiem ogromnym zawalono.

Na pytania i odgróźki Bereza śmiechem tylko odpowiadał, ręce zacierając.

Nie szło Stachowi o siebie, nigdy on odwagi nie stracił, biedził się tym, że poselstwo przepadło, a ci, co go wysłali, wiedzieć nawet nie będą, co się z nim stało. Jęknął zbiedzony i głowę potłuczoną na rękę sparłszy, gotował się na wszelki los, jaki mógł mu być zgotowany.

**X**

Dnie posłuchania i sądów na zamku były wyznaczone, czasu których nie Mierzwa, ale prastarym obyczajem sam książę zasiadał jako najwyższy sędzia, wydając wyroki. W dni te tych szczególnie dopuszczano, którzy nie obwinieni byli, ale sami z żalobą przychodzili, domagając się sprawiedliwości.

Mieszko wymierzał ją zawsze bardzo surowo; przecież wyrokom tym nic zadać nie było

można, chyba że Mierzwa i skarbnik pilnowali, aby przy każdym dla księżęcego skarbu grzywny sądowe ściągnąć jak największe.

We dnie te często podwórce zamku najrozmaitszego ludu pełne były, dopuszczano bowiem

bez różnicy stanu każdego, ktokolwiek żądał być wysłuchanym. Przyjeżdżali nieraz i ziemianie w sporach o podziały ziemi dziedzicznej, o spadki, pojednanie zwaśnionych rodzin się dopraszając, i kmiecie, osadnicy i lud nawet prosty. Nie widać tu tylko było duchownych i spraw takich, które do sądów ich należały, bo te sami biskupi bez odwołania sądzili.

Tak kilka lat temu, gdy ów Bolesta, kasztelan wiski, nasadził zbójców i zamordować kazał

biskupa płockiego Wenera, nie sądził Bolesty ani księżę, ani żaden sąd świecki. Kazał go schwycić arcybiskup gnieźnieński, zwołał do pomocy dwóch pasterzy, skazał go na stos i obszytego w płótno woskiem napuszczone, spalił w Gnieźnie pod katedrą.

Bywały sprawy, które księżę sobie przywłaszczał, a duchowni za swe uważali, rodziły się o to spory, i księżęta radzi byli sądy swe czynić jak najgłośniejszymi, pociągali do nich, by groźną władzę duchownych uszczuplić. Mieszek też tego przywileju wymierzania sprawiedliwości tym baczej strzegł, im bardziej pragnął wielką już potęgę duchowieństwa ukrócić.

Dnia tego, nazajutrz po rozmowie wojewody z biskupem Gedką, przypadały królewskie

sądy. Odbywały się one z okazałością wielką. Księżę zasiadał w izbie na ten cel wyznaczonej i przybranej, na krześle szkarłatem obitym, w czapce złocistej, z mieczem przy boku, otoczony całym swym dworem. Do pomocy mu tylko znajdować się musiał Mierzwa, który stał za innymi

dostojnikami, mało tutaj znacząc i będąc widocznym.

Mieszek, którego z dawna Starym przezwano, miał w tym dniu jak zawsze, gdy się

ukazywał publicznie, twarz surową, którą zarost bujny, długa, do góry poddarta broda ciemna, włosy czarne, brwi rozrosłe i namarszczone czyniły groźniejszą jeszcze. Strój jego wspaniały był i wytworny. Za nim tuż, choć nie noszący urzędownie tego tytułu, ale pospolicie już palatynem zwany, stał Kietlicz, którego grubej i przysadzistej postaci strój rycerski i łańcuch niewiele dodawały wdzięku. Inni też urzędnicy dworu otaczali księcia kołem: kanclerz, osoba duchowna, stary prałat Baldwin z Brzezia, marszałek pański ze złocistą laską w rękę, podkomorzowie, radni księżęcy, dworzanie, służba.

Na dni te wszyscy przywdziewali stroje odświętne i oznaki swoich urzędów: miecznik

trzymał ogromny miecz w pochwie nabijanej, z pasem obwiniętym koło niej, znamię

sprawiedliwości, inny — tarczę księżęcą itp.

Cisnęło się na te posłuchania wiele ciekawego ludu, któremu przystępu nie wzbraniano, aby mógł oglądać pańskie oblicze i sprawom się przypatrzeć. Drzwi stały otworem, a strażę księżęcą nie

odpędzały nikogo, chyba tłok stawał się zbyt wielki.

Sądy rozpoczęły się od wczesnego ranka, na żałobach nie zbywało. Mieszko sam odzywał się mało, za siebie rozkazując Mierzwie zadawać pytania, słuchając odpowiedzi, w końcu, za poradą z przybocznymi, sam wyrok ogłaszając.

Kilka już spraw z dość surową poszło odprawą i zapłakanych ludzi strażę powypychały, gdy Kietlicz stojący u tronu, spojrzawszy ku wrotom oknem otwartym, zobaczył coś i niespokojny pochylił się do ucha pańskiego, szepcząc głosem na pół szyderskim, pół złośliwy.

— Jego miłość książę biskup Gedko na sądy też przybywa. Książę zdziwiony, z brwią namarszczoną mocniej jeszcze, spojrzął na mówiącego, jakby pytał, co to znaczyć miało. Było w tym bowiem coś niezwykłego. Biskup jak inni wiedział o dniu sądów książęcych, nie mógł więc przybyć, chyba z jaką żałobą. Rzecz to znowu była nieprawdopodobna, bo duchowni sprawy ich się tyczące sądzili sami.

Mieszko jak zawsze panem był siebie, tak i teraz nie okazał po sobie nic, choć go to niepokoiło. Sprawa tylko, którą powołać miano, wstrzymaną została. Zwyczajem było, iż książę naprzeciw pasterza do progu wychodził, tym razem Mieszek, nie poruszając się, pozostał na siedzeniu swoim.

Gedko przybywał z uroczystym występem: ubrany w szaty odświętne, w płaszczyku złocistym na ramionach, jaki naówczas biskupi nosili, niesiono przed nim krzyż, towarzyszyli mu prałaci i dwór okazały. U drzwi się zatrzymał, jakby oczekując należnego powitania. Książę wstał tylko z tronu, ale się do wnijścia nie ruszył. Na twarzy Gedki przebiegł rumieniec doznanej obrazy, nie wstrzymało go to od wnijścia i żywo sam zbliżył się do księcia, obok którego miejsce jego było.

Wspaniała postać biskupa, z wyniosłym i pogodnym czołem, cała nabrała jeszcze majestatu od uczucia godności dotkniętej. Szedł z wolna; a gdy Mieszek z pewną niechęcią, zmuszony, schylił się, w pierścień go całując, Gedko odezwał się doń głosem spokojnym, ale w którym siłę czuć było pewną siebie:

— Miłościwy Książę, choć na twych sądach ja nie mam co czynić, tylko im błogosławić, pozwólcie, abym się widokiem ich pocieszył i wymiarem sprawiedliwości. Najpiękniejszy to przywilej monarchów być szafarzami tego, co najdroższe na ziemi.

Mieszek nic nie odpowiedział, można było z twarzy dwu mocarzy tych wyczytać jakby

wzajemne wypowiedzenie wojny. Biskupa odtrącić nie było sposobu, ksiązę skinął na dwór.

Niespodziane przybycie Gedki wymagało, aby mu obok ksiązęcego, na równi z nim, siedzenie drugie przygotowano. Choć niechętnie, musiano to spełnić; przyniesiono siedzenie okryte z drugiej izby i postawiono je przy Mieczysławowym. Biskup czekał stojąc, a ksiązę też siadać nie mógł.

Mierzyli się oczyma zapaśnicy.

Już to samo, że biskup w oczach ludu i dworu zająć miał miejsce tuż obok księcia, oznaczające, że z nim dzielił władzę, dumnego Mieszka poruszało do głębi.

Gedko, choć czuł dobrze, iż nie był tu pożądanym gościem, nie zmienił oblicza pogodnego, zasiadł należne sobie krzesło, które służba co prędzej ustawiła. Ksiązę siadł, widocznie uchylając się od biskupa i zwracając w inną stronę.

Jak przy Mieszku dwór jego, tak obok Gedki stanął krucyfer z krzyżem, który tu miecznika zastępował, bo władzy duchownej orężem było to znamię; dalej prałaci, dwór, prawie tak mnogi i wspaniały, jak ksiązęcy.

Wzmogło się gniewliwe rozdrażnienie Mieszka, gdy ujrzał się w tej izbie własnego zamku niemal poniżonym przez widomy podział majestatu z duchownym. Oczy księcia ciskały wejrzeniami strasznymi, usta się ścięły, dłoń spoczywająca na mieczu drżała, obejmując rękojeść namiętnie.

Gdy się uciszyło, ludzie u drzwi stojący wołać poczęli, czyby kogo nie było z żałobą, aby występował. Ujrzano naówczas niewiastę średnich lat, odzianą jak naówczas ubogie ziemianki się nosiły, w odzieży ani nazbyt startej, ni nadto okazałej, z namitką białą na głowie, w płaszczu na piersiach spiętym. Twarz jej zżółkła, poorana marszczkami, oczy od łez zaczerwienione, wyraz ust zbolwały — litość obudzały. Tuż za nią szedł człek młody, dosyć pokaźno przystrojony, twarzy butnej, zuchwałego wejrzenia, w krótkiej sukni wełnianej, pasem nabijanym ujętej, w spodniach obcisłych i miękkich chodakach, przy mieczyku, z włosami długimi rozrzuconymi na ramiona.

Poznać było po nim można, iż musiał za jakąś winę odpowiadać, a coś mieć na sumieniu, bo szedł krokiem niepewnym, wahając się, oczy to zbyt śmiało podnosił, to strwożony i pomieszany opuszczał. Z rękami też nie wiedział, co zrobić, chwycił się za pas, rzucał go, ujmował za mieczyk, zakładał w tył. Twarz niewiele o nim dobrego powiadała, choć młoda jeszcze, już jakby życiem sterana wyglądała, pofałdowana, niespokojna; krzywił usta, mrużył oczyma, drgały mu mięśnie niespokojnie. Plamy czerwone i blizny szpeciły go też niemało.

Za nim szło aż pięciu ludzi wystraszonych, w siermiężkach prostych, bez koszul, w

chodakach dziurawych, z włosy krótko ostrzyżonymi. Niektórzy kije ostre mieli w rękach. Łatwo w nich było poznać parobków od pługów albo też pastuchów, świeżo od trzody tu przypędzonych.

Ludzie ci, dwór świetny i pana zobaczywszy przed sobą na majestacie, strwożeni, ledwie kilka kroków podszedłszy, popadali na kolana, głowy pochylili ku ziemi i nierychło wstać się ośmielili na znak, który im dano.

Staruszka niewiasta, patrząc na biskupa, to na księcia, zdawała się w niepewności, do kogo zanieść ma skargę. Wahala się jeszcze, gdy Mieszek, obawiając się snadź, aby do biskupa się nie zwróciła, sam powołał ją, rozkazując bliżej przystąpić i opowiadać, czego chciała.

— Miłościwy Książę a Panie — poczęła niewiasta ze zwykłą płci swej i wiekowi

gadatliwością niepożądaną. — Miłościwy Panie, jestem wdowa utrapiona i nieszczęśliwa, którą ostatniego mienia i chleba pozbawiono! Miłościwy Książę, mąż mój nieboszczyk służył i zasłużył

się panom swym, zwali go Błażkiem, był koniuszym przy zamku. Człek był poczciwy a pracowity.

Nieboszczyk książę dał nam ziemię, pola i łąki, gdzie i dworek postawił nieboszczyk. Nakupił

potem owiec, a te się nam z łaski bożej rozmnożyły, miałam stadko ich piękne — tu łzy otarła — a z niego całe było utrzymanie moje.

Płacz i szlochanie na chwilę jej odjęły mowę.

— A! Ja nieszczęśliwa sierota! — mówiła dalej wśród łkania, które ciągle głos tamowało.

— Gdy wspomnę, serce mi się kraje! Miałam mleko i ser na sprzedaż i wełnę. Było się czym okryć i czym pożywić, i jaką odrobinę schować na złą godzinę. A! Ja nieszczęśliwa sierota, co ja teraz pocznę wyzuta ze wszystkiego?

Płacz znowu Błażkowej mowę stłumił, a Mieszek rzekł:

— Mówcież, kto was o szkodę przyprawił.

Niewiasta, jakby przemówić jeszcze nie mogła, wskazała ręką na stojących z tyłu parobków.

— A! Oto ci, ci niegodni słudzy. Syn mój do dozoru ich przyjął, Dobrze dozorowali!

Łajdaczyli gdzieś czy spali, dosyć że wilcy, z lasu wyszedłszy, jak się do stada węcili, jak zaczęli dusić, tak mi prawie nic nie zostało. Barany, owce, jagnięta — poszło wszystko biedactwo na głodne zęby! A! Ja nieszczęśliwa sierota, już mi chyba przyjdzie z głodu umierać.

Zaniosła się biedna niewiasta płaczem wielkim, a książę, który sprawę tę wziął tym goręcej do serca, że tak dostojnego miał sądów swych świadka, odezwał się:

— Któryż jest synem twoim?

Wdowa Błażkowa zwróciła się, wskazując na młodzieńca, który pokłon oddawszy księciu, dosyć śmiało, ale głosem zachrypłym, rzekł:

— A to ja jestem, Miłościwy Książę, ja, Tymek Berdów, ja. Wskazał palcem na pierś swoją.

— Ja, syn sługi twojej, Miłościwy Królu!

Tytuł ten nie czynił wstrętu Mieszkowi, choć do niego prawa nie miał i nie nosił go.

— A gdzież są ci najemnicy? — zapytał.

Między parobkami, którzy spojrzeli po sobie i łokciami się trącać poczęli, stało się zamieszanie chwilowe i jakby za przyzwoleniem ich ogólnym starszy jeden z kijem w rękę, u którego uwiązana wisiała mała flaszeczka, wystąpił naprzód i gwałtownie rzucił się na kolana, wskazując towarzyszków.

— Miłościwy Królu, to my: Łupa — ja, Zgonina — oto ten, Bajda, Chromek i Brechun.

Wstawszy Łupa począł szybko a frasobliwie, targając krótkie włosy:

— A to nas winią, a to skarżą, ano i my tu przyszli do miłosierdzia pańskiego, my: Lupa,

Bajda, ta i wszyscy. Jak się Pan nie zmiłuje a Bóg, to któż? Ginać przyjdzie!

Pozostali, za Lupą stojący potwierdzali, co za nich prawili.

— Jakże to było? Prawcie śmiało — odezwał się książę. Lupa począł śmieiej, potarłszy głowy:

— Ano, jak było, Bóg najjaśniejszy świadek, że prawdę mówimy i że oto, jak było.

Choćby krzyż całować przyszło, my wszyscy gotowi, a choćby na żelazo i wodę. My nie jesteśmy ludzie niewolni, ale swoboda i najemnicy. Tak oto ten Tymek Berdów — wskazał na młodzieńca, który się niecierpliwie poruszył — oto ten, ale, proszę Miłości Waszej, jako żywo on nie jest syn wdowy Błażkowej, ale pasierb, tak pasierb.

Odwrocił się, powołując do swoich; którzy mu głowami, coś pomrukując, świadczyli. Ani wdowa, ani Tymek nie zaprzeczali.

— Ten Tymek — mówił dalej pastuch — najął nas: mnie Łupę, Bajdę i Zgoninę potem,

Chromka i Brechuna na ostatku.

— Ano, tak — potwierdził kłaniając się Brechun.

— Najęli nas — ciągnął Łupa — najęli, trzoda była duża, roboty koło niej — strach!

Wszystkich razem pędzić nie było można, a tu w szkodę zapuścić — wara, a tam łęgi pozatykane

— nie można, a tu od lasu i zwierza pilnować, a od moczarów odganiać. Już, jak tam nas karmili, nie chcę i gadać: chleb ościsty a polewka, krupa, krupę gonila. A tu trzeba było i doić, i mleka pilnować, i sery robić, i lekarstwo dawać.

— E e, więcej sami mleka spili, niż serów zrobili! — wtrąciła wdowa.

— Od wilków my od lasa z oszczepem stawali — ciągnął Łupa — wilcy w trzodzie szkody

nie robili. Raz jeden barana bestia okaleczyła, co go dobić musieliśmy, boby był zdechł.

Bajda z Brechunem jak poczęli wrzeszczeć, rzucił go wilk i skóra a mięso ocalało. Kto nas trzody pozbawił? E e! Tu odwrócił się i na Tymka palcem wskazał.

— Ot, kto, ot! Jemu tylko, aby polować a polować z psiskami, a sobaki złe, że co napadną, bywało, rozszarpia. Wpadli raz na trzodę, jak nie poczną się znęcać, my z kijmi. Gdzie zaś! I nam się dostało. Tymek, nadbiegłszy, jak wziął nas okładać: „Ażebyście mi milczeli, żebyście nie gadali na psy, pamiętajcie! Powiecie, że wilki w trzodzie szkodę zrobiły, nie, to stłukę na miazgę!” Cóż my, proszę Miłości Waszej, mieli robić? Przyszło pędzić do obory, nie ma liku, wdowa w płacz, a na nas wymyśla: „Taki to z was dozór, darmozjady, a ja was za co karmię moim chlebem, a wy tacy, owacy!” Co było robić? Musieliśmy milczeć! Drugiego dnia, jak się psiarstwo zaprawiło na owcach, gdzie, ani go strzymać! Poczęli dusić znowu. Bieda! Strach! Gwałt! My na nich z kijmi.

„Ażebyście mi się nie ważyli moich psów tykać, woła Tymek, ani na psy skarżyć, bo żywi nie ujdziecie!”

Gdy Łupa tak rozповідаł szeroko, Tymek już ledwie mógł się utrzymać.

— Miłościwy Królu! — zawołał. — To są wierutne łajdaki i kłamcy! Spali, a nie pilnowali,

wilcy trzodę wydusili, teraz na moje psy składają. To zbóje i nicponie, bez czci i wiary poganie, których słowom ani przysiędze wierzyć nie można! Nie tak było, kłamstwo wszystko! Ja ze psy moimi wilki ścigałem, odganiałem, a oni, ufając w to, pokładli się na brzuchach i spali, i wilczyńska trzodę całą wymordowały.

Odwrócił się do Łupy.

— Będziesz ty mi łągał.

Łupa do księcia, milcząc, ręce wyciągnął.



— Panem Bogiem się świadczę — dodał — kłamie on! Myśmy niewinni nic!

Stało się milczenie. Książę Mieszek oparł się na rękę i zadumał; widać było, że przed

biskupem chciał mądrość swą i przebiegłość okazać. Sprawa była do rozsądzenia dosyć trudną.

Komu tu dać wiarę? Gedko spoglądał milczący na księcia, czekając, co też powie. A że Mieszek ani nań patrzył, ani się odzywał do niego, na twarzy biskupa coraz większe rozdrażnienie występowało.

Lekceważono go publicznie i chciano zapomnieć o nim, jakby go tu nie było.

Mierzwa, człek przewrotny, widząc sprawę zawikłaną, z uciechy, że inni sobie może nie

poradzą z nią, tam gdzie on łatwo by wiedział, kędy wynijść, brodę ręką gładził i uśmiechał się do siebie. Wdowa płakała, parobcy między sobą szeptali, Tymek z nogi na nogę przestępował, na księcia zerkając z ukosa.

Wtem książę, długo pomyślawszy, podniósł głowę i rzekł z wolna:

— Jedna i druga strona prawi tak, że jedno i drugie zda się równie wiary godnym. Mogły

psy być przyczyną, mogli i wilcy. Ani pastusi, ani pasierb nie stawia świadków. Zresztą parobcy czynili, co mogli; nad siłę zrobić nie byli w możności. Wilcy czy psy, silniejsze były od nich. Ano, na pastuchów zwierzona była trzoda, oni za nią odpowiadają, co o psach prawią, łżą być może, bo kto by własne owce dał dusić? Co tu rzec? Pastusi winni za owce zapłacić, a jak nie mają czym, w niewolę iść.

Odwrócił się książę nie ku biskupowi, ale ku swoim.

— Cóż, jak wam się zda? — spytał.

Kietlicz, Mierzwa i cały prawie dwór jednym głosem zawtórowali:

— Najsprawiedliwszy wyrok w świecie!

Biskup nie powoływany do zdania, nieco szydersko się uśmiechnął; książę to dostrzegł.

Tymek zdawał się tryumfować, ale Mieszek, którego uśmieszek Gedki ubodł mocno sparł się na dłoniach i myślał znowu.

— Tak się zda — odezwał się, wytrzymawszy nieco — a gdyby prawa surowego się radzić,

wyszłoby inaczej. Jest dowód pewien, czemu sam pasierb nie przeczy, że złe psiska chował, że na te psy i inni się uskarżali. Ja to wiem. Sam przyznaje, że z tymi psy około trzody się zwijał. Cóż dziwnego, że wściekłe bestie na owce się rzuciły? Albo to nowa i nie- zwykła rzecz? Dowodów innych nie ma, oprócz tego prawdopodobieństwa; prawo więc nakazuje na nim się opierać. Owa baśń o gonieniu za wilkami pachnie wykrętem. Prawdę rzekłszy, pasierb winien, nie pastuch i on

matce swej czy macosze trzodę nagrodzić powinien, on! On, nie kto inny! Sprawiedliwość tego wymaga!

Znowu księżę odwrócił się do swoich, a Mierzwa z rękami do nieba wzniesionymi, z twarzą rozpromienioną, wielbiąc rozum pański, zawołał:

— O niezrównana mądrość pana naszego! Inni, za nim pomrukując, sławić ją poczęli.

Z twarzą wyzywająco szyderczą księżę się zwrócił ku biskupowi, jakby go do

wypowiedzenia zdania wyzywał, gdyż Gedko milczący dotąd, oprócz urazy, że był zapomniany i lekceważony, nie dał znaku ani przeciwieństwa, ani zgody.

— Cóż wy na to, ojcze? — spytał.

Gedko twarz przyoblókł powagą wielką; zmieniła się ona, rozpromieniła natchnieniem razem i obrażoną dumą — odwrócił się do księcia powoli.

— Miłościwy Panie — rzekł poważnie — istnieje Bóg sam mnie tu dziś sprowadził na tę

sprawę, która jakby umyślnie dziś się właśnie przygodziła, abym ja z niej dla Was samych prawdę pożyteczną wydobył. Dałeś wyrok sprawiedliwy, Miłościwy Panie, ale na samego siebie. Pomyśl no, nie jestli ta niewiasta jakoby ziemią krakowską, a Ty zaprzeczyć nie możesz, iż do pasierba tego jesteś podobny. Ona Cię synem zwie, inni mogą pasierbem mianować; a trzoda owiec nie jestli to lud Twój wszystek, który powierzyłeś pono nie skotarzom wiernym, ale takim obcym najemnym pastuchom, którzy z niego skórę, wełnę i mleko chciwie dla siebie chwytają?

Tu ręka biskupa wyciągnięta jakby mimowolnie Kietlicza wskazała.

— Postąpiłeś z tą ziemią nie jak z matką, a z macochą, nie litując się jej nędzy. Wściekłe psy są to Twoi urzędnicy, żądni krwi i okrutni, których Ty na wodzy nie trzymasz, a pastwić się im dajesz nad trzoda własną. Bezkarości pewni rzucają się rozjuszeni na trzodkę Twą i szarpia, a krew jej chłepcą. Wyrok Twój, Panie, na Cię samego pada; Tyś winien tak, jako ten pasierb wdowy! Świątobliwy król Dawid, choć ludu swojego ciemnić nie dawał, a tylko policzyć go kazał, przecie popadł za to w niełaskę u Boga i pokutę musiał sprawiać, aby mu grzech jego był

odpuszczonym. Powiedz więc, Panie: „Zgrzeszyłem”, a kajaj się, aby Cię ręka boża nie dotknęła!

Śmiałe to wystąpienie biskupa jak piorunem raziło księcia; nie chciał zrazu wierzyć uszom swym, zbladł, rzucił się z krzesła, jakby na Gedkę chciał porwać, ledwie zdołał gniew swój poskromić.

Niezłomna ta odwaga biskupa przeraziła więcej jeszcze dwór pański, który stał oniemiały i struchlały. Kietlicz czerwienił się, bladł trupio i rad był pójść wskroś ziemi. Mierzwa skrył się za innych; widać go nie było. O sprawie, wdowie, parobkach zapomnieli wszyscy, a niektórym się zdało, że nasadzona była rzecz umyślnie przez Gedkę, aby mu do jego wystąpienia posłużyła. W

izbie całej popłoch się stał, jakby w oczekiwaniu wielkiego jakiegoś wypadku.

Tymczasem Gedko z wolna podniósł się z siedzenia, ostatnich słów domawiając, rzucił wzrokiem dumnym, surowym, spokojnym na księcia, który oczy musiał spuścić, i dawszy znak prałatom swym, wolnym krokiem tłum rozstępujący mu się przeryzując, izbę sądową opuścił.

Co było jeszcze ludzi z żałobami, strażę na znak gniewny Kietlicza wnet precz wyganiać

poczęły, wdowę naprzód, syna jej, parobków i innych na sądy oczekujących. Mieszek, który też się podniósł z siedzenia z twarzą bladą, ale straszliwy gniew tłumiony wyrażającą, rzuciwszy okiem po swoich, do drzwi się bocznych skierował.

W chwilę potem izba była pusta, a na zamku zapanowało złowrogie jakieś, tajemnicze milczenie.

Księżę wprost stąd, zamiast do komnat żony i izb, w których ze dworem do stołu siadał,

poszedł do swej sypialni. Skinął na Kietlicza, który się włókł za nim posłuszny. W dwu słowach dany już był rozkaz załodze zamkowej, aby stała w gotowości, aby się nikt ze dworu oddalać nie śmiał.

Przerażeni wszyscy, czegoś straszego oczekując, chodzili niespokojni, losy Szczodrego przychodziły na pamięć. Tak samo Stanisław ze Szczepanowa napominał go publicznie.

Izba, do której wszedł Mieszek z Kietliczem, była zwykłą, do narad i rozkazów

potajemnych przeznaczoną. Nie było w niej przepychu, ale wygoda wszelka i niemieckich

wymysłów sprzęt nie tak okazały, jak do spoczynku i pracy najpodatniejszy. Znać było tu pana, który dla oka w domu czynił mało, dla dogodności wiele. A że w tych czasach zawsze się musiał

każdy mieć pogotowiu do obrony, był też oręż i broń różna po ścianach i kątach. Tu zwykle kanclerz spisywał przywileje przy świadkach, więc i do pisania przybory na stole leżały i pulpit do rozkładania ksiąg, gdyby się ich radzić przyszło. Choć Mieszek prawa obcego ani żadnego bardzo szanować nie chciał, wolę swą mieniać prawem jedynym, przecie czasem się radzić było trzeba pisma.

Wszedłszy Mieszek padł na siedzenie, kubek wody wychylił, długo nieruchomy trwał, nie

mówiąc słowa. Kietlicz stojący u proga patrzył nań, odzywać się nie śmiejąc, nogi pod nim dygotały, pot z czoła padał kroplami, oddychał ciężko.

Upłynął dobry czasu kawał, księżę dwa czy trzy razy usta otwierał i milkł, nie mogąc się

dożyć na słowo; ręka, która leżała na stole, konwulsyjnie drżała. Spojrzał na Kietlicza, ani go odpędzał, ani powoływał. Dumał z sobą. Na ostatek, jakby bój stoczywszy i zwyciężywszy, Mieszek powstał, kołpak, który miał na głowie, poprawił zrazu, a potem na stół go zrzucił. Staął naprzeciw Kietlicza, brew mu się ściągnęła, usta drgały. Odzyskał już był męstwo i władzę nad sobą.

— Mów — odezwał się głosem zmienionym — którzy są, co z biskupem trzymają?

Kietlicz zawahał się z odpowiedzią.

— Miłościwy Panie — rzekł — ledwie by nie przyszło pytać dziś, którzy z nim nie trzymają

i przeciw własnemu panu nie są. Na pewno wiemy, że wojewoda Szczepan, krewny jego, należy doń cały. Leszczyc co nocy zbiera u siebie narady, knuje znowy. Wczoraj ich podsłuchano, że już na zwiady wysłać mieli do Kaźmierza. Posłańca schwytanego trzymam w więzieniu. Biskupi

wszyscy z Gedką trzymać będą, księża pójdą za nimi, ziemiaństwo nie odstąpi ich.

— Więc na nim pierwszym — odezwał się Mieszek — na buntowniku jawnym przykład

uczynić trzeba. Zuchwały klecha wyzywał mnie sądząc, że się porwę nań i uczynię go

męczennikiem! Nie! Księdzem jest, nie tknę go, z Rzymem się zadzierać nie chcę. Dziś, nocą, stu ludzi weźmie go z dworca, niech mu włos nie spadnie z głowy, ale zuchwalca, co nic nie szanuje, precz za granicę kraju wyrzucić! Powiedzieć mu, jeśli się wrócić ośmieli, głowę mu kto zdjąć może.

Znajdzie się taki, co to uczyni.

Ręką rzucił Mieszek.

— Miłościwy Panie! — chciał przerwać Kietlicz.

— Milcz z radą swą — odparł książę — rady nie potrzebuję, posłuszeństwa.

Przeszedł się po izbie, wodę pijąc i uspokajając.

— Wojewodę, gdy do swej miłośnicy jechać będzie, bracia jej mogą ubić na drodze albo u niej w domu. Nie będzie im za to nic, można powiedzieć. Stary łotr winien dać gardło: sprzeniewierzył mi się.

Znowu, chodząc, dumał Mieszek.

— Leszczyc, Bogoriów, Cholewę, gdy się znijdą, pobrać na gród i posadzić. Sądzić ich sam będę, winni zdrady. Kto życiem nie przypłaci, oczyma lub ręką. Nadto byłem powolnym, nie

znają mnie jeszcze; krwi potrzeba, aby postrach był.

— Miłościwy Panie — przerwał raz jeszcze Kietlicz — ziemiaństwo nastraszyć dość, a lepiej go nie drażnić. Silni są.

— I jam nie słaby — odparł książę odwracając się do niego. — Nie straszyć ich próżno, ale wydziesiątkować trzeba. Biskupa jednego stanie, aby reszta milczała, ziemian pobrać więcej. Ha, ślali już do Kaźmierza! — dodał uśmiechając się gniewnie. — Do Kaźmierza! Nie juści w niego ufają i za jego przyzwoleniem to czynią? Nie, nie. Oni go chcą wziąć, ale się im nie da. W

Sandomierzu zawsze stek tych, co ode mnie stronią. Biskupi tam ciągną, opatów i klechów pełno; klasztor czy szkoła ten dwór jego, a w rzeczy — to jaskinia łotrów. Tylko nie zmogą Kaźmierza, bojaźliwy jest, miękki, przeciw mnie się nie ośmieli, bo zna, że nie na jego siły! Kietlicz ani przeczył, ni potwierdzał.

— Kogo ślali do Kaźmierza? — spytał.

— Ziemianie u Leszczyca zebrani, którzy niemal co noc się tam zjeżdżają, małego człeczka wybrali. Czeladź podsłuchała i doniosła. Ten już siedzi.

— Drugiego znajdą — dodał Mieszek. — Zabrać ich wszystkich z Leszczycem, do nogi!

— Nuż się opierać zechcą? — szepnął Kietlicz. — I to już może być.

Mieszek głową potrząsnął pogardliwie.

— Ludzi masz dosyć!

— A jeżeli wojewoda swoich powoła?

— Wojewoda! — parę razy powtórzył Mieszek z lekceważeniem. — Wojewodę mogą sprzątnąć ci z Tęczyna, starzec jest niedołączny. Ja wojewodów, krom ciebie, nie potrzebuję, do wojny znajdę dowódców, warchołów wymieść trzeba precz!

Znowu, umilkłszy, przechadzać się zaczął książę, pomrukując, jakby to, co myślał, ciężko mu wypowiedzieć było. Stał potem naprzeciw Kietlicza.

— O Kaźmierzu prawią między sobą — rzekł — ja się go nie lękam, ale póki on tam siedzi za oczyma, wszystko się do niego gromadzić będzie. Ślać potrzeba, ażeby do mnie przybywał. Lubi mądrych ludzi — dodał szydersko — księdza po niego wyprawić, a jeśli o wiernego trudno, Mierzwę, który go rozmową zabawić potrafi. Niech mu powie, że widzieć go chcę, sprawę mam

pilną. Raz tu go sprowadziwszy, nie puszczę od siebie. Ślij po niego zaraz, dziś, prędko!

Kietlicz stał tym mnóstwem pańskich rozkazów zmięszany nieco.

— Miłościwy Panie — odezwał się — co rozkażecie, to dla mnie święte, ale czy podołam

naraz tylu sprawom? Biskup, wojewoda, ziemianie, książę Kaźmierz. Mieszek odwrócił się ku niemu gniewnie.

— Tak, albo naraz wszystko zrobić potrzeba, lub z wszystkiego nic nie będzie! — krzyknął

ostro i zapalczywie. — Gdy popłoch się rzuci, nie czas będzie ludzi łąpać, bo się rozbiegną. Nie dzwonić na trwozę, a ująć razem tych, co znowy czynią. Masz ludzi, masz siłę, masz przykaz mój, czynź, co chcesz. Tak musi być! Cóż, trwożysz się? Ty?!

Kietlicz poruszył się żywo.

— Nie trwożę się, choćbym i życie miał dać! Nie pożałuję nikogo!

— Natychmiast do dzieła! — dodał książę. — Biskupa wziąć i za granicę go wywieźć. Jeśli

chce, niech skarży na mnie do Rzymu, znajdę sposób na to! Z wojewodą rozprawią się bracia tej wszetecznicy, daję im go na wolę. Leszczyca dwór otoczyć i na zamek pobrać wszystkich!

Kietlicz stał jeszcze.

— Nie masz czego czekać — zakończył książę. — Idź, czynź! Nie trzeba okazywać nic, na

zamku do wieczora niech się nic nie rusza. Mierzwę ślij do Sandomierza; naglić ma, by przybywał do mnie. Opierać się nie będzie: starszy brat wzywa i rozkazuje. Idź, rób!

To mówiąc, książę z ramion zrzucił płaszcz, odpasał miecz, zdjął suknię i pochwyciwszy

kaftan ze skóry bawolej, szybko wciągając go zaczął, natychmiast nań suknię wdziewając i mieczem opasując się znowu.

Kietlicz, postawszy u progu chwilę, ze spuszczoną głową odszedł powoli, ciężkie brzemię

niosąc na sobie.

W komnacie, w której się to odbywało, nie było nikogo, lecz gdy Kietlicz drzwi jej otwierał, zdało mu się, iż posłyszał szybko oddalające się kroki, jakby od progu uciekającego co żywiej człowieka. Rzucił się za nim strwożony. Łatwo który z dworzan lub czeladzi stać mógł na

podśluchach, uląkł się, by zdrady nie było. Nie dowierzał nikomu.

Popędził co sił stało, lecz ociężały i krótkonogi, nim do przedsieni dobiegł, nie znalazł śladu ni

słychu. Tu chodniki kryte rozchodziły się na różne strony. Cicho było dokoła i pusto, pusto nawet w wewnętrznych dziedzińcach. Pocieszył się tym Kietlicz, pot ocierając z czoła, że mu się ów szelest przysłyszał.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

**TOM II**

**I**

Stary zamek w Sandomirzu nie był jednym z najrozleglejszych, jak wszystkie dawne

budowy nie rozsiadał się szeroko. Z dawna zamieszkiwany przez rodzinę książęcą, niewiele jeszcze wymagającą, starczył jej swoimi ciasnymi mury i drewnianymi przybudówkami. Ostatni pan jego, nieodżałowany książę Henryk, co miał w sobie Krzywoustego ducha, pobożność i męstwo, który z krzyżem czerwonym biegł do Jerozolimy i z równym męstwem wojował pogan pogranicznych,

młodzieniec europejskiego obyczaju, prawy rycerz owych czasów, uczynił gród ten podobnym do jednego z zamków zachodniej Europy. Za niego się tu cokolwiek rozrosło i uporządkowało.

Książę Kaźmierz, brat jego ze krwi i ducha, najulubieńszy mu z rodzeństwa, nie darmo też

lat kilka tułał się po świecie. I on z tych wędrówek po Niemczech i Włoszech wyniósł upodobanie w tym wszystkim, *co* na Zachodzie kwitnęło, a czego brakło w Polsce ówczesnej.

Oba oni ściągnęli do Sandomirza ze swych wypraw zamorskich i zagórskich, co tylko

zdobyć się dało w orężu i sprzęcie. Oba mieli upodobanie w pięknej rycerskiej zbroi, w szatach chędogich, w sprzęcie kunsztownym, a Kaźmierz miał też miłość nauk, ksiąg i ludzi, co się nimi zajmowali.

Zameczek sandomirski, zwłaszcza od czasu, gdy go po Henryku wziął ów piąty syn

Krzywoustego, sierota zostawiony bez wyposażenia, stawał się coraz piękniejszym na oko,

wygodniejszym dla mieszkańców.

Gdy Kaźmierzowi duchowni zenić się nakazali, a przybył mu dwór księżnej Heleny,

rozszerzyć przyszło budowy. Do obyczaju wschodnich teremów się stosując, ulubione na Rusi, ciesielskie z drzewa wzniesiono komnaty.

Sam piękny twarzą, postawą, obliczem rozumnym i miłością obudzającym, Kaźmierz też

lubił, aby to, co go otaczało, wdzięczną przywdziewało szatę. Zbytku nie chciał, ale wytworność, jakiej się na Zachodzie napatrzył, stała mu się potrzebą. Na dworze cesarskim Rudobrodego, w miastach niemieckich i włoskich przepych i wykwinność panowała. Trudno jej tu było sprostać, lecz

książę rad był mieć, co widywał gdzie indziej.

Ciche to było to sandomirskie schronienie najmłodszego z synów Krzywoustego. Dwór przy nim nie nazbyt liczny, lecz od wrót począwszy, podróżny, wchodząc, mógł poznać, iż tu

zamieszkuje pan, który wiele widzieć musiał świata i miłował ład wszelki. A z ludzkich twarzy i ruchów mógł też odgadnąć, iż tu więcej miłość niż groza rządziła. Chodzili wszyscy uśmiechnięci, spokojni, sporów nie zawodząc, nie spiesząc, aby próżnować potem. Szło wszystko ładem i cicho.

Nie zbywało na rycerskich przyborach, na łowczych psach i sokołach, bo bez tego nikt naówczas nie był; częściej tu jednak spotkało się habit cystersa, suknię bożogrobca i sutannę księcia, kaptur benedyktyński, kleryka z księgą niż żołdaka i ciurę.

Oprócz teremów księżnej drewnianych, które ze starym zamkiem przejściem słupiastym się łączyły, same zamczysko, w części murowane, zawierało izby niskie, różnej wielkości, jak w różnych czasach były dobudowywane, utrzymane czysto i w godła rycerskie i religijne

poprzybierane. W izbach dla księcia przeznaczonych broń wschodnią różną, po ścianach rozwieszoną, obrazy na złotych tłach, ołtarzyki szafiaste, rzeźby z kości słoniowej, szyte i tkane opony, na których arabskie napisy widać było, spotykało się wszędzie. W niektórych komnatach już i małe błony szklane w ołów oprawne miały okna.

Komnatę, w której niegdyś książę Henryk przemieszkiwał, po zgonie jego, na znak miłości braterskiej Kaźmierz tak pozostawił, jak ją zastał po zmarłym. Stała w niej zbroja jego ulubiona, wisiały kolczugi, hełmy, miecze, włócznie, proporce, a część ich, ustawiona umyślnie, zbrojnego przedstawiała rycerza. Wisiał nawet płaszcz, który z Henrykiem wrócił z Jerozolimy. Książę Kaźmierz, przebywając tu, patrząc na te pamiątki, brata sobie mógł przypominać, którego

opłakiwał. Przychodził się tu modlić za niego i młodość swą rozpamiętywać. Sam zajmował izbę obok, równie przystrojoną zbroją ciekawą, mieczami i orężem osobliwym, włoskim i niemieckim, normandzkim i wschodnim.

Ze wszystkich izb jednak, gdyby najulubieńszą księciu wskazać przyszło, trzeba było

wybierać tę, w której do stołów zasiadano, nie dla jedzenia, ale dla długiej po nim rozmowy i czytania. Zimową porą palił się tu ogromny ogień, co ją wieczorami ogrzewał i oświecał. Przy wielkim stole dębowym, otoczonym ławami i stołkami, zasiadał książę i jego ulubieni towarzysze, niegdyś Mateusz Cholewa, biskup krakowski, potem cysterscy opaci mnisi i duchowni.

Najrozumniejszych mężów obcych i swoich dobierał sobie Kaźmierz do towarzystwa, ugaszczał ich, obdarzał, zatrzymywał przy sobie, a trafiało się nieraz, gdy wieczorem rozpoczęto rozmowę, czytania i opowieści, iż się one dopiero o brzasku kończyły.



Najszczęśliwszym bywał książę, gdy się mógł coś nowego nauczyć i dowiedzieć, gdy mu

przyniesiono wieści o tym, co się na szerokim świecie działo, albo gdy uczony człek stare dzieje z księgi mu czytał i tłumaczył.

Gdy z zagranicy do Krakowa albo do którego z nowo założonych klasztorów udało się

zdobyć rękopism drogi a rzadki, radość była wielka a niewypowiedziana. Książę zapominał prosić o żonę, o myślistwie i o całym świecie, zdawał sprawy księstwa na ulubionego Goworka i innych urzędników, których szczęśliwie sobie do boku dobierać umiał, a sam z głową spartą na ręce słuchał a słuchał czytania i opowiadań, których nigdy zadość nie miał. Z czytania wywiązały się nieraz rozprawy o rzeczach różnych, w których udział brali duchowni i świeccy, spierano się, roztrząsano, i czas schodził nie postrzeżony.

Ludzie więcej rycerscy, a mniej rozgarnięci się wyśmiewali z księcia Kaźmierza, iż po

matce wziął tego ducha, a rodził się bodaj do kaptura mniszego niż do zbroi, na opata bardziej niż na księcia; ale drudzy uśmiechając się podszeptywali, iż nadto niewiasty miłował, aby się zdał na mnicha.

Prawdą niestety było, iż o ile mądrość kochał, o tyle go i niewieścia twarz piękna pociągała ku sobie i mogła cale zbawić rozumu. On sam znał się do tej słabości i wstydził się jej, a oprzeć nie umiał. Wielu mu ją wybaczało, pamiętając na to, co Chrystus powiedział, gdy jawnogrzesznicę ukamienować chciano. Pięknej twarzy, wdzięcznego lica, wielkiego serca książę Kaźmierz łatwo u niewiast powolność znajdował, chociaż i mężczyźni tak samo Ignęli doń i kochali go. Dusza w nim była piękna, która do wszelkiego dobra i piękna jak słońce do jasności dziennej się zwracała.

Nigdy on nie zapragnął zemsty, nie pokrzywdził z dobrej woli nikogo, a wielką część

sprawiedliwości nosząc w duszy, każdy krok swój do niej stosować się starał.

Już sławne owo w młodości pierwsze znalezienie się jego ze Stachem z Konar malowało

człowieka i słabość, i szlachetność. Później wielu słabości młodzieńczych pozbył się książę, a cnót nabył jeszcze. Patrzano nań ze wszech stron ze czcią jak na wybrańca bożego. Toteż rodzina cała, brat Mieszek i dalsi zazdrościli mu miłości ludzkiej, a z heroizmu jego nieraz się naśmiewali. Ale kto raz się doń zbliżył, nigdy mu się nie stał niewiernym, tak wielki urok miał książę, tak wielką siłą przywiązywał do siebie.

Liczył już naówczas Kaźmierz lat około czterdziestu, ale spokojna i piękna dusza czyniła go tak młodym twarzą, tak powabnym, iż mu dziesięć lat mniej z pozoru dać było można.

Zdawałoby się na oko, że ten mąż, którego wszyscy kochali i szanowali, którego ojciec

zostawił bez ziemi, a los mu dał wyposażenie, otoczony spokojem, ludźmi wybranymi, gromadką wierną, musiał być szczęśliwym. Jednak gdy po owych wieczorach mądrych rozmów, wśród

których o wszystkim zapominał i lice jego promieniało, znalazł się Kaźmierz sam jeden lub w towarzystwie wiernego powiernika Jaksy z Miechowa, Goworka lub przywiedzionego z Niemiec

ulubieńca Wichfrieda, twarz jego przybierała wyraz cichego jakiegoś smutku i widać było, że mu do życia brakło czegoś, że w sercu cierń jakiś nosił.

Nigdy nikomu księżę nie objawiał, co go bolało, owszem, dobrotliwie uśmiechając się do

ludzi, zdawał się rad ze swego losu. A przychodziły nań chwile ciężkie, w których krew gorąca, rycerska, poskramista życiem i modlitwą, odzywała się gwałtowniej, naówczas jak rozbudzony rwał się do konia, jechał na łowy i zwykle, z czym się już ludzie oswoili, znikł na dni kilka, tak że dwór nawet o nim nie wiedział, a powracając przynosił z sobą nie uspokojenie, ale smutek większy jeszcze i znużenie.

Starzy słudzy i dworzanie, choć szpiegować pana nie śmieli, domyślać się wzdrali,

mimowolnie dostrzegli, że zwykle przed taką wycieczką w lasy zjawiała się na zamku stara baba żebraczka, która w podwórku siadywała, dopóki księżę jej nie zobaczył. Często sam do niej wychodził z jałmużną i zakazane było ludziom, ażeby jej nie odganiaли, a nic złego czynić się nie ważyli.

Stara, którą przezwano Kozichą, bo czasu zimniejszego kozuszek z koziej skórki nosiła,

zjawiała się jakoś zawsze w przededniu, gdy księcia do łowów napaść miała ochota i znikła potem, tak że jej na zamku, ani w mieście nie widywano. Domyślali się więc przyboczni, że tam coś innego, nie łowy, księcia do lasów pędziło i szeptano o jakichś miłostkach tajemnych, ale nikt dośledzić ich nie śmiał i nie wiedział, dokąd jeździł księżę, oprócz jednego sługi milczącego, którego Smokiem zwano.

Duchowni też musieli się czegoś dorozumiewać, gdyż choć nie wprost, ale ubocznie o

niewiastach zagadując, ostrzegali często księcia o niebezpieczeństwie obcowania z nimi, pokusach i uroku zgubnym, jaki na mężczyzn wywierały. Kaźmierz słuchał pilno, spuszczał oczy, jakby się do winy przyznawał, ale łowy tajemnicze powtarzały się zawsze.

W domu jedyną rozrywką księcia były pobożne śpiewy przy organie, na którym grywać

lubił, i biesiady wieczorne z mężami dobranymi. Dlatego zawsze ktoś na dworze z księży albo z Krakowa, lub z jednego ze świeżo pozakładanych cysterskich klasztorów przebywał. Czasem po kilku się ich zbierało, a wówczas dla księcia gody były prawdziwe.

Pod ten czas bawił właśnie opat zakładającego się w Sulejowie klasztoru, Francuz Lucius

Lambert, scholastyk z Krakowa, i młody, bo ledwie siedemnastoletni, wielkich nadziei, nauki chciwy Wincenty, syn Boguchwała, sposobiący się do stanu duchownego, którego dla żywości umysłu, pamięci nadzwyczajnej i łatwej wymowy księżę bardzo miłował.

Był ten Wincenty jakby cudownym dziecięciem swojego czasu; starzy mu się dziwowali i zdumieni słuchali go, wróżąc mu przyszłość wielką. Bóg go tak obdarzył, iż więcej się w lat kilka nauczył niż drudzy przez całe życie, a cokolwiek raz usłyszał, pamiętał dziwnie, tak iż całe ustępy z pisarzy łacińskich bez księgi powtarzał. A miał też dar słowa osobliwy, że z nim, jakby igrając, tkął najmisterniejsze wzory. Noce i dnie siadywał niezmordowany nad księgami, pielgrzymując, gdziekolwiek o nieznanych sobie zasłyszał, wpraszając się do bibliotek klasztornych, trawiąc wśród postów i umartwień miesiące całe nad nimi. Więc też w krótkim czasie pochłonął Wincenty wszystko niemal, cokolwiek w Polsce przy kościołach, szkołach, po biskupich dworach i klasztorach się znajdowało, a ksiązę Kaźmierz głośno o tym mówił, iż go chce ślać do Rzymu i Paryża, aby się nasycił, zbogacił i do kraju z plonem obfitym powrócił. Obawiano się tylko, aby przy wielkiej żywności umysłu swego a chciwości nauki wszelkiej, kacerstwa jakiego, zwłaszcza Abaliardowego, na które Bernard święty nastawał, nie zachwyił.

Oprócz tych mężów duchownych kilku zawsze mężów statecznych siadywało przy królewiczu, a dwór jego składał się po większej części z takich, co obce kraje i języki znali.

Miało się ku wieczorowi dnia tego, gdy ksiązę od żony i synka powróciwszy, obyczajem swym w izbie wielkiej miał zasiąść do stołu ze dworem i gośćmi. Dzień był wiosenny, dziwnie pogodny i piękny, okna wszystkie stały otworem, świeże powietrze od łąk nadwiślańskich niosło z sobą woń młodych kwiatów i drzew zaledwie porozpękanych. Kaźmierz siedział jeszcze w izbie swej, czekając oznajmienia, spoczywając z głową na dłoni opartą. Do jego cichej komnaty dochodziły głosy zgromadzonych już w wielkiej izbie biesiadników, których od niego tylko komnata, Henrykową zwana, dzieliła. Mógł tu nawet rozpoznać rozmawiających po mowie i byłby może ku nim pospieszył, ale go jakieś znużenie ducha do krzesła przykutym trzymało. I siedział tak dosyć długo, zapatrzywszy się ku niebu zachodniemu, bardzo smętny, sam może smutku tego nie znając przyczyny. Przychodzi on tak często do serca ludzi, właśnie gdy ich otacza wesele i pogoda, niosąc przeczucie ich niestałości, znikomości przestroję.

Wtem coś około okna, przez które tylko wieczornymi loty przemykały jaskółki, przesunęło się jak cień. Ksiązę powstał żywo i wyrzwał.

Podwórzem, pod murem samym, przesuwawała się z wolna stara baba, płachtą otulona, w podartych na nogach chodakach, o kiju, z garnuszkiem u pasa, z sakwą na plecach. Szła i zdawała się upatrywać czegoś. Spod zawieszanej nad czołem chusty widać było twarz bladą, zmarszczkami okrytą, w której czarne, niespokojne, małe oczka biegały. Ujrzawszy księcia w oknie, baba obejrzała się dokoła, podniosła rękę do góry, dała mu znak jakiś, ukazując na lasy, i żywo pod mur się

przysunęła, szepcząc coś niedosłyszalnego. W części tej podwórza nie było nikogo; książę sięgnął do kalety i garść pieniążków jej wyrzucił.

Słów jej książę nie dosłyszał pewnie, ale się ich domyślił. Mówiła cicho, ale żywo, gorąco, natarczywie, rękami przebierając, głową zwracając, postukując kijem, który trzymała w ręku.

Książę szybko skinieniem głowy tylko jej odpowiedział i cofnął się od okna.

Właśnie podkomorzy książęcy Prandota, mąż podżyły, rumiany, wesołego, pełnego oblicza, wszedł był z pokłonem, ręką ku wielkiej izbie wskazując, w której wieczerzę podano.

Uśmiechnął mu się książę i postąpił zaraz ku progowi, w izbie Henrykowej, przez którą przechodził, ledwie czas mając rzucić okiem na drogie pamiątki po bracie, o którym nigdy nie zapominał. Owa stojąca zbroja Henrykowa zawsze mu jakby żywy obraz jego stawiała przed oczy.

Pamięć dopełniała wizerunku, płaszcz biały krzyżowca, który zbroję okrywał, powiększał złudzenie. Pokłuty on był strzałami, zapyłony i przypominał wyprawę z Niemcami i Ludwikiem francuskim, na którą tak gorąco Bernard święty powoływał.

W izbie wielkiej cały dwór męski był już zgromadzony, na czele stali opat cystersów

Lucjusz, miłego oblicza mnich, który z przybyłymi z Francji braćmi właśnie się osiedlał nad Wartą, dalej czarno zarosły a chmurno patrzący scholastyk Lambert, który nauki miał więcej, niż zdradzał, bo małowówny był. Wreście za nimi niewielkiego wzrostu, w sukience czarnej, obcisłej, skromny człeczek, na którego twarzy młodzieńczej, w oczach mocno wypukłych, na czole szerokim i

wydatnym błyszczał rozum przenikliwy i zapal nadzwyczajny. Był to ów Wincenty, cudowny

młodzian, który stał nieraz za całe *armarium* przy wieczerzy, bo do niego jak do księgi się powoływano.

Oprócz podkomorzego Prandoty miał książę marszałka dworu Gwidona, cudzoziemca, w

rycerskich i domowych sprawach biegłego, a jako przyjaciel serca poufały stał najbliższej Goworek i Wichfried znad Renu, u którego dziada na wygnaniu swym książę przebywał. Liczna drużyna,

pułkownicy, młodzież rycerska, ziemianie sandomirscy, kapelan, kanclerz — izby zapełniali. Choć dzień powszedni był, ludno jakoś na zamku się poruszało.

Pacholęta już z misami szli ku stołowi, gdy inni dzbany z wodą, misy i ręczniki nieśli do umywania rąk. Opat Lucjusz, stanąwszy w miejscu wskazanym przy księciu, przeżegnał się, rozpoczął modlitwę. Bez niej naówczas nikt nic nie spożywał. Dopiero gdy, stół przeżegnał, opat dokończył błogosławieństwa, a goście mu „amen” odpowiedzieli i przeżegnali się, każdy na ławie zajął miejsce swoje.

Po dwu i po trzech jadło z jednej misy, bo osobnych mis i półmisek dla biesiadników nie dawano; noże i łyżki wszyscy nosili przy sobie, innych do jedzenia narzędzi nie potrzebowano.

Kubki napełniali cześnicy. Strawa, choć na książęcym stole, prosta była, składała ją zwierzyna pieczona, kasza, mleko, chleb, a za napój służyła woda, miód, piwo, dla dostojniejszych zaś wino, często korzeniami i miodem zaprawne. Mnóstwo cudzoziemców, zwłaszcza duchownych, z Francji i Włoch do nas przybywających, a do napoju tego nawykłych w domu, wcześniej do nas wino

wprowadziło; na lepszych stołach było ono zwyczajnym. Ziemianie jednak długo jeszcze potem miodem i piwem po wsiach się raczyli. Od wieków umiano warzyć je doskonale, a na Pomorzu sławiły się gęste, czarne piwa, które długie lata w beczkach wytrzymywały. Gdańsk słynął nimi.

U księcia Kazmierza, choć dostatek był we wszystkim, nikt napoju nie nadużywał, a książę sam po smutnych doświadczeniach młodości bardzo z nim był ostrożnym. U stołu natychmiast rozmowa się zawiązała żywa bardzo o tym, co podróżni przybywający zza granic do Krakowa przynosili z sobą.

Opowiadano o pokucie, jaką król Henryk miał u grobu, kanonizowanego przez papieża

Aleksandra, Tomasza świętego odbywać, o wyprawach do Włoch Rudobrodego i jak mu się tam

nie zawsze powodziło szczęśliwie, o powrocie czeskiego księcia, który cesarza opuściwszy, na szwank go miał narazić, o wielkiej potędze kraju Wenetów, wypadkach na Wschodzie i w

Hiszpanii. Wieści stamtąd, choć nierychło, przychodziły do Polski, z ust do ust przez Niemcy tu płynąc, wyszpocone i przesadzone, wszakże coś zawsze prawdy w sobie mające.

Książę Kazmierz, który długo u Rudobrodego przebywał, a miał czas mu się przypatrzeć z

bliska, sławił rozum jego, potęgę i miłość sprawiedliwości, choć nie zaprzeczał, iż niekiedy srogim był i okrutnym, prawa przebaczenia odmawiając sobie i ściśle przestrzegając, aby się zakon spełniał. W tych wiekach surowość nie dziwiła nikogo, bo łagodnością nie począc nie było podobna z ludźmi jeszcze twardymi, gwałtownych i nie obudzanych namiętności.

Wkrótce wpośród rozmów tych misy się wypróżniły i pacholęta je ze stołu zbierać poczęły,

podano znowu wodę i ręczniki, odmówił opat dziękczynną modlitwę, ale nikt nie wstał od stołu.

Teraz dopiero zważsza się zawiązała rozmowa o przedmiotach różnych, której książę Kazmierz z ciekawością i upodobaniem przysłuchiwać się zaczął.

— Przewielebny ojcze — ozwał się czarno zarosły scholastyk Lambert do opata cystersów,

z ukosa na księcia spojrzawszy i jakby w znowie z Francuzem głos podnosząc — obiecywaliście mi jakąś przedziwnej piękności rzecz odczytać, której by pewnie i dostojny pan nasz rad posłuchał.

Jeżeli mnie pamięć nie zwodzi, Claudiusza Mariusa Wiktora, starego pisarza, rozmowę z opatem Salmonem o obyczajach owych wieków.

Opat nieco się zmięszał, a książkę podchwycił z natarczywością:

— A! Czytajcie, proszę!

— Rzecz to za długa — odparł opat — a i wieki, dla których pisana była (V wiek), od nas odległe, choć to zawsze prawdą jest, bo się człowiek nie zmienia.

Słyszac o czytaniu, młody Wincenty, na którego opat spojrział, miał się jakby do powstania z miejsca; Lucjusz mu dał znak, aby pozostał.

— Prawda, że list ów długi jest — przerwał scholastyk — ano, dajcie nam choć ono miejsce

z niego, które na pamięć umiecie. Radzi byśmy je posłyszeli. W pogańskich pisarzach, których u nas wielu dla pięknego ich wielbi języka, tak zdrowych myśli nie znaleźć.

— Przewielebny ojcze — naglił Kaźmierz — nie odmawiajcie nam, powiedzcie, co

zapamiętaliście. Choćbyśmy nie wszystko lub nie wszyscy zrozumieć mogli, coś zawsze na nasz pożytek zostanie.

Opat wahał się jeszcze.

-Uczyńcie nam tę łaskę — dodał scholastyk — książkę nakarmił ciało, wy duchowi dajcie posiłek.

Z natężoną uwagą, wśród powszechnego milczenia słuchał wszyscy, a opat, zmuszony, tak rozpoczął:

— Opuszczę wstęp, idę do rzeczy, gdy Wiktor obyczaje ludzi swojego czasu malować

poczyna. Były to czasy wojen niepokojów, głodu a klęsk wielkich, ale nie tyle one ludziom co ludzie sobie sami szkody przyczyniali. Więc Wiktor się odzywa:

„Ani wróg, ani głód srogi, ani choroby nie zmoły nas czymesmy byli, tym jesteśmy, a choć nas niebezpieczeństwo wypróbowały, lepszymiśmy się nie stali. Pielęgnowujemy występki nasze, a grzeszyć nie przestajemy. Nic dla nas świętego oprócz zysku, pocziwe to tylko, co korzystne, złemu imię dajemy dobrego, a skąpca mianujemy oszczędnym.”

Tu scholastyk ręce podniósł do góry wołając:

— O, święta prawda i dzisiaj! Opat ciągnął dalej:

„Ci, co wpośród jawnych występków, oczywistych zbrodni nie potrafili ukryć szalbierstw swoich pod płaszczykiem cnoty, karmią rany swe mimo wiedzy, porwani, uniesieni oślepieni światową mądrością, która nie zna prawdy. Obłąd zgubny wiedzie niekórą biedotę do poszukiwania przyczyn rzeczy. Uczy się gwiazd biegu, chce znać niebios kształty, przyczynę, dlaczego rzeki nie wysychają w długim biegu i gdzie się kończą nieskończone morza. Radzi by wiedzieć, co Bóg wie jeden, a co dla wszystkich zakryte, w zaślepieniu swym mniemają, że to wiedzą.” Tu scholastyk przerwał opatowi:

— Ale to miejsce, to, gdzie o niewiastach mowa! Książę zarumienił się mimo woli, Lucjusz spuścił oczy i mówił dalej z pewnym wahaniem i jakby obawą:

— „Noc rosą zwilżona dzień i światłość prędzej by cieniami oblokła, o Salmonie, nimbym potrafił rozpatrzyć się w obyczajach płci tej, która z rozkazu bożego żyje pod mężczyzny prawem, a nie grzeszy, o sromoto, nigdy bez winy naszej.”

„Bo gdybyśmy tak skłonni nie byli do podzielania jej zdrożności, nie dopuścilibyśmy, aby żyły występkami naszymi, nie kupowałyby kosztem kilku ziemskich posiadłości sukni wyszywanych złotem ani tkanin serskich, ani kamieni drogich, które kupcy z zamorskich krain przynoszą, a za którymi tyle smutnych westchnień leci. My do tego jeszcze łączymy lekkomyślne troski. Jeżeli Lesbija chodzi obwieszana kamieniami przywoźnymi a drogimi, jeżeli Passina cała promienieje pod świeżą purpurą, wnet inne tychże upominają się strojów. A że się uczą i starają one w coraz nowej stawić postaci, okazując mężczyznom oblicza co chwila ułożone inaczej, toż nie mężczyzn wina? Czystemu ciału po co się zdały bielidła, barwiczki i tysiące trucizn barwy różnej? Piękna dusza, obyczaje święte czynią stadła szczęśliwymi. Jeżeli tylko piękność nas ciągnie, lata nadchodzą, miłość ucieka, a poczciwość jedna nie starzeje.”

„Jeżeli niewiasty czas na przechadzkach tracą, wydają uczty, tysiące szaleństw popełniają, plotą nie do rzeczy, a też nie nasza wina?”

Opat się zatrzymał, panowało milczenie.

Książę, który z uwagą się przysłuchiwał, rzekł łagodnie:

— Niespełna to obyczaje wieku i kraju naszego, myśmy może nie lepsi, ale niewiasty nasze

do owych rzymskich nie są podobne.

Scholastyk z lekka ręką po stole uderzył.

— Miłościwy Książę — zawołał — chybaście Krakowa zapomnieli, a po dworach bogatych żupanów nie przypatrywali się ich obyczajom! Juści może w szatach nie ma zbytku tyle, bo go u nas zaspokoić trudno, a co zepsucie i płochość — większe jeszcze, choć się lada strzępkami i sprzężką ustroi.

Książę Kaźmierz, jakby przedmiotu tego dotykać się wahał, zamilkł, przysłuchując się tylko, a nie mieszając do rozpraw. Opat, też nieco skłopotany, rad był w inną stronę odwrócić uwagę. Scholastyk tylko uparcie trzymał się założenia swojego.

— Mało powiedział Wiktor ów — dodał gorąco — ba, i zgrzeszył tym, że wszystko na mężczyzn składa. Wszak ci upadku Adamowego winną była niewiasta, a znaną jest pewnie wszystkim historia świętego, którego imię Wiktora mi przywodzi na pamięć, Wiktoryna

neapolitańczyka. Ten pędził żywot świątobliwy na puszczy, w postach surowych, na modlitwie nieustającej. Stary, zaprzysięgły wróg rodzaju ludzkiego, wedle natury swej, złością ku niemu został zdjęty. Wziął więc na się postać młodej dziewczyny i szedł do pieczary pustelnika, udając jakoby zbłądziła. Poczęła jęczeć u drzwi: „A! Ja nieszczęśliwa, otom wśród lasu zabłąkała się w ciemnościach! Ratuj mnie, ktokolwiek tu mieszkasz, gdzie nie ma, jeno puszcza i niebo! Oto nadchodzą dziki warczące! Puść mnie przez litość, odejdę o brzasku! Zlituj się, bądź miłościw, daj mi na noc schronienie! Niedźwiedzie ryczą koło mnie, wilków wycie słyszę. Ratuj, dopóki czas!

Jeżeli ocaleję, życie ci będę winna, a zginę, toć przez ciebie!”

Wiktoryn, ulitowawszy się jęczeniu temu, nareście drzwi jej otworzył, wprowadził dziewczynę, posadził ją z jednej strony, a sam usiadł z drugiej, opodal w kącie.

Nie upłynęła godzina, gdy owa dziewczyna, kołysząc się i poruszając nogą, dotknęła nią świętego i zapaliła w nim żądzę straszną!

Niektórzy z dworzan siedzących za stołem po kryjomu z powieści tej śmieszki stroić zaczęli, młody Wincenty spuścił oczy, książę Kaźmierz nie rzekł nic.

Zdaje się, iż w końcu sam ksiądz scholastyk postrzec musiał, iż tą budującą rozmową nie

wielce się podobał księciu, który przeciw zwyczajowi swemu milczał. Spytał więc opata Lucjusza, czy ze sobą też nie przywiózł z Francji pięknego poematu, o którym zasłyszał, opisującego czyściec



świętego Patryka.

— I jam też o nim coś słyszał — odezwał się książę, przerywając milczenie — nie znam go jeszcze.

— We Francji czytałem go — odparł opat — powtórzyć jednak nie potrafię, jak go trubadurów nasi ułożyli, chyba samą treść zapamiętam.

— Historia wiarogodna — dodał scholastyk żywo — boć nie ulega wątpliwości, iż kilku już świątobliwym ludziom danym było oglądać czyściec i raj nawet, i piekło samo dla zbudowania i nawrócenia małowiernych.

— Tak też był szczęśliwym i ów rycerskiego zawołania mąż, Anglik, o którym pieśń opiewa, imieniem Oweins — rzekł opat. — Ten dla oczyszczenia się z grzechów swoich pielgrzymkę do czyścica przedsięwziął. Wiadomo jest, iż na jeziorze Dungal znajduje się pieczara, którą Patryk święty po długich postach i gorącej modlitwie skinieniem ręki otworzył. Tu Oweinsowi pobożni zakonnicy wnijsie do czyścica wskazali.

Wszedłszy Oweins, a kawał drogi przebywszy w ciemnościach, natrafił w istocie na miejsce, w którym cierpieli ci, co się oczyszczali, i ci, co na kaźń wiekuistą skazani byli. Ale u wnijsia począł go straszyć i odganiać szatan, którego on nie uląkłszy się, potracony, wypychany, ciśnięty przez diabłów, przeszedł przez te straszliwe miejsca męczarni. Tam widział winowajców ukrzyżowanych na ziemi, których węże opasywały i pożerały, innych nagich, wystawionych na wicher północy, a nogami zanurzonych w nieugaszonych płomieniach, wplecionych w koła obracające się wiecznie, jęczących w jamach pełnych kruszcu roztopionego, miotanych burzą, tonących w rzekach, w których szatani rozpalonymi widły ich trzymali. W głębi tych przepaści widział studnię płomienistą, która dusze pochłaniała i wyrzucała.

Poznawał tu Oweins wielu swych towarzyszków broni. Odwaga go opuszczała, gdy cały drżący dopadł wąskiej kładki, zawieszanej nad przepaścią. Ale za ledwie dotknął jej nogą, aliści deska się rozszerzyła i powiodła go aż do wrót, które gdy się przed nim rozwarły, znalazł się w ogrodzie rozkosznym. Był to Eden, któryśmy przez grzechy pierwszych rodziców utracili, dzisiaj mieszkanie sprawiedliwych, nim się stąd do niebios dostaną. Wszyscy oni wyszli na jego spotkanie i zawiedli na miejsce, z którego mógł dojrzeć niebios a chwałę pańską. Duch Święty zstąpił na nich z wysokości i Oweins powrócił na ziemię, aby opowiadał widzenie swoje.

— I święty Alberyk miał podobne — nieśmiało wtrącił młody Wincenty. — Zdarzyło mi się

czytać o tym u ojców benedyktynów, którzy to przywieźli do nas z Monte Cassino.

Opat głową potwierdził, a księżę uśmiechnął mu się, rad z uczoności wychowawca swojego.

Zaczęła się rozprawa żywsza o życiu doczesnym i świecie przyszłym, poparta urywkami

starożytnych i chrześcijańskich pisarzy, do której oba duchowni przyczyniali opowieści, jakie naówczas sobie z ust do ust podawano. Opat Lucjusz, gdy o nagrodach za dobre uczynki mowa była, przywiódł legendę o świętym Marcinie, który płaszcz ubogiemu oddawszy, ujrzał we śnie Chrystusa weń przyodzianego.

Księżę, słuchając, dopiero się ożywiać począł, lubując w powieściach tych, i dziękował

wielce opatowi a scholastykowi, iż tyle pięknych rzeczy od nich się mógł nauczyć.

— Miły Boże — odezwał się wzdychając — jakżeście wy szczęśliwi, wy, którzy macie

życie całe na napawanie się mądrością, gdy my jej kradzione tylko od płochych zajęć chwile oddać możemy.

Wieczór późny już był, nikomu jednak na sen się nie brało, a sam księżę najmniej o nim

myślał,

Z tych opowiadań, gdy do historii dawnej przyszło, a opat o Francji mówić począł, kroniki swe stare przywołując westchnął Kaźmierz i bolał nad tym, że nie spisywano ich w kraju jego, który też miał starożytne swe dzieje, ale na ustach ludzi, w podaniach się tylko błakające.

— Oto dla was zadanie — odezwał się do skromnego kleryka — gdy da Bóg czas po temu

mieć będziecie, abyście nam też dzieje nasze spisali.

Oczy spuścił skromnie Wincenty.

— Nie na moje to siły — rzekł cicho.

— Zatem sił przybierajcie — przerwał księżę — bo ja to kiedyś na wasze włożę ramiona i

będziecie musieli spisać, co nie ujęte pismem, marnie by przepadać musiało.

Duchowni oba skłonili głowami, potakując, gdy we drzwiach ukazał się Prandota, który na

chwile się był oddalił. Dał znak jakiś księciu, a ten wyrozumiawszy, wstał Kaźmierz i choć nie nadeszła była zwykła rozstania godzina, niespokojnie począł żegnać swych gości.

W tejże chwili we zbroi rycerskiej i płaszczu, hełm zdejmując z głowy, w progu się ukazał

średnich lat mężczyzna.

Przybyły był Jaksą z Miechowa, miłym niegdyś towarzyszem księcia Henryka na wyprawie krzyżowej do Jerozolimy. Kaźmierz go i sam przez się miłował wielce, i dla miłości brata, któremu on ukochany był, przywiązał się bardziej jeszcze do niego. Jaksą też na miłość zasługiwał rycerskimi przymioty, pobożnością i przywiązaniem a wiernością niezłomną dla książąt obu.

Ten to był Jaksą, który jeszcze za żywota Kędzierzawego wraz ze Światosławem i innymi ziemianami chciał księcia Kaźmierza na Kraków prowadzić czemu się on naówczas oparł, nie chcąc władzy okupionej przenieństwem przeciw bratu. Na próżno nalegali władcy, na siebie biorąc winę, gwałt mu zadać chcąc. Kaźmierz odepchnął pokuszenie.

Jaksą od początku panowania stronił od Mieszka, stojąc na czele tych, którzy marzyli zawsze, iż sprawiedliwego rozumnego, dobrego pana swego na stolicy głównej osadzą. Zjeżdżał on często do Sandomirza, chociaż mu o sprawie tej mówić nie było wolno, przez cześć i miłość wielką dla księcia chętnie mu dworując.

Ujrzawszy go o tak późnej godzinie, zdziwił się nieco Kaźmierz. Wiedział dobrze, iż po nocy nie przybyłby nadaremnie na zamek i rozmowy się nie dopominał.

— Jakso mój — odezwał się, gdy się sami znaleźli w komnacie księcia — z czymże ty do mnie tak późno, złym czy dobrym, choć nie z próżnymi rękami? Widzę to z ciebie. Mów śmiało, wiesz, iż złe w pokorze przyjmę z ręki pańskiej, a dobre — sercem wdzięcznym. Spojrzał mu bystro w oczy, ale ze wzroku Jaksy nic nie mógł wyczytać.

Niestary jeszcze, Jaksą był już życiem dobrze skłopotany. Po śmierci żony wielce ukochanej, córki Petrka wrocławskiego, puścił się był do Ziemi Świętej, gdzie przy księciu Henryku wiele złego zażył i ze smutkiem wrócili oba, bo krzyżowa wyprawa z winy Ludwika francuskiego się nie powiodła. Wojny, smutki, tęsknoty uczyniły z żywego niegdyś, niepoohamowanej ruchliwości rycerza, powolnego dziś i zasepionego męża, na którego czole wiecznie czarne jakieś błdziły chmury. Zahartowany, twardy Jaksą małowmny był, a mniej jeszcze po sobie okazywał twarzą, która zawsze jedną się wydawała i jakby zastygłą.

— Nie mylisz się, Miłościwy Książę — odpowiedział przybyły po namyśle niejaki — nie darmo Was niepokoję. Musiałem przybyć, gniewajcie się lub przebaczcie, co na sercu mam,

wypowiedzieć muszę.

Księżę Kaźmierz cały się obrócił ku niemu.

— Stara to piosenka — mówił Jaksa — krakowianie wszyscy wołają ku Warn: „Ratunku!”

Mieszek ze swym Kietliczem do rozpaczy ich przywiedli. Będziecie musieli siąść tam, gdzie ja Was dawno, dawno posadzić chciałem. Wola w tym jest boża!

Kaźmierz, który był usiadł na chwilę, wstał żywo, ręce składając jak do modlitwy.

— Człowiecze! — zawołał gorąco. — I ty się zowiesz przyjacielem moim?! Ty mówisz, że pragniesz dobra mojego? Jakso miły! Tyż to masz mnie wieść ku temu znowu, abym ja brata wyganiał, władzę sobie przywłaszczał, krew przelewał?!

— Miłościwy Księżę — przerwał Jaksa — dzisiaj nie o Was idzie, ale o ziemie te wszystkie, idzie nawet o żywot brata Twego, bo nie spotka-li go wygnanie, gorszy los zgotowany mu być może. Nie, nie o Was już idzie.

— A mnie chcecie dać na stracenie — odparł Kaźmierz —

tak jako mnie już raz dano zakładnikiem cesarzowi dla ocalenia ziem tych. Nie bolałem

naówczas, dziś ofiary tej nie mogę uczynić. Chcecie mi odebrać jedyny skarb, sumienie czyste, spokój najdroższy, szczęście moje, Jakso!

— Miłościwy Księżę — odezwał się Jaksa — powtórzę, iż wola w tym boża. Będziecie nie

Sandomierzowi i Lublinowi, ale Krakowu, Szląskowi, a dali Bóg całym, wszystkim ziemiom ojca Waszego panować. Królem będziecie potężnym i wielkim.

— A, na Boga! — przerwał Kaźmierz. Alboż myślisz, iż wielkość ta jest czym, za czym by

się ubiegać warto było? Cóż ona? Pochłonęli tu ziemie wszystkie, zawsze od Rudobrodego

słabszym będę, a i nad niego silniejsi są. Co mi po wielkości tej, gdy na małym ziemi kawałku mogę być szczęśliwym i lepszym?

Jaksa zaciął usta trochę.

— Miłościwy Panie — rzekł — nie wątpicie, iż kocham Was. Ano, dzisiaj powiem

szczerze, iż ziemie te, której ojczycami oba jesteśmy, jeszcze mocniej niż Was miłuję i ich szczęścia pragnę, a Wy dla nich, Wy jesteście potrzebni. Wy, tylko Wy!

— Jakso! — zawołał Kaźmierz z wybuchem wielkim. — Przypomnij sobie nalegania wasze dawne! Czym mnie naówczas znaleźliście, tym i dziś będę, nie zmieniłem się.

— Ale czasy się zmieniły — odparł Jaksa. — Naówczas myśmy wytrwać mogli, dziś już nie. Nie zechcecie Wy, wezmą innego księcia, Mieszka nie zniosą.

Kaźmierz pobladł.

— Jakso mój — rzekł z wyrazem głębokiego smutku — nie upłynąłby rok po wyniesieniu moim, a ten sam los, co dziś jego, mnie by spotkał. Powiedzą mi, gdy się im sprzeciwię i uprzykrzę, żebym precz szedł. Ziemianie sami chcą panować, słuchać nieradzi nikogo. Wygnali Władysława, burzyli się przeciw Bolesławowi, teraz Mieszka się radzi pozbyć, jakaż nadzieja dla mnie?

To mówiąc, załamał rękę.

— Miłościwy Książę — przerwał zbliżając się Jaksa. — Ty nam panować będziesz

spokojnie, my Cię jak ojca strzec, bronić, szanować będziemy i nie tylko Tobie, ale krwi Twojej wierni być przysięgamy, boś Ty innym od braci Twej: miłujesz sprawiedliwość, nie pragniesz władzy, tylko dla dobra, gdy inni chcą dla krzywdy i ucisku. My tylko praw naszych bronimy, które nam odbierają, karząc bez sądu, chwytając bez winy. Ziemianie zresztą nie sami burzą się i narzekają; spytajcie się ojców duchownych, którzy w tym królestwie i na całej ziemi stróżami są praw boskich i ludzkich, azali oni radzi są z Mieszka, który własności ich ani klasztornej nie szanuje, wydając ją na łup swoim urzędnikom.

Książę, w czasie gdy Jaksa mówił, stał zamyślony i smutny, przystąpił potem doń i kładnąc ręce na ramionach, począł głosem łagodnym:

— Jakso mój, nie bądź kusicielem dla mnie! Słodkie są słowa twe, ale serce moje

odepchnąć je musi. Jam rad z tego, co mam, przestaję na tej dzielnicy, więcej nie chcę nic, ani panowania, ani potęgi i blasku. Mam was kilku wiernych druhów moich, mam chleb z łaski bożej, którym się jeszcze z biedniejszymi podzielić mogę, mam czym granice obronić od napaści; lubię tę moją ciszę i życie swobodne, dajcie mi je spędzić tu, gdzie mam wspomnienia matki i kochanego brata! Nie, nie chcę waszego Krakowa, który by mi przyniósł tylko troski i niepokoje. Oblała go krew biskupa Stanisława, drugiego Tomasza Kantuaryjskiego, tkwi na nim wspomnienie

Szczodrego. Ziemianie krakowscy niechętnie znoszą książąt, Mieszko silniejszy jest. Idźcie doń, jego proście; oddali tych, co wam ciężą. Mnie zostawcie, proszę, na Sandomirzu moim, Jakso mój, nie żądaj tego po mnie!

Jaksa spuścił głowę smutnie.

— Raz już prośbę odrzuciliście, odrzucacie ją powtórnie, ale przyjdą do Was tacy, których

naleganiom się nie oprzecie.

Księżę począł się przechadzać niespokojny.

— O druhu mój! — zawołał. — Zakląłbym cię na miłość dla mnie, gdybyś mi nie

powiedział, że dobro tych ziem więcej kochasz nade mnie! Ale ja ją też miłuję i przez tę miłość panować nie chcę, bo się nie czuję na siłach. Wierzaj ty mnie, Bóg stworzył Kaźmierza nie na władcę, jakim ty go mieć chcesz, ale na spokojnego sługę swojego, który słucha słowa bożego, mądrości uczyć się pragnie i żyć w ciszy a na uboczu. Zostawcie mnie na Sandomirzu, chcecie szczęścia mojego!

Jaksa, poruszony mocno, stał smutny i milczący. Nie wiedział już, co miał dodać, aby

księcia skłonić do swej myśli, gdy Kaźmierz wyjrzał przez okno, dotąd otwarte, ku

wypogodzonymu niebu, którego gwiazdy późną wskazywały nocy godzinę.

— Idź, spocznij — odezwał się cicho — patrz, noc już jest, a i mnie czas do spoczynku.

To mówiąc, ujął go za ręce obie i w schyloną głowę pocałował szepcząc:

— Mój Jakso, bądź mi druhem prawdziwym, nie wrogiem! Nie wiesz, jak mnie boli sama ta myśl, że mógłbym wystąpić przeciw bratu.

Jaksa już nie odpowiedział, skłonił się i powoli przez izbę księcia Henryka wyszedł do

wielkiej, która już stała pusta. Dwóch czy trzech sług wynosiło tylko resztę zastawy z wieczerzy, próżne dzbany i kubki. Cisza panowała na zamku. W ostatniej izbie komornicy książęcy,

zobaczywszy Jakse wychodzącego, ruszyli wnet, aby mu izbę jego pokazać i chłopca do niej dać z pochodnią. Poszedł za nim Jaksa tam, gdzie nań jego ludzie czekali, i nie bawiąc, pomodliwszy się, położył na spoczynek.

Gdy dzwony kościelne zbudziły go, na jutrznię się odzywając, a Jaksa co rychlej wstał i

odziewać się począł, poranek był dziwnie piękny i pogodny, ale spojrzenie na niebo tych, co się na nim znali, na dzień trwałej pogody nie zapowiadało. Zbyt wczesnie się rozjaśniło, słońce weszło bez chmurki, ciepło było wielkie, wiatr wiał z zachodu.

Wahał się jeszcze Jaksa, czy iść do kościoła na mszę ranną, czy do księcia, aby mu

towarzyszyć na nabożeństwo, którego Kaźmierz co dzień słuchał, gdy pacholę mu znienacka

oznajmiło, że księcia na zamku już nie było.

Zdziwiony wielce Jaksą podniósł oczy pytając:

— A gdzież jest książę?

— Jak świt, ruszył z zamku z małą garstką ludzi; mówią, że pewnie na łowy.

Chłopak się jakoś uśmiechnął dwuznacznie.

Jaksę to tym mocniej dotknęło, że książę mu wczoraj nic nie wspominał o łowach, a wyjazd

ten nagły był jakby ucieczką przed nowymi naleganiami. Słudze jednak nie chcąc okazać, iż go ta wiadomość obesza, nie rzekłszy nic, wyszedł Jaksą w podwórze niepewien, co pocnie. Wiedział

on jak inni, że książę na tych łowach, które żadnej nie przynosiły zdobyczy, bawił czasem tygodnie całe. Miałli czekać na powrót czy jechać precz? Zaczyłóż to, że książę chciał się [go] pozbyć i uniknąć?

Tak dumał, gdy naprzeciw siebie ujrzał idącego powiernika i najbliższego przyjaciela

Każmierzowego, którego wczoraj na dworze nie spotkał.

Dawny ten druh i wierny sługa księcia, który najtajniejszych myśli jego był powiernikiem, latami mu prawie równy, zwał się Goworkiem, a był Mazurem spod Płocka, kędy posiadłości

znaczne trzymał. Nie opuszczał on nigdy osoby i dworu Kaźmierza, którego w Sandomirzu w

rządach i sądach zastępował, wszystko niemal mając w rękach swych: skarbiec, ludzi i żołnierza.

Powiernik księcia, ukochany mu, nie mógł być tylko po sercu mężem sprawiedliwym i dobrym.

Takim też był Goworek, oprócz innych wielu przymiotów mając i ten, że niespracowanym był, rozumu bystrego a obyczajów ludzi przywiędzujących.

Mężczyzna był średniego wzrostu, rumiany, hoży, już nieco otyły, z bródką płową i wąsem

do góry podkręconym, z wyrazem twarzy i oczów niebieskich miłym a pociągającym. Będąc

zmuszonym od rana za księcia gości przyjmować, słuchać przychodzących z żałobą, porządek na zamku i w załodze utrzymywać, odziany już był, jak przystało: przy mieczu, w kołpaku, jakby w gotowości być musiał do wyjazdu każdego czasu. Jak książę sam, lubili Goworka wszyscy, nawet księżna

Helena, która Rusinów swych nad tutejszych ludzi przekładała, miała w nim ufność wielką.

Goworek, gdy księcia nie było, namiestnikiem się jego stawał, a co on rzekł, to się spełniało. Z

Jaksą byli z dawna dobrze i poufale, więc gdy go zobaczył, ręce wyciągnął ku niemu i na spotkanie

pośpieszył. Zeszli się sam na sam w podsieni.

— Cóż to? Księcia już nie ma? — spytał Jaksza. — Wczoraj widziałem go późną porą, słowa mi nie rzekł o żadnym wyjeździe ni o łowach. Cóż się stało?

Goworek, dawszy mu się wygadać, odparł z wolna głosem spokojnym:

— Nic się nie stało. Księżę zapragnął lasów i rozrywki, kazał sobie do dnia konia podać.

— Widzieliście się z nim na wyjeździe?

— Księżę mnie kazał wołać, jużem nie spał — rzekł namiestnik.

— Nie wspomniał wam nic o mnie, przykazania jakiego nie dał?

— Sądzę, że was miał na myśli — odparł Goworek — gdy mi mówił, że zapewne łowy długo nie potrważą, ale kresu im zamierzyć trudno. Bywa różnie.

Zasepił się Jaksza trochę, Goworek śledził wyraz jego twarzy.

— Nie uciekajcie dlatego do Miechowa — rzekł — tu wam przecie nudno nie będzie. Jest ludzi dużo, pomogą wam czas przepędzić. Księżę może rychlej powrócić, niż się spodziewamy.

— Albo później, niż sądzimy — dodał Jaksza ze smutną żartobliwością jakąś. — Przybyłem nie z pokłonem, ale z prośbą, odprawym nie dostał i...

Ręce niecierpliwie rozwarł, okazując niepokój i frasunek.

Goworek czy nie mógł, czy nie chciał mówić, uśmiechnął się tylko łagodnie i miał Jakse

pociągnąć z sobą do dworu, gdy z dziedzińca ujrzeli zbliżającą się postać obcą, która oczy ich zwróciła na siebie.

Był to suchy, kościsty, chudy, trochę na jedną stronę przegięty, blady, lat średnich, z głową spiczastą, z twarzą wygoloną, w sukni jakby kleszej, w czapce czarnej, wysokiej, na kształt zawoju dziwnego kształtu, pasem skórzany niski podpasany. Twarz z małymi oczęty biegającymi, roztropna, ale odstręczająca, krzywiła mu się, marszczyła, wygładzał ją też ręką nieustannie i jakby osłonić pragnął.

Jaksza poznał w nim zaraz sędziego, czyli podsędziego głównego krakowskiego, Gabryka

Mierzwę, a i Goworek domyśleć się musiał, co zaczął być i że z Krakowa przybywał, bo natychmiast jako ku gościowi wyszedł przeciw niemu.



Mierzwa szedł, bacznie się po zamku rozglądając, z twarzą posępną, z wolna krocząc, a zobaczywszy Goworka, z dala już witać go począł, zmuszając się do jakiegoś niezdarnego uśmiechu.

— Wasza miłość jesteście tu na zamku... — począł Mierzwa głosem słodkim.

— Jestem sługą księcia Kaźmierza — przerwał Goworek — i podczas tu gospodarzę, gdy miłościwego pana nie ma.

— Aa! — mruknął Mierzwa, gładząc się po brodzie. — A ja jestem podsędzia krakowskim, służeczką księcia Mieszka, od którego przynoszę pokłon i posłanie do brata.

— Książę właśnie dziś do dnia wyruszył na łowy — rzekł Goworek zimno.

Jaksa, nie odchodząc, stał nieco z boku, przysłuchując się rozmowie.

— To mi już we wrotach zwiastowano — odezwał się Mierzwa wzdychając. — Prawdziwe nieszczęście dla mnie, bo poselstwo pilne, a jam też człecze od roboty wzięte, czas mój drogi, służba nagli.

— Wszak ci by poselstwo albo księżnie Helenie lub mnie zwierzyć można — odezwał się namiestnik.

Mierzwa z twarzy uczynił osobliwie wykrzywioną maskę, zmilczał.

— A kiedyż książę powróci? — zapytał.

— O tym wiedzieć trudno — odezwał się namiestnik. — Czasem powraca tegoż wieczora, niekiedy ledwie po tygodniu.

Usłyszawszy to, podsędzia wykrzywił się okropniej jeszcze i spuściwszy ręce, długie, kościste palce wyłamywać począł z niecierpliwości.

— A nie posłać-że by za księciem? — przebaknął. — Boć poselstwo od pana mojego, najwyższego książęcia, nie lada czym jest, a choćby dla niego i z łowów powracać przyszło, hę?

— Któż wie, dokąd się udał książę? — odparł Goworek obojętnie.

— Po lesie bo szukać trudno — dołożył Jaksa, którego głos posłyszawszy, Mierzwa począł

mu się pilno przypatrywać.

Znać, że go sobie musiał przypomnieć, gdyż czapką mu się skłonił pięknie i dla niego nawet twarz rozchmurzył trochę. Jaksza mało co na to powitanie odpowiedział.

— Jeżeli mnie oczy moje nie zwodzą — odezwał się nadzwyczaj osłodzonym głosem,

pokornie Mierzwa — wszak szczęście mam oglądać rycerza, którego stopy Ziemi Świętej dotykały, miłościwego pana Jaksę z Miechowa?

Jaksza spokojnie głową potwierdził, a Mierzwa raz jeszcze pokłon mu oddał.

— I wy też, miłościwy panie, nie zastaliście księcia Kaźmierza! Co to za nieszczęście! Pan mój, który go tak kocha, stęskniony jest za nim, rad by go u siebie gościem miał. Zamek nasz krakowski rzadko go ogląda. Rzekł więc do mnie: „Nie doczekam się najmilszego brata mojego, jedźcie wy, powiedźcie mu, że mi tu pożądanym jest i potrzebny, niechaj mnie rychło nawiedzi.”

Jaksza nieznacznie ramionami poruszył, a Goworek wnet dodał:

— Jeśli to wasze poselstwo całe, my je wiernie do uszu pańskich podamy. Warn z

obowiązku sędziowskiego gdyby pilno było, może byście też chcieli księżnie Helenie się stawić i tej to zlecić!

Mierzwa zakłopotany wciąż ręką twarz wygładzał, jakby się namyślał, co ma poczynać.

— Pewnie, pewnie — zamruczał — uderzę czołem przed księżną, lecz nie godzi się, bym choć dzień jeden nie czekał na księcia. Sam też, do konia nie nawykły, rad spocznę.

— Na obiad więc do stołowej izby proszę — odezwał się Goworek — bo oto czas obiedni przychodzi, a nasz dwór cały ciągnie.

Jakoż w podwórzu okazali się opat Lucjusz, scholastyk Lambert, młody Wincenty, a z innych stron starszyzna dworowa, urzędnicy, komornicy i służba.

Goworek ręką wskazywał drogę, ale Mierzwa, duchownych zobaczywszy, natychmiast się ku nim zwrócił z pokorą i jak do swoich przybliżył, opata witając łaciną i uśmiechem.

Ojciec Lucjusz, który go nie znał i za duchownego poczytał, powitanie oddał uprzejmie, gdy scholastyk zbyt go dosyć sucho i krótko.

Mierzwa ożywił się natychmiast, stał nad wyraz miłym, pokornym, zalecającym, poczynając od tego, że cysterską suknię zobaczywszy, wnet w pochwałę zakonu świętego Bernarda uderzył.

— Szczęśliwym się nazwać mogę — rzekł — iż jednego z dostojnych synów czczonego  
przeze mnie najwyżej ojca Bernarda oglądać i poznać mogę. Dzień to *albo notanda lapillo* .

Niesiecie na naszą ziemię przykład świętobliwości, światło, opiekę bożą, którą za sobą cnoty wasze  
ciągną.

To mówiąc z przesadzonym zapalem, złożył ręce i oczy podniósł ku niebu, opat popatrzył  
na nieznanego sobie człeka i przyjął z pewną oględnością ten objaw uwielbienia dla zakonu.

— Daj Boże — odezwał się skromnie — abyśmy w ślady ojca naszego iść potrafili i  
gościnność tej ziemi wypłacili modlitwą i pracą.

Rozmawiając tak szli ku izbie zamkowej, do której i Goworek z Jaksą podążali.

Tu opat odmówił modlitwę zwyczajną i wszyscy około stołu zasiadać zaczęli. Mierzwie,  
jako posłańcowi księcia Mieczysława, poczystne dano miejsce przy opacie, co miłym mu było, bo  
głos zaraz zabrawszy, nader uczenie, wytwornie, z pokorą i słodyczą popisywać się zaczął przed  
sąsiadem z prawniczą i biblijną erudycją swoją.

Scholastyk Lambert, znając go dobrze z Krakowa, milczał, spoglądając nań z ukosa,  
przybierając wyraz twarzy pogardliwy i niechętny. Nie odzywał się, ale milczenie jego było pełne  
znaczenia.

Mierzwa po kilkakroć próbował go wyzwąć na słowo, za każdą razą scholastyk poruszał  
ramionami i do misy się zwracał, lekceważąc te zaloty.

Ktobykolwiek nie znał podsędiego krakowskiego, a właśnie opat Lucjusz był w tym  
położeniu, każdego by zwiódł postawą pełną dobroduszości i pokory. Cysters słuchał go z  
zajęciem, dziwując się wielkiej uczoności, łatwości mowy i bystrej logice.

Rozmowa zwróciła się do kraju, obyczajów jego, duchowieństwa w ogóle, a Mierzwa,  
wiedząc po troszę, iż cysterski zakon, który powstał z lędźwi benedyktyńskiego, choć był jego  
dziecięciem, w zapasach o lepszą z benedyktynami walczył, zręcznie czarnym synom świętego  
Benedykta łatki przypinać począł, sławiąc reformę świętego Bernarda i cnoty uczniów jego.

Opat Lucjusz uczuł niewłaściwość tego pochlebstwa, wziąć się nie dał na nie i odparł  
skromnie, pochwał nie przyjmując kosztem współzawodników okupionych.

Prawdą było, że nowy zakon cystersów z nadzwyczajną rozszerzającą się szybkością po

wszystkich krajach, odznaczał się ściślejszą regułą, ostrymi przepisami i obawiając rozprężenia węzłów karności, wiązał wszystkie nowo powstające klasztory z pierwotnymi nicią nierozrwaną w jedną spójną całość, tak aby wszystkie nad sobą czuwały.

Mierzwa, nadzwyczajne uwielbienie dla nowego wyznając zakonu (którego i księżę

Mieczysław był opiekunem), nieustannie potraçał o benedyktynów z przekąsem, aż w końcu opat Lucjusz, aby temu koniec położyć, odezwał się:

— Miły bracie, jednakże gdyby nie Benedykt, i Bernarda by nie było.

Tak trochę zbity z tropu zbytich pochlebstw, zwłaszcza gdy inni goście gorący temu słowu poklask dali, Mierzwa stał się ostrożniejszym. Zwrócił się ku pismom założyciela zakonu, dla których z nadzwyczajnym się oświadczył uwielbieniem, w czym mu nikt nie przeczył. Chcąc

jednak odpłacić opatowi jego przycinek, przebąknął złośliwie, że święty Bernard, nim się stał poetą religijnym, pono też światowe piosenki miłosne w mowie pospolitej pisywał.

— Mój bracie — odparł opat — tym większa mu należy cześć, iż się może nazwać

owieczką ową zbłąkaną, którą Chrystus jako najdroższą opowiada.

Młody Wincenty, chcąc też zatrzeć wrażenie przycinku podsędiego, w uniesieniu począł

odmawiać półgłosem sekwencję o Narodzeniu Pańskim świętego Bernarda. Wnet uciszyło się

dokoła stołu, a młody ksiądz śpiewnym głosem zadeklamował:

— „*Radujcie się wiernych chóry, alleluja.*

*Z czystej dziewicy łona, o cudo, król królów wychodzi.*

*Anioł Rady z dziewicy się narodził. Słońce z gwiazdy wystąpiło.*

*Słońce, co nie zachodzi, gwiazda wiecznie jasna, zawsze błyszcząca.*

*Jak gwiazda promień wydaje, tak dziewica syna jak ona wdzięcznego.*

*Promień nie zaciemnił gwiazdy, syn nie pokalał matki.*

*Cedr wzniosły Libanu w dolinie naszej stał się hyzopem itd.”*

W tej chwili stół jakby kościołem się stał. Opat ręce złożył, słuchając, i łzy miał na oczach, Mierzwa też źrenice wywracał ku niebu, dając znaki przejęcia i zachwytu.

A że obiadowanie ranne się skończyło, wstał zaraz Lucjusz, gdy Wincenty dokończył, i

dziękczynną odmówił modlitwę.

Mierzwa byłby może Lucjuszowi towarzyszył, chcąc mu dworować i zamiar mając

wyciągnąć coś, gdy Goworek odwołał go, zapraszając z sobą do księżnej Heleny. Wezwaniu temu odmówić nie było można, szli więc podsieniami, które wiodły do drugiej zamku połowy,

zajmowanej przez księżną i niewiasty. Tu dojrzeć już było można nieco rusińskiego obyczaju i w stroju służebnic Bełżanek, i w urządzeniu izb, które księżna zajmowała. Wspaniałe były, a zamczysto od reszty dworu jakby klasztor oddzielone. W komnacie księżnej Heleny pełno było obrazów złocistych z surowymi obliczami, przed którymi lampy gorzały; kobierce wschodnie okrywały podłogi i ściany.

Sama ona z pierworodnym swym synkiem, siedmioletnim Bolesławem, który stał przy

matce, siedziała oczekując, nie mając przy sobie nikogo, oprócz starszej niewiasty dla posługi, która z dała u drzwi się trzymała.

Była księżna Helena, choć młodą jeszcze, nieco już zbyt tuszy, białej płci, oczu jasnych, twarzy, choć niepięknej, miłej i rysów regularnych. Tylko wyraz jej niespokojny i jakby strwożony ciągle wdzięk jej odbierał. Zdawała się czegoś ciągle obawiać, a tego, co czynić miała, niepewną.

Zresztą powagę w niej wielką i w obejściu się majestat pański czuć było. Strój książęcy, któremu łańcuchów, naszyjników, pierścieni i ozdób z drogich kamieni nie brakło, dodawał pani świetności.

Nie dla zalotności żadnej, bo tej w licu i wyrazie twarzy skromnym a wstydliwym śladu nie było żadnego, przybierała się tak bogato księżna Helena, ale panu swemu i dostojęństwu chcąc cześć uczynić.

Gdy Goworek Mierzwę, wpółzgiętego pokornie, wprowadził do komnaty, księżna mu się przybliżyć kazała i białą rączkę, okrytą pierścieniami dała do pocałowania.

Począł podsędzia poselstwo swe od tego, iż książę Mieszko z miłości nadzwyczajnej ku

bratu, którego był niegdy opiekunem i jakby ojcem przybranym, pożądał go widzieć w Krakowie, słał mu pozdrowienia i prośbę, aby go co najrychlej odwiedził.

Księżna Helena słuchała z dobrą wiarą, dosyć rada i dziękując odpowiedziała, że gdy pan a małżonek jej powróci, pewnie na to wezwanie pośpieszy. Bolał tedy Mierzwa, iż go nie zastał, na co księżna odpowiedziała tylko głowy skinie- niem. Dalej już i mówić nie było o czym. Mierzwa jeszcze do synka książęcego słodką mowę obrócił, życząc mu wszelkiego od Boga

błogosławieństwa, a za gościnę dziękując.

Księżna Helena była małomówną, zbywała go już półsłowy, będąc synkiem więcej zajęta, i

w końcu Goworek dał znak, iż czas wychodzić było, a Mierzwa, znowu rękę księżny ucałowawszy, miał się wycofać. Chciał jednak spróbować, ażali nieopatrzna niewiastę na słówko nie wyciągnie, i wyrwał się z tym, czyby mu radziła oczekiwać na księcia i. jak on prędko mógł powrócić.

Księżna zarumieniła się, zakłopotana, spojrzała na Goworka i przebaknęła nieśmiało, że o powrocie nic wiedzieć nie może, a jeśli czekać zechce, rada mu będzie. Tak tedy i tu Mierzwa odszedł z niczym, a że dnia dużo zostawało, nie bardzo wiedział, jak i gdzie się obrócić.

W niepewności był wielkiej, co pocznie, polecono mu bowiem Kaźmierza przywieść z sobą, a tu składało się tak wszystko, iż czasu przychodziło zmarnować wiele, a skutku mało się było można spodziewać. Chciał siedzieć Mierzwa, ażeby wymową swą księcia do podróży skłonić, a niecierpliwił się, jak długo trwać może pobyt na zamku, gdzie ani w kości grać, ani się upić wypadało, ani było do kogo zalecać. Szpiegostwem chyba mógł czas zająć.

W milczeniu wyszli z Goworkiem w dziedzińce. Namiestnika wnet gdzie indziej odwołano, powlókł się więc skwaszony i frasobliwy Mierzwa do izby, która dlań była przeznaczona.

Szczęściem okna jej wychodziły w podwórce zamkowe i stąd cały ruch ich widać było. Mierzwa zasiadł, przypatrując się tym pilniej, iż nadzwyczajne jakieś spostrzegł krzątanie się.

W istocie ludzi było różnych wiele, a ci na podróżnych i z dala przybywających wyglądali.

Kilku poważnych ziemian wjechało z pocztami na zamek, zdawało się rozpytywać, naradzać, jedni z nich zostawali, drudzy precz pośpiesznie odjeżdżali. Goworek z jednymi rozmawiał *żywo*, z drugimi Jaksa tajemniczo się naradzał.

Nie zdało się podsędzemu, aby to miał być zwykły stan zamku sandomirskiego, znanego ze spokoju i ciszy. Wydało mu się też, iż między przybyłymi gośćmi widział jakieś krakowskie, znane twarze. Zdziwiło go i to, że po rozmowie z Goworkiem, kilku niespokojnie ku oknu jego spojrzało, od którego się cofnął, wszyscy zaś rychło rozjeżdżać się zaczęli.

Rozmowy w podwórku, choć tuż u okien, tak były cicho prowadzone, że Mierzwa słowa z nich pochwycić nie mógł. Sam tedy z ruchu tego nic nie mogąc pewnego wywnioskować, musiał do pomocy wezwać sługę, którego na obraz i podobieństwo swe wykształcił. Chłopak, czysto

krakowskie dziecko uliczne, zwał się Pawek, a wybrany był z tych żaków, co od domu do domu chodząc i żywiąc się o łaskawym chlebie, do szkoły biskupiej chodzili. Sprytny był jak ogień, a że go pan do różnych posług używał, zepsuty i przebiegły jak on. Nie wzbudzał podejrzania, bo niepocześnie wyglądał, wszędzie go więc bezpiecznie posłać było można z uszami po język. W

Krakowie samym już był Pawek zaprawiony do tych usług: umiał się podkradać zręcznie, gdy było potrzeba udawać głuptaszka, a pochwycić zawsze słówko jakie.

Mrugnął nań Mierzwa, poszeptał mu coś i Pawek wnet się znalazł w podwórku, wsunął

między konie nie obawiając się, aby go który poczęstował nogą, wśliznął się między ludzi, tu przysiadł, tam podlaź, przerznął dziedziniec w różnych kierunkach i w niespełną godzinę powrócił do pana.

Wiedział on już, iż ziemianie przybywający niektórzy byli z krakowskiej ziemi, że

przyjechali za sprawami bardzo pilnymi, niektórzy na księcia czekać się obiecywali, inni bodaj za nim gonić chcieli. Zmiarkował i to Pawek, że przybycie ich na zamku pewien niepokój zbudziło, a Goworek strażę postawił i ludzi do wrót posłał, by tam czegoś pilnowali.

Wszystko to razem mocno Mierzwę zaniepokoiło. Przyszło mu na myśl, że się coś wydać

mogło, że księcia ostrzec pośpieszano, że i jego tu gotowi byli przytrzymać. Strach go ogarnął. Sam wyszedł na zwiady, ale gdy się ukazał w podwórku, obcy ludzie zniknąć poczęli, gromadki się porozpierzchały, większa część na miasto wyruszyła. Goworka tylko zastał, którego badać począł, skąd tyle gości na Sandomirzu.

— A! To ziemianie nasi, od Lublina — odpowiedział namiestnik — sprawy nasze domowe.

Księżę ma miłość u wszystkich, inni go też i bez spraw żadnych nawiedzają z pokłonami.

— Mnie bo się zdało — przebaknął Mierzwa — że ja tu pomiędzy przybyłymi i pana

Mikołaja, brata księdza dziekana Pełki, dojrzał.

Goworek popatrzał nań i rozśmiał się.

— Gdzie zaś! A co by tu u nas krakowianie robili? — odpowiedział. — Przecie swego pana

mają. Z krakowian my tu czasami Kietlicza jednego widzujemy, bo ten się aż tu zapędza na

sandomirską dzielnicę, inni — rzadko. Za pana Mikołaja wzięliście pewnie naszego Bufała Srokę, który do niego bardzo jest podobny.

Wyraził się jeszcze ze swą za księciem tęsknotą Mierzwa, Goworek go pocieszyć nie umiał,

bo o księciu słuchu nie było i żadnej nowej wieści.

— A ja tu tak bez miary i końca siedzieć nie mogę! — westchnął Mierzwa.

— Ano — odparł żartobliwie Goworek — najdalej jeżeli do siedmiu dni poczekacie, za to

ręczę, bo księżę nigdy dłużej na łowach nie bawi.

Zakrzyknął podsędzia na to.

— Być jednak może, iż albo nocą lub jutro rankiem powróci — pocieszał namiestnik. —

Zabiera się na burzę srogą, ława na zachodzie stoi okrutna, coraz czarniejsza, grzmi w niej i błyska, może go nawałnica do domu przypędzi.

Mierzwa tedy na noc pozostał, zabawiając znowu opata u wieczerzy. Nocą w istocie sroga

burza nadciągnęła, ale książe nie przybył, nazajutrz pogoda znowu była piękna i już się go tak rychło nie spodziewano. Mierzwa wygoloną brodę gładził, a włosy targał, sam nie wiedząc,

siedzieć czy jechać. Coraz mu tu było goręcej i niespokojniej, coraz nudniej bez zwykłych rozrywek, którymi sobie twardą pracę wynagradzał.

### III

Na brzask się brało, gdy książe Kaźmierz z zamku wyjechał w sześć koni tylko.

Przygotowanie wczesne być musiało do tej wycieczki, bo gdy z pacholęciem, co u drzwi sypiało, wyszedł rano, konie już stały pogotowiu, na ludzi czekać nie potrzebował.

Stępią po cichu ruszono za wrota ku miastu, potem dróżyną nad wodą wierzbami ostawioną,

która ku borom i lasom wiodła. Psów najlepszych wzięto nie więcej nad cztery, a ludzie księciu towarzyszyli ci, co z nim zwykle w lasy jeździli. Na czele ich Smok, podżyły człek, którego Łowczym nazywano, wierny i najulubieńszy Kaźmierzowi, któremu on mówić nawet nie

potrzebował, co chciał, bo się oczyma rozumieli.

Smok ten od dzieciństwa mu służył, dwa razy życie ocalił: raz, gdy się nań dzik rzucił,

którego już przypadającego na włócznie wziął i przebił, drugi raz, gdy w bitwie na Rusi opadło go kilku wojów z maczugami, którym by nie uszedł był, gdyby Smok w pomoc nie naskoczył. Smok żony ani dzieci nie miał, brata ni swata, a gdyby księcia nie pilnował, z nim nie jeździł, umarłby z tęsknoty. Zwali go, jak mówiliśmy, Łowczym, bo do łowów pokierowania miał pierwsze prawo, ale naprawdę nie opuszczał Kaźmierza nigdy. Niewidzialny często, stał zawsze niedaleko. Gdy nic innego do roboty nie było, około zamku się włóczył, w podsieniach gdzieś siedział, robił coś około osoby pańskiej, czyścił zbroje, ostrzył miecze, łuki naprawiał, psy układał. Prawda, że mu się tu dobrze działo, że nie zbywało na niczym, że książe Kaźmierz chciał mu dawno nadać wielki szmat ziemi z karczmą, z młynem, z lasem, aby sobie ludzi osadził i stał się panem. Smok odmówił.

— A mnie co po tym? — odparł kłaniając się. — Żony nie mam ni dzieci, ani ich mieć

myślę, jakem tu na zamku życie począł, tak je i skończę.

Smok wyglądał bardzo brzydko, ale człek był dobry z kośćcami, cudze dzieci bardzo lubił,

szczenięta chował, ptaki karmił, a jeśli się komu krzywda działa, nie pytając, co zaczął był, stawał w



obronie. Ale spojrzeć było na niego, rzekłby kto, że na innej ziemi się rodził, gdzie słońce gorętsze na czarno opala, tak był ogorzały. Przy tym chudy. Włosa kręconego miał mało co, brody — nic, wąsa — żadnego, nosa — niewiele, gęby — dużo, a w niej zęby żelazne. Gdy się rozśmiał, z

paszczeni mu jak wilkowi kły białe rzędem patrzyły. Chudy, długi, zdawał się jak połamany, był niezgrabny, ale na koniu nikt tak, jak on, nie jeździł; byle się go uczeplił, najdzielniejszego zmógł.

Na łowach choć żubra za rogi gotów był pochwycić. Paskudna jego twarz, gdy się śmiał, tak się robiła poczciwą, że się nawet mniej brzydką zdawała.

Ludzie się go obawiali i lubili. Mógł co komu dobrego, to uczynił, dla siebie nie

potrzebował wiele, surową rzepą gotów był żyć, głód znosił jak nikt, bez wody tylko jak koń żyć nie mógł.

Ten Smok i pod nim kilku młodzieży składali cały orszak książęcy. Gdy wjeżdżali w

wierzby, słońce jeszcze nie schodziło, mrok był. Smok, po niebie popatrzywszy, na wieczór lub na jutro najdalej wróżył burzę. Rosy nie było nic, niebo wypogodzone jakoś strasznie i jak z ołowiu odlane. Już do lasów dojeżdżali, gdy się słonko pokazało i zaraz zaczęło robić gorąco strasznie, choć lasem, cieniem jechać było znośnie.

Psy nie mogły nic zwietrzyć, tak w lesie było sucho. Dzień do łowów, żal się Boże! Smok, za księciem tuż jadąc, parę razy o tym zagadał, ale książę ni zważał, ni odpowiedział.

Wjechali w las, a tu już Smok po jakimś znaku zmiarkował, dokąd zawrócą, bo psy zwołał i z ludźmi powoli przystawać zaczął. Książę coraz ich więcej wyprzedzał, konia pędził, nareście z oczu zupełnie zniknął.

Smok, jakby to rzecz była zwyczajna, wcale nie zważał na to, ludzi zagadywał i dopiero po jakimś czasie puścił się wrzekomo w pogoń za panem, ale go już śladu nie było. Trąbkę choć miał na sobie, nie uderzył w nią i gromadka pod dowództwem Łowczego pojechała z wolna w las, hukając tylko, szukając niby, błędząc tam i sam do południa. Nareście na wzgórkach pod dębami, gdzie była i trawa, i woda, zatrzymali się dla spoczynku. Nikt się nie zdawał troszczyć zbytnio o to, że księcia nie było. Smok ludzi swych poustawiał, zarządził strawę, kociołek na ogień dano i popasano nie śpiesząc wcale. Widać to było we zwyczaju.

Książę tymczasem w puszcze zajeżdżał głębiej coraz, krokiem tak pewnym, jakby i on, i

koń jego nie po raz pierwszy tę drogę przebywali. Musiało mu być pilno, bo konia ścisną a zażywał, na niebo patrzył a popędzał. Powietrze stawało się coraz skwarniejsze, czuć było przedburzę, koń cały okrył się pianą, czas było odpocząć, a Kazimierz jechał ciągle.

Już było dobrze z południa, gdy z dala w lesie cicho trąbka się ozwała, książę schwycił

swoją, wiszącą na sznurze, i odpowiedział rażno. Tak z jednej i z drugiej strony pytano i odpowiadano coraz bliżej, aż zaszeleściło w krzakach i na koniu karym ukazał się jeździec, piękny chłopaczek młody, czy... można go było wziąć za przebraną dziewczynę, taki był zręczny i urodziwy. Ale ubiór miał męski, a koniem władał też śmiało. Zobaczywszy Kaźmierza, przyskoczył ku niemu, oba konie ku sobie zarżały, chłopak biegł, zwiesił się ze swojego i rękami za szyję objął Kaźmierza.

Stanęły oba wierzchowce, nozdrza wyciągając ku sobie, a Kazimierz i Ściborzanka (bo ona to była) ściskali się w milczeniu. Twarzyczka Jagny rumiana od gorąca i wzruszenia świeciła radością, Kaźmierza oblicze stało się dziwnie wesołe i promieniste.

Rozśmieli się ku sobie szczęśliwi. Dziewczę chwyciło cugle puszczone na chwilę dla uścisku i wnet oboje, jakby się wy- ścigać chcieli, w cwał puścili łąką ku gajowi, wśród którego dym górą widać było. Lecieli cwałem, ale ich konie tak były nawykłe dotrzymywać sobie kroku, że szły głowa z głową i jeźdźcy mówić z sobą mogli, a śmiać się do siebie, nie troszcząc się i nie kierując nimi.

Widok był osobliwy tych dwojga koni i ludzi tak jakoś dobranych, jakby ich czworo stanowiło jedną, skrzydlatą, wesołą istotę. Śmiały się im twarze i drgały usta, oddechu brakło na mowę, oczyma tylko wiodła się rozmowa. Z dwojga jednak twarzy tych, równie pięknych, Jagny była weselszą i szczęśliwszą, w Kaźmierzowej spoza szczęścia patrzyła ukryta troska, jak spoza przejrzystej zasłony druga suknia przegląda. W oczach blasku pełnych zdała się połyskiwać łza ukryta, na ustach w uśmiechu była boleść, czoło wypogodzone przebiegały chmurki, które wejrzenie Jagny rozpędzało. Na jej obliczu było tylko uczucie chwili bez pamięci przyszłości, bez frasunku o jutro, gdy na męskim ciążyło i to, co przeszło, i to, co przyjść miało. Walczył z sobą, aby się upoić jej wzrokiem, jej uśmiechem i być jak ona szczęśliwym bez pamięci.

Rzucali ku sobie półsłowami tylko im zrozumiałymi, które dla nich zawierały wiele, bo były przypomnieniami nieraz długo wypowiedanych myśli. Biegli tak, nie patrząc na konie, które same drogę sobie znajdowały, omijały trzęsawiska, zdały się po niewidzialnej dla oczów, a znanej sobie lecieć ścieżynie, aż dobiegły do gaju, w którym brzozy pochylone, stojące na skraju, pokłon się zdały przybywającym oddawać. Przez pnie ich białe, gdzieniegdzie wysoko wyrosłymi sosnami poprzedzielane, w dali przeglądało domostwo; coś jak kmiecica osada, jak obejście wieśniaka, ale od obojga schludniejsze jakby dom ziemianina na nowinach.

Dokoła ogradzał dziedziniec ostrokół wysoki, wśród którego brama wielka, z dachem słomą krytym, stała szeroko otworem. Poza nią widać było niski, obszerny dwór i zabudowania gospodarskie, studnię z żurawiem wysokim, szopy i na słupach nie ociosanych sparte odryny. W

podwórku kilku z prosta odzianych ludzi się kręciło, jakby na przybywających oczekiwali, kilka schludnie przybranych niewiast wyglądało ze drzwi jednych. Tętent zbliżających się koni wywołał parobków, którzy już stali do przyjęcia pogotowiu.

— Tyś tu już nie żaden książę, nie pan, ale gość mój! — zawołała Jagna. — Mój miły,

wybrany, którego nikt nie zna i znać nie powinien. Pamiętajże o tym, byś mi się z wielmożnością swą słowem ni ruchem nie zdradził.

— A! Tu ja twoim sługą! — odparł wesoło książę. — A Bóg widzi, że nie pożałowałbym księstwa mojego, gdybym z tobą...

— Cicho, dość! — przerwała Jagna, — Już nas posłyszeć mogą.

Zmęczone konie stały pod słupiastą podsienią, parobcy po prostu, ale czysto odziani, do stóp się skłoniwszy, chwycili konie za uzdy, ale tego nie było potrzeba, bo one same stanęły oba, a gdy Kaźmierz i Jagna zsiadli, razem się ku stajni zwrócili.

Na przyjęcie gościa od progu izby były wysypane świeżym kosaćcem wonnym, drzwi stały

otworem i okna. Wesoło było na dworku, którego izby i komory, jakby w nich nikt nie

zamieszkiwał, świeże były i czyściuchne. Nie zbywało w nich na niczym, ale co było sprzętu i dostatku — proste i wiejskie. W drugiej izbie już umyślnie zgotowany był stół pokryty białym, czerwono wyszywanym obrusem. Widać na nim było dzbanki i kubki, świeży chleb pozłocisty, od którego się woń rozchodziła, podpłomyki, kołacze. W misach stało mleko, masło, ser, poziomki i grzyby wiosenne.

Nie zważając na ludzi, którzy na wskrós przez drzwi otwarte patrzeć mogli, Jagna rzuciła się na szyję księciu i w długim zatrzymała go uścisku, oddanym namiętnie. Książę podniósł ją w silnych rękach, zamiast pochylić ku niej. Postawił ją potem lekko na ziemi zobaczywszy, że niewieści dwór już z kuchni szedł, niosąc misy parujące wyziewem mięsiwa, który się rozchodził

dokoła.

— Siadajże, gościu mój miły — zawołała Jagna, stojąc przed nim i nadając sobie męską postawę — ja ci posłużę sama! Jedz i pij!

Książę padł na stołek przygotowany.

— Ty, gospodarzu — odezwał się — siadajże naprzeciw mnie i jedzmy razem, inaczej i ja nie zechcę.

— Mnie jeść się nie żąda — odparła Jagna — będę cię zjadać oczyma, to mnie nasyci.

Każmierz się uśmiechnął.

— I mnie by tej strawy było dosyć — odpowiedział.

Oboje, tak gwarząc, ręce wyciągali do misy, a Jagna starała się księcia rozweselić, bo czuła mimo uśmiechów, że przybył smutniejszy niż zwykle.

Nalała mu wina, które umyślnie dlań przygotowane we flaszy stało, sama podała kubek.

Sprzeczała się, kto pierwszy pić będzie, chwyтали za ręce, pochylali ku sobie, Jagna ciągle białe ząbki pokazywała, każąc mu być wesołym. Tak zbiegła krótka u stołu chwila. Księżę wprędce chlebem i winem był syty, jeść nie mógł. Jagna powoli z trzpiotowatego wesela, jakby zarazona skrytym jego smutkiem, zachmurzyła się.

— W izbach siedzieć zaducha — zawołała — ino nie widać, jak nadciągnie burza! Ja ją już czuję, chodźmy do pasieki, siądziemy pod lipą!

Księżę wstał i jak dwaj dobrzy towarzysze, bo Jagna męskiego nie zrzucała stroju, wzięwszy się pod ręce, przeszli dziedziniec ku bliskiej pasiece. Mały płot dzielił ją od niego. W głębi widać było ule, z przodu stało kilka lip starych, którym się właśnie na wczesny kwiat zbierało.

Trawa pod nimi była zielona i miękka, świeża jak kobierzec tylko co utkany.

Siedli pod pniem oboje. Tu nikogo nie było, cisza błoga, szelest drzew, które czasem jakby drzenie jakieś poruszało i usypiało znowu. W dali świergotały ptaszęta, brzęczały pszczoły.

— Coś mi gość przybył z chmurą na czole — zawołała Jagna — a to, do Gaju nie godzi się z miasta przynosić troski! Co wam?

— Nic mi, burzę tylko czuję i ciężko na piersiach a głowie — rzekł Każmierz uśmiechając się.

— Ja bym burzy rada była — mówiła Jagna — potem się lżej oddycha. Niedługo czekać, a zaszumi i zahuczy.

Księżę westchnął i dłonią potarł czoło.

— Tak — ciągnęła dalej Jagna — musi burza przyjść i przejść, aby nam potem dobre zaświeciło słońce. Moje słonko — to Wy!

Uśmiechnął się.

— Nie wiecie Wy nic, jakie my tu mieliśmy odwiedziny, jakby wróg dobywał zamku.

— Napad jaki? — spytał trwożnie księżę.

— A tak! — kończyła Jagna. — Mieszkowy ulubieniec, Kietlicz, któremu wszystko widać wolno, zablądził do nas, choć to przecie sandomirska własność czyjaś inna. Chciał aż wrota wyłamywać, że mu nasi ludzie przewodu nie dawali. Wdarł się do chorego ojca i gościa, co u nas był, który starego bronić chciał, związanego uprowadził.

Zachmurzyło się mocniej jeszcze czoło Kaźmierza.

— O, ten Kietlicz! — zawołał. — Brat Mieszko, ręczę, nic o tym nie wie, a on mu wrogów przyczynia.

— Nie czynił przecie tego bez rozkazu — szepnęła Jagna.

— Jam pewny, że bez niego — odparł Kaźmierz — brat posłuchu chce i ładu, ale krzywdy i ucisku chcieć nie może!

— Władzy mu się chce, władzy — zawołało dziewczę — coraz większej, a tej mieć nie będzie, nie będzie! Nie!

I widząc, że Kaźmierz się marszczy, dodała żywo:

— My wszyscy innego zwierzchniego pana mieć chcemy i mieć będziemy, i musimy! Mój pan będzie wszystkich panem!

I namiętnie rzuciła mu się na szyję, Kaźmierz z lekka ją od siebie odtrącił.

— Jagno! — zawołał. — Nie mówże tego, abyś mi nie psowała serca! Czy ci moje szczęście, mój spokój nie miły? Znasz ty mnie czy nie? Ja nie pragnę nic! Sandomirza bym się prędzej zrzekł dla tej chaty; tyś niepocziwa!

— Ja chcę, byś miał pańskie serce i pragnął więcej! — zawołała nieposłuszna Jagna, nie dając się odepchnąć. — Chcę, żebyś był wielkim, królem, wojownikiem, bohaterem! Bym sobie mówić mogła: „Ten wielki jest mój!”

— Tak! I ten wielki, a nieszczęśliwy naówczas już twoim by być nie mógł ani przyjeżdżać

do Gaju, ani tak z tobą usiąść na trawie pod lipą i Jagnę swą ścisnąć.

To mówiąc, pochwycił ją w ramiona, ona pochyliła się ku niemu, na piersi jego położyła głowę i zadumała smutno. Łzy się pokazały na powiekach.

— A! Nie wiedzieć, czego chcieć—odezwała się. —To szczęście, co jest, ktoś mi je odbierze, niechby choć drugie zostało — duma w sercu.

— Dlaczegożma ci kto mnie odbierać? —rzekł Kaźmierz. —Byleby mi spokojnie dali zostać w Sandomirzu.

Dziewczę mu się wyrwało i siadło.

— Nie, nie! Na Sandomirzu mojemu panu siedzieć mało, wart on Krakowa i korony! Nie ja to mówię, ale świat cały! Ziemianie wołają jednym głosem, zmuszą cię!

Kaźmierz prawie gniewnie usta jej dłonią zacisnął, którą ona całować zaczęła.

— Aż tu mnie prześladowuje ta nieszczęśliwa dola moja! — zawołał. — Nigdzie od niej spokoju, nawet tu! Nawet ty mówisz o tym, gdzie ja bym rad zapomnieć, co mnie przygniata. A! Nigdzie spokoju!

Wymówił to z taką boleścią, że Jagna się nią poruszyła i poczęła go ręką białą głaskać po czole i twarzy.

— A! Dość, dość! — rzekła. — Ja milczę. Cóż to pomoże? Co przeznaczone, ziścić się musi. Ludzie powiadają, że ojciec wasz, gdy umierał, dziecku bezdomnemu przepowiedział koronę. Wiedzą o tym wszyscy, Bóg tak chce! Ty musisz!

Wzdrygnął się książę.

— Mieszko stokroć jest godniejszy ode mnie! —zawołał. — On ma moc i smak w panowaniu, gdy dla mnie ono brzemieniem i odrazą. On ma rozum królewski.

— Ale miłości nie ma; ani on dla ludzi, ni ludzie dla niego. Nie, o, nie! Co przeznaczone, to się ziści. Jagna zobaczy cię na stolicy, a potem... choćby umarła!

Szeptali cicho.

Wtem słońce, które pałało i doskwierało, nagle jakby się gdzieś skryło, cień jakiś padł na pasiekę, na dwór, na las. Pół nieba jeszcze było jasnego, za drzewami chmury nadciągające się kryły, zasłaniając już słońce. Powietrze było ciężkie, cisza grobowa. Las przebiegł nagle jakby pęd lecącego wichru, drzewa się zakołysały, zaszumiały, gałęzie zatrzeszczały i ucichło znowu. Jagna podniosła głowę.

Nad nimi jeszcze niebo stało jasne.

— Chodźmy do izby — rzekła powstając — burza nadciąga.

Kaźmierz wstał leniwo, milczący. Po rozmowie ciężej na sercu stało się jeszcze. Jagna

próżno się go starała rozweselić. Pobrawszy się pod ręce, znowu poszli do dworku, którego izby stały puste, otworem, i nie zatrzymując się w pierwszych, pociągnęli do małej komory o jednym oknie.

Tu na posłaniu leżały zrzucone niewieście szaty Jagny. Pod oknem ława stała z poduszkami, a z okna w głąb lasu widać było daleko, przez dęby stare, łąki zielone, które szmaragdowo przeglądały.

Choć w dworku nic jeszcze słyhać nie było, w lesie już drzewa gięły się gwałtownie,

gałęzie wiły, liście z nich oberwane leciały, robiło się coraz ciemniej, coraz nocniej; choć do wieczora dość było daleko, mrok, jakby o dnia schyłku zalegał okolicę. I pierwszy grzmot głuchy rozszedł się po lesie, a pierwszy błysk przedarł ciemności, szumem strasznym odezwały się bory.

Ludzie przerażeni kryli się pod dachy.

Jagna i Kaźmierz z rozkoszą prawie patrzyli na to nagłe zawichrzenie, dziewczyna

wyglądała z dziecinną ciekawością. Burza nadciągała z pośpiechem wielkim, pędem i

gwałtownością niesłychaną, grzmot nie ustawał, jeden zlewał się z drugim, błysk następował po błysku, pioruny biły w lesie. Ulewa z gradem szły od niego, zbliżyły się, zakryły widok, szarą oponą zasłoniły drzewa. Grad kamienny bił po dachu dranicowym. Jagna nie zasuwała okna,

owszem wychyliła głowę, jakby ochłodzić i obmyć ją chciała. Tak siedząc u okna przy

oślepiających błyskach i szumie burzy, mieniając zaledwie słowa, dosiedzieli aż do nocy.

Wicher zaczynał ustawać powoli, powietrze ostygło nagle, ale deszcz lał jeszcze ulewny i

blade błyski oświecały podwórze i izbą. Jagna wyszła, aby kazać podać wieczerzą i światło.

Wszystkich ludzi znalazła w przedsieni oczekujących i przypatrujących się odchodzącej nawałnicy, która w bliskości kilka drzew obaliła i strzaskała.

Właśnie się miano zakrzętnąć około światła, gdy Jagna, która wyszła pod słupy, usłyszała

wołanie do zamkniętej bramy. Dobijano się do niej, krzykami coraz silniejszymi domagano się wpuszczenia wewnątrz. Rozpoznać było można kilka męskich głosów różnych, powtarzających ciągle:

— Wrota! Otwierać wrota!

Najście to było całe niespodziane, bo do chaty w Gaju chyba zbłąkany mógł zajrzeć

podróżny. Stała na uboczu i nikt tu nigdy nie widział gości. Jagnie krew uderzyła do twarzy. Ani sama się kryć nie chciała, ani księcia na poznanie go narazić. Zresztą wiedzieć nie było można, kto się wpuszczenia domagał i czy nie jaka szajka zbójców leśnych chwilą tę upatrzyła sobie do napadu. Parobcy chwycili zaraz oszczepy, a chłopca wysłano, aby się podkraść do bramy i obejrzał przyjezdnych.

Posłany powrócił, oznajmując z przestachem, że koni ze dwadzieścia u wrót stało, a widać było ludzi rycerskich, zbrojnych, którzy na statecznych ziemian wyglądali. Tymczasem, grożąc i łajając, na czym świat stoi, dobijano się ciągle do bramy.

Wydawszy rozkaz, aby z wolna wpuszczano przyjezdnych, Jagna pobiegła przelećka i

gniewna razem do Kaźmierza, aby mu oznajmić o przybyłych i kazać się ukryć przed nimi. Sama chciała wdziać suknie niewieście i obmyśleć, czy się ma ukazać czy nie nocnym gościom. Starszy sługa miał ich tymczasem wpuścić do pierwszej izby, od której drzwi do dalszych sama Jagna zasunęła.

Kaźmierz na wieść o przybyszach rzucił się do miecza naprzód, ale przeciwko dwudziestu

zbrojnym oporu stawić nie było można. Chciał potem z Jagną razem uchodzić w lasy, lecz trzeba było zaczekać i widzieć, a wiedzieć, co byli za ludzie, którzy się tu nocą na bezdrożu znaleźli kupą taką. Zza drzwi słyszeć było można, gdy nadchodzili.

Gdy stary sługa pobiegł im otwierać wrota, stanął przed nim cały zastęp jezdnych, którzy

natychmiast, złorzecząc, na podwórze się wtłoczyli, z naleganiem, czyja chata była, kto w niej gospodarzył.

— Podczas gospodarza nie ma — odparł sługa — a panem naszym jest Ścibor ze Ściborzyc.

My tu słudzy, a już i tak gości mamy zajezdnych — tak mówić mu kazano — nocą nam nikogo puszczać nie wolno.

Starszych trzech, jadących na dzielnych koniach z pięknym orężem, poczęli wołać:

— A toć nie zbóje jesteśmy, w burzę i słoty nikt dachu zbłąkanym nie odmawia. Licho w



drodze obłąd i burzę nadało!

Nie pytając więcej, poczęli zsiadać z koni, otrzęsali się z wody i pytali zaraz o najbliższą drogę do Sandomirza, którą po nocy zgubili.

We dwadzieścia jechali koni, ale rycerzy trzech tylko, reszta służba i dwór, żołnierze i czeladź. Wtoczyli się zaraz do izby. A że i tu się nikogo nie spodziewali zastać, poczęli kłać strasznie i tak puszczać języki, jakby sami byli.

Jeden stary z siwą brodą wszystkim im przodował, pańskiej był i rycerskiej postawy, dumny i butny, mówił głośno i wrzaskliwie. Dwu towarzyszących mu młodszych, nawykłych widać także do rozkazywania, rozgaszczali się nie hamując głosów. A że się pod strzechę dostali z ulewy, już im szpary odchodziły, gwarzyli wesoło, stukali i hukali, cale się nie troszcząc, czyj dom był.

— Dali się gdzie schronić — zawołał jeden z młodszych — niechżeby i pokarmilil Juści się coś znajdzie, choćby chleb, ser i woda!

— Albo i piwo! — dodał drugi.

Wtem trzeci, co izbę opatrywał, namacał flaszę z winem porzuconą na stole, do nosa ją przyłożył, potem do ust.

— Hej, hej, cud! — krzyknął. — A toć wino na stole! Nie już się to u tego Ścibora parobkowie nim raczą?

Skoczyli wszyscy do flaszy. Zdumienie było wielkie. Jeszcze większe, gdy srebrny kubek przy niej się znalazł.

— O o, toć kłamią, że pana nie ma, psim swędem nas zbyć chcąc! Jest ci, ale się ze strachu skrył, musimy go z jamy wykurzyć.

Poczęli się śmiać i hałasować, wołając wrzaskliwie starego sługę, który przybiegł wylękły.

Siwy ów starszy wskazał mu na flaszę i kubek.

— Hę, cóż to, pana u was nie ma w domu, a wino stoi na siole?! — zawołał. — Dla kogóż one było?!

Sługa oniemiały odpowiedzieć nie umiał, stał osłupiony, gdy drzwi od izby sąsiedniej otwały się nagle i Kaźmierz wszedł.

Chłopak był wprzód jeszcze nadbiegł z drzazgami, więc w izbie widno już było. Goście odwrócili się do wchodzącego. Żaden z nich Kajmierz a żadnego z nich on nie znał; postrzegłszy jednak tę piękną, urodziwą i wspaniałą postać, dorozumieli się, że nie lada człeka mają przed sobą. Strój też, acz skromny, zdradzał pana, a wiszący na piersi rożek myśliwski, rzeźbiony z kości słoniowej, sam już jako rzecz droga i osobliwa, oznaczał, że mieli do czynienia z kimś majątnym i dostojnym.

Zobaczywszy go niespodzianie, wszyscy trzej, nim się zebrali przemówić, długo mierzyli go oczyma.

— Niech Bóg będzie pochwalony — odezwał się książę głosem jasnym — witam gości!

Jam tu nie gospodarz, ale Ścibora ze Ściborzyc krewny, na łowy zjechałem do niego. Burza mnie tu jak was zaskoczyła. Z biedy gospodarza muszę zastępować.

Starszy się skłonił nieco.

— Jestem Lasota ze Steblowa — rzekł — a choć na Szląsku mam mienie, i w Krakowskiem też ojczycem jestem. Oto mój towarzysz Jaśko Bogoria, a to Leszczyc młody.

Skinął Kaźmierz na sługę, aby wieczerzę dawano.

— Radem, że was tu widzę — rzekł — a nie kogo innego, bo gdy do wrót wołano, myślałem, że leśni włóczędzy.

Uśmiechnął się.

— Jam tu sam, ludzi nie mam, wybierałem się już uchodzić chyba.

— Ano, miłościwy panie, nie wiemy jeszcze, kto jesteście — przerwał Jaśko Bogoria.

Kaźmierz się zawahał trochę, ale poznać się im dać nie mógł, i odparł po krótkim namyśle:

— Sandomierzanin jestem, Busław spod Sulejowa. Wymówił to jakoś głosem niepewnym, ciężko mu było.

— Cośmy to o was nigdy nie zasłyszeli — odparł stary Lasota — ja niemal wszystkich ziemian sandomirskich znam.

— Długom się włóczył za granicą, po Niemczech — rzekł Kaźmierz raźniej — nie dziw, żeście o mnie nie słyszeli. A was tu jaki traf przyniósł? Droga tędy nie wiedzie żadna.

— Prawe lichy! — zawołał Bogoria. — Zbiliśmy się szkaradnie z gościńca, jedziemy bardzo pilno do Sandomirza.

— Gościniec stąd daleko! — rzekł książę.

— Myśmy też dawno go zgubić musieli, a wszystkiemu winien Zbożek, sługa Lasoty, który przewodu zaniechał brać, ufając, że wszędzie trafi, i ot, w jaką nas zapchał dziurę.

Gdy tak rozmawiali, nad wszelkie ich spodziewanie dostatnią wieczerzę poczęli nieść

ludzie, aż się zdumieli. Książę Kaźmierz zapraszał. Siadł więc stary Lasota na pierwszym miejscu, młodzież dalej, a gospodarz w końcu stoła.

— Pozywajcie i posilajcie się zdrowi — rzekł do nich — jam już syt.

Dostatkowi, który znaleźli w lichym dworku, nie mogąc się wydziwić, głodni łapczywie się raczyć zaczęli, aż Lasota, popatrzawszy na księcia, zapytał:

— Wyście też Sandomierzanin, miłościwy Busławie?

— A tak — odparł książę.

— Swojego pana znacie pewno i miłujecie? — dodał stary. Książę się zarumienił.

— Małom go widział — rzekł — bo jako mówiłem, nie siedziałem doma.

— Z nas też go żaden w oczy nie oglądał nigdy — mówił Lasota — oprócz mnie, ale on wówczas jeszcze małym dzieckiem był. Dobry pan, wszyscy go chwałą.

— Tyle wiem, że rad by dobrym być — odpowiedział Kaźmierz — ale ja o nim z posłuchu tylko mówić mogę.

Spuścił głowę. Lasota, napiwszy się trochę, począł być szczerzy i dodał po chwili:

— Co mamy taić przed wami, toć swoich nie zdradzicie. My do niego do Sandomirza ciągniemy.

— Do niego? — zapytał nieśmiało książę.

— Tak jest — ciągnął dalej Lasota. — Cała ziemia krakowska do niego wzdycha! Musi nam panem być! Nie pomoże nic. Słaliśmy byli do niego naprzód jednego zaufanego człeczka, aby mu

doniósł o tym; Kietlicz go pochwycił i uwięził. Wybrało się nas więcej różnymi drogami, musimy go mieć.

Pomiészany słuchał księżę.

— Ja tyle wiem — odparł po namyśle — że on rad spokojnie na Sandomirzu siedzieć, a o

panowaniu na Krakowie słyszeć nie chce. Znam Goworka, mówili mi inni przyboczni. Wiecie, że za Kędzierzawego już nalegano nań, a przeciwko bratu iść nie chciał.

— Wszystko my to wiemy — zawołał Bogoria — ale kiedy go ziemianie wołają, musi iść!

— A cóż przeciw Mieszkowi macie? — zapytał księżę. Tu wybuchli wszyscy razem.

— Kat jest, a nie pan! Precz bo z nim! Ziemianie sobie na karki jarzma nakładać nie dadzą!

— Pójdzie precz, pójdzie!

Gwałtownością tych wykrzyków Kaźmierz tak na chwilę zdał się pomiészany, iż wcale odpowiedzieć nie umiał; dopiero odzyskawszy przytomność, począł spokojnie a smutnie:

— Pozwolicie mi słowo rzec. Jam się dużo po obcych ziemiach włóczył, naszych mało

znam; to, co tu widzę i słyszę, bardzo mnie zdumiewa. Jako się tu z naprawy ziemian nie-ustannie panowie mieniają; czy dobrym jest, nie wiem. W innych ziemiach radzi słuchają ziemianie, aby ład był w domu i siła przeciw nieprzyjaciela, a u nas...

— A u nas — przerwał Lasota — na nieprzyjaciela się siła i kupa znajdzie, ale my swe

prawa mamy i znamy, i naruszać ich nie damy. Ze skóry nas drze Mieszek i odgraża się, biskupów, ojców naszych, rad by w kajdany pookuwał, my tego nie dopuścimy.

— A nie! Nie dopuścimy! — zawtórowali inni. — My tu ojczyce, my gospodarze!

— My z biskupami sobie panów wybieramy, jako chcemy z książęcego rodu — rzekł

Lasota. — Duchownym i sobie krzywdy nie damy robić.

— Mieczysław duchownych nie tyka — przerwał księżę.

— Jako? A toć już pewna rzecz jest, że Gedkę, biskupa naszego, skazał na wygnanie.

— Nie może to być! — wykrzyknął Kaźmierz przełękły. — Siła, z jaką im zaprzeczył, na

czas mowę zamknęła przybyłym. Umilkli. Kaźmierz, dorozumiawszy, iż gwałtownością zdradzić się może, na tym poprzestał.

Patrzali nań, gdy chleb łamał i wino z wolna popijał,

— Jam bliżej tych dzisiejszych spraw nieświadom — dodał książę — wiem tylko, że na miejscu Kaźmierza nie przyjąłbym stolicy, na której i najlepszemu usiedzieć trudno. Wszystkim nigdy nie dogodzi, a byle garść się znalazła niechętnych, to go obalą.

— Nie garść nas jest! — krzyknął z oburzeniem Lasota. — Wy nie znacie ani wiecie, co się u nas dzieje! Nie garść niechętnych idzie na Mieszka, ale do nogi wszyscy! Z nim nie ma nikogo!

Drażliwa rozmowa na tym się przerwała nieco. Lasota począł oknami wyglądać.

— Pilno nam strasznie do Sandomirza — dodał. — Gdyby nocą, jak księżyc zejdzie, można ruszyć, gotowibyśmy jechać, ale kto poprowadzi? Księżciu Kaźmierzowi jedziemy oznajmić, aby wezwaniu brata, który posłał po niego, zadość nie czynił.

Woła go do Krakowa, a gdy tam przybędzie, kto wie, jaki go los spotkać może! Szkoda pana! Zbladł Kaźmierz.

— Wiecie, że posłano po niego? — spytał zmienionym nieco głosem.

— Wiemy na pewno, iż podłego służkę, podsędziego Mierzwę, wyprawiono z rozkazem, aby Kaźmierza z sobą zabrał i przywiózł — rzekł Lasota. — Wiemy wszystko, co się na zamku dzieje, bo tam już trupa czują ci, co go otaczają, i służą nam, nie jemu.

— A i to prawda — dodał Jaśko — że nasza czeladź tak samo nas zdradza, bo przez nią Zaborą straciliśmy.

Poczęli się śmiać.

— Tych łotrów, co Kietliczowi służą, na palcach zliczyć — dodał stary — a my wszystkich mamy z sobą. Mieszek ani wie, ani czuje, jak się ziemia rozstępuje pod nim. Dni jego policzone.

Biskup Gedko, wojewoda Szczepan — wszyscy z nami!

Kaźmierz zafrasowany nic nie odpowiedział na to. Wieczera się dawno skończyła.

Niebo było wypogodzone, księżyc się zza lasów dobywał. Lasota, zza stoła wstawszy, gdy

postrzegł, że jaśniej się zrobiło, pilno o przewodnika się jął upominać. Książę Kaźmierz sam wyszedł, aby słudze dać rozkazy i polecić milczenie, gdyby go rozpytywano.

Z północy niespokojna gromadka, wypiwszy, co było, podochocona, może niezbyt rada z

gospodarza smutnego i milczącego, poczęła na gwałt wyrywać się z Gaju. Nie zatrzymywano ich. I tak, jak burza druga, tu zaszumiawszy, wyjechali nazad z okrzykami, dziękując za gospodę, jadło i napój.

Książę Kaźmierz stał jeszcze u wniścicia, patrząc za odjeżdżającymi, gdy z tyłu nadbiegła

Jagna i rzuciła mu się na szyję. Twarz miała jaśniejącą, co dowodziło, że podsłuchiwała rozmowę. Nie dając się opamiętać księciu, pociągnęła go za sobą.

— Będiesz królował na Krakowie — wołała — bo tak Bóg chce... i ja!

#### IV

Gdy Stacha wrzucono do ciemnicy, po pierwszej osłupienia chwili mężny człek, cokolwiek

przyszedłszy do siebie, nie tracąc czasu, izbę swą opatrywać, albo raczej obmacywać począł, bo światła w niej mało było. Oprócz wniścicia i okienka zakratowanego gęsto nie było w niej nigdzie szpary, otworu, który by do wydobycia się na zewnątrz mógł posłużyć.

Ze szmerów i głosów, które go dochodziły, nic nie mógł zmiarkować. Myśli różne roily mu

się, nadziei nie tracił. Żałował tylko zmarnowanego czasu, który tu przesiedzieć musiał. Czuł, że się tam właśnie na świecie losy księcia Kaźmierza i Mieszka rozstrzygać będą, jemu dostało się siedzieć bezczynnym, zapartym, nie wiedzieć o niczym i nie móc nic robić!

Przeklinał siebie, iż Żegcia, który go ostrzegał, nie posłuchał, a z gościńca nie zjechał, obwiniął nieopatrzność swoją i trapił się tym bardziej, że pokutował za własną winę.

Szczęściem, gdy Bereza go brał, z wielkiej radości i pośpiechu zapomniano go obedrzeć.

Miał więc i trochę srebra w kieszeni, i ów łańcuch złoty, który mu zwrócił Juchim. Rachował, że się to na coś przydać może. W tych myślach usnąwszy, nie obudził się, aż drzwi odemknąwszy,

pachołek milczący przyniósł chleb i wodę. Chciał z nim jaką taką rozmowę zawiązać Staszek, ale głową pokiwawszy, stróż mu nawet nie odpowiedział.

Przez cały dzień następny nie oglądał ludzkiej twarzy, słyszał tylko niedaleko rzenie koni, wrzawę, rozmowy, hałasy ludzi swobodnych, ale do niego nie zajrzał nikt. Pod wieczór z gniewu i zmartwienia Stach chorym się uczuł. Gdy znowu nocą uspokoiło się wszystko, wrócił do swego zajęcia, począł po izbie macać, rozglądać się, drzwi próbować. Ogarniał go niepokój coraz większy.

Nie mogąc zasnąć, dotrwał tak do białego dnia i przyjścia stróża, z którym już rozmowy nie próbując, począł od tego, że mu dał kilka pieniążków.

Pachołek popatrzał na nie zdziwiony, potem na Stacha, mruknął coś do siebie, drzwi

zarygłował i poszedł. Wieczorem w dowód wdzięczności przyniósł świeżej wody.

— Znasz Juchima, skarbnego? — zapytał Stach.

Stróż milczący począł trząść głową, nie odpowiadał nic i po długim namyśle i wahaniu wyrwało mu się:

— A he!

— Powiedz mu, aby tu przyszedł do mnie. Powiedz, że tu siedzi ten, co mu winien siedemdziesiąt grzywien, i chce je oddać. Rozumiesz? On ci da coś za to!

Wcisnął mu znowu pieniążków kilka. Stróż stał długo, skrobiąc się, jak osłupiały. Niełatwo mu przychodziło myśli zebrać, nazwiska spamiętać; nierychło też, dopiero rozważywszy wszystko, skinął głową i rzekł:

— A he!

Z tym poszedł.

Następnego dnia Stach skutku wyglądał, słuchał, czekał, zdawało mu się, że albo go wezmą na spytki, lub Juchim przyjdzie do niego. Zapomniano o nim. Gdy stróż nadszedł, a Stach go zapytał o Żyda, nie odpowiedział mu na pytanie, tylko namyśliwszy się, zbył go swoim:

— A he!

Ale głową tak trząsał, jakby chciał dać do zrozumienia, iż poselstwo swe sprawił. Gdy się

obudził następnego poranku Stach i drzwi otworzyły, postrzegł w nich chudego, w wysokiej czapce Juchima, który z obawą do więzienia zaglądał, nie chcąc przestąpić progu.

— Na miłość Boga! — zawołał, biegnąc ku niemu, Stach, któremu na drodze stróż stanął.

— Uwolnij mnie stąd, bo inaczej grzywiny twoje ze mną przepadną! Nie wiem, za co mnie pochwycono, nie jestem nic winien.

Juchim, czesząc rzadką brodę palcami, usta podniósł do góry.

— Nie winien! — począł mrużyć. — Aha, nie winien! Was teraz ani wymodlić, ani wykupić, choćby za dwieście grzywien!

— A za trzysta? — przerwał Stach.

— Hm, kiedy wy i jednej nie macie — rzekł skarbnym chłodno.

— Ale ziemię mam, sprzedam ją, zastawię, a zapłacę! — wołał Stach.

Juchim ręką zamachnął w powietrzu. Wtem stróż, szelest jakiś posłyszawszy, rozepchnąwszy ich, co prędzej drzwi zaryglował.

Znowu tedy dzień cały zszedł na próżnym dręczeniu się myślami. Pod wieczór,

dosięgnąwszy okna, począł więzień próbować, czy go nie potrafi wyłamać, ale gdyby się to nawet udało, przekonał się, że przez ciasny otwór wydobyć się nie potrafi. Padł tedy zrozpaczony na słomę.

Późno już, gdy wkoło ucichło wszystko, drzwi się bardzo ostrożnie i bez szmeru

odryglowywać zaczęły, z ciemności posłyszał Stach głos Juchima. Pobiegł do drzwi, które mu stróż ręką zapierał jak żelazo twardą, aby się za próg nie wydobył, ale mówić nie bronił. Rozmawiać przy nim można było śmiało, gdyż rozumiał mało albo nic.

Juchim szeptać począł:

— Chcecie być wolni, mało przysiąc na trzysta grzywien, trzeba też przysiąc, że panu naszemu wiernie służyć odtąd będziecie.

Stach chwilę nie odpowiadał.

— Albożem ja go zdradził? — zapytał.

Skarbnym zamruczał coś. Sprawa była trudna. Do przysięgi naówczas większą niż dziś wagę

przywiązywano, była obrzędem świętym, składano ją przed Bogiem. Popęlnić krzywoprzysięstwo, nie w namiętności i uniesieniu, ale z rozmysłem, było grzechem śmiertelnym. Stach nie mógł się ważyć na to, nawet dla odzyskania swobody, i milczał. Chwilę jeszcze stał skarbnym, pomrukując i jakby oczekując odpowiedzi, potem stróż począł naglić, aby odchodził, i drzwi się zamknęły. Nie było więc ratunku.

Nocą Stach powrócił do okna. Zabite było łątami zewnątrz, ale wyrwać je nie zdawało mu

się niepodobieństwem. Cóż, gdy otwór ciasny ledwie by był dziesięcioletnie dziecko przepuścił. Na próżno się około niego znużywszy, Stach legł znowu na barłóg, przeklinając swą dolę. Żadnej już nie miał nadziei oswobodzenia, chyba porywając się na stróża i zamykając go na swym miejscu.

Byłoli to możliwe?

Kilka dni przeszło na chorobliwym śnie i próżnych rozmyślach. Jednego ranka, gdy się ruch wielki dał słyszeć na podwórzu, zdało mu się, że podniesiony bardzo, jakby, naumyślnie, głos Żegcia



posłyszał. Spierał się o coś z drugim. Stach dowiedział się, że wolnym był i że około koni jakichś pełnił służbę.

Nadzieja wstąpiła w serce, bo Żegiec uwolniony (Stach był pewien) musiał się starać, aby go wyswobodzić. W istocie tejże nocy zaskrobało coś do okna, Stach podlaźł prędko. Na drabince od siana ze stajni pochwyconej stał Żegiec. Stach począł doń wołać natarczywie:

— Człeczce, jeśli ty Boga masz w sercu, ratuj mnie, albo zdechnę rychło! Nie wytrwam!

Żegiec szepnął, aby był spokojny. Dodał, że o oknie nie było co myśleć. Drugiej nocy miał się sługa pod ścianę podkopać, we dwu mogli tę robotę dokończyć przed rankiem. Stanęła o to umowa.

Nie śpiąc już, nie jedząc i nie pijąc, Stach czekał zapukania do ściany, aby wiedzieć, gdzie ze swej strony ma się wziąć do roboty. Gdy się wszystko uspiło, szmer i drapanie słyszeć się dało, Stach, który był gotów ze wnętrza też począć kopać, natychmiast rękami ziemię się jał

odgrzebywać. Nie była to robota łatwa, nie mając ani deseczki, ni kija do pomocy, ale pragnienie oswobodzenia sił dodawało.

Żegiec ze swojej strony pracował pilnie i żwawo, chociaż przeszkadzali mu jacyś przechodzący, których to tym, to owym zbywał. Po północy doły z obu stron wygrzebane niewielka już od siebie przestrzeń dzieliła. Ściankę tę udało się obalić nareście. Stach bodaj z największą męką postanowił wydobyć się ciasnym otworem. Rozszerzono go nieco, czasu nie było do stracenia i więzień dał się wyciągnąć zgnieciony i pokaleczony. Wydobywszy się z jamy, Stach naprzód pocziwego sługę uściskał, zdało mu się, iż wykradzenie się z zamku było już rzeczą stosunkowo łatwą. W podwórcach panowała jeszcze cisza głęboka, około wrót tylko słyszeli z dala ciężko stąpające straże.

Ale Żegiec wszystko był naprzód obmyślił, powiódł więc pana swego do upatrzonego

miejsca na wałach, skąd jedną deskę wyjąwszy w zagrodzie, mogli się na dół spuścić, bo tu pilności nie było. Po nocy, w miejscu nieznanym zejście z okopu było trudnym, ale ówcześni ludzie mieli instynkta, które ich w złych razach ratowały. Przeczuwali, czego widzieć nie mogli.

Stach i Żegiec obsunęli się chwytając za krzewy i trawy, aby zbyt gwałtownie nie spaść na dół i znaleźli się z wielką radością swą u stóp góry od strony rzeki. Tu jednak popadali znużeni, długi czas tchnąć nie mogąc, a na spoczynek czasu nie było. Uchodźić dalej musieli co rychlej, dopóki by dzień, którego już brzaski widać było, nie zdradził ich ucieczki i nie wywołał pogoni.

Żegiec przypomniał sobie, że wyjętej deski z tynu zatknąć zabył, a ta drogę ich wykazywała.

Wstali więc, biegnąc ku rzece. Szczęściem znalazł się u brzegu stary czółen do kołka

przymocowany, choć bez wiosła. Żegiec oderwał go, wskoczyli oba i puścili się z biegiem rzeki, byle tylko od zamku oddalić.

Dniało już dobrze, gdy Wisła ich unosić zaczęła. Stach położył się na dnie czołna, a Żegiec, rękami obnażonymi w wodzie robiąc, wiosło i ster musiał zastępować nimi. Prąd rzeki dosyć bystry, bo wody jeszcze szły wiosenne, prędko ich uniósł poza miasto i osady otaczające.

W pierwszym kątku, trochę osłonionym wierzbami i łoziną, Żegiec przybił do lądu i oba

wyskoczyli, aby się skryć w zaroślach, a obmyśleć, co mieli poczynać dalej. W biały dzień po okolicy się snuć nie było bezpieczne Stach też tak był znużony więzieniem, kopaniem,

wygrzebywaniem się, ucieczką, iż potrzebował spoczynku. Jakkolwiek silny i zahartowany,

omdlewał. Żegiec, czując się silniejszym, miał tymczasem szukać jakiegoś sposobu do dalszej ucieczki, sukien, koni, drogi.

Dostarczyłby pewnie wszystkiego pierwszy lepszy z ziemian krakowskich, ale kędy ich

szukać było? Wschodzące słońce zastało ich głodnych, znękanych, zaszytych w gęste łozy,

rozmyślających jeszcze o ratunku. Żegiec radził, aby Stach tu pozostał, ofiarując się ruszać na zwiady. Nie był tak bardzo znanym, aby mu groziło niebezpieczeństwo, a zręcznym wielce i ze wszystkim obytym. Jeszcze się naradzali, gdy na łęgach nad Wisłą tu i owdzie ukazały się trzody i pastuszkowie.

Żegiec ku pierwszemu z nich po chleba kawałek pośpieszył. Dostawszy go kromkę dla

głodnego pana, odzież swą wyróciwszy na nice, umazawszy twarz błotem, odważny chłopak

puścił się nazad do miasta. Miał myśl naprzód przekraść się do dworu Leszczyca i tam szukać pomocy.

Przez ogrody, ciasne uliczki i opłotki, pomijając ludzi, czyniąc się starym i udając żebraka, Żegiec dotarł do dworku, ale tu wrota zastał zaparte, ciszę w nim i pustkę. Przelazłszy zagrodę, wewnątrz nie znalazł też nikogo, oprócz starego wrotnego, który na przyzbie drzemał.

Wiedział, jak u Leszczyca zawsze ludno bywało, nie mógł więc opuszczenia tego

zrozumieć. Gdy się starego stróża dobudził i pytać począł, odpowiedzieć mu nie chciał, nieufnie jakoś patrzył, zaklinał się, że o niczym nie wiedział; ale iść mu dalej nie bronił szukać i patrzeć.

Dworek stał pozamykany, w stajniach, w kuchni, po izbach czeladnych nie było żywej duszy.

Po długim śledzeniu we wszystkich kątkach, Żegiec nareście w sianie znalazł parobczaka,

którego widział, gdy tu z panem stali. I ten nie bardzo chciał być rozmownym, mało co też wiedział;

mówił tylko, że panowie, jakąś wiadomość otrzymawszy nocą, bardzo gniewnie odgrazając i krzycząc, na konie siedli natychmiast i w różne się strony rozbiegli. O brzasku tego dnia przybył potem oddział żołnierzy z zamku, opasał dwór, wtargnął do środka, przetrząsając wszędzie, szukając i pytając, gdzie się Leszczyc podział. Parobczak jeszcze był wystraszony, bo go osmagano, chcąc z niego dobyć wiadomości, co się z panami stało.

Tu więc już pomocy żadnej nie mógł się Żegiec spodziewać, trochę jadła tylko wyprosił sobie do torby i wyszedł wielce zafrasowany. Puścił się potem na miasto, sznurkując, czy gdzie znajomych ziemian nie spotka, których zawsze w Krakowie pełno bywało, ale miasto puściejsze było niż zwykle, a ziemianina nigdzie ani śladu.

Około dworu biskupiego przechodząc, znalazł go też zamkniętym i jakby pustym; z ludzi zbrojnych, którzy zawsze w dziedzińcach stali, nie zostało i jednego. Ożywiony rynek, wśród którego okoliczne rycerstwo z pocztami, nieraz z tłumnymi dwory, trąbiąc i hałasując się przewijało, stał teraz martwym. Mieszczanie i kupcy z trwogą jakąś od progów domostw rozglądali się w ulicach, w których bardzo było cicho. Mniej też duchownych widać było niż zwyczajnie i złowrogie milczenie zalegało gród cały.

Ludzie, z którymi się spotykał, nie mieli wielkiej ochoty do rozmowy, nieufnie uchodząc po kątach. Żegieciowi, widząc, że tu nic nie robi, na pamięć przyszło, iż z panem swym gościł na Panieńskich Skałach u wdowy Doroty i że tam ich uprzejmie przyjęto. Z tego, co między ludźmi słyszał, wymiarkował, iż tam by się albo ukryć można, albo prosić o pomoc jakąś.

Niewiele myśląc, choć odarty i niepozorny, w nadziei, że mu tam zaufają, puścił się do dworu na Panieńkiem. Na pieszą przechadzkę był to kawał drogi, ale wozy włościańskie szły w tamtą stronę. Żegiec się przysiadął, wpraszał i tak się dostał do dworu Doroty.

Tu także pozamykane było i puściej niż dawniej. Ostrożnie rozpatrując się dokoła, Żegiec znalazł sposób przemknąć się do drzwi i śmiało a natarczywie począł domagać do pani samej opowiadając, że posłany jest w bardzo pilnej sprawie.

Czekać musiał czas jakiś, nim do niego wyszedł Przegala i jął go rozpytywać od kogo i z czym przybywał. Żegiec śmiało mu oświadczył, iż tylko z samą wdową mówić może. Zbywano go tym, że jej doma nie ma, rozpatrywano się w nim, badano, wreszcie wyszła sama pani do niego z niespokojnym twarzy wyrazem, nadąsana i gniewna.

— Miłościwa pani — począł śmiało, do nóg się jej skłaniając. Żegiec — jestem sługą tego,

który tu u was niedawno gościł z Jaśkiem Bogorią, zwie się on Zabor z Przegaju. Stał się z nami przypadek straszny, chwycili nas ludzie księcia Mieszka, nie wiedzieć za co, na gościńcu, posadzili do ciemnicy, ledwieśmy się zdołali, z wielką biedą podkopawszy, uwolnić.

Wdowa poczęła ciekawie rozpytywać, bo i owego Zabora pamiętała mało i niewiele on ją obchodził. Żegieć, jak mógł i umiał, litość się w niej starał obudzić. Napomknął jej cicho, że do księcia Kazimierza w drodze byli. Dorota baczniej się przysłuchiwać zaczęła.

— Miłościwa pani — mówił Żegieć — jak ty nas nie poratujesz, zginiemy. Pan w podartej odzieży kryje się w łożach, ani konia, ni broni nie mamy, nie wiedzieć dokąd iść i o czym. Zlituj się, ratuj!

Po krótkim namyśle wdowa, która była zawsze hojną do zbytku, rozkazała Żegocie dać koni parę i przyodziewek dla Stacha.

— Nocą, gdy się ściemni, niechaj przyjeżdża tu, a dalej co robić, zobaczemy.

Opatrzony szczęśliwie w to, co najpotrzebniejszym było, Żegieć siadłszy na konia i prowadząc drugiego, pobiegł nazad z wielkim pośpiechem. Jednak cała ta włość tyle mu czasu zabrała, że gdy się znów na brzeg Wisły dostał w zarośle, już dobrze zmierzchało. W łożach też ukrytego Stacha nierychło mógł znaleźć, a na nizinach konie mu grzęzły.

Huknąwszy parę razy ostrożnie, miał tę pociechę, iż pana odkrył, i przypadł doń sądząc, że się bardzo wiadomością rozraduje. Ale Stach, o Dorocie posłyszawszy, namarszczył się strasznie, ledwie nie łajał i w początku się nawet oparł wracaniu do niej, chciał wprost ruszać do Sandomirza.

Dopiero po namyśle i z niechęcią wielką, aby dostać języka, zgodził się wracać na Skały. Nie cierpiał Stach wdowy i od niej pomoc przyjąć było dlań wstrętliwym, lecz rady innej nie miał.

Późnym wieczorem przemknęli się około miasta, a noc się poczynąła, gdy stanęli na górze i opowiedzieli się u wrót na Skałach, gdzie straż znaleźli czujną i ludzi pozbrojonych jak do pochodu.

We dworze świeciło się jeszcze. Stach musiał iść doń, Przegala go zaraz do wielkiej izby wprowadził. Niedługo czekał i piękna wdowa wyszła doń, przyodziana niedbale, z włosami ledwie przewiazanymi, niewiele pono troszcząc się o to, jak się wyda, z brwią namarszczoną, z oczyma jakby troską wygorzałymi. Wpatrzyła się pilno w Stacha, którego, że raz tylko widziała krótko, zdawała się chcieć go sobie przypomnieć, gdzie i jak się spotkali.

— Kietlicz was znowu pochwycił? — odezwała się namyśliwszy. — Gdzie? jak?

Stach taić się przed nią z tym nie potrzebował.

— Posłany byłem do księcia Kaźmierza — rzekł krótko — zdradzono widać nas i wzięto na gościńcu przemocą. Żem się wykopał z ich kuny, łaska to boża.

— Strzeż się raz jeszcze wpaść w ręce tego oprawcy — odezwała się Dorota.

Widać po niej było rozgorączkowanie i niepokój, przechadzała się po izbie wzdychając.

— Nie ma dziwu — dodała — że was schwycono, na wojewodę też pono uczyniono

zasadzkę, szczęściem był zawczasu zawiadomiony. Biskupa ująć chciano, i ten im uszedł, ziemian jak dzikie zwierzęta ścigają, nikt życia a zdrowia niepewny. Mieszek wie, co go czeka, broni się jak borsuk osaczony w jamie.

Zwróciła się żywo do Stacha.

— I mnie stąd przyjdzie uchodzić — rzekła — lada godziny. Moi bracia korzystać z tego

będą, iż bronić mnie nie ma komu, bo wojewoda o czym innym myśleć musi. Gotowi mnie ubić, gotowi zamknąć, a dla Doroty niewola — gorzej śmierci! Zechćali napaść, ja się im tu z garścią ludzi nie obronię. — Łzy gniewu stały jej w oczach, pomieszana była i rozdrażniona.

— Radźcie wy mnie teraz, gdym ja wam radziła — rzekła — co robić z sobą? Nie mam

teraz nikogo. Gachów zawsze pełno dawniej bywało, a przyjaciela nie mam ani jednego. Pustki u mnie, ja sama, choć głowę o mur rozbijać!

Stach się zadumał, mało ona w nim obudzała litości, czuł wstręt do zuchwałej niewiasty,

mimo to w niebezpieczeństwie radzić czuł się obowiązany.

— Miłościwa pani — odparł — rada tu krótka. Jeżeli się napaści na dwór obawiacie, trzeba

uchodzić stąd i to nie mieszkając. Po lasach się tułać niewiele pomoże. Macieli jaki dwór obcy, do którego by się schronić można?

Dorota ruszyła ramionami.

— Ani domu, ani łomu — odparła — a człowieka jednego, któremu bym zaufała, krom starego grzyba wojewody.

— Nie już do niego do obozu? — zapytał Stach.

— No, a czemu by nie?! — zawołała Dorota. Stach ramionami ruszył.

— Do niego czy do lasu — rzekł — juści, gdy się obronić nie można, trzeba ucieczką się

ratować.

Dorocie oczy zabłysły, drgnęła.

— Więc ruszym, gdzie oczy poniosą, ale i wy ze mną! — zawołała.

— Doprowadzę was — odezwał się Stach — do pana wojewody, gdy Bóg pozwoli; dalej ja muszę jechać, gdzie mi polecono.

Dorota namyślać się zdawała.

— Dobrze tak — rzekła — wiedźmie mnie do obozu, tam ja będę bezpieczna. Sami

ruszajcie do księcia Kazimierza. Woj- na wypowiedziana, w domu siedzieć nie czas nikomu, na koń potrzeba wszystkim, na koń!

Poruszona wielce, chodziła, włosy rozwijające się zgarniając coraz niecierpliwie.

— Do jutra rana! — odezwała się. — Potem i ja z wami na koń, do obozu. Prowadźcie mnie do wojewody, z sobą potem czyńcie, co chcecie.

Stach może by był do ranka nie bardzo chciał czekać, ale znużony przystał i na to.

Już miał odejść, aby sobie szukać miejsca do spoczynku, gdy Przegala wpadł cały drżący, z oczami osowiałymi, dając po sobie poznać, iż niósł wieść groźną. Dyszał tak, że mówić nie mógł.

Dorota nogą tupnęła.

— A mów, stary tchórze! — krzyknęła. — Co ci jest?!

— Kurek powrócił z Tęczyna — zawołał Przegala — tam już pogotowiu wszystko do najścia na nasz dwór do dnia, aby was pochwyć! Panowie bracia jadą oba, sto koni z sobą mają!

Wdowa rzuciła się z wściekłością niemal, uderzając go po ramieniu i popychając do drzwi.

— Ludzie na koń — zawołała — ja będę zaraz gotowa! Na koń kto żyw!

Skinęła na Stacha.

— Ty z nami!

Stach, który się ledwie z jednego wyrwał niebezpieczeństwa, wpadł tu w drugie, nie mniejsze. Nie było wątpliwości, że panowie z Tęczyna za siostrą pogonią i ślad jej wytropią.

Czekała walka nierówna, śmierć, rany lub niewola znowu. Lecz wyboru nie było; odstąpić niewiasty, choć wstrętliwej i winnej, nie godziło się.

Piorunem gotowano się do podróży, cały dwór ruszył się, wśród płaczu i zawodzenia dziewczek, które zbiegły się do swej pani, narzekając na los i na to, co je spotkać miało. Izby się od wrzawy i jęków rozlegały. Dorota już wdziewała odzież, sposobiła oręż, zagarniała kosztowniejsze sprzęty na wozy, które z nią iść miały, pędząc ludzi do pośpiechu.

We dworze nie miał pozostać, tylko stary Przegala, dziewczęta i niedołączna służba, reszta jechać z panią musiała.

Stach, nim się opatrzył, znowu konia dosiadać musiał, ale już był zbrojnym, bo mu dano kaftan, łuk, hełm jakiś i miecz niezgorszy. Wszystkich koni i ludzi orężnych nie było więcej dwudziestu. Przystojny, młody koniuszy dowodził nimi, jak pan sobie poczynając, bo był w łaskach u wdowy i ta mu wolę dawała wielką.

Po ciemku jeszcze wyciągnęli ze dworu, puszczając się w dolinę, by jak najprędzej od

Tęczyna się oddalić. Dorota jechała posępna i milcząca, niekiedy głowę zwracając w stronę dworu swojego, jakby przeczuwała, że jej do niego powrócić będzie trudno.

Jechać miano do obozu wojewody Szczepana, ale gdzie by się on znajdował, nie wiedział nikt spełna, pytać się oń i szukać go było trzeba ku sandomirskiej kędyś granicy.

Zrazu błędzono bezdrożnie, a młody koniuszy, który siedząc we dworze, niewiele wiedział, pokierować nie umiał. Stach dopiero, któremu śpieszno było dostać się do księcia, w pomoc przyjść musiał, ludzi badać i najprostszych dróg szukać.

W pierwszym popłochu kupka ludzi otaczających wdowę, przedarszły się po cichu przez dolinę, lasów szukała, aby w nich, bezpieczniejszą się czując, o dalszym pochodzie myśleć. Dorota nalegała o pośpiech tylko, resztę zdając na Stacha i koniuszego. Gdy na wytchnienie stanęli w lesie, nie rozmyślając się długo, odziała się całkiem po męsku, wzięła zbroję, głowę okryła hełmem, który jej twarz okrywał; a że do konia dosyć była nawykła, wzrostem zaś mężczyźnie równała, płci jej trudno w przebranej poznać było. Ludziom pod najsurowszą karą zakazano mówić o pani, jako rycerz i ziemianin przybyć chciała do obozu wojewody, do którego się wszyscy garnęli.

Gdy ją tak przebraną Stach zobaczył a zbrojną, ledwie i on by był Doroty się w rycerzu mógł domyślać. Z odzieżą tą i orężem przypasanym nowe w nią wstąpiło męstwo, odzyskała śmiałość i butę, a lekceważenie wszystkiego. Po drodze pyta- no języka u ludzi, po chatach, od

przejezdnych, nie umiając pogodzić sprzecznych wieści, które co krok się mieniły.

Wiedzieli tylko wszyscy i na to się godzili, że w Krakowie już ani biskupa, ani wojewody, ani ziemian nie było żadnych, nikogo prócz dworu i ludzi książęcych. Po zamkach i dworach wszyscy siadali na konie i sposobili się do obozu.

Lud prosty, krom tego, że wszelkiej wojny i zawichrzenia się obawiał, niewiele zresztą

troszczył się o to, co się w górze działo, od niego języka dostać było trudno. Po lasach i dalszych osadach wiedziano zaledwie, kto w kraju panował i rządził. Duchowieństwo i ziemianie sami dawali hasło i kierowali wszystkim. Dziś ono po całej ziemi krakowskiej jedno było: Mieszka obalić. Biskup, wytrzymawszy do ostatka, zwątpiwszy o nawróceniu, zagrożony wygnaniem,

obrócił się stanowczo przeciw niemu. Inni pasterze zgodnie szli za nim, a ziemian wszystkich miał za sobą.

Tym pochlebiało wielce, iż mogli powoływać i odwoływać panów swych, choć w istocie

szli nie za własną wolą, ale za wskazaniem biskupa, a bez niego nic by począć ni mogli, ni śmieli.

Były to czasy, gdy tak samo papieże walczyli o władzę z cesarzami, gdy biskupi w innych też krajach dobijali się niezależności, gdy Tomasza Kantuaryjskiego kanonizowano, a Rudobrody nawet oprzeć się potędze Rzymu nie był zdolnym. Rzym i duchowieństwo ówczesne przedstawiało w sobie myśl wyższą nad tę, którą władza świecka cesarza uosobiała; ono stało na straży prawa bożego, szło w imię ewangelii i nauki Chrystusa przeciwko pogańskiemu mieczowi i pięści. Że w imię Chrystusowe, po ludzku, czyniono też i bezprawia, że się dobijano władzy często dla

panowania, nie dla oświecenia i naprawy, prawdą jest; ale na chorągwi stało godło znaczenia pełne, ofiara, krzyż oblany krwią niewinną, na ewangelii oparty. *In hoc signo vinces* .

Samowola ludzka musiała się tu ugiąć przed prawem, choć samowolnie też tłumaczonym i

wykładanym różnie; zakreślano jej granice. Zbaczać mogli ludzie, lecz źródło niewyczerpane, naprawą błędu, obmycie z niego czyniło możliwym.

Na chorągwi Rudobrodego stało pragnienie potęgi dla niej samej, na rzymskiej — krzyż ów,

który stał na ziemi, a ramionami niebios sięgał.

Tak samo tu, Gedko stawał w obronie praw ludzkich przeciw samowoli, a za nim

duchowieństwo szło całe z owieczkami swoimi. Po drodze więc najpewniejszą wieść znajdowali po probostwach, gdzie już hasło dane się rozległo.

Stach ze wstrętem włókł się za swoim dowódcą, który pozbywszy się strachu i widząc się na swobodzie, w położeniu nowym, niezwykajnym, nabrał już rzeźwości i wesołości lekkomyślnej.



Rycerska zbroja bawiła wdowę, na koniu w orszaku orężnych ludzi, którym rozkazywała, rażno jej było. Stacha już gotową była mianować swym pułkowodcą i zapowiadała, że jeśli jej do dworu na Skałach wrócić nie dadzą, puścić się chciała ze swą garścią bodaj na rozbój po gościńcach. Śmiały się jej przygody, jakie ją spotkać mogły. Płocha niewiasta znowu była we swym żywiole.

Ciągniono tak swawolnie dosyć dni parę, Stach się zżymał trzymając na uboczu, gdy nad wieczorem drugiego dnia, u granicy sandomirskiej kilku ziemian spotkanych oznajmiło, że

wojewoda Szczepan z obozem i ludźmi swymi leżał już tylko wpół mili. Natychmiast Dorota kazała pośpieszać i radowała się niezmiernie tej myśli, że starca oczaruje na nowo, stawiając się przed nim po rycersku.

Na zmierzch się brało, gdy się namioty wojewodzińskie, rozbite w dolinie ukazały, pod małym gródkiem i wioską. Wprost na obóz puściła się wdowa.

Na wzgórkach widać było już namiot wielki i chorągiew powiewającą. Nikt drogi szczupłej

garstce nie tamował, mogła się dostać niemal pod opłotki ogromnego szarego namiociska, pod którym Szczepan Pobożanin odpoczywał. Ale tu zuchwałą niewiastę czekała niespodzianka. O

kilkanaście kroków już usłyszała wrzawę ogromną; namiot otoczony był rycerstwem, którego konie i ludzie szeroko dokoła się rozlegały. Gwar i ruch panował niezmierny.

Zdawało się, jakby z całej ziemi krakowskiej zebrało się tu, co było najprzedniejszego, najburzliwszego, najśmielszego;

i tak było w istocie. Ponieważ namiot wojewody już był przepelniony, skupili się ziemianie dokoła niego, głośno nawołując i rozprawiając. Gromadki stały, snuły się, łączyły, rozchodziły z niepokojem wielkim. Wybiegali do nich jedni spod namiotu, drudzy do niego się cisnęli.

Dorota, aż tu się zapędziwszy, nie wiedziała, co począć, ale nie straciła przytomności.

Zatrzymała się opodal trochę, obrawszy sobie miejsce, i jak inni rozgościła się na łące, stawiając wozy i ludzi. Namiocik kazała rozstawić. Ten i ów popatrzył na przybywającego towarzysza, lecz że było ludzi różnych mnóstwo, a coraz ciągnęli nowi, nie bardzo na jednego więcej zwracano uwagę.

Obóz wojewody przedstawiał ciekawe widowisko. Jedną część jego z prostego żołnierza

złożona, obojętna spoczywała przy ogniskach, sprawując się cicho i nie poruszając zbyt żywo. Za to około namiotu Szczepana jakby wiec się wrzawliwy. odbywał. Coraz to się głos jakiś krzykliwy i ręce podnosiły do góry; czasem dwu usiłowało się nawzajem przekrzyczeć, niekiedy dziesięciu naraz wołało, a zamęt mnożyło. Poruszenie umysłów i rąk widać było niezmiernie. Do tych, co spokojniej stali na uboczu, podbiegali czynni; nie dając im gnuśnieć, ciągnęli z sobą. Rzucano słowa ciężkimi, ostrymi jak kamienie, kłócili się jedni, ściskali drudzy. Namiot Szczepana stanowił

jakby ognisko tego wrzątku. Gdy się zawichrzyło mocniej wewnątrz, wypadali z niego ludzie z krzykiem do otaczających i na odwrót, z tłumu niektórzy parli się do namiotu, który tak był pełen, że ściany jego poruszały się gdyby żywe, a ogromne koły, na których był zawieszony, drgały, jakby powywracać się miały.

Stach poznał tu swoich: Leszczyców, Cholewę, Bogoriów i kilku z najgorętszych

przewódców. Wielu, co świeżo przybywali, rozsluchiwali się dopiero i powoli w sprawę gorącą wtajemniczali.

Pod namiotem wojewody Szczepana główni naczelnicy, władcy, żupan, starszyzna

wybrana obradowała, a raczej wtórowała sobie tylko i zagrzewała się, bo rzecz już była postanowiona. Wojewoda sam, dawno nawrócony, słuchał milcząco, potakując głową.

Jednym, co jeszcze nie zdawał się z drugimi w zgodzie, był stary Grezek z Potoka. Można

pan, wyglądał jakby kmieć prosty, bo nie dbał o to: znano go, że mienie miał książęce a obyczaj starodawny, surowy. Gdy inni stali, stary siedział, trochę przygarbiony, ręce obie, w kabłąk zgięte trzymając sparte na kolanach. Usta mu się uśmiechały, jakby drwił, a co myślał, Bóg go wiedział.

— Cóż wy, Grezek, nie pochwalacie — ozwał się doń Cholewa — nie w smak wam to, co się poczyna?

— Ano, ano — mówił stary — ja się wprzódę chcę rozsluchać. W smak czy nie, za kupą isć muszę, sam nie zostanę.

— Cóż mówicie o Mieszku? — pytano.

— Co wy chcecie? Tęgi pan — mówił Grezek — gdybym takiego włodarza miał na majątności, to bym go na rękach nosił.

— Inna włodarz, inna książę!

— A juści — rzekł Grezek. — I to ja jednak widzę, iż gdy co u nas przydługo w miejscu siedzi, łatwo się nam zbrzydza. Więc już innego chcecie?

— Ten nas do jarzma wprzęga! — wołano.

— Hę? A wy byście chcieli takiego dobrego, którego byście mogli zaprząć? A to, baczenie, trudno; który się tam na górę dostanie, zaraz wierzga.

— Kaźmierza my znamy — poczęto z tłumu — to pan jak stworzony dla nas, ten nam da

Salomonowe czasy.

— Hm — mruknął Grezek — a wszystko to pono z tego, że biskupa w rękę nie całował, nieprawdaż?

— Albo nie powinien! — ofuknął Cholewa.

— Czyż ja mówię inaczej? — odezwał się stary. — Trzeba całować, na to rady nie ma, bo to u nas tylko gadanie, że my książąt mamy; my mamy ino biskupów nad sobą, a książąt, aby ich słuchali.

— I tak być winno! — dodał Cholewa.

— Albo ja mówię, że nie? — odparł Grezek. — A już, gdy tak jest, widać, że być musi. A prawda to — dodał — że biskup Gedko na sądach go tęgo połajał?

— Bo zasłużył! — wyrwało się kilku.

— Ja nie przeczę; pytam, czy łajał — spokojnie ciągnął stary.

— A juści, a juści!

— Patrzajże, Lutek — mówił Grezek do jednego z bliżej stojących — jak cię proboszcz twój zeżga od ostatnich, abyś go w rękę pocałował, bo z tobą będzie jak z Mieszkiem.

— Niedoczekanie klechy! — zawołał Lutek.

— Cichoż — przerwał Grezek. — A to cię wyklnie! Zamilkli nieco, żarty Greżkowe nie w smak szły. Zaczęto wymyślać na Kietlicza i wszelakie jego sprawy.

— Ta to u nas nie nowina — odezwał się stary — drugi Sieciech, drugi Dobek. Nasi panowie przepadają przez sługi. Czemuż Mieszkowi nie zapowiedzieć, aby go na Łużyce wyprawił?

— Bo nie posłucha!

Cholewa się zniecierpliwiony przybliżył do Grezka.

— E, stary — począł — co by wy się spieracie, mąćcie, przeciwko wszystkiemu się buntujecie?

— Ja? A daj ty mi spokój, człecze — rozśmiał się Greżek — ja pytam i słucham. Więc na Kaźmierza kolej, a to mi go żal, choć płacz, bo go w jarzmo wprzągacie.

— Dlaczegoż się tak litujecie nad nim?

— Albo nie ma czego? — mówił stary. — Ta to biedny pan! Albo on może wiedzieć, jak go długo cierpieć będziecie? Nuż się wam jego Jaksza, Goworek albo Wichfried nie podoba, przepędzicie jako i tamtych.

Poczęli wszyscy wołać i krzyczeć na Greżka, ten się śmiał.

— Ja bo Kaźmierza lepiej kocham od was — ciągnął dalej — kiedy mu tej cierniowej czapki, a bodaj i korony nie życzę. Na Sandomierzu siedzi jak u Boga za piecem, a w Krakowie wszystkim nam służyć będzie musiał. Sroga to rzecz. Patrzcie ino, że każdy z nas czego innego od niego zechce; ja, Leszczyc, Cholewa, nawet ten stróż, co bramę na Wawelu omiata. Dopieroż się zwijać będzie musiał, aby wszystkich obsłużyć! Rozśmiał się, a po drugich chłodem powiało.

— E e — zamruczał sam wojewoda — co bo ty Greżek psujesz nam dobrą myśl?

— Patrzcie, jam myślał, że wam jej dosypuję! — zawołał stary. — Frasować ani siebie, ani was nie mam ochoty, a co mi tam? To się na nic nie zdało! A i to wiem jeszcze, o czym wartałoby pomyśleć, że Kaźmierz rozumny pan, jak wiecie, bo mu tego nie zaprzeczyć, gotów nie przyjąć kota w worku, którego mu dajecie.

— Musi, musi! — krzyknął zamaszysto Leszczyc. — Między nami ziemianami a

Mieszkiem wszystko skończone! Gdyby dziesięć razy do Krakowa wchodził, to go wygonimy! Ha, odgrażał się, że nas obuzda! Twardziśmy w pysku! My tu gospodarze, a on włodarzem, jakoś rzekł.

On nas, nie my jego słuchać mamy.

— To dopiero będzie doskonałe — rzekł Greżek — gdy mu stu będzie rozkazywało, każdy co innego. No i lepiej chyba nie może być.

Znowu zakrzyczano starego, który zamilkł przygarbiwszy się i słuchał. Było czego; krzyczano okrutnie, wywłączono stare sprawy, każdy coś miał, prawdę czy nie, do żaloby.

— Tak — powtarzano — między nami skończone! Nie zechce ustąpić po dobrej woli, mamy ludzi, pójdziemy i wymięciem go z gniazda! Ruszaj do Niemców na piwo! Zięciów ma

dosyć, chleba mu nie zabraknie!

— Patrzajcie tylko, aby z zięciami wielu i żelaza nie miał wiele — szepnął Grezek.

Toczyła się tak rozmowa coraz hałaśliwiej, a beczułki wypróżniały.

V

Gdy z rozkazu księcia, nazajutrz po widzeniu się z Kietliczem, do dnia obstąpili ludzie

zbrojni pod jego dowództwem dworzec biskupi, a on sam do bramy dobijać się zaczął, milczało zrazu wszystko. Wyjrzał potem stróż, zawołano odźwiernego, odźwierny poszedł do ochmistrza i w końcu, nierychło, otworzyła się furta Kietliczowi.

Niełatwa to była naówczas rzecz biskupa ująć; musiano mieć baczenie, jak to uczynić, bo pasterz każdy miał i zbrojnych ludzi dosyć koło siebie, i we dzwony mógł kazać na gwałt uderzyć.

Nie każdy też z książęcych ludzi chciał się targnąć na niego.

Kietlicz jeden ważył się na to, a i on szedł nie bez trwogi. Ale panu swojemu oddany będąc, posłuszny, rozkazem jego w sumieniu się czuł zwolnionym. Zawczasu, nim na dwór biskupi

obmyślano najście, obliczono się z siłami. Księżciu zdawało się, że Gedko zbrojnych ludzi miał mało. Zażyć też miano fortelu: wyciągnąć go na zamek do pana, skąd po kryjomu na wozie okrytym wysłać go chciano.

Była godzina ranna bardzo, ale naówczas dzień się dla ludzi wcześniej poczynał. Na prymę już wydzwoniono, nie spał nikt.

Gdy się ochmistrz ukazał, Kietlicz zapytał o biskupa.

— Księżę go pilno dla rozmowy na zamek prosi i mnie przysyła — odezwał się.

— Dla rozmowy? — powtórzył urzędnik biskupi, poprawując na sobie odzież. — Ale księdza biskupa nie ma.

Kietlicz się cofnął.

— Jako, nie ma?! — krzyknął.

— A nie ma.

— Gdzie jest? w kościele?

— Nie w kościele — odparł ochmistrz ruszając ramionami. — Jego miłość nie tłumaczy się przede mną, dokąd idzie lub jedzie.

— Pojechał? poszedł?! — wołał Kietlicz rozpaczliwie.

Na to pytanie urzędnik zwłóknął odpowiedź, gdy tuż ukazał się w sukni duchownej mężczyzna poważny i przystąpił do Kietlicza.

— Biskupa nie ma? — powtórzył pytanie Kietlicz.

— Nie ma!

— Kiedyż? jak? dokąd wyruszył?

— Przecie się ojciec dzieciom opowiadać nie ma obowiązku, gdy z domu jedzie — odparł ksiądz.

Kietlicz pobałdł.

— To nie może być — zawołał w uniesieniu — to nie może być! Kłamstwo jest! On się ukrywa!

Duchowny nic nie odpowiedział nawet, zwrócił się tylko, jakby rozmowa była skończona, pogardliwie.

Kietlicz wszedł w podwórze i porywczo wprost pobiegł do dworca. Gniew go uczynił

zapamiętałym, drzwi począł otwierać gwałtownie, komnaty przebiegał i nie opamiętał się, aż gdy nikogo nigdzie nie znalazłszy, wszedł do pustej kaplicy. Widok miejsca poświęconego zmieszał go, drzwi natychmiast zatrzasnął, odwrócił się. W dali stał ksiądz i patrzył.

— Dokądże zbiegł?! — zakrzyczał.

— Kto „zbiegł”? — zapytał duchowny.

Kietlicz zmuszony był się poprawić, sam czując nieopatrznie wyrzeczone słowo.

— Dokąd wyjechał?

— Nie wiem — rzekł ksiądz spokojnie.

— Dawno?

— Jeszcze wczoraj — odparł tak samo zapytany.

— Wczoraj! Wczoraj! — krzyknął wysłaniec książęcy, rzucając się gniewny. — Wczoraj?

I Nie możecie nie wiedzieć dokąd!

— Nie wiem — stanowczo odezwał się kapłan. Tak się skończyła napaść próżna na dwór biskupi.

Gdy Kietlicz na zamek powrócił i do księcia pobiegł z doniesieniem, żaden muskuł nie drgnął na twarzy Mieszka. Rzekł spokojnie:

— Rozumny ksiądz! Czuł, że zgrzeszył i że ja mu tego przebaczyć nie mogę. Ale z wolna, nie potrzeba robić wrzawy, znajdziemy go.

Zamyśliwszy się nieco, nakazał natychmiast wysłać ludzi, aby się potajemnie dowiadywali, dokąd biskup się udał.

— Potem zobaczymy, co czynić wypadnie.

Twardy charakter Mieszka niełatwo złamać się dawał przeciwnościami, które znosił

cierpliwie. Nie zbaczał przez to z drogi, iż mu się nie powiodło, rzecz dlań była odłożona, nie stracona. Kietliczowi dał rozkazy. Wysłano natychmiast na gościńce różne. Niepojętą zdawało się rzeczą, jak biskup z miasta, spod zamku, w biały dzień ujechać mógł tak, by nikt o tym nie wiedział. Zwykle każdemu poruszeniu jego towarzyszyła pewna obrzędowa wystawność,

występował dwór, szło z nim duchowieństwo. Tym razem biskup, którego zawczasu ostrzeżono, w kilka koni wrotami tylnymi, bez orszaku, krucyfery, konno, płaszczem okryty, otoczony gromadką niepokązną, wymknął się tak, iż go wcale nie postrzeżono. Ci nawet, co go widzieli, nie poznali. W samym dworze nikt nie mówił o wycieczce, wielu o niej nie wiedziało.

Gedko wprost stąd podążył do Tyńca. Tu mógł być czas jakiś bezpiecznym, a w razie zamachu, łatwą była ucieczka i schronienie pewniejsze jeszcze.

Położenie Tyńca na wysokim Wisły brzegu, panującym okolicy, czyniło doń przystęp

niespodziany trudnym. Klasztor od pierwszych czasów po swym założeniu urósł już był,

rozwieliśniał, otoczył się murami, rozszerzył, choć, jak mówiono, ostrość reguły znacznie zwolniała. Benedyktyni tutejsi mieli w kraju poszanowanie powagę wielką, targnięcie się na nich gwałtowne nie tylko tu: odbić się mogło w Europie.

Zakon świętego Benedykta, z którym o lepsze walczyć zaczęli, cystersi, dzieci świętego

Bernarda, spoglądał na nich jak na młodą latorośl, której przyszłość była niepewną. Po klasztorach benedyktyńskich z przekazem mówiono o współzawodnikach, którzy ilekroć byli wyzwani do boju, ostro się bronili.

W istocie reguła świętego Benedykta, szczególnie w zachodniej Europie, uległa zmianom

niezmiernym. Opaci i starszyzna wiedli życie zbyt koczownicze, okazałe, gorszące. Szły na to mnogie skargi do Rzymu, a z Rzymu — napomnienia, posły, badania; wszystko to nie pomagało.

Bogactwa, które się coraz nowymi zapisami pomnażały, na ciężką próbę wystawiały słabych ludzi.

W Tyńcu opat Kaźmierz oczekiwał już na biskupa. Jak imię jego zwiastuje, był on

Polakiem. Tyniec, którego opaci i duchowni w ścisłych byli stosunkach z kapitułą krakowską, najlepszym schronieniem tymczasowym mógł być dla Gedki.

Na tę wycieczkę wziął z sobą biskup jednego tylko duchownego, mistrza Amiliusa, ale

rozkazy wydane były, aby dwór, lud zbrojny i wszystka siła, jaką miał Gedko przy sobie, różnymi za nim podążała drogami.

Gedko nie z przecucia i obawy, że go ścigać i uwięzić mogą, opuścił Kraków. Tego się

bowiem zrazu nawet po surowym Mieszku nie spodziewał, ale po stanowczym doniesieniu, iż go skazano na wygnanie i zamach się nań gotował, wyruszył natychmiast do Tyńca.

Krok to był, na który biskup się wazył niechętnie, upokarzający go w oczach własnych. W

początku też chciał, wyzywając księcia, pozostać w miejscu. Nie wierzył doniesieniu, dla powagi swej trwać chciał nieporuszony na dworcu, czekać gwałtu, ale przybocznicy tak go zaklinali i prosili, że wreszcie uległ ich namowom.

Dumny, nieugiętego ducha Gedko, gdy raz zgodził się na to ustąpienie przed księciem,

wyrzekł zarazem, wyjeżdżając z miasta, iż nie powróci tu, chyba z Kaźmierzem, wygnawszy tego, który się nań śmiał porwać.

Przez całą do Tyńca drogę biskup musiał odmawiać pacierze, aby pohamować w sobie

oburzenie. Nie szło mu tyle o siebie, bo gotów był na męczeństwo nawet, ale myśl sama, iż się na władzę mu powierzoną targnąć śmiano, zdawała się świętokradztwem.

„Niech więc zejdzie z oblicza ziemi, który śmiał podnieść myśl, jeśli nie rękę, na służbę

ołtarza pańskiego! — wołał w duszy. — Czyn, choć nie popełniony, myśl grzeszna już jest



występkiem. Nie mnie, ale jego wygnanie czeka!"

Gdy u drzwi opactwa ukazała się gromadka towarzysząca biskupowi, stał już tu opat z całym duchowieństwem swym, z cichym, ale uroczystym powitaniem pasterza.

Gedko na chwilę wszedł z nimi do kościoła, aby się pomodlić u ołtarza, i z opatem razem udał się do przeznaczonego mu mieszkania.

Opactwo tynieckie od skromnych swych początków wzrosło było teraz w mury, w majętności, dochody i dostatki wielkie. Klasztor się rozprzestrzenił znacznie, zwiększyły budowy gospodarskie i cały ogród benedyktyński na warowny zamek wyglądał.

Ogromne przestrzenie ziemi już naówczas należały do niego, a lasy, barcie, rybołówstwo, dziesięciny z pól, służba z osad dozwalały mnichom życie prowadzić wygodne. Z wolna też przepisy zmuszające do pracy ręcznej zaniedbane zostały. Mnisi zadawali się pilnowaniem ludzi służebnych, zakładaniem ogrodów, a większa ich część wołała przesiadywać w bibliotece, niż kopać w polu.

Życie też, pod pozorem ostrego klimatu, który nie dozwalał trzymać się ściśle przepisów dla innego kraju postanowionych, stawało się coraz miększym i zbyt kowniejszym. Warzono miody i piwo dla gości, ale dla mnichów z za granicy sprowadzanych zakupywano wino i stół się bez niego nie obchodził.

Jak we wszystkich naówczas klasztorach w Polsce i tu cudzoziemcy liczbą przeważali, rej wiedli. Na Tyńcu może mniej ich było niż gdzie indziej, ale i tu język, obyczaj, życie cudzoziemskie było raczej niż domowe.

Opat Kaźmierz, sam Polak, wywdzięczając się za to, iż go obrano, tym pilniej dogadzał starszyźnie z Włochów, Francuzów i Niemców złożonej. Ta przynosiła tu zwyczaje obcych krajów, tak że wielu braci brodatych spędzało całe dni na koniu, ze psy, w lesie, a trąbki się odzywały w podwórzach na równi ze dzwonekami.

Biskupi się mało w dozór karności klasztornej wdawali, zostawując rządy opatom i naczelnikom zakonu, zresztą ilekroć oni sami wyjeżdżali do klasztorów, życie mnisze w ściślejsze karby wchodziło.

Gedko wspanialej tu był przyjętym, niż zwykł żyć we własnym domu. Prawdziwe gody

zgotował dlań opat z przepychem i wystawnością pańską. Biskup zasiadłszy do stołu, mógł się przy książęcym sądzić. Srebra, złoczone kubki, szkła weneckie, wino stare, misy kute misternie, opony, którymi stołowa izba gościnna okryta była, godne były zamku pańskiego.

Sami zasiedli do stołu z opatem i mistrzem Amiliusem, który był Gedki ulubieńcem,

człowiekiem nauki wielkiej, do pióra szczególnie zdolnym. Gdy pismo do Rzymu lub jeden z tych pięknych wstępów do jakiego aktu stylizować było potrzeba, na które się wówczas sadzono, by myślą i formą się odznaczały, bez niego się żaden nie obszedł pergamin. Mistrz Amilius był do tego jedynym; bez namysłu płynęły mu najpiękniejsze zwroty o znikomości rzeczy ludzkich, itp. Zresztą był i z tego miłym biskupowi, że nigdy własnego nie objawiając zdania, gorąco zawsze popierał, co Gedko wypowiedział.

Już z twarzy pasterza i obejścia się jego opat Kaźmierz, człek bardzo bystry, przebiegły i zręczny, obyczaju uprzejmości pełnego i postawy nader miłej, domyślał się, iż pasterz przybywał z brzemieniem jakimś na piersi. Dano mu znać wcześniej, że do Tyńca przyjedzie, ale nie tłumacząc podróży.

Gedko, siadłszy za stół, ukończywszy modlitwy, długo pozostał zadumanym i milczącym.

Gdy misy postawiono, a bracia ciszkowie się oddalili, biskup dopiero puścił swobodnie cugle myśli i z wezbranej piersi potok popłynął.

— Ojciec Kaźmierzu — zawołał wzdychając ciężko — ojciec Kaźmierzu, zaprawdę,

twardych dożyliśmy czasów! Ot, znowu chmury ciągną, ot, znowu my pasterze duchowni musimy wtargnąć z władzą naszą w świeckie sprawy. A co się gotuje, Bóg jeden wie! Odmówił książę Kaźmierz dwakroć spuścizny po Kędzierzawym, nawet gdyśmy go przy trumnie nieboszczyka

prosili, aby ją przyjął. Prawem starszeństwa oddaliśmy Mieszkowi stolicę na to, aby on nas z niej wyganiał! Ha — dodał — sługom bożym bez obrazy swojego Pana nie godzi się dać sobą pomiatać.

Westchnął znowu. Mistrz Amilius rzekł zwracając się do opata:

— Wiecie o tym? Książę wydał wyrok skazujący pasterza naszego na wygnanie!

Opat ręce złożył i oczy podniósł ku niebu.

— Jakimże prawem?!

Gedko posępną twarz zwrócił ku niemu.

— Prawa nie pyta — rzekł. — Nie Gedki bronię, ale dostojności biskupa krakowskiego. Co

mnie dziś, jutro mogłoby spotkać brata mojego w Gnieźnie! wszyscyśmy dotknięci. Chcą z nas mieć nie sługi boże, ale posłuszną czeladź tylko.

Opat zdumiony słuchał, biskup mówił dalejj

— Ojciec mój, my tu z waszego spokojnego klasztoru na czas musimy uczynić obozowisko i

wieczną szopę; nie może być inaczej. Rozkażecie wpuszczać, ktokolwiek przybędzie do mnie, bo ja dziś oka nie zmruję nocą. Ludzie moi wszyscy podążyć tu muszą, ziemian pewnie zjedzie kilku, naradzać się trzeba a ratować.

Tych wyrazów domawiał biskup, gdy jakby na ich potwierdzenie gwar u furty posłyszeli i

dzwonienie. Za biskupem już przyciągali dworzanie jego i lud zbrojny. Przynosili wiadomości z Krakowa, że na zamku panował niepokój i gorączkowe, choć tajone, przygotowania, wysyłano

oddziały na różne strony, by jednych chwycić, drugich przed księcia stawić. Czuć już było z obu stron wydaną wojnę. Donoszono, że z małymi wyjątkami, co było jeszcze ziemian przy dworze, za swoimi idąc, pierzchnęło.

Natychmiast Gedko porozysłał stąd gońców do wojewody i innych ludzi znaczniejszych.

Szala widocznie przechylała się na stronę biskupa, z księciem nie chciał trzymać nikt, burzyło się, co żyło.

A że cokolwiek się na zamku działo, zaraz w mieście wiedziano, wszyscy jak biskup

wyrokowani na kary różne, wygnanie, stratę oczów, rąk, więzienie, ostrzeżeni w porę, mieli czas ujść przed książęcymi siepaczami.

Cała noc prawie zeszła na czuwaniu, czynny Gedko albo się modlił, lub dawał rozkazy,

spocząć nie chcąc na chwilę. Oczekiwano tylko na pewną wiadomość o wojewodzie Szczepanie i na skupienie oddziałów zbrojnych biskupich, aby wyciągnąć z Tyńca i połączyć się z wojewodą.

Ranek też następny upłynął na przygotowaniach wojennych. Klasztor napelniał się

najeżanym rycerstwem, refektarze zajmował dwór, poza murami niemal obóz się rozkładał, do którego coraz nowe posiłki przybywały, bo się rycerstwo łączyło z biskupem.

Widział już Gedko z pociechą swą, że osamotnionym nie zostanie.

Około południa nadbiegł wysłany z Krakowa przez archidiakona Arnolda, który na miejscu

pozostał, dworzanie z oznajmieniem, iż Kietlicz do dnia był na dworcu biskupim, że ludzie jego otoczyli go dokoła, że się gwałtownie o Gedkę upominano, wzywając go do księcia. Potwierdziła się więc wieść, iż go pochwycić chciano. Biskup, dotąd jeszcze niezupełnie dowierzający, uniósł się gniewem wielkim.

— Nie ma więc już wątpliwości — zawołał — i nie powinno być miłosierdzia!

Natychmiast z listami i ustnymi poleceniami wyprawiono zaufanych do Gniezna, Płocka,

Wrocławia, Kruszwicy, dając biskupom znać o wypadku i hasło, by wszyscy Kaźmierza na stolicę popierali. Nie czekając już na to, aby książę miał czas się wywiedzieć o miejscu pobytu biskupa i nasłać może na Tyniec, Gedko natychmiast wyszedł dla obliczenia sił swoich i wydania nowych rozkazów wyjazdu, aby się połączyć z wojewodą.

Nie miano jeszcze wiadomości pewnej, gdzie się on znajdował, ale nie mógł być zbyt

oddalonym. Czekać nań w Tyńcu, narażając klasztor i siebie, nie chciał Gedko. Obok kapłańskiej powagi miał w sobie coś z rycerskiego ducha krwi swojej i do walki otwartej śpieszył ochotnie.

Walki jednak mało się było można spodziewać, gdyż Mieszek do niej sił nie miał. Co było

rycerstwa krakowskiego, zamiast stać przy nim, zbiegało do obozu wojewody. Nimby zaś posiłki od zięciów z Czech i Niemiec nadciągnęły, spodziewano się go wyrugować z Krakowa.

Tak stały rzeczy na Tyńcu, gdy na wawelskim grodzie w istocie zamęt się brał coraz

większy i niepewność rodziła już, co dalej czynić przeciw powszechnemu zburzeniu. Kietlicz, pomimo zręczności swej i zuchwalstwa, mimo gorliwości, żadnego prawie z odebranych rozkazów spełnić nie mógł. Wszystko mu się z rąk wyslizgało.

Z rana nie znalazłszy biskupa, gdy tegoż dnia obstać kazał dworek Leszczyca, pustki w

nim zastał; posłani po innych ziemian nie byli szczęśliwsi. Dorota, u której zasadzkę chciano na wojewodę uczynić, uciekła. Szczepan był w obozie, nikogo z obwinionych ująć nie było podobna.

Mieszek czekał na wiadomości następny dzień cały, przynoszono mu coraz gorsze, ale nie

był to mąż, który by się strwożył niepowodzeniem lub mógł stracić ducha. W przeciwności równo jak w szczęściu umiał zachować zimną krew i wytrwałością żelazną stał przy swoim. Myślał, co czynić dalej, nad tym, co się nie powiodło, nie bolejąc na próżno. Dnia tego jednak, Kietlicza się doczekać nie mogąc, wysyłał po niego kilka razy i sam wyszedł w podwórcę, aby swoje siły

obliczyć.

Kietlicz, wszędzie się znajdując zawiedzionym, nie mogąc dokazać nic, w bezsilnym

miotaniu się i złości spędził dzień

cały. On i jego siepacze pod dowództwem Berezy mścili się na bezbronnych za tych,

których pochwycić nie mogli.

Noc już była, gdy Mieszek, raz jeszcze posławszy po swojego palatyna (jak go tam

nazywano), ujrzał nareszcie przybywającego, z twarzą bladą, drżącego, w sukni potarganej, z piętnem rozpaczliwej złości na czole i wargach drżących. Mieszkowi dość było spojrzeć nań, aby odgadł wszystko; nie pytał o nic.

Stojący u progu milczał.

Raz i drugi ksiązę go zmierzył oczyma, chcąc wyczytać, ile z sobą złego przynosił.

Ucieczka biskupa już mu była wiadoma. Gdy Kietlicz ochłonął nieco, posypał się z ust jego cały szereg wyrzutów, przekleństw, skarg na ludzi.

— Miłościwy Panie — wołał — tu na nikogo nie można liczyć, wierzyć nikomu! Zdrajcy

wszyscy! Jednego poczciwego nie ma między nimi, wszystko już się ciśnie ku Sandomirzowi do Kaźmierza, opuścili nas! Trzeba słać do Czech i Niemiec o posiłki...

Nie dokończył. Ksiązę chodził nieporuszony prawie, brodę dłonią poddzierał do góry, jak był zwykł, gdy rozmyślał nad czym ważnym.

— Wy wszyscy i ty mylicie się, patrząc na Kaźmierza — rzekł ze spokojem. — Ja go znam,

iż się nie da ująć i przeciw mnie wysadzić. Nadto dobry jest i spokój miłujący. Miał Kraków w rękę, mnie tu wówczas nie było, prosili go, dawali mu, nie wziął, bo czuł, że prawa doń nie miał.

Zresztą Mierzwa go tu z sobą przywieść powinien. Kaźmierz mi nie straszny! — dokończył.

— Nie jego, to innego sobie przybiorą — począł Kietlicz rozpaczliwie — nie wiem już

kogo, małoletniego Leszka chorego albo z Władysławowiczów którego! Na waszą miłość wszyscy się przysięgli! Wypowiedzieli nam posłuszeństwo.

Milczał ksiązę, naówczas dopiero Kietlicz, którego do żywego bolało niepowodzenie,

począł szeroko opisywać, co go na każdym spotykało kroku, jakie wszędzie znalazł pustki i opróżnione gniazda.

Ksiązę słuchał bez widocznego wzruszenia; gniewu nawet nie okazywał przeciw

Kietliczowi, który sam na siebie i wszystkich więcej się sierzcił niż pan na niego. Ta zimna krew księcia gorącego Serba tym mocniej rozjątrzyła, iż położenie widział groźnym, a pana jakby obojętnym na nie.

Mieszek, najmniejszej nie okazując obawy, dał rozkazy chłodno, aby zamek opatrzyć i ludzi zebrać co najwięcej. Nieograniczoną ufność zdawał się mieć w siłę własnej i w dobroduszości Kaźmierza.

Gdy Kietlicz potem narzekać jeszcze począł, iż nikogo z winnych nie pochwycił, odparł mu

książę:

— Da-li się który wziąć, łeb mu ucinać, bo przykładu trzeba.

Późnym wieczorem nadciągnął Mierzwa powracający z Sandomirza. Stawił się naprzód do

Kietlicza. Zobaczywszy go samego, zrozpaczony już i tak Kietlicz, rzucił się nań jak na pastwę, chcąc dowiedzieć, co przywoził.

Pierwsze, co widoczne niósł z sobą na twarzy i w ruchach podsędzia, to były resztki

pijaństwa, jeszcze zupełnie nie otrzeźwionego. Sprawiało ono, że Mierzwa mimo niepowodzenia widział wszystko w barwach dosyć jasnych. Gdy Serb przypadł doń gwałtownie, z pogardą

wpatrując się w zataczającego trochę przybysza, Mierzwa słodko bardzo przemawiać doń zaczął.

— Niech no miłość wasza ma cierpliwość — rzekł — nie ma nic tak zrozpaczonego, aby się niepomernie sierznić. Nie ma jeszcze nic.

— Powracasz sam? Gdzie książę? Odmówił więc przyjazdu? Czemuście go nie przymusili?

Mierzwa nie goloną od dwu dni brodę pocierał z nałogu.

— Niechże no miłość wasza posłucha, jak to było — odezwał się — rzecz to ciekawa.

Przybyłem na zamek do Sandomirza, mogę powiedzieć, przyjęty tam, jak słudze pańskiemu przystało. Najśliczniej. Posadzono mnie u stołu przy księdzu opacie.

— Mów do rzeczy! — zawołał Kietlicz. — Książę Kaźmierz?

— Nie było go! Nie było! — odparł Mierzwa. — Wyjechał i nikt nie wie, kiedy powróci.

Wyruszył na łowy, między nami mówiąc, wszyscy wiedzą na jakie łowy. W lesie ma gdzieś

zwierzę z długimi kosami i białym liczkim. Jak na te łowy pojedzie, gnaj wiatr w polu! Nie powraca rychło! Gdym przybył, już go nie zastałem.

— Nie czekaliście?

— Czekać? Dwa tygodnie?! — zawołał Mierzwa, rękami ruchy czyniąc osobliwe. —

Ludzie wiarogodni zapewniali mnie, że gdy wyruszy w te lasy, na tego dwunożnego zwierza, czasem go dni kilkanaście nie ma. Com miał robić?

Tu zniżył głos i uśmiechając się a nie zważając, że się Kietlicz burzył gniewem, ciągnął

dalej:

— Książę poniekąd jest uniewinniony; Rusinka, z którą go ożenili, niepowabna i niewesoła, choć cnót wielkich pani. Ludzie — ludźmil

Kietlicz się miotał, ochota go brała precz za drzwi wymieść nieszczęsnego posła.

— Gadajże — zawołał — coście na zamku widzieli?! Gotuje się tam co?

— Tak dalece nic nie słyszałem, oprócz uczonych i mądrych rozpraw, w których udział

brałem, wstydu księciu mojemu nie uczyniwszy — mówił Mierzwa śmiejąc się. — Opat Lucjusz, a choćby i scholastyk Lambertus — uczeni mężowie, ale w jurisprudencji biegli nie są, co im dowiodłem. Ile razy się puścili w pandekty, dekretalia, zakony, pobiłem ich na głowę zawsze.

Chodzili jak po gołoledzi, nie wytrzymali ze mną.

Z dumą to rozpowiadał Mierzwa, Kietlicz spluwał.

— Widzieliście kogo więcej na zamku? — pytał.

— Przemykających się różnych dużo — rzekł Mierzwa — podejrzanych, bardzo

podejrzanych. Oprócz tego zwykły dwór, Jaksę z Miechowa, Goworka, Wichfrieda. Ruch w Sandomirzu wielki, ale co to znaczy, gdy księcia nie ma.

— Nagliliście, aby tu przybywał?

— Toć było poselstwo moje — zawołał niemal urażony podsędzia — jakże bym ja nie

spełnił misji? Sam bym się naówczas osądził nie tylko na grzywny, ale na chleb i wodą! Prosiłem o naglenie nie tylko Jaksy, nie tylko Goworka, opata i wszystkich, wiążąc ich uroczystymi obietnicami, ale zdałem to na księżną. Przyrzekła mi Pani Miłościwa małżonka wyprawić.

Kietlicz, nie chcąc już słuchać więcej, pogardliwie dał znak Mierzwie, by się oddalił.

Trochę jeszcze napojem oszołomiony podsędzia, chętnie by był dłużej opowiadał, mając ochotę żywo i dowcipnie się rozgadać, ale mu słuchacza zabrakło. Kietlicz pobiegł do księcia.

Nie pozostało Mierzwie nic, chyba do dworku swojego na podzamczu powracać, w którym

wątpliwych ślubów żona, kilka młodych służebnic patriarchalnym obyczajem przyjętych i

krzykliwe dzieci nań oczekiwały, ale na łono tego szczęścia domowego Mierzwa nie miał ochoty się udać. Dokuczyło mu już ono. Bardzo więc na rękę mu było, gdy w podwórzu spotkał skarbnego

Juchima, z którym go czuła przyjaźń łączyła, idącego powolnym krokiem z zasepioną i zafrasowaną twarzą.

Mierzwa z Juchimem żyli w najściślejszych stosunkach, chociaż skarbny gardził

człowiekiem grosza przy duszy nie umiejącym utrzymać i życia tylko używającego bez miary. Ale potrzebowali się wzajemnie. Mierzwa napędził wlokącego się powoli Żyda i uderzył go po ramieniu, wesoło witając. Usposobienie to Juchimowi wydało się dziwnym, smutną twarz zwrócił ku niemu.

— No, widzicie — wołał sędzia — znowu jestem na miejscu i sądy się rozpoczną! Dużo spraw zalegać musi.

Juchim ruszył ramionami, popatrzył nań z politowaniem, nachylił mu się do ucha i szepnął:

— Czy ty uszów ni oczu nie masz, człowiecze? Czy ty nie widzisz, co tu się dzieje?

Mówił poruszając się coraz mocniej.

— Oni nas i siebie zgubią! To głupi goj ten Kietlicz! Oni powinni byli zawczasu wszystkich pobrać, dali się im poro- złażyć. Gwałt! Co to za pilność?! Z więzienia u nich uciekają, a kto chce ino, sprzed nosa uchodzi. My tu wszyscy niepewni.

— Co ty pleciesz?! Co pleciesz?! — zawołał Mierzwa nastraszone. — Co ci się śni, ty stary?!

Tak mówiąc, wyszli za wrota zamkowe. Juchim szedł cały drżący z gniewu i strachu.

— Ty bo oczów nie masz! — wołał przerywanym głosem. — Nie mnie, tobie się śni, że co wczoraj było, będzie zawsze! Ty tego nie widzisz, że nam ziemia się pęka pod nogami. A a! Gdy tak pójdzie, nie stanie nas tu wszystkich prędko.

Mierzwa otrzeźwił się i poczynął chmurnieć.

— Co ty gadasz? Cóż się tu stało beze mnie? — spytał.

— Pójdźże za miasto — mówił Żyd miotając się gwałtownie coraz. — Miasto puste,

biskupa nie ma, wojewody nie ma. Wiesz gdzie oni są? Wszyscy poszli się sprzysięgać na księcia i Kietlicza. Wszyscy! — ciągnął Juchim unosząc się. — Ha, a co będzie z nami?! Księcia wypędzą!

Co z nami, he? Nas powieszają! Tyś sądził, ty męczył, karał, ja dusił za grzywny. Ha, oni nas teraz



zechcą sądzić i dusić! A co my winni? Co my winni?

Mierzwa już był odzyskał zupełną przytomność, czuł, że rozumny Juchim nie trwożył się darmo.

— Słuchaj, Juchim — odparł kiwając głową — czego się ty boisz? Tobie nic nie może być, bo ty masz pieniądze, a mnie? Mnie nie może nic być, bo ja mam rozum — uderzył się palcem w czoło — albo ja nie mogę służyć innemu, jak służyłem temu?

— Ja mam pieniądze?! — podchwycił, przyskakując do Mierzwy, Juchim z gniewem okrutnym, tak że podsędzia się cofnął. — Ty śmiesz gadać, że ja mam pieniądze, ty! Kto tobie powiedział, że ja mam pieniądze?! Ty potwarco jakiś!

I począł potrząsać suknią swą brudną i wyszarzaną.

— Jakże ja mam pieniądze? Skąd ja mam je mieć? Ja mam ten łachman, co na grzbiecie, więcej nic. Co ty będziesz gadał, że ja mam pieniądze! Czy to pieniądze moje! Ja ma chleb nie będę miał. Mierzwa głowę to podnosił, to spuszczał.

— Słuchaj, Juchim — rzekł — po co ty to mnie gadasz?

— A na co mówisz, że ja mam pieniądze?! — krzyknął Żyd. — Ja jestem żebrak, ja nie mam nic, nic!

— No, jak tak — dodał Mierzwa — to cię powiesić mogą. Szli dalej, Juchim z głową spuszczoną, Mierzwa gładząc brodę. Tuż pod zamkiem był dworek Juchima, chata oparkaniona tak wysoko, że zza tynu dachu jej prawie nie było widać. Wrota ogromne, ciężkie, kute, prowadziły do wnętrza. Mierzwa, do swego domu zawczasu nie chcąc powracać, towarzyszył Juchimowi, choć ten go nie bardzo zapraszał. Stanęli u wrót.

— Słuchaj, ty biedny nędzarzu Juchimie — odezwał się podsędzia — mnie w gardle od drogi zaschło, ty masz i wino, i miód, ja bym się napił i pogadalibyśmy o naszych biedach. Ręka rękę myje.

Tak się napałszy w gościnę, Mierzwa przez otwierającą się furtkę wszedł w podwórko skarbnego, nad które coś uboższego, brudniejszego, bardziej opuszczonego widzieć było trudno. Chata pokryta słomą, choć spora, najgorszej wieśniaczej na pozór równała.

Juchim szedł przodem, nie bardzo zważając na ciągnącego za nim Mierzwę; zajęty tak był

obawą o los własny, iż go więcej nic nie obchodziło. Weszli do izby ciemnej i smutnej. Juchim u uszaka drzwi dotknął ręką jakiegoś znaku, rękę pocałował i nawijającemu się tuż chłopcu, odzianemu lichu, coś szepnął. Sam zaś, czapki nie zdejmując, począł ręce myć i ocierać o ręcznik przy drzwiach na kołku wiszący. Mruczał jakąś modlitwę. Mierzwa siadł i oparł się na stole, jakby mu się na drzemanie zbierało.

— Słuchaj Juchim — począł po wypoczynku krótkim — mnie to, coś powiedział, ani się w głowie pomieścić, ani wyjść chce z głowy? He? Myślicie, że już tak źle z nami?

Stanął przed nim skarbnym, ręce za pas wkładając.

— Źle! Co to źle?! Najgorzej! — zawołał. — Trapem już słyhać! Myślałem, że Kietlicz rozumny człowiek, a ksiązę mądry pan, oni wszyscy ślepi, oni głupi są! Oni myśleli, że im wszystko wolno, nie pamiętali o tym, że kto chce bić, musi mieć dwu do trzymania. Gdzie teraz ci, co będą trzymali? Kto im będzie trzymał? Ci, co mieli trzymać, puciekali!

Żyd się żywo przechadzać począł, Mierzwa słuchał i czekał. Nie doczekawszy się rzekł:

— Wy myślicie, że nam co zrobią? Sług za to nie wieszają, gdy panowie grzeszą! Ja mam rozum, to się wyłgam, no a ja taki swoje, ty masz pieniądze, to się wykupisz!

Juchim, po raz drugi usłyszawszy o pieniądzech, przyskoczył doń z zaciśnionymi pięściami.

— Co ty mi będziesz o pieniądzech gadał — krzyknął — ty, ty!

— A! Między nami! — rozśmiał się Mierzwa. — Ja tego na rynku wywoływać nie będę!

Juchimowi oczy świeciły strasznie.

— Ja wyjdę o kiju, z torbą! Ja będę żebrakiem! — wołał jęcząc.

Uspokoił się jednak po trosze, gdy podsędzia dał mu znak ręką, iż więcej mówić o tym nie będzie. Nierychło skarbnym zbliżył się do siedzącego.

— No co — spytał — sprowadzą oni tu Kaźmierza? Mierzwa się strząśł.

— Co ci w głowie? — rzekł. — Tak dalece nie zaszło jeszcze. Nasz ksiązę ma siłę.

Juchim ruszył ramionami.

— Jaką? gdzie? — spytał. — Zięciów swoich? Zięciowie mają sprawy swoje, z nich się żaden nie ruszy. A tu, jaka siła? — Sparł się na stole nad siedzącym.

— A ksiązę Kaźmierz co to jest za pan?

— Dobry pan — odpowiedział Mierzwa — tak dobry, iż nie zechce bratu szkodzić. To nie może być!

— Nie może? Więc innego wybiorą i posadzą — mówił Juchim — to u nich już postanowione. A kogo?

Mierzwa zdawał się nie wiedzieć, co odpowiadać, ruszył ramionami. W tej chwili stara kobieta w rodzaju zawoju na głowie, z twarzą pomarszczoną, milcząca, przyniosła dzbanuszek i kubki, spojrzała z pogardą na Mierzwą, nie skinęła mu nawet głową, postawiła przed nim napój i szybko się oddaliła. Rzucił się podsędzia na ożywiające przyjęcie, nalał kubek i rozkoszując się, cały zatopiony w smakowaniu, pił a cmokał.

— Ja tobie powtarzam — mówił Juchim, zbliżając się do niego znowu — nam trzeba myśleć o sobie, niedługo już ich panowania.

Mierzwie te przepowiednie mniej od napoju smakowały, krzywił się.

— Ty Juchim — rzekł — nadto daleko chcesz patrzeć. To się na nic nie zdało. A chcesz koniecznie wiedzieć, co my robić mamy? A! Takich ludzi, jak my, zawsze im będzie trzeba, temu czy innym! Ja będę im sądził, jak zechcą! Na ścięcie, to na ścięcie; na całowanie, to na całowanie.

Gorzej z tobą, panie skarbnny!

Juchim się znowu oburzył:

— Dlaczego ze mną gorzej być ma?! A kto im będzie pieniądze bił i zbierał? A kto u nich zadzierzawi mennicę? Kto potrafi co ja? Ja jestem ubogi, ale około cudzych pieniędzy chodzić umiem. U mnie one nie przepadają, a mnożą się. Tylko ja bym chciał wiedzieć, co to jest ten Kaźmierz?

Mierzwa, przynaglony, ruszył ramionami.

— Co to jest Kaźmierz?! — zawołał. — To jest taki ksiązę, co o pieniądze nie dba, skarbów zbierać nie będzie, przyjdzie biskupom ręce całować, a ziemian karmić i poić. Będzie w kościele śpiewał i...

Mierzwa, nie dokończywszy, ruchem jakimś rąk pokazał, że skarbnny się po nim niewiele spodziewać może. Juchim w milczeniu zbierał jego słowa.

— Aa! — jęknął. — Co to będzie z nami?! Co będzie z nami?!

Mierzwa, już znowu podpiwszy, był dobrej myśli.

— E, daremna troska cię gryzie — rzekł — co ma być? My pierwsi pójdziemy się nowemu panu pokłonić, głowy nam nie zdejmie. Dobry pan!

Żyd westchnął.

— Dobry pan — mruknął — z dobrymi panami nie ma dobrej roboty.

Wytrzymawszy tak skarbego, z miną rozjaśnioną i tryumfującą powstał z siedzenia podsędzia i zbliżył się do ucha jego.

— Ty jesteś — odezwał się rozweselony — wcale niegłupi człek, ale ty patrzysz za daleko, a nie widzisz nic. Wypędzą Mieszka? Myślisz, że spokojnie wytrwa, że nie będzie próbował powracać? Zamiast jednego, któremu służymy, będziemy mieli dwu, którym będziemy potrzebni.

Albo to od obu brać i dwom służyć nie można, kto ma rozum?

Chrząknął Mierzwa i popił.

Ze wszystkiego, co dotąd mówił, ostatnie się widać najrozumniejszym wydało Juchimowi: głowę skłonił i umilkł.

Poszanował w Mierzwie człowieka wedle myśli i serca swojego, nie mówiąc nic, kubek mu nalał, i spokojniejszy po izbie zaczął się przechadzać.

## VI

W cichej dolinie, otoczonej lesistymi wzgórzami, u brzegów wijącej się zielonymi łąkami, pośród wierzb i olch Pilicy, maleńka osada, z kilkunastu chat złożona, kryła się zasłonięta od wielkich gościńców i od ludniejszych okolic. Zwano ją Sulejowem.

W chwili gdy się nasza powieść poczyna, w zakątku tym spokojnym widać było na

wznioślejszym nieco brzegu rzeki szeroką dosyć przestrzeń, zajęta jakby naprędce pokleconymi, drewnianymi budowlami, wśród których gdzieniegdzie ściany rozpoczętych zaledwie murów się wznosiły. Z dała było to coś podobnego do zamczyska, a w istocie niedawno założony klasztor mnichów białych, dzieci Bernarda świętego, których od pierwszego ich gniazda cystersami lub od założyciela bernardynami zwano.

Potężny duch reformatora, ojca zakonu, jednego z najdzielniejszych mężów swojego wieku,

zdał się w nową regułę przelewać, i za życia świętego Bernarda zakon wzrósł do przeszło półtorasta klasztorów. Wszędzie, gdziekolwiek chciano wiarę szczepić i pobożność rozkrzewiać, zakładano cystersów domy. Sława benedyktynów zaćmioną została przez wyszła z łona ich nową milicję

Chrystusową. Na chorągwi jej stała znowu, jak za czasów Benedykta świętego, „Praca!”

Gdy benedyktyni już się teraz tylko o mądrość kusili, mnisi biali chcieli dać światu przykład wstrzeźliwości, pokory i pracy. Pomiędzy starszymi i młodszymi powstało współza-wodnictwo. Starsi bracia patrzali z pewną trwogą na rozrastające się z nadzwyczajną szybkością młode pokolenie białych mnichów.

Benedyktynom zarzucano już życie rozpieszczone, a porównywając ich do pierwszych

pustelników Antoniusza i Hilarego, cystersi wołali: „Tamtym starczyła licha skórka zwierzęca, aby tylko nagość ich ciała okryła i od srogości zimna zabezpieczała, a wy nie tak się odziewacie !

Tamci, głodni, pracą rąk własnych, z motyką i widłami szukali dla siebie pożywienia; wy czy tak czynicie?! Tamci niedostatek cierpieli; wy opływacie we zbytkach! Tamtych prześladowano i trwożono; wy wiedziecie życie wygodne i dostatnie! Tamci bładzili po puszczach; wy siedzicie wśród swoich na wywyższonych siedzeniach!”

*Charta chaitatis* nowa reguła nowego zakonu, który już był wprowadzany do Polski, surową była i nieubłaganą. Wszystkie klasztory świętego Bernarda łączyły się w jedną ogromną rodzinę i wiodły ród swój, jak dzieci od matki, od zgromadzeń, z których powstały, wiążąc się z sobą nieustannym czuwaniem wzajemnym.

Jak wszędzie, tak w Sulejowie, zakładający się klasztor, przedstawiał już zarys wszystkim innym podobny, z jednych części złożony. Nie wolno było zmieniać nic nigdzie w normalnym

kształcie cysterskiego klasztoru.

Wprzódym do Sulejowa mnichów sprowadzono, nim tę dwudziestą trzecią córę wydał na

świat Morimond (jeden z głównych cysterskich klasztorów), byli już zakonnicy tej reguły w Lędzie i w Oliwie. Sulejów dostał biblijne nazwanie: Siloa, zwano go też Silva, bo wśród lasów był

położony.

Jak benedyktyni zwykle się mieścili na górach, tak pokorni cystersi chętniej zamieszkiwali doliny, i od dolin (*vallis*) najczęściej zwali swe schronienia. Sulejów właśnie dla nich przypadła

dobrze ze swą kotliną lasami osłoniętą. Podług praw zakonu, wprzódym, nim mnisi tu wciągnęli na dolinę Siloa, już schronienie dla nich tymczasowe było przygotowane. Wedle wskazówek

przyszłego opata wystawiono naprzód kapliczkę drewnianą, izbę jadalną, sypialnię, schronienie dla gości i celę dla odźwiernego.

Kościół się dopiero zaczął budować, gdy pierwsi dwunastu apostołowie weszli na poświęconą siedzibę swoją. Właśnie niedawno opat Lucjusz z towarzyszami zajął był ubogie jeszcze budynki, na których miejscu miał później stanąć kościół i klasztor wspinały, osobny dwór opata, folwarki i ogrody.

Całym wyposażeniem, jakie z sobą od matki klasztoru przynosili wszędzie pielgrzymi, było kilka ksiąg niezbędnych, bez których się obejść nie mogli: Psalterz, Hymny, *Collectaneum*, Antyfonarz, Graduał, Mszał i ta *Charta charitatis*, Karta miłosierdzia, która prawo w sobie zamykała.

Ubogo wyglądał Sulejów jeszcze, chociaż obok tymczasowych, drewnianych szop, w których mieścili się mnisi, już zwawo rozpoczynała się budowa kościoła pod ich dozorem, wedle ich formy. Mury już z ziemi wyrastały. Około nich roiła się gromadka robotnika i białe widać było suknie przewodniczących im mnichów.

Drogą wiodącą ku temu nowemu klasztorowi jechała pięknego poranka wiosennego mała garstka rycersko a myśliwsko odzianych ludzi. Przodem urodziwy mężczyzna, lat średnich, z twarzą piękną a smętną, z długimi włosami, puszczoneymi na ramiona. Za nim, z brzydką a poczciwą twarzą, ogorzały, chudy, jechał pachoł, oczyma ścigając każdy ruch pana, dalej z kilku łowczymi psów było kilka.

Gromadka ta, wyjechawszy z lasu, zatrzymała się nieco. Jadący przodem stanął, stanęli i inni. Zdawało się, że chciał się przypatrzeć okolicy. Oczy jego skierowały się ku klasztorowi bielejącemu w dali poczętymi mury. Niepilno mu było, stał długo i patrzył. A gdy potem, westchnąwszy, koniowi dał znak, aby szedł dalej, nie popędził go żywiej, owszem chód jego hamował, jakby się spieszyć nie chciał. Rozglądał się po okolicy, dumał.

Był to, jak się domyśleć łatwo, ksiązę Kaźmierz, spłoszony z Gaju przez ziemian, którzy go nocą najechali. Jagna też musiała powracać do starego ojca, a ksiązę, lękając się do Sandomirza jechać, gdzie nań ziemianie krakowscy czekali, od których natrętnych nalegań się spodziewał, wołał zawrócić do cichej tej ustroni w dolinę Siloa, w której jego staraniem słało się gniazdo modlitwy, zapalało ognisko światła.

Na to rąk swoich dzieło ksiązę spoglądał rozrzewnionym okiem, z myślą jakąś tęskną, jakby zazdrościł tym, co tu mieli zażywać pokoju przy pracy, zrzekając się woli własnej, aby mieć spokojne sumienie. Może i on byłby się teraz zrzekł tej woli, która często wyrwała się rozumowi, obłąkiwała na bezdrożach, aby okupić tą ofiarą pokój duszy. Życie, jakiego pragnął, z tym, które prowadził, nie godziły się. Świat ciągnął słabego pana w swe objęcia, gdy dusza wyrwała się ku czystym sferom światłości i ciszy.

Przebył już wiele, odcierpiał niemało, a nie wiedział, co go czekało jeszcze. W Sandomirzu jeżeli nieszczęśliwe życie było znośne, w Krakowie czekała niewola złota, niepokój, niepewność, wrzawa. Miłość ziemian pchała go tam, skąd niechęć może wkrótce spychać miała. Wstręt też czuł

do rzucania się na nowe, nieobliczone losy.

Jechał, w myśli tak przebijając wszystko przeszłe, aż do ostatniej godziny, przebytej w

Gaju, przy tej szalonej dziewczynie, od której nie mógł się oderwać. Sto razy postanawiał zostać wiernym żonie, spełnić przyrzeczenia duchownym dane, potem przychodziła chwila namiętności, żebraczka posłanka zjawiała się pod oknem, Kaźmierz nie miał siły z niczym ją odprawić i jechał.

A wracając potem, gryzł się w sumieniu własnym, wstydził sam przed sobą, pokutował na duchu.

Chciał się czulej przywiązać do żony, którą mu narzuciono, a nie mógł się zwyciężyć.

Pokorna, dobra towarzyszka jego namiętnej miłości w nim obudzić nie umiała. Szanował ją, a dzika żądza jakaś, piastowska krew ciągnęła go ku drugim niewiastom. Jagna była najukochańszą, ale może nie jedyną. Nowe liczko, nowe słowo, młodość a krasa świeża jakimiś obietnicami nowego szczęścia porywały go ku sobie. Szukając szczęścia po bezdrożach, w istocie był nieszczęśliwy.

Gdy tak jechał wzdychając, Smok, w którego piersi odbijało się każde pańskie westchnienie, tłumił w sobie do wtórowania mu ochotę. Żał mu było tego pana. Czuł, że był nieszczęśliwym, nie mogąc odgadnąć dlaczego.

— Czego bo mu braknie? — mówił w duchu. — Ma, co dusza zapragnąć może, a smutny

tak, jakby z głodu marł, odziać się nie miał w co i biedniejszy był ode mnie. Żonka młoda, no, i ten wichur, co za nim lata, i do którego on ucieka, i panowanie, i pokłony. Czego mu brak?

Smok ruszał ramionami. Rad by się był tajemnicy dowiedział, ale zapytać o nią pana nigdy

by się nie ważył, A dałby był wiele, żeby odgadnąć, co mu tak ciążyło.

Kaźmierz jechał powoli zadumany, rozpatrywał się po okolicy, myślał, jak się tu

podzwignie kościół, jak tych dwunastu pierwszych wzrośnie do kopy i jak, tej liczby doszedłszy, klasztor jego nowych dwunastu krzewicieli wyśle stąd na jakąś pustą dolinę, aby się rozległa chwała bożą.

W okolicy życia jeszcze było mało, osada uboga, trochę ludzi kręciło się tam około budowy, kilku pastuszków około trzód na łąkach stało, na polkach u wzgórzy widać było białe koszule wieśniaków, którzy coś przy roli robili. Spokój wielki błogosławiony a uroczysty rozlany był na tym krajobrazie nieszerokim, tęsknym, miłym, dzikim trochę.

Książę jechał nie spiesząc. Uciekał tu, gdzie go pewno nikt nie miał szukać, gdzie się go nawet domyślać nie mogli. Chciał tu z mnichami pomodlić się, rozmówić, popatrzeć, jak rosło *claustmm*, a

zapomnieć, że go z Sandomirza wypędzono. Spodziewał się tu czas jakiś przebyć ukrytym, dopóki by pierwsza gorączka tych, co go na tron powoływali, nie przeszła. Żał mu tylko było, że opata Lucjusza, którego w Sandomirzu zostawił, nie znajdzie tutaj, pocieszał się przeorem, który go zastępował.

W tym myślach powoli zbliżył się ze swoimi do furty klasztornej, która, jak wszystko tu, tymczasową była. U drewnianych wrót, zbitych z desek, na koziej nóżce wisiał prosty sznur od dzwonka, lecz nim go Smok pociągnął, przez okienko wyjrzał furtian siedzący tam. dzień cały i poznawszy księcia, bo go tu znali wszyscy, pospieszył otwierać, dając znać przez, braciszka do klasztoru, jak im wielki gość przybywał.

Gdy Kaźmierz, z konia zsiadłszy, wchodził, wedle zwyczaju cystersów furtian przyklęknął do powitania.

— Mój ojciec — rzekł książe do niego — o przybyciu moim nie głoście, nie z urzędu opiekuna dla oglądania, ale schronić się do was przyjechałem.

W klasztorze tymczasem wszystko się już poruszyło i białe habity spieszyły na powitanie założyciela swojego. Jakież było zdziwienie księcia, gdy przodem idącego ujrzał ojca Lucjusza, opata, o którym sądził, że jeszcze w Sandomirzu przebywa. Za nim szli ojciec przeor, kantor, kustosz - i cała starszyzna niewielkiej gromadki, która jak zawsze w początkach, z osób się tylko dwunastu składała. Dwóch młodych Polaków, żaczków z Krakowa, do nowicjatu przyjętych, służyli Francuzom za tłumaczy i pomocników.

Wszystko tu jeszcze, jak powiedzieliśmy, ubogo i tymczasowo wyglądało, szczególnie klasztor, sam drewniany, sklecony naprędce, aby mnisi przybyć mogli, ale już, wedle prawideł zakonu, mający w sobie to wszystko, co każde klastrum cysterskie składać musiało.

Opat, witając księcia, uśmiechnął się wesoło i wnet do osobnego dworku swojego poprowadził; opactwo bowiem stało zawsze oddzielnie od zabudowań klasztornych i było niejako wrotami, przez które zgromadzenie ze światem zewnętrznym się łączyło.

Cały plac, który zająć miały obszerne budowy, był jeszcze pełen nawiezonego drzewa, kamieni, cegły, wapna, materiału najrozmaitszego, około którego krzątali się cieśle, murarze, kamieniarze i ich pomocnicy. Z ziemi gdzieniegdzie wyglądały wyrastające fundamenta, zarysowując przyszłe budowy i podniosłejsze już ścian kawałki. Opodal widać było opasane zagrodami z drzewa i płotów ogrody klasztorne, wirydarze przyszłe, ogród opata, folwarki i stajnie.



To, co dotąd, ledwie obietnicą przyszłości nazywać się mogło.

Część zakonników była przy robotnikach w ogrodzie, część około klasztoru, a wszyscy, mimo niewygód i nieładu, wśród którego dla przyszłości pracować musieli, twarze mieli uśmiechnięte. Nie przerażało ich, że tu wszystko stworzyć było potrzeba.

— Ojcie Lucjuszu — odezwał się książę — jakże i czym się to dzieje, że ja tak szczęśliwie was tu znajduję? Sądziłem, że poczekacie tam na mnie, dokąd ja teraz jechać nie mam ochoty.

— Niepokój miałem o gniazdo nasze — odpowiedział opat — nie mogłem tam bezczynny siedzieć dłużej, a w Sandomirzu nie czułem się potrzebnym. Bóg dobry sprawił, że ja tu sam Waszą Miłość powitać i przyjmować mogę. Lecz jakże nas ta łaska spotkała, że książę zamierzyłeś odwiedzić Silwę, mnie nawet o tym nie wspomniawszy?

— Bom, wyjeżdżając z Sandomirza, nie wiedział wcale, że się tu znajdę — rzekł Kazmierz smutnie. — Niepokój i mnie zmusił u was szukać trochę pokoju. Chciałbym tu spocząć i przypatrzeć się życiu waszemu.

— A! — odparł Lucjusz. — Jeszcze ono dziś nie jest takie, jakim by być powinno wedle ścisłej reguły. Staramy się jej nie uchybić, aleśmy na obozowisku i obcy, a nie oswojeni z krajem. Książę nie śmiał, choć pragnął go o Sandomirz pytać, gdy opat sam, wprowadzając go do swojego dworku z drzewa pobudowanego, ale przystojnie przybranego wewnątrz i czystego, odezwał się:

— W Sandomirzu ludzi tak dużo zostawiłem, że tam się nie czułem potrzebnym. Wrota i drzwi przez cały dzień stoją otworem, a Goworek nie może spocząć, takie tłumy ziemian płyną ciągle z Krakowa.

Książę spuścił oczy zachmurzony.

— Wołają Waszą Miłość na stolicę — dodał Lucjusz.

I na to Kazmierz nie odpowiedział. Oczy miał w ziemię wlepione i opat łatwo mógł poznać, iż wiadomość ta niemiłą mu była. Nie pytał nawet o osoby ani chciał wiedzieć, którzy tam byli.

Lucjusz zamilkł, postrzegłszy to wrażenie na księciu. Nierychło Kazmierz się odezwał do niego:

— Otóż masz, ojczcie mój, tłumaczenie dlaczego wolałem tu zbiec, aby w zaciszu przetrwać

burzę. Burza to jest i mam nadzieję, że jak nawałnica przeminie. Umysły ludzi gorących uniosły się, serca podrażniły — uspokoją się, da Bóg. Jam do wielkiego państwa ani stworzon, ani z prawa powołany.

— Pokora chrześcijańska mówi z Was, Miłościwy Panie — odezwał się opat — ludzie

sądzą inaczej. Nie wiem, czy się zdołacie oprzeć naleganiu i czy się mu godzi opierać. Wszyscy pasterze nasi wołają do Was: „Umiłuj się nad nami”!

— A któż zmiłuje się nade mną? — przerwał Kazmierz. — Nie tylko sumienie się przeciwi,

ale przykład starszej braci, zdolniejszej ode mnie, trwoży. Jeżeli Władysław, Bolko, Mieszek nie zdołali ich zaspokoić, czyż ja to potrafię? Nie, mój ojczcie, nie mówmy nawet o tym.

Wnet, zmieniając rozmowę, książę zażądał, aby nie jako gość, ale jako jeden z braci

podzielał życie zakonne. Prosił o to tak mocno, iż opat przystać musiał. Na to tylko zgodzić się nie chciał, aby książę razem z innymi sypialnię dzielił. U cystersów bowiem wszystko wspólnym było i nikt własnej celi nie miał.

Ponieważ już było po tercji i po mszy świętej, a czas obiadu następował, książę zaś z

opatem na osobności nie chciał zasiąść do stołu, pragnąc się do życia klasztornego stosować, ojciec Lucjusz poprowadził go do skromnej szopy, w której jadano.

Maleńka kazalnica z desek zbita, na boku. stojąca, przeznaczona była dla lektora,

czytającego w czasie jedzenia. Rozpoczęto wedle zwyczaju od odmówienia psalmu *Miseieie mei, Deus* i błogosławieństwa. Na stole podane były dwie potrawy, wino z wodą mieszane i chleb czarny. Pożywano w milczeniu. Książę, z opatem usiadłszy do stołu, nic innego nad to, co wszyscy jedli, mieć nie chciał.

Wkrótce też skończył się krótki obiad, czytaniem reguły i wspomnieniem zmarłych w

zakonie macierzystym zamknięty. Tygodniowi dozorca poszli z zakonnikami do pracy, a

najważniejsza tu teraz osoba, budowniczy, *magister opeis*, który robotami około kościoła zawiadował, do swych cieślów i murarzy pospieszył.

Dwór księcia Kazmierza jadł osobno i daleko dostatniej nad niego był przyjęty, bo w

klasztorze dla obcych na niczym nie zbywało.

Po jedzeniu opat, który znał upodobanie księcia, a pragnął go czymś rozerwać, skinął na

kantora, pod którego kluczem było *aimarium* (biblioteka) i kalendarz klasztorny, aby komorę otworzył, w której przywiezione z Francji skarby się znajdowały. Morimundska matka, wiedząc o tym, co w Polsce najpożądańszym było, wyposażyła córkę nie tylko w antyfonarze, hymny i

graduwały wspaniałe, ale dodała kilka rękopisów drogie, które książę z ciekawością oglądał i tłumaczyć sobie kazał. Znalazły się tam poezje łacińskie chrześcijańskich śpiewaków pierwszych wieków, a nawet trochę świeckich rzeczy, bo i listy Seneki, i ułamki Cycerona, i *Historie rzymskie*, i coś o Aleksandrze Wielkim, i różne świętych legendy. Niektóre z tych drogocennych pergaminów malowane były i złocone tak cudownie, iż podziw a zachwycenie obudzały.

Książę właśnie był nimi zajęty, tak iż o wszystkim w świecie zapomniał na chwilę, ciesząc się jak dziecią, że skarby te do kraju przyniesiono, gdy natrętne pukanie do drzwi słyszeć się dało. Z

niecierpliwością książę ku nim zwrócił oczy, a opat sam poszedł zobaczyć, kto się tu dobijać ośmielił. Przez z lekka otwarte drzwi Kaźmierz dostrzegł twarz dobrze mu znaną, wcale tu

niespodziewaną: drgnął cały.

W przybyłym łatwo poznać było można cudzoziemca; młody był, przystojny bardzo,

wzrostu słusznego, suknia i zbroja Niemca raczej niż Polaka cechowały. Twarz dosyć miła,

łagodnego wyrazu, oczy niebieskie, uśmiech swobodny i niewymuszony usposabiały dobrze dla przybysza.

Opat przyjął go jak znajomego i poufale szeptać coś z nim zaczął, gdy książę, którego

odpadła już ochota do oglądania armarium, zaniepokojony, pośpieszył także do stojącego w progu.

Żywo natarł na niego, twarz okazując zdziwioną, zafrasowaną, ale nie gniewną.

— Wichfried — zawołał — ty tu?!

— Tak jest, Miłościwy Książę — odparł uśmiechając się przybyły — poszcęściło mi się

Was znaleźć.

— Potrzebowałeś szukać tak pilno? — zapytał książę trochę niespokojnie.

Opat, widząc, że się na poufałą rozmowę zanosi, wskazał na drzwi sąsiedniej sali kapituły, wspaniale nazwanej tej imieniem przedwcześnie, będącej w istocie izbą pustą, w której sprzętu żadnego nie było, a jak teraz i ludzi też. Wedle reguły schodzili się tam w pewnych godzinach zakonnicy.

U drzwi jej ojciec Lucjusz wytłumaczył się zajęciem pilnym i odszedł, przybyły gość sam z księciem pozostał. Z obejścia się ich z sobą widać było zażyłość dawną i wielką poufałość.

Wichfried, o którymśmy już wspominali, jako o przyjacielu księcia, niegdyś towarzysz

jego, gdy w Niemczech jako zakładnik przebywał, był wnukiem starego Lanfrieda, który u siebie ze szczególną gościnnością młodego sierotę przyjmował, opiekował się nim, a gdy mu na czym

zbywało, nie żałował swojej majątności. Pamiętny tych sług, Kaźmierz później wziął do siebie jego wnuka, którego wyposażyć chciał i w Polsce osiedlić.

Stosunki ścisłe dawno ich łączyły, gdy Kaźmierz był wygnańcem opuszczonym; wpłynęły

one na późniejszą obu zażyłość. Mieli z sobą niegdyś braterstwo rycerskie, żyli jak równi i druhowie, pozostała i teraz przyjaźń, na którą Wichfried zasługiwał, ale płochy człek nie zawsze na dobre jej użyć umiał. Był to powiernik i pomocnik księcia we wszystkich jego tajemnych

miłostkach, od których nie odciągał, ale raczej ośmielał Kaźmierza. Wichfried lubił życie, pojmował je jako zabawę i rad był ze wszystkiego korzystać, co je mogło uprzyjemnić. Z

Kaźmierzem byli niemal jak bracia, choć ksiązę, poważniejszego nadeń umysłu, czasem go za płochym i lekkomyślnym znajdował.

Gdy się w kapitularku znaleźli sami, ksiązę, ujmując go za rękę, zapytał powtórnie:

— Wichfriedzie, jakżeś ty mnie tu mógł znaleźć, dlaczegóż mnie szukał?

— Jak znalazłem, doprawdy sam nie wiem — odparł śmiejąc się Niemiec — alem szukał

pilno, bo mi potrzeba było widzieć was rychło i mówić z wami. Od kilku dni serce mi bije żywiej, to, com przeczuwał i czego pragnąłem, ziszcza się. Jadę z Sandomirza, pędzę raczej. Wiedziałem, domyślałem się, że jesteście w Gaju, tam już nie zastałem nikogo, śladem, węchem, domysłem, przecuciem jakimś tu się dostałem.

— Mów prawdę! — przerwał Kaźmierz. — Wskazał ci kto?

— A! Miły Panie — odparł Wichfried. — Warn bo się ukryć trudniej niż komu. Poznają

Was wszędzie i domyślają się ludzie. W istocie po drodze ten i ów dał mi wskazówkę, a raz na gościniec do Sulejowa wpadłszy, reszty się domyśliłem. Ale po co ksiązę tu zbiegłeś? Teraz! W tej chwili, gdy tam tłumy z niecierpliwością na Was czekają, wyglądają, wołają.

— A! — przerwał niecierpliwie ksiązę. — Właśnie dlatego uciekłem, że za mną gonią!

Zatrzymał się chwilę i dodał.

— Znasz mnie?

— Tak jest — odparł Wichfried — ale znając Was i kochając, boleję nad tym, że uciekacie.

Czeka Was wielka przyszłość, której się odpychać nie godzi.

Księżę poglądał po ścianach, usta ścinał.

— Ziemianie krakowscy, duchowieństwo — wszyscy wołają, błagają do Krakowa.

— Wichfried! — przerwał Kaźmierz surowiej. — Dość tego! Wiem o tym, przestań, nie dopuszczę się bezprawia! Nie chcę władzy, pragnę spokoju. Nie mogę usłuchać tych głosów, które nie są głosem miłości, ale gniewu, nie miłość ku mnie to sprawuje, ale niechęć ku bratu mojemu.

— A! — przerwał Wichfried śmiało. — Nie wchodzę w przyczyny, jakie Was ku wielkim ciągną przeznaczeniom, błogosławię Boga, który je daje. Miły Panie, spojrzycie na te ziemie Wasze wszystkie, ile Wy dla nich uczynić możecie. Co tu znaczy brat, co jeden człowiek, gdy do Was wszyscy wyciągają ręce, a Wy ich z barbarzyństwa wywieść możecie!

— Ja — odparł żywo Kaźmierz — ja?! Mylisz się! Czuję się słabym, jestem nim! Chcę dobra, ale go uczynić nie potrafię. Mieszek ma siłę i rozum; ja ich nie czuję w sobie! Nie!

Mówiąc to, zatrzęsł się cały, przystąpił do Wichfrieda, objął go, całując, po dawnemu i dodał:

— Wichfriedzie, druhu mój wierny, nie chciejże ty nieszczęścia mojego! Broń mnie, osłaniaj, ratuj! Ja tego nie chcę!

I ująwszy go pod rękę, Kaźmierz wyszedł z nim z kapitulacza przez ganki ku podwórcom.

Tu się wszystko ruszało około budowy; wesoło razem mieszały się z sobą mnisi i robotnicy.

Ciosano kamienie, rozmierzano belki, magister z pergaminem w ręku, na którym nakreślony był plan kościoła i klasztoru, chodził rozporządzając ludźmi, tłumacząc się na pół znakami, wpół połamaną mową.

Twarz księcia rozjaśniła się.

— Patrz — odezwał się do Niemca — oto najmilsze zajęcie moje! Zastależ mnie nad malowanymi ich księgami, które mi dały na czas o wszystkim złym i niedorzecznym zapomnieć! Tu serce mi żywiej bije patrząc, jak się na chwałę bożą w pustyni świat podnosi! To moje najupodobańsze dzieła!

— Tych dzieł, mając tak rozległe ziemie w ręku, będziecie mogli dokonać więcej niż teraz

— odezwał się Wichfried. — Odziedziczycie skarby, za które nakupicie ksiąg, będziecie mogli ziemiami ogromnymi uposażać klasztory, sprowadzać ludzi z całego świata. Stworzycie wręście rycerstwo karne z tych poczciwych a warchołowatych ziemian.

Smutnie uśmiechał się Kaźmierz słuchając.

— Ja? ja? — spytał — Wichfriedzie? Pochlebco, mów prawdę! Jeżeli surowy Mieszek nie zdołał ich uspokoić i zaprząć do ładu, ty myślisz, że ja to potrafię?

— No, i Ściborzanki byście się wyrzec gotowi? — zaśmiał się Niemiec.

Kaźmierz jak zawstydzony oczy spuścił.

— Ona mnie więcej może kocha niż ja ją — rzekł smutnie. — I ta będzie dla mnie straconą, przepadły moje wycieczki do Gaju!

— Dziewucha poleci za Wami — szepnął Wichfried — o to bądźcie spokojni.

— A Gedko mnie za nią wyklnie i wydzwoni z Krakowa jak wojewodę Szczepana za tę wdowę z Tęczyna.

— Szczepan stary — odparł Wichfried, usiłując rozweselić księcia — to zupełnie co innego.

Wdowa też bałamutka i w ludziach nie przebiera.

Chwilka milczenia zmieniła usposobienie księcia.

— A ty ją znasz? — spytał Wichfrieda.

— Z dalekam ją widział kędyś — rzekł Niemiec — wydała mi się powabną bardzo. Co

gorzej, że gdyby nie wzrost większy, do Ściborzanki podobna. A co gorzej — dodał — to, że za Wami pono przepada i rada by się zbliżyć.

— Cóż znowu! — ofuknął Kaźmierz.

— Naprawdę tak jest: wiedzą ludzie, niejedyn raz mi o tym mówiono — kończył Wichfried.

— Ledwie się w Krakowie zjawicie, a będziecie ją mieć! Przyleci pod opiekę Waszą, bo ją bracia prześladują i podobno grożą zamknięciem, że się nie po ich myśli prowadzi. Naprawdę nie o to im idzie, ale pono o ziemie, które ojciec jej przekazał. Niewiasta śmiała, żwawa i wesoła. Uciekając od braci, padnie Warn w ręce.

Zmarszczył się Kaźmierz.

— Dość bo już — przebąknął kwaśno.

Ale Niemiec, wpadłszy raz na ten przedmiot, odciągnąć się od niego nie dawał.

— W Krakowie nie ta jedna czeka na Was — mówił uparcie — a mieszczki krakowskie!

— Nawet nimi mnie do Krakowa nie zaciągniecie! — odparł ksiązę i zwrócił się ku pracującym.

— Patrz! — rzekł wskazując na podwórcę klasztorne —

żadnej niewiasty stopa nie przestąpi nigdy tej zagrody, zakonnicy ani ich widzą, ni słyszą o nich. Spokojni są i szczęśliwi!

Niemiec skłonił głowę.

— Nie wszystkim dano świętymi być! — rzekł z pokorą.

— Ale wszyscy się starać powinni nimi zostać — kończył ksiązę. — Ja tym ludziom w

grube sukno odzianym, poszczącym przez rok cały, śpiącym na twardych deskach, dobrowolnie trapiącym ciało, zazdroszczę!

Zwrot ten rozmowy, do którego ksiązę był zwyczajnym, nie zmieszał jego przyjaciela;

zamilkł tylko na chwilę. Szli dalej, gdy opat zbliżył się, zapraszając na chleb wieczorny do swojego dworku. Ksiązę zwracał się uparcie do refektarza wspólnego.

— My już dzisiaj jeść nie będziemy — odezwał się ojciec Lucjusz. — Dziś tylko, czcząc

przybycie dostojnego gościa, rozdaliśmy braciom nadzwyczajny podwieczorek, po kawałku chleba i sera (pitancia). Warn, Miłościwy Panie, nawykłym do innego życia, i temu rycerzowi (wskazał na Wichfrieda) głodem u nas mrzeć nie damy.

Dał się ksiązę namówić na wieczerzę dla Wichfrieda i opat ich poprowadził, gdy tymczasem

preor, zastępując go, powiódł braci do refektarza, a między robotników kazał rozdzielać napój i posiłek.

Tak się skończył dzień pierwszy pobytu w Sulejowie. Kaźmierz z Wichfriedem na noc

zostali w dworku opata. Nie zmienił postanowienia, aby pozostać dłużej w tym ustroniu,

zatrzymując przy sobie Niemca. W sąsiednie lasy mogli co dzień czynić wycieczki, co dzień o pierwszych dnia godzinach słuchać rannej mszy w drewnianej kapliczce, przypatrywać się rosnącej

budowie, obyczajom, karności mnichów, a na ostatek i z kantorem przeziarać rękopisma klasztorne.

Wichfried się tym tak bardzo może nie zabawiał, ale książę Kaźmierz zapominał o tym, co mu zagrażało, i czuł się niemal szczęśliwy ciszą i pokojem, jakich zażywał.

## VII

Na zamku w Sandomirzu od wieczora tego, gdy Kaźmierz po rozmowie z Jaksą ujechać w

lasy postanowił, panował w istocie ruch i niepokój wielki. Nie trwożono się tak bardzo nagłym zniknięciem księcia ani tym, że dłużej niż zwykle bawił na mniemanych łowach. Dwór i bliżsi wtajemniczeni byli nawykli do wycieczek podobnych, księżna nawet cierpliwie je znosiła, choć co dzień potrzebowała uspokojenia Goworka, że księcia tylko co nie widać z powrotem.

Tym razem jednak niewieście plotki niepokoiły ją trochę. Dla dworu księżnej nie było

nawet tajemnicą, że Kaźmierza na Kraków ciągnąć chciano, że się Mieszek nań odgrażał, że mogło mu z jego strony niebezpieczeństwo się zapowiadać. Rada więc była co rychlej doczekać męża i wiedzieć, co myśli. Starszy ten brat księżnie Helenie zawsze się dosyć straszonym wydawał, a teraz, gdy się bronić musiał, Kaźmierza posądzać — więcej niż kiedy.

Walczyła z sobą księżna i tak, będąc dość niepewnego umysłu, czy życzyć mężowi głównej

stolicy, naczelnictwa w rodzie, czy się dłań tego obawiać. Miała dumy dosyć, pochlebiało jej to, że Kaźmierza wynieść chciano, myślała o przyszłości syna, to znowu lękała się niepokoju, podstępów, zdrady.

Życie w Sandomirzu płynęło jej szczęśliwie. Wprawdzie książę się stąd często wyrывał, ale z Krakowa musiałby jeszcze więcej po szerszym państwie i nad granicami się rozglądać. Mniej więc siedziałby na zamku. Sama nie wiedziała, co jemu, sobie i dziecięciu życzyć, czego pragnąć.

Jaksa też, siedzący na zamku ciągle od wyjazdu księcia, niecierpliwił się nieobecnością

jego. Należał on do tych, co wyniesienia Kazimierza najdawniej i najgoręcej pragnęli, nie dla żadnych widoków osobistych, ale przez miłość dla niego. Niecierpliwiła go obojętność księcia i to, co uporem nazywał. Rosło podrażnienie jeszcze w miarę jak coraz więcej ziemian krakowskich przybywało, upominając się o księcia.

Nie było wątpliwości, że go na rękach na zamek zanosą i Mieszek mu się oprzeć nie będzie w mocy. Co dzień jakaś nowa gromadka przyjeżdżała, to sama po swej woli, to wysłana przez wojewodę, to z namowy biskupa, dla skłonienia Kaźmierza, aby się nie opierał prośbie wszystkich.

Tymczasem jego, jak na przekorę, nie było.

Słać po niego nie wiadomo było dokąd. Goworek się przeciwiał dowodząc, iż lada chwila



sam powrócić musi. Ulegając woli księżnej, wyprawiono jednego z dworzan, który dotarł do Sulejowa i — jak widzieliśmy — z niczym stamtąd został odprawiony.

Ziemia krakowskich przyjmowano gościnnie, zastawiano stoły. Goworek gospodarzył, Jaksza pomagał, zatrzymywano niektórych, dawano dobrą otuchę, miasto i zamek były pełne.

Jednego z tych dni i Stach, nie obawiający się, by go tu poznano, wyrwawszy się, jak mógł najprędzej, z orszaku wdowy i obozu wojewody, przybiegł do Sandomirza. Jemu może najwięcej ze wszystkich leżało na sercu, aby tego pana, któremu życie zawdzięczał, wynieść na najwyższą stolicę. Marzył o tym tylko od lat wielu; teraz goręcej niż kiedy brał się do czynu. Mały człeczek mógł jednak coś zrobić, znając ludzi i kręcąc się między nimi. Sam on z wiernym Żegciem wyrwał się z obozu, nie bardzo opowiadając komu, dniem i nocą śpieszył do Sandomirza. Jako Zabor z Przegaju miał tu dawnych znajomych, jako Stacha nie pamiętał go już nikt. Owego nicponia miano dawno za umarłego. Sam Kaźmierz, kilka razy go potem spotkawszy (choć, jak mógł, Stach unikał tego) zdawał się nie domyślać, kto był, lub nie chcieć wiedzieć o tym.

Szerzyła się już wieść wszędzie, że Kaźmierz panowania nie przyjmuje. Stach biegł, aby podbudzić ziemian i skłonić ich do upornego nastawiania. Nie wiedział spełna, jak to uczyni, ale wolę miał silną. Na zamku nietrudno było być przyjętym, tym bardziej iż Stach mógł się opowiadać jako przez wojewodę wysłany. Tłumy krakowian, z którymi się połączył, nastreczyły mu się zaraz na wstępie do Sandomirza.

Stach, u mieszczanina zajawszy gospodę, wszedł między przybyłych nie zwlekając.

Wszyscy wołali jednym głosem, że księcia nie było.

— Juści nam za morza nie zbieży — zawołał, wcisnąwszy się w gromadę — ano i do księżnej, i do tych, co na zamku pozostali, musimy tego szturmować, nie folgując! Muszą wiedzieć, gdzie ksiązę jest! Czasu do tracenia nie ma!

Mowa ta przypadła do przekonania znudzonym oczekiwaniem.

— A cóż?! — poczęto wołać. — Na zamek! Do księżnej! Księcia musimy dostać, nic nie pomoże!

Dowodzili niektórzy, że Kaźmierz krył się umyślnie, władzy przyjmować nie zechce, ale większość ziemian ani myślała słuchać o tym, ani przypuszczała, ażeby się kto mógł opierać jej woli.

Nie pojmwali, aby Mieszek mógł przeciw niej powstać, a Kaźmierz nie pójść za nią. Mieli biskupa z sobą, zatem i sam Pan Bóg był z nimi.

— Na zamek! — wołał Stach. — Do księżnej! Jeżeli się chowa, będziemy szukali; czego mamy czekać? Wskroś ziemi nie poszedł! Choćby odjechał, pogonim!

— He he, a gdzie najpiękniejsza dziewczucha we dworze w sąsiedztwie — rozśmiał się jeden

— tam go na pewno przy niej znajdziemy! Śmieli się i drudzy potakując.

— Przy księżnie tylko o tym nie gadajcie! — dodał drugi.

— Na zamek! — powtarzał Stach. — Goworek i Jaksza niech, co chcą, prawią, wiedzieć o nim muszą i dostawić go nam!

— Gwałtem go na Kraków zaprowadzimy! — powtarzali niektórzy.

— Musi nam panować!

— Choćby się opierał przez poszanowanie dla starszego brata — mówił Stach — gwałt mu zadamy. A i to pewna, że gdy my go nie znajdziemy, gotów Kietlicz odkryć, dokąd się skrył, i pochwycić go. Na to już ma rozkazy. Uchowaj Boże nieszczęścia, jak nie pośpieszymy, wezmą go nam!

— Odbijemy siłą! — poczęli krzyczeć krakowianie.

— Jak się im raz dostanie, ratować go późno będzie — odparł Stach. — Żyw się z ich rąk nie wyrwie.

— Na zamek! Na zamek! — krzyczała gromada cisnąc się i popychając.

Ziemianin spod Proszowic, niejaki Gąsior, niegdyś wojak, teraz gospodarz, człek już niemłody, mienia niewielkiego, ale gęby ogromnej, wybrał się przodować i rękę podnosząc, najgłośniej począł krzyczeć:

— Na zamek!

Wszyscy szli za nim. Znano Gąsiora, że do robienia zawieruchy nie było nad niego. Miał to do siebie, iż mówić tak umiał, jakby ludziom z gęby słowa dobywał. Na słowach mu nigdy nie zbywało, kłamał z zuchwalstwem niezmiernym, ludziom, co lepiej od niego o czymś wiedzieli, w żywe oczy dowodząc, co chciał; zakrzyczał, zahuczał i nikt się odzywać nie śmiał.

Gąsior, który stał dotąd z tyłu, wysforował się naprzód, poczuwszy, że tu jego miejsce było; Stach go popierał.

Co było ziemian w miasteczku, polało się na zamek. Kupa ludzi stojąca pod wrotami przyłączyła się do nich, potem i ci, co byli w podwórzu, i ci, co za stołem siedzieli.

Gąsior mało komu znany, choć tam siła, było godniejszych od niego do przodowania, sunął już na czele, jakby miał do tego wszelkie prawo.

Goworek z Jaksą stali w przedsieniu, gdy tłum ten zamaszysto wtargnął. Od kilku dni nie

było to nowością widzieć ziemian natarczywie upominających się o księcia. Ci przychodzili tak butnie, jak żaden. Gąsior począł od tego, że tu nie przelewki są, bo księciu grozi niebezpieczeństwo.

— Jakie? — spytał Goworek.

— Oto w tej chwili — począł Gąsior — pan wojewoda przysłał tu z doniesieniem, z

najpewniejszą wiadomością, że Mieszek rozesłał ludzi najsprawniejszych, aby żywcem czy trupem dostawili mu Kaźmierza. Naszemu umiłowanemu panu największe grozi niebezpieczeństwo!

Ratować, na gwałt ratować! Nie ma chwili do starcenia; ano, za późno będzie, gdy go uśmiercą lub oślepią!

Goworek i Jakska strwożyli się w istocie.

— Skądże?! Kto tę wiadomość przyniósł?! — zawołali.

— A z Krakowa wojewoda miał pewną wiadomość, kiedy z nią wyprawił! — krzyczał

Gąsior bijąc się w piersi. — Rzecz pewna! Jasna jak słońce! Kto żyw, powinien stawać w obronie.

Gdy ściślej dopytywać zaczęto, Gąsior wskazał Stacha. Ten, niewiele myśląc, potwierdził,

że o zamierzonym zamachu pewność była, że jechał z nią i przybył z obozu wojewody.

Wszyscy po sobie z trwogą spoglądali.

— Wasza miłość — odezwał się Gąsior do Goworka — musicie wiedzieć, gdzie się nasz

pan ukrywa. Gotowiśmy wszyscy życie dać! Trzeba rozesłać na wsze strony! Jedziemy wszyscy!

— Jedziemy! Jedziemy! — poczęli wołać, ręce podnosząc, zebrani ziemianie. — Jedziemy!

Goworek, naciśnięty, zaklął się, że o księciu nic nie wie. Gąsior z całą swą gromadą rzucił

się, pomijając go, ku komnatom samej księżnej.

— Pójdziemy do Jej Miłości, niech ona pana swego a małżonka ratuje!

Chciano ich wstrzymać, aby nie strwożyli księżnej, ale tłum zahamować niepodobna było.

Gąsior, któremu w pomoc przyszło dwóch znaczniejszych ziemian, Papibor i Sulek, przebojem poszli ku głębszym zamku budowom, ku teremom księżnej.

Gwar pod oknami jej wszczął się tak wielki, że Helena mocno się ulękała. Wybiegli dworscy

jej, Bełżanie, z ruska dopytując strwożeni, czego chciano. Gąsior wołał, aby księżna sama wyszła, że z nią mówić potrzebują. W tejże chwili Goworek środkiem zamku pobiegł, aby ją uprzedzić, w sam czas, gdyż tuląc ku sobie dziecię, zalana łzami, sądziła się już w niebezpieczeństwie. Uspokoił

ją namiestnik radząc, aby dla ułagodzenia i zadośćuczynienia ziemianom sama do nich wyszła.

Wiodąc więc wystraszone dziecię za rękę, razem z Goworkiem wystąpić musiała na

przedsienie. Zobaczywszy ją, naprzód okrzyknięto podrzucając czapki do góry, życząc lat setnych, czym się już mogła uspokoić do reszty. Gąsior wystąpił.

— Najmiłościwsza Pani — zawołał — my księcia przez miłość dla niego szukamy, my go

dla jego bezpieczeństwa chcemy mieć! Pomóżcie nam, dajcie go! Mieszek na życie jego czyha!

Jeżeli się gdzie księżę ukrywa, nim my go potrafiemy wyszukać, on gotów nań napaść! Księcia nam trzeba!

Księżna zapłakana próżno ich zapewniała, że o nim nie wie. Ziemianie z Gąsiorem wołali a

powtarzali swoje, że księcia należało wyszukać co rychlej i otoczyć strażą, aby go od wszelkiej napaści ochronić.

Posłyszawszy o niebezpieczeństwie, księżna uczuła postrach wielki, wyciągnęła ręce ku burzliwemu tłumowi.

— Więc idźcie — zawołała z płaczem — szukajcie go, osłońcie, brońcie, proszę was! Jego, siebie i dziecię wam polecam! Czyńcie wszystko, co się wam zda dla jego bezpieczeństwa potrzebnym!

Usłyszawszy to, Gąsior zakrzyknął wnet:

— Hej, kto żyw, na konie! Za księciem! Nie mamy tu co robić! Na koń!

Ruszyli wszyscy. Księżna, którą strach prawie o słabość przyprawił, zakrywając oczy splakane, sparta na rękę Goworka, chwiejącym się krokiem powróciła do swych komnat, gdy zebrany ów tłum ruszał się już, hałaśliwie wybierając, sam nie wiedział dokąd.

Gąsior wołał nieustannie, aby siadać na koń, iść, śpieszyć, ale sam stał. Inni kręcili się, odgrazając na Mieszka i jego współników, aż Stach, widząc ten zamęt, wystąpił.

— Nie ma tu co zwlekać i czas tracić drogi! — zawołał. — Podzielim się natychmiast na kilka oddziałów i każdy wyruszy w inną stronę, szukać i przepytować o księcia.

Gąsior mu zawtórował.

Czynniejsi zaczęli się zbierać gromadkami. Stach kierował nimi rozporządzając, w którą kto z nich miał iść stronę. Gdy się to stało, a przyszło już wyciągać w drogę, ochota ku obronie księcia znacznie ostygła zaczęła. Stach jeden poddawał im ducha. Około niego zebrali się młodszy i żarliwsi, inni chcieli ciągnięcie odkładać do jutra, niektórzy znajdowali przeszkody w koniach, ludziach i rynsztunku. Woleli siedzieć na zamku spokojnie, żywić się tu i wykrzykiwać. Stach jednak nie dopuścił, aby to na niczym spełzło.

— Co postanowione, to się spełnić powinno — wołał głośno — zatem, komu w drogę, temu czas, a kto się cofnie od tego, *co* gromada postanowiła, ten zdrajca!

Gąsior, to usłyszawszy, podniósł pięść do góry, powtórzył parę razy: „Zdrajca!” i natychmiast zaszywszy się w tłum, zniknął. Tyle go ludzie widzieli.

Inni szczęściem wzięli sprawę do serca. Z wielkiej jednak tej wrzawy zaledwie cztery poczty, nie bardzo okryte, dały się zebrać, jednym z nich tymczasowo dowodził Staszek, innymi — młodszy, z jego ramienia wybrani. Chciano jeszcze konie karmić i zwlekać, a byłby tymczasem wieczór nastał i wszystko się znowu może nazajutrz rozchwiało, ale Stach przynaglił, by na konie siadać i inni, radzi nieradzi, za jego przykładem iść musieli, w duchu gorliwość jego przeklinając.

— Temu bo pilno — mruclili — bodaj karku nadłamał!

Cztery gościńce wyznaczono, którymi udać się miały oddziały, dostając języka, przezierając lasy, zajeżdżając do dworów, aby się dowiedzieć o księciu.

Staszek po części rachubą, częścią przecuciem jakimś wybrał się ku Sulejowu. Oddział ten był najliczniejszy, najlepiej zbrojny i najgorętszego ducha. Stachowi szło o to, aby znalazłszy Kaźmierza, jakimkolwiek sposobem do jego przybocznej straży się wśliznąć. Obawiał się on

naprawdę o księcia i chciał sam czuwać nad nim.

Mało co od Sandomirza odciągnąwszy, zaczęli zaraz po osadach i chatach przepytywać.

Dostać języka nie tak łatwo było, bo gdzie się kolwiek oddział rycerstwa pokaźniejszy ukazał, osadnicy z chat uciekali i, co żyło, się ukrywało. Uprawdzano konie w lasy, pędzono stada w gąszcze, aby się uchronić od przewodu i przeżywania.

Wszyscy słudzy książęcy i duchowni, a nawet możniejsze ziemiaństwo miało prawo po

gościńcach brać konie i ludzi, żywić się kosztem wiosek. Nawet psiarzom i sokolnikom pańskim odmawiać tego nie było można. Lud więc po osadach, gdy zoczył nadjeżdżających, natychmiast skryć się starał. Pomimo to Stach, konia nie szcędząc, łapał zbiegów po polach, ale od nich o księciu nic się dowiedzieć nie mógł. Nie tracił przez to nadziei, by dalej puściwszy się w lasy, nie wpadł na jakieś poszlaki.

Tymczasem książę Kazmierz, któremu Wichfried tak w porę przybywał, łowami się

zabawiał w okolicy Sulejowa, ale nie myślistwo to było, a włóczenie się po lasach, bo psów i ludzi brakło. W Sulejowie pomocy żadnej nie znaleźli. Wichfried przybył samotrzeć. Choć więc lasy w zwierza obfitowały, uchodził im wszystek sprzed nosa. Drugiego dnia książę już był bardzo markotny.

Smok, który na to patrzył, nie śmiał mówić nic, ale mu pana bardzo żal było. Po

nieszczęśliwych łowach zamruczał wieczór, że lepiej by było do Sandomirza powracać. Zmarszczył się na to Kazmierz i milczeć mu kazał. Po chwili namysłu zwrócił się do niego:

— Jedź ty — rzekł — nie opowiadając, gdzieś mnie zostawił; jedź i przyprowadź z sobą psy i ludzi trocha. Ano mnie nie zdradź, gdzie jestem, bo chcę tu spocząć.

— Miłościwy Panie — odparł sługa — a jakże ja was tu samego porzucę? To nie może być!

— Z mnichami i Wichfriedem cóż mi się tu stać może?! — zawołał książę.

— Albo ja wiem — mówił Smok zafrasowany — mnie się opuszczać was nie godzi.

Uśmiechnął się Kazmierz.

— Jedź, nie pytaj — rzekł — jam tu bezpieczniejszy niż w Sandomirzu. Wracaj mi tylko rychło. Spytają cię, gdzie jestem, mów, że w lesie i że mi tam dobrze.

Smokowi się na żaden sposób jechać od pana nie chciało, poszedł do Wichfrieda na radę,

ten mu kazał spełnić wolę księcia. Musiał się więc w drogę wybierać.

Nie wziął z sobą nikogo, a postanowił, choćby konia zapędził do zdechu, powracać co

najrychlej. Znał stary wyga okolice, tak że drogi do podróżowania nie potrzebował, szedł

instynktem myśliwca i na pół dzikiego człowieka, w dzień patrząc po drzewach, w nocy — po gwiazdach. Gdy tych zabrakło, wiatr musiał być skazówką, koń przydał się nieraz. Wyjechawszy z Sulejowa, obejrzał się tylko po górach, konia zwrócił i ruszył.

Gromadka Stachowa, szukająca księcia, żywo się też naprzód posuwała, choć języka nie

dostając, w kierunku Sulejowa. Tu i owdzie opowiadano im, że ktoś w lesie trąbił, że oddział jakiś widziano, potem się okazywało, że to ktoś był z sąsiadów. Stach się jednak nie zrażał, mając przecucie, że się mu poszczęścić musi.

Gdy jednego dnia na łące popasać koniom stanęli, wypadek zrządził, że Smok właśnie u

strumienia swojego poił. Nim mu uzdę narzucił i wsiadł nań, już Stach był przy nim. Znał go z twarzy, bo Smoka znali wszyscy; krzyknął zaraz:

— Smocze, gdzie księżę?!

— Jaki księżę? — wyjąknął zmieszany drab i chciał się już do ucieczki zabierać.

— Stójże no, szalony człecze — za szyję go chwytając, zakrzyczał Stach — jam przecie nie

wróg, a swój i temu samemu, co ty panu służę! Znam cię jak szarą gęś, wyklamać mi się nie możesz, boś z panem był. Jeśli pytam, to nie dla zdrady, a dla dobra.

— Tyś kto? — zapytał Smok.

— Ktom jest, tom jest — zawołał Stach — dosyć, zem Kaźmierzowy sługa! Jedziemy,

szukając księcia, bo mu od Mieszka grozi niebezpieczeństwo, pochwycić go chcą. Zasadzki nań czynią, ludzi nie ma, idziemy w pomoc i dla straży. Nie zechcesz gadać, a stanie się co złego, gardłem odpowiesz!

Smok miał w podejrzeniu Stacha, chciał mu się wyśliznąć i ujść, ale konia trzymano, myślał

obalić na ziemię napastnika i byłby się rzucił nań, ale gromada nadciągnęła i obstąpiła. Zaciął się tedy i stał milczący.

Spojrzeli sobie w oczy.

— Ja cię znam — mówił do niego Stach — wiem, że panu jesteś wierny jak nikt, że go

nigdy na krok nie odstępujesz, dlaczegożeś go teraz porzucił? Cóż się z nim stało?

— Mów! — krzyczano ze wszystkich stron nadaremnie. Smoka ubić było można, ale słowa z niego wyciągnąć, gdy mówić nie chciał, nikt nie potrafił. Stach i z tej go znał strony.

— Smocze — wołał klepiąc go po ramieniu — wiem, że z ciebie siłą nic nie wydobędę, ano, tu o życie księcia chodzi! Wybrał się z wami kilku, wy go nie obronicie. Mieszkowi ludzie po gościach, po lasach porobili zasadzki i czyhają; stanie się co, będziesz winien. Sam się potem obwieszisz na gałęzi.

— Gadajże, gadaj psi synu! — hałasować, nacierając, poczęli ziemianie.

Smok milczał jak kamień, przeklinał swą nieopatrność, że się tak dał pochwycić. Brzmiało mu w uszach złowrogo, że panu groziło niebezpieczeństwo.

„Nuż oni sami są od Mieszka — myślał — a z mańki mnie chcą zażyć?” Stał więc niemy.

Gorętsi już się doń z pletniami brać chcieli, ale Stach go osłonił.

— Z tego człowieka groźbą się nic nie dobędzie — rzekł — ja go znam.

Zbliżył się znowu sam do niego.

— Słuchaj — rzekł, dobywając spod kaftana krzyż, który zawsze na piersiach nosił. —

Widzisz go, jest to krzyż pański, na który kto przysięga krzywo, na tym i na tamym świecie jest przeklęty. Ja ci na ten krzyż Chrystusowy przysięgam, że my księcia jedziemy osłaniać i bronić.

Mów, gdzie jest.

Smok słuchał i patrzył, a był człek pobożny.

— Gdzie? — odburknął wreszcie. — Mnie zakazano mówić, gdzie jest.

— I wolisz przez posłuszeństwo dopuścić, aby go, nie mogącego się bronić, wzięto? Żeby może postradał życie lub oczy?

Smok aż się wstrząsnął cały.

— Ano, on tam, gdzie jest, bezpieczny! — zawołał.

— Jako? Mając przy sobie trzech czy czterech ludzi? Smok głowę spuścił: prawda była.

— Dlaczegożeś ty go porzucił, co mu byłeś najpotrzebniejszy? Dokądże jedziesz? Toć



książę w pobliżu być musi?

Głową potrząsał sługa.

— Posłał mnie — rzekł.

— Niechże cię piorun ubije — krzyknął Stach — wolisz, by pan zginął marnie, niż zdradzić przykazanie! Rób, jak chcesz!

Nieszczęśliwy człek potniał ocierając czoło. Nawykły do ślepego posłuszeństwa, ale przywiązany do pana, nie umiał sumienia z rozumem pogodzić. Łzy mu się w oczach kręciły.

— Co jemu tam może grozić?! — począł mruzczyć. — Tam go ani szukać nie będą, ani znaleźć mogą.

— Jakże ty tego możesz być pewny? — spytał Stach szydersko.

Trudno było co dobyć z twardego człowieka, oczyma się zdawał prosić o zmiłowanie, ale Stach natarczywie nalegał. Drudzy odgrażali się, by go wiązać, inni bić chcieli, ażby dobyli głosu. Stach nie dawał go tknąć. Wiedział, jak był Kaźmierzowi ulubiony. Gdy mu grożono, Smok spoglądał pogardliwie, jakby wyzywał razy i męki.

— Smocze — zawołał raz jeszcze Stach — powtarzam ci to do sumienia twojego, stanie się co złego panu, ty winien będziesz! Kat cię bierz, puszcę cię wolno! Gdy Mieszek na polowaniu, w lesie, w zasadzce ułapi Kaźmierza, tyś tak chciał.

Odstąpił od niego i dał znak, aby drudzy go nie wstrzymywali. Ujrzawszy się wolnym, Smok naprzód chciał się do konia rzucić i uchodzić, ale pogróżka w nim tkwiła: zatrzymał się.

. Stach już odchodził, gdy on dobrowolnie za nim postąpił, pociągnął za rękaw i w oczy mu wpatrzył się mocno.

— Prawda, co mówicie? — spytał.

— Jak Bóg na niebie! — odparł Stach. — Tyś chyba bezmózgi. Ja bym przecie sam za niego życie dał, czyżbym miał zdradę w sercu?

Drab głowę skrobał.

— Mnie — odezwał się cicho — mnie po psy i ludzi posłano do Sandomirza.

— Właśnie czas o łowach myśleć, gdy w lasach największe niebezpieczeństwo. A toż go razem z Wichfriedem pochwyć!

Smok nagle, jakby go rzuciło, na konia skoczył, obejrzał się po gromadzie zbrojnej i licznej, policzył ich oczyma, przeżegnał się i milcząc konia nazad zawrócił.

— Za mną — rzekł krótko — poprowadzę!

Nie spuszczając go z oka, Stach natychmiast dał znak swoim, którzy pośpiesznie na konie siedli i jechali za przewodnikiem.

Smok po swojemu z sumieniem wszedł w porozumienie: nie chciał powiedzieć, gdzie pan

był, bo mu to zakazano, ale groźbami przestraszony o los jego, prowadził. A że mu pilno było zbyć się tej męki, wiódł po swojemu, bez dróg, przez gąszcze, moczary, wzgórza, nie pytając, jak tam sobie drudzy radę dadzą. Czasami odwracał się ku Stachowi, który go już badać nie próbował, i nieznużony ciągnął dalej. Rycerstwo jadące za nim musiało się doń stosować z krótkimi popasami i małym spoczynkiem.

Stach, który nie tylko Krakowskie, Sandomirskie, Lubelskie, ale całe Mazury znał dobrze, wkrótce się już mógł domyśleć, dokąd dążyli. A że o nowo zakładającym się klasztorze słyszał wiele, pewien już był, że ksiązę się tam ukrywał. Na porannym spoczynku podszedł do milczącego Smoka.

— Smocze nieboże, jedź już teraz sobie po psy i ludzi, abyś rozkaz pański spełnił, trafię ja i sam bez ciebie.

Smok głowę podniósł.

— Ksiązę jest w Sulejowie — dodał — tyś go nie zdradził, bądź spokojny, my strzec będziemy, aby mu się nic nie stało.

Zrazu Smok głową potrząsał, nie godził się, lecz gdy Stach dodał, że więcej ludzi z zamku ma dla bezpieczeństwa przyprowadzić i Jakse z sobą wziąć, który był dowódcą dzielnym, dał się przekonać. Z popasu tego rozstali się nic nie mówiąc. Smok też samą drogą ruszył nazad, a Stach z oddziałem ku Sulejowu. Gdy z lasów wyjeżdżając, ujrzeli już zabudowania klasztorne, Stach, dotąd dowodzący oddziałem, wziął Papibora na stronę.

— Miły panie, dużo by mówić, dlaczego, ale mnie się nie godzi stanąć przed księciem jako

dowódcy. Jam człek mały i w Krakowskim nieznany, nie przystoi mi się piąć nad innych. Wy teraz prowadźcie. Powieście księciu, żeśmy przyszli, aby go od napaści strzec i stać przy nim.

Zdziwił się zrazu Papibor temu dobrowolnemu zrzeczeniu się, ale że dość miał dumy i ochoty do przodowania, nie opierał się.

— Mnie to tam wszystko jedno — rzekł — niech drudzy wybiorą i obwołają, kogo chcą.

— Byle nie mnie, bom ja nieznaną człek — odpowiedział Stach — ja sobie stanę w kupie.

W początku chciano Stacha zmuszać, wołano nań, ale się wyprosił. Głosowano więc; jedni

Papibora, drudzy Sułka mieć chcieli, stanęło na pierwszym. Stach wjechał w szeregi i skrył się w ostatnich, aby na oczach nie być.

Zbliżali się już do klasztoru, około którego jak innych dni ruch żywy panował, bo

pospieszano z budową, dopóki pora służyła. Z górnego brzegu, na którym się mieściły cysterskie szopy i mury, widać było okolicę; znaczny oddział rycerstwa, jadący ku klasztorowi, nie mógł ujść oczów księży i robotników. Stach postrzegł, że tam już stawano, przypatrując się im, i w obawie, aby księżę nie uszedł, radził kroku przyspieszyć.

Stanęli u furty i zaczęli dzwonić, wrotny otworzył okienko, niespokojnym okiem mierząc

przybyłych, którzy się natarczywie domagali wpuszczenia i rozmowy. Papibor, zsiadłszy z konia, wołał o opata lub przeora.

Wpuszczono go samego, gdy tymczasem reszta z koni złazić i rozkładać się u bramy

pocynała. Papibor, człek ciekawy, który dotąd innych mnichów nad benedyktynów nie widywał, a białych nie znał wcale, rozglądał się bacznie po izbie w szopie, do której go wpuszczono.

Wiele naówczas o nowych zakonnikach mówiono. Myślał już, jak on się z nimi rozgada, bo

języka żadnego oprócz własnego nie znał. Ziemianin domorosły, jak większa część naówczas, czytać ni pisać nie umiał, chociaż chrześcijanin był dobry i Pana Boga na pamięć chwalił.

Opat Lucjusz z braciszkiem Polakiem, za tłumacza służyć mającym, zjawił się wkrótce,

zapraszając do refektarza. Rozmowa z pomocą chłopaka, który z łaciną niełatwo sobie rady dawał, a opat oprócz francuskiego i łaciny innego nie rozumiał języka, szła jak po grudzie. Migami sobie dopomagać musiano, młody tłumacz potniał i jąkał się.

Papibor po kilkakroć powtarzał, że ziemianie, rycerstwo przybywali do księcia służyć mu i od niebezpieczeństwa, jakie mu od brata groziło, obronić. Opat niewiele mógł zrozumieć. Dopiero Stach, który się domyślał trudności tych i w pomoc pospieszył, sam się mógł z opatem rozmówić i

wytłumaczyć jaśniej, z czym przybywali.

Opat Lucjusz, jako polityk mądry, z początku udał zdziwienie wielkie, aby brat mógł na brata nastawać, i księcia Mieszka jako fundatora bronić się starał. Nie wierzył, aby księciu Kaźmierzowi niebezpieczeństwo jakie zagrażać miało.

Stach odezwał się śmiało:

— Wiemy dobrze, jak rzeczy stoją, a gdyby i zbytnia troskliwość nas tu ściągnęła, grzechem ona nie będzie. Lepiej nadto ostrożności niż za mało. Wiemy, że księżę jest tutaj.

Opat wahał się z wypowiedzeniem czegoś jasnego, kłamać nie chciał, przyznać się obawiał; milczał skłopotany.

— Mamy wiadomość pewną — dodał Stach — że księżę i Wichfried tu się znajdują.

Opat Lucjusz nic nie odpowiedział.

— Oddział wasz znaczny jest? — spytał, unikając tłumaczenia się.

— Jest nas około seciny — rzekł Stach.

— W klasztorze się nie pomieścicie — odparł opat — choćbyśmy wam radzi byli, przyjąć nie możemy.

— Myśmy nawykli — odezwał się Stach — stać pod namiotami i bez namiotów, pod lada szałasami, a choćby pod gołym niebem. Rozłożemy się obozem byle gdzie.

Widząc zakłopotanie opata, Stach powtórzył raz jeszcze, że o księciu wiadomość mieli od jego własnego sługi, że przychodzili w pomoc, nie ze złą myślą, spodziewali się więc, że księżę dla nich taić się z sobą nie będzie.

— Księżę w istocie był tu z Wichfriedem — rzekł nareście opat po namyśle — zaprzeczać nie chcę, ale dzisiejszego dnia rano z kilką ludźmi o brzasku wyruszył. Nie ma go tu.

— Na łowy! — zawołał Stach wylękły. — W kilku ludzi! A jeżeli, uchowaj Boże, wpadnie gdzie w zasadzkę?! Jeżeli go zechcą pochwycić?! W kilku ludzi ani się będzie mógł bronić!

Opat głową potrząsał, widząc zaniepokojonych, sam też okazał, że to go obeszło.

— W Bogu nadzieja — rzekł — że nie dopuści nieszczęścia. Na to, co się stało, radzić nie

możemy, bo nawet nikt nie wie, w którą się udali stronę.

Wiadomość ta przeraziła wszystkich. Stach, podejrzewając jeszcze, iż księżę chciał się

ukrywać, zaklął opata, aby mu powiedział prawdę. Ojciec Lucjusz najuroczyściej potwierdził, że było tak, jak mówił.

Stachowi szło o to także, aby księżę powracający z łowów, gdy z dala ich oddział zobaczy, nie rzucił się w lasy znowu, chcąc uniknąć z ludźmi spotkania. Wypadło więc z narady, aby Papibor pozostał sam w klasztorze, a ludziom trzeba było ustąpić gdzieś do bliskiego lasu i w ukryciu oczekiwać powrotu Kazmierza. Stach wyszedł z tym zaraz. Opat chciał im dać jeść i pić, ale czekać na przyjęcie to niebezpiecznym było, zabrali więc chleby i beczułki, które im księża *cellarius* i *hospitalarius* wynieśli, i pociągnęli w zarośla.

Znużeni ziemianie, choć mrużąc, musieli Stacha posłuchać i spod klasztoru się wynosić.

Z miejsca, które w bliskości na obozisk zajęto, widać było klasztor w dolinie i wiodące do niego drogi. Nie rozpalano ognia, aby się nie zdradzać dymem, konie spętane poszły na paszę, panowie na siodłach i kobierczykach pokładli się do snu, postawiwszy strażę. Stach też na czatach pozostał. Dzień był skwarny i wydał się im długim. Dokoła panowała nieprzerwana cisza, na

drogach żywej duszy nie widać było do wieczora. Co chwila spodziewał się Stach ujrzeć gdzieś kupkę jezdnych, ale już i mrok zaczął zapadać, a nigdzie nikogo nie widział. Oczy wypatrzył

nadaremnie. Gwiazdy się już pokazywały na niebie, gdy niespokojny pobiegł do klasztoru, sądząc, że księżę gdzieś po kryjomu mógł się prześliznąć między drzewy, tak że go nie dostrzeżono.

Nierychło doprosił się Papibora, którego opat w swoim dworku ugaszcział. Wywołany

dowódca stawił się wesół, odżywiony i wielką czcią dla gościnnych mnichów przejęty. Nie dając się Stachowi odezwać, począł od sławienia gospodarzy.

— Prawda, że sami żyją lada czym, ale człek u nich nie głodny i nie pragnie.

— A księżę? — spytał Stach — księżę?

— Nie ma go — westchnął Papibor — i opat już trwożyć zaczyna, bo zawsze przed nocą powracał.

Siedli u furty na rozmowę, wyczekując i nasłuchując, ale księcia do północy jak nie było, tak nie było.

## VIII

Myślistwo w owych czasach było tak w męskim obyczaju, tak się do niego od najmłodszych

lat wdrażano, iż najmniej namiętni łowcy przecie dni kilka, nie wyjechawszy w pola i lasy, wytrwać nie mogli. Krzywousty dwunastoletni próbował się z dzikami i niedźwiedziami.

Każmierz, który rozmowy z ludźmi mądrymi nad wszystko przekładał, który lubił śpiew i

zabawę z przyjaciółmi w domu, od młodu też do łowów równie był nawykły, jak wszyscy bracia, i w sąsiedztwie Krakowa później z klasztorami się umawiał, aby mu w ich lasach polować było wolno (prawo łowów służyło książętom wszędzie oprócz dóbr duchownych, którym nadania

wyłączne użytkowanie z lasów zastrzegały).

Gdzie indziej książęta o granice posiadłości, polując, nie pytali. Lasy były tak rozległe jeszcze, iż zwierza dla wszystkich starczyło. Mieszek starał się w tym jakiś porządek zaprowadzić, nie dając ziemianom i osadnikom bić zwierza, gdzie chcieli, i pilnie strzegąc książęcego prawa, ale to nań tylko nienawiść i zemstę ściągnęło.

Każmierz lubił myślistwo jak wszyscy, chociaż inaczej: wyjeżdżał, szukając ciszy,

potrzebując ruchu, gdy nic go ważniejszego nie zajmowało. Co dzień z Sulejowa puszczał się z Wichfriedem w sąsiednie bory i ostatniego dnia też wyjechał z nim na góry klasztor otaczające. Tu zwierz był sąsiedztwem nowej osady spłoszony, wyrąbaniem lasów i trzebieżami wylekły, cofał

się głębiej. Książę i Wichfried z ludźmi trzema pół dnia nadaremnie jeździli. Kiedy niekiedy zaszeleściało coś z boku, przemykało się zwierzę, ale po gęszczach gonić nie było sposobu, łowców do osaczenia mieli za mało, psy się rozbiegały i nie wracały. Myślistwo więc było nudne i zawodne, chyba szczęśliwy jakiś traf mógł im napędzić zwierza.

Księżciu mniej szło o to; jechali lasami ślicznymi we dwu z druhem, z którym o wszystkim w świecie mówić było można otwarcie, a jeden las ich słuchał. Każmierz, jak wielu jemu podobnych ludzi, w których uczucie żywe myśl do ruchu pobudza, miał tę tęsknicę nienasyconą, która czasem milczeniem się tłumaczy, niekiedy wylewa w poufnej rozmowie na cztery oczy.

Z dobrym druhem sam na sam lubił mówić o wszystkim: wielkich zagadnieniach, których

umysł ludzki nigdy rozwiązać nie może, losach człowieka, duszy spragnionej nieokreślonego dobra, sercu, co się nigdy niczym uspokoić nie daje.

Z Wichfriedem płochym, niezbyt uczonym, nie ubiegającym się o mądrość wielką,

rozmowa była mu przecież miłą. Umiał słuchać i rozumieć. Głowę miał otwartą, a choć po niej chodziły myśli własne, nie podlatujące wysoko, cudze za to przyjmował gościnnie, choć nie na długo. Często też w najpoważniejszą mowę umiał wtrącić rzecz płochą, która księcia rozweseliła.

Im książę Każmierz był smutniejszym, tym on weselszym się być starał. Ten wzdychał nad przyszłością groźną. Wichfried zagadywał o miłostkach i choć książę był posepnym, często

uśmiech na usta jego wywołał. Godzili się z sobą.

I dnia tego dość długo sprzeczali się, tak aż ksiązę dołożył w końcu:

— Ty, Wichfriedzie mój, nigdy poważnym się nie staniesz i zestarzeć nie potrafisz.

— Tym się cieszę — odparł Niemiec — co by mi z tego przyszło, gdybym za wcześnie zaczął się truć smutkiem?

— Zdrow bywa smutek — rzekł Kaźmierz.

— Wesele też chorobą nie jest.

— Ale po nim zawsze idzie znużenie i zawód.

— Po nim — przerwał Wichfried — ja, nie czekając, idę spać. Położywszy się po szlaftrunku (napój do poduszki), żadnych złych snów nie miewam i nazajutrz wstaję gotowy do dobrej myśli. Wszystko na tym świecie pustym mi się wydaje.

— Boś sam pusty, ale z tym jesteś pono szczęśliwy — rzekł ksiązę.

— Ksiązę, gdybyś chciał, mógłbyś być stokroć szczęśliwszy ode mnie.

— Nie, bom się z inną myślą urodził. Jakże mnie wesołym być? Powiedz! W Sandomirzu biedna niewiasta płacze niespokojna, a ja się po lasach włóczę z myślą dla niej niewierną. W Ściborzycach tęskni druga...

— E, o tym myśleć nie warto — przerwał Wichfried — gorzej, że w Sandomirzu i Krakowie czekają na Was, wołają, budują, a ksiązę w lasy uchodzisz od tych, co mu dobrze życzą.

— Bo oni mi nie życzą dobrze! — zawołał Kaźmierz niecierpliwie. — Ilem ci to razy powtarzał? Szczęścia nikomu nie narzucić. Duchowni w najlepszej myśli żonę mi dali, której ja kochać nie mogę, ziemianie chcą mi dać panowanie, którego nie pragnę, bobym na sumieniu miał krzywdę brata.

— On się skrzywdził sam! — zawołał Wichfried. — Książęta — mówi polskie przecie przysłowie — braci nie mają.

— Złe to przysłowie — przerwał Kaźmierz — ja go znać nie chcę. Nikogom w życiu nie

kochał jak Henryka, nikomu nie szanował jak Bolka, a Mieszka jako starszego pana z woli ojca uznaje zwierchnikiem i czczeniem.

Wichfried, nie dając o tym się obszerniej rozwodzić księciu, począł mówić o panowaniu, jak ono było rzeczą słodką a miłą, jaką dawało moc czynienia dobrego, jak się go odrzucać nie godziło ani pogardzać nim, gdy samo się do rąk cisnęło. Kaźmierz zbył go milczeniem. Jechali tak długo, aż konie zmęczone ustawać już poczynały, księżę obojętny nie zważał nawet, dokąd się zapuścili.

Ludzie ze psy zapędzili się byli gdzieś w drugą stronę.

Przy pierwszej lepszej łączce, gdzie dla koni woda była, siedli spoczywać. Skwar dopiekał, zatrąbiono na ludzi. Ludzi ni psów słyhać nie było. Wichfried z klasztoru wziął był opatrzenie posiłek do torby. Mieli kubki i bukłaczek z winem, mieli się i napić czego. Potem spoczywali długo w cieniu, koniom dając dobrze wytchnąć.

Kilka razy jeszcze Wichfried w trąbkę uderzył — nikt nie przybył, nikt nie odpowiedział.

Zdrzemnęli się trochę na trawie. Gdy przebudziwszy się, spojrzeli na niebo, poznali, że się miało ku wieczorowi. Należało powracać. Księżę Kaźmierz był tak obojętnym, iż go wcale nie obchodziło, ani kiedy i jak powróci. Wichfried mocno się niepokoił, on uśmiechał przeciw zwyczajowi.

— Ksiądz opat będzie niespokojny.

— Wrócimy nocą — odparł księżę — noc będzie do powrotu miłsza, niż do włóczęgi dzień skwarny.

— Bylebyśmy drogę znaleźli.

Kaźmierz ramionami ruszał. Siedli na konie znowu i zawróciwszy, jak się im zdało, jechali borem. Chcieli powracać tą samą drogą, którą jechali wprzódy, ale postrzegli rychło, że ją zgubili.

Zaczęło zmierzchać dobrze. Wichfried trąbił nieustannie, nikt mu nie odpowiadał. Trzeba było dawać sobie samym rady, bo na łowczych rachować już nie mógł Wichfried.

Szukając drogi, jak się to często trafia, gdy się ją niespokojnie chce odnaleźć, ślady jej zatracili, kierunek zmylili, wjechali w okolicę nieznaną, w gąszcze i zawady coraz straszniejsze, które pomijając w lewo i prawo, obłąkać się musieli zupełnie. Księżę, widząc Wichfrieda

niecierpliwosć, śmiał się — No — rzekł — noc za pasem, musimy spocząć w lesie. Ognia napalemy i lęzem!

Towarzysz szukał jeszcze uparcie jakiegokolwiek ścieżyny, ale ściemniało zupełnie, nad

wierzchołkami drzew pokazały się gwiazdy, las stał cicho, wiatr ustał. Z dala gdzieś słyhać było wilków wycie. W lesie spokojnie było, pięknie, tylko żyć! Sosny pachniały i brzozy.



Księżciu jechać się nie chciało i zawołał, pod stary dąb pod- jechawszy, że spocznie tu. Nie sprzeciwiał się Niemiec; miał na myśli, gdy Kaźmierz położy się i zaśnie, sam pójść drogi szukać.

Lecz stanąwszy na nocleg, było co robić: ogień rozpalić, posłanie przygotować, konie popętać.

Wichfried we wszystkim chciał zastąpić księcia, ale ten mu się nie dał i wesoło sam się też zajął tym, co na niego przypadło.

— Przepadła wieczerza ojca opata — wołał śmiejąc się — sam ją chyba zje, a że oni mięsa nie tykają...

— Znajdą gościa, co ją spożyje — dodał Wichfried. Śmiejąc się i podżartowując poszli spać, las ani szumiał nawet, ogień się palił, tak że dym słupem szedł nad drzew wierzchołki ku niebu.

Wichfried, siadłszy na straży, sparty o pień miał czuwać, ale go sen wkrótce zmorzył.

Krótką noc wiosenna przeszła tak szybko, że gdy się przebudzili rosą okryci, dniało dobrze.

Wichfried, zostawiwszy księcia, sam poszedł drogi szukać i rozglądać się po okolicy. Miejsce było całkiem nieznaną, dróg dokoła żadnych. Głos trąbki rozchodził się po lesie długo bez odpowiedzi.

O białym dniu, na próżno się odzywając, siedli na konie; książe wesół, żartując ze złego przewodnika, Wichfried gniewny sam na siebie, nie umiając już radzić, bo nawet strony, w której klasztor leżał, nie był pewnym.

— Jedźmyż, gdzie konie poniosą, one więcej od nas mają rozumu; poprowadzi je głód do żłobu.

Gdy im cugli popuścili, rozum ten koński tak się niedorzecznym okazał, że jeden chciał iść w prawo, drugi — w lewo; książęcemu dano pierwszeństwo.

Jechali trochę już głodni, śmiejąc się ze swej przygody. Los tak zrządził, by ani na żadną osadę, ani na człowieka, ani na gościniec, nawet na samotną chatę nie trafili. Gdzie się zapędzili, żaden z nich nie wiedział. Około południa książe, który dotąd bardzo brał wesoło obład swój, zaczął też być trochę niespokojnym.

— Licho już wie, gdzie my jesteśmy — rzekł — w półtora dnia okrutny kawał drogi zrobić można, gotowiśmy się znaleźć, gdzie się całe nie spodziewamy.

Właśnie gdy to mówił, zastąpiła im drogę rzeka dosyć znaczna. Pilica nie Pilica? Nie poznali, co za jedna.

Wichfried był tego zdania, aby nazad zawracać, księżę utrzymywał, że gdzieś nad brzegiem

najpewniej osada jakaś znaleźć się musi. Chciał ją nawet przebywać wplaw, aby na drugim brzegu ludzi szukać.

Znaleźli, jeśli nie bród, to płytkie miejsce, gdzie konie, mało co spłynąwszy, dobiły się na drugą stronę. Tu las stał znowu gęsty na wzgórzu, ale pusto było, jak zajrzeć. Oko, z zakrętami rzeki biegnąc, tylko ługi zielone i piaski żółte spotykało. Na łąkach nawet stożysk ani stad nie było, trawy rosły w pas, jakby ich nigdy nie koszono.

Jechali dalej w milczeniu, bo położenie coraz się przykrzejszym stawało. Wichfried z

rozpaczy rwał się ciągle do trąbki, ale na wołanie jego echa tylko leśne odpowiadały. Nadchodziło południe. Jedzenia było tak mało, że ledwie do wieczora starczyło, aby głodem nie marli.

Zwierzyna się nastroczała. Wichfried zaczynał po niemiecku kłać polskie lasy utrzymując, że i w Niemczech były puszcze niemałe, ale takich borów, co się na dziesiątki mil nieprzerwanie ciągnęły, nigdzie nie było, tylko w Polsce.

Popaśszy jechali znowu. Wichfried dał w trąbkę, aż mu tchu brakło. Miało się już ku

wieczorowi, gdy z dala się druga trąbka odezwała w odpowiedzi. Poczęli więc jechać coraz prędzej ku głosowi jej, dając o sobie znać; nadzieja wstąpiła w serca.

Wprawne ucho myśliwych rozpoznać jednak mogło, iż ten, co im odpowiadał, nie swój był,

ale obcy. Róg jego brzmiał inaczej, Kaźmierz nie poznawał go, choć zdało mu się, że głos był znajomy.

Las się trochę przerzedzał, tak że pośpieszyć łatwiej było. Odpowiadający na trąbienie,

jakby równo z nimi niespokojny był, nawoływał szybko, gwałtownie.

Mały kawałek łąki leśnej zdawał się ich dzielić od łowca, którego wreszcie postrzegli

stojącego na koniu z dala, z rogiem białym w ręku. Mężczyzna był wzrostu słusznego, z brodą ciemną, w kołpaku, z łukiem na plecach, mieczem u nogi, na koniu dzielnym. Wichfried,

wpatrzywszy się weń, pobladł.

— Stój! — zawołał do księcia. — To księżę Mieszek! Zawracajmy! To on!

Kaźmierz stanął i wlepił oczy.

— Tak, to on — rzekł spokojnie. — On sam, ale nie godzi mi się, abym ja przed nim

uciekał. W sumieniu jestem czysty, czegoż się mam lękać od brata?

I posunął się szybko ku niemu.

Mieszkowi, który także musiał Kaźmierza rozpoznać, ręka, w której róg podniesiony

trzymał, drgnęła. Ujrzawszy zbliżającego się, ruchem niespokojnym i oczyma dokoła się obrócił.

Stali o trzy kroki od siebie. Kaźmierz z konia zsiadł i szedł starszego przywitać. Wichfried też co prędzej skoczył ze swojego i nie chcąc Kaźmierza samym zostawić, pośpieszył za nim.

Mieszka twarz z brwiami nawisłymi i czołem pomarszczonym ponura była i zasepiona.

Wśród ciemnego zarostu oczy błyskały tylko i lice zbladłe.

Gdy Kaźmierz zbliżył się z poszanowaniem, oba zmilczeli, długo patrząc na się. Zdumienie

odbierało mowę. Wichfried tymczasem oczyma niespokojnymi sięgał w las upatrując, czy dwór i łowcy książęcy nie nadciągają. Obawiał się napaści, pochwycenia. Gotów już był do rozpaczliwej obrony i ręka, mimo woli za miecz chwyciwszy, już go nie puszczała. Na ostatek Kaźmierz

przerwał milczenie, głosem odzywając się łagodnym:

— Prawdziwe zrządzanie boże, żeśmy się tu spotkali. Mieszek ręką rzucił, obejrzał się wkoło, jakby niespokojny był, że ludzie nie nadciągają. Po krótkim namyśle z konia zsiadać począł.

Wichfried, choć powinien był, nie ruszył się mu pomagać, stał na straży.

Na twarzy Kaźmierza nie widać było wielkiego poruszenia, pozostał prawie spokojnym i

uśmiechniętym, spoglądał na brata z życzliwością i uczuciem braterskim, gdy Mieszek drżał ze wzruszenia, gryzł usta i hamował się, by nie wybuchnąć.

Z wejrzeń rzuconych na Wichfrieda widać było, że pragnął, aby się oddalił; świadek mu był

niepotrzebny. Spostrzegłszy to, Kaźmierz szepnął Niemcowi, aby uszedł na stronę, co ten spełnił

dosyć niechętnie, stanąwszy w niewielkiej odległości, aby w pomoc mógł nadbiec księciu, gdyby się okazała potrzeba. Wzrokiem niespokojnym patrzył ciągle w las, gdyż zdało mu się, że

niechybnie orszak Mieszka nadciągnąć musi, a książę da hasło do jakiego zamachu.

Ten jednak, komu on się zdawał grozić najwięcej, nie okazywał najmniejszej obawy.

Mieszek mierzył go oczyma z powagą starszego brata i zwierzchnika.

— Co tu robisz? — spytał ostro.

— Zbłąkałem się na łowach jak ty.

— Jam się nie obłąkał — odpowiedział Mieszek — ja zawsze wiem, dokąd i kędy idę.

Kaźmierz spojrział nań wzrokiem rozbrajającym, pod którego szczerością i wyrazem łagodnym Mieszek się uczył jak nie swój i poruszył dziwnie. Spojrział na stojącego w dali Wichfrieda i rzekł głosem przytłumionym:

— Słałem po ciebie, wołając do Krakowa.

— Nic o tym nie wiem, poseł musiał nie zastać mnie w Sandomirzu, byłbym pośpieszył na wezwanie.

Mieszek niedowierzająco nań patrzył.

— Byłbym się stawił — powtórzył Kaźmierz z uśmiechem.

— Potrzebowałem mówić z tobą — dodał Stary głosem poruszonym i przerywanym — chciałem cię przestrzec, abys ze mną nie poczynił wojny.

— Ja? z tobą? — podchwycił Kaźmierz. — O cóż my byśmy z sobą wojować mieli?

— Nie udawaj, jakobyś nie wiedział — wybuchnął Mieszek następując nań groźno. — Te warchoły, którym Władysław był za ciężkim, którym Bolko nie mógł dogodzić, chcieliby i mnie zrzucić, a ciebie w mym miejscu osadzić. Wiesz o tym?

— Wiem — rzekł Kaźmierz spokojnie.

— Nie radzę ci dać się uwieść — mówił Stary — prędzej ty głową nałożysz i swoim księstwem, niżeli moje zajmiesz miejsce.

— Ja też go nie chcę — odpowiedział Kaźmierz z pewną wyższością i zimną krwią, patrząc na rozjątrzonego brata — nie chcę go.

— Choćbyś chciał, to go nie dostaniesz — odezwał się Mieszek. — Ten tłum oszalały, któremu biskup buntownik dowodzi i głupi wojewoda, nowe prawo chce wprowadzić. Ja mojej

władzy i panowania nie winien ich łasce ani ich wyborowi, ale mojemu starszeństwu, a przy prawie moim stać i trzymać je będę! Król ojciec nasz miał wolną wolę rozporządzać tym swoim krajem dziedzicznym; było to jego mienie, krwią kupione, rozdzielił je, naznaczył, kto ma panować; ziemian

o to nie pytał i ja łaski ich prosić nie będę! Oni u mnie tyle znaczą, co kmiecie i osadnicy, słuchać muszą i będą! Biskupom się ja nie dam na równi z nami rozsiadać!

Każmierz słuchał bez wzruszenia.

— Czyń, co chcesz i do czego masz prawo — rzekł — to nie moja rzecz. Ja niczego nie pragnę, tylko spokojnie siedzieć w domu, Boga chwalić a zabawiać się, jak mi się zda.

Mieszek patrzył nań pilno, badał, czy prawdę mówił.

— Tak, z tym ci lepiej będzie — począł, przechadzając się tam i sam przed stojącym

bratem. — Nie radzę ci ani warchołów słuchać, ani się zadzierać ze mną. Dziesięć razy mogą mnie wyrzucić z Krakowa, wrócę jedenasty raz i nie daruję swojego, wrócę siłą, wojną, zdradą, a moje prawo strzymam. Rozumiesz to?

— Rozumiem dobrze — odparł chłodno Każmierz — to twoja rzecz.

— A twoja — mieć rozum i nie dać się tym ludziom pochwycić w kleszcze, bo między nimi a mną ty zostaniesz na miazgę zgnieciony.

Mieszkowi jakby tchu zabrakło, pociągnął powietrza, gniew obejmował go coraz większy.

Powoli Każmierz przystąpił doń i ujął go w ramiona.

— Mieszku — zawołał błagająco — uspokójże się! Jeśli kto, to ty mnie od dziecka znać

powinieneś. Wiesz, że nigdy nie pragnął wiele, a od żądy panowania Bóg mnie strzegł i sił mi nie dał po temu. Przypomnij sobie, że po śmierci Bolka miał Kraków w ręku, a ziemianie przede mną klęczeli prosząc, abym został z nimi. Dla ciebie im odmówiłem, znając com starszemu winien.

Mieszek, jeszcze nie uspokojony, wyrwał się z objęć jego.

— Nie o ciebie szło i idzie warchołom — począł żywo — nie ciebie oni chcą! Dawno do

tego dążą, aby prawa nasze dziedziczne znieśli, a sobie wolność wybierania panów, jakich chcą, i zrzucania ich zdobyli. Ale pókim ja żyw, nie dam im tego. Jutro nas wszystkich wygnają, aby obcego posadzić.

Każmierz słuchał go smutny.

— Dlatego — dodał Stary — chcą ciebie na Kraków i na mnie prowadzić. Tyś słaby,

ulegniesz biskupowi, wojewodzie i krzykaczom, ale pomnij, że tu nie o mnie idzie, jak o głowę twą i dziecka twojego.

— Bracie — odezwał się Kaźmierz — krzywdzisz mnie!

— Przestrzegam cię! — odparł Mieszek groźno, przechadzając się ciągle.

— Chcesz zapewnień z mojej strony?

— Jakich? — przerwał Stary. — Ty mi żadnych dać nie możesz nad jedno: jedź do mnie do Krakowa i siedź przy mnie.

Spojrzał nań; Kaźmierz głową potrząsał.

— Tego nie uczynię — odparł — byłaby to niewola dla mnie upokarzająca, ciebie obwiniająca. Nie mając mnie, jeśli im idzie o nowego pana, wezmą Leszka.

— To piskłę schorzałe — zaśmiał się Stary pogardliwie. — Zapewne! Im co słabsze, to lepsze; mocnej ręki nie znoszą nad sobą, a im potrzeba żelaznej! Potrzeba żelaznej — dodał — jeżeli się te ziemie nie mają rozpaść na szmaty i kawałami pójść w obce ręce. Nie, nie! Tę żelazną rękę ja mam i nie dam się ojcowiźnie Chrobrego roztrząść i przepadać!

Zmilkła chwilę.

— Na Kietlicza krzyczą — począł. — Kietlicz sługą jest u mnie, ja nim obracam. Co on czyni, ja robię. Drę ich ze skóry, aby mi siedzieli cicho. Za mało zrobił jeszcze, nie posiałem dość trwogi, kiedy się ruszać śmieją. Biskupa przecherę dawniej potrzeba było uwięzić.

— Mieszku, bracie! — przerwał Kaźmierz gwałtownie. — Biskupa! Pasterza! Abyś wszystkich duchownych i Rzym oburzył na siebie! Duchownego tknąć!

Mieszko szydersko, gorzko się uśmiechnął.

— Chcesz, abym ja im dał u siebie, obok siebie, nad sobą panować? Ani ja, ani ty, ani nikt panem nie będzie, póki biskupi z nami na równi siadać nie przestaną. Dumę ich trzeba ukrócić.

Pierwszymi sługami być muszą, nie więcej.

Poblady ze wzruszenia i trwogi Kaźmierz z błaganiem zbliżył się powtórnie do brata:

— Bracie! Pomstę bożą ściągniesz na siebie! — wykrzyknął.

— Ja się do ich ołtarza nie mieszam ani Gedkowi księży święcić, ni mszy odprawiać nie bronię, ale wara im mieszać się do spraw moich i chcieć stawać sędziami nade mną!

— Słudzy Boga! Bóg stoi nad nami! — przerwał Kaźmierz.

— I jam też nie bez Boga — zawołał Mieszek — wiesz, żem zakonników sprowadzał, osadził, nadał im włości i ubogacił na chwałę bożą! Imię Pańskie niech się święci na niebie i ziemi, ale ład musi być na niej, a gdzie dwu panów, tam żadnego; gdzie nas dwu, tam wojna wieczna!

Nie zdawał się tego młodszy rozumieć i smutnie spuścił głowę.

— Bracie — odrzekł — więcej pewnie nade mnie masz rozumu, ale dlaczego wojnę z Bogiem chcesz wieść, bo ze sługami jego? Oni ci pomocnikami będą, nie wrogami, ale ty im bądź bratem.

— Panem im, a nie bratem muszę być! — zawołał Stary dumnie. — Tyś dzieciak i nic nie rozumiesz, oni Bogiem dla władzy frymarczą.

Nastąpiło milczenie. Kaźmierz przerażony wzdychał.

— Na miłość bożą — odezwał się łagodnie — na pamięć pobożnej matki naszej zaklinam cię, rzuć te myśli i gniewy, one cię do zguby prowadzą.

— Nie są to zabawki dziecinne, które by można precz kinać — rzekł Mieszek. — Myślałem dobrze, co czynić mam; wiem, co czynię. Stanie się, com zamierzył, lub zginę. Nie u nas, po całym świecie moc duchownych wzrosła tak, że nas wzięli pod stopy swoje. Nie ja jeden z nimi walczę, wszyscy królowie i książęta bój z nimi staczać muszą, aby się ich czeladzią nie stali.

Kaźmierz krzyż zrobił w powietrzu, jakby myśli złe chciał odzegnać od brata.

— Nie giń — rzekł — a nie chcesz, co niemożliwe. Cesarz silniejszy od ciebie, a rzymskiemu biskupowi oprzeć się nie może, a ty z Rzymem i jego sługami chcesz walczyć.

— Bo oni do walki wyzywają — zawołał Mieszek — jam ich dobrodziejstwami obsypał, oni się przeciw mnie wiążą!

Wtem zamilkł, jakby czuł, że mówi nadaremno, i dodał porywczo:

— Dość tego! Jedź ze mną!

— Nie mogę — rzekł Kaźmierz stanowczo. — Nie masz się co mnie lękać. Z dobrej woli nigdy nie pójdę przeciwko tobie; to, co mam, starczy mi, nie chcę nic więcej. I jedno to księstwo

często zacięży. Kocham spokój i ciszę, kocham sprawiedliwość, kocham ciebie, tak jak pamięć ojca! Ufaj mi!

— Tak, aleś słaby, miękki jesteś — odparł Stary — wezmą cię w garść i uczynią, co zechcą.

Nie wiesz, co cię czeka, ani oni wiedzą, co ich oczekuje. Jam nie Władysław, mnie wygnać trudniej im będzie. Starał się i on, bronił, ale ja nie dam wam chwili wytchnienia, nie ulegnę; prawo me znam i życie dam za nie. Jestem głową rodu!

W czasie tej rozmowy, która często głośniej wybuchała, Wichfried stojący na uboczu, który nie słuchając nawet mógłby ją był odgadnąć, wykrzyki namiętniejsze chwycił i drżał z niepokoju a trwogi. Posłyszał, że księżę chciał Kaźmierza zabierać z sobą i obawiał, aby się ten mu nie dał

pociągnąć. Przedłużająca się ta walka na słowa coraz bardziej go trwo- chwycił trąbką i począł w nią dąć tak gwałtownie, że Wichfried uląkł się.

— Na Boga! — zawołał. — Na koń! Na powrót w lasy, a nie, tośmy zgubieni! Z oczów

Mieszka widzę, że na Was rad rękę położyć; jeżeli ludzie nadbiegną, pochwyca nas!

Kaźmierz okazał więcej odwagi, głową potrząsał, ale natręctwu obronić się nie mogąc,

posunął się ku koniowi. W jednej chwili oba byli na siodłach, a że księżę się ociągał, Niemiec pochwyił konia jego za uzdę i puścił się co żywiej ku rzece.

Tymczasem jak groźba trąbka Mieszka odzywała się za nimi, w głosie jej nawet brzmiały

gniew i zniecierpliwienie. Udało się jednak Wichfriedowi Kaźmierza w gąszcze uprowadzić. Nie pozwalając mu spocząć, na oślep z nim darł się w las coraz głębiej. Nasłuchiwał tylko, czy trąbienie oddala się i słabnie. Księżę jechał spokojny, z twarzą pogodną, na której wewnętrzna radość się malowała, co dla Wichfrieda niepojętym było.

— Sam Bóg to sprawił — odezwał się, ujechawszy kawał drogi — żeśmy się z bratem w tej

puszczy sam na sam, oko w oko spotkali. Mieszek będzie spokojniejszym, ja także. Powinien to czuć, że mi zaufać może.

Wichfried, nic nawet nie odpowiadając, co żywiej w głąb lasu pędził oglądając się i nadsłuchując.

— Nie odetchnę — zawołał po przestanku długim — aż się jak najdalej od księcia

znajdziemy! Gdyby nie ja, Miłościwy Panie, byłibyśmy w jego mocy i niewoli. Gdybym, Boże mi odpuść, nie skłamał — dodał Niemiec trochę samochwalczo, rad, że podstęp udał mu się tak

szczęśliwie — gdybym nie nastraszył, wzięliby nas!



— I to pewna — przerwał Kaźmierz wesoło — że gdyby nas wzięli, byłiby musieli nas

nakarmić, tymczasem dla twojego strachu aniśmy mieli możność spytać, gdzie my jesteśmy, ani wiemy, gdzie się obrócić, a głód przyznam ci się, dokucza straszliwie.

— No, lepszy głód niż łyka — odparł Wichfried — a Bóg łaskaw, do wieczora rada się na to jakaś znajdzie.

Proroctwo to nierychło się jednak ziściło. Pośpiesznym krokiem jadąc, do zmierzchu nie natrafili na żadną utartą drogę ani na osadę, ni na człowieka. Już mrok padał, a strach coraz większy ogarniał Wichfrieda, gdy w dolinie u skraju boru ukazała się chata otoczona płotami, z której dymnika siny słup się dobywał. Na widok jej Wichfried wydał okrzyk zwycięstwa, konie zarżały.

Głosy te musiały się dać słyszeć wewnątrz zagrody jej mieszkańcom, gdyż zza płota wyrzało głów parę i natychmiast się schowały.

Księżę z towarzyszem przypadli do zapartych wrót pośpiesznie, obawiając się, aby — jak

się to najczęściej trafiało — mieszkańcy na widok uzbrojonych jeźdźców nie pierzchnęli i nie pochowali się. Stanąwszy u wjazdu, musieli długo stukać, wołać, dobijać się, nim na ostatku, gdy wyłamywaniem wrót grozili, nie wyszedł siwy staruszek bosy, w grubym przyodziewku parcianym, z brodą białą do pasa i głosem drżącym nie począł się im tłumaczyć pokornie, że sam ze starą babiną tu siedział, ubogi był, koni nie miał.

— Ale my od was ani koni, ani przewozu daremnego nie chcemy — zawołał księżę —

jesteśmy zbłąkani, głodni, chleba nam dacie, zapłacim, jak Bóg przykazał!

Staruszek, choć nie dowierzając, otworzył im. Chata była czysta i nielicha, obejście

porządne, po którym poznali łatwo zamożnego gospodarza, a ten się im stawił jako bartnik. Na stole znalazł się chleb, w sklepiku — miód, w komorze — jaja świeże i mięso suszone. Stara babina służyła milcząca, bartnik, kręcąc się po chacie, strwożony ciągle i nieufny, ledwie na pytania chciał odpowiadać.

Księżę uderzony był tym, że w chacie żadnego znaku chrześcijańskiego nie znalazł, krzyża nigdzie, w mowie staruszka dziwne wyrażenia, pogaństwem tchnące.

Na zapytanie bartnik, jeszcze bardziej wylękły, zaraz się przed księciem śpiesznie przeżegnał, ale na tym podobno cała jego nauka chrześcijańska się kończyła. Oznaki guseł pogańskich, wianki, zdoła, nawet bałwanki dziwaczne widać było po kątach i nad progiem w ścianie.

Starucha osłaniała je, jak mogła od oczów, ale mowa obojga zdradzała pogan, którzy w głuchym tym zakęcie, równie jak tysiące innych, żyli obyczajem praojców i pod dębą, do źródeł modlić się jeszcze chodzili.

Nazajutrz rano, spoczawszy na sianie w szopie, księżę z Wichfriedem puścili się pokazaną im drogą ku Sulejowu, a mieli jej jeszcze dnia półtora.

## IX

W obozie Szczepana, w którym się ciągle gotowało jak w garnku, bo coraz nowe poczty na dane hasło się ściągaly, oczekiwano teraz zapowiedzianego przybycia biskupa Gedki.

Kości były rzucone, burzącym się ziemianom zapowiedziano, iż biskup z wojewodą, ze starym Żyrą Gryfem i innymi przedniejszymi natychmiast do Sandomirza wyruszą i Kaźmierza, choćby po niewoli, wezmą, aby go na Krakowie posadzili. Wszystko już było przygotowane i umówione, że oprócz Kietlicza i małej garstki tych, co Mieszka najbliżej otaczali, reszta na dany znak opuścić go miała i do swoich się przyłączyć. Stary wojewoda oczekiwał tylko na biskupa.

Tego wieczora, gdy Dorota do obozu przybyła po rycersku przebrana, chciała niecierpliwa natychmiast o sobie dać znać staremu miłośnikowi, ale tłum w namiocie był wielki, świadków mnóstwo, obawiała się, aby staremu wiadomość o jej przyjeździe nie sprawiła więcej postrachu niż radości. Czekwała do późnej nocy, ażby się pod namiotem uspokoiło, sama zaś bojąc się iść, gdy się ludzi nieco przebrało, pacholę swe posłała do Szczepana.

Wojewoda prędzej się śmierci niż gościa takiego spodziewał. Nie czas mu było myśleć o niewiastach, gdy wszystkie sprawy na głowie jego leżały, a biskup lada chwilę miał przybyć. Stał we drzwiach namiotu sam, oddychając świeżym wieczornym powietrzem, pot ocierając ze znużonego czoła, gdy pacholę nadbiegło.

Wojewoda znał je dobrze ze dworu wdowy, ale spostrzegłszy, tak się mało spodziewał, iż oczom swym nie uwierzył. Dopiero gdy chłopak przemówił, ocucił się stary Szczepan.

— A ciebież tu jakie лихо przyniosło? — zawołał.

— Z jej miłością razem — odparło chłopię.

— Czyś oszalał? z kim?

— Ano, z jej miłością panią naszą, Dorotą. Wojewoda ręce załamał.

— Gdzie, gdzież ona jest?

Chłopak wskazał namiot niedaleko rozbity, dodając głosem cichym:

— Czeka na miłość waszą.

Żadne odwiedziny straszniejszymi staremu nad te być nie mogły. Nie mógł się wydziwić

zuchwałej niewieście, drżał i bladł, zimny pot go oblewał. Lada godzina mógł biskup nadjechać, biskup groźny, który go już za te niewczesne miłostki chciał wyklinać. Nużby się dowiedział, że Dorota tu aż za nim przypędziła? Wprawdzie pochlebiało to staremu, ale z obawy publicznego zgorszenia, struchlał. Co tu czynić było?

— Ale to nie może być! — zawołał.

Chłopiec za całą odpowiedź namiot wskazał i ramionami zżymnął.

Wojewoda ruszył się iść i wstrzymał, nie wiedział sam, co miał robić, ręce załamał. Znał

śmiałość niewiasty, która gotowa go była wobec wszystkich ziemian, a bodaj biskupa, na sztych wystawić. Przeklął w duchu i nieszczęsną swą słabość dla niej, ją i siebie. Musiał, zapobiegając gorszemu, iść do niej zaklinać, prosić, aby się natychmiast oddaliła.

— Niech idzie, gdzie chce, choćby wskrós ziemi, szalona baba! — wołał wojewoda. — Tu

jej nie powinno być, aby mnie wszystkie ciury na języki nie wzięły!

Jak stał, natychmiast za chłopcem poszedł. Namiot był niedaleko rozbity, do innych

podobny, ludzie około niego zbrojni, szczęściem niewiasty nie było widać. Gdy podniósłszy płotek, wojewoda wszedł do środka, widok od progu zatrzymał go osobliwy. Tyłem do wnijścia stał rycerz średniego wzrostu, pięknej postawy; a obok niego urodziwy koniuszy właśnie go ze zbroi i kaftana rozdziewał.

Usłyszawszy chód, rycerz się obrócił i wojewoda poznał Dorotę, której w tym stroju

męskim do licha było wdzięcznie. Dziwnie mu się piękną i pokaśliwą wydawała. Przy niej stał

jeszcze szyszak zamknięty, który z głowy zrzuciła. Zobaczyła wojewodę, szepnęła coś koniuszemu, który natychmiast, pokłoniwszy się wojewodzie, z szyderskim wyrazem twarzy się oddalił. Gdy zostali sami, Dorota wprost przypadła do wojewody. Ten się cofnął.

— A toś oszalała — zakrzyczał — w ogień leźć, mnie i siebie gubić, trzeba rozumu nie mieć!

— Milczałbyś, ty stary grzybie — gniewnie odpowiedziała Dorota, która się takiego przyjęcia nie spodziewała — co byś mi miał do nóg paść, łajesz jeszcze.

— Ja ci padnę do nóg, tylko żebyś sobie stąd szła co najprędzej — odparł Szczepan. —

Biskupa tylko co nie widać, niechże się tylko o was dowie, a on będzie wiedział wszystko, co mnie tu czeka, a co was!

— A tyś chciał, żeby mnie bracia jak raka pod kamieniem garścią wzięli w domu! —

zawołała wdowa. — Już byli na mnie gotowi najść tej nocy, gdym uciekła. Nie miałam co czynić, tylko opieki szukać albo ginąć.

— Ależ tu obóz! Targowica! Ludzi stek, biskup! Na srom się wystawić! — odparł wojewoda za głowę się chwytając.

— Jaki srom?! Ja czego się mam sromać?! — zawołała wdowa brwi marszcząc groźnie. —

Czego ja się mam wstydzić? Mów! Czego? Któż lepszy? Drugie robią to po cichu, co ja głośno!

Jestem wolna i pani siebie. I ten mi jeszcze będzie oczy wypiekali — dodała odwracając się od niego. — Patrz gol Zamiast pomocy, on mnie wstydem jeszcze karmi! Coś to ty? ksiądz na spowiedzi? Ano, już po Wielkiej Nocy!

— Ale wy tu nie możecie pozostać — błagając rzekł wojewoda. — Zgubicie mnie i siebie!

Biskup mnie i was z obozu wyświeci — chwycił się za głowę — choć ty tu giń!

— A dokądże mam iść?! — zawołała Dorota. — Dokąd?!

Szczepan, ręce łamiąc, sparł się o drąg namiot podtrzymujący, nogi mu drżały. Dorota stała, włosy swe, które pod szyszakiem się zgmiotły, w rękach zwijając. Patrzała na wylękłego z góry, z politowaniem i wzgardą.

— Jeżeli wy mi nie dacie rady — rzekła — oh oh, znajdę ja tu takiego, co mnie w opiekę

rad weźmie. Jest ich tu siła takich, co się do mnie stroili i w gachy przyjeżdżali. Ino skinę, mieć będę, ilu zechcę, ale niedoczekanie wasze, panie wojewodo, żebym na was potem choć spojrzę, nigdy! Ty stary tchórze, co się ludzi boisz, biskupa boisz, mnie boisz! A to z ciebie wódz do wojny!

— E, słuchaj — odparł osmagany tak wojewoda burząc się. — Takiej baby, jak ty, i didko

się ulęknie! Ja się strzały ani oszczepu, ani miecza nie lękam, tylko diabła i niewiasty.

Dorotę śmiech wziął.

— No, mów! Co mam robić?

— Albo ja wiem — rzekł Szczepan — wiem tyle, żeś tu być nie powinna. Jedź gdzie na dwór do ziemian, to cię przyjmą.

— Między baby, co mi kąpiel do rąk dla zabawy dadzą, żeby mnie z między nich bracia gołą ręką za kark wzięli? Mądry jesteś do rady!

Odwróciła się; wojewoda znękany jęczał prawie.

— Jak mnie Bóg wyrwie cało z tej gorącej łaźni — począł z cicha — klasztor założę i wyposażę. Biskup tej nocy gotów być!

— Ano, do mnie on, nie spodziewać się, żeby po nocy szedł — rozśmiała się wdowa — a że ja stąd po nocy nie ruszę, to jak mnie widzisz żywą. Któż się tu mnie domyśli? Ludzi kupa, jam we zbroi po męsku przybyła.

— Ta ta ta — przerwał stary — nie domyślą się! Zwachają podwikę, choć zbroją okrytą!

Im więcej wojewoda Szczepan okazywał bojaźni, tym Dorota więcej się tym zabawiać zdawała. Śmiała mu się w oczy.

— Idźże sobie, panie wojewodo, do swoich — rzekła — ja wiem, co zrobię. Bywaj zdrowy, ja cię już na oczy widzieć nie chcę. Ruszaj do starej żonki pomarszczonej, koło niej od biskupa będziesz bezpieczny.

Wskazała na drzwi namiotu. Szczepan stał walcząc z sobą, ale obawa przemogła nad namiętnością, milczał. Dorota kończyła:

— Darmom na stare próchno rachowała! Jutro ruszę wprost do Sandomirza do księcia i oddam mu się w opiekę. Ten mnie nie odpędzi jak wy! Kaźmierz piękny, dobry i biskupa się nie ulęknie!

— Księżę żonaty! — mruknął wojewoda.

— A ty nie? — śmiała się wdowa. — Przeto pięknej się niewiasty nie wzdraga!

Pokazała mu znów na drzwi.

— Idźcie patrzeć, czy biskup nie jedzie z Panem Bogiem!

Wojewoda rad by był znalazł jakiś środek między zupełnym rozstaniem a bezpieczeństwem

swym w tej chwili, ale wdowa mówić już z nim nie chciała. Zawołała koniuszego stojącego pod namiotem, aby z niej kaftan zdejmował.

— Jutro do dnia — wydała rozkaz głośno — do Sandomirza, tu nas nie przyjmują!

— My też tam z księdzem biskupem ciągniemy — zamruczał wojewoda.

Dorota, nie zważając nań, zaczęła po cichu szeptać ze swym sługą, jakby starego na świecie już nie było. Wojewoda zmieszany pozostał jeszcze czas jakiś, lecz widząc, że nań oka nawet nie myśli zwrócić wdowa, wyniósł się trochę gniewny, a bardzo niespokojny.

Całą noc w obozie spano mało; ziemianie pili dużo do rana i aż nade dniem się zdrzemnęli.

Wojewoda jeden nie jadł, nie pił, oka nie zmrużył, tyle miał do myślenia. Dopóki by biskup nie nadszedł, nie czuł się bezpiecznym. Znał księcia charakter gwałtowny i zmienne usposobienie ziemian, a wiedział, że pochwycyony, skazanym by był na postradanie oczów i ucięcie ręki.

Niespokojny więc na biskupa oczekiwał jak na zbawcę.

Oznajmywany Gedko ani tej nocy, ani nad ranem nie przybył. Posłano na zwiady, aby

przyjazd jego przyspieszyć. Z rana, jak tylko rozwidniało, wojewoda sam uchylił ściankę namiotu, aby przekonać się, czy Dorota, która obozowała niedaleko, dotrzymała słowa i ruszyła do

Sandomirza. Właśnie, gdy wyglądał, zwijano jej namiot i konie prowadzono, zobaczył ją w hełmie zamkniętym i płaszczu, a raczej domyślił się, gdy dosiadając karego, ze swoimi wyruszać miała.

Ziemianie przebudzeni i strwożeni tym, że ktoś od nich odciągał, a siły ich uszczuplić się miały, poczęli wołać i nakrzykiwać, ale Dorota, nie słuchając i nie odpowiadając, pojechała w swą drogę.

Lżej odetchnął Szczepan, w oczach mu się rozjaśniło. Położył się dopiero i zasnął. Czuł, że to utrapienie, które mu tak groźne przesunęło się przed oczyma, było karą bożą i przestrogą ku poprawie.

Okolo południa ludzie nadbiegli oznajmując, że biskup Gedko ciągnie już. Wojewoda z

przedniejszymi władzykami wybrał się zaraz na spotkanie pod krzyż o staj kilkoro na gościńcu.

Pasterz krakowski przybywał tu już nie jak do Tyńca wyruszył, ale z całą wspaniałością

książęcego swego dworu i otoczenia. Szły przy nim oddziały przedziwnie zbrojne, całe we zbrojach z Niemiec sprowadzonych, na koniach dzielnych, pod chorągwią własną. Jechał krucyfer, kapelan, kanclerz i duchowni, podkomorzowie, dwór, młodzież ziemiańska, komornicy, czeladź, służba, szły na wozach namioty i sprzęty podróżne. Nie zbywało i na trąbach, i bębnach, które przybycie oznajmywały głośno. Sam biskup dla długiej drogi w kolebce jechał szkarłatem wysłanej.

Słowem, pochód był, jakiego wymagało dostojęństwo pierwszego w kościele po

arcybiskupie gnieźnieńskim prałata i ród jego stary a możny; pochód wspaniałości książęcej, wrażliwy poszanowanie większe niż panującego, bo krzyż mu przodował. Gdy stojący na drodze pod figurą ziemianie z wojewodą ujrzeli biskupa, okrzyknęli go czapki podnosząc do góry.

Gedko błogosławił. W zwiększonym orszaku ciągnęli stąd do obozu. Wojewoda Szczepan teraz dopiero się czuł bezpiecznym.

Wprowadzono biskupa do namiotu, do którego zaraz ziemianie tłumnie się cisnąć zaczęli. A

że każdy go widzieć i słyszeć chciał, a ciasno było we środku, musiano ze wszystkich stron podnieść ściany płócienne. Cichość się stała na chwilę. Biskup kłaniających mu się i cisnących do ręki błogosławił i modlitewkę krótką odmówiwszy, począł podniesionym głosem:

— O to ci między was przybył, dzieci moje, aby do dzieła sprawiedliwego przewodniczyć

w imię Chrystusa Pana, Dzieło sprawiedliwe jest i chwalebne. Nie godzi się, aby dla jednego człowieka cierpieli wszyscy. Książę Mieszek kościoła nie szanuje ani sług jego, ani starych praw i zakonów ziemi naszej. Prawo swoje bezprawiem chce gruntować. Myśmy nawykli panów sobie

dawać sami i wybierać, on siłą panować chce. Szanujemy krew pańską! Gdy jeden obrany nie godzi się nam, drugiego wziąć możemy. Niech nam Kaźmierz panuje, który Boga się boi i dla ludzi ojcem będzie.

Na to hasło zawołali wszyscy:

— Kaźmierza mieć chcemy! Kaźmierza!

Obóz rozległ się cały aż do krańców wywoływaniem tego imienia.

Biskup skończył na tym, usiadł znużony; zapuszczono ściany namiotu, ziemianie rozchodzić

się zaczęli, a wojewoda przyjmował Gedkę. Rozmowa zaczęła się poufna. Postanowiono, jak tylko wypoczną konie i ludzie się posilą, ruszać natychmiast w dalszą drogę do Sandomirza.

Tymczasem wdowa przodem tym gościńcem się puściła. Nieustraszona niewiasta nie bardzo

się kłopotowała tym, co ją tam spotkać mogło. Po drodze jednak nie wydawała się z sobą, na popasach i noclegach nie zdejmując szyszaka, dopóki widzianą być mogła.

Nie śpieszyła też bardzo, czując się tu już bezpieczną, a podróżą zabawiając się z płochością sobie właściwą, bo jej niepewność i groza położenia się odejmowały swobody umysłu. W drodze trafiały się i łowy, goniono zwierza po lasach, spoczywano w dąbrowach, rzadko zajeżdżając do osad po drodze. A że na gościńcu głównym do Sandomirza ludzi było dosyć, bo ziemianie

niektórzy i samopas ciągnęli, że często gromadki wdowy czepiano się a dopytywano, aby się zbyć natrętów, wołała przesuwać się bocznymi drogami. W końcu rzeka się ukazała, miasto i zamek.

Jechać wprost na gród nie było można.

Przez drogę myślała już, jak się do księcia dostanie, rozrachowując po niewieściemu

wszystko, aby się lada czym zbyć nie dać. Straciwszy wojewodę, wyżej sięgała; opiekuna chciała mieć w Kaźmierzu, który był piękny, młody jeszcze i niewiasty lubił. Ufała w to mocno, że go sobie zyskać potrafi. Wiedziała dobrze, iż księżę miłośnicę miał, ale była pewną, że go od niej oderwać potrafi. Myśl ta zapalała ją mocno, bo i księżę się jej podobał, gdy go dawniej widziała, i na braci w nim oręż mieć chciała.

— Bodaj czarów użyć, a muszę go mieć! — mówiła w duchu. — Są przecież napoje, zioła, sposoby, uroki, nie zechce po woli, to go nimi przyciągnę.

Wiara w gusła była naówczas powszechną, stare baby zajmowały się nimi. Nie dziw, że piękna Dorota w pomoc swym wdziękom czarodziejki wszechmocne wziąć chciała. Wzywano je we wszelkiej potrzebie.

Oddział wdowy przyciągnął do miasta; w bramach zaraz koniuszy, spytawszy o księcia, dowiedział się, że go nie było. Nie wiadano, dokąd pojechał ani kiedy powróci. Powiadano tylko, że dosyć już dawno ruszył w lasy, na zamku niepokój był wielki i ludzie się w różne strony, szukając go, rozbiegli.

Pod miastem na podzamczu musiano szukać miejsca na obóz dla ludzi, a w chacie

mieszczanina Dorota wprosiła się do komory. Służba jej wnet ubogą tę świetliczkę przybrała tak, że w niej panią znać było. Na wozach się znalazły opony, sukno i kobierce. Pierwszy to raz po wyjeździe ze Skał Dorota się ze zbroi i męskiej odzieży rozebrała i położyła spoczywać.

Przed księciem chciała stanąć po niewieściemu i z całą zalotnością przystroić się do niego.

Dzień jeden i drugi upłynął na próżnym nań oczekiwaniu. Posyłano na zamek, zawsze tę

samą odbierając odpowiedź, że o księciu słyhać nie było. Tymczasem już i wojsko wojewody, i orszak księdza biskupa nadciągnęły do Sandomirza. Oba dostojnicy na zamku się rozgościli, a wojska ich szeroko zaległy pod miastem dolinę.

Z przybyciem biskupa inaczej się wszystko poruszać zaczęło, podwojono troskliwość w

poszukiwaniach księcia. Księżna Helena, zarazem uradowana i przelękała, z Goworkiem i Jaksą przyjmowała gości.



Jawnym już było z tego ociągania się księcia z powrotem, iż chciał uniknąć posłów po niego przybywających, a władzy ofiarowanej przyjmować się wzdragał. Ale biskup Gedko o oporze z jego strony słuchać nie chciał, pewien będąc, że powagą swą zmusi go do posłuszeństwa. Władzy duchownej nic się odmawiać nie godziło. Wojewoda stał za biskupem i pod jego rozkazami.

Przybywszy tu, choć zaprzątniony publiczną sprawą, z trwogą i nad tym przemyślał, że Dorotę przodem do Sandomirza wyprawił, prosząc Boga, aby mu tu nie zaszła gdzie drogi.

O tym już ona nie myślała. Koniuszy tylko co dzień do zamku wysyłany był na zwiady, ale z niczym powracał.

Jednego rana wręście ruch postrzeżono wielki w zamku i na mieście, ludzie zaczęli

wyjeżdżać zbrojni i postrojeni, oddziały szykować się, rycerstwo chorągwie podnosić i wypływać na gościniec. Koniuszy doniósł, że się księcia spodziewano. Uderzyło serce Dorocie; teraz się losy jej wkrótce rozwiązać miały.

Kaźmierz istotnie powracał, zmuszony przez tych, co po niego do Sulejowa wyjechali.

Przybywał z mocnym postanowieniem skończenia sprawy bolesnej odmową jawną. Nie wiedział jeszcze ani o przybyciu biskupa, ni o wojewodzie.

Jak tylko znać dano o zbliżaniu się Kaźmierza, Gedko uroczyście naprzeciw niemu wyruszył.

Dorota z chaty, którą zajmowała, widzieć mogła, jak po prawej ręce mając Gedka, po lewej

Szczepana, ksiązę, otoczony tłumem okrzykującym go, blady i pomięszany na zamek wciągał,

gdzie u wrót księżna z synkiem nań czekała. Wdowa po raz pierwszy po latach wielu zobaczyła Kaźmierza, a wydał się piękniejszym jeszcze, jadąc tak smutny a poważny, gdyby męczennik jaki z wielką w twarzy boleścią, która dlań miłosierdzie obudzała.

Pochwycony, otoczony, witany z miłością, za którą musiał być wdzięczny, ksiązę czuł całą

przykrość położenia swojego, na obliczu jego malowało się wzruszenie i strapienie, upokorzonym się czuł niemal. Ile razy powtarzany okrzyk: „Żyw niech będzie pan nasz!" zabrzmiał z ust krakowian, wzdrygał się, odwracał głowę i błagać zdawał, aby się nad nim ulitowano. Słowa jednak wymówić mu nie dano, tak nieustannie go obwoływali.

Cały orszak ksiązęcy przeciągnął mimo chaty, w której oknie z bijącym sercem siedziała

sparta na ręku Dorota, pożerając oczyma pięknego pana. Serce jej, od pierwszej młodości

przywiązujące się łatwo i płochę, nigdy jeszcze tak gwałtownie nie biło, nigdy jeszcze mąż żaden nie zdał się jej tak dziwnie promienistym swą wielkością, a zarazem pociągającym boleścią i smutkiem. Namiętna niewiasta załamywała ręce, przemyślając, jak go sobie potrafi pozyskać. Przez głowę przechodziły jej myśli najdziwniejsze. Stach, którego zobaczyła za orszakiem księcia, nawet wojewoda, którego się pozbyła pogardliwie, zdali się jej na chwilę narzędziami, jakich by użyć mogła, aby się zbliżyć do Kaźmierza. Po krótkiej rozwadze wszystko to okazywało się

trudnym lub niepodobnym. Ze smutkiem rachowała, jak ciężko jej będzie dostać się do niego.

Tymczasem orszaki przeciągnęły, ludzie znikli, umilkło wszystko dokoła. Została samą z myślami swymi.

Księżę, którego pochwyciwszy na drodze, z taką radością wiedziono, jechał pogrążony w

trwożliwych dumaniach, spoglądając ku swoim, jakby od nich oczekiwał ratunku. Rad się był z tłumu tego wyzwolić na chwilę, aby się rozmyśleć, jak ma postąpić, i zobaczywszy księżną z synkiem, którego kochał bardzo, pochwycił Bolka na ręce, a żona i dziecię posłużyły do wyrwania się biskupowi i wojewodzie. Zwrócił się do nich, prosząc o potrzebny spoczynek. Dozwolono mu więc z księżną i synem wniknąć do środka samemu, Wichfried tylko, Goworek i Jaksza z dala za nim pociągnęli.

Zaledwie do komnaty swej się dostawszy, Kaźmierz padł na siedzenie, z wyrazem smutku

głowę kryjąc w dłoniach. Wszyscy dokoła twarze mieli wesołe, Bolko tulił się do niego, żona dopytywała o zdrowie. Kaźmierz głosem niepewnym odpowiadał tylko łagodnie, że potrzebuje spoczynku.

Z wolna więc powysuwali się wszyscy, księżę tylko odchodzącego Wichfrieda zatrzymał

ręki skinieniem. Długo jednak nie mógł przemówić do niego, chwytając się za głowę i piersi, oczyma zataczając dokoła, przysłuchując się z trwogą jakąś gwarowi na podwórcach.

— Wichfriedzie — zawołał — stało się, czegom się obawiał najwięcej! Aż tu przybyli goniąc i żądając, czego ja im dać nie mogę!

— Przyszli błagać, abys ich ratował — rzekł Wichfried. — Com przepowiadał, to się dokonało; biskup i wojewoda z krakowianami proszą na stolicę swą. Uchylić się niepodobna.

— Raczej znów ujdę na puszcę, skryję się, ucieknę — zawołał Kaźmierz — nize libym miał złamać słowo dane bratu i sumienie pokalać moje! Nigdy, nigdy!

— Siłą was wezmą — odparł Wichfried — opór tu próżny. Nie ma jednego człowieka, co

by wam pomógł przeciw nim. Księżna, przyjaciele, starszyzna, duchowni, przeciw wam, a z nimi.

— Milcz, Wichfried — ofuknął ksiązę — milcz, złe to są słowa!

Za drzwiami słyhać już było dopraszających się wnijsia. Jaksa uchylił zasłone i wcisnął się nie pytając zezwolenia. Spojrzał na Kaźmierza, badając twarz jego. Ksiązę się zwrócił ku niemu wyciągając ręce:

— Jakso, na miłość Zbawiciela, na miłość brata mojego, na družbę twą dla mnie, zaklinam cię, broń poczciwości mojej!

— Miłościwy Ksiązę, wiesz, zem za ciebie życie dać gotów! Mów, rozkazuj, uczynię, co mogę!

— Słyszysz i widzisz, co się dzieje! — wołał ksiązę niespokojny, wskazując na okno. — Ci ludzie przybyli tu, aby mnie uczynić krzywoprzysięcą! Idź do nich, mów z nimi; chcą tego, co niemożliwe. Broń mnie!

— Obrona byłaby zdradą — odparł Jaksa spokojnie. — Miłościwy Panie, woli bożej poddać się potrzeba.

— Woli bożej — przerwał ksiązę — ale to wolą bożą nie może być, co jest bezprawiem!

Zmilczał Jaksa i wyczekawszy, odezwał się:

— Ksiądz biskup Gedko pilno o posłuchanie prosi.

— Niech mi da choć chwilę spoczynku i namysłu — zawołał Kaźmierz — do tej walki się przygotować muszę!

Tych słów domawiał, gdy księżna Helena weszła, sama niosąc w ręku kubek nalany. Ksiązę, który słyząc drzwi otwierające się znowu, namarszczył już, wyjaśnił twarz dla niej i przyjmując napój z rąk jej, pocałował w czoło. Wychylił go bezmyślnie.

— Znużony jestem — szepnął — spoczynku potrzebuję, proszę, przyjmijcie biskupa za mnie.

Posłuszna księżna, nieśmiałe wejrzenie rzuciwszy na męża, wyszła powoli, a Kaźmierz, który zobaczył stojący tuż klęcznik z krzyżem do modlitwy, jakby pod opiekę bożą chciał się uciec,

padł na kolana, zasłaniając twarz dłońmi. Jaksza z Wichfriedem spojrzeli po sobie i wyszli.

Tymczasem w wielkiej izbie, w której biskup zasiadał, oczekiwano na księcia. Wojewoda

Szczepan, Żyra stary, Sambor, Leszczyc, Bogorie, Cholewa, czoło ziemian krakowskich otaczali pasterza. Jaksza z Wichfriedem, wchodząc, zbliżył się do Gedki i na ucho mu szepnął, że księżę się modlił, prosząc, aby mu spocząć dano nieco.

Nie zdziwiło to wcale biskupa, ręką dał znać, jakby już wiedział o tym, i zwrócił się do otaczających.

— Spodziewałem się tego, że na opór trafiemy — rzekł cicho — wiem, że silny będzie, ale przemóc go musimy.

Wszyscy skinieniami potakiwali. Wtem Wichfried też zbliżył się do biskupa. Spotkanie i rozmowa w lesie z Mieszkiem, którą mu Kaźmierz powtórzył później, a część jej on sam pochwycił, nie była jeszcze biskupowi wiadomą; zdało się Wichfriedowi, że powinien mu o niej oznajmić.

— Księżę — odezwał się poufnie — kilka dni temu spotkał się na łowach z bratem. Byłem świadkiem ich rozmowy.

Niespokojny bardzo biskup zwrócił się, rozkazując mu opowiedzieć o wszystkim, i słuchał namarszczony, zadumany, gdy Wichfried powtarzał, co słyszał.

— Nowa to dla nas trudność do przełamania — odezwał się — ale z pomocą bożą i tę

pokonamy. Nalegać musimy, nie ustąpić, *salus rei publicae suprema lex*. Prawo, jakie Mieszek miał, utracił, łamiąc zakony wszelkie boskie i ludzkie. Jam skazany na wygnanie, wojewoda — na stratę oczów i ręki, inni — na śmierć, więzienie i różne kaźnie. Zechceli księżę oporem swym dać nas na łup? Jeżeli nie pójdzie z nami, wyrok na nas wydał

A gdy Wichfried szepnął, że dać mu się trzeba uspokoić, dodał:

— Nie będziemy dzisiaj nastawali, ale czas drogi. Mieszek posłał do zięciów o posiłki, gdy je otrzyma, sprawa cięższą się stanie. Nie dawajcie Kaźmierzowi ujść po kryjomu, bo i na to ważyć się gotów, a w Haliczu go przyjmą.

Wichfried skłonił głową i cofnął się. W izbie tymczasem to gwar zbyt ni, to niespokojne

panowało na przemiany milczenie. Patrzano na drzwi, szeptano między sobą. Księżę się nie

pokazywał. Klęczał ciągle i modlił się. Dwa razy zajrzała doń księżna i cofnąć się musiała, zaglądał

Goworek, dowiadywał się Jaksę, widząc go zatopionym w modlitwie, nie śmieli wnijść.

Wreście najśmielszy Goworek stanął w progu i czekał, oznajmując tym, że mówić

potrzebuje. Wstał księżę i zbliżył się ku niemu, objął go z czułością wielką, badając trwożnie oczyma.

— Czy i ty z nimi będziesz przeciw mnie?! — zawołał.

— Miłościwy Panie mój, ja zawsze z Tobą jestem i będę, ale oni nie są nieprzyjaciołmi twymi.

— Są, są, choć się druhami być mienią! — przerwał Kaźmierz. — Nieprzyjaciołmi są pokoju mego, szczęścia, swobody! Panem mnie zwą, a niewolnikiem chcą uczynić! Tak, zakuć mnie w dyby, związać w łyka, uczynić nieszczęśliwym i zdrajcą! Tak, miły mój!

Goworek głową potrząsał.

— Znasz, Księżę, moje przywiązanie do Ciebie — rzekł. — Nie pragnę dla Was wielkości i potęgi, ino szczęścia, ale inna rzecz dola człowieka małego, a inna tych, których Bóg wysadził na to, aby nami rządili. Wy nie należycie do Siebie.

— Przyjacielu mój — odparł księżę — błogosławionej pamięci ojciec mój, którego ja nie pomnę, bom w kolebce był, gdy mi go Bóg odebrał, jednego mnie chciał wolnym mieć, nie dając mi nic. Jednemu z potomstwa swojego szczęścia niezamąconego chciał dać skosztować. Matka ocaliła siostrę, dając ją do klasztoru na służbę bożą, a i mnie się tam pono schronić było potrzeba.

— I stamtąd by Was wzięła miłość ludzi a szacunek cnoty Waszej — rzekł Goworek.

— Pochlebcą mi nie bądź — odparł surowo księżę — do rządów siły potrzeba, której ja nie mam. Dumy trzeba i żądy, których nie znam.

Stali chwilę milczący naprzeciw siebie.

— Nie litujesz się nade mną! — dodał księżę. Sługa wierny spuścił głowę i szepnął:

— Biskup Gedko z panami czekają na Was.

Kaźmierz się wzdrygnął, popatrzył w okno, mierząc czas po słońcu, i kazał przywołać

komornika, aby przeoblec szaty.

W izbie oczekiwano nań ciągle. Biskup się niepokoił coraz więcej, szemrali i inni, gdy

Kaźmierz, który z sobą ani za sobą nikomu iść nie kazał, wyszedł w ubiorze prostym, ciemnej barwy, jakby i tym okazać chciał, że mu wszelki blask był przykrym. Twarz miał bladą, ale

wypogodzona, zmuszał się do uśmiechu. Przyszedł biskupa powitać całując go w rękę, obrócił się ku innym, a spostrzegłszy, że sami prawie krakowianie go otaczali, oczy spuścił.

Wnet na rozkaz wydany wieczerzę dawać poczęto. Zasiedli wszyscy obok biskupa i księcia, którzy pierwsze miejsca zajęli. Goworek i Jaksza z Wichfriedem gospodarzyli przy innych stołach.

Przy ucztach nie bywało zwykle mowy o sprawach publicznych, a tłum też nie dopuszczał o nich rozprawiać. Zagaił Gedko o potocznych rzeczach, czemu książę rad się okazał. Gwar wkrótce nie dopuścił już innych rozmów nad te, jakie z sąsiadami prowadzono.

Z krakowskich ziemian większa część, już zawczasu pewna zwycięstwa, dobrą myśl okazywała.

Wtem Leszczyc, niedaleko od księcia siedzący, rozpowiadać począł, iż w Sandomirzu

widział już nawet niewiastę, która chroniąc się od ucisku braci pod opiekę księcia się schroniła, przeczuwając, że tu jest sprawiedliwość i moc wszelka. Zgadli inni zaraz, iż o Dorocie z Tęczyna mowa była, która i z wdzięków, i z zalotów swych słynęła. Wojewoda, do którego imię to doszło, spuścił głowę, biskup ją podniósł namarszczywszy brwi.

— Bracia na nią z dawna czyhają — odezwał się — aby ją zamknęli, bo ich słuchać nie

chce i zbyt swobody zażywa. Musiała się tu schronić między ziemiany naszymi, na przyjaciół rachując, których do zbytku ma. Krakowska ziemia wszystka teraz w Sandomirzu.

O przyjaciółkach wdowy mówiąc, biskup z ukosa na wojewodę spojrzął, ale Szczepan oczu nie podniósł i uczynił, jakby nie słyszał wcale.

Książę rad, iż o rzeczach obojętnych mówiono, o wdowę pytać zaczął, przypomniawszy ją

sobie. Opowiadał Leszczyc różne jej sprawy, wojewodę biorąc na męki, ale pominąwszy go i nie tykając, strachu mu tylko napędził. Gdy się już za długo o tym ciągnęło, przerwał biskup:

— Miłościwy Książę — odezwał się — przyszliśmy do Ciebie jako dzieci do ojca, a ja

pasterz wiodę oto gromadkę tę, która ci się do stóp kłaniając, prosi, abys objął krakowską stolicę i wierzchnią władzę. Nietajno Warn, że panowanie Mieszkowe stało się wszemu ludowi nieznośnym,

czynny jego o pomstę do Boga wołają, a cnoty twe o nagrodę do niebios. Idź więc, siadaj na stolicę i rządz nami. Niechaj pokój i błogosławieństwo boże zstąpią na utrapioną ziemię naszą.

Tak począwszy, wymowny biskup słaWił Kaźmierza, który z oczyma spuszczoneymi słuChał niemal zawstydzony. Wynosił jego rozum, naukę, miłość sprawiedliwości, waleczność, łagodność, miłosierdzie, chętne wybaczenie uraz, skromność, szczodroblivość, zamiłowanie w pracy, cierpliwość.

Ziemiaie, słuChając, coraz to mruCzeniem, szmerem, okrzykami mu potakiwali. Gdy

biskup długą swą skończył mowę, ksiąŻę wzruszony zrazu odpowiedzieć nie mógł, łzy mu z oczów płynęły. Wreście począł słabym głosem:

— Nie pierwszy to raz miłości waszej dowody mi dajecie — rzekł — wiodąc mnie na

pokuszenie władzy, której ja nie pragnąłem i nie pragnę. Przypomnijcie sobie, że niektórzy z was, Światosław, Jaksza i inni, ciągnęliście mnie już, abym to sławne państwo objął za żywota brata mojego Bolesława. Odrzuciłem wówczas nagabanie to, przenosząc miłość i wierność bratu nad urok potęgi znikomej. Albowiem kto na brata godzi, jakby sam na siebie uderzał. Jeźelim

naówczas, młodszym będąc, nie chciał się zmazać niewiarą, cóż dzisiaj? Godziłoby się iść tą drogą do władzy? Nastawać na wygnanie starszego brata, który mnie kocha, i pozornej wielkości poświęcać pocziwość? Sami bądźcie sędziami.

Biskup nie dał mówić mu dłużej.

— Miłościwy KsiąŻę — przerwał — cale inaczej stały sprawy naówczas a dzisiaj. Kilku

ludzi przyjaznych chcieli Cię prowadzić na stolicę, dziś wszystek lud woła do Ciebie. Ginie państwo to, jeżeli ty go ratować nie będziesz. Nie mówię o sobie, bom na męczeństwo gotowy, ale wszyscy przedniejsi skazani już są na wygnanie lub kalectwo i więzienie. Padną głowy — to nic jeszcze, ale z nimi prawa i swobody nasze ziemiańskie, niewola trupem uczyni ciało to żyjące ziem naszych. Zlituj się nad nami a nad ziemią swą, której winieneś życie. Kaźmierz poruszony był.

— Ojcie — zawołał — Mieszek nie może i nie zechce być niesprawiedliwym i okrutnym, ja moją głowę poniosę, za was i zakon się zastawując! Nie słuChając go, zaczęto wołać:

— Panuj nam! Panuj!

— Nie czyńcie mnie zdrajcą, nie czyńcie bratobójcą! — przerwał Kaźmierz.

— Nie chcemy Mieszka zguby — odparł biskup — zda-li się Warn, niech wraca na

dzielnicę swą, ale gdy starszym być nie umiał, niech będzie posłusznym młodszemu.

Każmierz, z opuszczonymi rękami słuchając, milczał, gdy ziemianie zbliżyli się doń i przyklękając za kolana go i za ręce chwytając poczęli.

— Idź z nami! Panuj nam! — powtarzali.

— Mieszka wybawisz — dodał wojewoda Szczepan — inaczej on życia niepewny; ze strachu o siebie, w obronie własnej porwać się kto nań może.

— Przejednamy go — odezwał się książę — wymożemy odpędzenie sług niedobrych.

Zamiast czynić mnie wywłaszczyicielem, dajcie mi być pośrednikiem.

Gedko, słuchając, głową potrząsał.

— Wszyscy Mieszka znamy — odezwał się — nie da się on złamać ani zastraszyć, ni pokierować; między nim a ziemiany zgody już być nie może.

Przystąpili doń znowu wszyscy, a biskup począł z gorącością wielką:

— Nie odstępimy stąd bez ciebie! — zawołał. — Ma-li to być grzechem, co czyniemy, ja grzech ten na sumienia nasze rozkładam. Gwałt ci zadamy! Wybłagamy to, abyś się dla nas poświęcił.

— Panem nam musisz być, ty lub nikt — dodał wojewoda, a za nim Leszczyc, Cholewa i wszyscy. — Nie ma tu jednego

Jaksa żywo wyszedł z komnaty, pozostał Wichfried. W chwilę potem okrzyk ogromny rozległ się po zamku, w podwórcach, dokoła. Zbladły Kaźmierz rzucił się na krzesło. Wtem wbiegł rozpromieniony Goworek i całując księcia po rękach, wołać począł:

— Na kiedy Książę konie mieć kazesz gotowe?! Książę pomyślał chwilę.

— Choćby jutro, jadę, ale nie więcej jak w pięćdziesiąt.

— Kilkaset jest ich na zamku i w mieście — rzekł Goworek.

— Niech idą, gdzie chcą, rozjadą się, stoją i czekają, z większą siłą ja nie ruszę. Rzekłem i uczynię, jakom rzekł.



Goworek głowę skłonił i wyszedł.

W wielkiej izbie zebrani już się zwycięstwem cieszyli, biskupa twarz się uśmiechała, wojewoda był wesół, ziemianie się ściskali.

— Z niewoli nas wybawił — wołano — zbawcą jest naszymi Gedko jednak za wczesnej radości nakazał milczenie ostrożne.

— Nie trzeba nalegać nań, straszyć go, niech jedzie w pięćdziesiąt koni, choćby z dziesiątkiem tylko. My tam będziemy, co go na zamek wprowadziemy, załoga nasza, lud wszystek. Mieszek uchodzić musi, chcieli życie ocalić. Kaźmierzowi dać trzeba czas, aby się z sumieniem przejednał.

Książę, zaledwie wyrzekłszy słowo stanowcze, już go żałował. Wichfried, który go nie odstępował, spostrzegł posmutniałe i zmienione lice, począł go pocieszać i krzepić, ale Kaźmierz zamknął mu usta.

Nieprędko wyszedł znowu do zgromadzonej starszyny. Tu, jakby sobie na to słowo dane, nie wznowiono rozmowy, nie nalegano; przyjęto go jak pana w milczeniu. Ziemianie, według danych im przez biskupa i wojewodę skazówek, rozjeżdżać się zaczęli.

U stołu wieczornego gdy zasiedli, biskup zagał rozmowę o świątobliwych sprawach innych panów i królestw, o kościołach, klasztorach, relikwiach świętych, budowaniu gmachów na chwałę bożą, jakich w Polsce nie widziano. Kaźmierz mocno się tym zajął. Przeszedł czas na opowiadaniach o ziemi włoskiej, niemieckiej i francuskiej, o nowych na krzyżowe wyprawy przygotowaniach. Ku końcowi tylko, gdy się rozejść mieli, gdy pobożny biskup chciał wieczorne godziny odprawić, rzekł do księcia:

— Dziękujemy Warn za obietnicę. Weźmiesz Książę koni, ile zechcesz, a my we dwu nieodstępnie towarzyszyć Warn będziemy. Choćby bez orszaku, pójdziemy z Tobą.

Tak się rozstali.

Gdy się to na zamku działo, w chacie zajmowanej przez wdowę nowa się napaść na księcia gotowała i nowe dlań niebezpieczeństwo. Nie bez przyczyny rzeczono, że co niewiasta mieć chce, to się stać musi. Mają one ten zmysł, iż gdy czego pragną, ku temu wszystkie siły swe na razie

skierowują; nie trwa ten ogień słomiany długo, ale wielkim płomieniem goreje.

Wdowa namiętą była, a raz powiedziawszy sobie, że księcia pozyskać musi, ku temu

celowi z całą gorącością swą się zwróciła. Nie miał pokoju koniuszy i sługi, póki nie dowiedzieli się, przez kogo i jak do księcia najłatwiej trafić można. Na zamku już miała przekupione sługi.

Radzono różnie: jedni Goworka, drudzy Jakse, inni Wichfrieda jako poufałego przyjaciela od młodości, któremu ksiązę najwięcej pozwalał.

Wiedząc o nim dawniej i rachując na to, że młodego łatwiej sobie pozyszcze, Dorota

postanowiła udać się do Wichfrieda. Wybór był szczęśliwy: Niemiec sam niewiasty lubił, z

księciem o nich rozmawiał, wchodził do izb, kiedy chciał, wprowadzał z sobą, kogo mu się

podobało.

Wichfried kręcił się około zamku nieustannie, a tego dnia z powodu wyboru w podróż, w

której miał księciu towarzyszyć, więcej niż kiedy. Dorota, upatrzywszy chwilę, gdy z zamku do koni jechał, wybiegła z dworku, drogę mu zastąpiła i poczęła błagać a prosić, aby do niej zaszedł na chwilę rozmowy.

Domyślił się Niemiec, kto była, a piękna i strojna niewiasta tak go pierwszym wejrzeniem

ujęła, że się jej opierać nie mógł. Kunszt uwodzenia ludzi i przemawiania do nich miała

Dorota od natury dany. Umiała, gdy jej było potrzeba, pokorną się stać, zuchwałą,

poważaną, swawolną, nieszczęśliwą. Rzuciwszy okiem na Niemca, miała już pewność, że się on jej nie oprze.

Gdy rzuciwszy konia, wszedł za nią do dworku, zdziwiony trochę napaścią bardzo dłań

miłą, już błagająca przed chwilą niewiasta zmieniła się w miłościwą panią, gotową mu rozkazywać.

Zawsze piękna, teraz rozognieniem, niecierpliwością stała się wdzięczniejszą jeszcze.

— Wyście druhem a bratem księciu naszemu — zawołała, śmiało doń przystępując Dorota

— uczynicie to, uczynicie, abym ja mu do nóg rzucić się mogła, aby mojej prośby posłuchał na chwilę! Jestem nieszczęśliwą, prześladowaną sierotą, rodzeni bracia godzą na życie moje; opieki szukam u księcia!

Załamala przed nim białe dłonie. Wichfried się uśmiechał, patrząc i nie dowierzając tej

wielkiej boleści i niebezpieczeństwu.

— Wiecie pewnie, kto jestem — mówiła śmielej coraz — ludzkie języki mnie szkalują;

jestem Dorota z Tęczyna.

Wichfried słuchał nie przerywając, przypatrując się z przyjemnością pięknej wdowie, która mówiąc o miotanych na się potwarzach, postawą, wejrzeniem, obejściem całym zdawała się

dowodzić, iż nieprzyjaciele nie darmo ją ogadywali.

Ale w oczach Wichfrieda nie była występkiem zalotność, a wdowa w pełnym swych

wdzięków rozkwicie tak go zachwycała, że rad był jej służyć, w czym by mu przykazała, byle u niej łaskę zyskać. Nie zdało mu się też grzechem i znękanego Kaźmierza widokiem tak pięknej

niewiasty rozweselić. Pomyślał nawet w duchu, że ta wspaniała postać jakby na kochankę króla była stworzoną. Chciał się tylko nieco podrożyć.

— Miłościwa pani — zawołał — wcale to nie w czas teraz księcia niepokoić! Smutny jest,

zaprzątniony, zmęczony przez biskupa i ziemian.

Dorota spojrziała szydersko.

— O — odparła — ja mu długo czasu nie zabiorę, a żeby dlań męką być miało z niewiastą

młodą pomówić chwilę, nie wiem.

Zrobiła minkę nadąsaną i dumną.

Wichfried stał jedząc ją oczyma, co postrzegłszy, obróciła się kilkakroć, jakby mu się lepiej pokazać i popisać z sobą chciała, z taką zalotnością zuchwałą, iż Niemiec oszalał.

— Miłościwa pani — zawołał — mając litość nad księciem, nie mogę wam wyrobić

posłuchania! Gdybyście starszą a mniej piękną byli... Ale co na to powie księżna pani, gdy się dowie?

Uśmiechnęła się wdowa, udając skromną.

— Ja zalecać mu się nie myślę — rzekła, oczyma sobie kłam zadając — tylko prosić o

opiekę.

— Niebezpieczna rzecz brać was w opiekę — począł wesoło, zbliżając się do niej,

Wichfried — to jak żarzewie za pazuchę. Ja, com tu wszedł ino, a już mi się wychodzić nie chce.

Siedziałbym jak wkuty, choć sprawa pilna.

— Siadajcież proszę — rozśmiała się rada z siebie wdowa i klasnęła na sługę, aby wino podał, które zawczasu przygotowane było.

Miała już Wichfrieda i była swego pewną. Gdy przyszło pić, Niemiec wymógł na niej, aby wprzód do kubka przyłożyła usta, dla nadania napojowi smaku, potem przysiadł się do niej tak blisko, iż czuł jej oddech i mógł na białe patrzeć ramiona.

— Wiem — odezwała się do niego — że księżę jutro jedzie do Krakowa, ja czekać nie mogę, wprzód się z nim widzieć muszę i zapewnić sobie jego opiekę. Zatem, miły panie, dziś mi wyrobicie posłuchanie.

— Dziś? kiedy? chyba o mroku?

— O mroku! W nocy! Wszystko mi jedno — odpowiedziała Dorota — księcia się nie boję.

Padnę mu do nóg, powiem o prześladowaniu moim, ojcem mi musi być.

— Za młody na to jest — rzekł Wichfried. Dorota, niby nie zrozumiawszy, ciągnęła dalej.

— Będę na was czekała do nocy — rzekła — wprowadźcie mnie tylko, nie lękajcie się o mnie ni o niego.

Wichfried nie przyrzekał jeszcze, ona nacierała.

— Musicie to uczynić dla mnie!

Uśmiechali się ku sobie. Dorota poczęła coraz zuchwalej:

— Miałam opiekuna w starym wojewodzie Szczepanie. Biskup się gorszył tą opieką i klątwą mu zagroził. Nic mi już po tym trupie!

— Biskup gotów potem mnie i księcia wyklinać — rzekł Wichfried.

— Czyście żonaci? — spytała wdowa.

— Ja nie.

— Nie ma więc za co, bo wam szukać sobie niewiasty nie grzech, a księżętom dużo wolno.

Jam też już stara i kto by tam o mnie myślał! — dodała śmiejąc się sama.

Wichfried ujął ją za rękę białą, nie wyrwała mu jej, zbliżył się jeszcze, nie uchyliła się, owszem, skorzystała z tego, aby mu coś do ucha szepnąć żywo, i wnet z siedzenia wstała, jakby już swego

pewną była.

— Teraz sobie na koń siadajcie — dokończyła — a wieczorem przyjdziecie po mnie.

Posłuszny jak dziecko Wichfried spełnił przykazanie, ale z chaty wyrwawszy się jak pijany, ledwie konia mógł dosiąść.

— Czarownica! — rzekł w duchu.

Przed wieczorem Niemiec, który o niej zapomnieć nie mógł, znalazł się sam na sam z księciem.

— Mam i ja poselstwo z prośbą do Was — odezwał się żartobliwie — ale moje nie straszne.

Owa wdowa, Dorota z Tęczyna, o której przy stole mówił Leszczyc, prosi a błaga o chwilę posłuchania dziś wieczorem.

— Dziś? tu? — zapytał księżę.

— Pilno jej — dodał Wichfried. — Sprawy nie znam, wiem tylko, że na nią bracia godzą.

Niewiasta urokliwa, ale ponętna; choćby w oczy jej zajrzeć tylko — miło. Do nóg się wam rzucić chce, aby opiekę wyprosić.

Każmierz, choć ciekaw jej był, zawahał się.

— Nie pora — rzekł — z niewiastą do mnie po nocy iść. Co ludzie rzeką?!

— Przecie córka ziemianina, z żałobą do pana każdego czasu przyjść może — rzekł

Wichfried. — Nie pozostanie długo.

Zręcznemu Niemcowi, opowiadając o swych rannych odwiedzinach w chacie, łatwo było

książęcia ciekawość obudzić. Znał go dobrze i wiedział, że się da jej uwieść. Niełatwo to jednak przyszło. Opierał się Każmierz, wstręt jakiś i obawę czując, choć go ciekawość ciągnęła, aż Wichfried, strach jego wyśmiewać poczynawszy, prawie gwałtem wymógł, że przyprowadzić mu ją na chwilę pozwolił.

Zawczasu tego dnia przed jutrzejszą podróżą wszyscy się porozchodzili. Każmierz, u żony

posiedziawszy chwilę, powrócił do swej komnaty. Tak mu jednak wiele na głowie ciążyło, iż choć z Wichfriedem się umówił o posłuchanie dla wdowy, zapomniał o nim zupełnie. Goworek był z nim jeszcze na rozmowie, gdy Niemiec, wszedłszy, dał znak, że wdowa nań czekała w Henrykowej

komnacie. Każmierz z pewną obawą i wahaniem wszedł do niej.

Izba była przyćmiona nieco, gdyż tylko dla przejścia przez nią mała się w niej lampka

pałała. Wśród tego mroku, na którego tle biały płaszcz Henryka i zbroja jego jak widmo stały, zaledwie dojrzeć mógł księżę niewiastę, która nań oczekiwała.

Stała jednak tak, aby słabe lampki światelko całe na nią padało, a w półcieniu tym, który piękność jej czynił powietrzną i mglistą, jak drugie widmo jakieś zjawiała mu się ta piękność, która by może o świetle słonecznym namiętym swym licem mniej[sze] uczyniła wrażenie. Z żałobą

idąc, ubrała się też żałobnie, czarno, lecz zalotnica i wielka pani nie zapomniała łańcuchów i złota.

Zdobiły ją klejnoty uwydatniając kształty, które znikały we mroku.

Z niespokojną ciekawością wpatrywał się w nią Kaźmierz, gdy wdowa naprzód do kolan mu

się pochyliła, potem chwyciwszy za rękę, gorące do niej przyłożyła usta. Tym pocałunkiem

namiętnością zatrutym, jakby chciała przelać w niego gorączkę swoją, zmięszała księcia, który na próżno dłoń jej wyrwać usiłował.

Wlepiła w niego błagające oczy.

— Miłościwy Księżę, Ojczy, ratuj mnie sierotę, wdowę — poczęła półgłosem, by nie być

podśluchaną — cała ci się w opiekę oddaję! Bracia, potwarzami mnie obrzuciwszy, czyhają na życie! Broń mnie, Panie! Od ich napaści z domu uchodzić musiałam.

To mówiąc, powtórnie rękę jego chwyciła i zręcznym ruchem zbliżyła się ku niemu.

Ta postać piękna, przypominająca mu drugą, ukochaną podobną do tej a różną, tak dziwne

wrażenie uczyniła na księciu, iż długo stał niemy, nie mogąc przemówić słowa. Czuł, że mogła urokiem jakimś pociągnąć go ku sobie. Obawiał się zdradzić głosem, wyrazem.

— Tyś pan dobry, miłosierny, litościwy — mówiła Dorota — wydziedziczonej,

spotwarzonej, odrzuconej nie odepchniesz! Szłam do Ciebie, Panie, z ufnością jak do Boga! —

Złożyła ręce przed nim.

— Uspokójcie się — rzekł Kaźmierz — mówcie, czego żądacie. Uczynię, co mogę.

— Tyś pan nasz! Ty możesz wszystko! — wykrzyknęła wdowa.

— Mylicie się — odparł księżę — jam na Sandomirzu pan, w Krakowie — sługa starszego brata.

— Nie, nie — przerwała Dorota — wszyscy wiedzą, że się jego panowanie skończyło, a wasze zaczęło!

— Tak nie jest, na Boga! — oparł się Kazmierz.

— Tak być musi! — powtórzyła niewiasta. — Inaczej wszyscy i ja bym zginęła!

Książę, nie mogąc się już zdobyć na wyraz inny, zażądał znów, by się uspokoiła. Piękna wdowa, jakby ją nagle wielka boleść ogarnęła, niby osłabła, zachwiała się, rękę przykładając do czoła; zdało się, że upaść może. Książę, uląkłszy się, wskazał jej ławę, by usiadła. O to może zręcznej niewieście chodziło; padła na nią, zwiesiła głowę na piersi, milczała, coś na kształt tłumionego łkania dobywało się z ust wpółotwartych.

Książę stał pomięszany, mając czas przypatrywać się wdowie i wszystkim jej wdziękom, które niby mimowolnymi ruchy zdradzała, to się osłaniając, to chyląc, to podnosząc, to upadając pod ciężarem nieszczęścia swojego.

Przedłużało się posłuchanie. A że Dorota milczała, nie mogąc dobyć głosu i oczyma tylko badając Kazmierza, a oczarować usiłując, odezwał się łagodnie:

— Mówcie, co dla was uczynić mogę.

— A! Najmiłościwszy Panie — przemówiła nareście — ja się na nogach utrzymać nie mogę, Ty stoisz przed służebnicą Twoją! Ja muszę Ci opowiedzieć losy moje, posłuchasz mnie litościwie. Potem samo Twe serce królewskie powie Ci, co masz uczynić dla mnie. Litość czytam w oczach Twoich.

Kazmierz usiadł naprzeciw niej. Głos jej, postawa, wdzięk nieszczęśliwej przykuwały go do miejsca. Wdowa umyślnie przedłużała posłuchanie, a że mówić chciała cicho, pod pozorem, by słyszaną lepiej była, zbliżyła się tak, że książę oddech jej mógł uczuć prawie.

— Miałam najlepszego ojca, który mnie kochał i popsuł, bo do miłości przyzwyczaił. Jego dobroć zazdrość w braciach obudziła. Kochałam, będąc wyrostkiem, ubogiego ziemianina, za którego mnie nie dali. Zabili go. Zmuszono iść za starca. Zmarł ojciec, poczęło się prześladowanie, chcieli mi wydrzeć, co on zostawił. Szukałam opieki, zakrzyczeli, zem gachów szukała. Ja, ja — dodała ręce podnosząc — com nie kochała, tylko raz, gdy byłam dzieckiem prawie, a odtąd nie spotkałam w świecie, kto by mi mógł być miłym.

Dziwnym wejrzeniem zdała się mówić księciu: „Nikt, chyba ty!”

— Miłościwy Książę — ciągnęła dalej — spotwarzono mnie, jam niewinna! Chyba że czystą się czując, śmiałą jestem. Weź mnie, Panie, w opiekę Swoją, osłoń, będę Ci wierną służebnicą! Zostanę przy dworze Twym, pójdę, gdzie nakażesz. Choć córką jestem możnego gniazda, będę niańczyć dzieci Twoje. Dla takiego pana, jak Ty, któż by życia nawet nie dał?

Śmiałe te a dziwnie poplątane wyrazy mieszały Kaźmierza, ale widać było, że wstrętu mu nie czyniły. Uśmiechał się.

— Boże uchowaj — rzekł — ażebyście zbyt bliską mnie być mieli: niebezpieczną jesteście. Potwarze na was rzucają, bo mężczyźni za sobą wodzicie, którzy się wam oprzeć nie mogą. Dorota oczy sobie przysłoniła.

— A! Panie — wyjąknęła — czyż się to godzi tak z nieszczęśliwej naśmiewać? Piękność moja i młodość dawno poszły ze łzami, a dziś już...

Spojrzała nań oczyma przymglonymi, białe ząbki z różowych ust się dobiły. Książę patrzył, coraz bardziej czując się ujętym. Korzystając z osłupienia, wzięła rękę jego, znowu coś szepcząc, prosząc a całując ją napastliwie.

Kaźmierz bladł i czerwieniał, szczęściem mrok izby zmian jego twarzy widzieć nie dawał.

Wrażliwy do zbytku, nie mógł się oprzeć tym pieścizdom niewiasty natarczywym, drżał cały, zapominał się. Nawzajem, ująwszy jedną z jej rąk, odezwał się głosem, który wdowa sobie wytłumaczyć umiała, niepewnym i drżącym:

— Uczynię dla was, co tylko mogę, co zechcecie. Ale wy... jesteście niebezpieczną niewiastą.

— Dla Was? — podchwyciła wdowa radośnie. — Dla Was, do którego tysiące wzdycha?

— Nikt, nikt! — odparł Kaźmierz spuszczać głowę. Szumiało mu w niej, odwrócił się, uląkłszy sam siebie.

— Jadę do Krakowa — dorzucił spiesznie — kiedy powrócę, nie wiem, przemówię za wami do brata. Jedźcie za mną, ale nie okazujcie się ludziom, bo złe są ludzkie języki.

— O! — odezwała się szybko i wesoło, pozbywszy udanej boleści. — Mnie nikt nie pozna,



ja się *także* po męsku, a choćby we zbroję, przebrać umiem, mogę być giermkim, gdy trzeba.

Mówiąc z przyciskiem: „Także”, spojrzała na księcia, który się poruszył zmięszany, bo mu na myśl przyszła Jagna.

— O — dodała Dorota cicho — ja wiem wszystko i widziałam tę, co konno po męsku jeździ po lasach.

Palec położyła na ustach, księżę trochę zagniewany tą odwagą, rzekł prędko:

— Nie wiem, kto po lasach jeździ! Dorota potrząsnęła głową.

— Mnie ani w lesie, ni w mieście nikt nie zobaczy.

To mówiąc, przysunęła się śmiało do księcia i chwyciwszy rękę, którą całowała długo, dodała żywo:

— Mam więc jechać do Krakowa? A tam, nieprawdaż, dacie mi znać przez Wichfrieda?

Czekać będę rozkazów. O, bądźcie mi opiekunem, bądźcie! Ja Was tak, jak nikt, miłować będę, jak nikt!

Księżę stał milczący i upojony, nie będąc panem siebie, gdy Wichfried czatujący u drzwi, który rachował, że się już nadto długo posłuchanie przeciągnęło, podniósł zasłonę i kaszlnął.

Dorota cofnęła się kroków parę, przybrała postawę skromną i pokorną, otarła oczy, które się śmiały, schyliła do kolan księcia i figlarnie nań spojrzawszy, powoli ustępować zaczęła.

Wichfried wchodził, Kaźmierz cofnął się do swej komnaty, dwaj przyjaciele kilka słów

zamienili z sobą po cichu i Niemiec przez izby puste powiódł nazad milczącą Dorotę. Umiała tak przed nim ukryć swe wzruszenie i radość wielką, że gdy wyszli w podwórze, Wichfried jej zapytał, czy rada była posłuchaniu.

Odwróciła się doń.

— Jak sądzicie?

— Nie wiem.

— Tak dobry pan, ja tak nieszczęśliwa, mógłże mnie odepchnąć? Widział łyzy moje.

— Przyrzekł co?

— Wstawić się za mną do Mieszka — pokręciła głową. — Ja ufam, że wy mnie jemu

przypominać będziecie.

— A wy, miła pani, o mnie też zechcecie pamiętać — rzekł Wichfried.

— O, pewno, pewno, ale dziś — dodała wdowa — głową mam pełną naszego Miłościwego Pana, już się w niej nikt inny nie zmieści!

Gdy doszli do wrót zamkowych, Wichfried chciał ją dalej prowadzić, ale tu czekał na nią koniuszy z chłopakiem i wdowa zwróciła się do Niemca z pożegnaniem.

— Bóg zapłać. — rzekła cicho — zobaczymy się w Krakowie, mnie tam kazano, a i wy też z księciem jedziecie.

Podawała mu rękę, wyrwała ją prędko i wybiegła za wrota.

Gdy Wichfried na zamek powrócił, zastał księcia samym, niespokojnie się po izbie przechadzającym. Spojrzeli sobie w oczy razem, jakby w nich czytać chcieli. Książę spuścił je niemal zawstydzony.

— Czarownica to jest — rzekł — nie dziw, że ludziom zawraca głowy, lecz lepiej się od niej trzymać z dala.

I natychmiast zmienił rozmowę, nie dając odpowiedzi Wichfriedowi.

— O brzasku w drogę! Tak, potrzeba pospieszać, aby Mieszka ratować. Wichfried — dodał

gorąco — Wichfried! Na twą družbę cię zaklinam, na cienie Henryka, na sumienie twoje, uczyni, co przykazuję! Dziś, zaraz nocą, ślij przodem do Krakowa, do Mieszka, jedź sam, to lepiej. Oznajmij mu, że przybywam dla pojednania i zgody. Ostrzeż go, niech powolnym będzie. Mnie tam ciągną, ja muszę iść, ale idę z gałęzią oliwną. Niech Mieszek nie uchodzi z grodu, niech się biskupowi ukorzy, niech Kietlicza wygna. Ja zaś mówić i popierać go będę. Mów mu to, uprzedź, błagaj.

Głos jego zadrżał.

— O Panie — zawołał podnosząc oczy — odwróć ten kielich ode mnie!

Wichfried stał nie odpowiadając, ale oblicze mu się zmieniło.

— Jedź! — powtórzył Kaźmierz.

— Ja?! — zawołał Niemiec. — Ja? do Mieszka?! Czyń Książę, co chcesz, wyrzec się mnie, wypchnij, gniewaj, przeklnij, ja tego nie uczynię! Zdradziłbym Was i te ziemie, co mnie gościnnie

przyjęły! A nie tylko ja, Miłościwy Panie, ale nikt nie pojedzie, bo na gniew Mieszka nadaremnie narażać się nie zechce. A kto by rozkaz ten spełnił, ziemianie by go rozsiekali. Nie waży się nikt, ja nie mogą!

Książęciu głowa na piersi opadła, szeptał jakby modlitwę.

— Stanie się wola boża!

## KONIEC TOMU DRUGIEGO

### TOM III

#### I

Kraków, ku któremu niedawno jeszcze życie płynęło strumieniami wartkimi ze wszystkich ziem, ze wszystkich Polski krańców, tej pamiętnej wiosny drętwiał z wolna i pustoszał.

Przychodziło to nieznacznie, stopniowo, ale wszystkim się czuć dawało; w powietrzu cisza była, jak przed nadchodzącą burzą. Nikt o niej dobrze nie wiedział, skąd przyplynie, a przewidywali ją wszyscy z mnogich znaków, które zwiastują gromy; wszystkim ciężko oddychać było. Wieści

jakieś chodziły dziwne, nierozumiałe, groźne, ludzie się jacyś pokazywali i znikali jak ptacy, co wróżą nawałnice. Opieszałośćzwątpienie ogarniały wszystkich. Bojaźliwsi chcieli już

bezpieczniejszego szukać przytułku. Najwięcej trwożyło to, że ziemianie i rycerstwo, którzy tu dawniej tłumami przybywali i przebywali ciągle, lud, co na zamek płynął, duchowieństwo, co się na rady do biskupa zbierało, z wolna niknąć zaczęło.

Wojewoda Szczepan, który tu przemieszkiwał i był dawniej na zawołanie Mieszka,

wyciągnął ze swymi pułkami i nie powrócił, dom jego stał zamknięty. Biskup uszedł, w dworcu jego kilku ledwie księży zostało. W rynku i po ulicach rzadko który z ziemian się pokazał, na krótko, przejazdem, jakby mu tu było niemiło i niebezpiecznie; z konia prawie nie zsiadając, zawracali do domów. Kupcy stali z założonymi rękami przed sklepami i straganami, wypatrując oczy. Nie było w rynku i ulicach nikogo oprócz swoich. Cudzoziemcy, kramarze włoscy, którzy tu stawali po dni kilka, musieli towar sprzedawać kupcom, bo do nich się nikt nie zjawiał. We dworach ziemian ledwie pozostali odźwierni i stróże. Gdy ich o panów pytano, milczeli, ruszali ramiony, nie wiedzieli o nich nic. Po kościołach w niedziele i święta obcego człeka z okolicy widać nie było.

Dokoła zamku szczególniej pustynia się stawała coraz większa, dzika, głucha, martwa.

Kietlicz, który jeszcze za rozkazem pańskim po dworach i osadach szukał, kogo by do sądów pochwyć, nie znajdował żywego ducha. Cudem jakimś zawsze ci, co byli obwinieni, a mieli być ujęci, podparłszy kołem wrota, zawczasu z domostw uchodzili. Urzędnicy dworscy, których posyłano na zwiady, powracali, nie dostawszy języka, niektórym po drodze grożono, tak że

uchodzić nazad musieli. Nieposłuszeństwo i opór rosły. Nie występowały one do walki, cofały się, zdały czekać, aż wybijeznaczona godzina. Ci, na których najczęściej rachowano na Wawelu, albo jak panowie z Tęczyna przybywali chmurni i zasępieni, lub się już nawet całkiem nie pokazywali.

Z rozkazu księcia Kietlicz nie zmieniał postępowania, nie popuszczono oków żelaznych,

którymi spętanych trzymać chciano. Ale Mierzwa na sądy przychodził najczęściej nadaremnie, bo nie było sądzić kogo, a biedota zaciągnięta pod ławę sędziowską skarbnemu tylko swą skórę dać mogła. Ten niemy, a twardy opór całej ziemi, gniew Mieszka obudzający, Kietlicza, z natury swej srogięgo, czynił okrutnym, niemal go do wściekłości rozjątrząc. Lecz gniew księcia był zimny i zacięty, nie wybuchał nigdy, gdy Kietlicz miotał się w nim bezsilny, sobie więcej szkodząc niż drugim.

Po ustąpieniu wojewody i ucieczce biskupa szczególnie czuć się dało na zamku, że węzły

wszelkie, łączące go z ziemianami podległymi, zerwane zostały. Kietlicz rozsyłał na zwiady: przynoszono mu wieści groźne albo niezrozumiałe. Rycerstwo skupiało się i kędyś ciągnęło, nie na Kraków jednak i nie przeciw księciu otwarcie, wysuwało się i znikało.

Sprawy ziemiańskie były w rękach duchownych, oni dawali hasła, oni kierowali tą jakąś robotą podziemną i skrytą.

Ze dworu Mieszkowego oddziały, które po gościńcach i dobrach duchownych idąc,

przewodu i strawy żądały wedle obyczaju, w kilku miejscach zuchwale odparto siłą. Kietlicz natychmiast biegł pomścić nieposłuszeństwo, ale nie znalazł na kim: uchodzili mu winowajcy.

Groźby straszne latały w powietrzu. Nie napastował jeszcze nikt, ale cofało się wszystko. Co najdziwniejsza, na zamku samym posłuszne straże, urzędnicy, służba pańska, czeladzie, co dawniej skinieniu były uległe, stawały się krnąbrne, milczące, leniwe, karać nie było można, bo i stąd zbiegało wielu.

Kietlicz z przerażeniem postrzegał, że mu ubywało ludzi. Nikt nie wiedział, gdzie się to

podziewało. Powoli, z więzień i ciemnic zaczęli uchodzić ci, których trzymano za nie opłacone kary. Część ich, gdy ją wysłano pod strażą do kopalni olkuskich, razem z przystawami zginęła.

Każdy dzień położenie to pogorszał. Mieszek, nie pytając, widział i czuł, co się stało.

Kietlicz nie donosił mu, ale się rzucał i złościł na próżno. Na ostatek stanu tego ukryć nie było podobna; co dzień wybitniej dawał się widzieć nawet obcym. Na zamku pustoszało jak w mieście; w zastępstwo tych, co zbiegali, nikogo zaciągnąć nie było podobna. Zięc Mieszka, czeski książę, sam już wygnany, z pomocą przyjść nie mógł, niemieccy czekać kazali, bo w domu mieli

niepokoje. Bez walki z rąk wymykało się wszystko.

Gdy Mieszek, wyjechawszy na łowy i kilkanaście dni na nich spędziwszy, po spotkaniu z

Każmierzem na zamek powrócił, zastał go огоłoconym z ludzi bardziej jeszcze, a Kietlicza upojonego gniewem.

Najgorliwsi pomocnicy jego, Bereza jednooki, skarbnik Juchim, Mierzwa podsędzia, gdy ich do rady przyzywał, milczeli wymownie, umywali ręce, stawali na stronie jako podwładni, zrzekając się współnictwa czynnego we wszelkiej robocie. Słuchali jeszcze, ale biernie i kwaśno. Serb Bereza stanowił wyjątek, ten się rzucał, ale mu się nie wiodło. Kietlicz czuł, iż niewidzialne niebezpieczeństwo rosło, ale że na jego rakach było wszystko, nie śmiał żalić się, aby nań nie spadła wina.

Starzy ludzie cicho szeptali, że w ten sam sposób zmuszono do ustąpienia Szczodrego i że Mieszek jak on wynosić się będzie musiał.

Po powrocie księcia w następną niedzielę zamkowy kościół czasu nabożeństwa nie mieścił w sobie nikogo oprócz szczupłej garści dworskich. Ziemianina na mieście nikt nie zobaczył, do księcia nie zjawił się żaden, nawet z żałobą. Posłano po bliższych, nie przybyli. Jedni na łowach być mieli, w podróży drudzy, inni chorzy. Mieszek znosił to z dumą milczącą, jakby wiedzieć nie chciał.

Starszy syn jego, z Elżbiety, pierwszej żony, Otto, na którego pomoc rachował ojciec, niechętny macosze i rodzeństwu, znikł także ze dworu nadąsany, i mówiono, że gdzieś ruszył ku Wielkopolsce. Ojciec niepokoił się nim i gryzł, Kietlicz więcej jeszcze, ale syna pańskiego imać nie mógł, choć czuł, że od niego też gotowało się nieposłuszeństwo, a może spisek z nieprzyjacioły.

Tak z dnia na dzień szło coraz gorzej.

Na zamku snuli się ludzie, których tu nikt nie znał. Przychodzili niby do kościoła, niby za jałmużną, opatrywali wszystkie kąty, rozgadywali się długo ze strażami po wałach, ze służbą, z parobkami, a potem znikali. W ich miejscu nazajutrz stawili się inni. Kilku kazał Kietlicz uwięzić jak włóczągów, innych przepędzić za wrota, wyświęcić za miasto. Niewiele to pomogło. Pod

wrotami ze strażą ciągle kupki jakieś przychodniów gwarzyły. Zamkowi ludzie służyli inaczej, gorzej, a gdy Kietlicz groził, Bereza się mordował z nimi, najczęściej zbiegostwem się kończyło.

To uciekanie coraz groźniejsze przybierało rozmiary: jednooki co dzień przychodził z

oznajmieniem, że dwu, pięciu i dziesięciu ludzi w nocy zabrakło. Wrota stały zaparte, spuszczały się z tynów i wałów. Posyłano pogoń; ci, co z końmi i orężem wyjechali, nie powracali już więcej.

Kietlicz obliczał z trwogą, że wkrótce zamku nie będzie już kim obronić.

Na koniec Juchim oświadczył, że gotów zdać urząd i pieniądze, bo nie miał co robić, nikt

nie płacił. Mierzwa dał znać, że srodze opuchł i na zamek nie przychodził. Czeladź pańska wystraszona, przerzedzona, oglądała się tak, jakby z dnia na dzień ją i pana stąd przegnać miano.

Pomiędzy resztą załogi chodziły wieści osobliwe. Mówiono, że ziemianie krakowscy tłumami płynęli do Sandomirza, inni na drodze nad Wisłą stali obozami, jakby na coś czekali.

Oddziały ich miały się gromadzić w Mogile, Opatowcu, Połańcu, Osieku, aż do samego Sandomirza. Szeptano, że biskup i wojewoda pojechali do Kaźmierza i zabrawszy go, mają z nim ciągnąć na Kraków.

Gdy jednego z tych ostatnich dni trwogi Bereza, znowu obliczając ludzi, co dzień w dzień teraz musiał czynić, znalazł znowu ubytek w nich znaczny, a z resztą pozostałą w zatarg wszedłszy, złąjany i wyszczuty szyderstwami ująć od niej musiał, przybiegł do Kietlicza strwożony i wściekły.

Kietlicz i tak już od dwóch dni potajemnie wozy swe słał do Budziszyna, nie będąc pewien, czy się tu ostoi. Panu jednak nic donosić nie śmiał. Teraz już lub nigdy pora była się rozmówić. Jedno tylko dodawało męstwa Serbowi: to, że Mieszek go nie tracił. Jak był chmurny, milczący a spokojny, tak pozostał, choć nie' mógł nie wiedzieć, co się działo około niego. Trwogi nie okazywał najmniejszej.

Gdy Kietlicz wszedł doń, zmierzył go oczyma bystro.

— Miłościwy Książę — odezwał się Serb — dłużej już milczeć się mi nie godzi. Żle z

nami, źle u nas! Ludzie nas odstępują. Biskup i ziemianie na gardła nasze nastają, wszystkich do siebie przeciągnęli. Żle z nami, uchodzą wszyscy, a teraz już słyszę, że Kaźmierza na nas prowadzą z siłą wielką.

Mieszek zbył go pogardliwym milczeniem. Wytrzymawszy go u progu chwilę niemałą, nic na to nie odpowiedziawszy, począł pytać głosem ostrym a groźnym, ile jeszcze Kietlicz miał ludzi, skąd o zbliżaniu się biskupa i księcia były wieści.

— Nawet języka już dostać trudno — odparł namiestnik. —

Kogo poślę, ginie: albo go pochwyca, lub uciecze. Wszyscy się na nas spiknęli, nikogośmy dziś niepewni.

— Gród zaprzec, ludzi nie puszczają, gotować do obrony — rzekł Mieszek zimno.

— Nas i ci, co są, zdradzą — odezwał się Serb. — Jeśli w czas nie ujdziemy, to nas tu pochwycają jak borsuka w jamie.

Mieszek ruszył ramionami, popatrzał na Kietlicza i odezwał się głosem podniosłym:

— Gród zamknąć! Rozumiesz? Kogo podejrzewasz o zbiegostwo, powiesić na wałach.

Bronić się musimy. Kaźmierz, choćby przyszedł, nie porwie się na mnie siłą, nie!

— Ziemianie się rzucą bez niego.

— On nie dopuści!

Serb chciał coś mówić jeszcze, Mieszek ręką skinął i usta mu zamknął. Ustępować nie myślał.

W południe tegoż dnia Bereza, na zwiady wysłany, bo jego jednego Kietlicz był pewien, przybiegł czwałem na powrót, strwożony, oznajmując, że ogromne ziemian tłumy obozują pod

Mogiłą i wyprzedzając biskupa Gedkę z Kaźmierzem, ciągnąć mają na Kraków sami. Stało się, co Kietlicz przepowiedział. Co chwila przednich straży ich spodziewać się było można. Mieszek, posłyszawszy to, zbroję sobie tylko gotować kazał.

Kietlicz już bez wiadomości jego wozy powyciągać i skarbiec pański na nie ładować rozrządził. Księżna, niewiasty, dzieci, potrwożone, płaczem i narzekaniem napępowały podwórze.

Książę siedział spokojny; niemal nie bolało go nic oprócz tego, iż syn Otto opuścił go.

Postawiono na noc silne straże, zaparto wrota, nikt do snu kłaść się nie myślał. Bereza znowu poskoczył z kilku wiernymi w stronę Mogiły i powrócił nazad przed brzaskiem,

oznajmiając, iż wielka moc ludzi już jest w drodze do Krakowa. Tymczasem z rana, mimo że gród na Wawelu był szczelnie zamknięty, ludzi tylu nie stało, że wrót i głównych miejsc nie było kim obsadzić.

Mieszek wyszedł sam ich obliczać, nie powiedział nic, dał rozkaz wozy gotować, a reszcie

ludzi w godzinę potem na konie siadać. Gromadka około księcia tak nieliczna była, że na osłonę wozów prawie nie starczyła. Mieszek się i tym nie strwożył, zbroję wdział, szyszak włożył, miecz przypasał, na pozór obojętnie to czyniąc. Sam potem obszedł niewielką garść, która na zamku zostać musiała, przykazując jej, aby zamku nie oddawała.

— Ja wyciągam, ale powrócę rychło — rzekł — na niewiernych i zdrajcach pomszczę się strasznie. Niedługo tu będzie obce panowanie.

Gdy uszczuplony bardzo orszak książęcy z wozami, księżną, dziećmi młodszymi i

Kietliczem wyciągnął z zamku, z dawnych sług nikt go nie przeprowadzał, nie pokazał oczów: znikli ci. W milczeniu wyjeżdżał Mieszek tak spokojny na pozór, jakby jechał na łowy. Powtarzał ciągle: „Powrócę i gardłem mi odpowiedzą za wszystko!”

Gdy przez podzamcze, miasto i przedmieścia przyszło jechać, żywa dusza w progu domostw się nie okazała. Gród stał jak wymarły z okiennicami pozamykanymi, psy tylko w podwórcach pozamykane za bramami ujadły. Cisza ta grobowa trwała czas jakiś, aż Mieszek, jego żołnierze, wozy, czeladź, długim ciągnące się sznurem, wywlekły precz na pola.

Dopiero gdzieniegdzie na dachach pokazały się ludzkie głowy, tu i owdzie ostrożnie zaczęto otwierać wrota, odsuwano okiennice. Ludzie, bojaźliwie rozglądając się, wysuwali na ulice. Szmer jakiś poszedł po mieście, rósł, powiększał się, zmienił w gwar, jakby szumiały lasy, jakby morze mrucało. Nie wiedzieć skąd, jak spod ziemi wyrastali ludzie, na wałach zamkowych roіło się już.

W ulicach stawały kupki gwarząc, niektórzy wyszli poubierani świątecznie. Czegoś zdawano się wyglądać i czekać.

Wtem od Mogiły gościńcem w tumanie pyłu, z wrzawą, jak wichher wtargnął oddział ziemian z proporczykami u włóczni. Było ich kilkuset, za nimi szedł drugi, okrzykujący coś niezrozumiale; wprost się rzucili ku wrotom, na zamek. Tu wszystko stało otworem, nikt nie myślał się bronić; tylko po ciszy długiej buchnęło wrzawą, hałasem, okrzykami radośnymi, wśród których brzmiało ciągle Kaźmierzowe imię.

Zamek już bez walki, bez oporu zajmowali na księcia, Jaksa, stary Żyra, Cholewa i inni ziemianie. W podwórku, na którym ślady kół od wozów Mieszka świeże jeszcze były, nowi ludzie ślali się już obozem, a starszyzna po zamku pustym gospodarzyła. Pozostała czeladź otwierała drzwi, pokazywała drogi, służyła żwawo; na wszystkich twarzach widać było radość, usta się śmiały. Nikt koso nie patrzył, nikt się nie chmurzył. Księcia, co tu wczora panował, śladu ni pamięci już nie było w ludziach, nikt ani stęknął po nim. Nowe sitko wieszano na kołku ochoczo i wesoło.

Miasto w jednej godzinie jakby zmartwychpowstało. W rynku obozował oddział inny, dworki ziemian się pootwierały, mieszczanie szeroko rozkładali wrota swe i w progach częstowali spragnionych. Rozpoczynały się jakby gody weselne. Na pozostałych zausznikach Mieszka i Kietlicza nikt się nawet nie myślał mścić, nie srożył na nich i nie odgrażał, bo i ci nowemu panu służyć byli już gotowi.

Coraz to gościńcem wpadał więcej proporczykami, wołając, trąbiąc, swawoląc, nowy oddział rycerstwa. Jedni szli zwiększać załogę zamkową, i tak już liczną, drudzy się rozkładali obozami u stóp góry, rozgaszczali na placach przed domostwy, które im gościnnie otwierano.



— Jedzie zbawca nasz z niewoli!

Wołaniem takim oznajmywano Kaźmierza. Wieczorem spodziewano się jego przybycia.

Kościół na Wawelu stroił się w zieleń, posypywano drogi liśćmi i kwiatem. Duchowieństwo przybywało gromadnie na dworzec biskupi. Wrota jego, długo zaparte, otwarły się na oścież; dwór Gedki, którego nie było wprzód widać, chodził strojno i zbrojno.

Toż samo na wojewodzińskim było. W mieście kto co miał, warzył, dym słupami walił z dymników, beczki dobywano z piwnic, w rynku jak w wielkiej izbie rozkładali się ziemianie, wnosząc sobie ławy i stoły. Ale największe ludu zbiorowisko było na drodze, którą

Za nim na koniu dzielnym ciągnął wojewoda Szczepan wąsa podgryzając, dalej co

najprzedniejsi krakowscy ziemianie, stare rody tutejsze, ojczyce odwieczni, co razem z Piastami tu przyszli albo przed nimi się poczęli. W orszaku księcia jechał i Stach, któremu oczy błyskały weselem razem i łzami, dalej Wichfried szczęśliwy i co żyło przyjaciół tego, który dotąd nie miał wrogów. Ten dzień miał mu ich uczynić.

Po drodze ciągle stawać było potrzeba: zachodzili mu ją i zajeżdżali mieszczanie, duchowni, panowie, żupani zamków sąsiednich, którzy już je na imię Kaźmierza pozdawali. Powtarzano ciągle:.

— Żyw bywaj, zbawco nasz!

Strwożony w sumieniu gwałtem, jaki na nim popełniono, półżyw wjechał Kaźmierz i stanął u progu kościoła na Wawelu. Tu stał archidiakon w szatach uroczystych, z krzyżem i wodą święconą, i duchowni wszyscy, nucąc hymn ambrozjański, hymn tryumfu i dziękczynienia, któremu przygrywały dzwony. Przodem wszedł biskup, za nim księżę do ołtarza wielkiego, przed którym padł na kolana, twarzą na ziemię i płakał.

— Odwróć, Panie, ten kielich ode mnie!

Gdy się to działo, dworek skarbnego Juchima, ponad samą wjazdową drogą, którą księżę przeciągnął, stał tak zamknięty i zabity szczelnie, jakby w nim wymarło wszystko. Lecz kto by był zajrzał do środka ponad wysokie z dylów parkany, zobaczyłby przez szpary przypatrujących się pochodowi a drżących: bladego Juchima, targającego rzadką brodę siwą, i bledszego jeszcze Mierzwę, trącego niespokojnie twarz ściągniętą trwogami i troską. Oba milczeli, jakby się lękali

wydać głosu, by ich nie zdradził. Z nich dwu Juchim jeszcze się zdawał odważniejszy, Mierzwa, choć męstwa sobie dodawał popijając po trosze, choć się krzepił na duchu filozoficznymi argumentami, chwilami zimnym oblewał się potem.

Wśród tych, co z Kaźmierzem przeciągali, poznawał ludzi, których sądził. Juchim liczył tych, których odzierał i męka- mi zmuszał do oddania ostatniego grosza. Wszystko to teraz zwycięskie zapanować im miało.

Poprzeciągały już oddziały, z dala słychać było tylko huki, wrzawę, wołania na zamku i dzwony, a w mieście — tłumne okrzyki, na gościńcu pusto już było, a oni stali jak wkuci i patrzali jeszcze. Juchim w orszaku dojrzał poza księciem jadącego Stacha, zdziwił się mocno i pomyślał:

„Winien mi grzywny, ja mu się ich nie upomnę, alem go zwolnił, mógłby o tym pamiętać.”

Gdy oba o padającym już mroku zeszli ze stanowiska, skarbnik i Mierzwa spojrzeli sobie w oczy i głowami potrząśli.

— No, a co teraz będzie? — zamruczał Juchim.

— Co ma być? — odparł Mierzwa udając wielce śmiałego. — Nie boję się niczego.

Sądziłem, jak mi sądzić kazano.

— Cóż ja gorszego?! — zawołał Żyd. — Jam te pieniądze pobierał, któreście mi brać kazali!

— No tak, tak — rzekł Mierzwa — ale nie chciałbym być w waszej skórze. Ja siedziałem na ławie z prawem w ręku, wy, jak przyszło wycisnąć grzywny, i na mękiście brali.

— Czy to z nimi można było inaczej?! — zawołał Żyd. — Albowiem to ja grzywny dla siebie ściągał?! Hm, ja w waszej skórze nie chciałbym być. Gdyby nie wasz sąd, nie byłoby moich grzywien.

— Słuchaj, Juchim — przerwał Mierzwa — ani ty mnie, ani ja ciebie nie powinniśmy się zdradzać i oczu sobie wykalać.

— Na co my mamy zdradzać? Po co mamy kłuć? — rzekł Juchim.

Mierzwa po chwili powtórzył, co już mówił nieraz:

— Oni się beze mnie nie obejdą. Kto tak zna wszelki zakon, jak ja?

— A skąd oni wezmą grzywny, gdy ja im nie pokażę, kędy one są? — dodał Juchim zadumany.

Pocieszali się, a jednak zadumali wielce niespokojni.

— Kogo ty masz? — spytał Mierzwa.

— Ja? Nikogo, samego siebie.

I Juchim stuknął palcem w głowę.

— To mało, ja muszę kogoś szukać.

— Jak ja szukać zechcę, może też znajdę — rzekł Żyd. Przyjaciele stali jakby nieufni naprzeciw siebie, jeden chcąc wybadać drugiego.

— My powinni iść razem, a nie na siebie zrzucać winy — dodał Mierzwa.

— Który z nas zaszkodzi drugiemu — rzekł Żyd — albo to nie ma czym mu oddać?

Mówili jeszcze urywanymi słowy, gdy do wrót silnie dobijać się zaczęto. Był to Stach, który choć w orszaku księcia z innymi przybył, dla wielu oczów i świadków nie chciał na zamku

nocować. Szukał sobie na uboczu miejsca, z którego by mógł pana swojego strzec, nie widziany bronić go i osłaniać. Tymczasowo trzeba mu było kąta, w którym by stanął gospodą.

Dworek Juchima w sąsiedztwie zamku nastroczył mu się i choć nie wiedział, kto w nim

mieszkał, obyczajem ówczesnym przybył prosić o przyjęcie, próbując czy mu się tu wcisnąć nie uda. Wrota były zaparte, biegł już do nich odrapany sługa, gdy Juchim przelękł obawiając się, aby go na niebezpieczeństwo głupotą nie naraził, z gniewem go odepchnął i sam do bramy pośpieszył.

Pomimo mroku mógł jeszcze dojrzeć, kto się dobijał i osądzić, czy wpuścić go było można,

wypraszać się lub bodaj opłacić. Przyłożył więc oko do wąskiego otworu i pilno przypatrywać się zaczął. Poznał Stacha. Był mu na rękę. Trwoga i nadzieja razem go objęły.

Stach dobijał się ciągle jak pan wołając, aby otwierano. Juchim zapytał po cichu, czego żądał.

— Czego? A to się rozumie, że gospody — odparł przybyły. — Przyszliśmy z księciem, na

zamku dla wszystkich miejsca nie ma. Otwierajcie a żywo! Niewiele mam ludzi i koni. Jest nas

trzech, zapłacę za wszystko, dachu mi tylko i stajni potrzeba.

Gdy się to działo, Mierzwa niepewny, kto przybywa, ukrył się, ale nasłuchiwał. Wahał się jeszcze Juchim.

— To gospoda nędzna, licha — zawołał — nie ma gdzie postawić koni, dla miłości waszej wygody nie będzie!

— Ja jej nie potrzebuję — mówił Stach nalegając — koniom byle dachu kawał, aby im na grzbiet nie ciekło. Otwieraj!

Po krótkim namyśle Juchim kazał wrota otworzyć, a Stach z Żegciem i służbą natychmiast w dziedziniec wbiegli. Wrota z obawy, aby się kto więcej nie przypytał, co rychlej zaparto.

— Będziecie mnie od drugich bronili — rzekł Juchim, przystępując i kłaniając się. — Hej hej, my z miłością waszą nie od dziś znajomi, to się dobrze złożyło!

Stach, poznawszy skarbnego, ramionami ruszył.

— Ano — rzekł — jeśli myślisz, że ja ci grzywny przywiozłem, omylisz się srodze.

— A a! Ja żadnych nie potrzebuję — rękami strzepując odezwał się Juchim. — Co za grzywny?! One pojechały z tym, co go tu nie ma!

I wskazał w stronę, w którą się Mieszek oddalił.

Stachowi z powodu grzywien i Żyda gospoda się niezbyt miłą wydała, lecz gdy raz tu wpadł, a pod noc sobie innego kąta szukać nie mógł, musiał przyjąć, co los naraził.

Trochę zakłopotany Juchim go do izby prowadził.

— Mówiłem miłości waszej, że u mnie wygody mieć nie będziecie. Na posłanie chyba siano i kobierczyk liche, dla koni nie ma nic. Jadło! A! Jakie u mnie jadło? Nędzne! Ja człowiek ubogi.

— Ubogi? wy? — rozśmiał się Stach, wchodząc za nim. Uśmiech szyderski do żywego tknął Juchima, który wprost z obojętności chłodnej przeszedł do największego roznamiętnienia.

Posądzenie go o zamożność było dlań najstraszniejszą groźbą. Podniósł obie ręce wychudłe, wskazując na istotnie nędzną izdebkę, do której weszli.

— Wasza miłość nie chcecie wierzyć ubóstwu mojemu! Albo mnie Mieszek i Kietlicz nie darł ze skóry jak innych?! —

zawołał. — A! Gorzej niż innych! Na wyjezdny ostatni im grosz oddać było potrzeba! Ja z głodu mogę umierać! Kto mnie dziś pożywi, kto się ulituje? Stach z lekka go uderzył po ramieniu.

— Bądźcie dobrej myśli — odezwał się — pan nasz nowy, którego wam przywiedliśmy, sprawiedliwy jest, bogobojny, litościwy, z nim i wam lepiej będzie, i wszystkim. A ci, co z tym panem jadą, nie drapieżne sępy są, ale ptactwo spokojne.

Juchim skłonił głowę z poszanowaniem.

— Służyliście księciu Mieszkowi... — dodał Stach.

— Ja? — przerwał Juchim. — A kto mu nie musiał ze strachu służyć? Każdy człowiek życie ratuje.

Tak się rozpoczęła rozmowa, po czym Juchim mimo ubóstwa, na które skarżył się, postarał o godne gościa przyjęcie. Sam poszedł po chleb biały, wino i jakieś słodczy, które na miedzianej tace, w saraceńskie wzory rysowanej, przyniósł Stachowi. Ten więcej potrzebował spoczynku niż pokrzepienia, miał też do myślenia wiele. Uzbierało mu się na duszy i dobra, i złego dostatkami.

Najgorętsze życia jego pragnienia były dopięte: Kaźmierz wszedł na stolicę. Lecz na tym się nie kończyło. Tu dopiero oczekiwać go miały największe niebezpieczeństwa: zdrady ludzi,

podstępny, knowania, walka z Mieszkiem i rodzeństwem jego, chciwi połowu przyjaciele, chciwe panowania nad panem niewiasty.

Od tego wszystkiego chciał go bronić. Czuł dobrze, że teraz stanęli dopiero na placu boju, gdzie największego potrzeba było czuwania i pilności. On, jak sobie z dawna ślubował, stać musiał

na straży nie ukazując się, być wszędzie niewidocznym, nie oddalać się na chwilę, czuwać, szpiegować, zabiegać. To była życia jego pokuta. Jak temu podoła, sam nie wiedział, Bogu się oddając, który na czyste patrzył serce i na niebezpieczną drogę aniołów stróżów miał zesłać.

Westchnął, zostawszy sam, o pomoc do niebios. Troska już jednak kamieniem na sercu mu leżała.

Nie mając innego celu w życiu nad wywdzięczenie się panu swojemu, śledził wszystko pilno, co go otaczało. Nie uszło oka jego i ucha, że Dorota zastawiła sidła na słabego pana. Od pierwszego spotkania z nią na Skalach, Stach powziął do niej wstręt i obawiał się zalotnicy. Dojrzał już, jak w Sandomirzu zabiegała, aby sobie do księcia utorować drogę. Wiedział, że Wichfried był u niej, że ją wieczorem na zamek prowadził i że tam długą chwilę przebyła. Trwożyło go to wielce. „Zła

niewiasta — mówił w duchu — zalotnica przebrzydła życie mu zatruje, troski i srom nań ściągnie, opanuje nazbyt dobrego pana."

Wszystko, co słyszał o wdowie, co widział sam, przejmowało go wstrętem. Znając z młodości Kaźmierza, wiedział, że urokowi niewieściemu oprzeć się nie umiał i że im napastliwszą, tym była dlań niebezpieczniejszą. I o tym posłyszał Stach, że jej kazano za Kaźmierzem jechać do Krakowa. Pierwszą więc robotą, jaką sobie zadał, było księcia od niej uwolnić; ale jak to uczynić, nie wiedział jeszcze.

Gdy mu siano i kobierczyk przyniesiono, a Żegiec zniósł juki i pościelać przyszedł, Juchim stał jeszcze na uboczu, czekając, czy czego nie zapotrzebują. Na myśl przyszło Stachowi wszystko wiedzącego Żyda zapytać o wdowę, którą z jej szaleństw w Krakowie znano. Sądził, że się

dowiedzieć może od niego, gdzie Dorota w Krakowie zamieszkać mogła, bo był pewnym, że na zamek nie będzie śmiała się wcisnąć. Począł trochę z przełaju, o panów z Tęczyna zagadując go, którzy z Mieszkiem trzymali.

— Trzymali oni z nim — odpowiedział Juchim — ale pod koniec i oni już, gdy ich wołał, jechać do niego nie chcieli. Moźni są, przecież z panem i całą ziemią do wojny nie staną.

— A co się z siostrą ich stało? — dodał Stach. Juchim ze wstrętem ramionami ruszył.

— Któż ją wie! — bąknął.

— Pono zamknąć ją chcieli?

— No — rzekł Juchim — aby ona teraz tylko ich nie pozamykała! Wszystkim wiadomo, że

stary wojewoda, choć żo- nę ma, choć go za to biskup łaje, bardzo się w niej rozmiłowuje. A ona by córką jego mogła być. Juchim splunął nieznacznie.

— Ona by tu w Krakowie dom swój mieć powinna? — spytał Stach.

— Jakże by nie miała, ma, jeżeli bracia nie zabrali. Dwór był bardzo paradny. Będzie w nim teraz wesoło — rzekł Żyd szydersko.

A gdy Stach pytał więcej, zakończył stary:'

— Wielkiego rodu pani, ale to jest niewiasta, o jakiej król Salomon nasz, który wiele od

nich wycierpiał, powiedział, że gorszego nad nie na świecie nie ma nic. Niech Bóg od niej broni każdego pocziwego człeka.

Nad ledwie uśpioną stolicą wstał ranek letni, złocisty, pogodny, jasny, ciepły, jakby uroczystości nieba błogosławiły. Miasto, które uctowało noc całą teraz odpoczywało. Ledwie czeladź pilniejsza poruszała się gdzieś, ziewając i wyciągając się, konie podróżą popodbijane ciągnąc i pędząc do wody.

Wczorajszego przyjęcia wszędzie jeszcze widne były ślady. W ulicach tam i sam stały ławy, powynoszone wieczorem dla chłodu, stoły pooblewane miodem i piwem. Na ławach pod domami, na przyźbach ci, co się do środka dostać nie mogli albo nie chcieli, leżeli pookrywani lada jako, chrapiąc na twardych deskach jakby na najmiększym pościelaniu. Nie wszędzie drzwi pozamykano i pozasuowano okna. Wozy, które się pod szopami nie zmieściły, stały w rynku i na ulicach, a konie do nich poprzywiązywane resztek siana w głębi szukały.

Spało miasto, tylko po kościołach o swej godzinie dzwonki się już odzywały po jednym, cicho jakby nie wszystkich budzić chciały.

Na zamku tłumno było. I tam jeszcze po wczorajszym wieczorze nieład panował. Tylko ziemianie troskliwi, aby ich kto nie ubiegł, ostawili wały ludem dokoła, gęsto pourządzali strażę, a we wrotach oddział cały wniósł pilnował. Podwórza na obóz wyglądały, tak w nich pełno było koni, wozów, różnego ludu i broni. Beładnie, ale gęsto porozkładali się ci, co tu przywiedli Kaźmierza, dokoła budowali, pod wałami, u szop i wszędzie.

Choć cisza panowała na zamku, dużo ludu ruszało się już t krzątało. Starszyzna w obawie jakiego podstępu i zdrady chodziła, opatrując wszędzie kąty i zaglądając ludziom w oczy. Chociaż miłość dla księcia Kaźmierza okazała się wczoraj tak powszechną, tak wielką, iż nigdy może żaden z książąt tryumfalniej nie wjeżdżał na stolicę, witany z taką radością i uniesieniem, zawsze się Mieszka i jego stronników obawiano. Wojewoda ze swoimi ludźmi częścią na zamku stał, częścią pod nim. Biskupiego dworu rycerskiego znaczny oddział z pułkownikami się tu znajdował.

Pilnować się musiano nie tylko od Mieszka, ale od samego Kaźmierza, z którym sprawa nie była dokonaną. Wzięto go wprawdzie i na stolicę wprowadzono, ale opierającego się i zarzekającego. Widział, że zdobywać jej nie potrzebował, bo mu się wszystkich serca same rzucały pod nogi, bramy same otwierały, ale biskup czuł, że dobrowolnie ciężaru, jaki mu na ramiona wkładano, nie przyjmie, że na skinienie brata ustąpić gotów, a nawet dopomóc do odzyskania władzy. Był panującym z musu, nie dobrej woli, posłusznym losowi, nie przekonany jednak, aby powinnością jego było panować i by miał do panowania prawo. Musiano więc stać przy nim na straży i zmusić go, by cugle wziął w ręce.

Zadanie to głównie przypadało biskupowi. W istocie nie Kaźmierz panował tu, ale Gedko z

ziemianami krakowskimi. Kaźmierz był jakby w niewoli u nich, z której nie powinni go byli wypuścić. Z kilku słów, całego obejścia się wnosili, iż najlżejszego starczyłoby pozoru w tej chwili, aby ustąpił do Sandomirza, którego żałował.

Naradzano się po cichu, jak go tu strzymać, jak przekonać i umocnić. Nade wszystko z oka

go spuszczać, ani sobie samemu zostawić nie było można. Ułatwiało zadanie to, że biskup miał za sobą i księżną Helenę, i wszystkich przyjaciół Kaźmierza: Jakcę, Goworka, Wichfrieda. Najbliżsi serca jego chcieli go widzieć na stolicy i gotowi byli pomagać, aby się na niej utrzymał. Wszyscy w tym pobożnym spisku byli z biskupem.

Jeden Kaźmierz opierał się swojemu przeznaczeniu. Ze łzami wjechał na ten zamek, płakał,

modląc się w kościele, powtarzał to, że się przywłaszczoną brzydził władzą i że się tu nie za pana, ale za czasowego uważa tylko dzierżawcę.

Musiano czuwać nad nim.

Od wczorajszego wieczora jawnym było, że się tu za gościa uważał. Pustka, w której

wszędzie jeszcze ślady żywe po Mieszku zostały, łzy mu z oczów i westchnienia wyciskała.

Wichfried dopominał się, aby rozporządził pomieszczeniem, wybrał komnaty, naznaczył te, które miał zająć. Kaźmierz odpowiedział mu niecierpliwie, że gdziekolwiek obozować może, a siedzieć się nie myśli.

Wieczorem, gdy odszedł na spoczynek, słowa się z niego dopytać nie było można. W nocy

ci, co spali w izbach sąsiednich, słyszeli go modlącego się głośno i wzdychającego ciężko.

Nim księżę wstał, Jaksa, który się tym niepokoił, pobiegł na radę do biskupa. Tu już, mimo godziny rannej, ludzie byli na nogach, a sam Gedko, za stołem siedząc, listy rozpisywać kazał, wzywając biskupów na radę.

Ziemiańskie stali, czekając na rozkazy pasterza, gdyż stąd płynęło wszystko. Kaźmierz nie

chciał się rozporządzać ani za pana uważał. Był to rodzaj bezkrólewia, wśród którego

duchowieństwo z ziemianami władzę dzierżyć musieli. Ze dworu biskupiego pisma się rozchodziły na całą ziemię. Naprzód arcybiskupa gnieźnieńskiego zawiadomić musiano, aby go mieć z sobą.

Nie było to wątpliwym.

Do dworca biskupiego przybywali jedni, wysyłano stąd drugich, czynność i ruch były

wielkie. Gdy Jaksa nadszedł, mimo że Gedko mocno był listami zajęty, zobaczywszy go, wstał ku niemu.



— Ojcie — odezwał się Jaksa — co myślicie dalej? Zdawało się nam, żeśmy już dopięli

celu, najcięższe pono dopiero teraz przychodzi. Książę nieswój, pomiészany, przybity, wyrwać się nam gotów. Całą noc, jak mi komornicy mówili, przetrwał na modlitwie i niepokoju. Sumienie gryzie go. Do dnia już dobiegł do kościoła. Poznać go trudno, tak mu się twarz mieni trwogą i frasunkiem. Dziś też rano kazał sprzęty i zasoby wysłać, które po Mieszku zostały, a komornikowi wyprawionemu z nimi poufne dał zlecenie, by uspokoił brata, iż władzy przywłaszczając sobie nie myśli i pracować będzie dla pojednania. Zdaje się, że i sprzęt wyprawił tylko, aby poselstwo to wysłać. Biskup westchnął i zmarszczył się nieco.

— Radzić na to musimy — odpowiedział — nie z nagła, ale powoli i stopniowo.

Sprzeciwiać mu się wręcz na nic nie zdało, czas wiele dokona, my też nie zaśpiemy. Książę lubi mądrych i uczonych ludzi, rad biesiaduje z nimi, musimy mu dać takich, co by go uspokajali w sumieniu i nauczali o obowiązkach. Znajdziemy ich, a i sami nie zostaniemy beczynni. Główna rzecz spełniona, reszty Pan Bóg dopomoże dokonać.

— Piękną jest rzeczą ta miłość braterska i praw starszeństwa poszanowanie — dodał — lecz

tu dla miłości większej nas wszystkich, dla losu ziemi tej, dla sprawy religii świętej, książę się poświęcić musi. Z wolna ukołyszemy to sumienie poczciwe a niespokojne.

Mówiąc to, biskup zdawał się Jakse chcieć pocieszyć, sam z bezpieczeństwem patrząc w

przyszłość. Jaksa, po ludzku biorący rzeczy, rozrywkę, zajęcie, ludzi i spraw użyć radził, aby księcia wciągnąć i niejako zmusić do panowania, nie dając mu spocząć. Użył nawet porównania tego, iż gdy łowiec ptaka unosić chce, spać mu ani tchnąć nie daje, wrzawą go upajając.

— To wasza rzecz — odparł, bystro poglądając, Gedko. — Czuwajcie tylko nad tym, aby

rozrywki godziwe były, a nie płocze, bo najlepszej rzeczy złymi środkami czynić się nie godzi.

Naradzali się więc, choć biskup nie zdawał się trwogi Jaksy podzielać i rachował, że

Kaźmierz ulec musi. Tym też i jego uspokoił.

Mowa była jeszcze o tym, że dopóki książę milczącym jest i w sobie zamkniętym, zawsze

się obawiać należy; a lepiej zmusić do jawnego wypowiedzenia myśli, ażeby ją pokonać

argumentami, którym by oprzeć się nie mógł. Biskup rachował na duchownych: na ojca Lucjusza, scholastyka Lamberta, nawet na młodego ulubieńca Wincentego, których wszystkich na zamek

wysłać miano.

Jaksa i z tym się wydał na końcu, że posądzal księcia o zamiar ucieczki z Krakowa, tak że straż koło niego stawić było potrzeba. Biskup zlecił to jemu i przyjaciołom, tymczasem inni pasterze przybyć

mieli, aby dopomóc Gedce do działania na opornego. Rozmowa z Jaksą trwała dość długo, a owocem jej było, że czuwać postanowiono. Biskup wlał w niego otuchę, jaką sam był ożywiony, iż wszystko da się z wolna po myśli ułożyć.

Wyszedł ze dworca Jaksy z danym mu hasłem i zarządził tak, iż dnia tego ani na chwilę prawie Kaźmierza samym nie zostawiono. Coraz nowe przybywały ziemian gromadki, przynosząc mu hołdy, dziękczynienia i skargi boleściwe na Mieszka. Z przykrością i zdumieniem słuchać musiał Kaźmierz żalów tych na brata i ludzi, którymi się posługiwał. Zaprzeczał czasem i uniewinniać się starał, lecz dowody były zbyt jawne i składanie winy na Kietlicza oczyścić Mieszka nie mogło.

Żale te, utyskiwania, opowiadania o rządach i sądach czyniły na księciu wrażenie tym boleśniejsze, iż się co chwila bardziej przekonywał, jak wprowadzenie na powrót Mieszka trudnym było, niemal niepodobnym. Jedni obawiali się zemsty, drudzy uraz i krzywd nie mogli przebaczyć, wszyscy błogosławili Boga, iż ich wyzwolił z tej kaźni.

Tak spłynął ten pierwszy dzień, bez wytchnienia prawie dla Kaźmierza. A gdy późnym wieczorem wymknął się do pustej komnaty swej dla spoczynku po tym gwarze i pisku, Wichfried, który mu towarzyszył, znalazł go tak godnym politowania, że rad by był czymkolwiek bądź weselszą myśl, rozrywkę poddać jakąś.

Zdało mu się, iż przypomnienie pięknej wdowy potrafi rozbić te mroki. Wichfried wiedział już o jej przybyciu i nie wahał się z lekkomyślnością, do której księżę był z jego strony nawykły, oznajmić mu po cichu, z uśmiechem, iż Dorota rozkazów usłuchała i w Krakowie się już znajdowała, a dom jej, niezbyt daleko położony, łatwo było odwiedzić, gdyby księżę życzył sobie tego. Namawiał nawet na to powiadając, że po dniu takiej pracy ciężkiej należała chwila lepszej myśli.

Kaźmierz odtrącił tę pokusę z jakimś wstrętem, mając zbyt wielki ciężar na sercu, a głowę czym innym zaprzątniętą, ale Wichfried, znając go, nie ustąpił.

— Niemożliwa to — rzekł — aby się księciu Dorota nie podobała — grzechu przecie wielkiego nie ma posłuchać szczebiotania i popatrzeć w oczy.

Kaźmierz głową potrząsnął.

— Niewiasta i piękna, i urokliwa — rzekł — tym też więcej obawiać się jej trzeba, bo

napastliwa jest, nieopatrzna i ludzie o niej prawią nadto.

— O, Miłościwy Panie — przerwał Wichfied — co ludzie prawią, to najczęściej potwarz, zazdrość i zła wola. Więcej w tym kłamu niż prawdy. Księżę byś przynajmniej zmuszony był się rozchmurzyć, bo my tu w Krakowie pomrzemy od smętku.

— A po cóżeście mnie tu przywiedli? — odparł żywo Kaźmierz, chwytając go za słowo. —

Nie prosiłem się wam, abyście mnie zostawili w spokoju? Tak jest, i biskup, i wojewoda, i wy wszyscy učiniliście, co chcieli, ze mną, ale mnie zrobiliście najniezszczęśliwszym z ludzi. Nie mogę spojrzeć na zamku ściany, nie rumieniąc się upokorzony, bom tu przywłaszczycielem

nieprawym. Cień Mieszka chodzi za mną, cień ojca wyrzuca mi nieposłuszeństwo.

Wichfied zbliżył się doń żywo i pochwycił za rękę.

— Wszakże Księżę — zawołał — nie nastawałeś ani na władzę jego, ani na panowanie!

Byłeś zmuszonymi Mieszko winien sami Ojcowie duchowni żądali tego, domagali się i rozwiązali sumienie, możesz więc być spokojnym i czuć się niewinnymi

Wszystko, co Wichfied mógł znaleźć w sobie dla uspokojenia go, pozostało bez skutku.

Kaźmierz milczący i pogrążony nie dał znaku przyzwolenia.

Do wieczery Gedko umyślnie zesłał scholastyka Lamberta, opata benedyktynów z Tyńca,

Kaźmierza, Wincentego młodego i kilku duchownych. Lepiej to pomogło niż wszelka pociecha, na jaką Wichfied się mógł zdobyć. Czoło się nieco rozchmurzyło, wzrok stał jaśniejszym. Duchowni przyszli już uprzedzeni, niosąc z sobą twarze wesołe i myśli swobodne.

Nie potracono w rozpoczętej rozmowie o sprawy terażniejsze, nie mówiono o tym, co się stało, unikano rzeczy obecnych, ale składało się tak jakoś, iż z historii starożytnej ciągle przychodziły przekonywające przykłady, jako po wszystkie czasy tyranom władzę odbierano,

nowych do panowania powołując ksiąząt, a gdzie vox populi — vox *Dei* przemówił, poddać się jego wyrokowi koniecznością było.

Szczególniej młody Wincenty obfitym był w przytoczenia historii dawnych państw różnych,

których mu niesłychana pamięć jego dostarczała. Słuchał Kaźmierz z zajęciem. Wśród opowiadań i inne przedmioty przychodziły na stół, odwracając myśl od terażniejszości. Księżę z wolna ożywił

się, zdał zapominać o sobie i cały zajął rozprawami, które się jedne z drugich rodziły.

Scholastyk przywoził Pismo święte, Wincenty — pisarzy świeckich, a opat Kaźmierz

wesołym humorem ucztę zaprawiał.

—Błogosławiona ta chwila — mówił — gdy Bóg ześle narodowi pomazańca wedle serca

swojego, naówczas ziemia kwitnie, lud się weseli, podnoszą miasta, stroją sioła, rosną świątynie, mnożą klasztory i gród niebieski przedstawia państwo szczęśliwe.

— A wszystko to — dodał scholastyk — miłość i łaskawość tworzą, nie groza i surowość niezblągana, które tylko przeciw zbrodni orężem są koniecznym.

— Ziemi tej naszej — wtrącił opat — jakże potrzeba mi- łościwej ręki, aby w niej zakwitła i ona jako sucha różdżka w ręku Józefowym.

Kaźmierz, gdy mowa wyraźniej do niego się zastosować dawała, spuszczał oczy. Frasunek powracał.

— Sprawiedliwego męża potrzeba nam — dodał scholastyk.

— Ale sprawiedliwość — przerwał książę — niełacna jest, bo każdy jej gdzie indziej szuka, inaczej widzi, a oczy ludzkie myślą się często.

— Co i historie stare dowodzą — wtrącił młody Wincenty. — Jedna z nich opowiada, jako za panowania Cezarowego\* prawo było postanowione, iż kto by niewiastę porwał gwałtem, w

mocy jej będzie albo dlań żądać śmierci, lub zmusić do poślubienia bez wiana. Mówią tedy, się raz przygodziło iż mąż pewien, w jednym i tym samym dniu dwie niewiasty porwał i krzywdę im na czci uczynił. Pochwycono go i przed sędzięgo stawiono, gdzie obie niewiasty przysły z żalobą.

Jedna nań śmierci, druga ślubu żądała. Cóż postanowił sędzia rozumny? Oto przyznał tej niewieście pierwszeństwo, która miłosierniejszą była.

Wszyscy słuchacze przyklasnęli powieści Wincentego, a Kaźmierz żywo zdał się nią zajmować. Co widząc Wincenty, wkrótce o żywocie ludzkim i losach człowieka drugie opowiadanie rozpoczął:

— Był raz władca pragnący wielce poznać i zbadać ludzką naturę. Znajdował się podówczas

w królestwie jego mędrzec niektóry, ludziom radami swymi wielce pomocny. Zasłyszawszy o nim, król posły wyprawił, aby natychmiast przybywał. I rzekł mu: „Mistrzu mój, chcę od ciebie

mądrości i nauki zaczerpnąć. Powiedz mi naprzód: Czym jest człowiek?"

Mędrzec odpowiedział na to: „Człowiek nędzarzem jest przez cały ciąg swego żywota.

Patrzcie na początki jego, na czasy pośrednie i koniec, ujrzyście, iż wszystkie one pełne nędzy i dolegliwości. Dlatego czytamy u Hioba: Człowiek z niewiasty zrodzony przepełnion jest nędzą wszelką. W początkach biedny jest i bezsilny; w środku życia utrapiony a na duszy bolejący, w końcu ziemia go pożera. Przeto Królu Miłościwy, dumnym się być nie godzi."

Rzekł król: „Odpowiedz mi jeszcze na cztery pytania, a uczynię cię dostojnym i obsypię bogactwy. Pierwsze pytanie: Co jest człowiek? Drugie: Komu on podobny? Trzecie: Gdzie on jest? Czwarte: Z kim?

Na pierwsze pytanie odparł mędrzec: „Niewolnikiem śmierci, gościem na ziemi, przechodniem wędrownym.

Do kogo podobien? Powiem do lodu, który się od gorącości roztopia, wniwecz idzie i w ziemię wsiąka.

Trzecie pytanie: Gdzie on jest? Wśród wszelkiej wojny, przeciwko światu, szatanowi i ciału.

Czwarte: Z kim? Odpowiem: Siedmiu ma towarzyszków, co go trapią ciągle, a ci są: głód, pragnienie, gorąco, zimno, znużenie, choroba i śmierć."

Zabawiano tak księcia, który się wielce powieściami tymi zajmował, ucząc ich chciwie i gdy tak do późna gwarzyli, udało się w końcu chmury rozpędzić i przywieść do tego, że na ustach uśmiech się zjawił.

Postrzegł jednak Wichfried, gdy sam na sam zostali, że po krótkiej chwili zaduma i troska wróciły. Na Niemca, jako najpoufalszego i najśmielszego, zdali wszyscy staranie o rozrywki, o utrzymanie w Krakowie księcia, okazującego do pobytu w nim wstręt, a za Sandomirzem tęsknotę.

Nazajutrz Wichfried rano łowy za Wisłą w lasach przygotował, a że ziemian ofiarowało się w pomoc wielu, najraźniejszych i najweselszych wybrano, ruszając w lasy ku Tyńcowi, gdzie opat za obfitość zwierza zaręczał.

W istocie powiodło się polowanie i księżę pochwycony nim, otoczony śmiejącymi się twarzami i sam też poczynał być dobrej myśli, ale w powrocie do Krakowa, gdy sami z

Wichfriedem pozostali, Niemiec już z trudnością dobyć mógł słowo. Dojrawszy z dala Wawel, Kazmierz zdrygnął się i oczy spuściwszy, milczał. Wichfried naówczas ważył się znowu

przypomnieć mu wdowę.

— Miłościwy Książę — odezwał się — towarzysze nasi z dala pozostali za nami, my ich o wiele wyprzedzamy, na zamku u nas strasznie jeszcze pusto, ja tu gospodę znam, w której nas przyjmą radzi.

Książę nic nie odpowiedział, jechał dalej. Tak się sami do miasta dostali, a Wichfried pokierował wprost do dworu Doroty. Wprawdzie się ich tu nie spodziewano, ale z obawy braci, wdowa się oddalić nie mogła, pewien więc był, że ją zastaną.

Tak było w istocie, od przybycia bowiem do Krakowa Dorota się ciągle księcia spodziewała wiedząc, że zateśkni za nią. Nie ruszała się nigdzie, w oknach i na wyglądach próżnych całe dni spędzając. Ujrawszy dwu jeźdźców, zbliżających się do dworu, poznała w nich zaraz, a raczej domyśliła się Kaźmierza z jego towarzyszem i wybiegła uradowana na ich przyjęcie. Zsiadli w podwórcu z koni, gdy Dorota, skłaniając się do kolan Kaźmierza, z wielką natarczywością zapraszała do ubogiej chaty, jak ją nazywała. W istocie przepychu tu nie było, gdyż od dawna we dworze nikt nie mieszkał, lecz na służbie ze Skał sprowadzonej i na wygodach nie zbywało.

Kaźmierz, jak gdyby nie wiedział, dokąd przybył, zobaczywszy ją, uląkł się nieco i do Wichfrieda zwrócił się z niemą wymówką, lecz oprzeć się nie mógł zaproszeniu i wszedł do środka.

Milczącego księcia Niemiec zastępował opowiadając, że z łowów wracali, a książę, pamiętny przyrzeczonej opieki zбочzył na chwilę, aby się dowiedzieć, czy jakiego przeciwieństwa od braci nie miała Dorota. Kaźmierz się nie odzywał jeszcze, a wdowa ze śmiałością wielką poczęła i żale swe wywodzić, z wdzięcznością dla dobrego pana się oświadczać.

— A! Gdyby nie wy, Miłościwy Panie — mówiła — nie mówię już, że mnie czekałaby niewola gorsza śmierci, ale i innych, dostojniejszych, życie byłoby na włosku. Bracia moi teraz się już w Krakowie pokazać nie będą śmieli, ale kto wie, co być może, gdy ze strachu ochłoną?

— Chociaż ja się za pana nie mam i brata mojego zastępuję tylko — odezwał się książę — pocznę jako opiekun, przywołam braci waszych do siebie, wysłucham ich i was, aby uczynić zgodę.

— Zgodę — zakrzyknęła wdowa — między nimi a mną! Prędzej się świat skończy, niż ona nastąpi, co od nich posłyszycie o mnie, Miłościwy Książę, to mnie w oczach Waszych zabije! Nie chcę, aby uszy Wasze kalali potwarzami! Niech się dzieje, co Bóg da!

— Cóż więc dla was uczynić mogą, abym waru pokój zapewnił? — spytał Kaźmierz.

— Pozwólcie mi zostać pod opieką Swoją — odezwała się wdzięczną Dorota — ja o to

tylko proszę. Rzućcie czasem na mnie okiem łaskawym, więcej nie pragnę.

Książę, chcąc wedle sumienia postąpić i broniąc się przeciw napastliwej niewieście, która go niepokoiła, dołożył z powagą:

— Nie lepiejże by było, gdybyście wybór uczyniwszy, męża wzięli, co by was w

nieustannej miał straży? Odebrałoby to braciom niechętnym wszelkie do opiekowania się wami prawo.

Wdowa spojrzała na Kaźmierza i smutne przybrała oblicze.

— Nie, Miłościwy Książę — odparła głową potrząsając — męża nie chcę ani innego

opiekuna nad Was.

Wichfried w czasie rozmowy naumyślnie trzymał się z dala, książę chłodnym się być starał, a wdowa tym usilniej wszelkimi sposobami chciała przełamać te lody przymilając natrętnie. Przy pierwszym posłuchaniu poznała Kaźmierza i czuła siłę swoją. Książę już się do odjazdu zabierał, a ofiarowanego mu napoju, w którym może czarów się lękał, przyjąć się wzdragał, gdy Dorota

widząc, że się jej ofiara wyśliznąć może, zastąpiła mu drogę, pod pozorem sprawy swej rozwodząc się nad nieszczęściem, nad prześladowaniem, nad dołą wdowią. Mówiąc o tym, przybliżyła się, ścisnęła za kolana, chwyciła ręce, uśmiechała zza mniemanych łez, spoglądała wyzywająco.

Niewieście te zabiegi w końcu dopięły celu. Kaźmierz, o pierwszym swym postanowieniu

zbywania jej chłodno zapomniawszy, kołpak, który w ręku trzymał, rzucił, siadł i począł

swobodniejszą rozmowę.

— Bracia muszą się gniewać na was, piękna Doroto — rzekł do niej — kiedy wieczorami

takich, jak ja i Wichfried, gości sam na sam przyjmujecie. Ludzie mówią na starego wojewodę, że i ten lgnie do was, a drudzy i o wielu innych.

— Miłościwy Książę — odparła wdowa — co na to rzec? Zazdrośni, którym drzwi

zamykam, wymyślają na mnie. Wojewoda! Musiałam go prosić, aby mnie bronił, ale kto mi go

wyrzuca, powinien by mu w zęby zajrzeć. Innych nie znam. Choćbym kiedy zalotną była a płochą, to nie dziś już.

Spojrzała tak na księcia, iż się zarumienił, oczy mu błysnęły. Cichsza i poufalsza zawiązała się rozmowa, tym swobodniejsza, że Wichfried wyszedł do przedsieni, niby koni patrzeć i zupełnie

samych ich zostawił. Po dosyć długiej chwili dopiero Kaźmierz wstał, a Dorota, ciągle śmieszkami i szeptami go przeprowadzając, wyszła aż na podwórze. Ciemno już było w uliczkach, gdy

Wichfried, nie mówiąc nic, bocznymi ścieżkami do zamku go odprowadził. Przez całą drogę nie rzekli słowa, zsiadając, dopiero książe odezwał się do Wichfrieda:

— Nie dziękuję ci, choć gwoli rozrywce zawiodłeś mnie tam, bo zamiast niej boję się, aby mi nowych pęt nie narzucono.

Przy wieczery dnia tego weselej już było, a Wincenty znowu dobrawszy parę pięknych historyj, księcia starał się zabawić nimi.

Tak upływały dni na zamku. W dworcu biskupim daleko się czynniej zajmowano

przyszłością. Postanowiono tu, nic księciu nie mówiąc, księżnę Helenę z synkiem sprowadzić do Krakowa, aby już pozoru żadnego powrotu do Sandomirza nie było. Z drugiej strony zabiegliwy a niezmordowany Stach od rana do wieczora chodził, śledził, starając się odwrócić, co by groziło, a księcia mocno na stolicy osadzić.

Człowiek był na pozór bez znaczenia i siły, ale przezorności i zabiegliwości niezmiernej.

Począł od tego, że po noclegu u Juchima, na dłuższą go wzięwszy rozmowę, zyskał, jak mu się zdawało, w nim sprzymierzeńca. Skarbny potrzebował i bezkarności za przeszłość, i na przyszłość zapewnienia. Choć z ostrożnością wielką i wahaniem, Juchim rozmówił się otwarciej ze Stachem.

Był nawet po swojemu szczerym w tej chwili, ale u niego zmieniały się usposobienia, stosując do czasu. Stachowi zdało się potrzebą zyskać w nim pomocnika.

— Chcecie być cali — rzekł mu — bądźcie wierni Kaźmierzowi, oddajcie mu się szczerze, pomagajcie nam, co z nim jesteśmy, aby go od wszelkiego niebezpieczeństwa uchronić, radźcie, czyńcie. Wyjdziecie na tym lepiej, niż na powrót Mieszka czekając, który nie powróci nigdy. Ja dla was starać się będę.

Juchim był zrazu milczący i oględny, bąkał i na słowa wyciągał więcej, niż sam się wywnętrzał, powoli jednak mówić zaczął.

— Ja? Co ja wam pomoc mogę albo radzić? — rzekł. — Nie moja to rzecz. Umiem tylko

pieniądze liczyć, zamykać i pilno strzec ich. Wam kto inny by był przydatnym, co głowę ma obrotną i język, a oczy bystre.

— Któż taki? — zapytał Stach.



— Nie bójcie się ani brzydziecie nim — rzekł Żyd — ten, co was sądził, Mierzwa! To człowiek dla księcia!

Stach dobrze go sobie, choć ze wstrętem przypomniał, ale dziś gotów był użyć kogokolwiek, byle Kaźmierzowi zyskać pomocników.

Posłano po Mierzwę. Przewrotny tchórz na zawołanie się stawił. Wszedł uginając się do kolan, bijąc w piersi, zwracając oczy, słodki nad wyraz i łagodny. Począł od tego, że Kaźmierza zawsze czcił i kochał, a Mieszkowi ubogi człek z musu służył.

— Jak sądzicie wy, co go znacie — spytał Stach — Mieszek nie będzieli się kusił o odzyskanie Krakowa?

Mierzwa pomyślał.

— Czemu nie? — odparł. — Owszem, uczyni to pewnie, jeżeli tylko będzie mógł, ale można się starać, aby tego nie dopuścić.

Tajemniczo rzucił to słowo znaczące. On i Juchim spojrzeli po sobie.

— Jakim sposobem? — wtrącił Stach.

Mierzwa już z pierwszej pokory wiedząc, że potrzebnym być może, przeszedł do tonu handlarza, który towar sprzedaje.

— Hm — rzekł — trzeba na to przebiegłości, trzeba zabiegów. Sposoby są różne, ale kto rady daje, musi o sobie pamiętać.

Spojrzał w oczy pytającemu.

— Ręka rękę myje — dodał z półuśmiechem.

— Bądźcie pewni — zrozumiałwszy go, odparł Stach — że znajdziecie silne ręce za dobrą radę. Ja niewiele mogę, ale dam wam opiekę tych, co dziś mogą wszystko.

Mierzwa śmiejącymi się oczkami podziękował mu i głowę skłonił.

— Człek jest biedny — rzekł z pobożnym westchnieniem — żyć każdy potrzebuje, a jak o sobie sam nie pamięta...

— Mówcie tylko — przerwał Stach — a możecie mi zawierzyć, że darmo nie popsujecie gęby.

Podsędzia z tajemniczą postawą zbliżył się do Stacha i szeptać począł:

— Mieszek poszedł, ustąpił, bo musiał, ale wprost pociągnął do Gniezna i Poznania zbierać tam swoich i Pomorzany. Z Kietliczem się tu naradzali, aby słać do księcia Sobiesława do Czech i do zięciów na Niemce. Ano, stamtąd pomoc albo nierychła, lub żadna.

Tu przestał mówić nieco Mierzwa i znowu przybrał inną postawę i minę; głos nawet jego spoważniał i namięcił się proroczym natchnieniem.

— Wszystko to się rozbije i pójdzie wniwecz — rzekł — gdy się jednego zażyje sposobu.

Starszy syn Mieszka, Otto — dla was drogie narzędzie. Znienawidził on macochę naprzód, potem ojca dla srogości jego, jako pierworodny do Poznania rości i ma prawo; pełnoletni jest, ambitny.

Uszedł już ojcu i wypowiedział posłuszeństwo. Zyskać go trzeba. Niech książę Kaźmierz puści mu Poznań od siebie, Mieszkowi pod nogami ziemi zabraknie.

Dokończywszy Mierzwa się uśmiechnął zwycięsko i obejrzał dokoła.

— Jak to? Syn poszedłby na ojca? — spytał Stach zdumiony.

Mierzwa szydersko usta skrzywił.

— Ja go znam — rzekł — pójdzie. Ojciec go nie cierpi, bo macocha mu serce doń popsowała.

Otto go ma za wroga.

Juchim pokiwawszy głową, jakby się dziwił rozumowi przyjaciela, szepnął:

— Kiedy on mówi, tak musi być. On ich zna wszystkich. Rada była niepocziwa, zdradziecka, przewrotna. Stach zadumał się mocno, zdała mu się niegodziwą.

— Możeż to być? — powtórzył. — I przystałoż księciu takim sposobem się ubezpieczać?

Nie odpowiedział Mierzwa, tarł tylko brodę silnie i małymi oczkami biegał dokoła, wracając ciągle do Stacha.

— Jestem biedny człek, obciążony rodziną — dodał wyczekawszy. — Co mam czynić?

Gdybym wiedział, że siebie łaskę zyszczę i chleba kawałek, gotówem podjąć się pośrednictwa.

Zatrzymał się nieco i dodał.

— Ja to zrobić mogę. Ale — rzekł, znowu wytrzymałszy chwilę — potrzeba na to dobrego słowa i dobrych pieniędzy.

Stach dumiał jeszcze, gdy Juchim rzekł po cichu:

— No, co? A gdyby na początek w skarbie pieniędzy nie było? Znajdę ludzi, co pożyczą, byle im mennicę dać w dzierżawę. My księciu dobrze radzim i dobrze usłużyć chcemy.

Wahał się jeszcze Stach, gdy Mierzwa dołożył:

— Tego nikt nie robi, tylko ja. Poślecie innego, sprawę popsowa; albo ja, lub nikt. Ottona znam; wiem, gdzie go szukać.

— Czekajcież na mnie, przyniosę wam odpowiedź, a bądźcie pewni, że szczerze służąc, zyszczecie więcej, niż knując zdradę — rzekł Stach w końcu.

Żyd i Mierzwa zakrzyknęli głośno przeciwko samemu o zdradę posądzeniu. Oba już tak kochali Kaźmierza, że życie zań dać byli gotowi.

Z południa, zostawując konie w gospodzie, Stach wyszedł z niej i pomyślawszy nieco, udał się wprost na dwór biskupi. Tu się teraz wszystko skupiało. Przystęp nie bardzo był łatwy, oblegano Gedkę, ale Stach powiedział kapelanowi, iż szło o bardzo ważną sprawę, która się księcia tyczyła, prosząc, aby go niezwłocznie wpuszczono, a szyję stawiając za to, że darmo nie zabierze czasu.

Po chwili otwarto mu drzwi do komory, do której i biskup wszedł zaraz, a zobaczywszy niepoczesnego i nieznanomego człeka, zrazu się zachmurzył. Stach dostrzegł tego, pocałował go w rękę i odezwał się.

— Niech wasza przewielebność nie zważa, żem człek mały i nieznacznym, mali się też czasem na coś przydać mogą, gdy o wielkie chodzi sprawy.

— Mów, a krótko. Czego chcesz? — odparł biskup surowo.

Stach pokrótce, ale dobitnie opowiedział, jakim sposobem zabiegi Mieszka można było zwichnąć. Powtórzył co od Mierzwy słyszał.

Gedko słuchał z natężoną powagą, nie kryjąc wstrętu, jaki to w nim budziło. Popatrzył na człowieka i zapytał go dopiero, kto był, dlaczego tak gorąco jął się sprawy.

Stach ukląkł przed nim i ręce złożył.

— Przyjmijcie, ojcze, spowiedź moją — odpowiedział. — Wam tylko wyjawić mogę, kto

jestem. Jam ten grzesznik śmierci godzien, com pana naszego Kaźmierza niegdy w zapa-  
miętałości uderzył, ten, któremu on, przebaczywszy, darował życie. Od tej chwili żyję tylko, abym go bronił,  
abym mu służył, abym mu dał tę krew, której oszczędził. Warn się powierzam, ojcze!

Zdziwiony mocno biskup stał chwilę niemy, rękę z wolna położył na głowie klęczącego i  
pobłogosławił go.

— Mogę więc wam zawierzyć i posłużyć się wami — rzekł po namyśle. — Czyń, co  
sądzisz, że można i godzi się, czyń i milcz, mnie z tego będziesz zdawał sprawę. Kapłan jestem —

dodał — nie godzi mi się rąk maczać w znowę taką, gdzie się zdrada knuje, choć gdzie idzie o  
wyzwolenie państwa z więzów i niewoli, Bóg wiele przebacza. Lecz jestżeś pewien tych ludzi?

— Nie byłbym ich pewien — odparł Stach uradowany — gdybym sam nie miał czuwać nad  
nimi. Nie spuszczę ich z oka i w rękę dźierać będę.

Nie chciał więcej już biskup wiedzieć o niczym, dopytując tylko o przeszłość Stacha, o to, co czynił,  
gdzie był, jak się zachował po ocaleniu życia. Badał go jak na spowiedzi, próbując człowieka. Na  
wszystko to odpowiadał on ze szczerością i skrucą, która serce kapłana ujęła.

Przyrzekł mu powierzona zachować tajemnicę, nawzajem żądając, aby ją w stosunkach z nim  
zachował. Na koniec dał mu błogosławieństwo i rzekł wychodzącemu:

— Wedle sumienia czyń, a tego, co uczynisz, nie głoś. Bóg z tobą.

Stach wyszedł uszczęśliwiany. Wprost by był pośpieszył do swej gospody, gdyby po drodze  
nie spotkał go Jaśko Bogoria, wracający od miodu i dobrze podchmielony. Ten gwałtem go  
pochwyił. Wyrywał mu się niecierpliwym Stach, ale z rąk napastliwych wyzwolić się było trudno.

Jaśko potrzebował towarzysza i słuchacza. Ciągnął go znowu do wdowy.

— Piękna Dorota już tu mieszka — rzekł — gospoda miła, gospodyni piękna, a drzwi  
otwarte zawsze, gdy takich, jak wczora, nie ma gości.

Rozśmiał się okiem pomrując.

— Hę? — spytał Stach.

— Wichfried — szepnął Jaśko — zawiózł jej wczoraj księcia, a kto tam raz wpadnie, nie dobędzie się łatwo. Dawno ona na niego łapkę stawiała.

Stach ręce załamał.

— Plotki są! — zawołał.

— Jako żywo, prawda — rzekł Bogoria. — Z polowania tam jechali wprost i siedzieli długo. Wichfried w progu wartę odprawiał.

Żgnęło to jak mieczem w serce Stacha, bał się złej niewiasty i nienawidził ją. Nie pokazał jednak po sobie nic, oprócz zdumienia. Teraz już stanowczo wyrwał się Bogorii, ku któremu z dala inni towarzysze, równie jak on weseli, ciągnęli, i pobiegł do swej gospody.

Zastał tu oczekujących Juchima i Mierzwę, którego blada twarz drgała z obawy i niecierpliwości, aby mu się robota niecna, jaką się chciał zasłużyć, nie wymknęła. Obstąpili go oba, z oczów chcąc wyczytać, co przynosił.

— Cóż mnie czeka? — zapytał podsędzia.

— Wybierajcie się natychmiast z posługą, do której oświadczyliście się z gotowością — rzekł Stach. — Uda się li to, będziesz sowicie wynagrodzony. Musisz mi jednak wpród poprzysiąc, że sprawa ta między nami tajemnicą zostanie. Możecie oświadczyć Ottonowi, aby słał poselstwo lub sam przybywał, a będzie miał Poznań, byle wiarę poprzysiągł i dotrzymał.

Mierzwie twarz się uśmiechnęła.

— Jakaż pewność dla mnie? — zapytał.

— Moje słowo — rzekł Stach — więcej nie mogę dać nic. Dobreli ono wam, zgoda, nie, więcej nic nie dam, bo nie mogę.

Juchim z Mierzwą popatrzyli na siebie i na mówiącego. Stach miał tak rycerską, pewną siebie postawę, iż nawet w ludziach nieufnych wiarę obudzał.

Zamilkli oba, słowo jego starczyło im. Juchim ofiarował się pożyczyć pieniędzy potrzebnych, warując sobie wydzierżawienie mennicy, o które Stach mu się starać przyrzekał.

Mierzwa niezwłocznie miał się w drogę wybierać i już od- chodził, gdy Stachowi myśl jeszcze przysłała wyprawić go razem do panów z Tęczyna, aby od Doroty wyzwolić Kaźmierza.

Znano ich jako zwolenników Mieszka, nie kwapili się więc do nowego księcia i nie

pokazywali wcale. Stach chciał ich pozyskać dla niego razem i przez nich Kaźmierza od niewiasty złej odstręczyć.

— Powiedz im — rzekł do Mierzwy — niechaj śmiało przybywają pokłonić się księciu

naszemu. Pan wielkiego serca, na nikim mścić się nie będzie. Niech przyjdą, sprawę swą z siostrą położą przed nim, powiedzą, jaką była życie całe, że zakałę im i srom czyniła, niech nie kryją nic ani szczedzą nikogo. Książę sprawiedliwym jest i poszanuje w nich boleść słuszną, a niewiastę płochą, którą mu się opiekować każą, precz odeгна.

Poselstwo to, na którym u bogatych ziemian coś zyskać było można, Mierzwie przypadło do

serca. Podjął się go ochoczo bardzo, zwłaszcza że zjechać do Tęczyna niewiele mu z drogi było.

Tak w krótkim czasie uczyniwszy, jak mu się zdawało, wiele, że się był przyrzekł Bogorii, szukać go poszedł przed wieczorem do dworku Leszczyca.

W ulicach ciągle jeszcze ludno i gwarno było, weselej niż przed laty. Śpiewami i gędźbą

rozlegało się miasto, ludzie sunęli gromadami, pobrawszy się pod ręce, zawodząc pieśni. Kraków do owego milczącego i ponurego, jakim go znano za Mieszka, nie był dziś podobny. Szedł Stach z wolna, ciesząc się tą radością powszechną, gdy syknięcie postłyszał, a przed sobą ujrzał

nieznajomego młodzieniaszka na koniu, za którym jechało sług kilku.

Zdziwiło go dane hasło, bo wpatrując się pilno, tego, który mu znaki dawał, aby się zbliżył, rozpoznać nie mógł. Podszedł jednak ku niemu, wlepiając ciekawe oczy, twarzy tej pięknej

przypomnieć nie umiejąc. Młodzian, konia trochę na stronę ściągawszy, Stacha prowadził za sobą.

— Nie poznaliście mnie? — odezwał się głos, który więcej niewiastę niż mężczyznę

wydawał.

To mówiąc, młodzian się smutnie uśmiechał.

— Znamże ja was? Wy mnie? — spytał Stach.

— Przypomnijcie sobie.

— Nie — rzekł zapytany — nie mogę.

— Widzieliście mnie w Ściborzycach, choć nie w męskiej odzieży. Jam, brata nie mając, często zmuszona być mężczyzną.

Zdziwiony patrzył Stach na nią, Była to owa piękna Jagna, która spoglądając na niego boleśnie, zbierała się na uśmiech smutny.

— Naprawdę — rzekł — trudno bo się domyśleć było, że wy w ten tłum, gwar i wrzawę puścicie się tak samopas, ledwie z czeladzią.

Dziewczę się zarumieniło mocno.

— Dla ojca to musiałam uczynić — odparła prędko — tak, dla ojca. Ojciec miłuje wielce

Księcia Kaźmierza, u nas różne chodziły wieści. Na strasznych nie zbywało. Nie mieliśmy kogo posłać, co by wiedział, jak pytać i rozpatrzyć się, pojechałam sama. Mówcie mi, bo wy to dobrze wiecie, pewienli Kaźmierz stolicy i panowania? Nie grozi mu nic? Radli temu, co się stało? Nie trwoży się, nie opiera? Wszystko mi mówcie.

Zarzucony pytaniami tymi, Stach milczał.

— Za wiele bo na raz wiedzieć ode mnie chcecie! — zawołał.

— Wszystko to potrzebuję wiedzieć!

— Ależ nie w ulicy by o tym prawić — odparł zapytany — w gospodzie gdzieś moglibyśmy się rozmówić.

— A! Ja gospody żadnej nie mam, a podobno i znaleźć jej tu teraz trudno — odezwała się

Jagna śmiało. — Wiecie, kto jestem, więc zrozumcie, że zajechać lada gdzie nie mogę, albo mi się tu i całkiem stać nie godzi.

Stach więc zbliżył się do konia, na którym dziewczę siedziało, i począł go, idąc uliczką, prowadzić za sobą na ustronniejsze miejsce.

— Spocząćże wam trzeba — odezwał się.

— O, wyjechawszy stąd, w polu odpocznę — rozśmiała się Jagna.

— Nie obawiacie się?

Dziewczę śmiechem jeszcze odpowiedziało.

— Na moim koniu trudno by mnie kto dognał — rzekła — z łuku ja pewnie nie gorzej

strzelam jak wy. A wręście od czego mój stary, wierny Hreczyn, który mi towarzyszy?

Kazała mu mówić potem, dopominając się chciwie, o wszystkim, co się Kaźmierza tyczyło.

Stach musiał być posłusznym. Pochylona ku niemu, chwytając każde jego słowo, ale odgadnąć było trudno, czy to, co słyszała, radowało ją czy smuciło. Czasami oddychała ciężko, marszczyło się czoło, usta ścinały, to znowu twarz rozjaśniała. Zarzucała go pytaniami. Trwało to dosyć długo, noc już zapadała. Jagna wręście konia, który stał z głową zwieszoną, cugłami ściągnęła, ręką z lekka uderzając Stacha po ramieniu.

— Niech Bóg płaci! — zawołała. — Wy go kochacie i chłop z was dobry.

To mówiąc, spojrziała w tył na Hreczyna, który wejrzenie zrozumiał, raz jeszcze powtórzyła:

„Bóg zapłać!” i klusem wyciągniętym puściła się za miasto.

Stach długo, spoglądając za nią, stał jak wkuty, dziwną mu się wydała, ale tak miłą, jak żadna. I zadumał się, zadumał, potem ręką rzucił i szedł do dworku Leszczyca.

### III

Kaźmierz w Krakowie zawsze się jeszcze za gościa uważał, mówił o tym przy każdej zręczności codziennie, zagadywał kilkakroć o wyjeździe do Sandomirza. Lękając się tego, biskup, jakeśmy mówili, przygotowywał mu niespodziankę, która go tu przykuć miała: przybycie księżnej Heleny z synkiem.

Gdy Kaźmierz wspomniał o powrocie do Sandomirza, Krakowianie kłaniali mu się do kolan

i półpoważnie, półzartobliwie odpowiadali: „Nie puścimy!”. Biskup Gedko wołał, iż na drodze stanie, a zaprze mu ją sobą. O przyjeździe księżnej, już postanowionym, mowy jednak nie było, chciano bowiem, aby ona przybyła tu jakby z własnej woli, z tęsknicy i obowiązku.

Goworkowi księżę z Krakowa odjechać pozwolił, polecając mu pieczę nad zamkiem i ziemią całą. Gdy wyjeżdżał, a pytał, co by przysłać z Sandomirza, Kaźmierz nie zażądał nic, choć mu tu na wielu rzeczach, do których był przywykł, zbywało.

Jednego dnia, gdy się na łowy wybierał, z których teraz, powracając, prawie zawsze dawał się wieczorami zaciągnąć do wdowy, oznajmiono mu, iż dwaj bracia jej przybyli do niego.

Wichfried, który o nich wiadomość przynosił, nie taił ani radości z tego, że przybywali oddać panu swemu hołd należny, ani pewnej obawy, aby na wdowę nie nastawali. Bracia z Tęczyna, ludzie wielkich dostatków, ród Toporczyków, jeden z najstarszych w Krakowskim i najważniejszych, wybrali się na dwór pański z okazałością, jaka im przystała. Ociągali się z tym długo, spodziewając



Mieszka powrotu, ale gdy czas uchodził, niebezpieczeństwo wzrastało, a w końcu Mierzwa przybył z zapewnieniem, że śmiało jechać mogą, stawili się na zamek.

Kaźmierz, jak był dla wszystkich łaskaw i dobrotliwy, ku nim też wyszedł z twarzą

pogodną. Młodszego z nich znał niegdyś, bo ten z Henrykiem jeździł na wojnę i łowy. Stali dwaj rycerze we zbrojach pięknych, przy mieczach i pasach, odziani, jak do pana należało, ale z twarzami posępnymi. Po pierwszym pokłonie starszy, Dobrogost, począł:

— Przybyliśmy Miłości Waszej czołem uderzyć jako Panu, którego ziemia nasza sobie

wybrała, będziemy Wam służyli wiernie, tak jako nie zaprzeczamy, żeśmy bratu Waszemu służyli.

Kaźmierz się uśmiechnął.

— Jam tu — rzekł — jeszcze nie księżciem na stolicy, ale jako rozjemca. Mam nadzieję,

że się z Mieszkiem przejednają, bo zgoda potrzebna.

Na to zmilczeli, a Sędziwój, młodszy, dodał po chwili:

— Myśmy też do Miłości Waszej ze skargą i żalobą przyszli na rodzoną nasze, na siostrę

Dorotę Różycową, która nam srom czyni. Opieki braterskiej znać nie chce, posłuszeństwo wszelkie głowie domu wypowiedziała, a wiedzie się i na wstyd niewieści, i na wszelkie boskie i ludzkie prawa nie patrząc.

Księżę słuchał zarumieniony.

— Długo by o tym prawić — dodał Dobrogost — boć to się nie od dziś poczęło. Ojciec

nieboszczyk od pieluch ją pieścił, nie chciała potem znać nikogo oprócz swej własnej woli. Za lada chłopca mizernego wydać się myślała naprzód, który zgi- nął. Męża zamęczyła. Z wojewodą

Szczepanem w miłostki się wdała jawne, za które go biskup wyklinać chciał. Siła by opowiadać, czego uszy Pańskie słuchać nie mogą. Srom i hańba dla nas, a upamiętania nie zna. Po namyśle księżę się odezwał:

— Prawdali to wszystko, co o niej mówicie, bo ludzie są źli, a niewiasta bezbronna?

— Cała ziemia patrzyła i widziała, co poczynała Dorota, świadków dosyć jest — rzekł

Dobrogost.

— Z niewiastą — odparł Kaźmierz — wojna wam nie przystała, a na siostrze rodzonej

gwałt popełniony sromu tylko przysporzy. Dajcie jej czas do upamiętania, wybierzcie dla niej męża

statecznego, poślubcie ją komu, odpowiedzialność z was spadnie.

Sędziwój rzekł z pogardliwym uśmiechem, że dla Doroty męża nie znajdzie nigdzie, bo choć urodziwą jest i nie bez wiana, osławioną też i płochą.

— Jedno tylko pozostaje, Miłościwy Panie — rzekł śmiało Dobrogost — zamknąć ją za kratę i posadzić, aby pokutowała, inaczej już szaleć nie przestanie.

— Na to ja, jeżeli mnie pytać będziecie, nie pozwolę! — zawołał Kaźmierz. — Należy się słabej niewieście czas, miłosierdzia pobłażanie. Uczynicie to, proszę was, abyście nie poczynali nic gwałtownie, tego po was żądam i wymagani, a ja starać się będę, aby przez poważnych ludzi i niewiasty skłonić ją do małżeństwa. Tak się wszystko zakończy i zapomni. Bracia spoglądali milcząc po sobie. — Na siedzącą tu pod bokiem waszym — rzekł Dobrogost — nie porwiemy się, kiedy taka wola pańska, lecz żeby z tego miało co być prócz nowego dla nas wstydu, zawczasu wiemy, że nie. Wy, Miłościwy Panie, nie możecie wiedzieć ani byście wierzyć chcieli, jak złą i przewrotną ona jest, choć ze krwi siostra nasza. Poprawy po niej się nie spodziewać, poślubi ją kto, zdradzi go, jak innych zdradzała. Nie dał im dłużej mówić ksiązę.

— Rozżaleni przeciw niej jesteście — odezwał się — słuchacie złych ludzi; gniew —

niedobry doradca, proszę więc, dajcie jej czas, a nam też, abyśmy los dla niej lepszy obmyśleć mogli.

Bracia z Tęczyna zachmurzeni zmilczeli. Chciał potem Dobrogost mówić coś jeszcze,

ksiązę mu powtórzył swoje, że gwałtu czynić nie da, a sam w opiekę ją bierze. A że rozmowa ta przykrą mu się stawała i rad był ją co prędzej zakończyć, przerwał zagajając o sprawach ziemi krakowskiej, o zgodzie, pokoju i przejednaniu, którego się spodziewał. Bracia oba słuchali w milczeniu, po czym z dumą, bez wielkiej uniżoności go pożegnawszy, oddalili się, nie ponawiając już zapewnienia wierności swojej.

Kaźmierz, jak z przykrością słuchał, tak wielce łaskawie się pożegnał, ale gdy na powrót do komnaty swej wszedł, zadumał się mocno nad tym, co słyszał od nich. Wichfried wnet pośpieszył

za nim, nie dając z tymi myślami samemu pozostać.

— Miłościwy Książę — począł — braci tych znają tu wszyscy, zazdrośni są i mienia siostry

chciwi, przeto ją szkalują. Prawdy w tym, co mówią, mało lub nic. Prześladowali ją od dziecka, sami na nią czernidła wymyślali i puszczali, aby mieć pozór do zagarnięcia tego, co ojciec jej zostawił. Niewiasta piękna, nie może być, aby się w niej nie rozmiłowywali ludzie, rada pewnie temu jak każda inna, ale złego tam nie tyle, co na nią rzucają.

— Bodajbym ja był jej nie znał! — przerwał mu ksiązę z goryczą. — Sam to sobie za

grzech mam, że i ja przystałem do niej do zbytku. Kajam się z tego przed sobą, winienem, ale i ty nie bez grzechu, Wichfriedzie, boś mnie do niej ciągnął.

Pogroził mu.

— E, grzech ci nam obu niestraszny! — rozśmiał się Niemiec.

— W pęta się dać zakuć łatwo — westchnął Kaźmierz — a uwolnić z nich, jak z kajdan, trudno bez zgruchotania kości.

Rzekł i zamilkł, a Wichfried rozmowy nie przedłużał.

Tegoż wieczora, gdy się najmniej spodziewano, przybył Jaksza z miasta, oznajmując księciu, iż ludzie z Mogiły jadący opowiadali o księżnie Helenie, która z synem i dworem do Krakowa ciągnęła.

Wiadomość ta mocno poruszyła Kaźmierza, nie tylko zdziwienie okazał, ale frasunek i

niecierpliwość z powodu, że rozkazów jego nie czekając, księżna sama tak pospiesznie się i nierozważnie z Sandomirza wybrała. Nie było już sposobu zaradzić na to, a gdy inni na spotkanie księżnej jechać się wybierali, musiał też i Kaźmierz na koń sięść i posępny jechał przeciw żonie.

Goworek, na kilkanaście staj wyprzedzający ją, opowiedział księciu, iż z tęsknoty i

niepokojem o męża dłużej wytrwać nie mogła, a za to raczej dziękować, niż gniewać się przystało.

Przywitał Kaźmierz żonę jak zawsze ze czcią wielką, synaczka, którego kochał bardzo, na koń do siebie wziął i tak cały orszak zatoczył się na Wawel, gdzie go biskup Gedko też witał.

Z księżną razem wszystko, co do jej ruskiego i polskiego dworu należało, przyciągnęło:

niewiasty na wozach, skrzynie malowane i złoczone, sprzęty, konie, aż do zabawek dziecięcych, czeladź, stróże, tak że zamek sandomirski prawie pustką musiał pozostać.

Na Wawelu też zaraz życie się inne wzięło, ksiązę postrzegł z przerażeniem, że gościem tu już dłużej nie mógł być, a panem być musiał. Komnaty dotąd nie zajęte wnet wszystkie czyścić, umiatać, objać, zaścielać i zastawiać poczęli ludzie. Księżna Helena po matce Leszkowej zajęła izby. Niewiele wesela jednak z tą panią przybyło, która z usposobienia smętną była, troszczącą się do zbytku i lękliwą. Kaźmierzowi najmilszym był chłopak jego, którego na kolana mógł wziąć, wyściskać i sercu dać pociechę.

Wieczorem dnia tego Wichfried pobiegł do wdowy, aby jej o posłuchaniu braci zdać

sprawę, a siebie też przypomnieć, bo choć księcia do niej prowadził, sam też o łaski pilno się starał.

Niewiasta była takiego czaru i mocy niepocziwej, że się do niej nikt bezkarnie zbliżyć nie mógł i być obojętnym, gdy się nań naposiadła. Z dwojga jedno: rozpadali się za nią jedni, nienawidzili

drudzy.

Wichfried zastał ją samą, poruszoną gniewem wielkim, z włosami rozpuszczonymi, mało co przyodzianą. Szalejąca tak, że mu wchodzącemu słowa rzec nie dała, przypadła doń ręce łamiąc.

— Zmówili się wszyscy na mnie nieszczęśliwą! — poczęła wyrzekając gwałtownie. —

Wiem już wszystko, nieprzyjaciele moi księżnę tu sprowadzili, aby on za próg się nie mógł oddalić.

Albo jej to źle było w Sandomirzu? Po co ona tu? Nabechtano braci, aby przybyli ze skargami i potwarzą. Chcą mnie zgubić!

Wichfried, dawszy się jej wygniewać, począł dopiero opowiadać, jaką Kaźmierz braciom dał odprawę, że im zabronił, aby się na nią porywać śmieli.

— Co do księżnej pani — dodał — potrzeba jej tu było, aby Kaźmierz nam do Sandomirza nie uciekł. Z nią tak samo, jak bez niej, bo władzy nad mężem nie ma, a jako jej nie kochał, tak i kochać nie będzie.

Trochę się tedy uspokoiła, pytając Wichfrieda, czy był przytomny, gdy ją przed księciem bracia bezcześcili.

— Byłem przy panu — odparł Niemiec.

— Cóż potem? Nie powziął do mnie wstrętu? — badała ciekawie.

Śmiał się Wichfried.

— Wstrętu do was mieć trudno — rzekł — a że strach ma, abyście go nie spętali, o tym dawniej i teraz mówi.

— O, nie dam mu się wyśliznąć, nie! — krzyknęła Dorota. — Uczynię wszystko, abym go pozyskała na zawsze! Życie dam, gdy trzeba, bo bez niego mi chyba umierać! Moim musi być! — dodała gwałtownie, oczy sobie zasłaniając.

Wprędce jednak zmieniła usposobienie. Widząc, że Niemiec posmutniał, wzięła się do niego, okazując przyjaźń wielką i zaręczając, że najmilszym jej jest po księciu. Łacno go znów ujęła i dała mu zapomnieć o wszystkim.

Nieprędko postrzegłszy, że wybiegła do niego nie odziana jak zwykle, zawstydzony się,

wyszła przykazując, by czekał na nią. Wysłała mu wino i jedzenie, a wkrótce wróciła już strojna, wesoła, zalotna, nie szczędząc ani słów, ni wejrzeń, ni przymilań, co przy pomocy wina upoiło Niemca tak dobrze, iż jej na wierną przyjaźń i posługę, palce złożywszy, poprzysięgał. Sam już nie wiedział, co się z nim działo. Domagał się pocałunku, od którego gdy mocniej jeszcze rozgorzał, wdowa go ze śmiechem za drzwi wypchnęła, Niewolnikiem już był.

Gdy wdowa rozmyślała o środkach, jakimi by księcia mogła uwikłać, bodaj czarów i

napojów używając do tego, o które się starać miała, Stach równie gorliwie pracował, by się pozbyć niebezpiecznej zwodnicy. Zaledwie bracia z Tęczyna ze dworu zjechali, pobiegł dostać języka o nich. Sam jednak przystępu do nich nie mając, Jaśka Bogorię na to nasadził.

Rodzin wiele spokrewnionych z Toporczykami gościło w Krakowie, które się z nimi

spotkały, gdy na zamek jechali i powracali z posłuchania. Znano ich jako prawie tu jedynych sprzyjających Mieszkowi, obawiano się, aby mu do jakich knowań nie pomagali, uradowało się więc ziemiaństwo, widząc ich z pokorą na Wawel jadących, ale gdy z niego nazad wracali, a w mieście się zatrzymali, gdzie ich krewni i powinowaci obstąpili, postrzeżono, iż chmurne twarze przynieśli. Ten i ów rad był ich wyrozumieć, co o Kaźmierzu trzymali, nie wydali się z tym, żaląc tylko gorzko, iż siostry na ich wolę zdać nie chciał.

— Mieszko srogim był — dodał Dobrogost — ale wiedział, gdzie i jak srogości zażyć, nie przebaczyłby i niewieście, ład i postrach byłby wprowadził, a tego nam potrzeba.

Nie mówili więcej, ale widać było, iż urazę mieli do księcia i do niego się nie skłonili.

Ziemiańom nie dając się wciągnąć w ucztowanie żadne, na dwór biskupi nie zajechawszy, krótko zatrzymawszy się w mieście, poszeptali z tymi, których jako Mieszkowych znano, i na konie posiadali z powrotem do Tęczyna. Stach, dowiedziawszy się o tym, pomyślał, że ich z oczów spuszczać nie było można, bo pewni nie byli. Na dworze też wybadać usiłował, jak księżę przyjął

to, co mu o siostrze mówili bracia, i wypytał, że Wichfried nie dał pono wdowie krzywdy w sercu pańskim uczynić, ujmując się za nią. Szło mu o powagę pańską, której miłości te ujmę czyniły, ale więcej już na teraz radzić nie umiał.

Sam on w tej chwili, o księżęcia serce się troszcząc, popadł pono w to, od czego chciał go ochronić. Piękna Jagna już po

Ściborzycach na myśli mu stała ciągle, teraz powtórne z nią widzenie i rozmowa jeszcze go bardziej do niej pociągnęły. Chodziła za nim jak widmo, niepokojąc oczyma, które widział ciągle przed sobą.

— Licho nadało — mówił do siebie — abym ja teraz, gdy młodość moja za mną już, gdy mi

życia nie staje na wszystko, co do roboty mam, jeszcze sobie serce psował dla jednej dziewczuchy, która na mnie i patrzeć nie chce. Plunąć na marę!

Chciał plunąć, ale zapomnieć mary tej nie mógł. Dziewczę dumne, śmiałe, piękne stało mu na myśli. Wiedział, że próżno by się tam kusił, gdzie lepszym od niego odprawę dano; lecz sercu i namiętności rozkazać trudno, a nie łatwiejsza rzecz w dojrzałym wieku pokonać je jak w młodym. Młodzieniaszkowi jedna niewiasta drugą z piersi wygania, w starszym tkwi, co raz wpadło, a wyrwać bez bólu nie można. Stach się tym pocieszał, że Jagny nie ujrzy rychło, a jak to już nieraz bywało, czas i ważniejsze sprawy pamięć o niej przysypią.

O Mierzwie, który zaraz z Krakowa precz pojechał, słychu jeszcze nie było. Biskup, który z Gniezna i Poznania o zabiegach Mieszka miał wiadomości, troskał się niemało przyszłością, ziemian i rycerstwa nie rozpuszczał, na miasto i zamek obawiając się jakiej napaści. Wiedziano, iż się wygnany niełatwo da zmóc, że Kietlicza z sobą prowadził, który się kręcił po dawnej dzielnicy wielkopolskiej, że na Pomorze słano i jeżdżono, tam sobie sprzymierzeńców jednając. Tajono to wszystko przed Kaźmierzem, który zdawał się czekać tylko na jakikolwiek krok brata, aby z nim wejść w porozumienie i ustąpić ze stolicy.

Tak stały rzeczy, gdy późnym już jakoś latem, po długiej ciszy i pozornym spokoju, przerywanym tylko doniesieniami o jakichś przygotowaniach do zagarnięcia Gniezna i Poznania (któremu Kaźmierz wcale się opierać nie myślał), jednego rana biskup Gedko z twarzą bardzo wesołą na zamek przybył. Kaźmierz, którego zabawiano, a dotąd nie umiano do spokoju i wesołości usposobić, wyszedł doń stroskany i blady jak zwykle.

Gedko naprzód wydać musiał rozkazy, gdyż zaledwie weszli do wielkiej, posłuchalnej sali, gdy za nimi wtoczyło się do niej urzędników i ziemian dużo, stary Mazur Żyra, pokrewny biskupa, Jaksa, Goworek, Lis i co było przedniejszych, na zamku obecnych. Biskup rozpromieniony, widać było, iż niósł dobrą nowinę. Po przywitaniu i błogosławieństwie zwrócił się zaraz do księcia:

— Czas wielki, Miłościwy Panie, abyś się ty tu panem poczuł i uznał.

Otworzył usta Kaźmierz, Gedko mówić mu nie dał.

— Szanują wszyscy — mówił — serca waszego dobrotliwego, braterskiego i synowskiego

obawy, ale czas, czas nad krajem mieć zlitowanie a panować! Żałujecie Mieszka, który najmniejszej niewart jest litości, nie upokarza się, nie prosi, ale knowa i znowy czyni. Pomorzan, Czechów, Niemców na nas chce prowadzić, dowody na to mamy. Bóg łaskaw nie dopuści, a oto własny syn jego, tyranją ojca przywiedziony do ostatka, przeciwko niemu powstał. Najlepszy to dowód, że takim ojcem jest, jakim był nam panem. Otto, starszy syn Mieszków, opanował Poznań i Gniezno. Ziemianie tam tak nie chcą ojca, jak go tu nie chcieli, jak go nigdzie nie cierpią. Otto chce sam przybyć tu i uznać cię za swego zwierzchniego pana!

Ziemiańskie wyraziły radość, Kaźmierz stał jakby zawstydzony, błądliwy, pomieszany, patrząc w ziemię.

— Miłościwy Książę, synu mój — zawołał Gedko z gorącością i przejęciem, z namaszczeniem kapłańskim — a bądźże nam panem! A weźmijże tę władzę, którą ci sam Bóg w ręce daje! Sumienie twe rozgrzeszam!

Chwilę trwało milczenie, po którym z wolna Kaźmierz czoło wyjaśnione podniósł do góry, zwrócił się zarazem do biskupa i do ziemiańskich, powolnym głosem przemawiając:

— Stań się wola Twoja, Panie! Chcieliście wy, ojcowie duchowni a pasterze, żądali ziemiańskie, Bóg wolę swą oświadcza przez wypadki. Nie żądałem panowania, alim się go odtrącić nie mogę. Tak jest, panować chcę i będę, lecz — tu zwrócił się do ziemiańskich z błagającym wyrazem — dajcie mi wy, i ty, ojciec duchowny, i wszyscy, rządzić wedle serca mego i sumienia, dajcie mi czynić dobro i zasiać ziarno sprawiedliwości. Nie chcę zdobywać krajów ani ziem przywłaszczając, ale mnożyć chwałę bożą i krzewić królestwo Jego na ziemi.

Lekki szmer mu przerwał, Kaźmierz, jakby natchniony, silniejszym się wola własną niż kiedy okazując, z postawą majestatyczną ciągnął dalej podniesionym głosem, z mocą, jakiej w nim nie znano. Czuł się silnym, jakby z niebios czerpał potęgę.

— Z tym tylko warunkiem panować mogę, abym sprawiedliwym mógł być dla wszystkich.

Kościółowi posłuszeństwo i cześć, ziemiańskim ich prawa i dostojeństwo, ale biednemu ludowi bezpieczeństwo żywota i mienia chcę mieć zapewnione. Tak, gwałty, rozboje, grabieże, czynią u nas życie nieznośnym, nie ma tego nigdzie indziej po świecie, co u nas. Kmieć nie jest pewien tego, co ma, ani osoby swej, książęcy i ziemiańskie słudzy pędzą go z pola do przewodu, spaszają mu zboże, rozwalają stogi, nękają bezbronnych. Temu położę koniec. Położę koniec samowoli, napadaniu na majątki duchownych, po śmierci tych, co je trzymali, wszystkim zwyczajom złym tego państwa, które się w nim wkorzeniły. Wy, ojciec duchowny, wy ziemiańskie moi, dopomóżcie! Ja jako książę zrzekę się za siebie i następców praw starych ucisku nad ludem, niech się zrzekną i inni, niech zapanuje u nas chrześcijańskie miłości prawo, braterstwo ewangelii. Chcecie, abym panował, dajcie mi to uczynić, albo niech rozkazuje inny.

Biskup powstał, podnosząc ręce do góry i wołając wielkim głosem:

— Witaj nam, gospodynie, panuj! Niech się dzieje pobożna wola twoja! Amen! Amen!

Wnet i drudzy wołać poczęli za biskupem: „Amen!”, wywołując księcia i królem chcąc go ogłosić. Radość i uniesienie panowało nadzwyczajne.

Każmierz stał drżący jeszcze od tego, co z piersi jego wyszło, jak cięciwa łuku, gdy strzałę cisnęła. Patrzył dokoła/ radował się i oczy łzami mu zachodziły.

Od tej chwili dopiero istotnie panować poczynił, zmieniony był. Czuli to wszyscy. Nikt nie śmiał na razie szemrać przeciw stanowczo objawionej woli pańskiej, choć nie wszystkim ona zbyt była miłą. Rozpierzchli się zaraz z zamku wszyscy, niosąc na miasto wiadomość o tym, co książę zapowiedział. Biskup na następny dzień zaraz przybycie Ottona oznajmił.

Tegoż wieczora Stach był dopuszczony do Gedki, szło wszystko po myśli, chciał mieć

dalsze skazówki i rozkazy. Biskup, który wiedział, iż sprawę Ottonową jemu zawdzięczał, milcząc go w głowę pocałował.

— Bóg niech ci błogosławi — rzekł — uczyniłeś wiele, nie szukając z tego sławy ani

nagrody. Mówię ci, uczyniłeś wiele; jeśli sądzisz, żeś wszystko uczynił, mylisz się. Kto Mieszka zna, ten wie, że go nie zmoże nawet cios z synowskiej ręki ni żaden inny. Zamilczy on, przypadnie, a póki żyw, my go z oka spuścić ni usypiać spokojnie nie możemy.

— Słuszna by była rzecz — odezwał się Stach — aby przy nim mieć kogoś zawsze, co by

czuwał i ostrzegał. Ten sam Mierzwa, który Wielkopolan i Ottona poruszył i zagrzał, ulubiony dawniej Kietliczowi, do niego by mógł wrócić i pozostać na czatach.

Biskup się zamyślił.

— Zdrajcami się posługiwać — rzekł — którzy w końcu i nas zdradzić mogą, twarda to i

smutna konieczność, ale gdy czystego człeka ku temu użyć nie można, co czynić? Wprawdzie

posłużył nam ów niegodziwiec, ano, gdy korzyść większą indziej mieć będzie na widoku, patrzaj, że i nas sprzeda.

— Strzec go będziemy — rzekł Stach. — Wiecie, ojczcie mój, zem ja na to życie poświęcił,

abym winę moją zmazał, a dług spłacił, gdzie więc nikt nie pojedzie, ja muszę.

Po tej rozmowie wieczornej wrócił Stach na swą gospodę do Juchima z tym, aby Mierzwę

nakłonić, by się na dwór Mieszka udał, a z oka go nie spuszczał.

Mierzwa myślał się z tym drożyć, choć w istocie bardzo mu to było na rękę. Całe jego

postępowanie było jednym fałszu pasmem. Wprawdzie wyprawiony przez Stacha siedział ukryty gdzieś w kącie, ale jako żywo ani Ottona widział, ani z Wielkopolany się kumał. Przebiegły człek wiedział zawczasu, co się święciło, i to, co się stać miało, skradł na swój rachunek. Zapłacono mu dobrze za to, czego robić ani mógł, ani myślał.



Gdy Stach zażądał od niego, aby do Mieszka jechał na służbę, udał skłopotanego, choć większe szczęście spotkać go nie mogło.

— A! — rzekł. — Gdy mnie tam o zdradę posądzą, a schwycą poszlaki, wisieć będę!

— Na to rozum i przebiegłość macie — odparł Stach — abyście się poszlakować nie dali.

Jeszcze się trochę podrożywszy, powzdychawszy, brody natarłszy, wreszcie odezwał się

Mierzwa:

— Pod te czasy człek biedny co robić ma? Musi się żywić, gdzie mu ziarno posypią, byle z głodu nie zdychał. Tu i tak krzywo na mnie patrzą; muszę służyć, gdy każecie.

Juchim, który za pośrednictwem Stacha pozyskał dzierżawę mennicy, zdawał się także

pozyskanym dla Kaźmierza. Nie łudził się jednak ich oświadczeniami Stach, obiecując sobie pilne na nich mieć oko.

On sam, ażeby bliżej był dworu i pana, którego straży się poświęcił, przez biskupa polecony Goworkowi, otrzymał skromną na zamku posadę. Gedko ręczył za niezłomną wiarę i poczciwość mniemanego Zabora z Przegaju, zlecono mu więc pilność około skarbcza pańskiego, przydawszy w pomoc staremu podskarbiemu Rajcowi, przybyłemu z Sandomirza. Człek już bardzo podżyły,

osłabły, powolny, rad był z młodszego pomocnika, któremu, jako z ramienia biskupa przydanemu, mógł zaufać zupełnie. Stosunki bliższe, bezpośrednie z księciem uniknione zostały, gdyż te Rajec przyjmował na siebie; troska tylko, pilność, rachuba zeszły na ręce nowego urzędnika. Nie było zaś to zajęcie, oprócz dni wyjątkowych, tak nieustanne, aby go do miejsca przykuwało dzień cały. Miał

czas Stach między ludźmi się kręcić, słuchać, patrzeć, czuwać, czasem na parę dni uwolnić od kluczów, a to, co mu na sercu leżało, spełnić.

Kiedy niekiedy zetknąć się musiał z księciem, ale Kaźmierz ani go poznawać, ani się nań

uważać nie zdawał, Stach też umiał z oczów schodzić i stać niepokąźnym. Na dworze różnych dawnych znajomości Zabora znalazło się po troszę, pozawiaływały nowe a potrzebne.

Na tym już stanowisku zastało Stacha przybycie do Krakowa Ottona, syna Mieszkowego.

Przyjęto go tu wdzięcznie, bo przynosił uznanie zwierzchnictwa Kaźmierzowego i przyrzeczenie wierności a posłuszeństwa, chociaż syn ten, co przeciwko ojcu własnemu, choć srogiemu,

powstawał, nikomu do serca nie przypadł. Otto też, najstarszy syn Mieszka, był człkiem ponurym, milczącym, patrzył dziko, głowę trzymał jak wrosłą w ramiona, a pomimo pokory i uniżoności dla wszystkich stał się odrażającym.

Sam on czuł pewnie, jak nań ludzie patrzeć i co o nim myśleć musieli, bo zdawał się sromać, nikomu śmiało w oczy zajrzeć nie umiejąc. Mowę miał zająkliwą i niewyraźną, obejście dumne razem, bojaźliwe i wahające. Każdy szept i ciche słowo go straszło, jakby się lękał tego, co o nim mówiono. Razem wzięta jednak postać ta miała pewien wyraz siły dzikiej, ledwie ogładą pewną w szrankach wstrzymywanej.

Biskup sam przywiódł go na zamek, gdzie przed Kaźmierzem pokłękłszy, hołd mu złożył, a ten dobrotliwie go podniósł i ucałował. Nie spodział się pewnie Otto tego, co tu miał usłyszeć, bo księżę przyjąwszy go razem z ziemią w opiekę i wyłączwszy z niej tylko Gniezno (za radą biskupa), rzekł mu przy pierwszym spotkaniu:

— Sprawże to, miły Ottonie, jak najrychlej, abyś otrzymawszy, czegoś chciał i co prawem starszeństwa na was by spadło, pojednał się z ojcem i uczynił z nim zgodę.

Otto chciał wybuchnąć z tłumaczeniem, iż zawsze był przez rodzica krzywdzony, uciskany, a młodsze dzieci przed nim miały pierwszeństwo, lecz z podziwienia i niecierpliwości zająknąwszy się, splątał i ledwie coś niezrozumiałego zamruczał.

— Bądź co bądź — rzekł Kaźmierz — synowi walczyć przeciw ojcu się nie godzi, przebłagać go i jednać się z nim musicie.

Otto, spodziewający się nieprzyjaciela ojca znaleźć w Kaźmierzu, zmięszał się, widząc w nim uczucie braterskie i serce miłości pełne.

— Wolą wszystkich ziemian i duchownych — mówił mu Kaźmierz — wyniesiony jestem na tę stolicę, której nie pragnąłem, przeto jednak ojcu twemu bratem być nie przestałem. Życzę jemu i wam dobrze i, da Bóg, dowiodę tego.

Biskup Gedko, słuchając, zmarszczył się trochę i nierad był obietnicy, lecz nie rzekł nic, gdyż Kaźmierz, mimo posłuszeństwa duchownej władzy, gdy szło o to, co mu sumienie dyktowało, złamać się ani przekonać nie dawał. Wszechmocny nawet a nader zręczny biskup Gedko ustępować mu w tym musiał.

Przez cały czas pobytu swojego w Krakowie Otto chodził znękany i jak wylękły, kilka razy próbował mówić przeciw ojcu i zniechęcać do niego, ale Kaźmierz nie dopuścił. Po uroczystym poprzysiężeniu wierności, pod pozorem, iż pilno grodów swych wielkopolskich strzec musiał, natychmiast wybrał się Otto z powrotem, zostawując dla kościoła krakowskiego dary, którymi Kaźmierza i biskupa ująć pragnął.

Wkrótce po hołdzie Ottonowym książę zmianę praw starych, jaką zapowiedział, zapragnął

przywieść do skutku, a że się bez narady z biskupami nic wówczas stać nie mogło, zażądał zjazdu ich dla ogłoszenia nowego postanowienia.

Już sama zapowiedź tych ostrych zakonów sprawiedliwości ziemianom dała do myślenia.

Duchowieństwo na tym nie traciło nic, zyskiwało może, lecz lękało się, aby rękę podając do zmian dla możliwych władków niemiłych, nie zraziło ich ku sobie. Szemrano na to, ażeby jadącemu za rozkazami pańskimi wiązki siana i miarki owsa u wieśniaka wziąć darmo nie było wolno.

Ziemianie też często gęsto po śmierci proboszczów za jeźdzali majątki ich, żywili się spichrzami, a rzec się tego nadużycia niemiłym im było.

Gdy Kaźmierz zażądał zjazdu, biskup Gedko zwołać go obiecał, ale tłumaczył się, że czas nie był po temu.

— Ojciec mój — odparł Kaźmierz — jeżeli sądzicie, że ja na słowie skończę, a nie

dokonam, co zamierzyłem, mylicie się. Raczej stolicę tę porzucę, niżbym miał odstąpić od tego, co rzekłem. Tym jednym usprawiedliwę się wobec sumienia mojego.

Biskup błogosławił i pochwalał, ale właśnie trafiała się zrzeczność i pora dogodna zdobycia od Rusi Brześcia, Włodzimierza i Chełma. Kniazowie ruscy wadzili się z sobą, Kijów był w wojnie z Czemiechowie, a Brześć zając koniecznością było. Rycerstwo i ziemianie woleli ciągnąć na Ruś niż na zjazd, który się im groźnym wydawał. Sądzone może, iż Kaźmierz w boju i po wojnie, w sprawy ruskie wwikłany, zapomni wielkich swych zapowiedzi.

Poszły więc, natychmiast po osadzeniu dwóma namiestnikami Pomorza, wici po kraju na

wojnę. Ruszało się wszystko ochoczo, spokój się naprzykrzył, wyprawa łup obiecywała. Biskup Gedko tymczasem zjazd przysposabiać obiecywał i miał się naradzać z pasterzami. Widział już, że Kaźmierz myśli swej nie zaniecha, że do zakonu, jaki ogłosić miał, całym sercem przyłgnął, bo nieustannie mówił o nim i powtarzał: „Gdy to spełnię, niech Bóg odpuści sługę swego, jeżeli wola; więcęj nie pragnę.”

#### IV

Znaczny przeciąg czasu upłynął od opisanych wypadków, lecz w położeniu osób nam

znanych mało co się na pozór zmieniło. Na zamku, przy skarbcu na górze, w izdebce, z której piękny widok na szeroką okolicę dokoła się rozkładał, mieszkał ten, którego zwano Zaborem z Przegaju. Siedział tu tak cicho, tak zakryty, iż mało go widać, mniej jeszcze o nim słyhać było. U

starego Rajca, który coraz cięższym się stawał, nieograniczone pozyskał sobie zaufanie. Najczęściej też sam już z kluczami chodził, przy sobie sobole, kuny, lisy i gronostaje przewietrzać i trzepać kazał,

sukna i bławaty opatrywać, aby ich mól i wilgoć nie uszkodziły, srebra czyścić ze rdzy, która na nich osiadała. Pod jego okiem spisywało się, co droższego, a co pospolitszego, na karbach znaczyło.

Do pisania naówczas ludzi nie było wielu, a i ci ważniejszymi sprawami się zajmowali, w spichrzach więc i skarbcach, odwiecznym zwyczajem, na drążkach drewnianych zarzynano znaki, ile czego naliczono. Karby te podwójne były, aby dozorca i podskarbi miał każdy swoje i przyłożyć je mógł dla sprawdzenia do siebie.

Stała ich cała więź w izbie Stacha, który zresztą w sklepionym swym szczupłym mieszkanku, do którego wschodki kamienne, wąskie i ciemne prowadziły, niewytwornie był zagospodarowany. Stał w nim tarczan z lada jaką pościółką i okryciem, stół na krzyżowych nogach, ławy w oknach, we wgłębieniach grubego muru. Kilka półek wpuszczonych w ściany służyły do pomieszczenia rzeczy drobnych, a prócz dzbana do wody, kubka, ręczników i trochę broni, nic tam nie zwracało oka. Ciemna komórka obok resztę mienia zamykała. Stach mało kogo tu przyjmował, a sam też był jak gościem, bo albo w skarbcu porządek czynił, albo na dół zszedłszy do dworu, z ludźmi się rozgadywał, lub na miasto zbiegał często, i tam mając do czynienia.

Było mu tu szczęśliwie i dobrze jak mało komu, bo zazdrości nie obudzał. Roboty miał dużo, kłopotu niemało, płacę lichą, wygod niewiele, a nie dobijał się o nic więcej, o łaski niczyje u góry nie starał, w dole z wszystkimi żył dobrze. Lubiono go powszechnie, choć niektórzy znajdowali, że mruk był, nadto w sobie zamknięty i serca otworzystego nie miał.

Komu mógł, robił dobrze, a do skarg powodu nie dawał. Wiedziano, że u biskupa był w łaskach szczególnych, i to mu poszanowanie jednało. Podejrzliwsi posądzali go, że on coś wie i coś robi, że oprócz swych obowiązków jawnych ma i inne na głowie, ale odgadnąć nikt nie umiał, co to być mogło.

„Kat go wiel” — powtarzano. — „Mruk!”

Czasem na dole w izbie komorników Stach i pośmiać się umiał z nimi, częściej jednak widziano go chodzącego z czołem pomarszczonym, wąsa kręcącego i jakby coś niedobrego dźwigał, stękającego ciężko. Mało znaczny i mało znaczący człeczek ten w istocie wiele na sobie nosił, wiedział wszystko, do wielu spraw należał, a z tym się nie wydawał. Szło mu dotąd po myśli oprócz jednego. Pracował nad tym, aby Kaźmierza od wdowy odstręczyć albo ją stąd wysadzić, a tego dokazać nie mógł.

Dorota mieszkała we dworze swym, który teraz wytwornie był przybrany, bo niejedną

oponę i naczynie ze skarbca pańskiego tam dano. Jednała sobie coraz więcej przyjaciół, a choć na nią wygadywano i do zamku o tym wieści trafiały, choć księżę czasem długo od niej stronił, zawsze go umiała na nowo ku sobie pociągnąć. Nie potrzebowała nawet Wichfrieda do tego, choć ten jej zawsze wiernie służył.

Każmierz niekiedy, przelękty i zrażony zarzekał się, że noga jego w tym dworze nie postanie. Wytrzymał czas jakiś, potem, jakby zatęskniwszy, zboczył z drogi, zajechał wieczorem, zasiedział się pod noc, nie zważając, że konie u wrót ludzie widzieli, i dawał się wziąć znowu. Prawda, że go tam zabawić i przyjąć umiano.

Wdowa, choć pierwsza jej młodość już była przekwitła, wdzięki swe utrzymywała w świeżości, a popisać się z nimi zręcznie potrafiła: mówiła, śpiewała, poszła w pląsy chętnie, rozochołała, upajała. A gdy sama nie mogła księcia rozbawić, miała w pomoc chorowody dziewcząt, które powyuczała pieśni, skoków, swawoli, i im często występować kazała.

Mówiono, że stara Czechna, znana miastu wiedźma krakowska, do której wszystkie baby chodziły po radę w chorobach, w dolegliwościach wszelkich, w sprawach miłosnych i potrzebach tajemnych, wieczorem często się u wdowy zjawiała; przynosiła jej zioła jakieś, poddawała bańki różne, szeptała, radziła i znaczne dary od niej wyciągała. Utrzymywali nawet niektórzy, iż nedorzeczna miłość księcia dla tej niewiasty niczym innym teraz podsycaną nie była, jak napojami czarownicami.

Dla Doroty księżę zapomniał był nawet o Ściborzance. Zrazu Jagna znosiła to jako konieczność położenia, w końcu ją zabołało. Wytrwać nie mogła. Czatowała na polującego w lasach sąsiednich Kaźmierza i pochwyciła go raz, gdy sam jeden z Wichfriedem odpoczywał.

Niemiec, który świadkiem był tego spotkania, opowiadał o nim zaufanym, że nigdy Kaźmierza tak poruszonym, upokorzonym i zrozpaczonym nie widział, jak wówczas. Widok Jagny przypomniał mu lata szczęśliwe, chwile rozkoszne, spędzane w zacisznym Gaju; a gdy mu dziewczę z płaczem padło na szyję, przytomność prawie utracił. Wkrótce jednak ów czar Doroty, który w sobie nosił, przemógł, podzielał nań, począł mówić a błagać, iż powinni się byli rozstać na zawsze dla dobra obojga, że jemu nie przystało losu jej zawiązywać, gdy dać go nie mógł. Jagna słuchała osłupienia.

Wichfried z dala już potem dosłyszał tylko rozmowę, a raczej wyrzuty gorące, groźby krwawe, miotania się i krzyki rozpaczy, a wreszcie ucichło wszystko. Kaźmierz mówił, dziewczę płakało, gniewnie, niecierpliwie błagało: na próżno. Aż zerwała się Ściborzanka jak zwierzaniony,

z krzykiem biegnąc do swojego konia. Księżę popędził za nią nawołując i prosząc, ale nie spojrziała nań już, siadła na karego i uciekła w las.

Wichfried niełatwo potem mógł księcia rozpaczającego ukołysać. Chciał go zaraz do

Ściborzyc posyłać, odłożył do drugiego dnia, a gdy Niemiec z poselstwem przybył, Jagna z nim mówić nie chciała. Powrócił z niczym.

Wkrótce potem doszła wieść do Krakowa, że stary Ścibor zmarł. W dni parę Hreczyn przyjechał, Stacha szukając, i ledwie go znalazł w mieście. Jagna żądała, aby do niej przybywał.

Uwolnwszy się na dni kilka, pojechał Stach do sieroty i zdziwiony, że ona go mieć chciała, i szczęśliwy jakąś nadzieją, której sam nie dowierzał.

Po pogrzebie już było, gdy przyjechał. Zastał Jagnę na wałach siedzącą, łokcie na kolanach, twarz na dłoniach, bladą, zmienioną, straszną, ledwie żywą. Patrzyła nań długo, długo, nim sobie przypomniała. Wstała potem, a Stach się uląkł, widząc ją tak wychudłą, osłabłą, że z niej cień tylko pozostał. Poprowadziła go do dworu za sobą, do tej samej izby, w której stary Ścibor legiwał i umarł. Poślanie jeszcze leżało, jak było.

— Samam się została — rzekła — tęsknica mnie dusi, żyć tak nie mogę! Ojciec ciebie znał i kochał...

Pomilczała trochę.

— Chcesz ty mnie wziąć? — podała mu rękę schudzoną i zimną.

Stach, który z dawna w sercu ją miał, a teraz dla wielkiej litości, jaką wzbudzała, czuł się jeszcze więcej rozmiłowanym, nie umiał odpowiedzieć. Myślał, jak swój ślub pogodzić z inną dołą.

Przyznać się jej nie chciał, kto był, co go wiązało.

— A! Nie może to być — rzekł — boby dla mnie szczęścia było za wiele. Ojciec wasz mnie znał, ale wy nie znacie.

— Może i ja znam! — odezwało się dziewczę. — Ot, weź mnie!

Powiedziała to zimno, ale z uporem jakimś.

— Weź mnie, chcesz, otom twoja.

— Musiałbym wówczas Kraków porzucić, siąść tu i gospodarzyć wam, a ja tego uczynić nie mogę.

— Ja to wiem — rzekła Jagna — ale ja chcę z wami być w Krakowie.

Stach aż się wstrząsł cały, ale stał niepewny; ona dodała:

— Żony wy ze mnie dobrej mieć nie będziecie albo tak, jak żadną. Jam się już nikomu na nic nie zdała. A i toście wiedzieć powinni, że wianka wam nie przyniosę, bom wdowa!

Chciał Stach pytać, znów mu nie dała mówić.

— Co tam macie wiedzieć, kto był mężem moim. Ślubu ja z nim nie brałam, ksiądz po terażniejszemu nie błogosławił. Ot tak daliśmy sobie serca i ręce i żyli, i przeżyli wszystko.

Łkanie jej mowę przerywało, ból się sączył z każdego wyrazu.

— Teraz ja tu siedzieć nie mogę, chcę do Krakowa z wami. Stach, nie mogąc się oprzeć, ujął ją za rękę i pocałował.

Dała mu ją, ale obojętnie, bez czucia.

— Jam stara, jam zwiędła — mówiła cicho. — Kochać mnie i żyć tam ze mną wy nie potrzebujecie. Ja też tego nie chcę, ale wy się nazywać będziecie mężem moim, ja — waszą żoną.

Zechcecie, to niech ksiądz pobłogosławi, a nie — to nie. I tak z sobą ludzie żyją, dawszy słowo. Jak ja umrę, przekażę, zabierzecie sobie Ściborzyce i wszystkie mienie po mnie. Dobrze?

Stach nie umiał odpowiadać, żal mu serce ścisnął, po rękach ją całował, ona mu je wyrywała.

— Ja wam, wy mnie przeszkadzać nie będziecie. Mnie samej dziewczce w mieście żyć nie godzi się, a ja tam muszę być, ja tam muszę być!

Nastąpiła zgoda milcząca, umowa osobliwa. Wyprawiła go do Krakowa przodem, mówiąc, że doń przyjedzie.

Jakiś czas czekał na nią Stach w swej izdebce nad skarbcem, aż dnia jednego dała mu znać, że przybyła. Miała już swój dwór niedaleko od miasta, koło niego kręciło się dosyć ludzi, koni i wozów ze sprzętami.

W pustej jeszcze izbie zastał Jagnę siedzącą, z twarzą od podróży rozplomienioną, dyszącą ze znużenia, a jak grób smutną. Stary Hreczyn niemy, zmęczony kręcił się około tego

poczynającego gospodarstwa. Widać było dostatek w tym, co wyładowywano, ale ona ani spojrzała na nic, jakby ją wcale nie obchodziło, co miała. Zobaczywszy nadchodzącego Stacha, zwróciła się ku

niemu i przywitała go skinieniem głowy, podali sobie ręce. Jagna zawołała Hreczyna.

— Patrz, stary — rzekła wskazując przybyłego — to jest mąż mój, twój pan, należy mu posłuszeństwo.

To powiedziawszy, zwróciła się znowu ku oknu. Stach się nie odzywał, nie śmiał przeczyć, a dziwne mu było to jakieś wesele przy jednym świadku bezobrzędnie odbyte. Jagna zadumana wskazała mu miejsce na ławie.

— Ty masz we dworze służbę — rzekła — ja to wiem, musisz ją pełnić. Siedz sobie, gdzie zechcesz, przychodź, gdy ci się podoba. Musu w tym nie ma. Znajdziesz u mnie dach i wszystko, co ci trzeba, służbę i dostatek, i moją smutną twarz, na którą patrzeć niemiło. Ano, nie potrzebujesz się nią truć, mnie aby jakakolwiek opieka.

Stach nie sprzeciwiał się w niczym. Zdała mu się chorą i biedną, z którą obchodzić się musiał jak z dzieckiem. Po chwili kazała przynieść jadło i napój, zastawić stół dla niego, a sama poczęła usługiwać mu. Stach się musiał i pożywać. Gdy misy zabrano, siedli na ławie znowu.

— Ty jesteś przy księciu? u skarbcza? nieprawda? — odezwała się. — Widujesz pana, co się z nim dzieje?

— Mało ja go widzę — odparł Stach — chyba z dala, ale słyszę o nim i wiem, jak jest.

— Ojciec go kochał — dodała rumieniąc się trochę — ja także dobrze mu życzę. — Mów, co tam z nim.

Stach począł opowiadanie o Kaźmierzu, jako się troszczył swym panowaniem, nowe zakony chciał wprowadzać, ludziom ulżyć, sprawiedliwość mieć wszędzie. Mówił o zabiegach

Mieszka, o Ottonie, o biskupiej nad księciem straży, miłości ludzi dla niego itp.

Słuchała Jagna w milczeniu, spytała o żonę i dziecię, jak był dla niej i z nimi. Nie taił Stach tego, o czym wiedzieli wszyscy, że żonę szanował ksiązę, ale wielkiego serca do niej nie miał.

— A komuż serce dał? — zapytała i spojrzała mu w oczy bystro.

— Nie mogę ja wiedzieć o tym — odparł Stach — co się z sercem jego dzieje. Nie tajno

nikomu, że ksiązę dawniej miłośnicę miał, do której z Sandomirza często w lasy zbiegał i po dni kilka u niej przebywał. Tę podobno opuścił, a teraz mu zli ludzie gorszą jeszcze niewiastę naraili, która go czarami przy sobie trzyma. Palcami ją tu wytykają, bo wieczorami mało nie co dzień u



wdowy Doroty...

— O! Tak — gorąco przerwała Jagna — nie czym innym, tylko czarami a napojem go sobie zyskała! Inaczej nie mogłoby to być, aby taki człowiek, jak on, do takiej baby mógł się przywiązać! Stach rad był, że się z nim godziła w tym i zabierał się mówić o Dorocie dłużej, gdy dziewczę mu przerwało:

— Ludzie, co pana kochają, powinni o tym myśleć, aby go od niej oderwali. Życie mu wyssie ta zbytnica!

Rozmawiali tak długo, Stach do wieczora późnego przesiedział z nią, opowiadając o dworze i księciu. Gdy ciemnieć zaczęło, Jagna go do zaniku odprawiła. Posłuszny jej, poszedł do swej izdebki.

Tak poczęło się osobliwe życie, które Stachowi, spokojnemu dotąd, niepokoju tylko i troski przyczyniło. Przywiązywał się co dzień więcej do biednej dziewczyny, która dobrą dlań będąc, chłodną zarazem i obojętną była. Najczęściej, gdy przybywał, poczyniała wypytywać o pana, i tak czas schodził na urywanej o cudzych sprawach rozmowie.

Gdy tylko czas miał, Stach nawykł ciągnąć do dworku tej mniemanej żony swej, która dlań raczej siostrą, przyjacielem była niż małżonką. Nie zmieniło się. nic od dnia pierwszego.

Gdy się on zbliżyć do niej próbował, zbywała go jeszcze większym chłodem, marszczyła się, powtarzała mu, że starą była, do nikogo się już przywiązać nie mogła, bo nieboszczyka, z którym żyła szczęśliwą, dotąd w sercu nosiła. Stach, choć go tu słuchali wszyscy i szanowali jak pana, praw swych nie używał, był jak obcym, nie rozkazywał nigdy, nie potrzebował nic, a gdy Hreczyn się napraszał z przywiezioną zbroją, odzieżą, sprzętami, zbywał go tym, że mu to się na nic nie zdało.

Jagna też wciąż obdarzać go chciała, Stach z trochę dumy i od niej przyjmować nic nie chciał.

— Wszak ci ja tu mężem nie jestem, tylko dla oka — mówił — do niczego prawa mieć nie chcę, a za opiekę płacić sobie nie dam.

Uderzyło go w końcu to, że Jagna o niczym więcej prawie nie mówiła z nim, tylko o księciu lub o utrapionej wdowie. Jednego dnia spytał ją, dlaczego tak się tym zajmowała.

— E — odparła — każdy ma swoje tajemnice. Macie wy je dla mnie, boście mi o sobie

nigdy wszystkiego nie powiedzieli, wolno i mnie coś przy sobie zachować. Niechaj to, jak jest, zostanie.

Stach nie nalegał.

Wdowa Dorota żyła zawsze po swojemu. Dom bywał pełny, ludzie się w nim mieniali, ona zabawiała się nimi. Ściągali się tam jak na lep młodzi i starzy. Odprawiony wojewoda, srodze za nią zatęskniwszy, przywłókł się przebaczenia prosić, przywiózł podarki. Odpędzono go zrazu, przyjęto potem, stary szalał, a biskup, który o wszystkim wiedział, znowu groził klątwami. Znikł na czas Szczepan nastraszony, ale nie wytrzymał, podkradł się o mroku. Wdowa z niego szydziła, pomiałała nim, posługiwała się i podarki przyjmowała, a przed innymi drwiła z niego nielitośnie.

Nieraz, gdy księżę nadjeżdżał, kazano mu przez ciemne kąty się wymykać.

W mieście miłości książece pokrywało nieco to, iż tam siła bywało ludzi; tłumaczono

Każmierza, iż rozrywki szukał, a nic złego nie myślał.

Nikt może tak pilno nie śledził i Doroty, i księcia, tak do- brze nie wiedział o tym, co się u wdowy działo, jak Jagna, która nie opodal siedząc, na wszystko miało oko. Stach wszelkimi sposoby przez biskupa i innych ludzi Każmierza starał się wyrwać z tych rąk nieczystych, a wszystko rozbijało się o Wichfrieda, który wdowę u pana popierał, bronił, wodził do niej, pilnując, aby się jej płochocność nie wydawała. Wdowa mu też płaciła wielkimi łaskami i Niemiec był u niej jak w domu.

Gedko kilka razy na cztery oczy surowo napominał księcia o te zabawy niezdrowe.

Każmierz po każdym strofowaniu, które pokornie przyjmował, odwiedzin na czas jakiś

poprzestawał, ale rychło powracał. Przestraszona Dorota używała wówczas wszelkich środków, Wichfried pomagał, zabiegała mu gdzieś drogę i ciągnęła do siebie.

Do księżnej Heleny trafił też ktoś i podszeptał jej o wdowie, stawiając niebezpieczeństwo,

jakie księciu od niej groziło. Rozpłakała się pani gorzko, narzekając, ale ani mówić o tym mężowi, ani mu czynić wymówek nie śmiała, nie przyznając się, że wie o tym.

Zabawiając się krótko, Każmierz więcej męczył miłośkami, których się wstydził, a przed

Wichfriedem zeznawał, iż Doroty sercem nie miłował, tak jak swej pierwszej, że często w nim strach i obrzydzenie wzbudzała, przecie miała nad nim jakąś siłę szatańską, że choć się wzdrygał i opierał, nie mógł z nią zerwać. Jechał często ze złością i łzami, jakby go nieczysta moc mimo woli gnała, a powróciwszy wstydał się, tak iż Wichfriedowi w oczy spojrzeć nie śmiał.

Wszystko to na dworze bliższym znane było, wiedział i Stach, rozповідаł Jagnie, a

zdumiewał się, iż niekiedy to tak do serca brała, jakby albo nienawiść osobistą miała do wdowy, lub

wielką miłość dla księcia.

Nie rozumiał spełnia, dlaczego ją to tak obchodziło, iż zwykle wchodzącego w progę

zarzucała pytaniami i radami go przeprowadzała, gdy odchodził, ale badać nie śmiał, litując się nad nią, rad, że choć tym biedną zaprzętnie. Znajdował ją, przybywając, często tak pogrążoną, w jakimś smutku głębokim, iż nie słyszała, gdy wszedł, a stać i czekać musiał, aż się opatrzyła, że nie była sama, i z krzykiem przestraszu zbudziła ze snów swoich.

Życie to było ciężkie a dziwne, ale dla Stacha, który długo wprzód sam był na świecie,

jeszcze lepsze od dawnego sieroctwa. Miał się kim opiekować, o kogo troszczyć, gdzie pójść, mówiąc sobie, że biedna dziewczyna, której smutek śmierci ojca przypisywał, powoli może do niego serca nabierze. Spoufalala się z nim co dzień więcej, ale pozostali, jak byli, z dala od siebie i zbliżyć się ani czułości okazać żadnej nie dopuszczała Jagna. Braw się jej marszczyła i odpychała go surowo.

Za to we dworze więcej, niż chciał, panem był. Służyli mu i narzucali się ludzie, izby dlań stały zawsze osobne, a gdy przyjmować miał znajomych, dostarczano mu wszystkiego. Jagna sama pilnowała, aby mu na niczym nie zbywało. Z rana Stach w skarbcu sprawiwszy obowiązek, na

obiad tu przychodził, powracał potem na zamek, do wieczerzy przybywał znowu, siedział, jak mógł, najdłużej, zawsze na jednej rozmowie o księciu, i nocą na zamek szedł do swej izdebki.

Gdy się to działo w Krakowie, Mieszek w niewielkim oddaleniu od niego, jakby na czatach

przesiadywał u synowca Mieczysława w Raciborzu. Tu nań oko Stach mieć musiał, bo nie tylko on sam i trzej synowie, ale Kietlicz się nieustannie kręcił, spiskując i nie spoczywając. Posyłano go raz w raz to do Niemiec, to do Czech, do cesarza, na Pomorze, do Prusaków. Próbowano przeciągnąć i podburzyć siedzących na Szląsku Władysławowiczów, a choć dotąd wszystkie zabiegi były bez skutku, zaspać ich się nie godziło.

Każmierz, ukochany w początku, już i zazdrosnych miał i niechętnych. Między ziemianami

krakowskimi, oprócz braci z Tęczyna, którzy mszcząc się za bezkarność siostry na księciu, na dworze się nie pokazywali, inni też, zastraszeni zapowiedzią surowych zakonów, trochę się od Kaźmierza odwracali, a na stronę wygnanego Mieszka przechylali.

Mieszek z żelazną swą wolą odzyskania, co utracił, nie pozbył się nadziei odzyskania

Krakowa. Na pozór niezgrabny, ciężki, gburowatością i gwałtami tylko straszny Kietlicz okazywał

się teraz w ręku pana całkiem nowym człowiekiem. Małomówny, skąpy w słowa doborne, nieznużony był i nie odpoczął na chwilę. Na zamku raciborskim gdy się pokazał, to na krótko, pomruczał coś z księciem, konie zmienił, często i ludzi, nie pytając noc czy słońce, ruszał znowu w świat.

Dokąd, nie wiedział nikt; po co, tego się tylko domyślać było można. Weisnąć się umiał

wszędzie, gdzie mu było potrzeba. Za młodu wychowany między Niemcami, znał doskonale język ich i obyczaje; był u nich jak w domu. Nic go nie kosztowało dobiec i do Magdeburga, i do Akwizgranu, i do Kolonii, po małych dworach książęcych się włóczyć, do drzwi zamkniętych

stukać, obiecywać i durzyć. Sam rodem z Łużyc, z Czechami, na Pomorzu mógł się z serbska

rozmówić, bo naówczas języki Słowian wszystkie jeszcze do siebie bardzo były podobne i różniły się więcej wymową niż słowy. Z Prusakami jako tako też ich językiem się porozumiewał. Na

męstwie zuchwałym mu nie zbywało, tak że z największego • niebezpieczeństwa całym wychodził.

Na człowieka tego i pana jego nieustannie oko mieć było i potrzeba. Niby to śledził go

Mierzwa, ale poszlaki już miano, że dwu panom służył, a staremu gorliwiej niż nowemu. Wszystko to z biskupem trzeba było obmyślać, a Stach jemu służył tylko, bo sam ksiązę Kaźmierz albo nie wierzył w zmywy, lub okazywał na nie obojętność taką, jakby rad miał być, gdyby mu część kraju oderwano. Czasem się odzywał półzartem, iżby mu to na sumieniu ulżyło.

Było to prawie nie do wiary, a biskup Gedko nie pojmował spełna, jak się w tym sercu

żądza panowania rozbudzić dotąd nie mogła. Nieraz mu napomykał o Mieszku, pierwszym państwa założycielu, o Chrobrym, o ojcu Krzywoustym, prawił o potrzebie jednoczenia tego, co się rozbiło a porozpadało, a Kaźmierz odpowiadał mu, że go nie rozległość ziem, które dzierży, obchodzi, ale szczęście ich, i że im by ich więcej miał, tym by mu troski i ciężaru przybyło nad miarę.

Biskup milczał, a Kaźmierz wymownie, z serca poczynął o nowych zakonach, pragnąc je co

rychlej wprowadzić. Duchowieństwo i Gedko dla siebie ich pragnęło, bo samo je układać miało z księciem, ale ziemianie się obawiali widząc, że im ujmie swobody względem prostego ludu i kmieci. Gedko mu o tym napomknął, że ziemianie stękali.

— Mogali żądać — odparł Kaźmierz — abym ja im więcej dał swobody niż sobie? Te

prawa dawne, pogańskie, które im odejmuję, odbieram też samemu sobie: moi służebni i ja ich się też rzec muszę. Więcej jeszcze czynię, bo wzięwszy po ojcach moich władzę książęcą wielką, dla nich się w części i jej rzekam, przyzywając ich do rady, czyniąc uczestnikami panowania. Któż tu większą robi ofiarę: ja czy oni?

Tak było w istocie. Biskup odeprzeć tego nie mógł, ale ziemian starał się z wolna

przygotowywać, aby się nie zrazili i z niechęcią ku nowemu panu a narzekaniami nie wybuchnęli.

Wieczorami u biskupa schodzili się albo na zamku duchowni rozprawiając, jako królestwo

to mogło być jak najlepiej urządzone i postanowione. Kaźmierz najgoręcej się tym zajmował.

Młody Wincenty (Kadłubek), ulubieniec jego, przynosił z sobą zaczerpnięte z ksiąg starych

przykłady; czytano i rozbiegano, a książę się coraz bardziej zagrzewał do tego, aby po sobie państwu pamięć zostawić dobrą i każdego człowieka w nim prawo postanowić mocno, a samowolę ukrócić.

W tym czasie Władysławowicze na Szląsku siedzący między sobą się spierać poczęli o

ziemie. Po zmarłym bezpotomnie Konradzie Głogowskim Bolesław księstwo zajechał, Mieczysław brat z Wrocławia go siłą wygnał i zajął tę część. Kaźmierza, jako zwierzchniego pana, wezwano do rozstrzygnięcia między braćmi. Ruszył więc do Wrocławia ze dworem wielkim książę, sprawę

rozsądził wedle sprawiedliwości. Mieczysław ustąpił z Wrocławia, a dla dziecka swego, które Kaźmierz do chrztu trzymał, dostał darem Oświęcim i Bytom. Okazał tu znowu książę, iż mu nie szło o rozpościeranie granic ani o ziemię, ale o miłość, pokój i zgodę.

Wspaniały dar uczyniony synowi Mieczysława obudził szemranie. Gedko i Krakowianie nie

byli z tego radzi; wspaniałość pana zwano nieopatrzoną rozrzutnością, zżymano się na nią. Książęta szląscy, dosyć Kaźmierzowi niechętni, dobrocią tą nie zostali przejednani, zawsze pamiętając na prawo ojca, a jego zwąc przywłaszczycielem.

Powrócił Kaźmierz do Krakowa w sumieniu spokojny, rad z tego, co uczynił, ale od swoich

pochwały czekał próżno. Gedko milczał, a zapytany, rzekł proroczo, iż się Szlązacy

niewdzięcznością wypłacą. Ziemiańin Chmara, którego książę lubił dla wesołej myśli, na dworze jego więcej przebywający niż w domu, któremu Kaźmierz pozwalał mówić, co chciał,

powracającego przywitał całując kraj szaty.

— Miłościwy Panie — odezwał się żartobliwie — łaska to boża, iż ze Szląska nam choć ze gźłem i suknią wracacie; baliśmy się, by i te tam nie zostały.

— Wierzajcie mi — odparł Kaźmierz — iż milej jest dawać niż brać i gźło widzieć na cudzych niż na swych ramionach.

— Kto ma ich na wymianę podostatkiem — rzekł Chmara — ale wam, Miłościwy Książę, bodaj wkrótce żadne nie zostanie.

Na to Kaźmierz odparł śmiejąc się:

— Niedrogo zapłaciłem, jeśli Oświęcimem i Bytomiem serca kupił.

— Pewnie — rzekł Chmara — dodać by jeszcze można parę włości, ano serca przedajne nigdy nie są pewne. Jeśli je kupić można, lada kto je odkupi.

Westchnął księżę i nie mówił już nic.

Chmara ten nie tylko Kazmierzowi, ale i biskupowi czasem prawdy dosyć gorzkie prawił,

nie szczędził nikogo. Staruszek jednak miły słowo najprzykrzejsze tak osłodzić umiał, a czuć było, że ono z serca płynęło, iż nikogo nie pogniewał. Gdy go na dworze zabrakło, wszyscy za nim tęsknili. A był człek wcale nieuczony, choć rozumny; mądrych z ksiąg słuchał rad i często twardy orzech im dawał do zgryzienia. Dziwili się mu ci, co czytali i uczyli się, iż pisać ani czytać nie umiejac, prostym rozumem sięgał tam, gdzie ich mozolnie nabyta nauka doprowadzić nie mogła.

Gdy po wieczerzy na zamku zasiadali u stołu scholastyk Lambert, opat Lucjusz, czasem

który z benedyktynów tynieckich i młody Wincenty, przedmiotem rozmów najczęściej teraz bywały prawa różne, stanowione dla państwa, o których księżę rad się był dowiadywać.

Razu jednego po powrocie z Wrocławia Wincenty przyniósł z Troga Pompejusza powieść o

Liguriusie (sic!) , który ziemi swej prawa nadał surowe bardzo a zbawienne, obowiązując do przysięgi ziemian swych, ażeby im póty byli posłuszni, dopóki by on nie wrócił. Po czym udał się na wyspę Kretę, na dobrowolne skazując się wygnanie, i tam umarł. Ziemianie, którym surowość zakonów dolegała, z grobu prochy jego dobywszy, przywieźli je nazad, aby się od przysięgi uwolnić. Księżę Kazmierz ciekaw był się o prawach tych dowiedzieć, a Wincenty wyliczył ich dwanaście:

Pierwsze prawo stanowiło, ażeby lud panu posłusznym był i wiernym, a pan dla ludu

stróżem pilnym i łaskawym, surowym tylko dla złych.

Drugie, ażeby ziemianie i możni życie wiedli skromne, gdyż rycerstwu przystała więcej

wstrzeźliwość niż rozpusta.

Trzecie, iż nie pieniędzmi, ale zasługą zaszczyty się nabywać miały.

Złota i srebra na równi z innymi kruszcami wartość postanowiono.

Władzę w ziemiach swych podzielił tak, ażeby królowi służyło prawo wypowiedzenia wojny,

urzędnikom — sprawienie sądów, senatowi — praw straż, a ludowi — wybór urzędników swych.

Majątności wszystkim podzielono na części równe, aby byli wyposażeni jednostajnie i by

możniejszych ani ubogich nie było.

Pożywienie wspólne i publiczne miało być u jednego stołu, aby się nikt nie dopuszczał

rozpusty.

Młodzieży na rok po jednej tylko sukni wyznaczono.

Ubogie chłopięta na wieś do roli posyłać miano, nie dając się im po miastach włóczyć, aby w pierwszych latach do pracy nawykali.

Dziewczęta dawane być miały bez wyposażenia. Żon dla pieniędzy brać zakazano.

Cześć oddawana być miała starszyźnie i zasłużonym, a nie możnym. Gdy Wincenty o prawach tych rozповідаł, a niektórzy im przyklaskiwali, zdumiewając się, iż w pogańskim narodzie tak piękne mogły być zakony, Chmara głową potrząsał i śmiał się. Spytał go książę, co by mu się w tym śmiesznym zdawało.

— Widzi mi się — odparł Chmara — jakom człek prosty, iż pocziwiec ów Ligurius człowieka żywego mało znał, a dla drewnianych chyba kukieł prawo pisał. Nie dosyć bowiem równo podzielić mienie, trzeba by wszystkim dać jedną miarę, głodu i pragnienia. Widzimy co dzień, że jeden więcej zapracuje niż drugi i jeden spożywa obficie, inny oszczędniej. Rodzi się silnym niektóry, słabym inny: równości między ludźmi być nie może. I to mi się śmiesznym zda, że swych ziemian znając, pojechał umierać na Kretę, fortelem ich podszedłszy, za co mu ci jeszcze lepszym oddali, popioły przywożąc, by u jednego stołu chudym jadłem się nie żywić.

— Mnie zaś to tylko nie do serca — dodał książę — iż panującemu odebrał najdroższe jego prawo wymierzania sprawiedliwości, zdając ją na urzędników.

Takimi rozprawy najwięcej się Kaźmierz zabawiać lubił, w czym mu dogadzano, zawsze coś nowego przynosząc do stołu. Czasami jednak ludzi zabrakło, brała księcia tęsknica jakaś wielka i albo na łowy jechał, lub go Wichfried, smutnym widząc, ciągnął do Doroty.

Strofował biskup Niemca, który go unikał, a swoje robił. Stawał się nałóg ów coraz straszniejszym, bo płocha niewiasta górę nad nim brała i co chciała, z nim czyniła.

Biskup, niemało się tym frasując, a widząc, że napomnienia nie skutkują, innej rady nie znalazł nad tę, by braciom podszeptać, ażeby siostrę gwałtem z Krakowa wzięli. Gedkowi zdało się, iż choćby zrazu książę gniew miał w sercu, nie śmiałyby się za nią ujmować, a potem by o niej zapomniał. Z tym więc postanowił Stacha wyprawić do Tęczyna, który się podjął jechać w poselstwie, nikomu z tym, nawet Jagnie, się nie zwierając. Wybrał się jakby na łowy w okolicę.

Warowny był już naówczas zamek stary w Tęczynie, a że Dobrogost, który na nim siedział,

wiedział, iż nieprzyjaciół ma dokoła, sam zaś z Mieszkiem trzymał, straż zawsze utrzymywano pilną i ludzi podostatkiem.

Stach, przybywszy, opowiadać się musiał, od kogo przybywał, powiedział więc biskupa Gedkę i niebawem go wpuszczono.

Dwór pański był i ludny, służba mnoga, przyjęcie książęce.

Wprowadzono posła do izby wielkiej, rycerskimi zbrojami obwieszanej, do której

Dobrogost wszedł zaraz w sukni dla gościa wdzianej umyślnie. Z biskupem nie byli dobrze, Stacha przyjął też zimno. Ponieważ komornik i jeden ze służby u drzwi stali na zawołanie, zażądał poseł rozmowy na osobności. Gdy do komory bocznej weszli, powiedział, z czym przybył.

Do Krakowa nocą wtargnąć z ludźmi zbrojnymi nie było trudno. Na dworze wdowa nie miała z kim się opierać, bo zbrojnych rozpuściła, mogli więc bracia pochwycić ją i uprowadzić, gdzie by chcieli. Nie mówił Stach wcale o księciu ani o powodach, jakie miał biskup, oprócz publicznego zgorszenia.

Dobrogost, zimno to przyjąwszy, odpowiedział po namyśle, iż z bratem poradzić się musi.

Chciał wiedzieć jednak, czy książę jest o tym zawiadomiony i czy się to za jego przyzwoleniem działo. Stach odparł, że nic o tym nie wie i że mu nie zlecono więcej.

Przystojnie uczęstowany, ale odprawiony chłodno, Stach wrócił, nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi. Czekano na nią w Krakowie dni kilka, ale się nikt nie zjawił.

Tymczasem Dobrogost z Sędziwojem układali się o porwanie siostry, zapewnieni będąc, że im to ujdzie bezkarnie. Mieli biskupa za sobą, a ten był naówczas wszechmogącym.

Jednego wieczora Wichfried księcia zawiózł do dworu Doroty, tam jak zwykle zasiedzieli się późno w noc przy kielichach i śpiewach. Okiennice wszystkie były pozamykane, wrota podwórca zaparte. Zapomniano o spóźnionej porze, wdowa zabawiała księcia żywymi

opowiadaniem przygód miłosnych, gdy nagle hałas i łomot dokoła słyszeć się dały. Pod oknami ludzie biegli śpiesznie, porywano za okiennice, czeladź domowa krzyczała gwałtu. Służba stojąca w przedsieni, wparta do izby, biegła, szukając oszczepów do obrony. Jacyś ludzie napadli na dwór.

Książę z Wichfriedem do mieczów się porwali. Sami będąc, ulękli się najścia, nie wiedząc

jeszcze, z kim do czynienia mieli. Wichfriedowi na myśl przyszedł Mieszek. Jako mężny rycerz, sobą



zasłaniając księcia, stanął w jego obronie.

Wtem Dobrogost z Sędziwojem zbrojni do izby wtargnęli, a ujrawszy Kaźmierza, stanęli osłupieni. Ludziom, którzy się cisnęli za nimi, znak dali, aby nie szli dalej.

Strwożona Dorota padła na kolana, chwyciła za suknię księcia, błagając go o ratunek.

Kaźmierz, Wichfrieda usunąwszy, wystąpił sam, wyrzucając braciom nieposłuszeństwo i zdradę.

Zręczny Niemiec wystąpił z tym, że księżę, zawczasu zawiadomiony o zamiarze najścia na dwór, umyślnie się tu znalazł, by nie dopuścić gwałtu. W ten sposób odjąć chciał im pozór do obmowy Kaźmierza.

Obaj bracia stali długo niemi i zdrętwieli. Ulękli się, aby ich nie posądzono o zamiar gwałtu nad panem. Nie śmieli już siostry brać, wstyd i gniew, że zawiedzeni zostali, odjął im przytomność.

Księżę głosem groźnym, pod karą główną, precz im ustąpić natychmiast rozkazał, a nie rościć więcej żadnych prawdo opieki nad siostrą, gdyż panujący pierwszym jest wdów i sierot opiekunem.

Oświadczył, iż im zuchwały krok przebaczy, jeżeli oni sami zachowają o nim milczenie.

Dobrogost i Sędziwoj, nie umiając się i nie chcąc tłumaczyć, bez pokłonu nawet odeszli i ludzi swych zebrawszy, obawiając się pogoni i sądu, przeklinając biskupa, którego posądzali o zasadzkę, odjechali gniewni do Tęczyna.

Gdy się tak wszystko szczęśliwie dla wdowy skończyło, a Kaźmierz na zamek miał powracać, wdowa, jeszcze strwożona, na progu legła, nie puszczając go i nie chcąc samą pozostać.

Wichfried więc, rad nierad, musiał ją zabrać na zamek potajemnie, dopóki by się dla niej inne, bezpieczne nie znalazło schronienie.

W obszernych zabudowaniach na Wawelu można było ukryć do czasu Dorotę, lecz

zuchwała niewiasta, znalazłszy się bliżej księcia, wcale stąd ustępować nie chciała. Musiał więc Wichfried dla osłonięcia jej mianować się mężem, a że naówczas śluby kościelne powszechnymi jeszcze nie były, dość było nazwiska, aby bliżej nikt nie wglądał.

Nazajutrz po wypadku, którego utaić nie było podobna, wieść o nim, choć sługom milczeć

kazano, rozeszła się po mieście. Jagna się też dowiedziała o niej, a Stach z zamku przyszedł drżący gniewem i oburzeniem. Można sobie wystawić rozpacz jego, gdy to, co miało być ratunkiem, stało się większym niebezpieczeństwem. Dorota na zamku, pod bokiem, obok księżnej; Dorota, którą wszyscy znali, choć jako żona Wichfrieda, była groźbą dla przyszłości. Pobiegł natychmiast Stach do biskupa,

żale rozwodząc, a ten, wysłuchawszy powieści, strwożył się również. Więcej jednak Wichfrieda niż księcia obwinał.

Tegoż dnia Gedko na zamek się udał. Zbliżał się zapowiadany już zjazd ów w Łęczycy,

dokąd duchowieństwo i ziemianie zebrać się mieli dla ogłoszenia praw nowych. Radzono ciągle, przyszło i teraz do rozpraw poważnych.

Biskup znalazł zrzeczność Wichfrieda wziąć na stronę i gwałtownie napadł na niego, iż

zgorzenia i niesławy jest narzędziem, zagrażając mu karą kościelną. Nawykł był do poszanowania tej władzy, jaką dzierżył, i nie wątpił, że Niemiec się ukorzy. Stało się jednak inaczej. Wichfried odparł zuchwale, że o niczym nie wie, nikomu sumieniem swym rządzić, a siebie sądzić nie

dopusci, że wie, co czyni, i za to gotów odpowiadać.

Nim Gedko miał czas go za harde słowa skarcić, Niemiec pokłonił się i nie czekając więcej, oddalił. Biskup musiał na tym poprzestać, nie chcąc wywoływać na dworze zgorzenia, ale czekał

na Kazmierza i gdy się wszyscy oddalili, rzekł mu: — Miłościwy Książę, boli mnie serce, gdy dobrego pana z obowiązku upamiętywać muszę. Złym ludziom dajecie moc nad sobą, nieszczęsna ta niewiasta, którąście porzucić mi przyrzekli, bliżej was jest, niż była. Co pomoże stanowić najlepsze prawa ludzkie, gdy się bożych nie zachowuje? Miłościwy Książę, zaklinam Was,

hamujcie Waszą gorącą krew piastowską, a nie kalajcie pięknej duszy Waszej!

— Ojciec mój — odparł poruszony Kazmierz — wiercie mi, iż walczę z sobą, aby się słabości mej pozbyć, ałem ułomny i grzeszny!

Westchnął biskup, książę pochylił się i w rękę go pocałował.

Natychmiast zwrócił rozmowę na zjazd łeczycki, a Gedko, litując się jego upokorzenia,

widząc skruchę, odszedł, nie wznawiając już napomnień.

Nazajutrz wdowy już na zamku nie było, ale dokąd ją nocą przeprowadzono, nie wiedział

nikt. Stach wysłał na zwiady, biegał sam, pytał sługi, nigdzie tropu znaleźć nie mógł. Myślał

jednak, że niewiasta, jak ona, długo w ukryciu pozostać nie może.

V

Nadszedł wreszcie ów dzień uroczysty, z dawna oczekiwany i upragniony. Naznaczony

został w Łęczycy zjazd duchowieństwa ziem wszystkich i ziemian a starszyzny dla obwołania i poprzysiężenia praw nowych. Był to jakoby prastary wiec, zjazd, jakiego od wieków nie pamiętano.

Rycerstwo i ziemianie stanąć na nim mieli obok duchowieństwa z prawem rady przy księciu. Pochlebiało to ich dumie, ujmowało wszechmocy panu, dawało siłę, jakiej nie mieli, ale wiedzieli, że przyjdzie okupić cześć tę, zrzekając się samowoli nad ludem. Cieszyli się kmiecie i osadnicy, mając nadzieję, że gdyby nawet inny pan nastał, zakon przetrwa i spełniać się będzie.

Radowało się na ostatek duchowieństwo, najpierwsze mając zająć miejsce na zjeździe, opiekunów prawa nowego, stróżów jego, a zapewniając majątnościom swym bezpieczeństwo. Najbardziej jednak cieszył się książę Kaźmierz, który tym prawem panowanie swe chciał uświetnić, sumieniu ulżyć, cześć sprawiedliwości, jaką w duszy nosił, czynem stwierdzić.

Dawno już, bo od pierwszej niemal chwili, gdy go na Krakowie osadzono, marzył o tym zakonie sprawiedliwości. Narzekania na Mieszka i Kietlicza, którzy tak srogo uciskali wszystkie stany, wkładały nań obowiązek zaprowadzenia prawodawstwa nowego. Największą ofiarę rzeczywiście czynił on, bo się z praw swych wyzuwał, nic w zamian nie biorąc.

Arcybiskup gnieźnieński i biskup poznański, którzy z innymi pasterzami na czele zjazdu zasiadać mieli, zapewniali go tylko, iż nie jedno potwierdzenie uchwał łęczyckich wyrobią w Rzymie, ale i prawa następstwa na stolicę, złamanego przez wyniesienie Kaźmierzowe. Najwyższy biskup rzymski, rozdający berła i korony, sam miał uczynić Kaźmierza panem, gdy on dotąd uważał się za przywłaszczyciela.

Radosny to więc dzień był, gdy książę ze świetnym orszakiem, któremu mnogie poczty ziemian towarzyszyły, po wysłuchaniu nabożeństwa w kościele Świętego Wacława i odebraniu błogosławieństwa, do Łęczycy wyruszył.

Ze wszystkich krajów podległych Kaźmierzowi rycerstwo, ziemianie, żupanowie, władcy najmożniejsi płynęli gościncami, wiodąc z sobą gromady czeladzi, występując ze wspaniałością największą. Mieli tu wystąpić po raz pierwszy od niepamiętnych czasów jako jedno wielkie ciało i siła dotąd nie uznana, chociaż od Szczodrego czasów potęga jej rosła ciągle, zwiększając się z dniem każdym.

. Wiec ten zwołany przez Kaźmierza — czuli to wszyscy — otwierał jakby nowych czasów wrota. Dla jednego tylko duchowieństwa, które już wszelkie możliwe prawa miało i używało ich w pełni, był on mniej znaczącym zabezpieczeniem od samowolnej grabieży. Na zjeździe pasterze majestatem swym niemal przyćmić mieli najwyższego pana. Wiedzieli oni, jak Kaźmierz im był uległy, w ich rękach zresztą było potwierdzenie Rzymu, którego słuchać musieli cesarze i królowie,

zwani przez Rudobrodego pogardliwie królikami prowincyj jego państwa. Duchowieństwo wybrało Łęczycę, jako zwykle miejsce zjazdów swoich, tak że wiec ów mógł się jego synodem nazywać.

Każmierz, oprócz ziemian, chciał mieć uczestnikami i świadkami zjazdu książąt, którzy

zwierzchności jego ulegali, pragnąc, aby i oni prawo przyjęli. Przybyć więc miał Bolesław wrocławski, Otto, który trzymał Poznańskie, Mieszek szląski, Leszek mazowiecki, syn

Kędzierzawego, i inni. Pomorscy namiestnicy, ziemianie nie tylko krakowscy, ale z najdalszych krańców, które stanowiły dawną całość i do jedności się poczuwały, zjechać też mieli.

Jesień była niepóźna jeszcze, ciepła i dosyć pogodna, gdy Kaźmierz z licznym dworem,

wojewodami, żupany, urzędnikami mnogimi, po królewsku niemal w podróż się wybrał.

Towarzyszyło mu i duchowieństwo liczne, i rycerstwo przydворne, i czeladzi zastępy całe, i długie wozów szeregi. Dobrze wprzód, nim on sam wyruszył z Krakowa, dwór wyjść musiał, aby po

drodze przez okolice w większej części mało zaludnione, piaszczyste, leśne, gotować obozowiska, pasze, namioty, mosty i dla mnogiego ludu a koni — pożywienie. Wypadała droga oznaczona do Łęczycy tak, iż mało i niewiele znaczących osad dotykała. Idąc nie zamieszkałymi stronami, książę chciał może uniknąć grabieży, którą prawem chciał ukrócić, a w tłumnej podróży zapobiec jej było trudno.

Każmierz, choć kilka dni utrudzające trwało ciągnięcie, był dobrej myśli, bo się zbliżał do dawno upragnionego celu. Czuł się po raz pierwszy istotnym panem na tej ziemi, której przynosił

różdżkę oliwną. Nigdy go weselszym, piękniejszym, majestatyczniejszym nie widzieli druhowie jego; uśmiech [z] ust, pogoda nie schodziła z czoła.

Jechali razem z Gedką, który równie wspaniale jak książę występował. Kaźmierz mu

wszędzie pierwszy krok dawał, posłuszeństwo swe i podległość Kościołowi chcąc przez to okazać.

Dla biskupa, któremu ani wiek, ani powaga nie dozwalały zbyt śpiesznie podróży odbywać, musiał

i książę zwalniać kroku.

Często pół dnia ciągnął ten pochód jak procesja kościelna ze śpiewami pobożnymi, które

kapelani rozpoczynali, a wszyscy im wtórowali z odkrytymi jadąc głowami. W żadnej z osad po drodze wszystkich ludzi pomieścić nie było podobna. Rozbijano więc obozy, rozpalano ognie, namiot książęcy rozpościerano, a nazajutrz rano najczęściej biskup sam przy ołtarzu z darni pod gołym niebem mszą świętą odprawiał.

Zbliżyli się nareście ku Bzurze, ogromnym błotom i łąkom szerokim, które łączycki

zameczek, na kępie pobudowany, ota- czały. Z dala już widać tu było wszystkie suchsze łągi zajęte obozami, gościńce mrówiące się ludem niepoliczonym.

Dla księcia mieszkanie zgotowane było na zamku drewnianym, dla biskupa Gedki wraz ze Zbysławem, gnieźnieńskim arcybiskupem, i przedniejszymi duchownymi przy starym tumie o ćwierć mili od Łęczycy, także wśród nizin i błot stojącym, ale w zaroślach zielonych i cienistych drzewach.

Gdy Kaźmierz zbliżył się do Łęczycy, na gościniec wąski wysypał się tłum wychodzący go powitać. Arcybiskup gnieźnieński, poważny starzec, Żyrośław wrocławski, Cherubin poznański, Lupus płocki, Onolf kujawski, Gaudenty lubuski, Konrad pomorski — wszyscy oni razem z prałatami i duchowieństwem mniejszym składali grono sędziwe, poważne, najsilniejszą władzę w tych ziemiach dzierżące w rękę. Za nimi dopiero widać było jadącego Bolka wrocławskiego,

Mieszka, młodego Leszka mazowieckiego i Ottona, który wziął Wielkopolskę. Zbrojni, w szyszaki strojne godłami poubierani, książęta wydawali się niemal dworem tych starców, co im z krzyżami na piersiach przodowali, chociaż przepychem swojego otoczenia mu nie ustępowali.

Szląscy książęta, Władysławowicze, wychowani w Niemczech, do obyczaju niemieckiego zawczasu nawykli, nosili się rycersko i świetnie; wszyscy byli dorodnego wzrostu,

szerokoramienni, postawy pańskiej. Bolko szczególnie, który stroić się lubił, lśnił od złota i świecących blach swej zbroi. Mieszek mu niewiele ustępował. Wziąć ich było można obu za

wysłańców cesarskiego dworu lub książątka czy grafy niemieckie, bo w nich nic już północnych panów nie przypominało. Poczty ich i dwory wyglądały też z cudzoziemska.

Obok nich blady, wątyły, schorzały wyrostek, z twarzą zbiedzoną, z oczyma przygasłymi,

jechał Leszek, syn Kędzierzawego, który nigdy żwawej nie znał młodości, bo go od kolebki

dręczyła choroba jakaś, na którą leku nie było; a obok niego wojewoda, dodany mu za opiekuna. Na Leszku zbroi mało co było, bo ciężkiego żelaza udźwignąć nie mógł. Na twarzy jego smutnej, choć dziecinnie uśmiechniętej, śmierć kmieciowi zabrał samowolnie konie, pochwycił siano, spisał zboże, kazał się żywić i przewozić.

Od Chrobrego czasów z pokolenia w pokolenie szedł ten zwyczaj dawny, a książęta, dwory

ich i posłańcy jeździli kosztem tych, których chaty i pola znajdowały się przy drodze. Często sobie wybierano gościńce, gdzie się lepiej pożywić było można, wielu się od posługi ciężkiej okupiać musiało. Wygodnym to było. Teraz i książę dla siebie wyrzekał się tej grabieży i ziemianie pod kłatwą musieli jej zaniechać. Tylko czasu wojny, gdy szły posły z wiciami, a o obronę kraju

chodziło, prawo stare do życia wracało.

Ziemiańskie stękali i sarkali.

— Teraz — mówił jeden ze Śreniawów — człek będzie musiał za sobą tabor prowadzić,

owsy, obroki, chleby, siano, bo kmieć albo sprzedać nie zechce, albo jak za ojca zaprosi. Niech się pan potem nie dziwi, że służba iść musi durno a wolno.

— Kmiecica przez to lichy nie brało — dodał Lis — że przewód dał i karmił, przecie oni i

tak głowy dobrze podnoszą, słuchać już nie chcą, a co będzie dalej, gdy w pierze więcej porosną?

— Wszystkiemu winni księża biskupi — mówili inni. — Im o własną skórę chodziło, aby

gdy który z duchownych zemrze, nie mógł się sąsiad z bezpańskiego mienia pożywić. Inni plebani po staremu dzieci mają siła, a już im teraz dziedziczyć probostw nie dopuszczają, więc by choć stodoły wypróżnić chcieli. Skądże oni mają te ziemie i brogi, jeśli nie od nas? Słuszna było, aby na bezkrólewiu my ule podbierali. Mają oni i tak dużo, a na wojnę nie idą ani dzieci ich.

— Chcieliby zagarnąć wszystko — mruzczał inny. — Żeby mogli dla siebie to prawo

przeprowadzić, a i książęciu ziemian też oberżnąć.

— Ano, cicho, cicho — przestrzegali drudzy z boku — bo kłąć będą, jak postyszą.

Zamilkli.

— Książę bo sam na tym najwięcej pono straci — ozwał się po chwili Cholewa. — Górą

wezmą nad nim więcej, niż kiedy bywało. A co robić?

Skarżono się tak i stękano, ale po cichu. Inni się znowu za kmieciami ujmowali znajdując, że prawo słuszne było. Wszyscy jednak, ile ich tam się znajdowało, woleli prawo surowe niż żelazną rękę Mieszka i Kietliczowe zagony po kraju, łapanie winnych i niewinnych, których ze skóry odzierano i dla marnych grzywien męczono.

Nazajutrz, gdy po nabożeństwie rannym weszło onych ośmiu pasterzy, w mitrach lśniących

na głowach, z laskami złocistymi w rękach, w szatach od złota, pereł i purpury, z krzyżami na piersiach, z pierścieniami na rękach, i zasiedli kołem jak senat i sąd w izbie wielkiej, arcybiskup Zbysław tuż na równi z księciem, inni po bokach, a tuż ustawili się za nimi książęta we zbrojach i rycerskich pasach, a dalej ziemiańskie w szubach, w jedwabiach, sukniach szytych i bramowanych złotem — widok był, jakiego ta ziemia dawno nie oglądała, majestatyczny, uroczysty, wielki.

Ci, co szemrali wczoraj, teraz umilkli przerażeni przed posłannikami bożymi, którzy mieli prawo wiązać i rozwiązywać. Nie śmiał już nikt pomyśleć inaczej niż ci ojcowie duchowni, przy których

była mądrość boża, słowo Chrystusowe, błogosławieństwo i klątwa, to jest życie i śmierć.

Każmierz, który najczęściej skromnie się odziewał, na ten dzień niemal po królewsku

wystąpił, przybrany w najpiękniejszą zbroję ze złotem, w pas kamieniami barwnymi dzierzgany, w czapkę książęcą o złotych obręczach, w płaszcz z purpury. I pięknym był jak nigdy, a lice jego szczęściem wielkim i łaskawością promieniało.

Gdy się ukazał w tym majestacie, okrzyknęli go wszyscy, serca chwycił samym obliczem swym. Zdało się starcom, że cień Krzywousta, odmłodzony i wypiękniony w niebiesiech, zjawił się przed nimi.

Wśród ciszy wielkiej wstał sędziwy Zbislaw i po modlitwie prawo uchwalone głosić zaczął:

— Ktokolwiek kmieciom zboże lub mienie gwałtem czy w jakikolwiek sposób zabierze lub zabrać każe, niech będzie wyklęty! Wszyscy biskupi powtórzyli za nim:

— Niech będzie wyklęty!

— Ktobykolwiek do dawania przewodu zmuszał lub zmuszać kazał, niech będzie wyklęty!

Czasu wojny tylko jest wolny.

I znowu powtórzyli klątwę pasterze.

— Ktokolwiek po zmarłym biskupie dobra zagarnie lub zagarniać każe, choćby książęciem był, panem moźnym, urzędnikiem, bez różnicy stanu — niech będzie wyklęty!

— Niech będzie wyklęty!

— I ten, kto zabrane dobra kościelne przyjmie, zabranych nie odda w całości, za zwrot nie poręczy, jako współnik świętokradztwa — niech będzie wyklętym!

Dołożył arcybiskup, iż sam książę, dając przykład z siebie, prawom się tym poddawał, wszyscy też pod klątwą posłuszni im być powinni.

Każmierz podniósł palce złożone jak do przysięgi na znak przyzwolenia i inni wszyscy szmerem posłusznym mu zawtórowali.

Nastąpiła dziękczynna modlitwa. Arcybiskup uroczyście pobłogosławił zebranych, po czym

biskupi wszyscy z duchowieństwem swym wyszli, aby złożyć szaty obrzędowe. Książę zszedł ze stopni i razem z książętą, co go otaczali, pomiędzy ziemian zstąpił, witając jednych, uśmiechając się

drugim, wszystkim okazując łaskawość wielką, oblicze prawdziwie ojcowskie.

Stoły już czekały na zamku pozostawiane, poczęli się więc po chwili kupić i garnąć

wszyscy, jak kto chciał, Krakowianie ze sobą, Mazury, Poznańczycy, Sandomirzanie i Lubelscy, wedle gromad i ziem, do których należeli. Podkomorzowie książęcy przy stołach gospodarzyli. Sam Kaźmierz z duchowieństwem i książęty zajął miejsce osobne, ku któremu, kto mógł, spoglądał, bo wszystkich ich nie każdy znał i niełatwo mógł zobaczyć. Pokazywano ich sobie: „Oto nasz!”

Wśród zasępionych, namarszczonych, pokrzywionych różnie twarzy Kaźmierzowa królowała pięknnością i weselem. Sam on innych zachęcał do spełniania kubków, a rozmowy ochocze wszczynał, mieniąc ten dzień najpiękniejszym życia swojego.

A że duchownymi był otoczony i rozmowy na tor poważny weszły, rad u stołu się zasiedział, o potrzebach ziem tych i przyszłości ich rozmawiając z nimi. Mówiono o zakonach nowych, o klasztorach wznoszących się na chwałę bożą, benedyktyńskich, norbertanów i cystersów, o pobożności i pracowitości ich, potrzebie nawracania ludu, o sprawach Niemiec i świata, o cesarzu i Ziemi Świętej, wyprawach do niej, jako na pogan sąsiednich w Prusach i Polesiu.

Upłynęło czasu wiele i ani się spostrzegł książę, gdy sam dotrzymując wszystkim, co się około niego mieniali ciągle, wstawali i przychodzili coraz nowi, do nocy tak przetrwał.

Nie czuł wcale z mordowania. Wichfried aż szepnąć musiał mu, iżby na spoczynek po dniu

tak znojnym udać się czas było, na co Kaźmierz uśmiechając się odpowiedział, iż szczęśliwym się czuje, nie znużonym. Wstał jednak i dał mu się zaprowadzić do przygotowanej komory, chociaż ziemianie podochoceni długo jeszcze za stołami przesiedzieli.

Jak wszyscy ówcześni królowie i książęta Kaźmierz, rycerzem będąc i łowcem,

pieszczonym nie był, wielkich więc wygod nie potrzebował. Twarde posłanie, prosty posiłek starczyły. Izba sypialna, jakby w obozie, łoże miała lada jakie, a jedyną jej wspaniałością były złociste naczynia z wieczornym napojem, zbroje i stroje, jakich książę potrzebował. Spało się na skórach, często na mało pokrytej słomie i sianie.

Kaźmierz ledwie z pomocą komorników swych rozdział się ze szat kosztownych i stał w

jednym kaftanie, do snu się zabierając, gdy do drzwi zaskrobano. Wyszedł jeden ze sług zobaczyć i oznajmił, że Bolko wrocławski z księciem mówić pragnął sam na sam.

Kaźmierz, który niezbyt dawno ich z bratem pojednał, a zgodę uczynioną pragnął utrzymać,



sądząc, że dla tej sprawy Bolko mu się wprasza, natychmiast go puścić kazał, idąc przeciw niemu z otwartymi rękoma.

Bolko, któregośmy przy wjeździe widzieli, pięknej i dzielnej postawy mężczyzna, rycerz

odważny, nie miał wcale łagodnej natury Kaźmierza ani dobrotliwości piastowskiej. Ostro mu patrzyły oczy, twarz z ustami nieco nabrzękłymi, nieco rozlana, okazywała człeka, co życia rad był

na wsze strony używać wiele i nie szczędzić. Nie zbywało licu na wyrazie pewnej przebiegłości prostaczej i dumie źle pokrytej, a pokrywać się usiłującej. Kipiało w nim zawsze nie wygasające wspomnienie praw, których ojciec jego był pozbawionym, choć Kaźmierz uczynił wszystko, co mógł, aby pamięć krzywdy nie przez siebie wyrządzonej zatrzeć.

Wiedział on, że osadzeni na Szląsku książęta serca do niego wielkiego nie mieli. Tym

więcej też pozyskać ich pragnął. Z uśmiechem witać go począł. Bolko szedł jakby zakłopotany i niepewny siebie, skłonił się nieco, obejrzał dokoła, a że stali nie opodal drzwi, skinął wiodąc ku oknu.

Wszystko to zagadkowym było i tajemniczym.

Kaźmierz poszedł za nim ciekawy, ale spokojny, bo dnia tego radość wszystko mu osładzała.

— Z prośbą ja do Was przychodzę — rzekł wahając się Bolko — za złe mi jej nie bierzcie.

Posłem jestem.

— Czyimże? — spytał książę.

Bolko spojrział badając i znowu się wahał.

— Nie gniewajcie się tylko na mnie, zem przyjął pośrednictwo od niemiłego Wam może...

— Mów, od kogo, proszę, i co mi niesiesz. Bolko czoło pocierał.

— Do serca Waszego braterskiego, z prośbą, z pokorą Mieszek przychodzi — rzekł wręście cicho.

Patrzył w oczy, jaki skutek uczyni to słowo. Kaźmierz się wesoło uśmiechnął.

— Miłe mi jest owszem poselstwo wasze — rzekł — bo nic dla mnie pożądanym być nie może nad to, bym Mieszkowi los jego osłodził.

— Mieszek jest bardzo nieszczęśliwy — mówił poseł ośmielając się. — Panem był, dziś jest

bezdolnym wygnańcem. Nie o niego jednego idzie, ale o trzech też synów młodszych. Co oni poczną? Gdzie pójdą? Jaki los ich czeka? Mieszek starzeje, wiek go uciska, a gorzej troska o dzieci.

Przypomnijcie sobie, że przy nim się wychowywali, że on niegdyś był Wam bratem najlepszym, że gdyście ani kawałka ziemi nie mieli, po Henryku Sandomirz Wam oddał.

— Pomnę to — odparł Kaźmierz — ale jakem mu księstwa nie wziął z woli własnej, tak mu go zwrócić nie mogę mimo woli tych, co mi je dali.

— Mieszek też o oddaniu mu Krakowa nie myśli ani go żąda — ciągnął Bolko. — Wiek już i siły jego nie po temu, aby ciężar ten chciał brać na ramiona i z ziemiany burzliwymi, z duchownymi samowolnymi miał walczyć. Rad jest, że Wy rządzą, gdy lepiej niż on umiecie im królować. Życzy Wam szczęścia!

Tu Bolko twarz nastroił taką, jakby w to szczęście trudno mu uwierzyć było, a potem dodał:

— Bogdajbyście byli szczęśliwsi od niego u panów ziemian. Złamali oni przysięgę ojcu mojemu, jemu, wzięli Was, a dziś już i na Was szemrzą. Któż wie, co będzie? Nie ręczyć i za to, że gdy wy się im naprzykrzycie, zechcą albo do Mieszka powracać, lub jeszcze innego wybierać.

— A! Bóg z nimi — odrzekł Kaźmierz spokojnie — powrócę do Sandomirza.

Bolko popatrzał nań zdumiony tą obojętnością.

— Dla Was — począł znowu — bezpieczniej byłoby i spokojniej, pojednać się z Mieszkiem i mieć go przyjacielem niż wrogiem.

— Ja tego pragnę jak Bóg Bogiem! — zawołał Kaźmierz. — Choćby największym kosztem!

Bolko, niby wątpiąc o szczerości tego wyznania, popatrzał nań, a Kaźmierz powtórzył:

— Wierzaj mi, pragnę tego. Czegóż chce Mieszek?

— Nic więcej nad to, co mu się święcie i sprawiedliwie należy wedle ojcowskiego naznaczenia. Daj mu na powrót Poznańskie, które własny syn wydarł, daj mu je całe, z Ottonem się on przejedna. Daj mu je przez wdzięczność, przez rozum, przez serce Twe. Kaźmierz, ręce podniósłszy, objął Bolka za szyję.

— Bądź mi pozdrowion wdzięcznie, pośle zgody i pokoju! — zawołał. — Oddam mu je! O

ile w mej mocy to jest, zgadzam się, niech bierze!

— A któż tu panem, jeśli nie Ty? — zapytał Bolko. Kaźmierz głową potrząsnął.

— Miły mój — odparł — bez rady duchownych i panów ja nie mogę nic. To ci tajnym być nie powinno. Wezwać ich muszę, radzić się będę, sam powiem, że tego pragnę.

— Oni ci się nie będą śmieli sprzeciwiać — rzekł Bolko.

— Daj Boże! — odparł Kaźmierz. — Nie chcę nic poczynać bez was, abys mi świadkiem był, że szczerze idę. Jutro rano z arcybiskupem i Gedką mówić będziemy, a przez nich z Wielkopolany.

Uścisnął go raz jeszcze.

— Bóg niech będzie świadkiem prawdy i szczerości słów moich — dodał. — Zrzekę się Poznańskiego chętnie, bo widzę to sprawiedliwym, a sprawiedliwym chcę być.

Bolko, który się widać nie spodziewał z taką łatwością uzyskać tego, z czym przyszedł, gotując się błagać i przekonywać, nie miał już więcej co mówić. Stał niedowierzający, niespokojny.

Kaźmierz dostrzegłszy tego, odezwał się jeszcze:

— Dzień to zaprawdę szczęśliwy dla mnie, gdy i duszne życzenia moje ziszcza i robi mi nadzieję, że w bratu druha odzyszczę.

Bolko do ramienia mu się pochylił, uściskali się; szedł do drzwi. Tak się rozstali, a

Kaźmierz, przywoławszy zaraz komornika, kazał mu zbudzić się rano, u arcybiskupa i Gedki zamawiając ranną rozmowę.

Jak dzień, wszystko się na zamku poruszać zaczęło. Biskupi i prałaci, niektórzy w tumie,

inni w kościele łączyckim za miastem, drudzy na zamku w kaplicy msze odprawiali. Kaźmierz, jednej z nich wysłuchawszy, pragnął co prędzej z Gedką się rozmówić, gdy właśnie go oznajmiono.

Weszli do komory osobnej.

— Bóg mi pobłogosławił — począł Kaźmierz i wczorajsze poselstwo Bolkowe biskupowi opowiedział żywo.

Biskup słuchał bardzo uważny, ale zasepiając się. Pierwszym słowem jego było:

— Mieszek szczerym nie jest. Chce Poznania, aby z rycerstwem jego na Kraków potem uderzyć.

— Ojcie — przerwał Kaźmierz — nie posądzajmy go! I to mówiąc, w ramię pocałował biskupa.

— To moje pragnienie jedyne! Niech się ono ziści! Zgody i pokoju chcę!

Biskup widząc, jak gorąco się ujmował, zamilkł.

— Zwołamy ziemian poznańskich dziś czy jutro — rzekł — już to dziś w obyczaj poszło, że bez woli ich pana im narzucać się nie godzi.

Książę się zdumiał i cofnął.

— Tak jest — odparł Gedko. — Dziedzictwo to czy nie, po ojcu czy po bracie, ziemianie rozstrzygają, kto im miły i kogo słuchać mają. Arcybiskup też Zbysław ma prawo wypowiedzieć zdanie swoje.

— A ja? — przerwał Kaźmierz. — Cóż ja?

— Miłościwy Książę — odezwał się biskup. — Wy ze wszystkich macie powagę największą, ale z ziemian naszymi, którzy są dosyć samowolni a burzliwi, siłą coś chceć dokonać trudno. Zamiast zgody i pokoju mieć będziecie swar i rozruch.

— Ale oni powinni przystać na to — przerwał książę.

— Nie wiem — rzekł Gedko. — Pragnę dla Was oszczędzić trudu i zachodu, zatem pozwólcie nam z arcybiskupem probować. Puścimy wieść o tym, że Mieszek ma na Poznań powrócić. Zobaczymy, co rzeką.

Zadumany trochę frasobliwie Kaźmierz przystał na to.

— Dajcie mi to zgotować powoli — powtórzył Gedko i wyszedł.

Zadumany głęboko książę pozostał sam z sobą.

— Nie jestem już panem — powtarzał w duchu — nie mogę nic bez biskupów i ziemian.

Jestli to lepiej czy gorzej?

Miłość pokoju i sprawiedliwości pocieszała go, że tak być lepiej musiało, a dla sumienia bezpieczniej. Ale pamięć zarazem przywodziła dawne czasy dziadów i ojców, które inne były.

Naówczas oni jedni rozkazywali i potęgę mieli wielką.

— Alem ja w duszy mej spokojny — dodał pocieszając się. Zdawszy na Gedkę staranie,

Kaźmierz dnia tego nikomu więcej się [z] myśli swej nie zwierzał. Czas upłynął na rozmowach i popisach rycerskich. Ziemianie, z których wielu mieli prośby i żałoby, wszyscy jeszcze w Łęczycy pozostali.

Miał też Kaźmierz chorego Leszka, którego kochał jak własne dziecko, i z nim się jak z

dziecięciem zabawiał. Starania około niego potrzeba było, bo słabe chłopię znieść nie mogło tego żywota, jaki wówczas wszyscy wiedli. Oprócz Kaźmierza, co go kochał, inni, co się na spadek oglądali, widząc, że długo żyć nie mógł, otaczali go wielką okazując miłość. Dla nikogo czulszą nie była rodzina jak dla niego, zalecał mu się każdy, ujmując dla siebie. Zabawiano go, przynoszono podarki, ten i ów mu się do Płocka obiecywał, a Leszek wszystko przyjmował z uśmiechem dość obojętnym. Wśród tych rozrosłych na olbrzymów rycerzy, z których każdy ogromną zbroję żelazną jak piórko dźwigał na ramionach, ciężki szyszak brał na głowę, na koniu mógł dzień cały harcować, on się wydawał jak istota z innego zabłąkana świata.

Stary Żyra, do boku mu dodany, chodził za nim jak niańka go pilnując, w rozmowach nawet

często albo mu poddając słowa, lub sam zań odpowiadając. Biednego Leszka nic się tu nie zdało obchodzić; znużony pokładał się na ławach, dla wszystkich starszych równie uprzejmy i zarówno obojętny. Jednego Kaźmierza zdawał się kochać więcej.

Ksiązę się nim też szczególnie opiekował. Pamiętał, że umierający brat oddał mu go w

opiekę, rad był słabe to dziecko wypiastować na męża. Ale kilku już uczonych mnichów

benedyktyńskich posyłano mu, dawano leki różne, a dziecko ciągle słabło i choć rosło, wzrost zdawał się je czynić coraz węższyna.

U stołów Bolko się przysiadł do księcia, badając go pilno oczyma o skutek rozmowy.

— Czekam na odpowiedź biskupów — szepnął mu Kaźmierz.

Bolko okazał trochę zakłopotania, ale zmilczał.

Dotąd, choć ziemianie po kątach cicho szemrali, nie było znaków, aby to ich bardzo bolało, co się dokonało. W obozie i na zamku wesołość panowała i ochota wielka, ze wszystkich ziem rycerstwo się bratało, opowiadało sobie, co się gdzie działo, śmiechy się różne rozlegały, a poza kępą

zamkową, o ile błotnista okolica dozwalała, szalano po trosze, zwłaszcza młodzież,

wyścigając się, biegając o zakłady, próbując koni zręczności i siły. Pod wieczór jednak Kazmierz i drudzy spostrzegli, że się coś w tej zgodnej dotąd ciżbie zawichrzyło.

Ludzie się poczęli powoływać, zbierać w kupki osobne, ściągając po kątach. Tu i owdzie

słychać było dających sobie hasła Wielkopolan. Domyślił się Kazmierz, że słowo już puszczone między nich. Lecz że wieczór nadchodził, czasu zostawało mało, nie widziano więcej nad to, że rycerstwo od Poznania i Gniezna osobno się wyłączyli i bardzo żwawo gwarzyli.

Ze wszystkich ziem, co się tu zgromadziły, krakowska najbardziej się odznaczała butą i

samowolą: stąd szło zawsze hasło do upominania się swobód i roszczenia praw. Tu powtarzano głośno, że ziemianie panów sobie wybierać, a bodaj przebierać w nich mogą. Odprawa dana

Mieszkowi jeszcze dumę tę i samowolę podniosła. Obok Krakowian w jednej prawie mierze stali starzy piastowscy Wielkopolanie, którzy też tego chcieli, co i oni, i o toż się upominali: „Jako oni, tak i my — mówili — bośmy to przecież tak dobrzy, jak oni, jeśli nie lepsi. Z naszego ula wyszły matki. Jeżeli oni sobie wybierać mogą, nam przysłało toż samo, co im.”

Dotąd było to próżne gadanie, ale tego wieczora zabierało się na coś więcej. Gdy się

Wielkopolanie poczęli zwoływać i naradzać, inni, postrzegłszy to, zaniepokoiли się. Krakowianie już badali, co tam było. Odpowiadano im:

— Nasza sprawa domowa.

— Kiedy wasza, to i nasza.

— Jako żywo, o naszą skórę idzie!

Dowiedzieć się nie można było, co się stało, ale Wielkopolan, jak wymiółł, na zamku nie

stało. Starszyzna ich ku tumowi ciągnęła i po drodze, widać było, jak stawali i o coś się bardzo spierali. Inni ciekawi byli nad miarę, co tam jest. Nikt nie wiedział.

Pocieszano się tym, iż domowa jakaś sprawa była, o którą z arcybiskupem mówić chcieli i

pewno dokończyć ją między sobą, jak zaczęli.

Pod noc późną zasiedzieli się wszyscy za stołami u dzbanów, ochoczo i z dobrą myślą. Już o nocnej godzinie Wielkopolanie, których nagle nie stało, małymi gromadkami od tumu wracać

zaczęli. Przychodzili milczący, siadali za stół, na twarzach widać było, że się czymś gryźli. Pytano ich, głowami trzęśli.

Ten i ów krzyknął wabiąc drugich: „Posłuchanie jutro!” Inni przebąkiwali: „Nasza rzecz, ano, kto się za nas teraz nie ujmie, za tego my czasu sposobnego nie staniemy.”

Zaczęła powracać starszyczna, umęczona, zła, kwaśna. Nie szli na zamek, gdzie dla nich miejsce było, posiadali w podwórzach za stołami, popodpierali łokciami, pili i sumowali.

Krakowianie widzieli, że coś grubego się warzyło, ale który z nich badać zaczął, dostał ostrą odprawę: „Pilnujcie swego nosa!”

Pomiędzy sobą, gdzie się ich więcej zeszło, gwarzyli Wielkopolanie namiętnie, podnosili pięści, spierali się, odgrażali. Uderzyło to wszystkich, że władcy możniejsi do księcia nie szli, a co który na zamek spojrział, nadymał się groźnie. Wyrywały się wyrazy: „Zobaczymy! Co to my dzieci? Co drugim, musi być i nam! Im z nosa spadło, a nas będą częstować! Albośmy to głupi! Nie damy się!” Itp.

W takim usposobieniu dotrwali do nocy i powoli się do namiotów, szałasów i wozów swych porozłazili. Stach, który znał różnych a wielu, próbował ciągnąć za język, nie dali mu się. Zaczynał zawsze od księcia i pochwał jego, zimnymi twarzami przyjmowanych. Wczoraj jeszcze dużo było takich, co go wielce kochali, dziś nikt się nie odezwał dobrego słowa.

— Cóżście to tak markotni? — zapytał podpitego już starego, o którym wiedział, że po piwie języka nie strzyma.

Ten mu się pochylił do ucha, gębę ręką zasłaniając:

— Nie wiecie nic? A toć nam tego dusiciela Mieszka chcą dać do Poznania za pana. W

Krakowie zły był, a nam ma być w sam raz. Cóż to my za jedni? Znoski? Książę wasz myśli, że my mu z sobą damy robić, co jego wola i łaska? Ano, zobaczymy! Jak się uprze, to i jego precz wyżeniemy z Krakowa, a innego poszukamy. Czy to ich mało jest? Niechaj wie, że jak go ziemianie zrobili, tak odrobić potrafią!

## VI

Nazajutrz rano poznać już było nie można owej zgodnej wczora ziemian gromady. Jak stado owiec, gdy wilk w nie wpadnie, wszystko się rozpierzchło i popłoszyło. Wyglądało rozbito i groźnie. Tu i owdzie na całe gardła pokrzykiwano, wrzawa i rozdrażnienie coraz rosły. Na pojedynczym człowieku całe inaczej każde słowo i wieść skutkuje. Powoli je myśl przyjmuje, a serce

się nim rozgrzewaj w gromadzie, gdzie ten i ów podżega, żywiej do góry wszystko się niesie i bucha. To, co by hamować miało, w otwartym polu, z tłumu rychlej wywoła przekorę. Niechże ludzie słowu przyklasną albo mu się rozśmieją, jakby je wiatr popędził, leci i w czuprynach siada.

Jeden drugiego rad by prześcignął; powie kto; „Jeden”, wnet dziesięć woła: „Drugi”, aby się wyprzedzić nie dał; rzecze: „Zły”, okrzykną: „Najgorszy”. Gromada, gdy kocha, to strasznie; gdy nienawidzi, to zabójczo; gdy odpycha, to na drugi koniec świata; gdy przyciąga, udusić gotowa.

I tu się tak stało. Ledwie im szepnięto o Mieszku z wieczora, że im go chcą dać, jeden

zawołał, aby go tam wzięli, skąd wyszedł, drugi klnął, ostatni zabijać był rad. Ci, co by inaczej mówić chcieli, nie śmieli. Odwaga odpadła, a z wolna i ich też rozgrzało. Poszło tak jak ogień po suchych wrzosach jesienia; z rana już gorzało wszystko. Arcybiskup staruszek, który się wybierał

za myślą książęcą przemawiać, znalazł już swych ludzi tak przygotowanych, że go słuchać nie chcieli.

Tajemnicy nazajutrz już nie czynili Wielkopoleanie i poczęli Krakowian buntować:

— Co nam dziś, to wam jutro! Poczęło się od podwód i przewodu, które nam odjęto —

wołali — od książęzkich spichrzów, do których nam już pod klątwą zajrzeć nie wolno, choćby bezpieczeństwa były, a tu już, patrzcie, i pana narzucają!

— Co to my Mieszka nie znamy — powiadali drudzy — samiście go nam przecie ukazali, jakim on jest, gdyście go precz wyżegli. A teraz dla nas ma być dobry?

— Słuchajcie — prawili zapaleńsi Krakowianom — jeżeli Kaźmierz się uprze swoją wolę mieć, my też ją mieć będziemy. Razem z wami wyżeniemy go, a młodego Leszka weźmiecie do Krakowa, ten zrobi, co zechcemy.

— Do panów biskupowi — krzyczano. Krakowianom się to dosyć podobało, żeby bodaj nowego pana szukać, a okazać, co to ziemianie mogą.

— My z wami! — poczęli krzyczeć. — Do biskupów! Wrzawa się już nie lada wzięła w podwórca." Stach, który od wczora chodził niespokojny, postrzegł, że nie żartem się zanosi na zawieruchę. Puścił się jako swój do swoich, żeby zbadać, jak rzeczy stały.

Zamek prawie opustoszał. Nie rozjeżdżali się ziemianie, ale w nich wrzało; jedni stawali na gościńcu, drudzy po łąkach, inni jechali do tumu. Zamęt coraz był większy.

Od Mieszka się zaczęło, a teraz już dla Kaźmierza groźnym się stało. Okrzykiwano go



wczoraj, teraz zabierano się kłąć, iskry tylko było potrzeba, aby ziemian, utratą praw zadraśniętych, do reszty zburzyć. Stach, lepiej znający niektórych z Krakowian, próbował wstrzymywać i upamiętywać. Ale, gdzie tam! Sprawa była wspólna, umysły się zapalały, ani już było mówić z nimi. Jedni biegli do Gedki, drudzy do arcybiskupa Zbysława, inni gromadzili się do kupy i już radzili, kogo sobie nowego mają wybierać. Biskup Gedko od rana był na zamku. Od pierwszej chwili postrzegł, na co się zaniósło, ale miał nadzieję powagą swą hamować.

Starszyzna Wielkopolska naprzód nie do niego, ale się posunęła do arcybiskupa. Staruszek im odpowiedział, że o niczym nie wie i odprawił ich do Gedki. Zrazu iść do niego nie chcieli, potem kilkunastu się ich wybrało, poszli.

Biskup, postrzegłszy ich przybywających, wiedział już, co z sobą nieśli. Dość było popatrzeć na nich, by postrzec, iż tak w piersiach wezbrało, że ledwie donieść mogli, buchały im słowa jak kipiątek z garnka. Wcisnęli się wyprzedzając i popychając, twarze rozgorzałe, oczy zaiskrzone, włosy porozrzucane, usta drgające. Gedko, który zawsze panem był siebie, w chwilach stanowczych umiał się oblec powagą, która onieśmielała. Nie okazał wcale, iż się gniewów domyśla, przybrał twarz pogodną, błogosławił, uśmiechał się.

Wtem razem trzech głos zabrać chciało.

Wskazał, wybrawszy jednego, starego Rolę, aby przemawiał za innymi:

— Pomaleńku, po jednym, moje dzieci.

Trochę ich to otrzeźwiło. Rola posunął się naprzód, lecz gdy już mówić zaczynał, głos mu tak drżał ze wzruszenia, iż go zrozumieć nie było można.

— Pomaleńku — powtórzył biskup. Rola odetchnął, kaszlnął, zaczął:

— Przyszliśmy tu jak dzieci do ojca, po sprawiedliwość i miłosierdzie, których już na świecie nie ma.

— Ano, i prawda — zawołali inni za nim — nie ma!

— O co wam idzie?

— Książę nam samowolnie chce narzucić pana, tego, którego wy, ojczy, wymietliście precz z Krakowa, bo ze skóry darł ludzi z Kietliczem. A myż nie boże stworzenia? Nasza skóra nic niewarta? Za co my cierpieć mamy i jeszcze się wstydać? My go nie chcemy!

— Nie chcemy! Nie chcemy! — zakrzyknęli wszyscy. Gedko słuchał podparty na rękę.

— Ja — odrzekł powolnie — ażeby to stanowczo postanowione być miało, nie wiem. Ano, gdyby tak było?

— Nie chcemy! — zawołali Wielkopolanie.

— Posłuchajcież no — rzekł biskup. Uciszyło się.

— Gdyby tak było — dodał — dzieci moje, cale inna rzecz Mieszek w Poznaniu, a Mieszek w Krakowie.

Zakrzyczano, biskup mówił dalej:

— Tak, tak, dzieci moje, bo Mieszek w Krakowie był panem zwierzchnim i czynił, co

chciał, a na skargę pójść nie było do kogo. Ten sam Mieszek u was nie może czynić, tylko to, co mu Kaźmierz pozwoli. Gdy mu każe Kietlicza precz odpędzić, musi go odegnąć. Widzicie, że sprawa zupełnie różna. Wiecie dobrze, że ja Mieszkowi nie sprzyjam, bom pomógł go z Krakowa

wysadzić, tego się nie zapieram. U was on panem nie będzie, ale włodarzem.

— Ho ho! — począł drugi, Skóra, jeden z najgorętszych. — My to od razu wiedzieliśmy, że

miłość wasza potraficie nam, prostym ludziom, tak rzecz postawić, jak zechcecie. Na to ojcowie duchowni uczą się poza granicą, aby nam nieukom umieli oczy zaprószać. My, prawda, w księgach nie czytamy, językiem tak nie umiemy obracać, jak księża, ale u nas co krzywo, to krzywo, a co prosto, to prosto — i koniec.

Gedko, dostojnik wielki, pan możny, obraził się mową zuchwałą.

— Śmiecież wy mnie, pasterzowi, wyrzucać, jakobym ja was fałszem chciał karmić? A

wiesz ty, co popełniasz, zuchwale targając się na mnie?

Uderzył się w piersi i cały jakby purpurą oblał. Skóra popatrzał nań, ale że biskup nie jego był, nie bardzo się strwożył.

— To już, co człowiek myśli, mówić nie wolno? — zapytał.

Drudzy, obstając za nim, szemrali też. Biskup, choć się hamował, uczył potrzebę okazać

gniew i oburzenie. Nie pobłażał nigdy oporowi władzy swej i nieposłuszeństwu. Wyprostował się i począł głosem uroczystym:

— Chcielibyście wy, sami tu już, bez książąt i bez nas gospodarzyć?! Sami sobie panów

dawać, prawa stanowić, dogadzać wymysłem? Ojcowie duchowni wam już za nic? Ano, wspomnijcie, że jakeśmy wam dali skosztować swobody, tak jej i przykrócić potrafimy. Odetchnął Gedko i spoczął nieco, oglądając się po ziemianach, którzy wzrokiem między sobą naradzali się.

— Chcecież, aby Mieszek bezdomny — dodał biskup — nam i wam, siedząc na granicy, wiecznie pokoju nie dawał, warcholił i spiskował? Przecie go gdzieś osadzić potrzeba.

— Ano — zawołał Skóra hardo — mieście go sobie, gdzie wola i łaska, byle nie u nas!

— Nie u nas! — potwierdzili inni.

— My go nie chcemy!

— Uprze się pan Kaźmierz — dodał Skóra — my i Krakowian od niego odciągniemy, a to go spotka, co Mieszka!

Biskup uderzył nogą o ziemię.

— Śmiecie grozić, jemu i mnie! — krzyknął.

— Waszej miłości nie stanie się nic — odparł Skóra — a księżę Kaźmierz tak pójdzie z Krakowa, jako i Mieszek.

— Myślicie, że beze mnie i bez nas uczynić to możecie?! — gwałtownie począł Gedko. —

Wy byście sami nie mogli bez nas nic, nic! Mylicie się, zuchwali a krnąbrni, nie wy, ale my biskupi najwyższą władzą biskupa rzymskiego panujemy światu, my zrzucamy i sadyemy!

Skóra, na którego towarzysze patrzali przelękli, co na to rzecze, zamruczał tylko:

— Probowali my z biskupami, poprobujemy bez nich. Nasza natura taka, miłościwy ojcze: pozwól kurze na grzędzie, polezie ci wszędzie. Tak nas Bóg stworzył.

Nieprzystojny ten żart, który Gedkę do gniewu pobudził, ziemian stojących za Skórą

rozśmieszył, co poważnego biskupa bardziej jeszcze rozjątrzyło. Widział, że poszanowania dłań nie miano.

Groźno podniósł głos i palce do góry.

— Strzeżcie się, zuchwali, abyście nie ściągnęli piorunów na siebie i nie zostali wyłączeni z Kościoła, strzeżcie się!

Skóra stał, jakby go to nic nie obeszło.

— Tu o żaden kościół nie idzie — odparł — my biskupa w kościele słuchamy i słuchać

będziemy, dziesięciny dajemy, w ręce całujemy, ale tu sprawa inna. Tu o ziemię naszą idzie, a my sobie kołków na głowach ciosać nie damy. Nie!

Gromada, ośmielona, znowu poczęła potakiwać silnie. Gedko w gniewie rzucił się i na drzwi im wskazał.

— Idźcie do swojego pasterza, wy zuchwałe pyszałki, idźcie, ja z moimi Krakowianami sobie poradzę.

Skóra potoczył wzrokiem po swoich, dał znak, pokłonił się.

— Pochwalony Jezus Chrystus! I wyszli.

Zuchwalstwem tym i uporem dotknięty mocno, Gedko długo potem przyjść do siebie nie mógł. Sprawa przybierała rozmiary groźne, ziemianie krakowscy poczynali jawnie brać

Wielkopolan stronę. Kto się inaczej odezwał, zakrzykiwano go, że' rabem i parobkiem księżęcym był, a nie ziemianinem. Wielkopolanie całą ławą, dowiedziawszy się, że arcybiskup był w tumie, jedni pieszo, drudzy konno się wybrali do niego.

Arcybiskup Zbysław, choć na zjeździe tym i w sprawach krakowskich na oko wielkiego nie

brał udziału, choć niknął przy Gedce, niemniej był czynnym od niego. On to sprawił, że Ottonowi dając Poznańskie, Kaźmierz Gniezno dla siebie wyłączył. Całe inaczej działał arcybiskup niż Gedko. Ten szedł jawnie i głośno. Stary arcybiskup nie lubiący walki, niewierzący może w jej skuteczność, powoli, łagodnie działał i nieznacznie, choć niemniej dzielnie. Najczęściej drugim dawał hasło, a sam zostawał na stronie. Umysł to był niepospolity, rozum wielki, a skromnym milczeniem okryty.

Przez drogę do tumu, ćwierć mili, ziemianie czas mieli ostygnąć trochę, a niektórzy bardziej jeszcze się rozgrzać. Skóra radził nie ustępować i przy swym stać kamieniem.

— Jak my się im raz damy — mówił — to po nas. Albo my tu gospodarze, albo księża i księżęta. Duchownych my z sobą mieć chcemy, ale nad sobą — nie!

Wszyscy mu potakiwali. Część jedna Wielkopolan, ludzi przezornych, dawszy się większej

liczbie swoich wybrać do tumu, sama pozostała w Łęczycy, aby Krakowianom nie dać ostygnąć.

Chciano ich mieć koniecznie z sobą, aby Kaźmierzowi zagrozić. Zostali najgorętsi i dawszy sobie znaki, poszli między ziemian krakowskich, Mazurów, Sandomirzan, Lublinian, pozyskując ich dla swej sprawy. Tu im szło szczęściem różnym.

Krakowian, którzy zawsze byli dosyć butni, a nie mieli czasu się do Kaźmierza tak bardzo przywiązać, i siłę swą pokazać chcieli, łatwiej sobie od razu zjednali i utrzymali z sobą.

Sandomirzanie, przywiązani do dawnego pana, słuchać ich nawet nie chcieli. Główna waga była na Krakowianach.

— Co to wy — nawoływali Poznańczycy — mnichy jesteście czy klerycy, czy żaki, żeby wami biskupi i księża rządili?! Co wam Gedko powie, wy go zaraz słuchać macie?! Nie spodobał mu się Mieszek, wygnaliście go precz, a podoba mu się go sadzić na nasze karki, to wy mu będziecie pomagali?! Pamiętajcie, że biskupi nie wieczni, a z nami przymierze trzymać lepiej niż z nimi.

Podweseleni i siłą swą rozmarzeni Krakowianie, dosyć się na to godzili.

Jeden Mikołaj Lis, brat Pełki, dziekana krakowskiego, pan znaczny, umysłu przebiegłego, rozumu wielkiego, który niegdy na naukach we Włoszech z bratem bywał i tam się po różnych szkołach ćwiczył, na hałasy te głową potrząsał. Pomagał mu Chmara drwiąc z zapalonych.

Mikołaj mówił:

— Gdy dla lada czego panów zaczniemy mieniać raz w raz jak płochy dzieci, pośmiewisko z siebie uczynimy. Okaze się, że Mieszek, co nas żelazną ręką trzymał, praw był, bo dobrą wolą nic nie zrobi z nami. Sprawa to nie nasza, a Wielkopolan, co my mamy dla nich zrywać z panem dobrym, łaskawym, który nam ojcem jest?

A Chmara wtrącał:

— Nie macie słuszności, panie Mikołaju, trzeba coraz to z innego pieca chleba probować.

Wyrzucmy Kaźmierza, że dobry, weźmijmy sobie Leszka, który ledwo dysze, ten będzie lepszy, bo nie pożyje długo i znowu nowe sitko na kołek. A tu się ludzie przy tym pożywią, nowy pan, niejednemu kabat nowy. Mikołaj, jakby nie słyszał tych żartów, surowo przemawiał:

— Nie słuchajcie warchołów płochych; dobrze, żeśmy pod dachem, nie leźmy dobrowolnie

na słotę.

— Prawisz tak — przerwał mu Dobrogost z Tęczyna — bo i ty, i brat twój, co przy biskupie jest, oba biskupowi służycie, jego piosnkę śpiewacie.

— Nie — odparł Lis dumnie — ja nie służę nikomu, tylko własnej sprawie, gubić się naszej ziemi nie damy, i ja, i drudzy, co są ze mną.

— A wieluż was jest?! — zawołano z ciżby. — Policzcie się! Mikołaj, obejrzawszy się, w istocie mógł się przekonać, że był tak jak sam jeden, bo choć Stach niedaleko gardłował też za Kaźmierzem, i temu wytykano, że księciu i biskupowi służy. Stach zrywał sięgniewnie, ale na próżno. Mała garstka tych, co Kaźmierza bronili, pod strachem daleko znacznieszego tłumu tych, co rozgrzani, przeciw niemu wołali, coraz się uszczuplała. Zamiast nawracać, przemawiania Mikołaja i Stacha jątrzyły i do wybuchów pobudzały. Przychodziło do tego, że się już naprawdę naradzano, kogo na miejscu Kaźmierzowym posadzą. Nieliczni obrońcy księcia, strwożeni, rozproszyli się, nie wiedząc już, co począć. Chmara jeden, zszedłszy się ze Stachem na uboczu, śmiał się.

— Niech bo się wykrzyczą — mówił — pójdzie im to na zdrowie. Z hałasu tego, jako żywo, nic nie będzie. Gdzie który guza oberwie, dzbanek jaki stłuką, a żeby się mieli na księcia albo na biskupa porywać — e, do tego daleko!

— Zbyt ufnym być nie można — odparł Stach — coś radzić trzeba.

— A najlepiej nic — rzekł Chmara — jak się im nikt przeciwiać nie będzie, wyszepczą się jak raki. Miły Boże, ja ich znam! Gdyby ich biskup nie prowadził i nie zmusił do wystąpienia, oni byliby i na Mieszka krzyczeli, a nie zrobiliby mu nic.

— Teraz do prowadzenia — rzekł Stach — mieć będą za- miast biskupa, braci z Tęczyna, którzy Kaźmierza nie lubią, znajdą i innych. Zawierucha łatwo się zerwać może.

Pobiegł tedy Stach, Chmarę porzuciwszy, aby gdy sam nic nie zdołał zrobić, pilnować przynajmniej, co się gdzie będzie działo.

Ten sam Gąsior, co w Sandomirzu tak za Kaźmierzem obstawał, podbudzając ku obronie jego, znalazł się i tu ze swą gębą wyprawną, ale już inaczej śpiewał, na Kaźmierza powstawał i ziemianie go pilno słuchali.

— A dawnożeście to — przerwał mu Stach — w Sandomirzu Kaźmierza na rękach nosić chcieli, gardłując za nim. Cóż wam uczynił, iż nań szczujecie teraz?

— Co?! Jeszcze się pytasz?! — zawołał Gąsior. — Co uczynił?! On tu sobie myśli panować bez ojcyców, a ziemię rozdawać, jak mu się zamarzy?! Niedoczekanie jego, z braćmi Wielkopolany pójdziemy, zrzucimy go, aby drugich rozumu nauczyć, Zrzucić! O książąt łatwo! Śmieli się niektórzy, Gąsior prawił:

— Jest w czym wybierać. Władysławowicza którego wziąć, Szlązaczki ubogie, będzie nam to służyło, jak zechcemy.

— Człowiecze! Ale cóż ci Kaźmierz winien?! — wołał Stach.

— Co? mnie? Nic — rzekł Gąsior — a choćby i nikomu nie winien był nic, a gdyby nam trzeba było okazać, co ziemianie, ojczyce mogą? Ot tak, na grozę drugim; albo to coś nie warto? Wziął się w boki.

— My tu panami, nie kto! My! Znajcie nas, skurczybyki! Że beczki stały otworem, a czerpano z nich obficie, więc pod wieczór tak się zawzięło ziemiaństwo, iż bodaj na zamek już ruszać chciało, Kaźmierzowi wypowiadać posłuszeństwo. Huczano straszliwie. Około zamku przyboczna straż, Jaksa, Mikołaj Lis, Goworek, Żyra, Chmara i co było Kaźmierzowi wiernych, musieli stać, aby rozdrażnieni Krakowianie istotnie się do jakiego zuchwałego nie rzucili kroku. Gdy się to działo na zamku, Wielkopolanie do tumu śpieszyli, do Zbysława, który mało co jeszcze o wszystkim wiedział. Wyprzedził ich jednak wysłany przez Gedkę dziekan Pełka, brat Mikołaja Lisa, wioząc przestrożę, by arcybiskup starał się ziemian uspokoić, gdyż nader zuchwale sobie poczynali z biskupem.

Gdy się około tumu zjawiło poselstwo, arcybiskup w kościele był na modlitwie. Kazano im poczekać, rachując może na to, że ostygną. Potem, zasiadłszy uroczyście na tronie dla siebie przysposobionym, w płaszczyku złocistym (jaki wówczas nosili biskupi), Zbysław wpuścić ich kazał. Gedko powagą swą, postawą, powierzchownością pańską mógł wrazić ludziom uszanowanie.

Arcybiskup świętobliwy, pobożny, spokojny starzec, nie unoszący się nigdy, trzymał zawsze owieczki swe w tej odległości od siebie, iż sporu z sobą nawet nie byłby dopuścił.

Wiedząc już o rozdrażnieniu, przyjął wchodzących po ojcowsku. Skóra, któremu się powiodło z Gedką, pierwszy wystąpił ze skargą, narzekaniem, a nawet i groźbą.

Wszystkiego tego Zbysław wysłuchał cierpliwie, nic nie odpowiadając. Wreście Skórze i towarzyszom przebrało się narzekań, chcieli posłyszeć słowo pasterskie, poczęli się łokciami trącać, nakazując milczenie i zamilkli.

Zbysław namyślał się długo.

— Nowe mi rzeczy prawicie — odpowiedział. — Mnie to też równie, jak was, obchodzi.

Kto w Poznaniu, ten i w Gnieźnie będzie panem, a ja bym rad siedzieć, Boga chwalać, spokojnie.

Kto to wam powiadał? Czy wam to objawił książę?

Spojrzeli po sobie.

— Gadają wszyscy, huczą, trąbią — rzekł Skóra.

— Lecz skądże to wyszło? — rzekł arcybiskup. — Bo ja o niczym nie wiem. Żeby to prawda być miała, pobożny, dobry pan nasz, Kaźmierz, przed ojcem swym duchownym, przede mną, który tu przecie pierwszym jestem, coś by o tym powiedział. Kto wam to przyniósł?

Skóra i inni żwawo się z sobą zaczęli sprzeczać.

— Dobromir.

— Jako żywo, nie ja! Klnę się!

— Sławek.

— Jam się od Mirosza dowiedział.

Po nici porwanej do kłębka dojść nie było podobna. Arcybiskup czekał, aby się to wyjaśniło, a wyjaśnić się nie mogło.

— Moje dzieci — rzekł — prosta rzecz, potrzeba czekać z radą, aż się to okaże prawdą. Za cieniem gonić — dziecinna sprawa.

— Pełen zamek tego! Powtarzają wszyscy! — wołano niecierpliwie.

— Cóż z tego? — odparł Zbysław. — Rozumny człek, nim uwierzy, czeka, aż posłyszysz z



takich ust, co u źródła były.

— Biskup Gedko nie zaprzeczał! — zawołał Skóra.

— A upewniłże was, że to prawda?

Zaczęli się sprzeczać, jedni utrzymywali, że upewniał, drudzy, że tylko przypuszczenia bronił. Sprzecзка taka urosła między przybyłymi, iż się ku sobie sunąć zaczęli z wołaniem wielkim.

A biskup ich uśmierzał i do zgody nakłaniał. Mimo to rozdwoili się i z jednej gromady dwie urosło.

Zbisław rzekł im w końcu:

— Nie ma nic, nie wiemy nic, gdy się dowiemy, że nam istotnie grozi niebezpieczeństwo, poradziemy sobie na nie. Jam pasterz wasz, nie dam was na wilcze zęby. Nie rozpaczajcież przed czasem, nie zrywajcie się, gdy nie ma czego. Pokój z wami.

I pobłogosławił:

— Z Bogiem idźcie, dobrzy ludzie, z Bogiem! Poprzestać musieli na tym. Chciało się im ujadać jeszcze, nie mieli z kim, więc wychodząc sami z sobą spierali się zajadle, skąd tę wieść mieli, kto ją pierwszy przyniósł. Dośledzić nie mogli.

Cała ta wyprawa do tumu spełzła na niczym. Ziemianie, na powrót do zamku ćwierć mili idąc i jadąc, sprzeczali się ciągle, a u wrót stanąwszy, znacznie ochłodli. Tu na nich czekali Krakowianie i reszta swoich, którzy, gdy sprawę zdawać przyszło, poplątali się. Posły nie umieli się wytłumaczyć, dlaczego wszystko spełzło nadaremnie i nic nie przynieśli z sobą. Wszyscy jakoś czuli się jak zimną wodą oblani. Pomęczeni byli, gardła pozasychały: zaczęli się rozchodzić. W

usposobieniach jednak nie zaszła zmiana, stano przy swoim. Krakowianie się odgrażali, wtórując Wielkopolanom, choć nie tak już żwawo.

Na zamku, gdzie książe ze swymi bratankami siedział, od rana już gotująca się burza była widomą. Gedko się nie pokazywał, aby go nie pytano, a warcholących, choć się o to upominali, nie przypuszczał do siebie. Chciał im dać czas do rozmysłu i upamiętania.

Bolko, który wszystkiego był przyczyną, chodził wielce posępny. Szło mu o poparcie sprawy Mieszka, nie z miłości dla Kaźmierza, ale z własnej rachuby. Chociaż winien mu był zgodę swą z braćmi i przyjaznego udawał, Bolko sprzyjał Mieszkowi w tym, już aby się go pozbyć z Raciborza, już aby zawczasu z nim umówiony zamach przyprowadzić do skutku. Oba oni

Każmierza zwali po cichu przywłaszczycielem. Mieszko szląskim bratankom połowę państwa dać obiecywał, jeśli by Kaźmierza wygnać się udało.

Ażeby tego dokazać, potrzeba było wprzód, choć kłamaną pokorą, zdobyć Wielkopolskę, a potem jawnie powstawszy, iść ze szląskimi na Kraków. Spisku tego prawy Kaźmierz ani się mógł domyślać, ani on posądzać. Korzono się przed nim, uznawano władzę, kłaniano mu się, aby z rąk jego broń wyrwać, z którą się na niego miano obrócić. Kaźmierz tymczasem ubolewał nad nieszczęśliwym sprawą wielkopolskiej obrotom i myślał, jak złagodzić rozdrażnienie, a Mieszka zaspokoić. Chciał mu oddać Poznańskie, nawet Gniezna nie zachowując dla siebie, byle sumienie uspokoić.

Gdy siedzieli tak w izbach zamknięci, ten i ów przybiegał z doniesieniem, co się między ziemianami działo. Mikołaj Lis, Chmara, stary Żyra, który przybył z Leszkiem, wysuwali się po kolei w podwórca i wracali donosząc, co słyszeli. Choć każdy inaczej to rozumiał, a Chmara wszystko w śmiech obracał, zaprzeczyć nikt nie mógł, że umysły były wzburzone. Mikołaj otwarcie księciu wyznał, że mu zrzuceniem grożą.

Gdy jedni się oburzali, drudzy trwożyli, Bolko, który piwa tego nawarzył, choć chmurny chodził, w duszy się wcale tym nie martwił może. Dogadzały mu i niepokój, i zniechęcenie ludu do Kaźmierza. Ciężki ten, powolny, na pozór nieobrotny Szlązak, na pół Niemiec, chytrzejszym był, niż się wydawał. Nie mówił nic, śledził wszystko, oczyma chodził po twarzach. Otto, który zasłyszał już o tym, a odzywać się nie śmiał przeciw ojcu, bo Kaźmierz mu usta zamykał, siedział w kącie, starając być niewidocznym. Wielkopolanie jego sprawę popierali, cieszyło go to, lecz okazywać radości nie było wolno. Między nim a Mieszkiem dawne zadrażnienie przeszło było w walkę otwartą, zgody z ojcem mało się spodziewał.

Z całego rodu książęcego jeden chory Leszek najobojętniejszym był na to, co się działo. Na pół dziecko jeszcze, bawił się wrzawą, głosami, widokami nowymi i twarzami. Tęskniło mu się za Płockiem jednak, nudziło chwilami w poważniejszym towarzystwie i gdy mu się oknami wyglądać sprzykrzyło, chodził od jednego do drugiego z książąt, tego za miecz, tamtego chwytając za sprzączkę, za pas, dopytując, skąd je mieli, chwalać fraszki, zabawiając się lada czym.

Na twarzy Kaźmierza wielka radość z dokonanego prawodawstwa ustąpiła zniecierpliwieniu i podrażnieniu. Wysyłał coraz kogoś, aby mu przyniósł wieść, co się tam działo. Jedni straszili do zbytku, drudzy nadto lekceważyli. Z okien widać było miotanie się tłumów, zbiegowiska, pochód do tumu, narady i spory wrzawliwe. Wieczorem wręście na drodze od tumu ukazał się jadący ku zamkowi orszak arcybiskupi.

Wielkopolanie, zobaczywszy go, uradowali się. Witano po drodze milcząco, z

uzanowaniem, nie wątpiąc, że w sprawie ich jedzie. Tak było w istocie. Poprzedzali go Cherubin poznański i Onolf, biskup kujawski.

Naprzeciw wyszedł Kaźmierz, chcąc wprowadzić Zbysława do izby, w której wszyscy siedzieli. Ten posłuchania osobnego zażądał. Szli więc on, Gedko i dwaj biskupi z Kaźmierzem na przeciwną stronę. Gedko, nie mogąc zajścia z Wielkopolany zapomnieć, mocno był poruszony.

— Sprawa to jakaś nieczysta — odezwał się na wstępie. —

Ktoś ich poburzył. Nigdy ja Krakowian moich tak rozpalonych nie widział, choć się to ich nie tyczy.

— Trzymają wszyscy razem — rzekł Cherubin — i do mnie przybiegali niektórzy z bolem i skargą.

— Ano nie z odgrózkami przecie jak do mnie Wielkopolanie wasi — przerwał Gedko.

— Cóż tu czynić? — zapytał ksiązę. Zbysław odezwał się spokojnie:

— Przecież nie głośzono o tym, nie mówił ksiązę, nie oznajmywał żaden z nas — ludzie sobie pletli. Dziś, gdy się burzą, dalej posuwać sprawy nie można, trzeba ją pokryć milczeniem i uspokoić ich. Czasowo wszystko zawiesić, bo i pora, i miejsce do roboty najgorsze.

Ksiązę westchnął.

— Rzucać bym myśli nie chciał — rzekł — dałaby pokój i zgodę.

Arcybiskup odpowiedział:

— Zostawcie to dogodniejszemu czasowi. Kietlicza wspomnienie nadto jeszcze żywej niech się to zatrze. Jak kamień w wodę rzućcie myśl Waszą miłościwą. Niceście nie ogłaszali, odwoływać nie potrzebujecie.

— Nie chcę, by Mieszek mnie przypisał to, iż go odpychają — rzekł Kaźmierz.

— Świadków mnogich macie tego, co się działo — odezwał się Zbysław — przeciw wody płynąć nie można; czekać musicie!

— A — rzekł ksiązę smutnie — czekanie to dla mnie ciężkie i boleściwe, walka ciągła, niepokój wieczny, bo Mieszek nie da się uspokoić. On czekać nie będzie.

Wtem Gedko przerwał:

— W walce tej, jeśli ją wznowi Mieszek, Bóg sprawiedliwy, może się on doczekać kary i końca. Sił nie ma do niej, skończy się z nim jak z Władysławem.

— Dano im Szląsk. — rzekł Kaźmierz — Mieszkowi bym oddał chętnie jego dzielnicę.

— Dziś nie pora! Nie pora! — zawołali razem arcybiskup i Gedko.

Narada, na której w istocie mało co uradzono, dość długo trwała. Książę wyszedł z niej, uległszy duchownym, którzy zgodnie głosowali, aby dalej Mieszka sprawy nie popierać.

Arcybiskup, na którego wóz czekał, otoczony Wielkopolanami, do domu powracał. W progu Skóra stał i inni.

Zbyć ich teraz niewiadomością nie było już można, Zbislaw ukazał im twarz spokojną i rozgrzani Poznańczycy nic z niej poznać nie umieli. Siadał już do wozu z kapelanem, gdy Skóra ze swymi przystąpili cisnąc się.

— Ojczy miłościwy — spytał Skóra — cóż z nami?

— Ano nic, moje dzieci, nici

— Prawdaż o Mieszku?

— Ani prawda, ani fałsz — rzekł Zbislaw.

— Była może o czymś podobnym mowa dla uspokojenia państwa tego, ale książę nikomu gwałtu zadawać nie myśli.

Posłyszawszy to, ci, co się skupili u wozu, poczęli powtarzać, podając jedni drugim:

„Książę ani myśli, ani myśli!”

Ośłupieli wszyscy. Skóra, który tak nadaremnie gardłował, głowę zwiesił. Arcybiskup tymczasem, żegnając na wsze strony, woźnicy dał znak, aby ruszył. Tłum rozstąpił się milczący.

„Ani myśli o tym” — szeptano dokoła.

— Ja bo zaraz mówiłem, że to baśń głupia być musi! — zawołał jeden.

Wszystkim ciężki kamień spadł z serca. Słowo arcybiskupie miało wielkie znaczenie; powiedział, że książę nie myśli o tym.

— To te skurczypałki, plotkarze, niecnoty wydumali, z palca wyssali, aby tylko ludzi z sobą poswarzyć — poczęli niektórzy. — A żeby znaleźć tego nicponia, co to zmyślił, zaraz by go na gałąź.

Drudzy, z dala zasłyszawszy o gałęzi, potwierdzali, nie wiedząc na kogo padł wyrok:

„Powiesić juchę, powiesić!”

A tuż Krakowianie ciągnęli dopytując, kogo i za co wieszają miano.

Narzekanie powstało powszechne na zwodliwe i złośliwe języki, potem na łatwowierność

ludzką. Jeden winą tego zamętu na drugiego zrzuczał. Spory się wszczęły, Krakowianie swojego pana bronić już zaczęli: — „Ale bo to nie mogło być, aby Kaźmierz, dobrotliwy, bogobojny pan, uczynił krzywdę taką.”

Gąsior wpadł z mową krzykliwą dowodząc, że to wszystko było sztuką książąt szląskich,

k którzy nie zapomnieli ojcowizny i w mętnej wodzie drugi może Oświęcim i Bytom chcieli złapać, albo i co więcej może. Skrupiło się więc na Władysławowiczach. Inni szukali winowajców różnych, koniec końcem po tym utrapieniu poszli się chłodzić i krzepić.

W głębi jednak tego na pozór uspokojonego tłumu, choć krótkie, powstanie w myśli przeciw

Kaźmierzowi zostawiło ślady. Obstawali i teraz przy tym, że ziemianie przy prawach stać byli powinni, nie dając sobą jak niewolnikami rozrządzać. Wszedł zaraz Chmara między swoich, aby zbadać, co się dzieje; wysunął się Mikołaj Lis. Postrzegli już zmianę.

— A co?! — zapytał Chmara szydersko. — Zrzucić by Kaźmierza, nieprawdaż? Nieźle by to było? Zabawilibyśmy się i łbów trochę twardych rozkwasili.

— Dajcie bo pokój — przerwano mu — wiecie, że bałamuctwo było. Wielkopolanie, niedorostki, baby długojęzyczne, wszystkiemu winni.

— A my, cośmy to tak wzięli do serca? — spytał Chmara. Milczano. Mikołaj karcił głośno:

— Warn, aby się komosić — wołał — nie patrzycie, czy jest czego! Wrzawy narobili, panu dobremu serce popsowano. Hej hej!

— Dobry pan! — zabrzmiały głosy. — Lepszego na świecie nie znaleźć!

— A kto mówi inaczej — odezwał się Gąsior — na gałęź! Ja zawsze go broniłem; nie było i nie będzie lepszego.

Ci sami, co go tylko co zrzucac chcieli, już znowu na rękach nosili. Wielkopolanom jednak została

jakaś wątpliwość.

Skóra zapamiętał, iż arcybiskup fałszu nie zadał plotce, radził być ostrożnymi.

— Na baczości się trzeba mieć — szeptał. — Plotki, plotki, a coś było. Pomacali, że się dziś nie uda, odłożą na jutro!

Za nim i niektórzy twardsi głowami ciężkimi potakiwali, ale ochoty wielkiej do warcholenia nie było.

Nazajutrz, gdy się już wszyscy, oprócz duchowieństwa, które jeszcze dla narad z sobą

pozostawało w Łęczycy, rozjeżdżać poczynali, i Kaźmierz z orszakiem swym z zamku wyciągnął, stały znowu tłumy z twarzami jasnymi, czapki podrzucając do góry, okrzykując go radośnie. Nie było prawie śladów wczorajszych waśni i zburzenia. Kaźmierz powracał zasepiony. Wiedli go z pokorą nieszczerą bratankowie: Bolko najuniżeniej szerokie schylając plecy, Otto łapiąc za kolana, Leszek uśmiechając się opiekunowi, rad, że do Płocka powracał.

Ziemianie z pocztami rozsypywali się po okolicy, spieszyli do domów, a którzy psy mieli z sobą, ku lasom dążąc, aby po drodze zapolować i rozruszać się. Niejeden westchnął myśląc, że z wiecu wracając, o przewód i pokarm u kmiecia się już nie będzie mógł upomnieć, aby nie być wyklętym. I brogi przy probostwach napędzały żalu, że po śmierci księży już się do nich dobrać nie można.

## VII

Stach z innymi powracał do Krakowa, choć uspokojony po trwodze, jaką miał o swojego

pana, niewesół jednak, przemyśliwając o pobycie w stolicy. Nie tak tu szło, jak by on był dla Kaźmierza pożądanym. Widział go co dzień pochmurniejszym, niespokojnym, zbladłym i zmęczonym, przypisując to, nie bez przyczyny, owej złej niewieście, która nad nim panowała. Byłby mu może inną jaką płochość a słabostkę przebaczył, tej niewiasty, którą miał za czarownicę, trującą go i czyniącą nieszczęśliwym, ścierpieć przy nim nie mógł.

Trwożył się tym więcej, iż od czasu, jak znikła z zamku, nie wiedział, gdzie się ukrywała, będąc pewnym, że w bliskości być musiała. Nienawiść miał do Niemca wysługującego się wdowie i popierającego ją u pana. On był przyczyną, że biskup ciągle napomnienia musiał dawać

upokarzające, że księżna Helena płakała, widząc męża coraz obojętniejszym, że życie Kaźmierza upływało w tych walkach z samym sobą, które kończyły się zwycięstwem Wichfrieda.

Stach też w Łęczycy, ocierając się pośród ludzi przybyłych ze Szlązakami, z Leszkiem i

Ottonem, wiele się podowiadywał rzeczy, które trwogę o losy księcia pomnażały.

Chociaż się zdawał utwierdzonym na Krakowie, spiski nań i zmowy nie ustawały. Ludzie

Bolkowi, popiwszy się, napowiadali, że stary Mieszek, Kietlicz i ulubiony syn książęcy Bolko nieustannie zajęci byli zabiegami jakimiś i przygotowaniem. Mówiono o wyprawianych ciągle tajnych posłańcach z Raci- bórza do Krakowa, na Pomorze i na Polesie. Kietlicz niedawno wrócić miał z Moguncji i Akwizgranu. Dla bliższych tajemnicą nie było, że Mieszek praw się swych rzekać nie myślał, poprzysiągł owszem, że choćby życiem miał przypłacić, dopominać się o nie będzie i odzyskać musi.

Stach więc nie bez przyczyny się trwożył. Już w Łęczycy posłuchanie sobie wyjednał u

Gedki i doniósł mu o tym, ale biskup zapewnił go, że ludzie więcej zmyślali, niż było, że niepokoić się nie miał czym.

Mierzwa wprawdzie, postawiony na straży, nic nie donosił, ale Stach miał go już za zdrajcę i w zapale swym dla księcia ofiarował się sam do Raciborza jechać, śledzić i wywiadywać. Gedko, któremu się przykrzyły doniesienia, zganił mu zbytnią obawę i podejrzliwość.

Wracał więc smutny, a pomnażała utrapienie myśl o tej nieszczęśliwej Jagnie, do której się przywiązał, jak do jedynej istoty, która bliższą mu była. Śmieli się z niego towarzysze, widząc go ponurym, a odgadując szydersko, co mu w Łęczycy sadła za skórę zalało. Nawykły do znoszenia drwin spokojnie, Stach już nic nie odpowiadał na nie lub się z nich pogardliwie uśmiechał.

W podróży do Krakowa książę polował po drodze, puszczała się z nim ochotnicy, aby

łowów użyć, po których tęsknili. Stach przy wozach zostawał, zobojętniawszy i na tę, dawniej miłą, rozrywkę. Sam on teraz w pokutniku biednym, starego wesołego nie poznawał Stacha. Jedyłą

pociechą dlań było, iż dla tego pana pracował, którego dobroci wielkiej życie był winien.

Myśląc o tym przez drogę a niepokojąc się, postanowił ze swego urzędu na zamku, który

mu teraz mniej był potrzebny, uwolnić się, aby mieć swobodę śledzenia „czarownicy”, czuwania nad Mieszkiem i pilnowania Jagny. Po tym, co słyszał w Łęczycy, nic mu już z głowy wybić nie mogło, iż Mieszka pilnować sam musiał, bo Mierzwa zradzał, a biskup zbyt był ufny w siebie i zaślepiony pozornym bezpieczeństwem.

Gdyby nie stary Chmara, wszystkich w drodze rozweselają- cy swymi żartami, cała podróż

zeszłaby była nudno. Kaźmierz jechał milczący a zadumany i dopiero zbliżając się ku

Proszowicom, niecierpliwość go jakaś ogarnęła. Rzucił za sobą obóz i ludzi i sam w pięć koni z Wichfriedem do Krakowa pospieszył. Stach i to przypisywał nieszczęsnej „wiedźmie”, która siłą nieczystą księcia do siebie ciągnęła.

Z innymi razem przy wozach zostać zmuszony, Stach późno w noc przybył na zamek, a tu

Kaźmierza jeszcze nie było, choć przodem wyjechał. Musiał więc gdzieś zwrócić i zabawić, a gdzie, łatwo się było domyśleć; Wichfried mu towarzyszył. W godzinę dopiero po wozach

Każmierz z nim zjawił się na Wawelu, gdzie nań Helena z synkiem od mroku oczekiwała.

Na zamku zastali kniazia Romana ruskiego z Włodimirza, stryja Heleny, który rad

Każmierzowi służył i u niego przebywał, spodziewając się z pomocą jego dostać więcej ziem na Rusi, gdzie się ciągle kniaziewie z sobą zadzierali, wyganiaли i waśnili.

Wesoły to był człek, a przynajmniej przed Kaźmierzem takim się okazywał. A że o

niewiastach mówić lubił i język miał tłusty, czasem ponurego rozbawił. Książę doń był

przywiązany i zawsze go witał rad u siebie. Książę Roman w sobolowym kozuchu siedział też czekając w przedsieni, przybycie więc weselsze się stało niż zwykle, bo Roman śmiech z sobą nosił. Poszli zaraz do ostygłej wieczerzy i do kubków.

Roman, druhowi swemu, widując go prawie zawsze zadumanym lub na rozmowach o

rzeczach smutnych z uczonymi, dowodził, że powinien był, te wszystkie myśli ponure w kąt

rzuciwszy, życia zażywać, niewiast sobie ku uciesze więcej przysposobić i biesiadników

ochotniejszych. Nie widząc na zamku, tylko podżyły orszak Heleny, śmiał się kniaź z tego obyczaju surowego i do poprawy zachęcał. Wesoły Rusin nawet wobec księżnej Heleny języka nie umiał powstrzymać, śmiech wywołując na jej blade usta.

Przybywszy na zamek, Stach, że już pora była późna, do dworku Jagny nie idąc, na górce

swjej nocował. Nazajutrz rano, zdawszy prędko skarbiec Rajcowi, pospieszył do Jagny.

Choć, mu na duszy było ciężko, nie mógł się wstrzymać od objawienia radości, gdy ją

zobaczył. Znalazł ją jak zawsze roztargnioną i niewesołą.

Przyjęła go rada, ale przede wszystkim o księcia pytać poczęła, o podróż, pobyt w Łęczycy i co się tam działo. Stach szeroko i długo opowiadać począł, nic nie kryjąc przed nią, przyznał, jakie z sobą wiozł utrapienie i niepokój. Nawzajem Jagna, pochyliwszy mu się do ucha, szepnęła z jakąś gorączkową niecierpliwością: — A ja już wiem, gdzie ona jest!

Domyślił się Stach, o kim mówiła. Nie pierwszy to raz uderzała go namiętność, z jaką Jagna wymawiała to „ona”. Oczy jej płonęły, brwi miała ściągnięte, twarz gorzała gniewem. Wszystko w świecie zresztą było dla niej obojętnym, tylko to, co Kaźmierza tyczyło, tak ją poruszało. Stach sądził, iż się tak przejęła jego przywiązaniem do księcia. Zwykle martwa i pogrążona, gdy wspomniała go lub Dorotę, zdawała się jakby od iskry zażegnętą.

— Wiem, gdzie ona — odezwała się tajemniczo. — Nad Wisłą stoi pod zamkiem wielkie



domostwo stare. Kupił je Wichfried, parkany pobudowano wysokie, wrota okuto. Tam jej nora.

— Skądże ty wiesz o tym?

— Ja? — odparła namyślając się trochę z odpowiedzią. — W niedzielę byłam w kościele u Świętego Wacława. Tęskno mi było, śpiewali księża, chciałam posłuchać. Weszła osłonięta niewiasta, której twarzy nie można było rozeznaczyć, ale ja ją poczuła zaraz. W kościele tak jak nikogo nie było, stanęła za słupami; nie widziała mnie. Odkryła potem twarz trochę, poznałam: ona była. Ja ją z ulicy znam. Wyszła potem oglądając się, ja w ślad za nią. Posadzili ją pod samym zamkiem, ażeby łatwiej się do niej mógł dostać! Dom zaparty jak pustka, ale czeladzi i stróżów dosyć.

Jagna poczęła chodzić żywo, powtarzając:

— Nie zbyć się jej stąd! Nie zbyć tej czarownicy przeklętej! Stach, rozpytawszy o położenie domu, aby sam mógł sprawdzić, gdzie była, opowiadał o tym, co się w Łęczycy działo. Jagna słuchała tak obojętnie, jakby nieledwie już życzyła, by go nazad do Sandomirza wygnano.

— Tuście wy mu szczęścia nie dali — rzekła — co mu po tym, że więcej ludzi się kłania?

Tam spokojny był, tu mu grożą, a ta wiedźma życie z niego wysysa! Wypędzą go, wróci tam, lepiej będzie.

— Nie wróci tam, nigdzie mu nie dadzą potem spocząć, jeśli stąd wygnają — odparł Stach.

— Będzie tak błdził po cudzych kątach, jak Władysław i Mieszek, odbiorą mu wszystko. Zginąć może! Bronić go trzeba — dodał — bo wszyscy ślepi, nawet biskup, a na niego znowy straszne!

Stach się zapalać począł, a Jagna mu przerwała:

— Naprzód go brońcie od tej złej pokusnicy, ta od Mieszka straszniejsza!

Po rozmowie z Jagną poszedł Stach na zamek, aby się ze służby przy skarbcu uwolnić.

Rajec, gdy do niego z tym przybył, uląkł się, zakrzyczał i rękami zatrzepał. Strach go ogarnął.

— A cóż ja pocznę bez was, niedołęga stary — zawołał — mnie i pana okradną! Nie dojrzę sam, a złych ludzi pełno, nie będzie komu powierzyć klucza! Jeśli wy pójdziecie precz, ja z wami chyba, bo nie podołam już.

Zagroził mu, że do księcia z żałobą nań musi iść.

— Ojciec mój — rzekł Stach, który starego kochał i szanował — na nic się nie zda skarżyć, bo ja muszę precz. Dali Bóg, powrócić mogę, służby się nie wzdragam, ale pilne sprawy mam i wy

mnie ani żadna siła nie wstrzyma. Teraz odpuście, a później, kto wie, mieć mnie będziecie.

Stary się uspokoił tym, chciał jeszcze nagrodę wyrobić u księcia dla odchodzącego dodając, że z rąk własnych Kaźmierza ją otrzyma, czym Stach przelektły, do nóg mu padł, aby tego nie czynił. Rajec nie wiedział już, co myśleć, gdy jak o łaskę zaczął go prosić, aby mu nic nie dawano.

Badał długo, rozpytywał, frasował się i nic z niego nie dobywszy, puścić musiał zapłakany.

Wymógł na nim Stach, że przed księciem wcale nie wspomni nawet o odprawie jego.

Wieczorem, gdy już zastępcę znaleziono, klucze oddawszy, Stachmroku przeniósł się do

dworku Jagny, która go przyjęła niezbyt rada i trochę pomieszana. Rosło w nim przywiązanie do niej i zajęcie jej losem, a w miarę tego dziewczę zdawało się stygnąć i coraz stawać mniej przystępnym.

Niedługo też natrętnym jej być miał, bo się zaczął wybierać w drogę. Potrzeba było

dowiedzieć się, co się z Mierzwą działo, który znaku życia nie dawał. Stach miał go w podejrzeniu i naocznie chciał się przekonać, co myślał i robił. Juchim utrzymywał, że o nim nie wiedział wcale.

Żyd, któremu bicie pieniędzy wydzierzawiono, dla Stacha, który do tego dopomógł, był z

poszanowaniem wielkim. Działo mu się dobrze, zdawał się też sprzyjać księciu, lecz i temu Stach nie bardzo ufał. W dworku skarbnego więcej coraz było życia i ruchu, ludzi się tam przesuwano dużo, zwożono kruszce w sztabach, rozsyłano drobne pieniążki worami.

Ile razy się tu Stach zjawił, przyjmowano go jako zwierchnika, któremu cześć i

wdzięczność należała. Na wyjeźdźnym zapragnął się z Juchimem rozmówić i pospieszył do niego.

Skarbny pospiesznie wystąpił na spotkanie, kilku swoich, z którymi miał coś do czynienia, spiesznie odprawił, kazał wina podać i z uprzejmością wielką gościa przyjąć się starał.

— Nie wiecie co o Mierzwie? — spytał Stach. — Od bardzo dawna nic od niego nie ma.

Juchim głową pokiwał z wyrazem jakimś wątpliwym.

— Nie daje o sobie znać — dodał przybyły — chyba gdy mu płacić trzeba.

Juchim milczał. Zdawało się, że oskarżać go nie chciał, a bronić się obawiał.

— Co wy myślicie — mówił dalej Stach — ważyłżeby się na zdradę?

— Miłościwy panie — odparł Żyd po namyśle — nic nie wiem, ale to człowiek biedny, a

bieda wiele może. Ma dużo dzieci, dużo bab, dużo nałogów. Kto wie! Kto go wie! Stach wiedział, że podejrzana rodzina Mierzwy, z różnych istot złożona, związanych z nim nierozgmatwanymi węzłami,

znajdowała się w Krakowie, zapytał o nią Juchima.

— Ich tu dawno nie ma — odparł Żyd — powywozili się do Raciborza.

Wszystko to było podejrzanym, a Żyd, któremu to wskazał Stach, nie zaprzeczał, nie bronił, zdawał się źle domysły potwierdzać milczeniem.

— Przysiągł nam, płacimy mu — mówił Stach. — Jeżeli niecnota zdradza, źle będzie z nim.

Po długim milczeniu Juchim odwrócił się do mówiącego.

— Miłościwy panie — rzekł — gdy baba garnek rozbity bierze i chce w nim gotować, a z garnka się poleje, ja nie wiem, czy baba winna, czy garnek. Ja nie wiem nic, co ja mogę wiedzieć, tylko to jedno znam, że Mierzwa był garnkiem rozbitym, a wasza miłość mogliście to widzieć.

— Samiście mówili za nim — odezwał się Stach.

Juchim długo pomyślał, zmarszczył się, zdawał chcieć przypominać i zakończył:

— I tego ja nie wiem. Za nikogo nie ręczę, nawet za siebie, miłościwy panie, broń Boże nieszczęścia. Człowiekowi skóra swoja droga.

Zbyty tak dwuznacznym powiedzeniem Juchima, Stach tym był niespokojniejszy. Ufał tylko

w swą dobrą gwiazdę, że mu się uda zasiąść gdzieś na czaty i choć miał do czynienia z bardzo przebiegłym człowiekiem, wysledzić go i podpatrzeć.

Myśląc o tym nazajutrz, jak się do Raciborza nie poznanym dostać, Stach szedł właśnie na miasto ku targowicy, gdzie była gospoda kupców cudzoziemskich. W chwili gdy przechodził, gromada ludzi skupiała się około dwóch Włochów z Lombardii od Werony, ze skrzynkami na plecach, z kijami w rękę, stojących pośrodku. Szedł naówczas już handel ten przez Alpy, nad Ren, skąd się dostawał do Frankonii, Erfurtu, Magdeburga, a stąd do Czech i do Polski. Lombardczycy przynosili drobne wyroby włoskie, pierścienie, łańcuszki, noże, korale, krzyżyki, rzeźby z kości słoniowej itp. Wędrowali oni czasu pokoju do Krakowa i głębiej.

Ci dwaj, którzy tu przybyli, z trudnością się porozumieć mogli z otaczającymi. Po niemiecku źle i mało mówili, a na razie nie było nikogo, co by im mógł za tłumacza służyć.

Po stroju ich poznawszy Włochów, których się napatrzył Stach, gdy swego pana strzegąc,

wędrował z nim w wyprawie do Mediolanu, zbliżył się ku nim.

Wielka była radość cudzoziemców, gdy swoją mowę z ust jego posłyszeli. Chwycili się go

blagając, aby im tu chciał być pomocą. Nie miał Stach nic lepszego do zrobienia, zabrał ich do domu swego. Po drodze już przyszło mu na myśl, iż zmówiwszy się z nimi, za wynagrodzeniem, mógłby jako Włoch przebrany wędrować do Raciborza. Prowadząc ich do dworku, począł już

rozgadywać się z nimi.

Młodszy z nich, Andreo, żwawy, rozmówny, śmiały, szczególnie przystał do Stacha. W

dworku izba się dla nich znalazła, a tuż za kupcami ludzie się poczęli cisnąć za kupią, szczególnie mieszczki ciekawe błyskotek, które Włosi zawsze z sobą nosili. Stach pomagał im służąc za tłumacza i pośrednika. U bramy na ławie postawiwszy krótki swe, Włosi targowali dzień cały, z wielką się oświadczać wdzięcznością dla opiekuna swojego. Jagna, przez okno tylko

popatrzywszy na to, co rozłożyli, pogardliwie się odwróciła. Nie dbała teraz wcale o to, co ją przystroić mogło.

Nim wieczór nadszedł, Stach się w myśli swej powędrowania z Włochami utwierdził

mocniej, nie wiedział tylko, jak to zagaić, nie obudzając w nich podejrzenia.

Z Andreą siedząc do późna, Stach, nalawszy mu wina, którego dawno nie pił, poufną zaczął

rozmowę, zwierając mu się, iż rozmiłowany był w pewnej niewieście, do której dostąpić nie mógł.

Włoch mu się naprzód za posła i pośrednika ofiarował, ale tego nie starczyło. Stach objawił mu myśl swoją, iż do miasta, w którym mieszkała, mógłby z nimi iść za kupca przebrany, a po drodze i na miejscu sprzedać by wiele dopomógł. Włoch, jak tylko się dowiedział, że o miłosną szło sprawę, z wielkim współczuciem się oświadczył i gotów był dostarczyć ubrania. Twarz ciemniejszą uczynić łatwo było.

Ręczęc za dobry odbył towaru na Szląsku, Stach oprócz tego ofiarował sowite

wynagrodzenie. Stała więc umowa nazajutrz i zejść się miano na gościńcu, który wskazał. Tam zmieniwszy odzież, wędrować z nimi miał do Raciborza. Jeden Żegiec, któremu Stach ufał,

wiedzieć miał o tym, przed Jagną nawet Stach nie przyznał się do tego, co przedsiębrał. Poszedł się tylko opowiedzieć jej, że dla spraw księcia i śledzenia obrotów Mieszka, jutro w drogę puścić się musi.

Jagna dosyć była rada zawsze, gdy wyjeżdżał, tym razem jednak spytała:

— A gdy cię tam poznają i pochwyca?

— Niewiele na tym straciecie — odparł Stach smutno — jam ci się wam nie przydał na nic, piąte koło u wozu.

— A bez was — rzekła Jagna — sama jedna na świecie. Gdy jesteście tu, trwożę się i przykro mi, gdy odejdziecie, niepokoję się.

— Jednak pójść muszę — odpowiedział Stach — a dali Bóg, powrócę. Jam tu ani mąż, ani sługa, przybłęda na łasce.

Uśmiechnął się gorzko.

— Inaczej z nami być nie może — rzekła Jagna — tylko żeście tu nie przybłęda, a bratem.

Ja w sercu trupa noszę, z nim by wam w nim jak w grobie było niezdrowo.

Główką potrząsała.

— Siostrą wam jestem dobrą, po co wam więcej?

Na to nie odpowiedział Stach, ale ujęty jej głosem tęsknym i okazaną przychylnością, nie zataił już, że z kupcami się chce dostać do Raciborza.

Jagna słuchała z uwagą, obcy ludzie byli jej podejrzani.

— Dwu ich jest, czarnych i strasznych jak zbóje, nuż cię zabiją — szepnęła.

— Na ich dwu mnie jednego będzie dosyć — śmiejąc się rzekł Stach. — Prędzej oni by się mnie lękać mogli, bez noża jednego i drugiego nie pójde, a na męstwie mi nie zbywa.

Tak się skończyła rozmowa, pożegnanie było chłodne znowu, choć z progu rzekła mu, że za nim tęsknić i niepokoić się będzie o niego. Stach i za to dobre słowo był wdzięcznym.

Drugiego dnia kupcy wyciągnęli do miasta i Stacha też nie stało; Żegieć pojechał go szukać niby i z niczym powrócił.

Gdy suknie włoskie wdział Stach i węzełek na plecy wziął, twarz nieco uczerniwszy, w

istocie trudno go było poznać. Andrea i Luca, dwaj jego towarzysze, którym dobrze z nim się działo, nie tylko złego nie myśleli, ale gotowi byli choć na najdłuższą wędrówkę. Poił ich, karmił, za tłumacza służył i do handlu wielce dopomagał. I to też dla nich coś było warte, że się z nim przez drogę o nieznanym kraju rozgadać mogli. Po dworach i osadach pomniejszych nie było się po co zatrzymywać, zamków na gościńcu nie spotykali i pieszo powoli się tak wlokąc, na ostatek i

raciborski gród ujrzeni.

Bolko opuścił go był i dał na mieszkanie staremu stryjowi, który tu ze trzema synami

przebywał. Prócz Mieszka nie było nikogo. Na podzamczu w mieście Włochy gospodą stanęły i Stach z nimi. Jako cudzoziemców, z których jeden ledwie coś języka rozumiał, nie strzeżono się ich wcale. Stach postrzegł zaraz, że nie potrzebując wiele, nasłucha się dosyć. Gospoda, w której się zatrzymali, była razem karczmą dla ludu, w której miód i piwo sprzedawano. Zachodziło do niej różnej gawiedzi wiele, szczególnie z zamku i z tych, co do niego przybywali. Rozmawiano o Mieszku, o jego obrotach, o dworze, o posłańcach, jakby naumyślnie dla tego, który pilnego nadstawiał ucha.

Na zamku panował ruch, z którym się nie tajono. Ludzie jacyś, kupkami ściągani,

przychodzili ze Szląska i Wielkopolski. Uzbierać ich miano. Konnych gnano w różne strony. Włosi się wyprzedawali, Stach podsłuchiwał. Gdyby nie Mierzwa, który na zamku mógł się znajdować, i tam by był z przekupniami się wcisnął. Szczęście mu jednak posłużyło lepiej, niż się spodziewał, choć nierychło. Cały jeden dzień na ławie przesiedziawszy, drugiego, gdy trochę z gospody się wychylił na gościniec, chcąc ku zamkowi rzucić okiem, postrzegł jadącego człeka, którego dobrze znał.

Był to Barwin, skarbnik Mieszka terażniejszy, który w Krakowie matkę mając i siostry,

często tam bywać musiał, a na- wet się w służbę do Kaźmierza chciał wprosić. Stacha do tego używał, by mu pomógł, bo Mieszkowi tylko z musu i mimo woli służył. Nie dowierzając mu, zbyto Barwina niczym, choć Stach znał, iż go za swego prawie mógł liczyć. Na Stachu on polegał, że się prędzej, później do Krakowa do rodziny dostanie i chleb znajdzie.

Nim się namyślił, co miał począć, dać się mu poznać czy nie, Barwin, który bystre miał oko, już go zobaczył, bo strój obcy uderzał. Nie chciał uciekać Stach, aby się nie zdradzić, dał mu więc przystąpić blisko, stanąć i zapatrzeć się.

Barwin, nie będąc pewien swego, choć miał podejrzenie, do gospody wszedł, z Włochami

trochę pobełkotał, bo coś niecoś języka ich rozumiał przez łacinę, i zaraz w podwórze, gdzie Stach siedział, powrócił. Zaczepił i jego z włoska, spojrzeli sobie w oczy, głos zdradził: poznał go.

Z ciekawością wielką Barwin na stronę mniemanego kupca odciągnął pytając, co on tu

myślał i z czym przybył, a dokąd się udaje. Trzeba było śmiałością nadrobić i coś ważyć. Stach mu więc odpowiedział naprzód pytaniem, czy chce do Krakowa się dostać i mieć urząd, o który się starał.

— A! Rad bym się stąd wyrwał jednej godziny! — zawołał Barwin.

— Nie zdradźcież mię i posłużcie — rzekł Stach, biorąc go za rękę — ja wam ręczę, że nie pożałujecie.

Słuchał pilno skarbnny.

— Czego chcecie? Mówcie, wasz jestem!

— U was się coś gotuje? — zagadnął gość. Barwin głową potwierdził.

— O tym wróble na dachach wiedzą — rzekł.

— Cóż robi Mierzwa? — badał go dalej.

— Służy wiernie dawnemu panu — mówił skarbnny — o tym też dawno wiedzieć

powinniście. Ściągnął tu do siebie rodzinę i mienie, a czasem się tylko do Krakowa wymyka, aby stamtąd języka przywiózł.

— Dobrze i to wiedzieć — rzekł Stach. — Ano, teraz idzie mi o to, abym się z nim nie zetknął, bo mnie pozna i wyda.

- Nie spotkacie go teraz — odparł Barwin — bo go posłano do Poznania czy Gniezna i dziś dopiero nocą powrócić może.

— Cóż wy tu sposobicie? — pytał Stach dalej.

— Chyba o tym musicie wiedzieć — mówił skarbnny.

— Nie wiem nic.

— Byliście w Łęczycy?

— Byłem ci.

— Stamtąd ksiązę Bolko wrocławski, który Mieszkowe listy woził do zgody z Kaźmierzem, przyniósł nam dobre wieści.

— Jako dobre? Co wam w głowie? — przerwał Stach.

— Jużci dobre — rzekł Barwin — kiedy ksiązę Kaźmierz dla pokoju i zgody Poznań mu oddaje.

— Ależ tam Otto siedzi!

— Z nim się jakoś poładziemy — ciągnął skarbnny dalej — Bolko nam zapewnienie przywiózł, że Gniezna i Poznania Mieszkowi nie będą odbierać, byle je sobie wzięł!

— Jako? Nie może być — zawołał Stach — bajdy wam prawiono! Wszakże Poznańcy, zasłyszawszy, iż im Mieszka dać chcą, o mało buntu nie podnieśli!

— My i to wiemy — odparł Barwin — ale Poznańcy w Łęczycy, a na swoich śmieciach

— inni są. Mniejszych ziemian Mieszek wszystkich ma za sobą, bo ci starszyźnie zazdroszczą, a liczbą ją przenoszą.

Słuchając Stach słupiał.

— Nie może to być chyba! — zawołał. — Kłamstwa jakieś są i zdrady w tym. Czyżby

książę Kaźmierz Gniezno, które trzyma sam, i Poznań dany Ottonowi miał oddawać dobrowolnie?

Komu? Bratu, który go słuchać nie będzie?

— Tak jest — rzekł skarbnik — my to wiemy, że umowa potajemna stanęła, o której u was

w Krakowie mówić waram. Kaźmierz się na to zgodził. Co potem z tego wyrośnie, nie moja rzecz.

— Wyrośnie to, że Kaźmierzowi przez wdzięczność Kraków zechce odbierać! — krzyknął

Stach zapominając się.

— Miejcież się na pieczy — dodał Barwin.

Rozmawiali dłużej, Stach chciał wątpić o tym, co słyszał, lecz dowody były mocne.

Zatrwożył się więc i począł myśleć, co mu trzeba było czynić. Zmierzchało już, gdy razem z Barwinem poszli ścieżkami jemu znanymi, na których spotkać się nie obawiano nikogo, ku

zamkowi. Tu na własne oczy mógł się Stach przekonać, że wielkie przygotowania do wyprawy czyniono.

Mówiono głośno o pochodzie do Gniezna.

Barwin opowiadał, że Kietlicz, przodem tam odprawiony, opatrzył zamek i opanowanie go miał ułatwić, Mierzwę z czymś posłano do Poznania.

Stach, jak ukropem oblany, czekać już tu nie miał czego. Nie mógł pojąć dobroduszości

Kaźmierza, który na siebie oręż dawał nieprzyjacielowi. Trzeba było z wiadomością o tym pospieszać do biskupa.



Barwina więc musiał zjednać sobie, aby mu konia dostarczył nocą i sukni innych, gdyż włoskie zrzucić miał w gospodzie. Skarbny, chcąc go sobie pozyskać, na wszystko się godził. A że Mierzwy o mroku nie obawiał się, choćby powrócił, wcisnęli się więc małą furką na gród do środka. Zamku nie bardzo strzeżono. Mieszek tak się czuł bezpiecznym tu, iż bramy stały otworem. Żołnierzy było dosyć. Weszli więc nie postrzeżeni pomiędzy czeladzie. Synowie Mieszka właśnie w podwórzu konie sobie wybierali, Stary siedział na ławie w podsieni i przypatrywał się milczący. Na wszystkich twarzach radość i ożywienie widać było wielkie. Stach jeszcze z Barwinem stał za ścianką w podwórzu, gdy z pośpiechem wielkim wpadło na zamek kilkanaście koni. Kietlicz powracał z Gniezna.

Wstał, idąc przeciw niemu, Mieszek, rozmowa poczęła się głośna. Niepocześnie odziany dla niepoznaki Kietlicz, zasapany jeszcze, donosił panu, iż arcybiskupa w mieście nie było i ludzi na zamku mało, tak że zniecka napadłszy we dnie, gdy się najmniej pilnowano, łatwo gród ubiec było. Zaczęto się na głos z siłami liczyć, dnie rachować. Jeszcze Kietlicz stał rozpowiadając, a Bolko, starszy syn księcia, ra- dośnie wykrzykiwał i w ręce bił, gdy i Mierzwa się we wrotach zjawił, powracający z Poznania. Stach skrył się ostrożnie, obawiając lisiego oka jego, ale nie ustąpił. Barwin go i mrok osłaniał.

Mierzwa wprost z konia podszedł z pokłonem do kolan pańskich, zaczął coś szeroko, wywijając rękami opowiadać, ale mowy jego dosłyszeć nie było można, bo schryplym głosem, kaszlem przerywanym, niezrozumiale bełkotał. Z dala widzieli tylko, jak się, wedle swego zwyczaju, to po twarzy tarł, to na palcach coś liczył, to w różne strony ukazywał. Mieszek i Kietlicz mocno nacierali na niego, bo długo sprawę im zdawał z tego, co przynosił. Na twarzach widać nie było, aby nowiny, które przynosił, złe być miały. Kilka razy Kietlicz się odezwał głośno:

— Ano, będzie, jak powinno być!

I tego dosłyszał Stach, jak gruby ów pański namiestnik do Mierzwy wołał:

— Ano, słowo mamy, że przeciw nam nie pójda, wojować nie będą, byleśmy wzięli sobie Poznań i Gniezno. Otto się bronić nie będzie ani się spodziewa.

Wszyscy trzej potem szli, Mieszek przodem, za nim Kietlicz, z tyłu Mierzwa, do zamku, za nimi młode książęta. Barwin tymczasem do swojej stajni zaprowadził gościa, konia z siedzeniem mu wybrawszy, opończę też własną przyniósł i dla bezpieczeństwa go za wrota wyprowadził. Rad, że

mu się dostać szkapę udało, Stach nie wybierał, patrząc tylko, aby młoda była, w czym się omylił, bo do spiesznej a długiej jazdy młodzież się na nic nie zdała.

Nigdy Stach powolnym nie był, paliło się w nim zawsze bez miary, teraz jak opętany, chwili nie tracąc, Włochów się datkiem zbywszy, puścił się pod noc w drogę. Myśląc i przemyśliwając nad tym, co na własne uszy słyszał, nie chciał temu uwierzyć, ażeby Kaźmierz dobrowolnie bratu oddawał Wielkopolskę. Sądził, że tę wieść puszczono umyślnie dla dodania żołnierstwu ducha.

Chciał dostać się w porę do Krakowa, aby zamachowi zapobiec.

Dotąd wiodło mu się szczęśliwie, teraz szło jakby na przekorę, ów młody koń Barwina,

szparki a gorący, sił wiele nie miał; rwał okrutnie z kopyta, a wprędce tak ustał, że choć go było w rękę prowadzić. Boki mu powciągało, jeść nie chciał i gdy się nad ranem na łące położył, zdawało się, że tam zdechnie. Zeszło więc czasu dużo nadaremnie, a gdy koń się trochę orzeźwił i można było znowu się na nim puścić w drogę, musiał Stach go oszczędzać, aby znowu nie zasłabł. Byłby go może rzucił gdzie po drodze, a innego szukał, ale się nigdzie stada nie trafiło spotkać.

Tak dłużej się daleko wlokąc, niż rachował zrazu, na koniu, z którego już nic nie miało być, bo ledwie dychał, dostał się do dworku nocą. Gdy się nierychło do wrót dostukał i stary Hreczyn sam mu otworzył, pierwsze pytanie jego było o Jagnę. Stary zabełkotał coś niewyraźnego, a potem dodał, że spać musi.

Poszedł Stach do swej izdebki, do której zbudzony Żegiec pospieszał. Było około północy i za późno, aby iść zaraz do biskupa. Musiał to odłożyć do rana. Gdy Hreczyn odszedł i sami we dwu zostali z Żegciem, Stach ponowił pytanie, co się tam działo z Jagną. Żegiec tylko ramionami ruszył.

— Wcześniej poszła spać — rzekł — bo zwykle do północksia siaduje, a tum jej, przybywszy, nie widział.

Nie było odpowiedzi.

— Gadajże! — przynaglił Stach.

— Co mam gadać, gdy nie ma o czym — odparł sługa i pomilczawszy, dodał — jej bo pono w domu nie ma.

Zerwał się Stach, jakby weń piorun uderzył, przyskoczył do sługi.

— Kłamiesz! — krzyknął. Żegiec dodał:

— A nie ma jej, sam widziałem, gdy wychodziła. Dotąd Hreczyn we wrotach czy w oknie czeka na nią.

— Wyszła sama?

— Sama.

— Dokąd?

— Któż ją wie! — rzekł Żegieć.

— Pierwszy to raz?

— Nie pierwszy — odparł smutnie sługa.

Przybity stał Stach: własne nieszczęście z pańskim pomieszało mu w głowie, bezwładny, odrętwiały padł na łoże, a Żegieć do nóg mu przyskoczył.

— Panku miły — począł — zlituj się, czego masz za tą dziewczką przepadać?

Odepchnął go Stach, marzyło mu się jednej godziny ze dworku wynosić.

Cisza była na mieście, noc ciemna, wtem Hreczyn do izby wpadł przerażony. Słysząc było dzwon z dala na Wawelu.

— Na mieście czy na zaniku ogień! — krzyknął. — Pali się! Łunę już na niebie widać!

Gore!

Z sąsiednich dworków z tym okrzykiem: „Gore! Gore!” ludzie wysypywać się już zaczęli.

Jedni wołali: „Ogień na zamku!”, drudzy: „Na podzamczu!”, niektórzy biegli na łunę. Stach bezmyślnie prawie chwycił się, jak stał, z pościeli i wybiegł za nimi.

Głuchy gwar słysząc było w budzącym się mieście, dzwony po jednym się odzywały, lud zwołując na ratunek. Coraz gromadniej bieżano ku pożarowi. W górze na obłokach krwawa

zarysowywała się luna, rosła, w karmazyn i rubiny się stroiła, a na jej tle kłębamii ciemny dym się zwijał, iskrami dziany.

Stach uląkł się, czy nie na zamku gorzało, ale gmachy jego sterczały ciemne na rozpalonej łunie. Ogień dalej i niżej gdzieś być musiał, właśnie w tym kierunku, gdzie się dwór Doroty miał

znajdować. Stachowi i to na myśl przyszło, że Kaźmierz mógł tam być, biegł więc, co miał sił, ku ogniowi. Lecąc, mijając ludzi, rozpychając tłum, potracany, zatrzymywany, torując sobie drogę gwałtem, gdy w ciasnym przejściu uczuł nagle dwie ręce, które mu się splotły i uwiesiły na szyi, krzyk potem straszny usłyszał i blada twarz spadła mu na piersi.

Była to Jagna z dzikim wyrazem na licu jakby obłąkana. Gdy ją miał pochwyć, dziewczęciu się ręce rozwarły i bez-

## VIII

Na zamku z rana czeladź na podsieniach zebrana o ogniu wczorajszym rozmawiała. Paliło się pod samym zamkiem, w domu Wichfrieda, w którym wdowa mieszkała. Sam książę z czeladzią biegł na ratunek, ale dwór spłonął mimo niego prawie cały, a z nim — mówiono — bogactwo wielkie. Wichfriedowi się nic nie stało, a książę przyrzekł mu i dom odbudować, i komory zapełnić znowu.

Ten, który opowiadał, okiem jednym pomrukiwał chytrze i szeptał bardzo cicho.

— A baba? — spytał jeden.

— Licho bab nie bierze — dołożył inny — z ognia czy z wody wyciągną je zawsze. Nic się jej nie stało. Wichfried ją wyniósł i zaraz do innego domu zaprowadzili.

— Sam książę tam był.

— Gadają — ciągnął pierwszy — że ją druga jakaś baba podpaliła z zazdrości, widzieli ją, jak uciekała. Gorzała, słyszę, na niej odzież i włosy.

— Podpalono tęgo, na cztery rogi.

— Gdyby nie chowany kruk, w izbie zamknięty, który wrzawy narobił, wszyscy spali i byliby zgorzeli wszyscy.

— Kruka licho nadało! — rzekł jeden.

— Wichfriedowa to żonka, ta z Tęczyna!

— Jaka żonka? — podchwycił inny. — On jej stróżem, nie mężem, a tych, co koło niej, ani zliczyć.

Palcem jeden na komnaty książęce ukazał.

— E, stara baba! — przerwał komornik któryś z pogardą.

— Ta ta, żadna jej młoda nie dotrzyma — ciągnął pierwszy — ma takie ziele, co jak się nim potrze, zaraz młodnieje, i taką wodę, co jak się umyje, kwitnie by róża, i taką maść, że jak się nią

wysmaruje, wszyscy za nią iść muszą. Wiedźma okrutna!

— Wojewoda Szczepan, co już ledwie dysze, a i ten tam się suwa. Biskup go klnie i dzwoni nań, nie pomaga — mówił inny.

— Wichfried też zzółkł przy niej jak woski — śmiał się trzeci.

Znowu ten, co palcem pokazywał na izby pańskie, zwrócił się w ich stronę, ale o księciu mówić nie śmieli.

— Jakby już młodych nie było — zamruczał znowu jeden.

— Domostwo się paliło jak słomy kupa. Strach! — opowiadał znowu pierwszy z komorników.

— Dobrze podłożono! — śmiali się.

— Kto to wie? — zaprzeczył któryś.

— Wszyscy! Widziało wielu, jak podpalaczka uciekała.

— A czemuż ją nie łapali?

— Ale! Aby urok rzuciła lub chorobę. Już taka, co się porwała na tę wiedźmę, sama nie gorsza być musi.

Umilkli wszyscy, zobaczywszy Wichfrieda, który blady i zadumany, zły szedł z miasta, pominął dworskich i prosto kroczył do księcia.

Każmierz spoczywał chory i zmęczony, u łoża jego siedziała księżna ręce załamując,

dopytując na próżno, co by mu dać pić albo jeść. Księżę nie chciał nic, nie śmiał nawet patrzeć na żonę, łagodnie jej tylko odpowiadając, jakby się pozbywał. Z drugiej strony łoża siedział książę

Roman, zwykle wesół, teraz gniewny, patrząc na twarz księcia niespokojnie.

— A po co Wam było samemu w ogień biec — mówił — kiedy ludzi tylu macie? Zamkowi nie groziło, a Wisła blisko.

Wtem w progu Wichfried się pokazał, wszyscy nań spojrzeli, najpierwszy Każmierz, który znacząco oczyma go badał. Wichfried pomieszany był, nieswój.

— No ho — oderwał się książę Roman — ne żurysia (mówił do Wichfrieda) lepszy dwór będziesz miał z łaski twego pana, pocałuj go w rączkę i nie myśl o tym.

Księżna wstała.

— Byle z tego memu panu choroby nie było — rzekła.

— Z czego ma być choroba? — odparł Roman. — Przeżegnaj się! Co? Albo my to lalki

słomiane? Niech tylko pójdzie do łaźni, a winnikami go wytrą, a wina z korzeniami zagrzać każ, wyspi się, spotnieje i będzie zdrow. A on z czego ma być chory?

Wstał i książę, jakby przyjście Wichfrieda dla księżnej i dla niego było znakiem do oddalenia się. Bolko, synaczek, który w głowach u ojca siedział, pocałował go w czoło i za matką a dziadem się wysunął. Kaźmierz dopiero śmieiej podniósł oczy.

— Gadaj — rzekł — mogli to być? Podpalono?

— O, że podłożono ogień, to pewna — odezwał się Wichfried — i mądrze, i po cichu! Pod

każdy węgiel, pod dach podetknięto pakuły i ogień. Wrota z zewnątrz były podparte, dopóki z miasta ludzie nie podpadli.

Twarz księcia pobladła.

— Czyjaż sprawa? — spytał cicho. Wichfried się wahał z odpowiedzią.

— Wierzyć mi się nie chce — rzekł — mówią, że uciekającą, popaloną babę jakąś widziano. Leciała krzycząc.

— A nie schwytano jej?

— Któż wie, co za stworzenie było! — szepnął Wichfried. — Ludzie niektórzy zaklinają się, że ją widzieli lecącą w powietrzu!

Książę oczy spuścił.

— Może to sprawa braci? — rzekł po chwili. Wichfried głową potrząsał.

— Nie, babska robota, tylko nie wiadomo czyja.

— A Dorota? — spytał Kaźmierz.

— Leżała chora i wystraszona, wstała już. Napój jej baba dała, odzegnała chorobę, nie

będzie jej nic.

Każmierz szeptał jakby sam do siebie:

— Baba podpaliła? Kto? Jaka?

Wtem podkomorzy wszedł, oznajmując biskupa Gedkę. Trzeba było wyjść naprzeciw niemu. Książę wymógł na sobie, że twarz wypogodził nieco; ruszył na spotkanie i wprowadził biskupa, który twarz miał bardzo nachmurzoną. Popatrzał znacząco na Wichfrieda, jakby go chciał oddalić. A choć rozmowa sam na sam z Gedką zawsze Kaźmierzowi przykrą była, bo przychodził często z napomnieniami i strofowaniem, musiał skinąć na Niemca, aby odszedł. Choć niechętnie, Wichfried się miał ku drzwiom. Gedko zasiadł w krześle i dłonią podparł zamyślony, twarz miał zmienioną, wejrzenie niespokojne.

— Złe Warn wieści przynoszę — odezwał się z wolna — więc nie spieszę z nimi, choć

nigdy za wcześnie ich mieć nie możecie dla odwrócenia złego. Mieszek, niespokojnego ducha, choć go już lata przywieść były powinny do upamiętania, nie daje nam tchnąć. To, co w Łęczycy chciał

wyprosić, teraz myśli wziąć siłą. Zabiera się już zajeżdżać Gniezno Wasze i Wielkopolskę. Wy, Miłościwy Książę, zdajecie się dotąd o tym nic nie wiedzieć, bo nic nie czynicie. Gniezna bronić trzeba. Poznania, Ottonowi go dawszy, nie można mu pozwolić odbierać.

Spojrzał na księcia, który stał ani zdziwiony, ani poruszony tą wiadomością, słuchał spokojnie.

— Ja mam doniesienia pewne — potwierdził biskup — przychodzę pytać, co czynić myślicie.

Książę wahał się dosyć długo z odpowiedzią. Gdy szło o rzeczy sumienia i przekonań, pan ten, łagodny zawsze, często lekki, stawał się twardym i nieugiętym. Śmiało, po królewsku podniósł głowę i na zapytanie, co myślał czynić, odparł krótko:

— Nic, mój ojczu.

Gedko podniósł oczy, czekał tłumaczenia.

— Tak jest, nic — kończył Kaźmierz — nie uczynię żadnego kroku. Mieszkowi ojciec

Wielkopolskę za dzielnicę nazaczył, nie godzi mi się mu jej przeczyć i odbierać. Zabierze Poznań, Gniezno — dam mu je trzymać. Tak każe sprawiedliwość.

Zzymnął się biskup.

— Sumienie Wasze znam — rzeki — szanuję głos jego, ale, Książę mój, nie o

Wielkopolskę tu idzie, nie o Mieszka, o państwo Twe całe. Brata Waszego nie znacie tak, jak my.

Dziś chce Poznania, jutro się upomni o Kraków. Mając siłę, zwiąże się z bratankami szląskimi i padnie na Was, padnie!

— Wówczas ja bronić się będę — odparł książę. — Lecz ze strachu, aby się to nie stało, nie mogę go pozbawiać ojcowizny. Tak samo dla obrony od napaści, na życie jego mógłbym nastawać.

Nie, tego uczynić nie mogę. Stanie się wola boża; ten, co widzi serce moje, ratować mnie będzie.

Gedko zamilkł, rozmowa była trudną, przekonanie niepodobne, Kaźmierz stanowczo wolę swą objawiał.

— Zatem patrzeć będziemy obojętni na to, jak się na nas gotować będzie napaść niechybna i nieprzyjacielowi broń damy w rękę? — westchnął. — Stań się wola Twa, Panie!

Biskup mówił dalej powoli, z rezygnacją:

— Z Poznania, z Raciborza, z Wrocławia mam wiadomości pewne, na tym się nie skończy, że Wielkopolskę Warn wydrą. Mieszek w znowie jest z Szlązakami, zabiega około chorego

Leszka, aby i ten spadek mu po sobie zostawił, a nie Warn. Dzieciak słaby, którego lada fraszką zyskać sobie można, odda mu Mazowsze i Kujawy. Naówczas, pomyślcie no! Wielkopolska,

Mazury, Kujawy, Szląsko, Pomorze staną przeciwko Warn. I Wy dajecie się tej srogiej burzy zbierać nad głowami waszymi, nie czyniąc nic?

— Widzę ją, tak, ale uprzedzić nie mogę — odpowiedział Kaźmierz. — Mieszek dotąd nie dał mi powodu wątpić o sobie. W Łęczycy owszem Bolko mi od niego przyniósł zapewnienie posłuszeństwa i zgody.

— A a! Zapewnienia! — rzekł Gedko. — Co Mieszka kosztują słowa, choćby i przysięgi?

Dla panowania wszystko poświęci!

— A ja, ojczyzna mój, dla panowania nie poświęcę sumienia — odezwał się Kaźmierz silnie.



— Czymże ono jest obok spokoju mej duszy, gdy w niej się czuję czystym? Dajcie mi iść tą drogą, a resztę zostawmy Opatrzności. Biskup poruszony wyciągnął ręce, aby go objął i uścisnął.

— Tak — zawołał — tak! Opatrzność chyba czuwać będzie nad Tobą, bo Ty na nią zdajesz wszystko z ufnością dziecięcia! A więc: Stań się wola Twoja!

Kaźmierz stał wzruszony, ale uradowany niemal.

— Ojczy mój — począł — o zamiarach Mieszka po trosze wiedziałem. Dopóki tylko własną dzielnicę odzyskać chce, nie stanę mu na drodze. Wątpię jednak, aby ziemianie poznańscy, którzy w Łęczycy na samą wieść, że ja im Mieszka chcę dać, tak się poruszyli, mieli go łącznie przyjąć teraz.

— Ziemianie! — odparł biskup. — Tymi porusza wiatr, który silniej zawieje. Dziś są z nami, jutro będą przeciw nam. Mieszek ich część sobie pozyskać potrafi, śmielsi go okrzykną, słabsi zamilczą, ci, co się odgrazali, pierwsi przyjdą z pokłonem. Budować na sercach ludzkich, rachować na tłumy ruchome jak morskie fale — to klecić na piasku.

— Buduję na Opatrzności — rzekł książę. Gedko się zadumał.

— Starajcież się łaskę bożą pozyskać sobie — dodał — abyście każdej chwili czystym byli przed obliczem Jego. Wielbię ja cnoty Wasze, ale nad słabościami boleję. Nieszczęsne te niewiasty na zgubę Was wiodą.

Kaźmierz nigdy się nie tłumaczył, gdy biskup go upominał, i teraz pokornie zmilczał.

— Odpędźcie precz te kusicielki — mówił Gedko — czas jest, dziecko moje. Nie przystoi Wam płochość, a u ludzi dajecie się na pośmiewisko.

Po przestanku Kaźmierz rzekł cicho:

— Dziękuję wam, ojczy, za naukę. To, co mi mówicie, sto razy ja sam powtórzyłem sobie. Oprzeć się nie mogę złemu.

— Bóg miłościw — dodał biskup — czeka cierpliwy, aliści dla upamiętania dotknąć Was może w tym, co najdroższe, w dzieciach Waszych.

Aby osłodzić tę groźbę straszną, Gedko uścisnął znowu księżniczkę. Rozbrajała go pokora. Tak rozstali się czule, serdecznie, ale rozmowa nie przyniosła innego skutku nad ten, że przekonała Gedka, iż Gniezno i Poznań były stracone.

Po wyjściu jego Wichfried, który niedaleko czatował, zjawił się zaraz domyślając, że się bez

upomnień nie obeszło i że skutek ich zatrzeć potrzeba było. Zręczny Niemiec nigdy wprost nie mówił przeciw biskupowi, ale umiał obrócić myśli w inną stronę i poważne sprawy lekko malować.

Wszczął więc zaraz znowu mowę o Dorocie, jak ona oddaną mu była, a we wczorajszym niebezpieczeństwie nie o siebie, ale o przybyłego Kaźmierza się trwożyła. Wichfried donosił, że miał już upatrzony dom inny, który natychmiast miano przerabiać i przysposobić dla wdowy. W pożarze, jak powiadał, straciła ona wszystko i potrzeba było myśleć, aby nawykła do wygod, nie czuła ich braku.

Książę słuchał z jakąś niecierpliwością i niechęcią, zamykając niemiłą mu rozmowę rozkazem, aby ze skarbcu wzięto dla Doroty, czego tylko potrzebowała, i sownie ją opatrzone.

— Nie mówcie mi już tylko o niej — dodał — nie przypominajcie mi grzechu mojego. Chcę się z tych pęt uwolnić. Biskup spokoju mi nie daje, sumienie gryzie, muszę się przemóc i wyswobodzić. Ogień ten palcem był bożymi

— Ogień złość ludzka podłożyła — przerwał Wichfried — przy pomocy bożej i ludzi spodziewam się odkryć sprawcę. Zazdroszczą wdowie wszyscy, co dziwnego, że radzi by ją upiec żywą. Sprawa to niewieścia, nie boża.

Książę się zmarszczył.

— Nie mówcie mi już o niewiastach — przerwał — co było bólu w mym życiu, to przez nie. Dostyc mam tego, com doświadczył. Jeśli Bóg oswobodzi mnie z tego czaru, jaki rzuciła na mnie, nie chcę spojrzeć więcej na żadną.

Niemiec uśmiechnął się niedowierzająco.

— E — rzekł — czarów tu żadnych nie ma. Niewiasta jest osobliwa, jakiej pewnie drugiej we wszystkich tych ziemiach nie znaleźć, rozumna, piękna, serca wspaniałego i do Miłości Waszej przywiązana jako pies. Nie potrzeba napoju ani uroku, aby się w niej rozmiłować, a rozmiłowawszy trwać w tym. Starzy i młodzi, ktokolwiek ją ujrzy, głowy tracą i szaleją.

Kaźmierz słuchał z wyrazem twarzy zdradzającym walkę duszną, to marszcząc, to uśmiechając, to chcąc potakiwać, to przeczyć, bronić się i nakazać milczenie. W końcu uściskał Wichfrieda i szepnął mu:

— Ty jeden mnie nie potępiasz. Grzeszny jestem, lecz i pustelnicy na Sinaj popadali w ten grzech,

któremu słaby człek ulega. Milcz, proszę, nie mów o tym więcej.

Przywołano starego Rajca, aby ze skarbcu wydał, co było dla Doroty potrzeba. Książę, jakby sumieniem gnany, do żony się udał. Wichfried — do wdowy.

Dom, do którego się ona czasowo schroniła, należał do wojewody Szczepana, ale ten go nie zajmował. Nie był tak obszerny, jak dwór, który wczoraj spłonął, a stał w niewielkiej odległości od dymiącego jeszcze pogorzeliśka.

Wśród popiołów i nie dopalonych głowni dużo ludzi ubogich z kijmi się kręciło, rozrzucając węgle gasnące i szukając stopionych kruszców, o których wieść chodziła, że się ich tam mnogość wielka miała znajdować. Poza opalonymi parkanami uratowane sprzęty, wozy, pościele ludzie Doroty przynosili do wojewodzińskiego dworu, około którego skupiała się ciżba różnobarwna.

Z dala tłumy ciekawych przypatrywały się nadciągającym mnogim przyjaciółom i znajomym Doroty, którzy z miasta i ze wsi spieszyli, jedni z podarkami, drudzy dla dowiedzenia się o wypadku, dziwnie już opowiadany i tłumaczony. Duchowieństwo głosiło, że z nieba ogień spadł na tę Sodomę i Gomorę.

Przed dworcem stały posiadłane konie, wozy ładowne, kręciły się czeladzie pańskie, stawali przyglądać i przysłuchiwać kupcy i mieszczanie. Zawóz był tak na targowicy w dzień niedzielny.

Niektórzy, palcami sobie ukazując pogorzeliśko i dwór, opisywali pożar z tymi dodatkami, w jakie od wczora, z ust do ust przechodząc, powieść się przystroiła. Zadziwiająca to praca umysłu ludzkiego nad słowem, które z ust jednych wychodząc, w drugich już inne przybiera barwy, w trzecich rysy niektóre grubieją, nikną inne, dalej zmienia się, obraz, rośnie, maleje, wykrzywia, rozdyma i ci, co własnymi oczyma na wypadek patrzyli, nie poznają go nazajutrz przestrojonego w cudowną jakąś legendę.

Stało się to z pożarem na podzamczu. Jedni widzieli babę, która podpałała, inni — wiedźmę lecącą w powietrzu, inni — ogień z nieba rzucony. Byli, co obwiniali braci z Tęczyna i gachów zazdrosnych, i niewieścią zemstę.

W domu wojewodzińskim, ochłonawszy już ze strachu, piękna Dorota przyjmowała

cisnących się druhów swoich. W ogromnej izbie z belkami szerniałymi u pułapu i ścianami pstro pomazanymi, zarzuconej nagromadzonym już bez ładu sprzętem, wdowa strojna, z włosom

utrefionym i namaszczoneym, w sukni bramowanej, obcisłej z rękawami długimi, wpół siedząc, wpół leżąc, otoczona mężczyznami, rozповідаła wczorajsze przygody swoje. Coraz ktoś nowy przybiegał zalecając się, przynosząc coś dla pogorzałej. Przyjmowała wszystkich i wszystko.

Najbliżej niej siedział wojewoda Szczepan, "zapomniawszy na wstyd, z policzkami

zarumienionymi, zazdrosnym okiem spoglądając na młodzież cisnącą się do płoczej niewiasty, uśmiechającej się z kolei każdemu.

— Tylkom co oczy zmrużyła — mówiła — cicho było we dworze, pozamykano wszędzie,

bo stary mój dobrze porządku pilnuje. Spać mi się chciało, sen kleił powieki jak po makowej polewce. Zdawało mi się, że w podwórzu usłyszała furtki skrzypnięcie, ale „Jakże to być mogło, kiedy tam stróż chodzi i wcześniej ją zamykają” myślałam sobie. Wiatr szumiał z dala. Budzę się, coś jak światełko błyszczy mi przez szczeliny okiennicy, oczom nie wierzyłam, a sen morzył.

Upłynęło czasu trochę, coś zaszelpotało pod ścianą: „Wiatr albo psy moje biegają. Co tam!” Naraz zaleciała mnie spalenizna. Czułam, że coś gorzało. Sądziłam, że ogarek nocny w drugiej izbie zagasnął i swądu narobił. Sen tak morzył, ani się ruszyć! Ciężko się robiło na piersi, duszno, tchnąc coraz trudniej. „Zmora jakaś”

myślałam. W izbie trzeciej chowany mój kruk krzyczeć zaczął przeraźliwie, słyszałam, jak

bił skrzydłami i miotał się. „Coś mu się stało!” Ledwie powieki mogła podnieść, patrzę, przez szpary w okiennicach jasny ogień płonie, w izbie dym, a tu już i krzyk dziewczek mnie dochodzi.

Zerwałam się, do drzwi trafić nie mogąc. Wrzawa otaczała dom: „Gore! Gore!” Biegłam do wyjścia, zgubiwszy pamięć, bijąc się o ściany. Na podwórzu biegali ludzie, dym się wciskał do izby i płomienie, na dachach trzaskały dranice. Gdy mi drzwi otwarły służebne, nie wiem już, co się działo ze mną, i kto mnie na rękach z płomieni wychwycił. Budynek gorzał cały, a dziedziniec stał

jeszcze zaparty, zewnątrz łamano wrota, bo z obu stron były kołami zabite. Piekło dokoła! Żem przeżyła tę noc, cud chyba!

Opowiadali i drudzy, wojewoda drżał i łzy mu ciekły z powiek zaczerwienionych. Wszyscy

świadczyli, że widziano niewiastę uchodzącą. Że stróż, który u wrót stał, zniknął, nikomu nie było tajno. Zląkł się i uszedł, zdradził czy spalił się — różnie sądzono. Ktoś musiał jednak być sprawcą ognia i pozabijać wrota.

Wdowa mówiła, płakała, śmiała się, a że już jej dawne życie wróciło, rzucała oczyma,

wdzięczyła się, wyciągała ręce białe i kibić okrągłą dosyć na popis stawiała. Młodzi śmieli się powiadając, że zazdroszczą temu, co ją wynosił z pożaru.

— Nie lada to siłacz być musiał — rzekł jeden — bo jest co nieść!

— Choćbym się poderwał i popalił — zawołał drugi — a rad bym was na rękę poniańczyć!

Żartowano już, nie oglądając się na słowa. Na tę rozmowę i śmiechy wszedł Wichfried,

którego tu wszyscy za gospodarza niemal uważali. Koso nań popatrział wojewoda. Wdowa ze

zrećnością wielką wszystkich, ilu było, choć się oczyma jedli, umiała tak trzymać, aby do swaru nie przyszło. Jednemu i drugiemu szepnęła w porę coś uśmierającego, ścisła ręce nieznacznie, dawała mruganiem przestrogi, Wichfried zresztą najmniej zazdrosnym był, chyba za swojego pana.

Zobaczywszy go, niektórzy się zaraz do wyjazdu zabierać zaczęli. Woje-

Woda pozostał, jako we dworze gospodarz, co mu większe prawa dawało.

— Nie będziemy waszej miłości długo dworu zajmowali — rzekł do niego Niemiec — bo dom nowy już mamy, który dziś, jutro opatrywać się zacznie.

— Siedźcie, ja dworu tego nie potrzebuję — odparł stary.

Wichfried coś po cichu poszeptywał, tak że i Szczepan, posiedziawszy trochę, wyniósł się za innymi. Po wyjściu jego wdowa przystąpiła do Niemca.

— Cóż on? Co? — zapytała.

— Ze skarbca kazał dać, co do domu potrzeba, i grzywien dosyć.

Oczy się jej uśmiechnęły.

— Ale — dokończył Wichfried — chodzi zmitrężony, przybity, bo mu biskup powiedział, że na wasz dom z nieba ogień padł za grzech jego.

— Z nieba! Kiedy podpalaczkę widzieli — krzyknęła Dorota — to i koły do wrót z nieba chyba pospadały!

— Podpalaczkę?! — zawołał Niemiec. — Któż ona mogła być?!

Dorota ramionami ruszyła.

— Albo to ich mało jest, co by mnie dawno z kamieniem u szyi do Wisły zanosły? Siła ich, którym się księcia chce, ale im go nie dam!

— Nie robota to braci? — pytał Wichfried.

— O, ci by mnie też żywcem spalili, ale to nie ich sprawa. Rozmowa przerywana ciągnęła się długo, głośna i cicha, zgodna i sporna. Na ostatek wdowa się dopominać zaczęła o księcia, kiedy przyjdzie, a Wichfried za to ręczyć nie mógł i nie bardzo obiecywał.

— Powiesz mu, żem chora, że umieram, że proszę łaski choć na chwileczkę, musi przyjść!

— zawołała Dorota. — Długo mu tak dać zostać nie mogę! Jak dzień, dwa się nie zjawi, sama pójdę!

Chodziła mocno poruszona.

— Mogę się odziać po męsku, kto mnie pozna? Ty mnie poprowadzisz. Gdy go nie ma

dłużej, strachem mrę, tam wszyscy na mnie, tam bij, zabij na Dorotę. Niech co chce, będzie, nie puszczę Kaźmierza! Porzuci mnie, umrę! — wołała przerywanymi słowy, po izbie chodząc i

przyskakując do Wichfrieda.

Szepnął w końcu, iż książe mu oświadczył, że jakiś czas sam być pragnie.

— A ja nie chcę, aby był sam! — odparła Dorota.

W końcu Niemiec, który próbował się sprzeciwić, na wszystko przystawał, odprawiła go na

zamek nazad.

We dworku Jagny okiennice były pozamykane. Stach chodził po gościnnej izbie. Część

nocy spędził przy niej, pochwytał, co w gorączce mówiła. Jawnym było, że Jagna z nienawiści ku niewieście, ku której niechęć zawsze okazywała, ważyła się na podpalenie. Skąd się jednak brała ta sroga nienawiść, Stach pojąć nie mógł. Żadnym słowem, nawet w gorączce, nie zdradziła się Jagna.

Gdy się nieco nad ranem uspokoiła, służebne przestraszone do snu ją ukołysały. Stach

czuwał do rana. Gdy zasnęła, skorzystał z tej chwili i zaniósł do biskupa to, z czym przybył.

Natychmiast potem wrócił do dworku i zastał ją śpiącą jeszcze. Kilka razy w nocy dawać jej wodę musiano, paliło ją pragnienie, potem sen kamienny trzymał jak nieżywą do południa.

Stach przychodził kilka razy, stawał i patrzył na uśpioną. Zасыpiała głęboko, z wargami

spalonymi, ale dysząc lekko i jakby uspokojona. Gdy się w nią wpatrywał mocno, jakby poczuła jego, wzrok, otwierała oczy nagle, błyskały źrenice spod powiek i zamykały się znowu. Sługi płakały, sen ten dziwny wydawał się im ostatnim. Sprowadzono starą lekarkę, która popatrzyła, poszeptała i odeszła mruczając, że wstanie zdrową.

Już dobrze z południa poruszać się zaczęła Jagna, obracać, potem z ciężkim westchnieniem

podniosła, zatoczyła oczyma. Stach stał w progu, zobaczyła go, musiała przypomnieć sobie, co sen zatarł w pamięci. Dłonią jeszcze szernionymi od dymu, potarła czoło, odgarnęła włosy i popatrzawszy na swe ręce, wzdrygnęła się nieco. Spokój powrócił. Skinęła na Stacha, aby

przyszedł ku niej, a gdy się pochylił, szepnęła mu do ucha:

— Spaliła się wiedźma?

— Nie — rzekł Stach — wynieśli ją z płomieni. Oczyma wielkimi, strasznymi zatoczyła wkoło niedowierzająco.

— Nie spaliła się? Nie?

Zadumała głęboko i padła płacząc na posłanie.

— I ogień jej nie bierze — mruzczała — a ona go zgubił Stach pytań nie śmiał zadawać.

— Nie spłonęła ona — rzekł po chwili — ale was widziano, gdyście od ognia bieżeli. Nuż wydadzą! Nuż pozna kto!

Z wyrazem pogardliwym Jagna zwróciła twarz ku niemu.

— No, to mnie spalą na stosie! — odezwała się. — A wy pójdziecie patrzeć wszyscy!

Przyjdzie i ona, i książe. Uwiążą do słupa! Raz trzeba umierać! To łatwiej, jak żyć!

Stach się odważył na pytanie.

— Skądże wam do niej ta nienawiść?

Z półuśmiechem odpowiedziała mu Jagna:

— Alboście to nie widzieli psa i kota, co się w życiu nigdy nie spotykali, a zszedłszy się na drodze, padają na się? Tak Z nią i ze mną. Nienawidzę jej!

Wstrząsnęła się cała i wpatrując długo w róg izby, jakby zapomniała o Stachu.

— Nie spaliła się! — mruzczała. — A wrota były zaparte, a dach płonął cały, a spali wszyscy. Kto ich pobudził?

— Mówią w mieście, że kruk — rzekł Stach.

— Szatan nie kruk — krzyknęła — szatan, co wiedźmy pilnuje! Kruk? Czarny! Diabeł! I ona jak kruk żyje, żrąc, co spotka żywym czy padłym.

Drugiego dnia wstała Jagna, lecz ona, co zawsze była silną i wytrwałą, wlokła się ledwie; przeszedłszy chwiejąc się przez izbę, na ławy padała. Twarz miała wybladłą, oczy zapadłe.

— Ona się nie spaliła — mruzczała chodząc — a ja zgorzałam, aż mi duszę pali!

Złagodniała bardzo. Nie płakiwała dawniej nigdy, teraz powieki miała od łez czerwone i strumienie ich płynące na licu bladym drogi krwawe popaliły. Tylko przed Stachem udawała mężną, dłonią suszyła oczy, starając mu się uśmiechać. On patrzył na nią nie mówiąc nic.

Jednego dnia rano odezwał się dzwonek na Wawelu, na mszę pierwszą wołając do Świętego

Wacława. Jagna nigdy, prawie lub rzadko do kościołów chodziła. Głos tego dzwonka pierwszy raz przemówił do niej, jakby ją coś wołało, jakby ku sobie ciągnął. Opierała mu się długo, dopominał się; zdało jej się, że rozumiała głos jego, że musiała za nim pójść.

Narzuciła czarną chustę na siebie i nikomu nie mówiąc, cała drżąca, spiesząc się wybiegła za próg domu. Ranek był chmurny, ciemny, niebo zaciągnięte. W progu spotkała się ze Stachem.

— Dokąd? — spytał.

— Muszę, muszę, ja nie wiem. Bądź spokojny, powrócę — odparła niewyraźnie i spieszenie.

Nawykła była czynić wolę swoją, nikt nie śmiał jej wstrzymać. Skinęła tylko, rzuciła się do wrót, wybiegła. Stach, choć się uląkł, nie poszedł za nią, wzbronila mu. Z początku szła spiesząc zdyszana, zwolniła potem kroku, otuliła się chustą, lżej jej było. Nie szukając jej, nie myśląc, drogę na zamek znalazła, minęła bramę ciemną. Kościół stał otwarty. U wielkiego ołtarza zapalone były świece, u progu kilku żebraków stało, nikogo więcej. Cisza i spokój domu bożego obwiały ją, krokiem śmiałym posunęła się aż do krtek. Tu usiadła na ziemi. Chusta, którą była osłonięta, osunęła się, opadła, twarz blada ukazała się, cała okolona rozrzuconymi włosami.

Ciekawie na ołtarz patrzeć zaczęła. Sama teraz nie wiedziała, po co tu przyszła, modlić się nie umiała prawie. Tego, co ją nauczyli w dzieciństwie, zapomniała. Przyglądała się wszystkiemu, co ją otaczało. Na ścianie wisiał Chrystus straszny, na krzyżu przybity, z głową zwieszoną, z której włosy okrwawioną spływały. Cierniem poorane miał czoło, ręce opłynięte krwią, z boku sączyła się krew, nogi były nią zbroczone. Męczarnie konania wyprężyły piersi, ręce, ramiona, nogi. Pod stopami miał głowę trupią.

Jagna wpatrzyła się w niego, dla niej był to obraz życia. Patrzyła i napatrzeć się nie mogła.

— Wiecznie tak krwią płynąć, męczyć się, być tak przybitym samemu, bo wszyscy swoi odeszli precz, wystraszeni śmiercią, konać i nie móc umrzeć, wołać i nie być słyszany.

Łzy jej z oczów się polały; zwróciła je w drugą stronę. Tam z kamienia wykuty na desce z

głazu stał Chrystus drugi. Niósł swój krzyż na ramionach i szedł nim przygnieciony. Tłum go otaczał, który ona знаła, tłum zbójów z urągowskim na ustach, z pięściami zaciśniętymi, oszalały, wściekły. Chrystus ten szedł, a nie poruszał się, szedł tak wiecznie i nie było końca jego pochodowi ani ich szaleństwu. W górze, spojrzęła, tkwił krzyż jeden jeszcze i na nim Chrystus, a nad nim gołąb w



powietrzu z rozpostartymi skrzydłami. Jeden gołąb litościwy!

U ołtarza śpiewano, dzwoniło i modlono się. Ona siedziała nieruchoma, patrzyła ciągle i dumiała. Lżej jej tu było jakoś wśród tych wizerunków męczarni.

Zaszeleściało coś, zaszemrało w ciemnym kącie kościoła, weszli ludzie jacyś i stali

nieruchomi, pokryci mrokiem. Jagna popatrzyła na nich obojętnie i odwróciła oczy. Ksiądz, przeżegnawszy ją, odszedł od ołtarza, zgaszono światło. Ci, co stali po kątach, wysuwać się zaczęli, ona jeszcze siedziała.

Zawsze nie wiedziała, po co przyszła, co ją tu zawołało. Czekwała, aby jej znak dała własna dusza, iż iść może nazad, bo że nie przyszła z własnej woli, ale musiała jakimś, to czuła dobrze.

Teraz cicho już było, skończyło się wszystko, trzeba iść było czy nie? Zawahała się. Wtem stary człek w sukni czarnej; zbliżył się do niej, dotknął jej ramienia i wskazał na drzwi do połowy już zamknięte. Jagna wstała powoli, obejrzała się ku ołtarzowi, ku Chrystusowi, ku gołębiowi u góry i posłuszna ku drzwiom iść poczęła. Tu dopiero uczuła chłód i osuniętą chustą ogarnęła się znowu.

Oczy jej po tym spoczynku widziały więcej i jaśniej. U drzwi stała kamienna kropielnica,

zajrzała do niej. Wodę widać było na dnie, dotknęła jej palcami i zmoczyła czoło gorące: ochłodziło ją to. We drzwiach kilku żebraków patrzyło na nią ciekawie — minęła.

Deszcz prószył, ranek chmurny zmienił się w dżdżysty. Od kościoła ku zamkowi widać było

podwórze długie. Jagna puściła tam wzrok: puste stało, tylko ludzi kupka opodal się zatrzymała i ku niej czy ku kościołowi patrzyła. Obejrzała się na nich, oni patrzali na nią, jeden szczególnie, ale twarzy jego nie widać było, postawę miał, ruchy, jakby tego kogoś, którego znała. Ale nie mógł być nim! Powiedziała sobie: „O nie! Ten by nie stał tak daleko, taki martwy !”

Po oślizłej ziemi z wolna poczęła schodzić ku domowi, słaniając się trochę, bo jej było słabo jakoś. Deszcz padał rześystszy coraz. We wrotach minął ją orszak konnych, jadących na zamek; śmieli się i wygadywali, popatrzyli na nią, pojechali.

Niepilno było do domu.

Dziwiła się, po co tam chodziła. Na zamek? Czy dzwonek wołał, czy serce, nie wiedziała

teraz. Obejrzała się za siebie, czy kto nie goni, nie było nikogo, a czuła, jakby ją co ścigało, ale to był wiatr ze słotą, który dął i moczył. Nim doszła do dworku, strumienie wody lały się z niej, i dobrze z tym było, bo chłodziły.

We drzwiach stał pod daszkiem, poglądając w ulicę, Stach; zobaczywszy ją, szerzej

otworzył furtę. Wśliznęła się nią nie mówiąc nic, nie tłumacząc, smutnie się uśmiechnąwszy do niego.

Powlókł się za nią, zdejmując z niej chustę obmokłą, nie pytał. Ona mówić nie mogła, po długim milczeniu odezwała się:

— Chrystusa widziałam! Niepoczcivi ludzie powiesili go, okrwawili, poranili. Straszny Chrystus!

— Byłaś w kościele? — spytał Stach.

— Tak, byłam w kościele na zamku. Cicho w nim, paliły się świece, ksiądz coś szeptał, coś śpiewał, a z Chrystusa ciekła krew.

Stach uradował się tym w duszy, że Jagna zwróciła się do kościoła i do Boga. Zapytał, czy nie chciała księdza, bo księża pocieszyć umieją i nauczać życia.

Spójrzała nań dziko dziewczyna, potrząsała głową.

— Nie, nie — rzekła — Chrystus więcej mówi niż wszyscy księża. Widziałam Chrystusa, nigdy go nie zapomnę!

Nazajutrz Stach myślał, że zechce znowu może pójść do kościoła, ale z rana słyszała dzwonek i słuchała obojętnie. Nie wołał jej.

Powróciło życie dawne. Siedziała patrząc i nie widząc nic, czasem przebierając dawne swe szaty i odzieże, do których przylgłego szczęścia szukała. Brała je, rzucała, uśmiechała się, płakała i siedziała nieruchoma. Gdy Stach mówił, często nie zdawała się go rozumieć. I płynęły tak dni długie, długie, a że Stach pilnej teraz nie miał roboty, musiał siedzieć i patrzeć na tę biedną istotę, której zrozumieć nie mógł, a która go wcale słuchać nie chciała.

## IX

Dnia jednego, dzień to był słotny i smutny, Wichfried wszedł, jak zwykle, nie oznajmując się do izby księcia. Zastał go stojącego w oknie, zapatrzonego w podwórze. Zmokły płaszcz, tylko co zrzucony, leżał na ziemi. Niemiec, nawykły czytać w Kaźmierza twarzy, poznawać z niej myśli i uczucia jego, popatrzawszy, uląkł się, tak była dziwnie zmieniona trwogą jakąś i wzruszeniem nadzwyczajnym. Gdy się zbliżył ku niemu, chcąc zapytać, Kaźmierz zawołał nagle:

— Widziałem ją! Ona tu jest!

— Kto? — spytał zdumiony Niemiec.

Ale Kaźmierz już był zamilkł, jakby żałował wyrzeczonego słowa, zdając się namyślać, czy

ma mu odpowiedzieć. Wichfried natrętnie powtórzył pytanie:

— Któż? kto?

Książę nie chciał mówić, co tym niespokojniejszą obudziło ciekawość.

— Wasza Miłość zdajecie się jakby przelęknym? Któż to być może?

— Ona! — zawołał Kaźmieu wybuchając, a głos wnet tłumiąc ostrożnie. — Ona! Moja

pierwsza! Ta z Gaju! Pierwsza moja i ostatnia! Jednej jej, com żałował i żałuję. Ona to była, ale jak strasznie zmieniona, zwiędła, wybladła! Ten kwiatusek tak świeży, to liczko, z którego tryskało życie weselem... Cóż się z nią stało? Co się z nią stało? — powtórzył niespokojnie. —

Wichfriedzie, nie wiesz nic?

— Nic nie wiem — odparł Wichfried obojętnie. — A! To stare, zabyte rzeczy. Ja wątpię, żeby ona tu być mogła. Książę widziałeś, coś sobie wymarzył. Gdzieżby ona tu być miała?

Kaźmierz się oburzył.

— Nie omyliłem się — rzekł — ona to była. W ubraniu nędznym, starym, opuszczona.

Siedziała u ołtarza, patrzyła oczyma dziwnymi, jakby nie widziała nic.

Wichfried ramionami ruszył.

— Jeszcze i dziś jest piękna — dodał książę — choć straszliwie zmęczona nieszczęściem.

Któż wie, co się z nią stało? Wydali ją za mąż? Ojciec? Żyjeli ojciec?

Wichfried, któremu ten niepokój Kaźmierza był przykry, rzekł zimno:

— Nic nie wiem. Po co się dowiadywać o to, po co troszczyć? Wznawiać stare rzeczy...

Książę odwrócił się od Niemca z tak widocznym oburzeniem, iż Wichfried zmiarkował, że za daleko się posunął. Wolał ofiarować swe posługi, aby go kto inny nie wyręczył.

— Dowiemy się o niej łatwo — dodał po namyśle — choć nie wiem, na co się to przydać może.

Ruszył ramionami.

— Dosyc tego, co jest, żeby odgrzebywać, co było! Zapomniane to...

— Nie zapomniane — zaprzeczył ksiązę silnie — nie! Nigdy o niej nie zapomniał, była pierwszą i ostatnią! A te wszystkie...

Ręką rzucił z pogardą, twarz mu gorzała. Wichfried się rozśmiał.

— Cóż Dorota?

— Nie wspominaj mi tej zbytnicy! — zawołał Kaźmierz wybuchając — ani słowa o niej.

Szatan to jest, inaczej by tej siły nie miała nade mną, Modlę się, odpędzam ten szal, i powraca.

Nieczystą siłę ma!

— Jak one wszystkie — dodał Wichfried — bo nie ma dwóch rzeczy podobniejszych do siebie, choćby najróżniejsze były, nad dwie niewiasty.

Książę nie odpowiedział. Niemiec czuł, że tracił u niego, uląkł się. Nie wiedział, jak ma postąpić, aby się nie dać temu usposobieniu w umyśle zagnieździć. W żart obrócić tego smutku i zgryzoty nie było podobna, czekał, aż ksiązę się odezwie. Po chwili milczenia powtórzył, że Dorota bardzo jest nieszczęśliwa. Chciał mówić dalej, gdy Kaźmierz przerwał zniecierpliwiony.

— Weźmij dla niej, co chcesz ze skarbcza, obdarz ją w imieniu moim i niech od niej będę wolny!

— Wolny? — odparł smutno Wichfried. — Ale to od Was zależy, Miłościwy Panie.

— Ode mnie — począł ksiązę — tak ode mnie, od ciebie, od nałogu w grzechu. Nie jestem panem siebie. Namiętność ta sprowadza mnie z drogi rozumu i statku. Wieczory, które spędzałem z ludźmi rozumnymi, od których się coś nauczyć było można, upływają na płochych zabawkach, zostawiających po sobie gorycz i smutek. Duchowni z pogardą patrzą na mnie, ja sam brzydzę się sobą. Wszystkiemu winna ta niewiasta, którą zła godzina przyniosła.

Chodził poruszony, Wichfried nigdy go takim nie widział.

— Miłościwy Panie — odezwał się — część winy spada na mnie. Wiem to; kochając Was, służyłem i w tym chcąc przynieść rozrywkę, nie zgryzoty.

— Ja cię nie obwiniam — przerwał Kaźmierz — winieniem ja sam.

Westchnął i mówił dalej, uzalivszy się nad Niemcem, który stał zafrasowany.

— Wichfriedzie kochany, ciężkie brzemie wkłada Pan Bóg na tych, których na świeczniku

stawi, dając im w ręce wodze, aby narody prowadzili. Nie należą oni do siebie. Co drugiemu przebaczone, im zakazane, co drudzy utaić mogą, oni nie zdołają. Każdy ich uczynek odbija się w tysiącu, każde słowo zarazę niesie. Szczęśliwymi im być nie wolno dla siebie, ułomnymi się być nie godzi. Panowanie też kapłaństwem jest i jak ono męczeństwem. Dlatego nigdy nie żądał władzy wielkiej, aby nie stać na oczach tysięcy. Tam, w Sandomirzu, szczęśliwszym byłem.

— Za wielkość płacić trzeba — odparł Wichfried zimno. — Wasza Miłość czynicie sobie dobrowolne męczeństwo.

Ustała rozmowa, Kaźmierz się rzucił na siedzenie i sparł na rękę. Wrócił do pierwszej myśli.

— Ona to była w kościele — rzekł powoli — oczy mnie nie omyliły. Przyszła pieszo, sama, nędzną chustą okryta, nieszczęśliwa, zboląła, widać to było z twarzy. Cóż się jej stało? Ja chcę wiedzieć, jam powinien być uwiadomiony.

Wichfried, do usług zwykle pochopny, stał dosyć obojętny. Powracające to przypomnienie niecierpliwiło go.

— Jeżeli pomóc jej, ratować ją można — dodał Kaźmierz — to mój obowiązek. Mam jej niedolę na sumieniu, zerwałem z nią okrutnie.

Zamruczał coś Niemiec o poszukiwaniu, ale niewiele przyrzekał. Księżę popatrzał nań i nie nalegał więcej. Stał jeszcze długo Wichfried, usiłując myśli odwrócić w inną stronę, ale nie otrzymał odpowiedzi. Dla pozbycia się go Kaźmierz rozkazał zawołać kanclerza, aby się od niego dowiedzieć o przywilej dla cystersów przygotowany i umowę z benedyktynami o łowy w ich

lasach. Wichfried, widząc się zapomnianym, bo księżę się do niego nie zwracał, wyszedł w końcu, rozmyślając nad tym, czyby mu nie należało i w tym swojemu panu posłużyć.

Po wyjściu kanclerza księżę spiesźnie wołać kazał Smoka do bocznej komory. Temu zaufać mógł we wszystkim. Kosztowało go zwierzać mu się, ale niepokój, jaki go opanował, nie dozwalał rozmysłu. Smok przybiegł zdyszany.

— Smocze — zawołał księżę — gdyśmy jeździli do Gaju, tyś widział Ściborzanę?!

Potwierdził Smok głową, wytrzeszczył oczy, pytanie to teraz mu się dziwnym zdało. Czasy się zmieniły.

— Poznałbyś ją?

— Ano, pewnie! — odparł Smok.

— Ona tu jest w mieście — dodał Kaźmierz. — Widziałem ją w kościele odzianą ubogo.

Nikommu ani słowa o tym, idź na zwiady.

Smok uśmiechnął się, do kolan pokłonił, ale z miejsca nie ruszył. Mówił w ogóle mało i

niezręcznie. Kaźmierz rozkaz powtórzył, na twarzy Smoka widać było zafrasowanie jakiegoś, jakby nie wiedział, co począć. Książę już się domyślał, że zechce może wymawiać się od ciężkiego poselstwa, a znając Smoka, zdziwił się mocno. Smok gotów był zawsze w ogień i wodę, jak

powiadał, dla swojego pana.

— Szukaj, proszę, idź! Przynieść mi rychło wiadomość, co się z nią dzieje.

Smok nie ruszył się jeszcze, skłonił się do nóg i jękając rzekł:

— Cóż ja mam chodzić, szukać, ja o niej wiem.

— Jak to? Wiesz, że ona tu jest?! — krzyknął książę przystępując doń. — Poczciwy

Smocze, wiesz?!

— Ona tu dawno — począł Smok krótkimi słowy — ludzi jej widziałem. Wiem, dwór mają, pono i mąż jakiś u niej jest. Gadają, że ona z nim nie żyje, tylko go wzięła, aby dziewczką nie być.

Ścibor umarł.

Książę słuchał z zajęciem nadzwyczajnym, z radością prawie, kazał powtarzać, rzucał

pytania, badał, a Smok to głową, to ustami dawał odpowiedzi. Gdy skończył, książę dobył garść groszy i nasypał w dość obojętnie nastawioną dłoń sługi.

— Smocze — rzekł odchodząc — ty mi będziesz potrzebny. Z inną twarzą, ale z nie mniejszym niepokojem wrócił książę do izby, mówiąc w duchu:

— Wszyscy pono o niej wiedzieli prócz mnie i Wichfrieda. Litość budziła się w sercu, stare wspomnienia wracały żywe.

Chciał wiedzieć o niej więcej, wszystko, pomóc, ratować, pocieszyć, ale stał na świeczniku, jak mówił, krok jego każdy był śledzonym. Ludzie wszystko mogli na złe tłumaczyć. Goryczy panowania i niewoli jego nigdy nie uczuł mocniej. Potrzebował rozmysłu i ostrożności. Nie dano mu nawet postanowić, co czynić, gdy już Żyra i Jaksza ze sprawami większymi nadeszli.

Wichfried tymczasem myślał także, czyby mu zaspokoić księcia nie było bezpieczniej. Sam dowiadywać się ani mógł, ani chciał. Ludzie, których się radził, kogo by użyć w pewnej sprawie poufnej, nastroczyli mu Stacha z Przegaju powiadając (co nietajnym było), że biskupowi posługiwał w ważnych rzeczach i człek był przebiegły. Szukał go na zamku i doszedł zaraz, że przy skarbcu służbę opuścił. Rajec mu wskazał jego mieszkanie.

Z południa Niemiec już do wrót stukał. Stach, który znowu na Szląsk gdzieś z poleceniem od Gedki wybierał się w drogę i szedł właśnie do stajni konie opatrywać, zdziwił się odwiedzeniem niemiłego mu Wichfrieda. Weszli do izby. Niemiec długo się zbierał, nim następkawszy na ciężką służbę, wydał się, z czym przychodził.

— Książę nam starzeje — rzekł — na starość dziwactwa po głowie chodzą. Zachciewa mu się różności, człowiek nie wie, jak mu dogodzić. Nie tajemnica to — dodał ciszej — że gdy w Sandomirzu był, miał tam miłośnicę, do której biegał i po kilka dni z nią przesiadywał w lesie. Na łowy jeździł, ale nie o zwierza mu chodziło! — zaśmiał się. — Wiedziałem o tym dobrze, bo się przede mną z niczym nie tai. Dawne to sprawy. Gdy go do Krakowa wzięli, musiał się z

dziewczyną rozstać. Córka była ziemianina, urodziwa i młoda. Niełatwo go puściła, bo go miłowała bardzo. Zdawało się, że książę o niej zapomniał dawno; ano nie! Jeszcze mu ona pono w głowie.

Przywidziało się teraz księciu, że ją w kościele zobaczył wynędzniałą i zbiedzoną, każe mi jej szukać po mieście.

Ruszył ramionami Wichfried.

— Pomoglibyście wy mi do tego?

Stach, który z uwagą słuchał wszystkiego, *co* się księcia tyczyło, spytał:

— A jakże się ona zwała?

Pomyślawszy Wichfried schylił mu się do ucha i szepnął:

— Córka Ścibora ze Ściborzyc.

Stach pobladł strasznie, zmieniło mu się lice. Zamilkł osłupiały. Potrzebował długiej chwili, aby przyjść do siebie. Spadła mu z oczów zasłona. Los chciał, aby ta, do której się przywiązał, należała właśnie do tego pana, dla którego przysiągł wieczną służbę i ofiarę. Pomieszany słowa rzec nie umiał. Wichfried, widząc go drżącym i bladym, patrzył zdumiony.

— Co wam? — przebąknął. — Wiecie co o niej?

Stach pospiesznie głową potrząsnął, nie chcąc się zwierzać Wichfriedowi. Niemiec ciągnął

dalej poufnie:

— Choćby Ściborzanka tu gdzie się znalazła, oddalić ją potrzeba, nowa tylko bieda z tego urośnie. Biskup i tak już za jedną Kaźmierza prześladowuje, gorzej będzie z dwiema. Dorota z Tęczyna lepiej mu przystała, bo niewiasta rozumna i ostrożna, ta zawsze szaloną była.

Mówił tak długo, a Stach, przychodząc do siebie, słuchał nie odzywając się. Na ostatek oświadczył, że dowiadywać się będzie. Wstał Wichfried.

— A gdy się o niej dowiecie, radźcie na to —dokończył — aby sobie stąd szła, bo z Dorotą dla niej wojna niebezpieczna.

Zaleciwszy, aby mu znać dał do zamku, co wyszedzi, Niemiec wyszedł, klapnąwszy Stacha po ramieniu i obiecując mu opiekę swą.

— Sprawcie się dobrze, nie mówcie o tym nikomu, przynieście mi wieść co rychlej.

Po wyjściu Niemca Stach stał jeszcze z oczyma w ziemię wlepionymi, w rozpacz i obawie, rozmyślając, co uczynić, gdy Jagna wpadła z oczyma zaiskrzonymi.

— Czego on tu chciał, ten poseł szatana?! — zawołała stojąc w progu. — Ten niecny stręczyciel, Niemiec ten przekłety?! Noga jego nie powinna nigdy przestąpić drzwi tego domu! On tu?! On z wami?! Czy i ty już jesteś przyjacielem więdźmy?! Ty?!

Stach patrzył na nią z politowaniem i grozą, słowa mu paliły usta, a mówić nie śmiał.

Przedłużone to milczenie, do którego nie nawykła u Stacha, zmieniona twarz, gniewne oczy dały Jagnie do myślenia. Zaczęła ostygąć, przystąpiła doń szarpiąc go za rękaw.

— Mówże! — zawołała.

— Tyś się taiła przede mną! — wybuchnął Stach. — Wiem teraz wszystko! Wichfried mi przyszedł powiedzieć, że Jagna Ściborzanka była miłośnicą Kaźmierza!

Jagna, słuchając, zbladła, ale wnet krew ją oblała.

— A tak! — odpowiedziała. — Jagna się tego ani zapiera, ani wstyda. A tak, była mu nie miłośnicą, ale żoną, gdy jeszcze innej nie miał. Ta druga, choć ksiądz błogosławił, nie będzie mu tą, co pierwsza. Gdyby go nie zmusili, nie porzuciłby jej, byłaby dziś z nim na zamku panią. Gdyby nie



czary niepoczciwe, nie wydarto by jej Kaźmierza, wiedźma ohydna! Tak, ja mu byłam

wszystkim, nie zapomni nigdy o mnie. Nie okłamałam was, że w sercu trupa noszę, bo on dziś trupem dla mnie. Dlatego, że on mi miłym, choć zmarły, nie chciałam ci być żoną, tylko siostrą i służebnicą. Tak, wiesz wszystko, rób, co chcesz!

Stach stał skamieniały, twarz mówiła, jak cierpiał; męczył się, nie mogąc odpowiedzieć, nie wiedząc, co powie. Jagnę litość zdjęła może, zmierzwszy go oczyma, łagodniejszym poczęła głosem:

— Gniewu na mnie nie możesz mieć. Wstydom ci nie zrobiła. Fałszum nie powiadała, nie obiecywałam nic.

— Alem ja, żyjąc z tobą, jak pies się przywiązał do ciebie! — zawołał Stach. — A to nic?

Zarumieniła się Jagna, łzy jej stanęły w oczach, strzepnęła rękami.

— Jam temu nie winna — rzekła ciszej.

Stach rzucił się na ławę, myślał: „Mówić jej wszystko czy taić, oznajmić, że ksiązę pytał o nią i szukał, czy nie?” Zdało mu się lepszym nie kłamać.

— Nie darmo Niemiec się tu przywłókł — odezwał się ponuro. — Po co ci tu siedzieć było?

Po co do kościoła na zamek chodzić? Chciałaś, żeby cię ksiązę zobaczył? Teraz po mieście trzęsą i szukają ciebie. Ot, z czym Wichfried tu przyszedł, a mnie wybrał na zwiady! — Rozśmiał się gorzko.

Wtem Jagna, która pochylona słuchała chciwie chwytając słowa, rzuciła się z twarzą od radości opromienioną, nagle zmienioną, odmłodzona, oszalała. Biła w ręce wołając:

— On mnie widział! On! Posyła za mną! Poznał! On! A! Nie może to być! Powtórz, że on

śle mnie szukać! On! Mój pan, mój król, sokół mój jedyny, złoty! On! Więc ta czarownica nie całe mu serce wyjadła? O, dobry pan!

I przerwała, zwracając się do Stacha:

— A tyś mi nie powiadał nic, ty! Stach mruknął.

— Choćby i dlatego nie spieszyłem, bom nie wiedział, czy go nienawidzisz, czy kochasz.

— Ja — wołała Jagna w uniesieniu — nie przestałam go kochać nigdy! Odepchnął mnie, bo

musiał, na to panem jest! O, tamta by mi go nie odebrała, gdyby mu ziela pić nie dali. Nie będzie kochał, ino mnie, tak jak ja tylko jego! Oczyma czar rozbiję!

Stach, patrząc na nią, dziwił się cudowi. Niewiasta przed chwilą zwiędła, blada, zboląła, zmieniła się w mgnieniu oka. Słowo jedno oddało jej młodość, siłę, życie. Stała się prawie taką, jaką była, gdy do Gaju pędziła, aby ukochanego zobaczyć. Śmiała się, płakała, biła w dłonie, kręciła się po izbie, szalała. Uczucie wezbrane pędziło do ust słowa, których powstrzymać nie mogła.

— A! Ja mu wszystko zapomnę, byle on mi powrócił! Dowiaduje się, śle po mnie. Idź, mów, jam tutaj, chcę mu do nóg paść!

Wzdrygnął się Stach i rzucił.

— Wstydu nie masz! — zawołał gniewny.

— Nie mam — odpowiedziała — bo kocham!

Upamiętać ją nie było podobna. Stachowi się serce ścisnęło, jakby pęknąć miało. Wstał z ławy i chciał odejść; przerywanym głosem rzekł tylko:

— Czyń, co chcesz. Idę precz. Poprzysiągłem służyć panu, ale z Wichfriedem jedną drogą nie pójdę, nie! Nie moja to sprawa!

Chwiejnym krokiem szedł do drzwi, gdy Jagna go za ramię chwyciła.

— Tak ci to się do mnie jak pies przywiązał? — poczęła śmiejąc się.

— Ano, jak pies, prawda, nie jak człek, bo zapłaty za to chcesz.

— Od ciebie? Ja nie chcę nic, nic — krzyknął Stach — tylko wolnym być!

— Mnie tej wiedźmie i Niemcowi dając na pastwę — odparła Jagna — aby głupią i bezbronną życia zbawili! Ano, tak! Tego chcesz! Zabiją mnie, tyś chciał!

Odwrócił się Stach z brwią namarszczoną.

— Ja ci stręczycielem i przejemcą do księcia nie będę! — zawołał. — Chceszli stąd precz

ić, uciec od złego, pójdę za tobą, bronić będę, a drugiej Doroty czynić ze Ściborzanki nie dam!

Na to imię Jagna z zaciśniętymi pięściami przypadła do niego.

— Milcz ty, zbój! — krzyknęła. — Ty mnie śmiesz równać z tą wszeteczną! Mnie, com

nigdy nie znała nikogo nad tego, który mi mężem był, co mi przed Bogiem przysięgał! Mnie — z Dorotą!

Stach znowu do drzwi szedł, gdy go schwyciła oburącz i zmusiła stanąć.

— Co chcesz, abym czyniła?

— Iść stąd trzeba precz.

— Nie pójdę! Nie mogę! — rzekła Jagna.

— Więc ja idę, bo na to patrzeć nie chcę, osłaniać nie będę.

— Kogo osłaniać?! — zawołała Jagna. — Osłony mi nie trzeba, kryć się nie będę. Jestem pierwszą i prawo mam do niego! Ani ta, co się księżną nazywa, większego nie ma nade mnie!

Gdy to mówiła, Stach jedną nogą był już za progiem. Goniła za nim.

— Stójże — wołała — ja cię trzymać nie będę, pójdiesz, gdy zechcesz, ale ujść ci nie dam teraz z pogardą dla mnie, po tych słowach, które mi w twarz cisnął!

Błagającym jej, namiętym głosem ujęty, Stach zatrzymał się raz jeszcze. Dziewczę poznało, że osłabł i złamanym był i pociągnęło go na powrót do izby.

— Stachu! — wołała. — Ty mnie nie możesz, tyś nie powinien mnie porzucać! Nie zdradziłam cię, bądź mi, jak byłeś, bratem!

— Gdybym ci naprawdę bratem był — rzekł Stach — niczyją miłośnicą nie dałbym ci być, abym się nie sromił za ciebie.

— Srom! Srom! — załamując ręce poczęła Jagna. — Jam nie wiedziała o sromie, gdym go pokochała. Dziećmi poczęliśmy się miłować, byłam mu i jestem żoną taką, jak ta, co mi go odebrała. Zmusili go do niej, nieszczęśliwym jego i mnie zrobili. A ta wiedźma zieleń napoiła i struła!

Głosu jej brakło, wiedziała, że Stach patrzy groźnie; błysły jej oczy, przyskoczyła do niego.

— Słuchaj! Ty kłamcą byłeś, ty — nie ja! Tyś nie Zabor z Przegaju, ty jesteś Stach z Konar!

Ja cię wydam, abyś szedł precz ze sromem! Srom na tobie nie na mnie!

Rzuciła mu to w twarz nawzajem. Pobladł, ale trwogi nie pokazał.

— Odegnają cię! — powtórzyła.

— To pójdę — rzekł chmurno.

— Nie złękiesz się? Potrząś głową.

— Tak i powinno być — dodał — za to, że cię miłowałem, zapłacisz mi! Na taką płacę od niewiasty człek zawsze musi być gotów.

Jagna ręce załamała.

— Każ mi czynić, co chcesz — poczęła — posłucham, tylko mi nie mów, abym się go

wyrzekła, gdy chce powrócić do mnie, bo umrę! Każ mi lepiej zaraz umierać! Zabij sam, nie powiem nic. Stach znękany upadł na ławę. Jagna twarz zakryła rękami, potem pobiegła do wody, wychyliła kubek chciwie i wróciła, wpatrując się w niego, rozgorączkowana i drżąca.

— Wyrwać go trzeba tej wiedźmie! — poczęła szeptać. — To ja tylko mogę, ja zrobię!

Nie słuchał prawie Stach, pogrążony w sobie, zachwiany, przeklinając życie. Tak chwilę długą przesiedział walcząc i jęcząc, nie widząc stojącej ciągle przed sobą.

— Dotrwam mu wiernym — rzekł w końcu do siebie — choćbym i sromu się napił. Taka dola moja! Srom mu dam na ofiarę za życie!

Ręką spotniałe otarł czoło.

— Cóż ty chcesz, abym czynił? — odezwał się słabym głosem.

Jagna padła przed nim na kolana.

— O, ty dobry człowiecze — krzyknęła — ja bym ci nogi całowała! Ty nie porzucisz biednej?! Ulitujesz się, mówi

— Nie porzucę — rzekł Stach.

— Idź do niego, oznajm mu o mnie.

— Ja nie mogę — odezwał się cicho, poznać by mnie mógł. Mnie dla niego na świecie nie ma. Ja jestem — policzek! Pókim ja żyw, on skrzywdzony.

Słów mu zabrakło.

— Tak — odparła Jagna — ty jesteś policzek, ty iść nie możesz. Hreczyn mój pójdzie do

niego, wrzekomo z żałobą, z poselstwem ode mnie. Wichfriedowi o mnie ani słowa! Rozumiesz?!

Niemiec wróg mój, bo z wiedźmą trzyma.

— Czyń, co chcesz — rzekł Stach — mnie i tak inne sprawy wołają, muszę precz.

— Ale powrócisz — przerwała Jagna chwytając go za rękę. — Oni mnie gnać stąd i palić zechcą, i zabijać może, trzeba, byś przy mnie był. Wiedźma ustąpić musi albo ja umrzeć.

Nie sprzeciwiając się więcej, Stach milczał. Tegoż dnia zawołała do siebie Hreczyna, który dla niej na wszelką usługę był gotów.

— Pójdiesz na zamek — rzekła mu — po co chcesz, z czym ci się zda, z żałobą do pana, po jałmużnę. Będziesz tam stać i czekać, dopóki mu nie rzucisz w ucho, że Ściborzanka tu jest, w tym dworku i czeka na niego.

Stary Hreczyn oczyma tylko błagał ją, aby tego nie czyniła. Nie dała mu się odezwać.

— Chcę tego, pójdiesz i powiesz mu, rozumiesz?

Sługa westchnął i pokłonił się pokornie, ale łzę miał w oku.

— Nikt prócz księcia słyszeć tego nie ma — dodała — idź zaraz, a nie wracaj z niczym.

Hreczyn namyślał się długo, poszedł potem do komory swej, odział się ubogo, próbował jednej i drugiej sukni, z kolei kilka podeptał nogami niecierpliwie, wreszcie lichy przybrany, z kijem w ręku ku wrotom pociągnął. Jagna, niecierpliwiąc się i zzymając, czatowała w oknie na wychodzącego. Gdy go ujrzała, worek, który miała nagotowany w ręku, wysunęła ku niemu.

— Weź, byś miał czym kupić odźwiernych.

Hreczyn powłókł się ku zamkowi. Dostać się do księcia nie było naówczas trudno, nawet najbiedniejszemu człowiekowi. Za czasów surowego Mieszka puszczano wszystkich z żałobami

wedle starodawnego zwyczaju, u Kaźmierza drzwi każdego czasu dla biednych stały otworem. Nie odsyłano do urzędników, chyba gdyby pana nie było. Gdy na zamku się znajdował, sam sądził i słuchał. Lecz przy tych posłuchaniach stali zawsze u boku księcia urzędnicy, dwór i komornicy.

Rzadko bywał sam bez świadków. Musiał Hreczyn szukać takiej zręczności, aby go jednego spotkał.

Dla ludzi, co na posłuchanie w zamku oczekiwali, miejsce było w przedsieniach lub w

podwórcu i pod wałami. Hreczyn siadł z dala, aby mógł się rozpatrzeć i wyczekać. W torbie miał chleba kawałek, bo kto wie, jak długo siedzieć trzeba było. Cały dzień zszedł do wieczora bez skutku. Gdy wrota zamykać miano, nie wracając do dworku, przypadł gdzieś u płota w kuczki i tak noc przedrzemał.

O świcie, gdy otwarto bramę, wsunął się pierwszy, a że właśnie kościół odmykano, stanął przy drzwiach jego. Wiedział, że ksiązę co dzień tu na ranną mszę przychodzi, myślał, że może samego trafi w kościelnym progu. Nie zawiodła go nadzieja; Kaźmierz szedł przodem, a za nim z dala dwór. Hreczyn się jak żebrak pokłonił i gdy ksiązę z kalety dobywał jałmużnę, którą każdego obdarzał, odezwał się żywo:

— Miłościwy Ksiązę, nie po jałmużnę przychodzę, a z poselstwa od Ściborzanki. Pozdrawia Was i do nóg Waszych pada. Jest tu.

Hreczyn, oczyma mierząc zbliżających się, pospieszał z resztą.

— Czeka na Was, ale nie godzi się, aby o tym drudzy, prócz Was, wiedzieli, dla sromu biednej niewiasty.

— Męża ona ma? — spytał ksiązę.

— Nigdy żadnego nie miała — odparł stary sługa. Nadchodzili już dworzanie. Ksiązę rzucił mu pieniądz i słowo:

— Będę u niej.

Służba chciała starego odepchnąć, gdy Kaźmierz rzekł:

— Dajcie mu pokój, z żałobą do mnie szedł, niech odejdzie z Bogiem.

Ustąpił Hreczyn, lecz choć mu się tak powiodło szczęśliwie, jak struty do dworku powrócił.

W sumieniu mu było ciężko, obawiał się o panią, niósł wieść, która jak kamień ważyła. Gdy wrota zaskrzypiały, Jagna, okiennicę odsunawszy, głowę nachyliła z pytaniem:

— Hreczyn? z niczym?

Czekała półzywa na odpowiedź, pierś cisnąc ręką.

— Z niczym? — powtórzyła.

— Sprawilem, coście kazali — rzekł sługa. Krzyknęła z radości.

Stało się wnet, czego niewiasty służebne zrozumieć nie mogły. Od czasu przybycia do

Krakowa Jagna nie myślała o stroju, chodziła w sukni jednej, odziana ubogo, nie wiedząc, co na siebie brała. Nagle dobywać kazała ze skrzyń suknie, chusty, gźła szyte, wszystko, co miała najdroższego.

Siadła, kazać czesać i splatać włosy, które poplątane wiązała lada jaką taśmą. Wszystko jej teraz było brzydkie i ubogie, stroiła się zrzucała, przybierała niecierpliwą, a na szelest najmniejszy zbiegając do okna.

Przez cały dzień kładła, co tylko miała, dziewcząt pytając, jak jej w tym było, to śmiejąc się, to chmurząc. Wdziąka na ostatek suknię czarną, gźło białe, kolce i pierścienie, włosy zaplotłszy, jak niegdyś nosiła, siedziała w oknie i czekała. Czekala dzień i wieczór cały i noc już była, a nie przybył nikt. Płakać zaczęła, a gdy sen morzył, legła, jak stała, na łożu, budząc się co chwila i do ciemnych okien zbiegając.

Nazajutrz tak samo, stroiła się rano, do okna szła i ruszała się od niego. Dziewczęta, z dala patrząc, strachały się jak obłąkanej. Dzień schodził powoli: jeść nie chciała, piła wodę tylko i przysłuchiwała się szmerom ulicy, nie dając się odciągnąć od okna. Nie było nikogo.

Kaźmierz powrócił z kościoła innym, jak poszedł. Wichfried dostrzegł to pierwszy, iż

weselszy był, ale niecierpliwy i roztargniony. Chciał zaraz korzystać z tego, aby pociągnąć do wdowy. Książę się nań oburzył.

— Idźże ty mi z nią! Znać was nie chcę! — zawołał groźnie.

Zmieszany Wichfried zamilkł, ale tym bardziej czuwał nad nim i pilnował. Książę go z

różnymi poleceniami odsyłał. Dawna poufałość zmieniła się w chłodną jakąś i sztywną, Niemiec próbował wesołym być, Kaźmierz mu się marszczył.

Tak dzień jeden i drugi upłynął, a Wichfried coraz był niespokojniejszym. Uparty Niemiec

stał na czatach do późnej nocy, dopóki mu komornicy nie powiedzieli, iż książę do snu się położył i nikogo wpuszczać nie kazał.

Nie udało mu się i ze Stachem, do którego biegał sam, nie mogąc zastać. A wręście

odprawił go kwaśno Zabor z Przegaju tym, że się do podobnych spraw nie nadał i o Ściborzance nie wie nic, a na Szląsk jechać musi, radząc mu, by sobie kogo innego szukał.

Nazajutrz ponowiło się to, co wczoraj: Wichfried pilniejszym był na służbie niż kiedy, nie dowierzał księciu i obawiał się o siebie. Kilka razy zagadnął o Dorotę, Kaźmierz się odwrócił i zbył

kwaśnym milczeniem.

Odprowadzany dla ważniejszych spraw, Niemiec nie odchodził daleko, siadał w pierwszej izbie i w kości z komornikami grał, ku drzwiom spoglądając. Wieczorem Kaźmierz szedł do

księżnej i dzieci, zostawując go samego, aż póki komornicy drzwi zamykać nie zaczęli. Naówczas Wichfried uchodził do wdowy zdawać sprawę z tego, co się działo; biedowali oboje.

Jednego wieczora, gdy Kaźmierz do snu się miał kłaść, posłał pacholę po Smoka. Odział się opończą ciemną, tylnymi drzwiami z nim po wałach do wrót doszedłszy, furtę otworzyć kazał i z zamku się wymknął. Noc była ciemna, nie poznał nikt, a gdy w kilka godzin później nazad

powracał, nie spotkał nikogo. Komornicy, co u drzwi sypiali, skrzypnięcia drzwi nawet nie słyszeli.

Smok tylko, ze zwieszoną głową, chmurny, gdy na swój barłóg powrócił nocą, prześladowali starego towarzysze, iż się nierychło o siwych włosach wybrał na nocne wycieczki.

## X

Nazajutrz wieczorem u stołu książęcego zasiadała znowu ta gromadka ludzi poważnych, z

którą Kaźmierz czas lubił spędzać, słuchając ich i ucząc się, a zagrzewając do myśli wielkich. Ci sami tu byli, których widzieliśmy w jego towarzystwie: opat Lucjusz, scholastyk Lambert,

benedyktyn jeden z Tyńca, mistrz Wincenty i dziekan krakowski Pełka, domniemany już naówczas następca biskupa Gedki, prawa ręka jego.

Jak zwykle, gdy się tu duchownych kilku zebrało, którzy rozmowę ożywić umieli coraz

nowymi opowiadaniem, jeszcze mis nie zdjęto, a już żywo rozprawiano nie o tym, co nadto terażniejszość przypominało, lecz co od niej oderwać mogło.

Mistrz Wincenty, ze wszystkich najmłodszy, pamięcią, wymową, żywością umysłu

przodował. Słuchali go, zdumiewając się niewyczerpanej erudycji i łatwości strojnego słowa.

Cystersi, do których zakonu skłonność i przywiązanie wielkie okazywał, zazdrościli go księciu i kapitule, przyklaskując uczonemu i świątobliwemu młodzieńcowi.

Nawet gdy najposępniejszej był myśli, a na sercu ciężar miał, największy, Kaźmierz wśród

tych przyjaciół swych odzyskiwał swobodę ducha i wesołość, zapominał o powszednich troskach, zatapiał się w rozmyśleniach nad wielkimi zagadnieniami natury i przeznaczeń człowieka, do których legendy treścią swoją pobudzały.

Były to czasy cudów i cudownych ludzi, pobożności gorącej, uniesień ku niebu, ascetyzmu i zapалу



religijnego. Były to czasy, gdy suknię świętego Bernarda, powołującego na wojnę

krzyżową, rozdierano na drobne szczątki, gdy na krzyże nie stało tkaniny, aby nimi obdzielić tysiące; czasy, gdy święci ludzie widzieli nad sobą rozwierające się niebiosy, gdy pustelnicy karmili się łzami i modlitwą, w postach trwając całe miesiące; czasy, gdy na wagę złota i diamentów kupowano relikwie świętych, a klasztorom pobożnym nadawano całe księstwa, aby bez troski o chleb głosiły chwałę bożą.

Na zachodzie rodziły się rycerskie poematy, na wschodzie odegrywały się one pod murami

zagrożonej Jerozolimy, na północy legendy jak wędrowne ptaki przylatywały, zwiastując wiosnę wiary. U stołu książąt, u ogniska możnych panów, gdy wieczorem zasiedli ludzie, a mnich pośród nich, świętym powieściom nie było końca, w których często i ze wschodu przyniesiona baśń, przeistoczona i przeobleczone szatą nową występowała.

Tego wieczora właśnie mistrz Wincenty drugie już opowiadanie miał rozpocząć, na które z

niecierpliwością oczekiwano. Mowa była o niewdzięczności ludzkiej, o której szeroko i długo rozwodzili się goście książęcy z powodu pogłosek, jakie chodziły o synach Władysławowych, obdarzonych i osadzonych na szlaskich dzielnicach, że się zdradziecko z Mieszkiem i innymi nieprzyjacioły Kazmierza wiązali. Książę wiary temu dawać nie chciał, ale zła wola ich jawnie się już okazywała.

Mistrz Wincenty, gdy inni na niewdzięczność powstawali, wedle zwyczaju swojego

zapowiedział, iż o tym ma piękną do przytoczenia historię dawną, a gdy się książę jej dopraszał, tak począł:

„Król pewien nad państwem swym namiestnika postanowił, którego serce przez

wywyższenie w taką się dumę i złość wbiło, iż wszystkich ludzi zmuszał, aby myśli jego i rozkazy spełniali. Nie opodal od pałacu pańskiego był las pełen zwierza dzikiego, nakazano w nim doły kopać, gałęzmi i liśćmi je pokrywając, aby zwierzęta w nie wpadały. I stało się raz, że namiestnik ów przez las jadąc, rozmyślał w sobie, jak potężnym był, że nadeń w całym państwie nikogo silniejszego nie było. Tak dumając a jadąc dalej, na dół najechawszy, padł weń z koniem i wynijść z niego nie mógł. Tegoż dnia do tego samego dołu wpadł był już wprzód lew, później małpa, na ostatek wąż. Namiestnik, widząc się otoczony dzikimi zwierzęty, uląkł się bardzo, o pomoc na głos wołając.

Krzyk ten usłyszawszy, chudzina pewien imieniem Gwidon, który na osiołku zwykł był

drwa z lasu wozic, nadbiegł do dołu. Począł mu namiestnik obiecywać bogactwa wielkie, jeśliby go ratował i wydobyć się pomógł.

Na co rzekł Gwidon:

— Najmiłościwszy panie, nie mam z czego bym żył, susz tylko zbierając się żywie, gdy

dzień stracę, szkodę poniosę wielką.

Na co odpowiadając, namiestnik nagrodę mu przyrzekł wielką, byle go z owej jamy

wydostał. Gwidon, usłyszawszy to, szedł zaraz do miasta, sznur przyniósł długi i spuścił go do dołu, aby namiestnik się doń uczeplił, a on wyciągnąć miał. Aliści, gdy sznur się spuścił, skoczył lew naprzód i wyciągniony został, a zaryczawszy pobiegł w las. Gdy wtóry raz sznur spadł, skoczyła doń małpa i dobyła się z jamy, w las uciekając. Za trzecim razem węża Gwidon wyciągnął, który świsnąwszy, uszedł na puszcze. Naówczas namiestnik wołać począł:

— Miły mój, niech będzie błogosławiony Bóg za to, że od dzikiego zwierza jest wolny!

Spuście teraz sznur ku mnie!

Tak się i stało, podpasał się nim, a Gwidon go do góry wyciągnął. Dobyli potem konia, na

którego siadłszy, namiestnik do pałacu wrócił, a drwał poszedł do domu.

Żona, zobaczywszy, iż z próżnymi rękami przybywa, zasmuciła się, ale on jej przygodę swą

opowiedział i przyrzeczenie otrzymania nagrody, które ich pocieszyło. Rano tedy szedł Gwidon do pałacu i odźwiernego posłał do namiestnika z oznajmieniem, iż na łaskę jego czekał. Ten zaś raz i wtóry zaparł się w żywe oczy, iż człeka nie widział, a gdy precz odchodzić nie chciał, różgami go się osiec odgrażał. Za trzecim razem gdy przybył jeszcze, odźwierny go osmagał tak okrutnie, iż ledwie żyw został. Dowiedziawszy się o tym, żona Gwidona przybyła z osiołkiem i zawiozła go do domu, kędy chorzał długo i czasu choroby wszystko, co mieli, na przeżywienie stracili.

Gdy nareście ozdrowiał, powrócił znowu do lasu susz zbierać. Tu mu zaszyły drogę dziesięć

osłów objuczonych, za którymi lew postępował, wprost idąc z nimi do Gwidona. Poznał go od razu, iż ten sam był, którego on z jamy wydobył. Lew, zbliżywszy się, nogą mu znak dał, aby osły do domu zabrał, co się też stało. Szedł za nim lew i odprowadziwszy go do wrót domu, zaryczał, biegnąc nazad do lasu.

Ogłosić kazał Gwidon po kościołach, czy komu osły nie zginęły, a gdy się nikt nie zgłaszał, juki otwarto, a dostatki w nich znaleziono, które posiadłszy, stał się możnym.

Gdy znowu do lasu szedł, a żelaza z sobą nie wziął do rąbania drzewa, spojrzawszy do góry, małpę postrzegł, którą z jamy wyciągnął. Ta rękami i pazurami gałęzi nałamała tak wiele, iż stało na obładowanie osła i Gwido powrócił do domu ze zdobyczą.

Trzeci raz przybywszy do lasu, gdy siedział siekierę przysposabiając, ujrzał węża, którego z dołu dobył, niosącego w pysku kamień trzema barwami zafarbowany: z jednej strony był biały, z drugiej czarny, z trzeciej czerwony. Wąż pysk otworzył i kamień mu na kolana upuściwszy, zniknął. Gwido z kamieniem poszedł do miasta do takiego, co nimi kupczył. Ten, obejrząwszy i własności jego uznawszy, dawał mu zań chętnie sto złotych. Ale kamień, sprzedany, nazad do niego powrócił. Tak nabywszy majętności z pomocą kamienia tego cudownego, zaciągnął się drwał jako rycerz w służbę

pańską. Król, o nim słysząc, zawołać go kazał do siebie, żądając, aby mu kamień ten sprzedał albo go precz z państwa wysłał. Gwidon rzekł:

— Miłościwy Panie, kamień ten sprzedam Wam, ale jeśli mi nie dacie, co wart jest, powiadam, że on do mnie powróci.

Dał mu król złotych trzysta, ale kamień potem znalazł się u Gwidona, który go panu odniósł.

Dziwując się król rzekł:

— Powiedz mi, jakoś ty do tego kamienia przyszedł?

Naówczas od początku całą historię opowiedział drwal, jako przez namiestnika był osieczony, a co od lwa, małpy i węża otrzymał. I poruszyły się wnętrzości pańskie przeciw namiestnikowi, którego wnet przywołać kazał.

— Co słyszę o tobie?! — zawołał.

Nie mógł przeczyć obwiniony. Król rzekł: — O niegodziwy i niewdzięczny, za to, coś mu uczynił, winien byś wisieć i co masz, powinno być ukrzywdzonemu oddane.

Panowie rady sąd ten potwierdzili i Gwido państwem rządził."

Gdy mistrz Wincenty opowiadanie swe dokończył, ozwał się ktoś, że Kietliczowi by los

owego namiestnika należał, na co scholastyk Lambert odpowiedział, iż państwo spisków złych ludzi obawiać się nie ma potrzeby, gdyż królestwo sprawiedliwych Pan Bóg ma w opiece.

Ksiązę, usłyszawszy to, dodał, że i on w tej opiece zawsze największą ufność pokładał, ale bolał nad tym, iż wszystkie państwa i królestwa miały swych opiekunów, rzeczników i

orędowników w niebiesiech, a jedno tylko to państwo jego własnego patrona nie miało, gdyż święty Wacław czeskim był, a Wojciech święty nie rodził się też na tej ziemi, choć na niej był uczczony.

Wtrącono zaraz, co z pomocą świętego Dionizjusza we Francji się działo, potem o

błogosławionym Tomaszu Kantuaryjskim, aż dziekan Pełka rzekł:

— I my byśmy też swojego biskupa, który męczeńską śmierć poniósł, za łaską stolicy rzymskiej mogli mieć na ołtarz podniesionym, jako zasłużył, bo i u jego grobu cuda się dzieją.

Na co mistrz Wincenty, który równie jak Pełka znał Rzym, iż przystęp tam był trudny i robota ciężka dla zmieniających się papieżów, odparł:

— Wszyscy święci do całego chrześcijańskiego świata należą, Rzym onych szczątków i ciał

świętych z czasów prześladowania wiary pełen jest. Łatwiej by więc było u papieża zwłoki jednego ze świętych wyprosić, który by się stał opiekunem królestwa tego, niż wyjednać ubłogosławienie.

Każmierz wnet, jąwszy się chciwie tej myśli, począł wołać, iż szczęśliwym by się czuł,

gdyby za jego panowania Kraków uzyskał patrona, o którego do Rzymu, prosząc, koniecznie

wysłać chce posłów.

— A jako rycerski nasz kraj jest — dodał Pełka — tak nam też Bóg łaskaw i biskup rzymski

da rycerza pewnie, który by na straży stał i bronił nas.

Wszczęła się tedy mowa o Rzymie, który dziekan Pełka opisywać zaczął, jak jest w

świętości bogaty, iż tam każda niemal garść ziemi męczeńską krwią i błogosławionych stopami jest uświęcona. Książę rozgorzał niezmiernie myślą tą, jakoby dla siebie i królestwa opiekuna zyskał, i o niczym już więcej nie mówiono, tylko o tym. Opowiadano o cudach, jakie kości świętych

ściągały, o wielkiej dzielności pośredników, o relikwiach po wszystkich krajach rozproszonych, w które jedna tylko Polska najuboższą była, cały bowiem skarb jej składał się z tego, co Bolesław wykupił od Prusaków, Petrek do Wrocławia wyprosił, a królowa Salome dla dzieci swych

zostawiła. Rozprawiano jeszcze, różne piękne legendy przywołując o opiece świętych i duchów błogosławionych, gdy pomimo pory spóźnionej hałas się dał słyszeć u wnijsia.

A że w tej porze nikt nie zwykł był przybywać, rzucili się komornicy pańscy obaczyć, co się stało, gdy w progu biskup Gedko się ukazał.

Już pora, o której się tu zjawił, i to, że sam nie wahał się na zamek jechać, zwiastowały, iż z próżnymi nie przyszedł rękami. Oblicze też starca obleczone smutkiem mówiło o niedobrym

poselstwie, wszyscy ruszyli się z miejsc zatrwożeni, a książę, który się był ożywił rozmową, niespokojny naprzeciw pasterza pospieszył.

— Synu mój — odezwał się Gedko poważnie — nie chciałem, abyście z ust obcych

dowiedzieli się o tym, co wam przynoszę, zarazem smutek, radę i pociechę niosąc.

Zamilkł trochę.

— Oto przed godziną może — dodał — poseł do mnie przybył z Gniezna od księdza

Zbisława. Mieszek opanował to miasto, a drobni ziemianie i rycerstwo Poznań mu też oddało!

Biskup, mówiąc to, ręce załamał. Książę stał prawie niezmienny, spokojny, głowę tylko lekko skłoniwszy.

— Cóż się z Ottonem stało? — spytał po chwili.

— Mówią, że się przed ojcem ukorzył i z nim przejednał, przebaczenie otrzymawszy.

— Bogu tedy niech będą dzięki! — przerwał Kaźmierz. — Bogu dzięki!

Wtem Jaksa wystąpił zza stoła.

— Miłościwy Panie — począł głośno, poruszony mocno — tego ścierpieć nie można,

musimy iść na Gniezno! Do ciebie ono należało, więc nie tylko przeciw synowi, ale przeciw tobie się porwał! Jeżeli mu to ujdzie bezkarnie, możemy się go i w Krakowie spodziewać!

Zawtórowali temu Goworek i Mikołaj Lis, brat dziekana.

— Trzeba nam iść nań! — zawołali. — I to nie mieszkając, aby nie miał czasu ludzi

gromadzić i na inne się rzucić dzielnice! Po Mieszku wszystkiego się spodziewać można. Dowodna rzecz, iż ze Szlązakami jest w porozumieniu, a siłę zdobywszy, nie zaśpi.

Potwierdzali to wszyscy. Gedko się nie sprzeciwiał. Książę słuchał milczący. Ten i ów

wyrywali się z gorącymi mowami przeciw Mieszkowi i Kietliczowi. Chcieli niektórzy arcybiskupa Zbysława wzywać, aby klątwą przywłaszczyciela odegnał. Oburzenie było powszechne, gniewni panowie słów nie mierzyli, wszczęło się wołanie i narzekanie straszne, jakby wnet na wojnę się zabrać miało.

Patrzyli na księcia, który stojąc naprzeciw biskupa, słuchał, czekał i ust nie otwierał.

Biskupowi z myśli swej nie potrzebował się spowiadać, gdyż wprzód mu ją już był objawił, lecz gdy Jaksa, o cześć i potęgę pańską dbały, nalegał, aby wojsko zbierać i wysyłać, Kaźmierz go ręką i wejrzeniem zatrzymał.

— Jakso miły — odezwał się — pytajcież mnie, co ja trzymam o tym. Za miłość twą dla

mnie dziękuję ci, lecz jakem to zawczasu mówił, przeciw ojcu i bratu nie pójdę. Wiecie wszyscy, iż ojca wolą było, aby Mieszek Poznań trzymał, wraca więc do tego, co mu było przeznaczone. Na ojca bym się więc porywał a razem na brata, gdybym mu odbierał, co doń należy. Niech używa w pokoju!

Zdumienie wielkie ogarnęło wszystkich, spoglądali na się z niedowierzaniem. Nikt jednak

przeciw tak stanowczo wypowiedzianej woli pana występować nie śmiał.

Najodważniejszy Jaksa rzekł cicho:

— Wola Twa, Miłościwy Panie! Sprawiedliwym chcesz być z niesprawiedliwymi, daj Boże, byś za to był wynagrodzonym.

— W sumieniu mym już jestem — odparł ksiązę.

— W tym, w czym się Miłość Wasza rozgrzeszyć nie chce, oni się łatwo rozgrzeszą —

dodał Jaksa. — Nic bym nie mówił, gdyby się na tym skończyło, ale dusza moja czuje, że to dopiero początek. Synowie Władysława i Mieszek roszczą prawa do Krakowa, choć papież rzymski nowy porządek następstwa na prośbę ojców duchownych i naszą zatwierdził prawem swym

zwierzchnim. Nie chcesz, Panie, z braćmi wojować, będziesz musiał bronić się zdrajcom.

Mikołaj Lis powtórzył to samo. Ksiązę stał niewzruszony i spokojny.

— Mili moi — zawołał — ziemianie i doradcy! Żądajcie po mnie, czego chcecie, uczynię

wszystko z ofiarą władzy i mienia, ale nie chcecie ode mnie, abym przeciwko sumieniowi i sprawiedliwości szedł, bo tego nie uczynię, nie!

Gedko głową spuścił i westchnął.

— Gotujmyż się przynajmniej ku obronie a rychło! — zawołał Jaksa. — Jako mnie żywym

widzicie, co przepowiadam, to się stanie. Nie mówiłbym tego, gdybym ludzi nie znał, a myśli ich nie wiedział. Gotujmy się, póki czas! Nie tają się oni tym, że swą dzielnicę chcą odzyskać, bo za swą ją uważają. Bolko mówi, że ona mu należy, Mieszek, że była jego i doń powróci. Słabego Leszka oblegają, na Mazury i Kujawy wytrzeszczając oczy chciwe. Nie mówię sam za się, ale za wszystkich ziemian i ojców, którzy pod jarzmo ich iść nie chcą. Ty, Panie, o sobie myśl, my też musimy!

— Do obrony bądźmy gotowi — rzekł Kaźmierz — nie jestem przeciw. Do napaści nie

poprowadzicie mnie. Łatwy jestem na wszystko, co się duszy mej nie tyczy, ale poczciwości mej dla panowania nie dam i raczej je rzucę!

Z siłą wielką wymówiwszy te wyrazy, ksiązę zwrócił się do biskupa Gedki, zapytując go,

czy krwawe było zdobycie Gniezna.

— Miłościwy Panie — uśmiechnął się biskup z goryczą — im człowiek dłużej na ludzi

patrzy, tym ich mniej rozumie. Wielkopoleanie z Waszej ręki Mieszka nie chcieli, a wzięli go dobrowolnie z ręki Kietlicza, bez oporu i owszem z radością wielką. Gniezno ubiegli bez żadnego krwi rozlewu. Rycerstwo samo mu przyszło Poznań ofiarować, nie chcąc z nim wojować. Stało się,

jako pomyślał.

— Bogu niech będą dzięki! — powtórzył Kaźmierz. — Zwłaszcza gdy i syn pojednany z ojcem!

Obrócił się do Jakso.

— Wierzaj mi, miły mój, że człowiek, co wszystko stracił i nic odzyskać nie miał nadziei, a przyszedł potem do posiadania choć części tego, co miał za zgubione, nie waży potem łatwo odzyskanego. Dlatego nie wierzę, iżby Mieszek się na mnie miał porywać. A stanie się to, druhu mój, ufam w ziemiany krakowski i moich Sandomirzan, że nie dopuszczą, aby nas gołą ręką ujęto.

Jaksa głową potrząsał.

— Ja też nie wątpię, że bronić się będziemy — rzekł — bo choćbym sam jeden u boku Twego pozostał, dałbym się zabić, broniąc Cię, ale...

Nie dokończył, obejrzał się wkoło i zamilkł.

— Mówcie! — wtrącił ksiązę.

— Ryb przed niewodem łapać nie chcę — począł Jakso — daj Bóg, bym się omylił.

Wprowadziliśmy Cię na stolicę jako jeden mąż wszyscy zgodnie, ale dziś, choć ojcowskim sercem rządysz nami, czy wszyscy się przy Tobie ostoją, ja nie wiem!

Ksiązę słuchał zdumiony, kończył Jakso powoli:

— Jest we krwi naszej, Miłościwy Panie, żeśmy nieustannie przerabiać radzi, cośmy zrobili.

Myśleli ziemianie, sadząc was na Krakowie, że ziemiom tym koronę dawną i dawną jedność przyniesiecie, że wrócą czasy Chrobrych i Mieszka praojca. Z Krakowem, Sandomierzem,

Lublinem, z Wielkopolską, ze spadkiem po Leszku, którego życie na włosku, już się jedno wielkie państwo składało. Z nim czoło byśmy stawili Rusi i mogli ją zawojować całą, Pomorze, Prusy, Łużyce. Nie ja jeden roilem tak, roili i drudzy. Nie chcesz Ty, Panie, czynić tego, azali nie znajdą się, co powiedzą: „Bierzmy Mieszka, ten wahać się nie będzie, w potęgę urośniemy!”

Kaźmierz słuchał w myślach pogrążony głęboko.

— Wierz mi, Jakso, na nieprzyjaciela serca by mi nie brakło, na braci go nie mam, po ich

ciałach do tej potęgi dla was nie pójdę. Mamy dosyć siły, aby się oprzeć nieprzyjaciołom i bronić, dlaczegóż zawojowywać chcecie? Jestli państwo szczęśliwsze, gdy wielkie, na które jednemu

człowiekowi, jako ja, nie starczy oczu i siły, aby nim rządził? Na pogan idźmy! Chrześcijańskie państwa nie są nam wszystkie w Chrystusie braćmi? Wierzcie mi, na maluczkim bym wolał siedzieć, byłem je szczęśliwym widział!

Gedko nie mówił nic, Jaksza też zamilkł. Ciężka chwila minęła, patrzano po sobie smutno.

— Uznacie więc Mieszka na Poznaniu? — zapytał biskup.

— Pierwszy krok do mnie nie należy — rzekł książę. —

Zmilczę i czekać będę, bo on pierwszy do mnie przyjść powinien, nie ja do niego. Jeżeli zwierzchnictwa mego, które wolą ojca przywiązane jest do Krakowa nie uzna...

— Naówczas — wtrącił Jaksza — Wasza Miłość musicie iść nań.

Każmierz ani potwierdzał, ni przeczył.

— Czekajmy więc! — szepnął Gedko smutnie.

Wszyscy już dostrzec mogli, iż na Kaźmierzu odebrana wiadomość przeciwne

spodziewanemu uczyniła wrażenie, weselszym był, ożywił się. Uściskał biskupa, zwrócił się do Jaksy, dziękując za serce, jakie dlań miał i dla państwa jego.

Podczaszemu skinął, by wino przyniesiono.

— Wesolej myśli bądźmy — zawołał — ja się najlepszego spodziewam! Mieszek

uspokojony a nauczony tym, co przebył, szczęśliwie rządzić będzie, zgoda nam wszystkim zaświeci!

Nikt nie zdawał się podzielać tej radości księcia, lecz nikt mu też jej zatruwać nie chciał.

Biskup pożegnał go i odprowadzony do przedsienia, odjechał. Inni, pogwarzywszy jeszcze nieco między sobą, żegnali pana i rozchodzili się.

Na koniec Kaźmierz sam z Wichfriedem udał się do izb swoich. Niemiec, który w sprawy publiczne nierad się mieszał, słuchał rozmów milczący. Widać było, że raczej tych zdanie podzielał, co na Mieszka nastawali.

Z uśmiechem na ustach wszedł książę na próg sypialni, zwracając się do Wichfrieda z tą samą, co do innych czułością. Widać było, że szczęśliwy sam, innych też był rad wesołymi widzieć.



— Stało się — zawołał do Niemca — czegoś z dawna pragnął! Mieszkowi wróciło się, co

mu należało! Miałem dlań obowiązki, sierota wychowywałem się na łasce jego, starszym był, ojcem mi się stał. Zmuszany byłem — Bóg i ty świadkiem — zająć miejsce jego, należało mu choć to, co wziął! Cieszę się i Bogu dziękuję! Wszyscy są w błędzie — dodał — Mieszek zostanie spokojnym i mnie nie zamąci pokoju.

Korzystając z tego usposobienia księcia, Wichfried zaraz zwrócił rozmowę na przedmiot weselszy, na to, że się księciu należała po trudach rozrywka, i o wdowie przebąknął.

— Miłościwy Panie, ja tu zawsze, aż do utrudzenia Miłości Waszej, przychodzę jako

rzecznik za nieszczęśliwą wstawiać się niewiastą. Za co ją karzecie? Co uczyniła, iż łaskę Waszą straciła? Patrzę na nią i lituję się, bo we łzach się roztapia, choruje i wyrzeka.

Nagle rozjaśniona twarz księcia zmieniła się zupełnie, spojrzął na Wichfrieda surowo.

— Uczyniłem dla niej, com mógł, uczynię, co chce, ale powrócić do niej nie mogę — rzekł sucho. — Cierpiałem dosyć, wszystko skończone.

— Lecz cóż się stało?

— Nieszczęśliwy błąd mój naprawiłem — odparł książę — zwyciężyłem się. Widzieć jej nie chcę.

Wichfried przeszedł się po izbie.

— Ta niewiasta zginie marnie. Miłością wielką przywiązała się do Was.

— Wichfriedzie — przerwał książę — spokój mój szanuj!

— Dla spokoju Waszego począłem o tym — odparł Niemiec — niewiasta gwałtowna jest, wszystkiego, nawet zemsty, po niej spodziewać się można.

Namarszczył się książę.

— Strachem mnie nie weźmie nikt! — rzekł. — Wiem, co się u niej dzieje, na gachach tam nie zbywa, jest pocieszać komu.

— Nieprzyjaciele potwarze prawią!

— Przyjaciółmi mymi są, co mi oczy otwierają — rzekł Kaźmierz.

Niemiec, zmuszony, przestał na tym, nie szedł jednak.

— Nie ciągnę ja ani namawiam Was — dodał po przestanku — aliści łatwiej by te więzy z wolna było potargać niż nagle. Raz lub dwa szedłbyś księżę pocieszyć ją, uległaby słowu rozumnemu. Dziś rozpacza i rozum traci.

— Stokroć by mi było trudniej powoli więzy te kruszyć odpowiedział Kaźmierz — postanowiłem nie widzieć jej, spokojny jestem; ty, jako druh mój, reszty dopełnij.

— Miłościwy Panie — z wymówką począł Wichfried — jam ufność Waszą postradał, nie wszystko wiem, przeto niewiele mogą. Sprawa to jest drugiej niewiasty.

Kaźmierz popatrzał nań zarumieniony i głową wzruszył.

— Czas płochych zabawek minął dla mnie — rzekł powoli i smutnie — starszym jestem, spokoju pragnę.

Po rozmowie tej Niemiec widząc, że mu się księżę zwierzyć nie chce, urażony nieco, nie śmiejąc jednak czynić wymówek, postął jeszcze chwilę, zagadał o łowach, o rzeczach obojętnych i wyszedł, dając uczuć księciu, że się czuł pokrzywdzonym. W progu już Kaźmierz go uderzył po ramieniu i rzekł wesoło:

— Druhem mi bądź, jak byłeś, ja ci serca nie odbiorę! Tak się rozstali. Niemiec, pokłoniwszy się, wyszedł zniechęcony i gniewny, postął w sieni i po namyśle pociągnął do wdowy.

Dorota mieszkała już w swym nowym dworze, łudząc się i przygotowując ciągle do powrotu księcia. Nowe mieszkanie swe z pospiechem wielkim przybrała we wszystko, czego jej mógł dostarczyć skarbiec pański. Przepych tu był większy niż w spalonym domu, bo Dorota ściągnęła, co jej pozostało na Skałach. Sama zajmowała się w początku przybieraniem, rozstawianiem, ozdobą nowej siedziby. Roiała, że tu dwór księcia i mnogich gości dostojnych przyjmować będzie. Wichfried po trosze utrzymywał ją w tym błędzie, prawdy nie mówiąc, a spodziewając się ciągle księcia ściągnąć do niej. Łudziła się więc, niemal co dzień oczekując jego przybycia, każdego wieczora stroiła się do niego. Niemiec różnymi przeszkodami nieobecność tłumaczył.

Dnia tego już mu wykłamać się trudno było. Szedł więc powoli, po głowie szukając, czym

ją zbędzie i gniewy jej rozbroi. O tej porze co dnia i teraz wszystko było pogotowiu. Wdowa przechadzała się po izbach, rozkazy dając swym dziewczętom, które strojne też wyglądały przybycia pana.

Piękna jeszcze Dorota, choć lata już ją nieco ciężką i otyłą uczyniły, miała nie ów wdzięk młodości, który obudza zachwyt i cześć, ale drażniący powab dojrzałego owocu, narzucającego się ustom spragnionym. Białe jej ramiona, odsłonięte nieco, obejmowała dnia tego jedwabna suknia w лазur ze złotym tkana, z wzorzystej tkaniny wschodniej. Spod rękawów jak utoczone, śnieżne, wypieszczone wysuwały się ręce, złotymi obwieszane pierścieniami. We włosach miała czółko kamieniami sadzone, na szyi splot cienkich łańcuszków. Twarz, gdyby nie namiętne jej poruszenia, które każdy szelest wywoływał, jeszcze by miała wdzięk rysów prawie młodzieńczy, tak mało czas ją odmienił. Gdy się ustroiła, jaśniała dawną pięknnością swą królewską.

Wśród ciszy na dworze, gdy Wichfried do drzwi zastukał, choć z dala, posłyszała Dorota uderzenie i stanęła twarzą się ku wnijściu zwracając. Wyraz jej przestachem i niepokojem był zmieniony, ręką cisnęła gwałtownie bijące serce. Starła się odgadnąć, czy Niemiec sam, czy z nim przychodził. Słuchała: kroki powolne, mierzone zbliżały się. „Sam był? Nie?”

W głowie i uszach szumiało, tak że nic rozeznąć nie mogła. Wichfried nie spieszył. I to już było złym znakiem. Jak przyrosła do podłogi, nieruchoma czekała nań z twarzą do drzwi zwróconą ciągle. Niecierpliwiła się, nie przychodził. Poskoczyła już sama ku wnijściu, gdy Niemiec, podniósłszy czerwoną zasłonę, opieszalym krokiem jak znużony, ręką pot ocierając z czoła, wsunął się milczący. Czekala jeszcze, odzywać się nie śmiejąc, a on mówić nie śpieszył.

Wybuchnęła na ostatek:

— Cóż? Nie ma go? Nie będzie?

— Nie mógł — odparł Niemiec — właśnie dziś najgorsze nadeszły wieści, Mieszek opanował Gniezno i Poznań. Potrwożeni wszyscy, wojna być może. W takiej chwili trudno mu biegać dla rozrywki.

— Gniezno! Poznań! — krzyknęła. — Cóż mnie do Gniezna i Poznania?! Całą noc go przecie męczyć ci starzy nie będą!

Ręce zacisnęła, patrząc bystro na Wichfrieda.

— Prawdę mi mów!

— Prawda jest, pytajcie innych!

— Gniezno! Poznań! — poczęła. — Ale dawniej mu nic nie przeszkadzało!

— Ano, zestarzał — rzekł Niemiec.

— Nie, nie!

Poruszyła się gwałtownie, przebiegając izbę krokami szybkimi, jakby goniła lub uciec chciała sama od siebie.

— Mówił, kiedy będzie? — spytała stając.

— Sam nie wie. Jutro może na koń go posadzą.

— I pojedzie nie widząc mnie? Wichfried ramionami ścisnął.

— Księciem jest i niewolnym — rzekł. Dorota z pogardą nań spojrzała.

— Kłamstwa! Wymówki! Zdradziectwa!

Łzy pociekły z jej oczów, ale gniewem wyciśnięte; ścięła usta okropnie i miotając się znowu biegała po izbie. Wichfried, postawszy nieco, padł na ławę, wyciągnął się, podparł, zadumał.

Stanęła przed nim.

— Mów mi prawdę — poczęła targając go — mów wszystko, ja się łąz karmić nie chcę, powinnam wiedzieć wszystko! Nie chce mnie znać? Ma inną?

Milczenie było prawie przygotowaniem do pożądaney prawdy, Niemiec tarł czoło i pył strzepywał z sukni.

— Co ja ci mam mówić? — ozwał się ponuro. — Ostygł, o niczym więcej nie wiem. Mnie się nie zwierza.

— Inną musi mieć — zawołała Dorota — ja to czuję! Ci, co się mnie pozbyć chcieli, dali mu ją! Z was przyjaciel dobry, gdy wam on nie mówi nic!

— Tai się, bo wie, żem wasz.

— O, śmieszny człowiecze — zawołała Dorota — a któż ci broni psy na mnie wieszać, aby z niego wyciągnąć, co wiedzieć potrzeba?!

Nogami uderzyła w ziemię.

— Muszę dojść, gdzie ona, kto ona, aby się jej pozbyć! Nie możesz ty nic, wezmę innego!

Wichfried spojrział na nią.

— Weźcie sobie innego — rzeki — jam już dla was ufność jego postradał. Odwraca się ode mnie i tai: dość mi!

Ruszyła ramionami Dorota.

— Wszyscyście tacy! Jeden od drugiego niewart więcej na źdźbło.

Niemiec nie bronił się już nawet, siedział jak złodowaciały.

— Łaj — odezwał się — wolę już słuchać wymówek i łajania, niżeli darmo leżć w ogień.

Straciłem łaskę jego przez ciebie.

— A ja, zem jego straciła — zakrzyknęła Dorota — nie przez kogo, tylko przez ciebie! Inny by mnie potrafił obronić, a ty!

Spojrzeli sobie w oczy. Dorota nagle zaczęła się w gniewie miarkować, przystąpiła doń, rękę mu kładnąc na ramieniu.

— Dość tych swarów! — odezwała się. — Radźmy. Padliśmy oboje, razem się podnosić potrzeba. Nie chcę więcej nic, tylko mi go daj na jedną chwilę, na krótką, na jedną. Moja sprawa, aby mi się wrócił! Widzieć go muszę!

— Hę hę — rzekł Niemiec — zna on to, żeś straszna i tej chwili się boi, ani go ściągnąć!

Rozśmiała się Dorota dziwnie.

— Miałam napój przygotowany — szepnęła schylając się — zaręczyła mi Czechna, że umarłego by obudził. Warzyła kilka nocy, ale ja mu go muszę dać z własnej ręki.

Niemiec nie odpowiadał.

— Dla tej, co mi go chce odebrać, znajdzie się inny — dodała mrugając.

Z niedowierzaniem szyderskim popatrzał na nią Wichfried.

— Co wasze napoje! — odezwał się. — Małoś to go lubczykami poiła, a przeto się znudził i odbiegł! Wiecznie go mieć nie możesz!

Dorota odwróciła się od niego, nie chciała się nawet spierać, tak swego była pewną.

— Nie zechce przyjść — poczęła na pół do siebie — no, to się przebiera i pójdą sama, napój zaniosę z sobą. Wieczorem, po męsku, nawieziesz mnie.

— Ja? Nie!

— Do czegoż się zdał? — zapytała z gniewem wdowa.

— Abym wam wybił z głowy, co niemożliwe — rzekł Wichfried — szukajcie innych, jeśli ich macie za mało; z nim skończona!

Dorota, nie słuchając, prawiała:

— Czechna wróżyła, patrzyła na wodę: mówi, że ma inną. Któż mu ją dał? Sam jej nie wyszukał! Może ty?

— Eh — rozśmiał się Wichfried — dość mi jednej. Nie wdam się więcej w te sprawy, nie!

— O, wy, boście do niczego!

— Tak, jam do niczego! — potwierdził obojętnie.

Zniecierpliwiona wdowa odskoczyła, ręka jej podniosła się, zdawało się, że go uderzy, ale popatrzyła przez ramię i odeszła. Wichfried leżał na ławie. Od progu zawróciła się Dorota i siadłszy znowu przy nim, chwyciła za ramiona, potrząsała.

— Rozbudźże się, mów! Nie poznaję ciebie! I ty już nie masz litości nade mną? Ja ginę!

— A ja nie mogę nic! Żal mi was — odezwał się Niemiec cicho. — Czyńcie już, co się wam zda. Straciłem rozum.

Po chwili namysłu Dorota, która trzęsła się z gniewu, ochłódła, pomyślała, uśmiechnęła się i ukazała, że wieczera stała gotowa w drugiej izbie. Widać było przeze drzwi stół szytym okryty obrusem, lśniący od naczyń złocistych, dziewczęta stały przy nim, jedno z nalewkami i ręczniki, drugie przyświecając. Jak gdyby już zapomniała gniewu i trwogi, Dorota ociągającego się Niemca podwiodła ku stołowi.

— Wprawdzie sami będziemy — odezwała się szydersko — ano, płakać nie ma czego.

Skinęła, aby dziewczę kubek podało. Wichfried, spragniony, wychylił go chciwie. Zasiedli, poufale szepcząc z sobą, Dorota, choć podrażniona i gniewna, ustami się śmiała, udając

lekkomyślną. Niemiec pod wpływem ożywczym napoju zaczął pa- trzeć weselej i usta śmielej

otwierać. To, z czym się wprzódę ociągał i wahał, teraz mu się z nich samo dobywało.

Dorota wyciągała go na słowa, słuchając bacznie i umyślnie okazując zubożenie.

— Jeżeli księżę mnie opuści — mówiła - znajdę innego opiekuna, na nich mi jeszcze nie zbędzie. Choć mnie ogadują i czernią, niejeden choćby ożenić się gotów.

— Na księcia niewiele już rachować — wyrwało się Niemcowi. — Nie wiem ja nic, ale mi się zdaje, że ta, za którą niegdyś szalał i po lasach biegał, znowu tu być musi.

Dorotę krew oblała, lecz nie przerywając, dała mu się rozgadywać.

— Znalazła się pono w Krakowie i gdzieś ją zobaczył w kościele — kończył popijając

Wichfried. — Z początku dopytywał się, niepokoił, jam mu do tego pomagać nie chciał; nie wiem, czy wyszukał.

— Ta, za którą po lasach się upędzał? — przerwała wdowa, oczyma rozognionymi spoglądając na niego, jakby zeń wzrokiem prawdy dobyć chciała.

— Ta, ta, którąście wy pono widzieli nawet.

— Mówił więc o niej?

— Jakoby najrzał ją w kościele — odparł Niemiec — ale wątpię, by mógł wyszukać! Ja mu nie pomogę, a inny nie potrafi.

Widząc, że już więcej się nie dowie, Dorota zerwała się od stołu, wybuchając tak gwałtownie, że dziewczęta stojące za nią cofnęły się, przejęte strachem.

— On, on jej nie znajdzie — krzyknęła — ale ja ją wyszukam! Dlatego to patrzeć już nie chce na mnie! Wyszukam ją i pokażę mu — trupem!

To mówiąc, wdowa porwała kubek, wychyliła go duszkiem i na stół cisnęła.

— Zobaczemy, która z nas zwycięży! Niemiec ruszył ramionami.

**KONIEC TOMU TRZECIEGO**

**TOM IV**

**I**

Lat kilka znowu upłynęło od opisanych wypadków, na skrzydłach swych jasnych i czarnych zmian nie przyniosły wiele. Kaźmierz siedział jeszcze na Krakowie, choć czuć było nieustanne zmowy i spiski, którymi go podkopywano. Mieszek, jak przepowiadano, nie mógł wytrwać spokojnym. Odkryte już były podstępne jego układy z Leszkiem chorym którego dzielnicę spodziewał się zagarnąć z Władysławowiczami, wyzywany do spółki na Kaźmierza obietnicami podziału spuścizny.

Nie żył już biskup Gedeon, który w silnych rękach trzymał wodze często wypadające z dłoni obojętnego Kaźmierza. Na miejscu jego, jak przewidywano, obrany był wychowaniec i spadkobierca myśli, dziekan kapituły, Pełka Lis, równie możny znaczeniem rodu swego, silnej woli, bystrego rozumu, prędkiego postanowienia, energii niezłomnej. Pełka, jak większa część duchownych, przeznaczonych do wyższych dostojęstw w kościele, wychowanie swe kończył w Rzymie, a los mu dał nawet być tam towarzyszem i przyjacielem tego, który na najwyższe biskupstwo rzymskie był obrany. Mąż to był mogący we wszystkim Gedkę zastąpić, a śmielszy jeszcze od niego.

Starzał powolnie Kaźmierz, ale się charakter jego nie zmieniał, występowały tylko z wiekiem dobitniej wszystkie jego jasne i przyciemnione strony: wielka miłość sprawiedliwości, do ofiar gotowa, chciwość wiedzy nienasycona, szukająca pokarmu, gdziekolwiek znaleźć się go spodziewała, pobożność z mlekiem matki wyssana, a duchem wieku rozplomieniona, na ostatek gorącej krwi piastowskiej porywy, które na gorycze życia pociech szukać kazały w zapomnieniu się u boku niewiast, w miłostkach pokątnych. Z tych, co go dawniej otaczali, stali jeszcze wszyscy niemal przy nim, bo Kaźmierz niełatwo serce odmieniał, nie odrzącał lekko druhów starych, nie lubił nowych ludzi i twarzy. Przywiązywał się powoli, ale na długo i choć w bliskich sobie wady odkrywał, wolał ich z nimi, niż nowych a nieznanym.

Jaksa, przyjaciel młodości, służył mu dotąd wiernie, ale w dojrzałym wieku stawszy się pobożnym bardzo, choć jeszcze rycerską wkładał zbroję krzyżem naznaczoną, więcej już na mnicha niż na rycerza wyglądał. Sercem i duszą cały był teraz w swym nowo założonym klasztorze mnichów Grobu Pańskiego, których osadził w Miechowie. Sprawy świata mniej go już obchodziły.

Jaksa, jakeśmy mówili, z Henrykiem razem nieszczęśliwą drugą wyprawę krzyżową odbywał, z niej przywiózł bożogrobców do swojego Miechowa; a że i Henryk także ich klasztor założył, księciu Kaźmierzowi drogą była ta braterska i Jaksy fundacja, do której też się przyłożył.

Nie zapominając o cystersach swoich, pomagał pobożnemu druhowi w jego świątobliwej pracy.



Wszystkie te nowe fundacje na ziemi polskiej były jeszcze przesadzaniem roślin nie naszego nieba, nieprędko mających wydać owoce. Większa część mnichów składała się z cudzoziemców i obcymi tylko pomnażała. Niektóre klasztory wcale Polaków nie przyjmowały. Były to więc odosobnione ołtarze, na chwałę Pańską wzniesione, lecz niewielkiego pożytku dla ziemi. Wedle ówczesnych pojęć szło więcej o to, aby hymn chwały płynął ku niebiosom, niżeli światło szerzyło się po ziemi.

To drugie było celem podrzędnym. Klasztory wychodziły później na korzyść cywilizacji, niosły z sobą księgi, naukę, szkółki, wiele nawet kunsztów i rzemiosł, ogrodnictwo, polepszenia rolnicze, nasiona, lecz w początkach z tym wszystkim stały jak wyspy na morzu, z krajem mało mając związku.

Całe ta *kie* zgromadzenie Włochów, Francuzów, kolończyków, które tylko swoich

przyjmowały, potrzebowały lat długich, nimby się z krajem zżyły, mogły począć nań działać i zawiązać z nim węzeł żywotny. Lecz i to, co mimo woli dawało takie *coenobium* przeniesione na ziemię naszą, drogim było, ziarna z nich się sypały, rozsadniki w nich rosły. Sam widok kościołów, gmachów, samo ocieranie się o ludzi w nich pracujących nauczyły i cywilizowały. Jaksą równie często przebywał na dworze pańskim, jak w Miechowie, gdzie często w chórze z bożogrobcami, w refektarzu ich, w kapitule zasiadał, kosztując błogiego spokoju mniszego życia. Z nim książę lubił rozprawiać o religijnym królestwa swego ubłogosławieniu. Chciał wznosić kościoły, mnożyć monastery, zwozić relikwie, zaprowadzać nabożeństwa, a na granicach państwa tępić pogaństwo uparte w Prusach i Polesiu, gdy na Pomorzu sascy książęta już go uprzedzili.

Ostrzegano ciągle Kaźmierza o zamiarach Mieszka, któremu wiek nie odjął żądz

panowania. Stał przy nim zawsze jeszcze ów Kietlicz, chętny doradca, sługa wierny, prawa ręka pana, nieustannie knujący spiski i podbudzający do jakichś nowych zamachów. Człowiek ten, przy swej powierzchowności niepoczesnej, mowie nieporządnej, pozorach nieokrziesania, miał

zabieglivość i przebiegłość niezmierną, którą lata zaostrzyły jeszcze. Rzuczał się zuchwale na największe niebezpieczeństwa i umiał z nich wychodzić cało. Wiedzieli o nim wtajemniczeni, że przebrany wciskał się aż do Krakowa, wślizgał do zamku nawet, zawiązywał tajemne z ziemianami stosunki i na różne sposoby podszczuwać się starał przeciw Kaźmierzowi, którego miękkość i nieudolność wyśmiewał. A że ludzie łacniej zawsze zło niż dobro chwytają i wiarę mu dają, udawało mu się niechęci budzić przeciw dobremu księciu. Jawniej Kietlicz ukazywał się często w Płocku, Raciborzu, Wrocławiu, a choć 'tu głośno nie występował z niczym, po cichu do śmiałego zamachu namawiał, który według niego nieochybnie powieść się musiał.

Mieszek sam mało występował, na Kietlicza zdając starania, któremu też starszy z synów

księcia, Bolko, młodzian krwi gorącej, a niewielkiej rozwagi, dopomagał chętnie i dawał mu się rzucać i kierować, kędę wskazał.

Do Krakowa kiedy niekiedy dochodziły o tym wieści. Donoszono Gedkowi, dopóki żył, o

zabiegach Kietlicza. Ostrzegał on Kaźmierza, ale ten niełatwo dawał wiarę złemu, przeciw bratu jątrzyć się nie dopuszczał, a otaczający, ciągłymi strachami tymi znużeni, w końcu im ucha nie podawali.

Sam książę marszczył się i posepniał, gdy mu przynoszono wiadomości, w których upatrywał tylko chęć poróżnienia go z bratem i zamącenia miłego mu spokoju. Zwracał natychmiast rozmowę do spraw innych, do ulubionych swych pogadanek o świecie, niebie, przyszłości i żywocie człowieka.

Trwały zawsze owe biesiady z uczonymi, do których należeli mistrz Wincenty, ze wszystkich księciu najmilszy (temu zleconym było pisanie dziejów starych państwa), Pełka, biskup krakowski, cystersów kilku i benedyktynów z Tyńca, prałatów i kanoników kapituły.. Karmiono Kaźmierza zbieranymi dlań zewsząd płodami żywo rozbudzającej się właśnie literatury średniowiecznej i pisarzami starożytnymi, z których ustępy czytano. Z tego się wywiązywały długie, sokratyczne rozmowy, dla których książę o wszystkim zapominał.

Bawiły go też łowy nie dające zniewieścić i gnuśnieć, przypatrywanie się turniejom i gonitwom. Niekiedy znikał Kaźmierz, wrywając się dworowi swojemu, i szeptano, że czasem spędzał wieczory kędyś w zamkniętym dla wszystkich domostwie, do którego przystęp był trudniejszy niż do klasztoru. Wchodził tam sam jeden, unikając oczów, i wymykał się pod straż jednego wiernego Smoka, który u drzwi jak pies był zwykły czatować.

Wichfried, choć łaski pańskiej nie stracił, nie był już tym, co dawniej, powiernikiem serdecznym. Kaźmierz posługiwał się nim rzadko, a nie spowiadał mu wcale. Przyjmował go wesoło, lubił żartobliwe jego i płocze mowy, obdarzał hojnie, czasem ze słowem do kogo posyłał, lecz o sobie nie zwierzał się chętnie. Niemiec przez nałóg, lenistwo czy kunszt, jakim go usidlić umiała Dorota, pozostał jej wiernym. Stosunki jego z nią całe były osobliwe: gachem się czasem wydawał, przyjacielem się nazywał, a zazdrości nie miał wcale, patrząc obojętnie na ciżbę tych, których zawsze lekka niewiasta do zabawy sobie przyzywała.

Życie jej nie zmieniło się bynajmniej, oczekiwała ciągle, ale głowy nie posypując popiołem, strojąc ją chętniej w wianki, a zażywając dobrej myśli. Od wieczery tej, przy której Wichfried wygadał się przed nią z domysłem, iż dawna kochanka księcia w Krakowie znajdować się musiała, Dorota gorączkowo śledziła wszystkie Kaźmierza kroki. Długo się jej nie powodziło i nic schwycić nie mogła, lecz wdowa była uparta, nie szczydziła wydatku, przekupywała ludzi, wciskała się, gdzie mogła, i w końcu doszła do czegoś. Stara pomocnica jej Czechna włóczyła się wszędzie, a najlepiej strzeżone tajemnice przed okiem bab uchować się nie mogą. Upewniła się więc Dorota, że książę

miał inną kochankę. Domyśliła się już, że nią była ta pierwsza, z którą się uganiał po lasach. Przystęp do niej zdawał się niemożliwy. Jagna znikła ze swego dworku, w którym Stach tylko kiedy niekiedy przebywał. Nie wiadano, gdzie się podziała. Znacznie dopiero później wysledziła Dorota, że ją umieszczono w murowanym dworze, jak zamczysko obwarowanym, wśród drzew ukrytym, za Wisłą. Strzeżono go tak, że się tam nikt nie mógł dostać. Porankami i

wieczorami wyjeżdżał ktoś stąd na łowy w lasy, domyślano się w nim przebranej księcia ulubienicy.

Każmierz zajeżdżał do dworu czasu łowów i w różnych porach, gdy tylko zbiec mógł nie postrzeżony. Dwór stał nie opodal za rzeką. Dorota pod różnymi pozorami dostać się tam

próbowała, posyłała Czechnę, ale nie puszczano nikogo, usiłowania były próżne. Nie zaprzestała ich jednak Dorota, a oczom księcia ciągle narzucała się umyślnie. I w tym się jej nie powodziło.

Czasem Wichfried uwiadamiał ją skrycie, gdzie i kiedy księżę się miał znajdować.

Naówczas Dorota starała się tam wcisnąć koniecznie i oczy zwrócić na siebie. Bodaj publicznie zaczepić. Trafiało się kilkakroć, że na pozór celu swojego dopięła, księżę widział ją strojną, piękną, powabną, mogącą namiętność rozbudzić, a jednak pozostał chłodnym i obojętnym. Dorota,

wracając potem do domu, słabła ze złości, miotła się z rozpacz, przeklinała Kaźmierza, łajała Wichfrieda i czekała na zrzeczność nową.

Przy wielkich uroczystościach, na turniejach, nabożeństwach publicznych widzieć ją zawsze było można narzucającą się na oczy księciu, uśmiechającą, wdzięczącą bezwstydnie. Słaby

Każmierz tej jednej pokusie zwycięsko się opierał. Raz udało się Dorocie w czasie gonitwy w podwórcu zamkowym tak się z wolna przysunąć, precyzyjnie między widzami, iż prawie obok Kaźmierza stanęła. Przemówiła śmiało do niego, uśmiechnął się księżę, kilka słów obojętnych rzekł

do niej i natychmiast, chroniąc się od napaści, z miejsca swojego się ruszył. Im dłużej to trwało, tym Dorota zajadlejszą się stawała.

Zamykała się godzinami całymi, siedząc ze starą Czechną, warząc, dymiąc, przygotowując

jakieś czary, z których sobie na próżno skutek jakiś obiecywały. Tymczasem wdowa starych i młodych wciągała do swojego domu, bawiła się, a gdy który w nadziei wyposażenia przez księcia o rękę się zgłaszał, wyśmiewała go lub odkładała na te czasy, gdy zostanie starą babą. Sługa, przyjaciel, domownik Wichfried wisiał przy niej ciągle. Był to ostatni węzeł, co ją z zamkiem łączył. Zrywać go nie chciała, a gdy Niemiec obojętniał i długo się nie pokazywał, wszelkich środków używała, aby go odzyskać. Dwa razy Wichfriedowi trafiały się małżeństwa dobre, swatał

go sam księżę posażno. Dorota zawsze potrafiła zabiec, przeszkodzić, odradzić, nie dopuszczając mu się ożenić.

Do poufałych księcia domowników należał i z Sandomirza wywieziony Goworek, ale ten, mając sobie powierzone namiestnictwo w Sandomirzu i Lublinie, więcej tam siedział niż przy dworze. Ulubiony księżnie Helenie i panu, mąż prawy, silnego ducha, spokojny, na rodzinę nie podszczywał i myśli Kaźmierza poślubiał posłusznie. Dla Goworka nie miał księżę tajemnic, przez niego żonę często trwożną uspokajał i łagodził, za opiekuna go też w myśli dzieciom przeznaczał.

Obok niego występował, już naprzód coraz więcej zyskując władzy, gorętszy i przedsiębiorczego ducha Mikołaj Lis, brat biskupa Pełki, któremu już wielką moc i pierwsze dostojęstwa wrózano. Co brakło powolnemu Kaźmierzowi, on dopełniał rzutkością swoją, gorącością, przenikliwością i odwagą. Mąż był rycerskiego ducha, niecierpliwy trochę, siebie pewny, woli upartej, bystrego oka. Gdzie trzeba było ziemian hamować, coraz z większymi występujących żądaniemi, podnoszących głowy bez miary, tam Mikołaj pana zastępował. Za biskupa Gedki rycerstwo krakowskie, możni ziemianie, którymi się posługiwano, zyskali przewagę wielką; probowali. jej teraz nadużywać. Mikołaj księżęcej władzy bronił. Lada co gdy się ziemianom nie podobało, tłumnie a z wrzawą szli na zamek domagać się, aby po ich woli szedł księżę. Naówczas Mikołaj za niego występował, opór łamał, groził, rozpędzał i księciu dopiero się dał ukazać, gdy mu drogę przetrzebił.

Zyskał tym już wielu niechętnych, lecz że od czasów Gedki ziemianie nawykli byli skupiać się około biskupa, a brat Mikołaja właśnie obrany był pasterzem, przez niego i z nim umiał się Mikołaj utrzymać przy swym, nie dopuszczając, aby mu szkodzili nieprzyjaciele.

Stary Żyra, postanowiony opiekunem chorego Leszka, wiekiem osłabły, mniej był czynny, od czasu zwłaszcza, gdy dawszy się oszukać Mieszkowi, o małego Leszka, Mazowsza i Kujaw nie przekazał w ręce przebiegłego Kietlicza. Śmierć biednego, słabego wyrostka położyła koniec tym knowaniom, nie zraziwszy Mieszka od poszukiwania nowych środków do zrzucenia brata ze stolicy, którą swoją mianował.

Stach, któremu uszła Jagna, bo ją ani śmiał, ani mógł wstrzymać, pozostał sam na straży jej dworku i ludzi. Ni pan, ni sługa, najczęściej gościem tu był tylko. Wynosząc się za Wisłę, zakłęła go, aby domu nie porzuczał.

— Słuchaj — rzekła — stał się cud, pan mój mi serce powrócił, ale Bóg jeden wie, na jak długo. Jagna starzeje! Dziś, jutro wiedźma napojem albo mi go inny jaki zły los odebrać może.

Gdzież ja przyjdą umierać? Zachowaj dla mnie ten dach, ' ja do Ściborzyc powracać nie mogę. Tam

duch ojca i matki, i szczęścia mojego chodzi i tuli się po kątach, ja bym tam i umierać nie mogła spokojnie. Jutro mnie wygnąć mogą, jam jak palec jeden na świecie, sierota! Gospodarz u mnie!

Gospodarstwo to było lada jakie; Stach zaglądał tylko, rozpytywał, a niczego dla siebie nie tknął. Swoim żył, dach tylko cudzy mając nad głową i czeladzi nie dając się rozpuścić.

Biskup Gedko, który do zgonu nim się posługiwał, wiedząc kogo mieć będzie następcą po

sobie, tajemnicę Stacha i jego samego mu powierzył. Miał więc wstęp do Pełki taki, jak do poprzednika. Jemu powierzone było śledzenie spraw Kietlicza, wywiadywanie się o Mieszkowe stosunki w Płocku i Wrocławiu. On oznajmił pierwszy o podstępie, którym chciano opanować

Leszkową dzielnicę, starego Żyrę okłamawszy.

W ciągłych tych potajemnych włóczęgach Stach nabrał do nich smaku, już mu ich niemal

do życia było potrzeba. Gdy nie miał kogo śledzić, za czym jeździć, gdzie się podkradać, tęskno mu było, niepokoił się. Pozawiazywał różne stosunki w Poznaniu, Płocku, na Szląsku, w Gnieźnie, miał

wszędzie swoich ludzi i — jak zwał — swe języki.

Trzeba było podsunąć się, aby naocznie przekonać się o skupiających siłach, dopytać, co

Mieszek mówił, za czym Kietlicz się uganiał, posyłano Stacha lub on sam się wyprawiał i nigdy daremnie nie wrócił. Oskarżano go czasem, że zbytnią siał trwogę, lecz w końcu okazywało się zawsze, iż przepowiedział, co się stać miało.

W Krakowie po latach tylu nadaremnych usiłowań już sobie te wieczne odgróзки Mieszka

lekceważono, ale Stach stał niezmordowany na czatach. Życie prowadził, jak sam powiadał,

pokutnicze, którego chwili dla siebie nie miał. Smutny chodził i zapracowany. Jagna, do której się przywiązał, przyczyniła się jeszcze do zatrucia go.

Dopóki się do niej nie zbliżył, czasem jeszcze z Jaśkiem Bogorią i innymi umiał poszaleć i dzień jaki spędzić weselej; te- raz twardy żywot prowadził. Na stajni we dworku było zawsze podostatkiem koni do zamiany, bo ledwie jedne zmęczone przyszły z nim, drugie świeże brał i dalej ruszał.

Nieodstępny Żegieć towarzyszył mu wszędzie i gdyby nie on, nieraz by Stach swe

nierozważne zuchwalstwo ciężko przypłacił.

Widziemy to wszędzie prawie w owych czasach, że każdy czynniejszy mąż podwojony jest

takim drugim, który się dlań poświęca, siebie się zrzeka, a jemu dodaje siły. Czasem jest to dodana głowa, niekiedy ręka. Często ten drugi gubi go lub zdradza. Sieciech, Dobek, Kietlicz są takimi nieodstępnymi pomocnikami. Przy pomniejszych ludziach stoją też te ich cienie, jak przy Kietliczu

francuskiego takim był opat Suger, dla Krzywoustego — Dunin i całe gro no tych rycerzy bez oczów, bez rąk, pokaleczonych, niezwalczonych. Fenomen ten podwajanego człowieka w wiekach średnich w najrozmaitszy sposób przedstawia się wszędzie. Swobody osobistej naówczas całej nie było, niewolnik, sługa, domownik silniejszy duchem dorabiał się jej wcielając w pana swojego. Tą drogą szło się do władzy i siły lub przynajmniej w niej uczestniczyło. Takim właśnie Kietlicz osławiony był dla Mieszka, który nie mając ruchawego narzędzia tego, ustałby był może w

zabiegach i legł odpoczywać. W sile wieku zausznik ten pański pałał zemstą i do ciągłych knowań podzegał. Stach musiał w ślad za nim jeździć, chodzić i tropić jego kroki.

Rzadko więc spoczął we dworku, który dlań był gospodą tylko. On był pociechą jedyną dla

starego Hreczyna, który za swą panią i Ściborzycami tęskniąc, w beczynności, osamotniony, całe dnie na ławie pod okapem przesiadywał wyglądając go. Gdy Stach przybył, poruszał się Hreczyn jak dla prawowitego pana swojego, usługiwał mu i rad był choć pomówić z nim o Jagnie. Nie śmiał

on wyznać, jak mu gorzkim był' los jej; myślał, że wyswata ją za Stacha i zawiezie kiedyś do domu.

Tego, co się tu działo, nie lubił, brzydził się tym, bolał czując, że się to źle skończyć musi.

Rzadko mu się trafiało to szczęście, by chłopię przybiegło pozwać go do pani. Stary pospieszał

natychmiast, ale rozmowa z Jagną krótko zwykle trwała, Hreczyn powracał do dworku smutniejszy jeszcze.

Stacha już tak prawie kochał, jako panią swoje, tęsknił i za nim, nie mogąc pojąć, za czym nieustannie się włóczy, na co się przydały te wycieczki, z których, oprócz pokaleczonych koni i znużenia, innego skutku nie widział.

Gdy kilka dni miał wolnych w Krakowie, co się rzadko trafiało, używał ich Stach na to, aby się na biskupim dworze rozpatrzeć i rozśluhać, a czasem pójść do Juchima, który dotąd

dotrzymywał wiary i zdawał się Kaźmierzowi życzliwy. Prawda, że mu się z tym nieźle działo, bo pieniądze kował.

O Mierzwie wcale jakoś słyhać nie było, oddał się całkiem Mieszkowi i nawet już w

Krakowie pokazywać się nie śmiał ani wiernego udawać. Nie dziwił się temu Stach ani nad stratą bolał bardzo.

Właśnie powrócił był z Poznania, dostawszy tam języka, który go znów napełnił trwogą, i

zaniósł biskupowi Pełce wiadomość, że część ziemian krakowskich miała już zmówiska z

Mieszkiem. Wypadło mu dla dośledzenia tych zdrajców zapukać do drzwi Juchima. On znał

najlepiej wszystkich. Dworek Żyda bardzo był teraz urósł i rozszerzył się, a że mu nic nie groziło od Kaźmierza, mniej się teraz z zamożnością taił gospodarz.

Zwykle, gdy Stach przybywał, odzwierny, zobaczywszy go, natychmiast mu z

poszanowaniem drzwi otwierał. Tym razem uderzyło go to, iż za wrotami po wyglądnieniu

okienkiem zawrzało, zaszumiało, szeptano długo, nim się furta otwarła. Nie mając jednak podejrzeń żadnych, Stach wszedł szybko do izby gościnnej, w której zwykle Juchima znajdował. Tu go nie było.

Na stole wino stało i jakieś słodyczne, kubki nie wypróżnione, a na jednym siedzeniu leżała zapomniana czapka. Uderzyła ona Stacha swą dziwną powierzchownością, na kształt zawoju

czarnego; przypomniał sobie, że w takiej właśnie Mierzwę dawniej widywał. Aleć kołpaków podobnych po świecie wiele być mogło. Dziwniejszym wydało mu się, że stąd ktoś przed nim

uszedł, czego zastawa nie sprzątnięta ze stołu dowodziła.

Juchim wnet nadszedł witać gościa, lecz pomieszany widocznie, blady, tak iż od razu

poznać po nim było można, że coś w sobie taił. Stach pochwycił ową czapkę i podnosząc ją a potrząsając, zawołał:

— A to co?! Gościa mieliście, który się skrył przede mną?! Juchim, obaczywszy owo lice, odrętwiał, ręce złożył, wargi mu się trząść zaczęły.

— Tylko nie kłam — rzekł Stach — wiem, czyja czapka, bom ją niejedną raz widział na niepocziwej głowie Mierzwy.

Juchim, usłyszawszy to imię, krzyknął przeraźliwie, głowa mu na piersi opadła. Widząc pomieszanie, Stach dodał nakazująco:

— Jeśli on stąd ujdzie, ty mi odpowiesz za to!

Juchim stał tak osłabły, iż się za stół musiał pochwycić, aby na nogach utrzymać. Błagające oczy zwrócił ku mówiącemu.

— Mówię ci — dodał Stach — tu jest Mierzwa. Znam go nadto, abym uwierzył, że on tu dla zabawy przyjechał. Toć prawa ręka pana Kietlicza, wroga naszego. Jeżeli przybył, to za jego rozkazem i szyi nie nastawiał próżno. Ja w tym, że cały stąd nie ujdzie. Zginie on, ale z nim i przyjaciele jego a pomocnicy.

Juchim słowa nie mógł wyrzec jeszcze, strach nim owładnął taki, iż patrząc na starca, litość brała. Z

zimną krwią dodał Stach:

— Dawaj mi go tu.

Grobowe milczenie w izbie panowało, oczy tylko Juchima skierowały się ku drzwiom, którymi wszedł, wskazywał nimi Stachowi, że tam znajdował się winowajca.

Natychmiast śmiałym krokiem wszedł do bocznej komory. Tu, osłonięty sukienną oponą, drżał w kącie przyczajony zdrajca, głowę okrywszy, rękami bladymi cisnął konwulsyjnie pochwycone sukno. Porwawszy go za kark, Stach wyrzucił struchlałego na środek izby tak silnie, że Mierzwa padł i nie wstając, na kolanach klęczący, ze złożonymi rękami, błagać się zdawał o życie.

Widok tego człowieka litość obudzał i wzdargę. Pod wrażeniem trwogi twarz jego zmieniła się tak okropnie, wykrzywiła, przeciągnęła, iż do człowieka prawie nie był podobny. Stach patrzył nań z góry, milcząc długo.

— Ha, nareście mam cię ptaszku! — krzyknął. — Teraz już mi nie ujdiesz!

Mierzwa trząsł się i milczał, tłumaczyć się próżnym było: sama jego przytomność była dowodem winy.

— Mów, z czymś tu przybył — zawołał Stach — bo że nie dla zabawy z przyjacielem Juchimem to pewna!

Nim mógł odpowiedzieć na to Mierzwa, Juchim, który był odzyskał przytomność, wpadł do komory składając ręce.

— Na co chcesz przysięgi? — począł jęcząc. — Na nasze świętości? na Biblię? na dziesięcioro? Na wszystko, co każesz, przysięgnę, że nie byłem i nie jestem zdrajcą! Z tym człowiekiem nie miałem nic! Pierwszy raz szatan go tu przyniósł do mnie! Nie wiem, czego chce, nie ma jak pół godziny, gdy się tu wcisnął na zgubę moją!

Mierzwa klęczał ciągle.

— Gadaj — powtórzył Stach nie zważając na Żyda — gadaj lub tej chwili na męki cię dam, aby ci gębę otworzyli.

Podźwignął się Mierzwa powoli, rękami począł twarz trzeć i płakać, namyślając, co miał



odpowiedzieć.

— Miłościwy Panie — przebaknął — ja także gotów jestem przysięgać, że jestem niewinny. —

Przełknął ślinę. — Ja tu mam robaczki moje, za którymi zatęskniłem.

Zapłakał, a Stach się rozśmiał.

— Nie drwij ze mnie. Robaki czy bękarty cię tu nie sprowadziły. Mów, bo cię dam na męki.

Gdy cię oprawcy na postronkach do góry podniosą, dopiero ty mi wyśpiewasz, co za judaszostwo przywiózł zanadrą. Ja cię znam!

Mierzwa namyślał się.

— Jestem sługą księcia Mieszka — odezwał się — zostałem mu Wierny.

— A płacę od nas brałeś?

— Chciałem się z rąk waszych uwolnić! — zawołał, odzyskując śmiałość, Mierzwa. —

Jestem sługą mojego pana, nie żadnym zdrajcą.

— A coś mi ty przyrzekał? — rzekł Stach.

— Co? W początkum wam służył — mówił podsędzia — potem sumienie przemówiło, wróciłem do Mieszka. Nie zaprę się.

— Przysięgłeś mi?

— Przysięga przymuszona nic nie waży, życiam bronił — rzekł Mierzwa.

— Że się wyklamać potrafisz, to wiem — odezwał się Stach. — Sługa Mieszka! A po cóżeś

tu? Aby mu jednać przyjaciół i siać zdradę! Sameś przyznał! Juchim — zwrócił się do Żyda — ty mi odpowiadasz za niego; jeżeli ujdzie, dasz głowę. Ja idę po straż. Mówić z nim — stracony czas, na gałęź niecnotę!

Juchim, ręce splótłszy na piersiach, drżał. Stach zwrócił się do progu.

— Miłościwy panie — odezwał się sędzia — mnie życie drogie, ja powiem wam wszystko.

— I zaprzysiądziesz fałszywie — wtrącił Stach — a potem powiesz, że przymuszona przysięga nie waży.

Mierzwa, głowę spuściwszy, mruzczał coś. Stach chciał już wyjść, pochwycił go za połę.

— Miłościwy panie, zlituj się, ja mam żonę i dzieci!

— Żonę i niejedną — rzekł Stach — miałeś ich tu trzy czy cztery na odmianę, nie licząc tych, coś musiał w Poznaniu przysposobić.

Jęknął Mierzwa. Juchim ręce załamane trzymał przed Stachem, mówić nie mogąc, błagał go oczyma.

— Po coś przybył? — zagrzemiał Stach. Mierzwa myślał chwilę.

— Po co? — odparł burkliwie. — Wasza miłość wiesz. Jestem sługa Mieszka, przyjechałem mu jednać ludzi, alem — klną się — nie widział nikogo, z nikim nie mówił, nie robił nic. Tu na nas nikt spojrzeć nie chce.

Ze wzgardą popatrzawszy nań, Stach odchodził znowu, gdy Mierzwa jak długi padł mu do nóg.

— Życiem daruj! Zrobię, co chcesz! — zawołał. — Życiem daruj!

— Nic od ciebie nie potrzebuję — odtrącając go, rzekł Stach.

Wtem Mierzwa nagle, jakby mu jakaś myśl przyszła, wstał i począł mówić prędko:

— Juchim da za mnie porękę, zem ja tu nic nie zrobił, a taki sprawiedliwy pan, jak książę Kazmierz, karać mnie za to nie może, iż pana mego słucham. Wam żadnej krzywdy nie uczyniłem; Juchim wie, Juchim poręczy.

Drgnął naprzód Żyd, gdy usłyszał o poręce, potem głowę spuścił, nie umiał odpowiedzieć, nie wiedział, co począć.

— Juchima przecie macie w ręku i jego trzos — rzekł Mierzwa. — Każdego czasu, jeżeli noga tu moja postanie, jeśli co zbroję, weźmiecie go. On musi za mnie dać porękę!

— Musi? Co to jest musi? — wyjąknął Żyd. — Ja, za was?

— Jak nie dasz poręki — krzyknął Mierzwa, zwracając się ku niemu — na mękach czy bez mąk tak cię zwikłam, oplatam, oczernię, poprzysięgnę na ciebie, że zginiesz ty i cały ród twój, i wszystkie mienie twe! Jak ja zdrajca, tyś też zdrajca! Choćbyś nim nie był, zrobię cię!

Stach słuchał uśmiechając się z pogardą. Juchim odrętwiałały, ręce to łamał, to sobie nimi

oczy zakrywał, jęczał, głos stłumiony z piersi mu się dobywał jak płacz nie mogący wyjść na świat.

Chwycił się za głowę i resztę włosów rozpaczliwie targać zaczął.

— Porękę za mnie da — nalegał Mierzwa — a nie, mam ja zginąć, zgubię i jego!

— Juchim za ciebie da porękę — odparł Stach — a któż jemu za was zaręczy!

Juchimowi oczy błysły.

— Tak — przerwał — on musi dać zakładnika, syna swojego najstarszego, Martka. Ja go wezmę i dam ręką.

Mierzwie oczy się zaiskrzyły.

— Martka tu nie ma! — zawołał.

— To go przywiozą — odparł Żyd.

Stach myślał, wahał się, niepewien, co uczyni.

— Rozprawicie się o to z kim innym — począł — nie moja rzecz o twoim losie wyrzekać, ale moja dać cię w ręce, komu trzeba.

— Tylko życia mi nie bierzcie! — przerwał Mierzwa. — Co chcecie, róbcie ze mną, służyć będę.

. — Służby twej nikt nie potrzebuje, milcz — odparł Stach. — Sam Bóg chciał, abyś się dostał w ręce moje, nie puszcę cię. Oba obżałowani stali jak martwi.

— Mnie kara boża spotkała niewinnego — odezwał się Joachim — świadczę się Bogiem moim, którego imienia wymawiać nam nie wolno, żem nie uczynił anim pomagał do zdrady! —

Podniósł oczy do nieba. — Ten człowiek przyszedł tu po to, aby mi życie wziął!

— Co się tu stało — odezwał się Stach uspokojony — pewnie z niczyjej woli, tylko z bożej.

Mierzwa pójdzie ze mną do biskupa, bo Kaźmierz mógłby mieć nadto nad nim litości. Ale wolno go nie poprowadzę. Po ludzi moich posłać, Juchimie! Nim oni nadejdą, postronka mi dajcie.

Mierzwa wzdrygnął się, lecz milczał już. Nie było na podoręczu sznura. Juchim musiał

długi pas zdjęć z siebie, którym Stach sam ręce, w tył odgiąwszy, spętał Mierzwie. Sędzia prosił o

opończę, aby przez miasto nie szedł skrepowany jak złoczyńca. Stach nic mu nie odpowiedział. Żyd musiał wyjść spełnić rozkaz i postarać się o ludzi. Po wyjściu jego Mierzwa spróbował jeszcze litością natchnąć Stacha, lecz żadnej od niego nie odbierając odpowiedzi, zamilkł w ostatku, zagryzłszy usta.

Wkrótce nadeszli ludzie Stacha. Juchim, przyodziawszy się w płaszcz, musiał iść razem z winowajcą. Poprowadził ich uradowany obłowem Stach do biskupa. Szczęściem dla jeńców na dworze ściemniało, śnieg prószył i nie spotkawszy nikogo dostali się do dworca biskupa, któremu znać dano iż Stach zdrajców jakichś, na uczynku złapanych, prowadził.

Nie jego już rzeczą było sprawę wysłańca Mieszkowego sadzić który stanął w obronie swej przed biskupem z całą umjętnością i przebiegłością swoją. Nie pomogły one nic i po długich jękach i prośbach biskup go kazał do więzienia dać, dopóki by zakładnika nie stawił.

## II

Od wstąpienia na stolicę Kaźmierza cicho było i zamarło na zamku w Tęczynie. Dobrogost i

Sędziwoj stronili od księcia i dworu. Znano ich jako przyjaznych Mieszkowi, lecz nie dali powodu jawnego, aby ich nieboszczyk Gedko lub następca jego Pełka do odpowiedzi za to pociągać mogli.

Trzymali się cicho i na uboczu. Jeździli wprawdzie do Poznania i młodszych swych przy dworze księcia Mieszka osadzali, lecz za to ich karać się nie godziło, a mniej, niż ktokolwiek, Kaźmierz mógł im to za złe poczytać. Pan był miłościwy wszyst' kim, szanujący wszelką miłość i każdą wierność. Bracia z Tęczyna na wielkie nawet zjazdy, gdy się ziemianie wszyscy zbiegali do Krakowa, nie stawali wcale. Mówiono albo, że ich doma nie było lub, że chorzeli, a w końcu i wcale nic, bo już o nich zapomniano.

W Tęczynie jednak teraz, gdy pomiędzy ziemianami ciągle wyprawy na Ruś, do Halicza,

dla wypędzenia jednych, a osadzania drugich kniaziów, coraz częstsze a uciążliwsze, zrodziły niechęci i narzekania, co było nieprzyjaznego Kaźmierzowi, tajemnie się na narady zbierało.

Biskup Pełka, może nie przypuszczając, aby tak blisko, pod bokiem księcia i jego coś się

knuć mogło, nie zwracał na te zjazdy uwagi. Odprawiano je niby dla myślistwa i zabawy, a w istocie groźne były wielce. Mieszko miał tu ognisko, z którego skry sypały się na całą ziemię.

Od dawna już oczekując sposobnej pory, gotowano się do jakiegoś zamachu na korzyść

Mieszka, który niczym nie zrażony, zawsze pragnął i spodziewał się panowanie odzyskać. Teraz nowa do Halicza wyprawa, z powodu sporu Romana Włodzimierzowicza ze Wsewołodem bełskim, niechętnym następcą pole do próby nowej, śmielszej nad inne nieudane.

Sama wieść o tej wojnie postanowionej, jak się uskarżano, bez wiedzy i rady panów burzyła umysły. Korzystał z tego Mieszek i słał, kogo tylko mógł ze swoich ludzi, aby tam ziemian podburzali.

Zapowiedziane były wielkie łowy na zamku w Tęczynie i wrzekomo dla nich rozsyłano

gońców zapraszających do wszystkich tych, którzy albo już byli w spisku, lub się ich do niego wciągnąć spodziewano. Bracia oba siedzieli tu już od dni kilku. Wielkie przygotowania czyniono dla gości, w izbie stoły ciągle nakryte były i pozostawiane, bo przyjęcie naówczas bez obfitości jadła i napoju nie zwało się gościnnym. Sadzono przybyłego natychmiast do misy i dzbana, aby głód i pragnienie sycił i gasił.

Powoli do zamku ściągali się ziemianie, nie wedle obyczaju huczno i ludno, ale kupkami

małymi ze psy i myśliwskim przyborem. Spodziewano się wszystkich siedemdziesięciu głów rodów możnych, gdyż tyle ich było, co się z powodu wypraw na Ruś Kaźmierza, przeciw niemu

oświadczały, chcąc mu wypowiadać posłuszeństwo. Zżymano się na samowolę księcia i hetmana Mikołaja.

Po jednym ziemianie wjeżdżali na zamek otwarty, po większej części ludzie już niemłodzi, których strój i oręż wielką zamożność wydawały. Każdy z nich, zaraz się rozbroiwszy, szedł do wielkiego ognia w bocznej izbie, siadał na ławie, ciepłym winem się zagrzewał i rozmowę

przerwaną ciągnięto dalej.

Czy z obawy służby, chociaż ta posłusznie podzielała panów swych miłość i wstręty, czy z

poczucia własnej winy i pewnego sromu, zwykle burzliwe ziemian narady i zjazdy, tym razem odbywały się cicho.

Mruczano więcej, niż mówiono, szeptano półsłowy i półgłosem. Kilku tylko, szczególnie

Sobek z Koziegłów i Daczko, brat jego, dwu Śreniawitów z Proszowic, śmieiej się czasem i

głośniej wrywali. Gospodarze oba, ludzie niezbyt mówni, potakiwali znakami lub potwierdzali półgębkiem. Wiedzieli wszyscy, o co szło.

— Ano — mówił Sobek z Koziegłów — mamy już dosyć tego panowania miłościwego —

trzeba mu koniec położyć. Dobry pan tak się stał dobrym dla Rusinów swych, wujów, stryjów, siostrzeńców i powinowatych, że dla nas jest zły, bo my naszą krwią musimy bękartom halickim do tronów ich drogę skrapiać. Z Węgrami się zadarli, idź a idź na Ruś, nie pyta!

— Po co ma pytać? — przerwał Śreniawa. — Gdy biskup Pełka powie, a pan Mikołaj, brat

jego, potwierdzi, Kaźmierz posłucha, oni dlań w sobie wszystkich ziemian zamknęli. Nie dosyć było Brześć szturmować, Halicz brać dla Mścisława, teraz znów ich trzeba godzić i rozsadzać, a my za to

płacim.

— Niedołęga we wszystkim — odezwał się rzadko przemawiający Dobrogost z Tęczyna. —

On sobą nie rządzi, nim " — wszyscy: Rusiny, baby, księża, tylko nie ci, co powinni, nie my, co tu gospodarować mamy prawo. A toć lepiej Mieszka posadzić, co siłę ma, państwo do ładu

przyprowodzi i naszych panów ojców duchownych trochę na bok usunie, bo wkrótce, jak tak

potrwa, sami biskupi już tu będą rządzili, bez wszelkiego pana się obchodząc.

— Hej hej! — wtrącił z boku Drogut, stary i siwy człek, który schylony siedząc, w ogień

patrzył obojętnie. — Gdyby Mieszek tę siłę miał, o której prawicie, dawno by już mógł opanować Kraków, ale i to ciemiega.

— Ho ho, nie mówcie tego! — rzekł inny. — Dla niego teraz porwać się, a nie dokazać —

sprawa gardłowa; Pełka i Mikłasz, gdy mu się noga ośliźnie, nie przebaczą i będzie z nim, co ongi ze Zbigniewem było. Musi dobrze się gotować i wyważyć!

— Waży też do zbytku — mruknął Drogut z uśmiechem. — Przypomnijcie sobie lat

ostatnich sprawy.

— A toć! Albo nie jeździł do cesarza, do Rudobrodego i nie dał córki własnej na ofiarę

dzikiemu synowi Bogusza z Pomorza?

— I cóż z tego miał? Nic! — rzekł Drogut. — Rudobrody go zbył niczym, a Bogusz córką

wziął, ale porwać się nie śmiał.

— Bo i nie pora była — odezwał się Dobrogost. — Tylko co Brześć i Halicz wziął

Każmierz, rycerstwo było rozzuchwalone zwycięstwami, do kupy ściągnięte, gotowe. Jak się miał

porywać? jak? Przypomnijcie sobie, nie tak to stare dzieje, że naówczas Mieszek poczynał bardzo mądrze i oględnie. Ho ho, nie wiecie jak ze Szlązakami się sprzął, a Kaźmierza na nich

podszczywał?

— Tak — odparł Drogut — tylko że i z tej mądrości nie było nic. Kaźmierz jak zawsze

przebaczył, Mieszek się pokłonił i pojechał przemyślać o nowej sztuce, żeby i ta chybiła. Nie sporze, że wynajduje coraz *co* nowego, ano, nigdy mu nie dojrzeje tak, żeby się rozpekło; zwiędnieje w zawiązku.

— Cóż on winien? co? — począł drugi brat z Kozięglów. — Ludzie mu gorzej psów służą.

Pan Bóg zdaje się go probować, no, i jak Bóg miły, Kaźmierz przez te swoje relikwie, świętych nabożeństwa po prostu siłą boską odgania wszystko. Już nie mogło być nic większego jak owa syna cesarskiego, Henryka, wyprawa w trzydzieści tysięcy ludzi na Kaźmierza.

— Prawda! — rozśmiał się Drogut. — I pięknie się skończyła, gdy Henryk na owym

probostwie odpoczywając, *co* się pod nim zawaliło, ledwie sam, w oknie siedząc z arcybiskupem mogunckim, ocalał, a turyńskiego landgrafa i innych panów ledwie żywych za uszy wyciągnięto z kloaki, w którą wpadli.

— Czyste czary — podchwycił Sędziwój — bo ledwie się z tego gnoju dobyli, na drodze znowu od dzwonów zostali pobici, co im się, zerwawszy, na głowy pospadały.

— Że nieszczęśliwy Mieszek, to prawda — potwierdził drugi — ale i Kaźmierzowi jak temu dzbanowi, co długo do wody chodzi, w końcu się urwie ucho.

Wielka większość przytomnych powitała przepowiednię śmiechem wesołym.

— Z Leszkiem młodym albo niemądrze sobie postąpił, nie- przebiegle, namówiwszy starego bałwana Żyrę, że mu Płock zdał i wymógł zapis. Już zamki wszystkie miał w rękę. — A długoż je trzymał? — spytał Drogut.

— Na Mieszku jakiś przeklon cięży — szepnął inny wzdychając.

— Nieprawda! — odparł Dobrogost. — Już przez to samo, że po tylu nieszczęściach nie stracił otuchy, dowód stawi, że siłę w sobie czuje.

— A na Kaźmierza już Pan Bóg zaczął zsyłać przestrogi i jemu się już nie wie — mówił Śreniawa. — Piękne chłopię, najstarszego syna, stracił tak marnie.

— O tym to jakoś różnie ludzie mówią — odezwał się głos z kąta.

— Nie ma o czym mówić, bo to był jawny palec boży — kończył Śreniawa. — Chłopak ze swawoli drzewo ścinał, na którym się coś poruszało. Była to żmija czy padalec, co mu się na szyję rzuciła i ledwie dotknęła go, padł martwy.

— Syna ma drugiego, ten na dziedzica starczy — odparł Dobrogost. — Znalazłoby się też dzieci więcej, gdyby ich po kątach szukać, ano z tymi się chwalić nie będzie.

Po krótkim milczeniu starszy jeden począł znowu:

— Mówcie wy sobie, co chcecie, wojna z Kaźmierzem to razem i z duchownymi, i z Panem Bogiem, i ze świętymi pańskimi. Już matka jego Salome kości i relikwii świętych siłą nagromadziła, a Kaźmierz sobie w Rzymie uprosił całego jednego świętego zwłoki za patrona.

— Że mu te moce i potęgi pomagają — wtrącił drugi — temu nikt nie przeczy, ale my też nie jesteśmy niezbożnicy i tego samego Boga a świętych jego czcimy.

— Nie tak, jak on, nie tak! — przerwał inny głową kręcąc. — On im kościoły buduje, trumny sprawia bogate, chwałę ich mnoży. To wszyscy wiedzą, jak po kości święte słał do Rzymu do papieża i co się tam stał za cud.

Milczeli wszyscy, a mówiący dalej ciągnął:

— Powiadają, że Lucjusz, biskup najwyższy, gdy do niego posłowie ci przybyli, wszedł z nimi do grobów, w których mnogie zwłoki męczenników spoczywają i przechodząc około nich, począł sobie mówić, jakby pytał:

— A któryż by z was jechać chciał do Polski?

Stanął naprzód u grobu Wawrzyńca świętego, z którego usłyszał wychodzący głos:

— Nie dawajcie mnie na nową spiekę, bo tam się jako na ruszcie palić będę musiał między ludźmi gorącymi, a ugasić ich żaru nie zdołam.

Więc zdumiony wielce postąpił krok dalej, kędy spoczywał Szczepan święty, a oto od grobu jego dał się słyszeć głos:

— Nie dawajcie mnie na nowe kamienowanie porywczością narodu tego, który i na świętych swych i błogosławionych, i ukochanych gotów miotać głazy, gdy nim szał owładnie, choćby jutro miał o przebaczenie błagać.

Gdy coraz bardziej strwożony Lucjusz dalej jeszcze krok postąpił i spojrzął, kędy leżały kości żołnierza męczennika, Floriana świętego, wysunęła się z grobu ręka jego i dał się słyszeć głos:

— Dajcie mnie im za patrona, pójdę do ziemi ich, gdzie nieustannie płomienie gasić



potrzeba, aby ich nie pochłoneły.

A tak dostał się nam mąż rycerski, Florian święty, który zaraz na wstępie do grodu swojego cud uczynił. Albowiem, gdy z wielką czcią prowadził zwłoki biskup Gedko i księżę, wóz z nimi zatrzymał się na Kleparzu, gdzie święty chciał mieć kościół wystawiony pod zawołaniem swym, który mu też tam wznosił Gedko i złożono w nim rękę tę świętego, co się ku naszej ziemi

wyciągnęła litościwie.

Milczeli wszyscy, słuchając opowiadania, aż Sobek z Koziegłów przerwał zasępienie długie, które po nim nastąpiło:

— Na Boga ani na świętych jego się nie porywamy. Gdyby tak przyszło lękać się

wszystkiego, nic by już człowiek nie począł. Czas, byśmy o sobie pomyśleli. Pełka i brat jego, a cała gromada ich zauszników obrócą nas w chłopcy i niewolniki. Pytaliż się oni kogo o tę na Ruś wyprawę? Słowa nikt nam nie rzekł, posyłają wici, słuchaj pod gardłem.

— Tych Węgrów i Rusi naprawdę aż pod gardło mamy —

odparł drugi z Koziegłów — niech już będzie, co chce, a bronić praw swych musimy.

Gdyśmy tu z Sandomirza prowadzili Kaźmierza, lepszegośmy się w nim pana spodziewali. A oto zaraz w Łęczycy okazało się, żeśmy nie dla siebie, tylko dla biskupów pracowali a dla kmieci. Im popuszczono, nas ściśnięto, ledwie dyszymy.

— Gedko nam tłumaczył, że księżę nas do Rady przybiera i bez Rady nic stanowiąc nie będzie. Nie pytają dziś o radę nikogo — rzekł Dobrogost.

— Cała Rada — dwu Mikołajów, Pełka jeden, Jaksa i może Niemiec przybędą. Nas, co najprzedniejszych ojcyców, zbywają, gdy przyjdziemy, tym, że już postanowiono.

Szeptać poczynali gromadkami, pytając jedni drugich, co postanowiono, gdy Dobrogost

cicho rzekł niektórym, iż Kietlicza samego lada chwila spodziewa się z Krakowa, bo się teraz nie na żart zbierano do roboty.

— Gdy Kaźmierz na Ruś wyciągnie z całą siłą swoją — dodał — i swoich tam wszystkich

zabierze, na zamku się pozostanie mało albo nic luda. Ku Haliczowi się zapani, będziemy mieli dosyć czasu Mieszka powołać, który na Szląsku stać musi i czekać hasła. Wprowadzimy go na zamek i okrzyknjemy.

— Ha ha! Niech Kaźmierz sobie w kochanym Haliczu o gospodę prosi! — śmiał się

Sreniawita.

— Albo we Włodzimierzu! Jużci mu ją Rusini dać winni — mówił inny szydersko — objadali go tu długo kniaziowie, siadując u niego.

— Niechaj potem zna, co ziemianie ważą! — mruknął Sędziwój.

— Byle się raz powiodło — dodał Dobrut — ja bo już wiarę straciłem, bośmy się niemało razy sparzyli, i nie było z zachodów nic.

— Szyję za to daję — odezwał się Dobrogost — że Mieszek i Kietlicz tym razem dobrze wszystko wyważą i udać się nam musi. Nie probowali dotąd, bo nie byli swojego pewni.

— Zamku nie będzie bronić komu — mówił jeden. — A miasto? a kmiecie?

— Na tych siłę mamy — odparł Dobrogost — czerń i ciżbę zgnieciemy i rozproszym.

— Zgnieciemy! — potwierdzali drudzy.

Głosy się nieco podniosły zwawsze i wnet spiskujący, sami się tego uląkwszy, znaki sobie dawać poczęli, aby milczeć.

Nadjeżdżali coraz nowi, czekano na obiecanego Kietlicza, który się opóźniał. Ściemniało

już dobrze, oba gospodarze, niespokojni trochę, naradzali się, czyby ludzi nie posłać na drogę ku Krakowu. Inni odradzali, aby oczów na siebie nie zwracać zbytnim ruchem.

Ile razy w podwórku zatętniało, wybiegano patrzeć, ale przybywali tylko ci, co umyślnie pod noc się wybrali, aby ich nie postrzeżono. Kietlicza nie było.

Domyślali się już płochliwsi czegoś straszego. Nuż główny sprawca, prawa ręka, dostał się Pełce w garść? Przeczyli inni, iż to nie mogło być.

— Nie ma na świecie przebieglejszego lisa — mówił Sobek — nad tego Kietlicza. Uchowaj

Boże, by go pochwycili, Mieszek ani synowie jego sami sobie rady nie dadzą. Patrzeć na tę przysadziłą beczkę, na jego łeb ogromny wzięłby go za parobka, za człeka, co się zwawiej poruszyć nie zdoła, a zwija się jako nikt, a sunie jako wąż. Mądry będzie, kto go ułowi!

— To prawda, że gdyby Hendryka Kietlicza nie stało — rzekł Dobrogost — więcej by się z nim straciło niż w dwu pułkach. Mieszek bez niego niewart nic.

— Jako żywo — zaprzeczył Sędziwój — my lepiej księcia znamy. A któż to tego Kietlicza

wziął tępego i nie okrzesanego i uczynił go tym, czym dziś jest? On ci go popychał, on kierował, sam też bez mózgu nie jest.

— Pewno, pewno! — potwierdzało kilku.

Rósł tak niepokój z nadchodzącym wieczorem, aż gdy do stołów zasiedli i do kubków się wzięli, zapomniano trochę o trosce. Ino gospodarze często spoglądali ku sobie i nasłuchiwali.

Misy stały próżne i dzbany odnawiano, gdy na ostatek w progu, powitany okrzykiem stłumionym, ukazał się męsz- czyzna gruby, otyły nieco, czerwonej twarzy, najeżonego włosa. Był to długo oczekiwany Kietlicz. Sędziwój, który naprzeciw pospieszył, postrzegł zaraz, że niewesół powracał. Twarz jego, od wiatru ze śnieżycą mocno zaogniona, pomieszana była, oczy biegały niespokojnie, usta miał zacięte, czoło pofałdowane.

Na powitanie ledwie skinieniem głowy odpowiedziawszy, oczyma począł mierzyć zebranych. Wszyscy, od stołów wstając, cisnąć się do niego zaczęli. Zarzucano go pytaniami, na które zasapany i zmęczony nie odpowiadał. Z obawą jakąś ludzi mierzył wzrokiem, jakby się znaleźć między nimi spodziewał niewiernych. Dobrogost dał mu znak, odstąpili na bok.

— Z czymże wracacie? — spytał.

— A, z lichem! — odparł szorstko Kietlicz.

— Cóż się stało? Grozi co?

— Jeszcze to tam nic wielkiego — rzekł głos zniżając Kietlicz — ano, ano!

Ruszył ramionami.

— Mówcież! — naglił Dobrogost.

Wahał się przybyły, widząc tylu ludzi dokoła, których nie znał; targał na sobie odzienie, podano mu wina kubek, wychylił go żywo. A tu naciskali się ciekawi, co zamiast go cieszyć, niepokoiło.

— Ot co — rzekł po cichu do gospodarza. — Wzięto mi najlepszego, najpotrzebniejszego sługę. Jak go na męki pociągną, gotów śpiewać, co nie trzeba, i mnie zdradzić. Uchodzić muszę.

Choć oprócz Dobrogosta mało kto mógł posłyszeć rzeczony słowo, popłoch jakiś wionął po całym zgromadzeniu. Ruch się wszczął niespokojny, szeptano trwożliwie dokoła. Kietlicz

pomiarkował, że niepotrzebny może strach posiał; mogło to sprawie zaszkodzić. Rzuciwszy

oczyrna ku drugiej izbie, wsunął się do niej z kilku zaufanymi i drzwi się zaraz zawarły za nimi.

— A! Zła godzina — rzekł Kietlicz — zła godzina! Ale nie takieśmy już przebyli i przeżyli, nie ma czego rozpaczać, tylko ostrożnie dalej — westchnął. — Mierzwę mi wzięto!

Mierzwa znanym był braciom z Tęczyna i innym wielu z czasów sędziowskiego urzędu jako człek bystry i mądry: zasmucili się wszyscy.

— Gdzie? jak? — przerwał Sobek. — Pewnie do bab polazł, bo podwikę nadto lubi.

— Nie! — mówił ożywiając się Kietlicz. — Licho nadało, do starego druha, do Juchima

wstąpił, a tam go niepoczciwy człek, niejaki Zabór — co mi już kością stoi w gardle, bo go na mej drodze wszędzie pełno, człek, co mi się jak wąż z rąk wymyka — pochwycił i ujął.

— Gardło mu wezmą — smutnie szepnął Dobrogost. Kietlicz głową potrząsał.

— Może się nie dadzą — rzekł. — Gdzie dwu takich w sprawie jest, jak Juchim i on, nie może być, żeby się nie ratowali. Jeden ma rozumu dużo, drugi — pieniędzy.

Tarł czoło Serb i stękał.

— Mnie uchodzić trzeba — ciągnął po chwili. — Krótko się rozmówmy. Na zamku trzeba

ludzi kilku zyskać, aby było komu wrota zawczasu otworzyć. Jak tylko wyciągną na Halicz,

dawajcie nam znać, pogotowiu stać będziemy na szląskiej granicy, wpadniemy jako piorun na Kraków.

— Nie wiecie, kogo Kaźmierz zostawi tu? — spytał Sędziwój.

— Ano Pełkę biskupa, pewnie z bratem Mikołajem, tych dosyć. Nie lękali się dotąd nas, nie widzieli nic.

— Mikołaj w Krakowie — przerwał Dobrogost — twardy człek i obrotny — to źle!

— Bez ludu, co on wart? — odparł Kietlicz. — My z dobrą wpadniemy gromadą. Mieszek

niedawno poręczył bratu swą wierność, spodziewać się go Kaźmierz nie będzie. Weźmiemy ich w pierwospy. Byle sobie na Ruś wyszli.

— Pójdą pewnie — mówił Sędziwój. — Gdy idzie o sprawę kniaziów ruskich, Kaźmierz

gotów zawsze choćby krew przelewać, byle im służyć. Nie dla żony to czyni, boć jej tak bardzo nie

miłuje, ale mu się umieją przypochlebiać, kłaniać, połechtać, a wspaniałomyślny pan rad, aby go sławiono i czołem mu bito. O, pójdzie na Ruś, a choćby i na Węgry. Już to postanowione. Kietlicz się zwrócił ku nim.

— Na was, miłościwi ziemianie tutejsi, cała waga, wszystka nadzieja nasza — rzekł. — Bez was, choćby z tysiącami, my nie starczym. Biskup Pełka i pan Miklasz wojska się nie ulęką, a ziemianom ustąpić będą musieli.

— Będzie nas dosyć! — zapewnił Sędziwój. Drudzy dwuznacznie głowami poruszali.

— Ilu liczycie? — spytał Serb.

— Żupanów z ich rodami i zawołaniem mamy siedemdziesięciu — dodał Sędziwój — toć znaczna rzecz.

Kietlicz nic nie powiedział.

— Przysporzy się ich, gdy wieść się rozszerzy, żeśmy na zamku i mamy go w ręku —

ciągnął Sędziwój. — Siedemdziesiąt zawołań, na głowy zbierze się dużo. Zamek opanować, pójdzie reszta sama!

— Zamek i biskupi dwór — poprawił Kietlicz. — Pełkę w rękach musimy mieć, brata jego też, bo ci są najstraszniejsi.

— Gdyby nawet wasze poczty nie nadciągnęły — mówił Dobrogost — naszych

siedemdziesiąt żup — siła znaczna. Każdy swoich przyprowadzi, mają ich pogotowiu. Kto tylko mógł, od ciągnięcia na Ruś się wyzwolił.

— I z tym trzeba ostrożnie — przerwał Serb. — Gdy nadto wielu pozostać zechce w domu,

Pełka i Miklasz mogą przewąchać, że się coś gotuje. Z każdego zawołania gorszych trzeba

Kaźmierzowi dać, niech idą. Skoro się to na Ruś ruszy, resztę powołać od kołka do kołka i na Kraków!

Zaczęto się naradzać i obliczać po cichu i z rzadka tylko szepty głośniejsze wybuchy

przerywały. Poza drzwiami zamkniętymi do wielkiej izby gwar słyhać było głuchy, nieustający; czekano tam, aby się drzwi otworzyły, aby im znać dano, co się uradzi, bo niepokój zrodziło posępne oblicze przybyłego, a podwoiło go to, że na osobności z małą garstką po cichu radził.

Wszedł ku oczekującym Dobrogost i półgębkiem oznajmił, iż nic złego się nie stało, że

choć ciężko szło, ale nie zmieniło się nic i gotowości a pilności wielkiej tylko potrzeba było. Czoła się zasępiły.

Dobrut począł szeptać swoim, że taki coś jest, o czym im nie mówią, aby serca nie psuć.

Drudzy ducha krzepili. Przycichła jednak zrazu dość wesoła wrzawa, naradzać się przestali.

Dobrogost nazad powrócił do komory, w której był Kietlicz. Wielu ciekawszych u drzwi jej się skupiło, nastawując ciekawego ucha, lecz oprócz szmeru, nic pochwycić nie mogli.

Wtem zdało się im, że nagle zawieruszyło się we wnętrzu, hałas powstał, gadanie pomieszane, niewyraźne, niespokojne. Głos jakiś piskliwy, jęczący, który do żadnego znanego nie był podobny, dał się słyszeć.

W istocie był tam ktoś obcy. W chwili gdy gospodarze i kilku zaufanych umawiali się z

Kietliczem, wsunął się starszy komornik, oznajmując, że ktoś pilno przybył z Krakowa, żądając mówić z Hendrykiem.

Kietlicz, choć nie sam to imię nosił, dorozumiał się, że o niego szło, i uląkł zdrady. Już miał

uchodzić, gdy Sędziwój, wybiegłszy sam, wprowadził za sobą ledwie dyszącego, trzęsącego się, mówić jeszcze nie mogącego i piersi rękami drżącymi cisnącego Juchima. Kozuch na nim pomięty, sianem i słomą potrząsiony, odzienie domowe ledwie narzucone świadczyły o pośpiechu, z jakim się wybierał. Oparł się stary o ścianę u drzwi dysząc jeszcze ze znużenia. Wodził długo oczyma po izbie, nim się przemówić zebrał.

— O wszystkim wiem — rzekł przystępując Kietlicz.

— Nie wiecie o wszystkim! — przerwał Juchim z rozpaczą, odzienie na piersiach targając.

— Ja jestem zgubiony, zabity, ten człowiek mnie w grób wrzucił! Mnie, dzieci, wszystko!

Jęknął.

— A ty jego i siebie wyzwolisz — odparł Kietlicz zimno.

— Jak? jak?! — zawołał Juchim. — Ja jego nie uratuję, my poginiemy oba! Przyślijcie mu syna na zakładnika, przyślijcie, może tak się co zrobi! Ja nie wiem!

I głową w dłonie ująwszy, Żyd jęczeć począł. Kietlicz się przybliżył doń powoli.

— Syn, syn wam się na nic nie zda — odezwał się — ani Mierzwie, ani wam nie przebaczą i nie zawierzą. Choćbyś się opłacił, już oni złym okiem na was będą patrzeć. Ratujcie Mierzwę, bo

mi potrzebny, a sami też z nim do nas uchodźcie.

Juchim w początku słuchał chciwie, potem głową zaczął trząść.

— Uchodzić, aj! — odezwał się. — Cóż to ja sam, a żonę, a dzieci czy ja w połę zabiorę, i to, co mam?

— Pieniądze i życie ratujcie naprzód — dodał Kietlicz — reszcie się nic nie stanie.

Juchim nie słuchał już, tak rada wydała mu się niezdarną.

— Tego, co ja tam mam — mruzczał — gałganów, sprzętu, ubóstwa mego, ja na dziesięć wozów nie zabiorę.

— Stary a nieporadny! — z gniewem zawołał Kietlicz. — Czyż ja cię mam uczyć, abys wozy nocami po jednemu odprawiał?!

Juchim uśmiechnął się gorzko, nie chciał mówić, aby się z bogactwem nie wydawać, rady brzmiały mu jak szyderstwo i urąganie. Za nic w świecie nie byłby tego mienia, na które pracował całe życie, puścił bez straży. Zabrać je i uwieść niepostrzeżenie było niepodobieństwem. Nierychło, podniósłszy głowę, mówić zaczął z gorącością wielką:

— Albo to wy nie możecie tego teraz zrobić, na co się od lat tylu daremnie zbieracie i odgrazacie? Wojsko ciągnie na Ruś, miasto będzie puste, zamek goły... Niech ksiązę przychodzi, weźmie jak grzyba.

Gospodarze z Kietliczem spojrzeli na siebie. Ostrożny Serb wtrącił:

— Albo to łatwa rzecz?

— Jeżeli ona teraz wam niełatwa, to już zawsze będzie trudną — ciągnął żywo Juchim. —

Dużo jest ludzi, co z pana nieradzi, nowego by chcieli. Wszystko, co żyje, zbierają na Ruś... no, w mieście robi się, co potrzeba. Starosta będzie nasz, ja za niego ręczę, ja go znam! Ocalcie nas, ale potrzeba prędko, prędko!

Zadychał się stary i spojrzął. Słowa jego tak przypadały do myśli słuchających, że mu się nie sprzeciwili. Zdawało się, że ich odgadł.

— No — wtrącił Kietlicz — kto wie? Mogłoby to być, ale i wy nie żałujcie na to groszy.

Starostę ująć trzeba.

— Gdy wszystko mam tracić, wolę połowę — zawołał Juchim i poprawił się zaraz: — wolę część! Nie pożałuję, starostę mam w ręku.

Kietlicz i bracia oba zbliżyli się do Żyda, rozpytujac pilno i o starostę, i gmin miejski, za kim on trzymać będzie. Starostę, upewniał Juchim, rękę kładac na piersiach, że weźmie, co do gminu, namyślał się nad odpowiedzią.

— Gmin? A co znaczy gmin? — rzekł cicho. — Motłoch księcia lubi, bo jałmużny daje, ubogich karmi, zły nie jest, ale gmin pójdzie za starostą, a tego ja mam.

Za knieci nie chciał ręczyć Żyd, owszem utrzymywał, iż tych od Kaźmierza żadną nie odciągnie siłą.

Już się narada kończyła, gdy nagle Juchimowi oczy zabłyśły i począł rękę podnosząc:

— Ja jeszcze jedno powiem. Może ja tego nie wziąłem z własnego rozumu, może to niemądra rzecz, ale mnie przychodzi do głowy jeden sposób, aby wszyscy poszli do Mieszka, nawet ci, co nie są jego.

Zatrzymał się chwilę i głos zniżył jeszcze.

— Cóż to? — ciągnął miotając oczyma. — Jak on pójdzie na wyprawę na Ruś, czy jego tam zabić albo otruć nie mogą?

Wszyscy zamilkli, a Żyd zląkł się własnego słowa i rękami potrząsać zaczął.

— Nie potrzeba, żeby jego kto zabijał albo truł — dodał żywo — na co? Można powiedzieć, że on nie żyje. O tyle mil, kto może temu kłam zadać? A jak wieść pójdzie, że jego na świecie nie ma, czy nie pójda wszyscy do tego, co jest?

Kietlicz się uśmiechnął, wszyscy zrozumieli i przewrotność, i zręczność tego wybiegu.

— Rozumny człek! Rada dobra! — zawołał Serb. — Gdyby nie ten kłopot dzisiejszy, nie byłby nam skarbny jej przyniósł, a my byśmy na tę myśl nie wpadli!

Uderzył tak silnie po ramieniu Żyda, że się aż wzdrygnął.

— Róbcie tak — dodał.

— Co to pomoże — przerwał Żyd — jeżeli wy się nie ruszycie? Jak się wieść rozgłosi,



trzeba, żeby było komu bezpańskie wziąć. Zamku nie ma bronić komu.

— A biskupi ludzie? — spytano.

— Biskup swoich daje księciu na Ruś — odparł Juchim.

— Brat jego idzie czy nie?

— Kto go wie — odparł Juchim — a co on będzie wart sam jeden?

W ten sposób Juchim stał się powiernikiem zмовы, nie postrzeżono się nawet, gdy przyjmując jego radę, wydano się z własnymi zamiarami. Plan cały był osnuty. Kietlicz zyskiwał pomoc pieniężną i czynnego robotnika, któremu szło o własne życie i mienie, na koniec pomysł szatański rozpuszczenia fałszywej wieści o śmierci Kaźmierza, który się wszystkim zdał najdzielniejszym środkiem, do odebrania mu ostatnich przyjaciół i sług wiernych. Pozostałe dziecię Kaźmierza, Leszek, był małym chłopięciem, któremu opiekunem z prawa Mieczysław przypadał.

Rozjaśniły się twarze.

— Nie ma już potrzeby tak pilno myśleć o Mierzwie — rzekł Kietlicz. — Może posiedzieć trochę, uwolnim go, zamek zdobywszy.

Juchim zmarszczył brew.

— Byle nie zdradził, nie gadał i nie uciekł — dodał chmurno — bo za niego wezmą mnie i zabiją!

— Nie bój się — przerwał Serb — tobie się nic nie stanie, a rychło też wszystko się skończyć musi.

Po tej rozmowie Żyd uspokoił się nieco. Nie było już dłużej o czym rozprawiać, poszeptano jeszcze i Juchim, który musiał nocą do miasta powracać, aby wycieczki jego nie postrzeżono, wymknął się do swoich sani. Kietlicz, kazawszy też konie podprowadzić, wyszedł do oczekujących w wielkiej izbie. Jeden z nich zaraz przeciw niemu wystąpił, był to młodszy brat z Koziegłów.

— Powiedzcież nam, coście uradzili — odezwał się śmiało — bośmy tu, karku nastawiając, darmo nie przybyli i chcemy wiedzieć, jak stoi sprawa. Będzieli z niej co? Albo znów mąka przepadła i chleba nie upieczem?

— Wszystko stoi, jak było mówione — odparł posłannik Mieszka — nie zmieniło się nic.

Stójcie pogotowiu, my przyjdziemy. Nie chybcie nam.

Ziemiań, urażeni trochę, że im długo czekać kazano, nie zwierając się niczego, poczęli wołać:

— Nie chybcie wy! Niejeden raz myśmy już na was czekali, a my nikogo nie zawiedliśmy.

Wodzicie nas, wodzicie, Kaźmierz jak siedział, tak siedzi, aby i teraz tak nie było!

— Teraz pora inna i my gotowi — rzekł Serb surowo — księżę z synem Bolesławem na granicy już stoi. Z Wielkopolski lud pójdzie z nami, Pomorze i Szląsko.

Wtrącił ktoś, że bez Szlązaków lepiej by się obeszło; inny - dopominał się naznaczenia czasu. Odparł Kietlicz, że to od wyciągnięcia na Ruś zależało. Gwar się wszczął o prawdopodobny ów czas wyjścia, gdy już ten, na którego się oglądano, znikł z izby i przez komorę do koni swych pospieszył, aby nocą dostać się do lasów i nie być postrzeżonym.

Gdy go nie stało, wszyscy też na noc szukali legowisk na sianie, ławach, gdzie kto uspiął miejsce pochwycić. Nazajutrz zapowiedziane były łowy, z których mieli się wszyscy rozjechać, każdy w swoją stronę.

Tak ten spisek siedemdziesięciu uknuł się pod bokiem księcia, czujnym okiem biskupa i pilnym dozorem brata jego Mikołaja, a nikt się go prawie nie domyślał. Stach jeden miał jakieś przecucia, chwycił ślady knowań, których nie mógł złapać wątku. Obawiał się wyprawy na Ruś i ogołocenia Krakowa, lecz biskup gromił go, że siebie i drugich niepotrzebnie trwoży.

Tak pochwycenie Mierzwy, które zdawało się szczęśliwą zdobyczą, pomnożyło tylko niebezpieczeństwo, wciągając'

w spisek Juchima i wszystkich tych, na których ów wpływ miał i związki z nimi.

Na zamku, w mieście nikt nie przypuszczał nawet, aby co ukochanemu księciu zagrazać

miało. Wróżono mu zwycięstwo nowe, bo wszystkie wyprawy szczęśliwie się wiodły i Kaźmierz nie powrócił z żadnej, nie pokonawszy nieprzyjaciół, nie postawiwszy na swym, co zamierzał.

### III

Na krakowskim zamku pomimo trwającej jeszcze zimy, która w tym roku dłużej niż zwykle

wiała od Tatrów chłodem i śniegiem, wszystko się sposobiło do wyruszenia na Ruś z pochodem.

Sam księżę zdawał się wyprawy najgoręcej pożądać, już dla swych stosunków z kniaziami, już dla utrzymania wpływu swojego na kraje te, które chciał w zawisłości od siebie zachować. Biskup Pełka

i brat jego wojewoda podzielali myśl Kaźmierza. W ziemianach i rycerstwie, jak czasu poprzednich wypraw na Ruś, wielkiej ochoty do wojny tej nie było, ale młodzieży śmiała się nadzieja walki.

Nie zwoływano na radę starszyny, postanowiono w małym kółku na zamku, aby ruszyć, a

książę ani przypuszczał, ażeby ziemianie iść odmówili lub sarkali na to. Pełka z bratem, oba ludzie silnej woli, nie obawiali się nikogo, mając księcia z sobą, na ziemian niewiele zważali. Nie rozumieli tego, aby im kto opór mógł stawić. Wojewoda Mikołaj szczególnie lekceważył radę cudzą.

Zdania były podzielone na dworze księcia, Goworek, wierny druż i sługa, pytany, milczał

lub gdy Kaźmierz naglił, nieśmiało przebąkiwał, że wojna ta nie była mu po myśli, a ludziom po sercu. Książę przypisywał to jawnej już niechęci Goworka przeciw wojewodzie Mikołajowi i od myśli swej nie ustępował. Inni bliscy księcia niespokojni byli widząc, że znaczna liczba ziemian szemrała przeciw rozlewowi krwi dla spraw ruskich, które lekceważono. „Co nam po tym, czy Roman, czy Wsewołod będą panowali na tych pustkowiach! Jak jednemu, tak drugiemu wierzyć nie można, a pomagać nie warto!”

Kaźmierz chciał przyspieszyć już tylko wyprawę, gdyż od pobytu w Krakowie kardynała

Malebranca, który tu przybył, wzywając na wojnę krzyżową, miał na sercu jeśli nie Saracenów, to innych bliższych pogan wojować i iść w puszcze poleskie na Jaćwieży. Wieść o zdobyciu

Jerozolimy od lat kilku gorliwsze o wiarę rycerstwo do wojowania z poganymi pobudzała. Nie mogąc się wybrać do Ziemi Świętej, Kaźmierz chciał przynajmniej zmusić sąsiednich pogan, aby wiarę przyjęli. Odwoływały go chwilowo niepokoje między Romanem a Wsewołodem, chciał się

oswobodzić od Rusi i zaraz potem iść z krzyżem.

Część rycerstwa już powoli pociągnęła ku ruskim grodom, reszta wybranych, przybocznych

księcia, gotowała się też wyjść z Krakowa. Ściągały się i dopełniały poczty, sposobiły wozy, czekano tylko, aby niebo się cokolwiek rozpogodziło, a ziemia stężała.

Dawno Kaźmierz nie był tak dobrej myśli, tak wielkiego, jak teraz, ducha. Przeszłe

zwycięstwa spokojnym go czyniły o losy wojny; dłuższy spoczynek ochoty do ciągnięcia dodawał.

Księżna Helena też życzliwa Romanowi, nie śmiejąc namawiać do wojny, w duszy jej była rada.

Mały ona wpływ wywierała na męża, ale woli jej chętnie czynił zadość w tych rzeczach, którymi mógł jej dowieść, że całkiem obojętnym nie był.

W samych początkach, gdy zagadano o pochodzie, niektórzy się starali księcia

powstrzymać, teraz, gdy postanowienie zapadło, każdy myślał tylko, jak dopomóc.

Ostatnie to były wieczory u stołu z duchownymi i ulubieńcami. Dnia tego byli oni wszyscy

jakby na pożegnanie zgromadzeni, nie brakło i ulubionego księcia mistrza Wincentego ani

świeckich kilku przyjaciół, między którymi żartobliwy i wesoły Chmara niepoślednie miejsce zajmował.

Gdy poważniejsi puszczali się na zbyt kręte manowce, stawiając sobie zadania do rozwiązania niemożliwe, Chmara występował z prostodusznością swą i kmiącym rozumem, umysły sposepniałe rozweselając. Wiek podeszły nie pozwalał mu ciągnąć z księciem, był nawet trochę tej wojnie przeciwnym, choć nie dla tych, co inni, pobudek. Jemu żal było oblicza pańskiego i wieczorów na zamku spędzanych.

Książę Kaźmierz, jeszcze nie wyszedłszy, obliczał już, kiedy powróci, rachował dni

pochodu, czas potrzebny do załatwienia sprawy pomiędzy kniaziami, odpoczynku i powrotu.

Wszystko się obiecywało łatwym i szybkim. Wiosna nadchodząca wyprawę miała uczynić

bezpieczniejszą dla ludzi i koni. Goworek słuchał pańskich wróżb i milczał. Mistrz Wincenty, z wielkiej miłości swej dla pana, słowy wytwornymi prorokował laury nowe, zdobycze mnogie i sławę pokojodawcy.

— Rycerska jest rzecz — mówił — pragnąc wojny, a królewska — wojnę rycerstwu i

państwu uczynić pożyteczną. W pokoju gnuśniejają ludzie, w gnuśności na cnotcie łatwo stradają. Nie darmo Rzymianie męstwo a cnotę mieli za jedno, bo bez męstwa cnoty nie ma. Da Bóg uspokojenie na Rusi, poniesie pan nasz najmilszy krzyż na piersiach przeciw poganom w Polesie, którzy ani mniej złośliwi, ni bardziej godni są litości nad Saracenów. Opieka rycerza, patrona naszego, Floriana świętego, królestwu temu zyskana, orężowi pańskiemu błogosławić będzie.

— Wojna piękna rzecz — wtrącił Chmara — nie przeczę, ano wy, panowie duchowni,

zachęćcie nas do niej, sami jednak siedzieć doma wolicie.

— Bo my między czterema ścianami największego wojujemy nieprzyjaciela, jaki kiedy

postał na ziemi, szatana i ciało nasze podległe pokusom jego — odparł mistrz Wincenty — a modlitwy nasze orężowi waszemu skutecznie w pomoc przychodzą.

Chmara skłonił głowę.

— Miłościwy Panie — zwrócił się do Kaźmierza — żebyś choć na skowronki poczekał i na trawą zieloną, pod namioty będzie zimno.

— Nim my się do Halicza dobijemy, i wiosna też dopędzi nas — rzekł Kaźmierz.

— Na to się coś nie zanosi — odezwał się milczący Goworek. — Ja, gdybym odradzać śmiały, Miłościwego Pana odciągnąłbym od tej wojny, której i wojewoda Mikołaj sam mógłby podołać.

— Dlaczegoż mnie rycerskiej sławy i uciechy pozbawić chcesz? — spytał książę z wymówką. — Maszże mnie już za niedołęgę i niewieściucha?

— Nie, ale Miłość Wasza droższą mi jest niż wszystkie ruskie kraje — odpowiedział

Goworek. — Prawdę mam rzec, wolałbym na zamku widzieć księcia, niż na dalekich szlakach z całym rycerstwem, gdy tu — ja zawsze go mam na myśli — Mieszek czyhać może, a z oddalenia chcieć korzystać.

— Krzywdzisz brata mojego — odezwał się książę. — Choćby i pragnął panowania, nie sięgnąłby po nie z bezbronności korzystając. Staąłby mi po rycersku oko w oko do boju.

— Nie chcę ujmować Mieszkowi — tłumaczył się Goworek — zestarzał Stary, a za nim Kietlicz stoi, ten nie śpi,

— O Kraków lękasz się? — zapytał książę śmiejąc się.

— I o Kraków, i o ziemię krakowską, która stać będzie otworem.

— Za nicże liczysz Mikołaja, który za wielu stanie? Ten ci tu na straży będzie.

Spuściwszy głowę, zamilkł Goworek. Po chwili Chmara się odezwał tonem sobie niezwykłym:

— Ci, co od Wielkopolski przybywają, mówią, że tam bardzo wojenno wygląda.

— Nie przeciw mnie! Spokojny jestem — rzekł książę.

— Jak skoro Wasza Miłość spokojną, nam się niepokoju okazywać nie godzi — zamknął Goworek.

Na wiosnę się zbierało, wyznaczono dzień wyjazdu. Książę duchownych prosił o nabożeństwo i błogosławieństwo na drogę. Wszyscy posmutnieli, gdy się czas wyruszenia zbliżył, nawet ci, co wyprawie nie byli przeciwni. Goworek, choć ostrożnie, przypominał, że zamku zupełnie bezbronnym zostawiać się nie godziło. Odpowiedział mu książę, składając wszystko na

wojewodę Mikołaja, ale przyjaciel na imię to głową potrząsał.

— My tu zostaniemy — rzekł — z tym, co Waszej Miłości najdroższe, z księżną panią i dziećmi, więc się troszczym. Za złe nam nie bierzcie.

Podał mu rękę Kaźmierz uśmiechając się, Goworek ją ucałował.

— Gdy wy tu z nimi, jam o moje skarby spokojny — dodał.

Wieczora odjazd poprzedzającego wcześniej się z zamku zwykli biesiadnicy rozeszli,

Wichfried towarzyszył panu do sypialni. Był on zawsze tym druhem, co dawniej, choć od czasu zerwania z Dorotą zaufania wiele postradał. Śledził tak dobrze Kaźmierza, iż o wycieczkach za Wisłę był uwiadomiony. Książę go nigdy nie brał z sobą ani mu o nich wspominał, a gdy Wichfried napomykać próbował, zagadywał o czym innym. Brak zaufania płacił mu książę uprzejmością

wielką i obfitymi darami. Byłby wręcz może i zwierzył mu się, gdyby nie Jagna, która między sobą a księciem nikogo mieć nie chciała.

Panowała ona teraz nad sercem odzyskanym tak, jak niegdyś; władza jej silniejszą była

może, choć wdzięk młodości łązy zmyły z jej twarzy, a smutek na niej gościł częściej od uśmiechu.

W pustym domostwie za Wisłą prawie sama jedna, Jagna pędziła życie, jakiego by inna niewiasta nie zniosła. Gdy księcia nie było, z okna dworu, które ku Wawelowi wychodziło, patrzyła na zamek, śledząc, co się tam na nim działo, odgadując, co książę robił, o której dnia porze, szyjąc w krosnach, czekając na niego.

Krosna stały u okna tego, oczy jej nie schodziły prawie z Wawelu. Milcząca, rzadko do

kogo przemówiła, oprócz pana swego i sług. Żyła myślą i sercem. Potęgowało się w niej

samotnością to przywiązanie, które pochłoneło życie całe;

tęskne godziny oczekiwania opłacały się tymi, które z nim pędziła.

Dla niej Kaźmierz nie miał tajemnic, przed nią, jak przed samym sobą, mógł wypowiadać

wszystko, i tęsknoty życia, i jego nadzieje a zamiary. Jagna tak się umiała zespolić z myślami jego, że nigdy o nic sprzeczka żadna nie powstała między nimi. Chciała tego tylko, co on, a z

wyrzeczonego słowa snuła myśl, która w nim jak w ziarnie tkwiła.

W początku tajemnicą był ten pobyt Jagny i wycieczki Kaźmierza, który z sobą nie brał

nikogo, oprócz wiernego Smoka, milczącego jak kamień. Później ukryć się to nie mogło. Zausznicy

donieśli o tym księżnie Helenie, która opłakawszy błąd męża, wedle zwyczaju udawała, że wcale o nim nie wiedziała.

Dorota, która z zaciętością wroga starała się powziąć wiadomość o tej, co jej Kaźmierza

odebrała, wysledziła miejsce jej pobytu, ale wszelkie zabiegi, aby się tam dostać, wysłać kogoś, napaść jakąś zgotować, rozbiły się o czujność ludzi, którym straż była powierzona. Smok sam ich dobierał, a miał takich, co z obcymi mówić nawet nie chcieli. Odźwiernym zaś był człek, co nie spał nigdy i nie wierzył nikomu. Dwór bardzo szczupły otaczał Jagnę, a ten się prawie stąd nie oddalał, aby do miasta nie wynosił wieści i z niego niepotrzebnych nie ściągał.

Stara Czechna, służąca Dorocie, z polecenia jej różnymi sposobami zabiegała, aby się dostać do murowanki (tak ją zwano) albo z którą z dziewcząt zawiązać stosunek: wszystko dotąd było próżnym. Nienawiść, pragnienie zemsty wzmagały się w Dorocie, w końcu już jej nie tyle może szło o odzyskanie Kaźmierza, co o pomśczenie się na współzawodnicy. Z myślą tą dzień i noc się nosiła poprzysięgając, że póki żywa, się jej nie wyrzecz.

W pomoc chciała użyć Wichfrieda, odmówił; księciu przypominać przyrzekał zawsze, ale

nadto nic więcej. Znajdował do tego sposobność, wtrącił słowo, Kaźmierz słuchał niecierpliwie.

Jeżeli o co dla niej prosił, dawał chętnie, ale na oczy widzieć i znać jej nie chciał. Miał teraz wstręt do niej, a to, co z boku dochodziło, zwiększało go jeszcze. Litował się nad nią i brzydził. Gdy zabiegała mu drogę, odwracał oczy.

Ze śmiercią starego wojewody Szczepana Dorota, straciwszy najpotężniejszego ze swych

opiekunów, w miejscu jego wybrała drugiego możnego a niemłodego wdowca, z rodu Porajów.

Miotła nim jako chciała, posługując się z wielkim jego krewnych zgorszeniem. Wichfried też często całe dni tu przesiadywał, młodzieży pełno było zawsze. Rzadki wieczór bez śpiewów i piasów przechodził, w których gospodyni zawsze przodowała. Niemiec, widując ją tak wesołą, wmawiał, że juści Kaźmierza zapomnieć musiała, naówczas marszczyła brew, zacinała usta i

odpowiadała:

— Obaczysz!

Lata płynęły, a osobliwa ta niewiasta trzymała się zawsze młodo, na podziw świeżo i

rześwo na umyśle. Z latami zdawało się jej przybywać zuchwalstwa i gorączki do lada jakich rozrywek. Najszałeńsza myśl się jej jęła, byle coś nowego w niej było. Dostać się nie mogąc do murowanki, Dorota czasem puszczała się w okolice, stawała niemal pod oknami na widoku, tak by ją Jagna mogła zobaczyć i palcami wskazując na okna, ruchami różnymi ściągać oczy na siebie, dokuczała nieprzyjaciółce.

Jagna ani się sromała, ni tych wyzwania unikała. Gdy ją Dorota zastała w oknie, nie uciekała przed nią,

zasiadała całą twarzą do niej obrócona i spokojem swym urągała Dorocie, Była to wojna niema, ale zajadła.

Wieczorem księżę, wszystkich odprawivszy, ze Smokiem, który przy koniach czekał za

bramą, ruszył za Wisłę. Rzeka stała jeszcze lodem, choć już puszczać zaczynało. Kaźmierz nie uląkł się ani kruchych lodów, ni płonek rybaczych, ruszył na drugą stronę. U wrót po uderzeniu pana poznawano, otwierały się natychmiast.

Na górze czekała zawsze Jagna z lampką w ręku, bo czuła, gdy pan przybędzie. Szli potem

we dwoje do jej Izby, gdzie zimą ogień płonął i stół zawsze nadkryty. Tu siadali oboje i jakby nie wczoraj, ale tylko co przerwana rozmowa rozpoczynała się znowu. Tym razem księżę przybywał smutny.

— Ej, gołąbko ty moja) — zawołał. — Kiedy ja do ciebie powrócę? Wszak ci to wyprawa za pasem, a ja z pożegnaniem)

— Wiem — odpowiedziała Jagna spokojnie. — Wyprawy ja się nie boję, Bóg i święty patron ustrzeże. Tego, co się tu zostaje, to się lękam.

Jagna od Stacha przez Hreczyna miała wieści.

— A czegoż się ty tu boisz? — spytał księżę. — Mieć będziesz opiekę, o tom się starał.

— Mnie jedno widmo prześladowuje... Mieszkowe — odezwało się dziewczę. — Mówicie, że mi się to śni; sny tych, co kochają, próżne nie są. Dusza czuje, co ukochanemu zagraża.

— Wszystkim bo wam Mieszek na myśli — rzekł obojętnie Kaźmierz. — Bodajbym straszniejszego nieprzyjaciela nie miał! Cóż on może?

— Co? Ano i Kraków ci wziąć! — zawołała.

— Zważajże ty, dziecisko moja złota — rozśmiał się księżę — że go sami moi ziemianie stąd wygnali, nie chcieli go, a mnie przymusili, bym tu siedział.

— O Królu Ty mój — odparła Jagna — albo wy ludzi nie znacie, albo ich na swe podobieństwo wyobrażacie. Ci, co kochają dziś, jutro nienawidzą.

— Nie dałem powodu! Bóg świadek! — rzekł księżę.



— A bez powodu nienawiści nie ma? — poczęło dziewczę. — Gdy mu serce żółcią zapłynie, człek sobie powód wyszuka. Wszak ci już mówią...

Tu się wstrzymała, spojrzała, smucić go nie chciała.

— Śmiało, Jagno! Co mówią? — podchwycił ksiązę.

— Mówią — ciągnęła dalej — ot tak, że mając iść na wojnę, ksiązę rady nie pytał; mówią, że wojewoda Mikołaj bardzo sobie dumnie poczyna; mówią, że pan krwi ziemian nie ltuje; mówią, że Ruś tego niewarta!

— Jam to wszystko słyshał — rzekł Kaźmierz — Goworek mi to powiada, rycerstwo ciągnie z okrzykiem, a Miklasza poczciwego słuchają jak dzieci, z Rusi łup nie do pogardzenia przywożą: i pawołocze, i futra, i srebro, i złoto. Jagna główką wahała.

— Wołać boża — odparła — co on przeznaczy, człek nie przeinaczy. Panu mojemu, orłowi białemu, chce się na wojaczkę, oj, chce!

— Bom do niej stworzony, na nią wysadzony — mówił ksiązę — choć ja krwi przelewać nie lubię, choć wolę z ksiąg czytanie i z gołąbką gruchanie. Rycerstwo by mną pogardziło, a nazwałoby Mnichem, gdy i tak z mnichy rad siedzę.

Jagna pomilczała, zaśpiewała.

— Panku złoty — ozwała się — czarne myśli dzierzgać przykro, ano mów. Gdyby się to stało, co się stać nie może, dalbóg, gdyby ten Mieszek Kraków opanował, co ma Jagna czynić?

Ksiązę śmiejąc się ramionami niecierpliwie ruszył.

— No, mów, co czynić ma?

— Nie może *tó* być.

— Nie może! Bajki prawmy — mówiła Jagna — dzieciom na sen, starym na zabawę, juści się bajdy plotą. Co mam czynić, gdyby Mieszek Kraków wziął?

— Uparta gołąbka moja!

— O, we wszystkim, biały orle mój, w miłości, w nienawiści i w żalu, i w smutku! O, uparta! Co robić, gdyby Kraków wziął? — powtórzyła po raz trzeci.

— Ani go weźmie, ani się on kusi.

— Bajkę prawmy.

— Cóż byś ty zrobiła?

— Co? Siadłabym na konika i może do Ściborzyc, do Gaju albo gdzie w las uciekła.

Zwołałabym ludzi, strąbiła ziemiany, hej! Kto wie? Kraków odebrała!

Kaźmierz śmiać się począł.

— Tak i czyni, ano bajki dosyc — rzekł smutniej. — Mikołaj wojewoda wie, że murowanki ma strzec jako oka w głowie, ale kto w niej, nie wie..

— Wszyscy wiedzą, wie i on — rzekła spokojnie. — Albo.

ja się wstydzę? Jam ci twoja pierwsza żona, której ani biskupi narzucili, ani książęta swatali, ano sam Bóg! Ślub nam dawał wiatr wiosenny w dębinie!

I rękami objęła Kaźmierza, a dwie łzy jak dwie perły błyszczące z oczów się jej stoczyły.

Wkrótce potem książę na koń siadał i gnał nazad na Wawel ze Smokiem. Drugi raz puścili się przez lód, który pękał już pod kopytami końskimi i załamał się u brzegu, ale książę uskoczył na brzeg twardy, a Smok za nim przez wodę się rzucił.

Drugiego dnia bito we dzwony, książę wyjeżdżał wprost od drzwi świętego Wacława, przeprowadzany przez duchowieństwo, zawrócił na Kleparz do nowego kościoła świętego Floriana, patrona swojego, modlił się tam jeszcze, a rycerstwo, rozwiniawszy znaki, zanuciło Bogurodzicę.

Szli wesoło, choć wiosenna odwilż z mokrym śniegiem i wiuha biła w twarze, szli wesoło, żegnając panie mieszczeni i panów mieszczan znajomych, stojących u progów, siedzących po oknach, szli wesoło, bo przodem jechał z poczem świetnym sam książę, a z Wawelu księżna Helena, Goworek, Pełka, dwór długo za nimi patrzali, krzyżem świętym żegnali.

— Bóg daj powracać zdrowo! Bóg daj prędko! Bóg daj wesoło!

Na zamku stało się straszliwie pusto, stratowane podwórca, pootwierane szopy, ślady wozów, ludzi resztki, niedobitki, straż we wrotach słaba. Goworek się krzątał, aby w porządku garstkę tę utrzymać, którą mu zostawiono więcej dla posługi niż dla obrony.

Stach, choć po uwięzieniu Mierzwy trochę nabrał otuchy, że im szyki pomięszął, całkiem nie był spokojny. Ludzie, przez których się dowiadywał, co się działo po ziemi i okolicy, niedobre znosili wieści. Juchim był spokojny, małowówny, jakby więcej wiedział, niż chciał mówić. Ruszał ramionami, narzekał na nieszczęście swoje, a po nocach się gdzieś wykradał. Biskup Pełka, któremu Stach się ze swych strachów spowiadał, odrzekł mu:

— Jeśliś podejrzliwy, jedź tam, skąd ma zagrażać niebezpieczeństwo, a dochodź, czy ono tam jest. Aliści bodaj widma się wam przed oczyma suwają.

Odprawiony z tym, Stach wrócił do dworku niepewien, czy ma jechać i gonić wiatra w polu, czy tu stać na straży. Dzień i drugi, wałęsając się po mieście, spędził na rozmyślach. W końcu, że mu zawsze siedzenie w miejscu doskwierało, ruchu i zajęcia potrzebował, kazał konie sposobić.

Żegiec też nie od tego był i on sobie przykrzył zamknięty.

— W polu zawsze się jakaś zwierzyna nawinie — mówił — a w progu domu chyba pies ogonem zakręci pod nosem.

Gotowali się więc do podróży. Czas był obrzydły, bo nie ma u nas okropniejszej pory nad tę, co wiosnę poprzedza. Wojuje ona z zimą, która jak w brudnych łachmanach żebraczka barłogu swojego broni. Śnieg, deszcz, wiatr mieniały się z mrozem i ślizgawicą, z odwilżą do kości przejmującą. Pora to jednak była najprzyjaźniejsza dla tych, co potrzebowali krętymi drogami przemykać się nie postrzeżeni, bo po gościńcach nawet trudno było kogo spotkać. Stach, rozpytując, z ludźmi gwarząc po drodze, po gospodach sznurkując, zaglądając do chat, włókł się nie spiesząc ku Poznaniowi i Gnieznu.

Choć dnia już było przyrosło, nie pędził bardzo koni, jechał nie śpiesząc, aby dalej.

Odsadzili się już o dni kilka od Krakowa, gdy na noclegu spotkali się z kupcami ciągnącymi od Wielkopolski do Krakowa. Byli to Niemcy, którzy po troszę się języka nauczywszy, z mową

łamaną, znając już kraj, nie obawiali się po nim wędrować dla zysku, opatrzeni w listy przechodnie od książąt i duchownych.

Stach leżał już na sianie w izbie, gdy nocą przybłąkali się do gospody i szczęśliwi, że ją znaleźli, zabierać się zaczęli do spoczynku. Nie troszczyli się o to wiele, że ich rozmowę mógł kto słyszeć, mówiąc z sobą po szwabsku i pewni, że ich tu nikt nie zrozumie. Ponieważ w tej samej izby drugim końcu się umieścili, Stach mógł wysłuchać rozmowę. Było ich trzech.

Mormotali zrazu po cichu, a potem, ośmieleni czy zapominając się, coraz głośniej.

— Aby no listy nie zamokły — rzekł jeden.

— Nie ma strachu o to, dobrzem je skórą obłożył — odparł drugi.

— A księcia Mieszka pisanie gdzie?

— Tam, gdzie inne.

— Trzeba spieszyć, choć droga psia, bo to ważna sprawa, a i nagroda będzie sowita.

— Najgorzej z dopytaniem się do tego w Krakowie, któremu list do rąk oddać trzeba. Jak się on zwie?

— Warsz, starosta, o nim tam wszyscy wiedzieć muszą. Drugi do menniczego Juchima, ten też znany być musi.

Stach uszu nastawił pilno.

— Trzeci znaczek trzeba jeszcze gdzieś wieźć w sąsiedztwo, mila czy dwie, nie wiem.

— Niedaleko, jam tam już był — odezwał się drugi. — Zamek to pański, a ludzie bogaci i sprzedać co można.

Niemiec przekreślił nazwisko Tęczyna, ale Stach się go łatwo domyślił.

— Wszystko pilne, pilne — rzekł najstarszy z nich — księżę Mieszek już sunie ze swoimi.

— Kupę ludzi nazbierał.

— Jak mrowia tego jest. On i syn, i kilku książąt.

— I pan Hendrych, co listy nam te dawał.

— Mieszek też osobą swą.

— Ja — rzekł inny — nie będę tam długo popasał. Weźmie się na wojnę, na zabijatykę, obcemu człowiekowi zginąć łatwo, listy nie pomogą. Obedrzyć zechcą, żołdactwo grabieżniki.

— Czasu jeszcze dosyć, nim księżę Mieszek nadciągnie, zejdziemy z drogi. Mówią nawet, że wojny nie będzie, bo tam ze sobą mają zмовę. Zamek im podadzą i miasto.

Szydzili Niemcy z tego, co się gotowało dla Krakowa. Stach słuchał, słuchał przyczaiwszy

się, tchu nie puszczać, a że więcej chciał się dowiedzieć, długo ani drgnął na posłaniu. Pierwszą myślą jego było rzucić się na Niemców, aby im listy, które wieźli, odebrać, lecz obrachowawszy się z siłami swymi, bojąc się popłoch rzucić, boć pozabijać wszystkich było mu trudno, Stach inaczej postanowił. Leżał spokojnie, dopóki się do snu układali, gdy znużeni wkrótce chrapać poczęli, wstał i z izby wybiegł do Żegcia do koni. Obudził go, kazał siodłać.

Noc była jak w garnku ciemna; słota i wicher nad głowami, ale na to nie było co zważać.

Gdy podróżni zaczęli się w stajni poruszać, czujny gospodarz wyszedł z ogarkiem. Powiedział mu Stach, iż sen miał taki, że jechać zaraz musiał precz, zapłacił i w świat — nazad do Krakowa.

Szczęściem pierwszą część drogi robili nie śpiesząc, konie zmęczone nie były, mogli więc

na powrót pędzić co tchu, choć ślizgawica, błoto, lody i wody piekielnie dokuczały. Teraz już gościńca nie patrząc, na proszki trzeba się było przedzierać, a prędszej. W stajni widzieli konie kupców, które były spaśne i duże, do chodu dobre, wyprzedzić je musieli. Więc prawie bez

spoczynku zaczęli biec i co wprzód dni kilka kosztowało, teraz we dwa, licząc z nocami, przebyli zdyszani, konie pokaleczywszy, tak że jednego na drodze zamieniono. Gdy miasto się pokazało wreście, Stach lżej odetchnął i jak stał, do biskupa jechał.

Pora była wieczery, Pełka z bratem wojewodą, księży kilku siedziało u stołu. Mowa była o tym właśnie, jak świeżo z Rzymu surowo ponowiono zalecenie, aby małżeństwa wszelkie księży błogosławili i to nie po domach, ale w kościołach, jak surowo wzbroniono księżom brać żony, a brody im golić polecono.

Wojewoda na tę surowość narzekał trochę twierdząc, że dawniej księży żony zawsze

miewali, ale biskup gorąco obstawał przy tym, iż ci, co do wojującego kościoła należeli, nie powinni się byli obciążać rodziną, bo i rycerz idący na wyprawę, brzemion zbytnich na ramiona nie bierze.

Stach obłocony, zmęczony, zawsze mając wstęp do biskupa wolny, natychmiast wszedł do jadalni. Zobaczywszy go, Pełka uśmiechnął się dobrotliwie i rzekł:

— Duchu niespokojny, powiedz skąd i z czym przybywasz? Boś pono z podróży, widać to po tobie.

Odwrócił się doń i wojewoda, ale Stach, osób widząc tyle, mówić nie śmiał.

— Na gardło moje — zawołał wreście — wiadomość niosę taką, że od niej włosy na głowie powstać mogą, ano czy miejsce mówić?

Biskup i wojewoda powstali ku niemu.

— Mów, nie zwlekaj! Wszyscyśmy tu swoi — dodał Pełka, patrząc na duchownych —

sumieniem obowiązuję do tajemnicy.

Rozpoczął więc Stach opowiadanie, jak jechał, gdzie kupców spotkał, powtórzył, co mówili, opisał ich, konie, wszystko, czemu się dobrze przypatrzył. Na ostatek dodał, że przysiąc był gotów na krzyż, iż to, co mówił, prawdą było. Życie jego przeszłe zresztą i znany charakter za nim świadczyły.

Wojewoda stał chwilę przerażony. Biskup stronę, z której płynęło niebezpieczeństwo, przeżegnał. Oniemieli wszyscy.

— Ludzi do obrony mamy mało — ozwał się wojewoda — zbierzemy przecież tylu, że się zamek utrzyma, w Bogu nadzieja.

— A miasto? — spytał biskup.

— Jeżeli starostę w porę schwycimy, może i ono — dodał wojewoda.

Stach na rozkazy czekał.

— Wy co kupców konie znacie i twarze — rzekł do niego wojewoda — ruszajcie na gościniec, stańcie na czatach. Chwycić Niemców trzeba i listy im odebrać.

Rachowano, kiedy kupcy przybyć mogą, a Stach co najrychlej obiecywał ich nazajutrz wieczorem, bo droga była rozkiszła a konie objuczone.

Nocy już nie było dla biskupa i Mikołaja, ten posłał po swoich ludzi, konia sobie kazał

podprowadzić. Pełka, gromadząc, co miał najkosztowniejszego, natychmiast się gotował schronić na zamek. Z obawy zdrady czyniono wszystko potajemnie i nieznacznie. Noc upłynęła na

posyłkach na wsze strony, nad ranem posły powracać zaczęli, sprawa się okazała gorszą, niż sądzono. Resztki słabszych ludzi, pozostawione przez Kaźmierza, nie mogły się pościągać tak rychło. Nikt się nie spodziewał napaści, nie wierzono w nią.

Biskup i wojewoda, nie tracąc odwagi, bodaj z małą garścią postanowili na zamku siedzieć i nie poddawać go. Obcy już nawet wszystkiemu ludzkie nazajutrz dostrzec mogli, że noc coś

przyniosła niespodziewanego. Na zamku ruch był wielki, opatrywano wały, tyny, bramy, a gdy ludzie pytali, mówiono, że na wszelki wypadek gotować się trzeba. Trwożne przeczucia ogarniały mieszczan, z których bojaźliwsi z mieniem się do zamku wpraszać poczęli. Tych, którzy mieli żywność i ręce zdrowe, przyjmowano.

Stach nad ranem poszedł do Juchima, ludzi z sobą wzięwszy. Wrota były zaparte, gdy się do nich dobijać zaczęto, nierychło i niechętnie otwarła służba. Sam Juchim nie pokazał się. Ludzie pomięszani, dopiero groźbą wyłamania zastraszeni, wpuścili oznajmując, że pana nie było, bo od dwu dni wyjechał do Wrocławia, gdzie wiadomo było, iż monetę kuł.

Pomimo to Stach wszedł, dom cały trzęsąc i rozpatrując, wśród jęku i płaczu niewiast i

dzieci. Nie znalazł ani Juchima, ani skarbów jego, które chciał zabrać dla księcia. Że się one ukryte gdzieś znajdować musiały, bo wywieźć ich nie było czasu, wiedział Stach dobrze, lecz żadne groźby na ludziach ukazania wymóc nie potrafiły. Dom strażą ostawiwszy, poszedł Stach do

starosty Warsza, ale i tego dawno w domu nie było. Rodzina zaklinała się, iż nie wie, gdzie się znajduje.

Zasiadł potem, czatując na kupców, na gościńcu u wrót miejskich i czekał. Dzień, wieczór, noc i drugie tyle czasu zeszło: Niemcy nie przybyli. Wytrwał jednak na stanowisku nie wiedząc, że kupcy, obawę mając do Krakowa jechać, zawrócili naprzód do Tęczyna i tam zdawszy pisma

wszystkie, sami w inną udali się stronę.

Stało się, czego Stach przewidzieć nie mógł, a gdy po próżnym oczekiwaniu nie

pochwycono zapowiedzianych, wojewoda, człek prędko, Stacha za kłamcę poczytawszy, w

pierwszym gniewie do więzienia go chciał wtrącić.

Biskup się temu oparł, gdy ponowiwszy przysięgę, Stach uroczyście zaręczył, iż prawdę

mówił, której bliska przyszłość dowieść miała. W rozpaczy po tym sporze z wojewodą Stach, choć mu groziło niebezpieczeństwo, gdyby go Kietlicz pochwycił, zapomniawszy o sobie, nie chroniąc się na zamek, dzień cały przeleżał we dworku, straciwszy do wszystkiego ochotę.

Pamięć o obowiązku i pokucie nierychło wzięła górę i znekany zwlókł się z pościeli.

Potrzebował Jagnie oznajmić, aby ona o bezpieczeństwie swoim myślała zawczasu, ale właśnie Wisła była lody porwała i życia nie ważąc, na drugi brzeg dostać się nie było można. Stach do życia wielkiej nie przywiązywał wagi, choć Żegieć, na kolana padłszy, błagał go, aby się na okrutną krę nie puszczał, wziął czółen i sam z nim popłynął. Lody dopiero u brzegu sparły łódkę i obaliły, tak że wyskoczywszy na nie, częścią wpław, częścią po krach na ląd się dostali.

Od wyjazdu księcia Jagna już w oknie swym nie siadywała; w innej izbie, krosien nie

tykając, całe dni półmartwa, milcząca, w kąć się zaparłszy, drzemała i marzyła. Stachowi jednemu dostać się tu było można, bo przykaz był u wrót, aby go tu puszczano.

Przyszedł więc ze swą smutną powieścią. Zobaczywszy go przed sobą, Jagna zakrzyknęła,

domyślając się, iż darmo do niej przez kry na Wiśle nie przyszedł.

— Niosę wam zły gościniec — odezwał się Stach. — Ot, co się dzieje. Mieszek na Kraków ciągnie, ino go nie widać.

— Pewno to? — zapytała zrywając się.

— Jakom żyw.

Musiał jej opowiedzieć, skąd wiadomość wziął. Słuchała go pobladłszy, ale wnet wróciło jej życie.

— Niech biorą Kraków — zawołała — odbierze go im mój pan, a zdrada, w którą nie wierzył, na wierzch wypłynie!

— Co wy myślicie? — spytał Stach.

— Ja? Ja miałam przeczucie — rzekła — czekałam tylko rychłoli się to stanie. Na koń siądę, do Ściborzyc, w lasy, nie wiem! Hreczyna mi ślij z końmi.

— Przez Wisłę, a lody?

— Powiedzcie mu, że go chcę mieć — odparła Jagna. — Wisła ta broni mnie od Mieszka, a

Hreczyn przy pomocy bożej dostanie się tu, gdy lody przejdą. Na ucieczkę czasu mam dosyć, gdy zamek brać zechcą, a w mieście zawre. Nie boję się.

Ze spokojną twarzą, ale brwią ściśniętą wysłuchiwała Jagna resztę powieści.

— Nie byłoby tego — rzekła — gdyby nie ziemian zdrada, gdyby nie Doroty bracia i to

brudne ich gniazdo. Pociechę tylko mam, że gdy Kraków wezmą, i siostrę zabiorą, a na wieżę posadzą.

Błysły oczy jej gniewem i zemstą, lecz płomyk ten prędko zagasnął. Posmutniała.

— Co mi ona? — szepnęła.. — Pana mi już nie odbierze! Nie!

Stach patrzył na nią żałośnie, uśmiechnęła mu się.

— Bóg ci zapłać — rzekła zegnając. — Nas dwoje tylko jest, cośmy mu wierni.

#### IV

Dzień był pogodniejszy, słońce próbowało przebijać się przez chmury; zza nich wiosny



obietnicami, pasami sinymi niebo oczyszczone przeglądało. Skowronek nad rolę mokrą podnosił się do góry i śpiewał na owo nabożeństwo życia jakby dzwonek na mszę świętą. Bociany leciały górą, mówiono, ale od Tatrów smagało jeszcze mrozem i śnieg powracał uparty. Między jedną a drugą wiułą co się uciszyło, to ludzie spoglądali ku niebu: już wiosna? Sypnęły potem krupy: znowu zima. Młodzi mówili, tylko co zieleni nie widać, starzy prorokowali, że jeszcze śnieg powróci.

W mieście wymiatano śmiecia zimowe precz, ażeby je wiosenne wody z sobą wzięły, a spoglądano ku zamkowi, bo się , tam działy rzeczy dziwne. Gdy księżę wyjeżdżał, zamek stał otworem pusty, teraz wojewoda gotował go jakby do wojny. Lud pędzono do środka, żywność zwożono jak na obleżenie, ruch był, gwar i krzątania. Spieszono dniem i nocami. Robiło się niektórym trwożno, drudzy śmieli się wołając, że obawiać się nie ma czego. Tak dnie mijały.

Aż jednego rana ziemianie z okolic zbrojni wielkimi tłumami poczęli wjeżdżać do miasta, a wprost się na zamek kierować. Tam znaleźli wrota zaparte, wojewoda Mikołaj czuwał. Rynek stał już pełen koni i ludzi, między przybyłymi na czele dwóch braci z Tęczyna, dwu braci z Kozięglów i Śreniawa z Proszowic.

Zobaczywszy ich, mieszczanie pomiarkowali zaraz, że nie dla Kaźmierza przybywali, ale przeciw niemu. Nie spieszyli do zamku, gdy go zobaczyli zawartym, czekali. Coraz to nowe zawołanie, nowa chorągiew, nowy znak, nowe hasło wciągało do miasta. Ludzie się powoływali wedle obyczaju. Starża! Śreniawa! Kozięglowy! Różnymi wrotami wchodzili Bogorie niektórzy, Różyce i inni, tak że z zamku patrząc, naliczono siedemdziesiąt znaków. Niektóre z nich były szczupłymi garstkami i rycerstwo to nie miało zbroi dobrych; oprócz przedniejszych, co świecili, reszta po małych, ubogich dworach zebrana być musiała. Jechało to naprzód długo, bezładnie.

Kupiło się, aż kilku konnych nadbiegło z okrzykiem:

— Idą! Idą!

Ruch stał się wielki.

— Idą!

Ulicami poczęły już wciągać wojska Mieszkowe, które po odzieży i znakach łatwo odróżnić

było. Na czele pierwszych jechał młody Bolko, syn Mieczysława, chłopak dzielny, wesół i

rycerskiej postawy, przy nim krępy Kietlicz z twarzą czerwoną. Tuż u jego konia znalazł się już Juchim, jakby spod ziemi wyrósł. Trząsał się stary Żyd z radości, za kolana obejmując to Kietlicza, to Bolka, a oczy mu się śmiały, a ręce podnosił, rzucał się, oglądał, tryumfował.

Na zamku cicho stało jak mak siał. W dole krzyczano:

— Żyw nam niech będzie książę nasz Mieszek! Kaźmierz. nie żyje!

— Kaźmierz nie żyje! — wołali nasadzeni. — Struli go miodem na uczenie Rusini! Na zamek! Na zamek! Kaźmierz nie żyje!

Po mieście odgłos ten: „Kaźmierz nie żyje!” poszedł jak piorun z ust do ust. Po twarzach ludzi widać było wielką żalność i trwogę. Łkać niektórzy poczynali, jakby ojca utracili. Ziemianie się oglądali tylko, wołając:

— Na zamek!

Wszystek tłum z Bolkiem i Kietliczem posypał się żywo, tłocząc, cisnąc ku zamkowi.

Juchim szedł przy koniu namiestnika, nie opuszczając go, powtarzając: „Nie mają się czym bronić! Muszą się zdać!”

Spytał Kietlicz o Mierzwę, a Żyd oznajmił, że na zamku był więziony, ale nic mu się nie stało.

Na wałach zamkowych widać było z dala ludu dosyć, nie tak pusto, jak się spodziewano.

Spokojnie stali patrząc, gdy z dołu ku nim wykrzykiwać Mieszka zaczęli i wołać, że Kaźmierz zmarł, że nie ma go już na świecie. Do wrót ani Bolko, ani Kietlicz nie śmieli się zbliżyć bardzo, posłali przodem pułkownicę Serba Muchę, który począł wykrzykiwać, aby mu otwierano.

Krzyknął raz i drugi na próżno, zza wrót nie odzywał się nikt, choć na wałach stał dokoła lud zbrojny. Zaczęli więc we wrota żelazem kute tłuc i bić, aż naokół jęczenia ich słyszeć było — i na to nic nie odpowiadano. Trwało to dobrych kilka pacierzy, gdy na wyżki do wąskiego okna wyszedł ktoś i zagrział głos:

— Precz od wrót, bo się kamienie posypią! Pierzchnęli ci, co stali bliżej, i zatrzymawszy się, naradzali z sobą. Wyszedł znowu Serb Mucha, wielkim głosem, jakby na sądy wołał albo wolę książęcą opowiadał krzyząc:

— Książę Kaźmierz nie żyje, zamek trzeba poddać na Mieszka. Miasto otworzono, wrota dawać! Nie chcieć szturmu i rzezi, posłuszni bądźcie! Otwierać!

— Miasto całe nasze! — wołał Kietlicz.

— Ziemia nasza! — dodał Bolko z dala.

Patrząc z góry, zobaczyli w tej chwili człowieka, któremu z dawna niewiele dawano wiary

i niewielką też miał wagę, choć miejsce znaczne zajmował. Był to starosta grodzki Warsz, pokorny sługa wojewody, biskupa, wszystkich zgoła, ale lis szczwany, który tu został na starostwie z czasów Mieszka, a teraz znowu z nim szedł, wprzódę się o to zmówiwszy.

Warsza tego Pełka z bratem byliby dawno wygnali precz, a innego na jego miejscu osadzili, ale się obu im kłaniał, pochlebiał, zaklinał się, iż pana miłował nad życie, tak że go nad miastem od roku do roku zostawiano. Sprawdziło się, co Stach powiadał.

Warsza wypchnięto naprzód, dając mu znać, aby mówił, i począł ku wrotom wołać:

— Miasto się poddało, bo Kaźmierz, pan nasz, nie żyje! W bożej mocy żywot człowieka.

Otruli pana Rusini, przyszli ludzie z obozu płacząc. Starszy brat zajmuje ziemię!

Około Kietlicza i Bolka kilkanaście głosów wtórować zaczęło, że Kaźmierz nie żyje.

— Zamek zdawać! — domagano się.

Czekali na odpowiedź, gdy z okna odezwało się:

— Rozmowy z wami nie ma, z dala od wrót, nie chce się li wam trupa widzieć! Won zdrajcy, a nie, to strzały polecą!

Wysunęła się pięść ściśnięta przez okno i wtem gład ogromny, z góry ciśnięty, stoczył się na stojących, tak że Kietlicz ledwie miał czas uskoczyć, bo koniowi jego nogi potłukł. Głos ponury, groźny powtórzył Kietliczowi znaną mu przepowiednię nieboszczyka Gedki biskupa, o której

wiedzieli wszyscy, do kogo się stosowała: „W obcy cię kraj zawiodą jako koguta, co cudze piskłeta chce zagarniać, matkę z gniazda wyganiając.”

Kietlicz, posłyszawszy, zapienił się i pięść do góry podniósł ku murom. Nastąpiła cisza

krótka, z orszaku Bolka młodzież zaczęła znowu się odgrażać.

— Niech no księżę nadciągnie! Weźmiemy to osie gniazdo, z życiem nie ujdzie nikt!

— W pień! W pień! — krzyczeli Kietliczowi.

Na zamkowych zdało się to nic nie działać, a że na razie do zdobywania nagłego nie można

było przystąpić, nahałasowawszy i nagroziwszy, postawili mocną straż, dokoła obesłali górę oddziałami, co jej z oka spuszczać nie miały, po czym Bolko, Kietlicz, Warsz i ziemian starsi pociągnęli do miasta.

Gród, w którym Warsz przez swych sotników i dziesiętników ład utrzymywał i poddał go,

wprzódę się o to zmówiwszy, pomimo że się nie bronił i wrota otworzył, nie okazywał wcale radości z nowego pana. Twarze były zasepione, a ci, co uwierzyli otruciu i śmierci Kaźmierza, płakali po nim.

Kietlicz posłał zaraz do dworca biskupiego, ale tam krom kilku starych duchownych, których tykać nie śmiano, nie znaleźli nikogo. Nie zamierzano też poczynać od gwałtów.

Scholastyk Lambert, który często na zamku gościł, mąż surowy i nie obawiający się mówić prawdy, stanął przed Kietliczem z obojętnością dumną, nie obiecującą, aby na nim co wymóc było można.

— Gdzie biskup? — pytał Serb.

— Tam, gdzie jego miejsce, przy swym kościele — odparł Lambert — przy księżnej pani, na straży dzieci pańskich.

— Kaźmierz otruty, nie żyje, Mieszek z prawa opiekun, miasto mu się zdało, zamek powinien się też zdać!

Lambert ruszył ramionami.

— Z obozu nie było poselstwa ani wieści, nie wiemy nic.

— A nam wiary nie dajecie? — zapytał Kietlicz.

— To nie moja sprawa — rzekł zimno scholastyk — jam tu dla kościoła zostawiony, nie dla was i księcia waszego.

Kietlicz odgrażać się począł, ale to najmniejszego nie uczyniło wrażenia.

— Idźcie na zamek do biskupa — dodał Serb — abyście ocalili się, póki czas. Czekamy tylko na przybycie księcia, potem szturm przypuścimy i noga nie ujdzie. Niech żywotów swych bronią. Żołnierz rozsierdzony sukni nie patrzy.

Scholastyk nie miał ochoty posługiwać Mieszkowi, namyślał się jednak, nie wiedząc, czy wiadomość na nieszczęście prawdziwą nie była.

— Jakież dowód śmierci Kaźmierza? — spytał.

— Posły były z obozu! — krzyknął Kietlicz..

— Dajcież mi ich, abym z sobą na zamek poprowadził — rzekł scholastyk — naówczas

pójdę.

Serb naprzód łajac i huczeć począł na zuchwalstwo polskie, potem złagodniał i prosił,

wreście scholastyk zgodził się do biskupa udać. Wziąwszy kleryka z sobą i na wierzch sukni białą komżę włożywszy, aby żołdactwo duchownego w nim znało, z przewodem od Kietlicza, poszedł

scholastyk na zamek. Nierychło mu wrota otworzono, poznawszy go, bo się obawiano zdrady.

Dopiero gdy się straż Kietliczowe oddaliły, furtę trochę przemknęto i wpuszczono księdza Lamberta z klerykiem. Straż, która z nim przybyła, pozostała, oczekując powrotu.

Na zamku znalazł scholastyk lud w gotowości, rozstawiony po wałach dokoła, bo się

lękano, aby z którejkolwiek słabszej strony nie kuszono się wtargnąć zniecka. Sam wojewoda Mikołaj we zbroi, z toporkiem w ręku ustawiał i porządek czynił. Zobaczywszy Lamberta, podszedł

ku niemu, domyślając się, z czym przychodził.

— Idźcie do biskupa — rzekł — ja zamku poddawać nie myślę do ostatku. W śmierć

Kaźmierzową nie wierzę, zdradą ona jest i łżą. Warsz — łotr, przechera miasto poddał, my bronić się będziemy.

Jakoż przygotowania widać było ogromne. Znoszono i ściągano na wały kamienie, drzewo,

koły i *co* gdzie było na zamku dawniej przysposobionego na obronę, wideł, gładów, kół zębatach, narzędzi różnych i ciężarów. Ludu wojennego było mało, ale do obrony pod kilku dowódcami, każdy się nadawał, kto ręce miał. Wojewoda wcale się nie uląkł, a zajadłością największą pałał

przeciwko zdrajcom, szczególniej Warszowi.

— Gdy da Bóg, księżę wróci, ten mi głowę da! — wykrzykiwał.

W samą porę jeszcze Stach się też na zamek był schronił, boby go w mieście zemsta nie

minęła. Jakoż zaraz po otwarciu bram Juchim, który się go obawiał, na dworek jego naprowadził

ludzi. Przetrzęśli go, po wyżkach, na strychach, w lochach szukając i nie znaleźli nic, oprócz czeladzi, która o niczym nie wiedziała. Grabić też niewiele co było.

Stach tymczasem na zamku był prawą ręką Mikołaja i kaftan a zbroję przywdziawszy,

biegał po wałach nieznużony. Znajac Mierzwę i przebiegłość jego, obawiał się nie bez przyczyny, aby zły człek, którego na zamku trzymano, stróżów, co z nim mieli styczność, nie namawiał do zdrady. Mogli się znaleźć tacy, co uląkwszy się Mieszka potęgi, a uwierzywszy w śmierć Kaźmierza, zamek by wziąć dopomogli. W czas tego więźnia przypomniawszy, Stach zaprowadzić go kazał do

ciemnicy, do której jedzenie otworem podawano, a Żegciowi swemu pilność nad nim zlecił.

Gdy sam z tym do Mierzwy przyszedł, chytrym wzrokiem zmierzył go sędzia, w którym się

jakaś otucha przebijała. Sądził, iż go może do poselstwa i układów użyją, i dopiero postrzegłszy, że go pod strażą wiodą, uląkł się losu, jaki mu był zgotowany. Schylił się do kolan Stachowi, o życie prosząc.

— Życia ci na teraz nie odbiorą — odparł Stach — ale to wiedz, że jeśli się wyrwać

będiesz próbował, a wezmą cię, ubić kazałem w miejscu.

Mierzwa ręce podniósł do góry, mówić chciał, nielitościwy Żegieć, za kark go ująwszy,

pchnął i do ciemnicy popędził.

Czuwano na wałach dzień i noc. Mikołaj ani siadł spoczywać. Biskup pocieszał księżną

plączącą i strwożoną i jakby nie było nic, do kościoła dzwonić kazał, nabożeństwo odprawując uroczyste. On też wcale o poddaniu się nie myślał. Goworek, któremu pani i dzieci zdane były, zbroję też wdział, ale w niej najwięcej u proga teremu i mieszkania Heleny stał, bo z wojewodą w nieprzyjaźni będąc, stronił od niego. Z dawna się oni z sobą o znaczenie i pierwszeństwo spierali, bo wojewoda równym go sobie nie chciał znać, a Goworek ulegał mu się wzdragał.

Niewiasty, które powybiegały strwożone ku wałom, gdy się wojska zbliżały, posłyszawszy,

że księżę Kaźmierz nie żyje, zaniósły wieść tę do pani, która padła zemdlona. Nierychło dopiero potrafił ją tym uspokoić Goworek, iż jawne kłamstwo zmyślane, aby zamek pochwycić, bo z obozu świadka nie było. W niepewności i obawie o los swój i dzieci, księżna już gotową była zamek poddawać, sama się pod opiekę Mieszka udać, byle jej Sandomirz powrócono. Zaklinała o to, lecz biskup ręczył za bezpieczeństwo i mówić o tym nie dopuszczał.

Księżna zmieniała tak postanowienie co chwila; sama zostawszy, poddać się żądała, gdy

Pełka wlał w nią otuchę, chciała się bronić i zachęcała drugich do walki. Trwoga wszakże

przemagała, bo szturm i zdobycie jej i dzieciom groziło śmiercią. W niepokoju ciągłym

powoływała do siebie to Goworka, to wojewodę, to duchownych, modliła się, narzekała, płakała i na chwilę jej samej nie można było zostawić.

Gdy się to działo na zamku. Jagna, wzięwszy męskie ubranie, kaftan, łuk, mieczyki,

obuszek, razem z Hreczynem i kilku czeladzi puściła się w lasy, najmniejszej nie okazując trwogi.

Przy dworze pustym służby mało co zostało. Wyjechawszy, popatrzyła na Wawel i głową

skinąwszy, pognąła lasami, szukając sobie bezpiecznej przeprawy przez Wisłę i schronienia.

Dorota, nie spodziewająca się napaści, nie wiedząc o niczym, do ostatka zabawiała się z

przyjaciołmi albo ze starą Czechną na naradach przesiadywała. Nie przeczuwała wcale

niebezpieczeństwa do ostatniej godziny. Dopiero gdy z wojskiem Mieszka bracia jej weszli do miasta i już się na rynku pokazali, sługa przybiegł, dając jej znać, że Dobrogosta i Sędziwoja zobaczył. Wpadła w rozpacz i trwogę taką, iż zrazu przytomność straciła, sądząc się zgubioną; potem w ulicę zbiegłszy, jak stała, w sukni jednej pognąła do swej powiernicy Czechny, u niej spodziewając się znaleźć przytułek.

Czechna nie była lada jaką babą czarownicą. Miała dworek na przedmieściu piękny, ogrodu

kawał i pola, a że się jej wszyscy radzili, bogaci i ubodzy, mężczyźni i niewiasty, bo uchodziła za przemądrą lekarkę i czarodziejkę, działało się jej dobrze.

Miano ją nawet za bardzo bogatą, a ona sama nie tała się z tym, że jej na niczym nie

zbywało. Owszem, gdy do kościoła się wybrała, a chodziła doń często, aby ją duchowni za czary nie prześladowali, stroiła się w futra i łańcuchy, jak najdostatniejsza kupcowa. Ze strachu, aby uroku jakiego nie rzuciła, zapraszano ją na wesela, chrzciny i pogrzeby; na nie też wybierając się, stroiła bardzo wytwornie. A choć lat przeszło pięćdziesiąt miała i dwu mężów pogrzebła, po których jej dzieci nie zostało, mówiono, iż rada by się była jeszcze za mąż wydała. Na weselach, podpiwszy sobie, bo rada do kubka zaglądała, młodych i przystojnych chłopców wabiła mowami i słówkami takimi, że się inne niewiasty rumienić musiały i oczy sobie zakrywać.

Czechnie wszystko było wolno, bo się jej lękał każdy, okupywali się wszyscy od jej czarów, płacili za lekarstwa i zamawiania. Czasu rzadko miała chwilę wolną, tak ją sobie rozrywano. We dworku jej, w izbie, w której przyjmowała ludzi, wielkiego dostatku widać nie było. Leżały w niej ziola różne, inne wisały u pułapu, schły na drążkach wianki, wiązki korzonków i pęki nasion, stały w garnkach nalewki, w słoikach i bańkach maście. A choć tego była moc wielka, Czechna od razu szła i sięgała po to, co komu potrzeba było dać. Oko miała tak bystre, iż często, nim człek gębę otworzył, wiedziała, co mu było potrzeba, zgadywała cudownie, czy jej dla siebie, czy dla kogo potrzebował i co mu było. Babieniem się też parała, a ludzie utrzymywali, iż do dzieci takie szczęście miała, że któremu ona pierwszą kąpiel przyrzadziła, pewnie żyw i zdrów miał być.

Wdowa różnymi czasy sama do niej chadzać musiała, bo Czechna do dworu nie bardzo

lubiała iść, aby jej tam nie widywano. Znała więc drogę do dworku, a teraz strach ją tak pędził, że wprost, pominąwszy tylko wojsko wciągające do miasta, przez ogrody i ciasne zaułki poleciała do niej. Na przedmieściach pod ten czas pusto było, bo lud wszystek się zbiegał, gdzie tłum widział.

Gdy zdyszana, blada, w sukni obłoconej, rozpuszczonej, na pół obnażona przybiegła Dorota do Czechny, zastała ją samą jedną w progu, przysłuchującą się oddalonemu gwarowi. Nie widać po niej było trwogi ni pomięszania. Zobaczywszy wdowę, namarszczyła się i w chude, pomarszczone ręce

plasnęła.

— Na Boga miłego, Czechno, matko ty moja, ratuj! — zawołała Dorota. — Bracia mnie pochwycą, jam zginiona!

Nic nie mówiąc, głową wahając, Czechna ją do izby wprowadziła.

— Czy ty im teraz w głowie? — odezwała się (bo wszystkim ty mówiła). — Nierychło mieć będą czas gonić za tobą.

— Ukryć mnie musisz!

— Gdzie? tu? u mnie? — odparła śmiejąc się Czechna. — A toć to targowica, drzwi się nie zamykają. Wszyscy przecie wiedzą, że Czechna wam posługiwała, to gdzież, jeśli nie tu, szukać cię będą?

Dorota zanosila się z jęków i płaczu. Stara patrzyła obojętnie, dając się jej wyszlochać.

— Oni mnie zamkną w ciemnicy! Oni głodem zamorzą! — wołała Dorota. — Co chcesz, dam, ratuj!

Upadła przed nią na kolana, ręce złożyła i powtarzała:

— Ratuj!

Czechna wciąż potrząsała głową. Namarszczona myślała tak długo, w końcu, nic nie

mówiąc, z kąta chustę wzięła ogromną, którą się zwykła była, wychodząc, okrywać, i skinęła na Dorotę. Ze dworku ścieżyna wydeptana prowadziła kręto między wiśniowe krzaki i drzewa, nie widać było dokąd. Czechna szła przodem milcząca; Dorota, oglądając się trwożnie za siebie, bo wrzaski z miasta aż tu dochodziły, biegła potrącając ją, nagłąc, chcąc przyspieszyć pochód zbyt powolny. Nie zważając na to, stara się wlokła po swojemu.

W gąszczach zarośli widać już było dach jakby bez ścian, wysoki i spiczasty, chatę ubogą, która w ziemię wrosła. Przed nią kałuża stała sięgająca aż do progu, którą po zgniłej kładce przebywać musiały. Czechna otworzyła drzwi niskie i weszła, Dorota wcisnęła się za nią,

W środku dymu pełno było, który oczy wyjadał. Nikogo tu nie zobaczyły, dopiero gdy się

Czechna odezwała: „Bywaj!”, wyszła niewiasta chuda, oszarpana, wyżółkła, schorzała, nędzną okryta odzieżą. Stara poszeptala jej coś na ucho. Z izby drabina prowadziła na wyżki, które wdowie wskazano. Gnana strachem, wdrapała się na nie. Czechna popatrzyła na spinającą się do góry, zdyszana Dorotę, coś zagadała jeszcze i nazad powróciła do domu.



W sam czas uciekła z domu wdowa, gdyż ledwie dobiegała do Czechy, a bracia już dwór

jej ludźmi otaczali. Spodziewali się ją wziąć na pewno. Wtargnęli zaraz "Dobrogost z Sędziwojem do środka, ale zamiast siostry zastali tylko czeladź spłoszoną, rozbiegającą się po domu. Szukanie nic nie odkryło. W izbie, w której siadywała, przekonać się tylko mogli, iż niedawno w niej była jeszcze. Sami więc w pogoń się puścili i ludzi rozesłali.

Około zamku nazajutrz rano, gdy na nowe wzywanie do poddania się odpowiedziano

łajaniem, bezczeszczeniem i odgrózkami, Kietlicz z Bolkiem już tylko przybycia Starego

oczekiwali, aby obleganie rozpocząć. W południe tegoż dnia Mieszek z resztą sił swoich z Poznania nadciągnął.

Wszyscy jego pułkownicy, syn, Kietlicz, starosta Warsz i Juchim, który się o to napraszał, wyszli do bram miasta na jego spotkanie. Juchim, który dawno go nie widział, wzrokiem

bojaźliwym mierzył księcia, chcąc poznać, czy z sobą szczęście przynosi.

Twarz była postarzała, ale zawsze jedna, z której nikt nic nie czytał, zasepiona, zastygła, niema. Taż sama do góry poddarta broda, czoło pomarszczone, usta zapadłe, co dawniej. Siwizna tylko znacznie mu włos poproszyła. Czuć w nim było człowieka, co się nie poruszał chyżo, ale nie padał nigdy, nie cofał się i nie ustawał. Z powagą wielką, ale nie bez pewnej obawy, którą ukryć się starał, patrzył na otaczających. Wzrok jego naprzód padł na Warsza, a było w nim więcej surowości niż wdzięczności, potem na Juchima, którego długo oczyma ścigał.

Bolko, tymczasem do ojca się zbliżywszy z uszanowaniem, ale twarzą wesołą i rażnością

młodzieńczą, szybkimi słowy, niewyraźnie, mieszając się, tłumaczył mu, co tu uczynili. Stary mało go słuchał, skinąwszy na Kietlicza, aby się zbliżył. Stali tak we wrotach, a mieszczanie starsi bili pokłony nadaremnie, bo nowy pan ani na nich chciał spojrzeć. Gdy Serb mu o zamku powiedział, oczy tylko ku Wawelowi skierował i nie rzekł nic. Konia spiał i dalej w miasto jechali.

Tu ziemianie, dowódcy owych siedemdziesięciu zawołań, poczęli go po drodze, witając,

okrzykiwać panem, ale i tym mało co głową skinąwszy, do dwu tylko z Tęczyna trochę łaskawszą obrócił się twarzą.

Juchim, co go z dawniejszych lat pamiętał, znalazł cięższym, niż był, i w słowa skąpszym

jeszcze, na twarzy surowość dawna nabrała prawie wyrazu zimnego okrucieństwa. Widok tej

stolicy, z której niegdyś wygnany uchodził, zdawał się go poruszać. Może w duszy pytał sam siebie, ażali znów go wyżeną, i ile razy pod te mury powróci, póki je dla siebie i dzieci zagarnie.

Wśród gwaru i opowiadań Bolka i Kietlicza, jadących obok, Stary z wolna posuwał się ku

zamkowi. Znał go dobrze, wiedział, iż do zdobycia nie będzie łatwym, tymczasem zaś kto wie, co się przygodzie mogło? Gdy mu doniesiono, że Pełka z Mikołajem zawczasu się na zamek schronili, z ust mu się wyrwało:

— Zdrada była!

Nie mówił już nic potem.

Wieczorem się obozem kłaść wojska zaczęły dokoła zamku. Stary milczał, Kietlicz pędził i

gromił ludzi wołając, aby się co rychlej do szturmu sposobili. Do szturmu na ową srogą górę przygotowania nie było, a przyrządy do tłuczenia wrót, drabiny na wały potrzebowały czasu, nimby je pościągano i powiązano.

Gdy z zamku nie bez trwogi patrzano na to mrowisko ludu, co go oblewało dokoła, z dołu, z obozu spoglądano ku górze, nie wiedząc, jak i skąd ją ująć. Siła ludu mogła zginąć nadaremnie przy walce, a poleżawszy, głodem można było wziąć załogę. Tak radzili niektórzy, ale Kietlicz nie godził się na to, obawiając powrotu Kazmierza, choć go dla drugich umarłym głoszone. Wiedział

dobrze, iż na pierwszą wieść o zajęciu Krakowa rzuci się rycerstwo z Rusi dla odzyskania stolicy.

Mieszek nie spodziewał się ich tak rychło, ażeby Ruś w pomoc miała przyjść, nie wierzył,

bo ona doma zajęta była. Dzień i dwa upłynęły na wahaniu, naradach i próbach. Trzeciego o świcie Kietlicz, zamek zewsząd osaczywszy, w milczeniu wielkim ludziom pełznąć kazał na górę, a

dostawszy do parkanów, rzucić na nie nagle. Rachował, iż się tam napaści spodziewać nie będą i na zaraniu na stanowiskach nie znajdą.

W ciszy i mroku poszli ludzie na górę, lecz gdy się do tynów i parkanów zbliżali, sypnęły się nagle bale gwoździste, koły, kamienie, pociski. Połowa napastników potłuczona zwała się w dół, pozabijana, poraniona, a reszta pierzchnęła. Strzały jak grad świsnęły za pociskami, okrzykiem ogromnym rozległa się góra i okolica.

Z miasta ludzie powybiegali patrzeć na szturm ten, zdawało się im bowiem, że się zamek

nie obroni. Kietlicz zajadły ludzi chciał prowadzić raz drugi, ponawiając napaść, żołnierze mu się wzdragali. Nie chcieli ginąć nadaremnie. Kilkuset było straconych z pokaleczonymi.

Stary, który z namiotu swego wyszedłszy, patrzył, wprędce nazad do niego powrócił,

wyglądać już nawet nie chcąc. Bolko zły, z potłuczonymi na sobie blachami powrócił do niego.

Wymyślano sposoby różne. Ogień podkładać chciał Serb pod parkany, potem między

mieszczany szukał takiego, co by do zamku się wślizgnął i do otwarcia wrót straż przekupił. Słano do Juchima, aby nastroczył człowieka. Żyd ramionami poruszał, ręce załamywał, ale nie umiał

wskazać zdanego pomocnika.

W namiocie księcia radzono bez ustanku i bez skutku. On sam sparty na stole słuchał tylko, rzadko wtrącając jakie słowo. Serb rozgorączkowany, zły, poprzysięgał, że choćby miał życiem przypłacić, do zamku się dostać musi. Niecierpliwiło go, że patrzył nań, a wziąć nie mógł. Słwał

nieustannie, chodził, ludzi ściągał, nagrody obiecywał, a wlokło się nie po myśli i Stary coraz był mocniej zasępiony. Słowa z niego dobyć było trudno, oprócz narzekania na zdradę. Wszystko się o ten zamek rozbijało.

Szedł często przed namiot swój, stawał, na Wawel patrzył długo, jakby go tymi oczyma

świecącymi spod brwi rozrosłych chciał pożreć. Wracał potem, siadał, zasępił się, a gdy syn po młodzieńczemu sypał przed nim słowy i nadziejami żywymi, potrzasał głową pogardliwie.

Minęło tak dni dziesiątek, wiosna przychodziła ciepła i sucha, ludziom było raźniej, lecz z obozu wykradali się do miasta, a tam wszystkiego znajdując podostatkiem więcej myśleli o swawoli niż o oblężeniu.

We dnie stawały kupy zbrojne naprzeciw wałów, na których ludzi nigdy nie brakło,

zaczynano słowy ciskać jak kamieniami, łajać się, wyzywać i strzelać z łuków. Więcej z tego było zabawy niż skutku.

— Nieboszczyka sługi, trupie wojsko I — wołano z dołu do góry.

— Rozbójniki! Zdrajcy! — odpowiadano od zamku. Leciał za tym bełt, padał kamień,

rwano się z dala do siebie, rosła złość, ale do zamku dostąpić nie było sposobu. Gdy im głodem grożono, oblężeni ćwierci mięsa wywieszali na okaz i wory mąki staczali umyślnie, okazując, że zapasy mieli. Mieszek po kilku tych dniach Kietlicza wołać kazał.

— Kaźmierz może nadciągnąć i Ruś z nim — rzekł — w gołym polu obrona trudna, odejść

przed nimi ze strachu nie mogę. Na dole zamek warowny stawić i wały trzeba sypać.

Z początku na ten rozkaz pański potrzęsano głowami, zamek drugi pod zamkiem wydawał

się starszym niepotrzebny, wielu — niebezpieczny; nazajutrz jednak powtórzył ksiązę, iż mieć go chce; drzewo i kamienie ściągać zaczęto. Mieszek nie siedział już w namiocie, ale na pniaku patrząc, jak mu zamek budowano. Wojsko musiało, porozrzucawszy zbroje, wziąć się do rydlów i toporów. Mała część tylko została na straży.

Z wierzchołka murów na Wawelu, Mikołaj i biskup Pełka patrzyli, co się u stóp ich działo.

Gdy drzewo zwozić się zabrano, zaniepokoił się wojewoda myśląc, że tarany do bicia bram i murów

budować myślą, ale wkrótce się okazało, że tyny, parkany, szopy i dwór zakładano.

— Oni tu myślą siedzieć — rzekł wojewoda — my też nie wyjdziemy stąd dla strachu.

Zapasu żywności dość jeszcze było. Radzić jednak nad tym, by odsiecz przyspieszyć

należało. Choć wiadano, że na Ruś dojdzie wieść o obleganiu, nie byli pewni, jak rychło. Nużby głód ich zaskoczył, nim Kaźmierz nadciągnie? Wypadło z na- rady wysłać kogoś do księcia, a biskup zaraz Stacha wskazał — mówiąc — albo ten, lub żaden.

Powołano go natychmiast. W izbie niewielkiej siedział Pełka u stołu za księgą, z której po całych dniach modlitwy czytał dlatego, iż owo przerywane ciągle nabożeństwo mało ważył. W tym obleżeniu ducha na chwilę nie poprzestawał się modlić, aby ciągle nim być na straży. Wśród dwu rozmów, wśród dwu myśli, odmawiał wiersz psalmu lub wysyłał westchnienie do Boga. Oba z bratem nie tracili nadziei, że się obronią, lecz dzień każdy troski pomnażał.

— Ciężkie na was włożę znów brzemię — rzekł.

— Bylem mu podołał — odparł Stach.

— Widzicie, co się dzieje, zamek sobie budują, jakby nam grozić chcieli, że ten zniszczą, a zawczasu inny przysposabiają. Kto wie, czy Kaźmierz zna położenie nasze i jak rychło powróci?

Trzeba słać do niego.

A po chwili dodał:

— Jedźcie wy! Stach stęknął.

— Nie proszę o zwolnienie ani się wzdragam — rzekł — ale jakże ja mogę stanąć przed obliczem pana? Wiecie, ktom jest, że się mu ukazywać nie wolno mi, bom ja żywym dlań — policzkiem.

Biskup wysłuchał.

— Nie potrzebujecie z tym iść do samego księcia — odpowiedział — złożycie się chorobą, pošlecie mu pisanie ode mnie. Zwierzyć tego nie mogę innemu. Czyniliście już wiele dla okupienia grzechu młodości, zróbcie i to jeszcze, zasłużycie się panu, nam, królestwu.

Nie zapytano go nawet, jak się zdoła wydobyć z zamku dokoła osaczonego, jak przez miasto przemknie się nie poznany, jak z niego wymknie. Biskup wiedział, że nie mniejszych już dokazywał spraw, snując się po Szląsku i Wielkopolsce, a życia swego nie żałował.

Wojewoda Mikołaj mniej mu ufał i obawiał się, aby go z listami nie wzięto. Zarzucano go pytaniami, biskup zachęcał, Mikołaj rad nie skąpił, w ostatku spytano, czy się podejmuje. Milczał długo, w końcu westchnienie mu się wyrwało i rzekł:

— Bóg łaskaw, pójdę! Wojewoda po ramieniu go uderzył.

— Tak — dodał — będziesz miał opiekę bożą nad sobą, bo dobrej sprawie usłużysz. Bierz do pomocy, co ci trzeba, opatrz się w pieniądze i spiesz!

Biskup dodał:

— Dam ci kartkę z pieczęcią moją, do pierwszego probostwa dojechawszy, konie sobie dawać każ. Od dzwonnicy do dzwonnicy niech cię odwożą, a pospieszaj!

Stachowi twarz poweselała.

— O to tylko proszę miłości waszej — odezwał się do biskupa — abyście, jeżeli zginę, byli mi świadkiem, żeżem moją pokutę do końca życia doprowadził, a za duszę grzeszną mszę odprawili.

Pocałował w rękę biskupa, który błogosławił rozrzewniony.

Wyprawiono Stacha, nim wieczór nadszedł. Pierwsza z zamku ucieczka z Żegciem przydała

się teraz im, gdyż to samo miejsce mogło posłużyć do wyśliznięcia się. Gdy ściemniało, poczęli od strony Wisły się spuszczać. W obozie wszystko leżało uspione. Udało im się nie postrzeżonym dostać do stóp góry, a tu, choćby się z kim zetknęli, za należących do wojska uchodzić mogli. Nikt wszakże nie stanął na drodze. Do brzegów rzeki dopadli po cichu, pominawszy strażę niedbałą, które u ognisk się skupiały. Stach znowu na czółen rachował jak przy dawniejszej ucieczce i pierwszy, który się im nastęrczył, pochwyił. Skoczyli już weń, gdy rybak na sieciach śpiący w nim narobił wrzawy zerwawszy się. Żegcie chwycił go za barki i do wody cisnął, aby z obozu ludzi wrzaskiem swym nie ściągnął. Odepchnawszy się od brzegu, wypłynęli na środek, gdzie już po nocy ani ich dojrzeć, ani pochwyić nikt nie mógł.

V

U starosty Warsza, w jego dworze na mieście, czasu tego wesoło było jak nigdy i ludno tak, iż każdy inny człek nie byłby mógł długo w usługach gości tylu wydołać. Starosta, choć giętki i podatny, miał żelazną siłę. Mało to, że wszystkie sprawy i żaloby miejskie się tu rozsądzały, a było ich mnogo, bo między żołdactwem a mieszczany nieustannie wynikały spory, i prócz tego

starszyznę trzeba było dniem i nocą przyjmować, karmić i poić, wszystkie obozu rozkazy spełniać, żywności dostarczać i dworować panom, aby z łaski nie wypaść.

W mieście samym nie bardzo szło po myśli staroście. Siedemdziesiąt zawołań ziemiańskich

wprowadziło na stolicę nowego pana, mieszczanie, zaskoczeni, musieli też wrota otworzyć i pokłonić się. W początkach śmierci Kaźmierza uwierzono, siła Mieszkowa zastraszała, teraz już zaczynało różnie mówić o zgonie księcia, wielu zaprzeczało tej baśni, a wojska dawały się srodze we znaki. Trzeba je było karmić, a czasu wojny nowe prawo o podwodach i przewodach

zapomniane zostało. Brano mieszczanom i kmieciom konie, strawę, siano, co kto napadł, nie pytając i nie płacąc. W mieście baby musiano zamykać, bo obozowi ludzie zuchwale się z nimi poufali, spiżarnie chować, pieniądze zakopywać. Szemrali bardzo kupcy i mieszczanie, że za Kaźmierza czasów cał inaczej bywało. Nikomu tak pilno nie było, ażeby zamek na Wawelu zdobyto, jak Warszowi. Stał mu nad głową jak groźba. Zdawało mu się, że ludzie ci wojować nie umieli, nadto żalowali trochę gminu poświęcić, który na to był, aby go bito i tłuczono. Zamek, jakby się im urągał, przeczył nowemu panowaniu, które sobie nowe gniazdo musiało budować pod jego bokiem.

Szybko wznosił się ten gród nowy, choć niepokazny, lichy klecony, z drzewa cały, zawsze

on znaczył, że tamtego nie zdobyto i rychło się zająć nie spodziewano. Tymczasem zaczynało przebąkiwać, że na Rusi wszystko było skończone i ład przywrócony po myśli księcia.

Ziemian, co stronę Mieszka trzymali liczono siedemdziesięciu, tych, co Kaźmierzowi

dobrze życzyli, dziesięćkroć więcej. Kaźmierz, gdzie się tylko pokazał, zwyciężał, Mieszkowi upartemu nic się nie wiodło. Pierwsza radość z nowego pana zaczynała się w niepokój zamieniać.

Nuż tamten powróci?

Tymczasem Kietlicz lekkiej ręki nie miał. On tu teraz wszystkim rządził, bo Mieszek na

niego się zdawał i nim wyręczał wszędzie. Z Serbem ani rozgadać się, ani go uprosić nie było podobna. Nie patrzył ludzi, przyjaciela czy wroga darł ze skóry.

— Na to wojna! — powiadał. A Warsz mu wtórować musiał.

— Na to wojna!

Tymczasem u starosty jak w gospodzie pito i jedzono od brzasku do pierwszych kurów, a

choć miasto dostarczało dużo, Warsz musiał dokładać. W ostatku zamiast wdzięczności lada ciura zrywał się na niego, groził i od czci odsądzał.

Gdyby zamku dobyto, wszystko by wejść w karby musiało, załoga by stanęła na nim, a obóz

się rozszedł po okolicy i zamkach. Byłby pokój. Zamek stał, we wnętrznościach swych groźb pełen i wojny. Co gorsza, nowemu panu i jego pomocnikom, zamiast co by miało dobrej myśli i

łaskawości przybywać, coraz tylko złości i gniewu przyrastało. Warsz nie śmiał się skarżyć nikomu,

ale pożółkł z troski i zbiedniał ze strachu.

Jednego wieczora, choć żadnego widomego do tego powodu nie było, dał się czuć niepokój na mieście i w zamku.

Ludzie z obozu biegali w różne strony wysyłani konno i pieszo, parę oddziałów wyprawiono spieszenie na gościńce, koło wrót miejskich powiększono strażę i czujniej chodzić zaczęto, przy nowym grodzie drewnianym roiło się, brzęczało, szumiało jak w ulu.

U starosty Warsza, mimo że stoły były jak zawsze na przyjmowanie gości gotowe, zrobiło się dziwnie pusto, muchy tylko z mis się żywiły. On sam, który tych dni częściej chodził w kaftanie i żupanie, teraz przywdział blachy, miał się pogotowiu jak do wystąpienia.

Po ulicach, spotykając się, ludzie szeptali z sobą bojaźliwie, pytając, co się działo. Niewiele kto wiedział. Popłoch czuć było, lecz skąd on szedł, co groziło, chyba starszyzna sama była wtajemniczona. Przez część nocy widać było ognie na wałach, krzątanie około szałasów i wozów, konie nawet z paszy nad Wisłą wszystkie pościągano.

Ciekawsi mieszczanie, mający stosunki z ziemianami i pułkownikami, podchodzili ukradkiem do znajomych, lecz na zapytanie, co się dzieje, odpowiadano im, że nic nie wiedzą, a kazano być w pogotowiu i czujności. Krakowianie wyciągali z tego łatwy wniosek, że jakiś skądś nieprzyjaciel zagrażać musiał, a któż by nim mógł być, jeżeli nie Kaźmierz i wojska jego?

Padła trwoga na wszystkich, co jawnie stronę Mieszka trzymali. Starosta Warsz posłał na zamek syna, który niedorosły był, ale roztropny, tak iż mu zawierzano, pytając Kietlicza poufnie, czy co groziło? Serb odparł gniewnie chłopcu, aby do licha szedł, i odprowadził go z niczym.

Syna i starą żonę zostawiwszy w domu na wypadek przybycia gości, starosta niespokojny, przypasawszy miecz, hełm na głowę włożywszy, mrokiem pobiegł do dworku Juchima. Tam się spodziewał najpewniej czegoś dowiedzieć. Tu jak zwykle długo stukać było potrzeba i opowiadać się, nim wrota otwarto nie bardzo chętnie. Puszczono starostę, który Żyda zastał w izbie siedzącego nad stołem, w obu rękach trzymającego starą głowę, zatopionego w myślach.

Ujrzawszy dostojnego gościa, starzec podniósł się z ciężkością, spojrzął nań i powoli przywłókł się ku niemu.

— Co się to dzieje? Nie wiecie wy? — zapytał Warsz. — Nigdzie nic dopytać nie mogę.

Przyszedłem do was. Ludzie biegają, w obozie ruch. Co to jest?

Juchim podniósł ręce do góry i począł głosem drżącym:

— Ręka wszechmocnego nas dotknęła! Nieszczęście nad głowami naszymi! Zagłada czeka, śmierć, zniszczenie, zguba!

Starosta osłupiał.

— Mów! Co?! — zakrzyknął.

— Nie wiecie nic? Książę Kaźmierz powraca! Idzie z całym rycerstwem swym i z Rusią. Po drodze w lubelskiej ziemi, z Sandomirza jego wierni się doń zbiegają. Siłę ma wielką, z nią na nas idzie. Idzie i jak piorun ognisty spadnie na głowy nasze!

Warsz oniemiał ze zgrozy. On i Juchim byli w położeniu podobnym. Widzieli ich wszyscy gorliwie dla Mieszka pracujących, posiłkujących mu, obu czekała nieubłagana zemsta wojewody Mikołaja, który znał wszystko i wiedział. Oba mogli się za zgubionych uważać.

— Co bo mówicie? — przerwał Warsz, sam sobie usiłując dodać odwagi. — Mamy z sobą wojsko Mieszka i wszystkich ziemian krakowskich. Ruś! Co znaczy niesforny tłum, garść jakaś?

— My ziemian mamy — odparł Juchim. — A wiele ich z nami? Albo oni umieją sobie robić przyjaciół? Od tej pory, jak tu są, połowę stracili tych, co mieli. Nigdy ich dużo nie było, kłamali!

Kietlicz, odzierając i bezczeszcząc, resztę zniechęcił! Co ziemianie znaczą, którzy dziś jednemu, jutro drugiemu służyć gotowi?

Juchim ręce załamał; Warsz stał, myśląc już tylko o sobie.

— Któż tu weźmie górę? — spytał.

— Kto?! — zawołał Juchim. — Na co to pytać?! Zamek się trzyma, Kaźmierz ich precz rozmiecie. On podejdzie z jednej, wojewoda — z drugiej strony: wszystko się rozleci! Ziemianie zdradzą, gdy Kaźmierza żywym zobaczą.

— A ty co myślisz z sobą? — dodał starosta. Popatrzyli w oczy jeden drugiemu. Juchim westchnął.

— Ja? — rzekł cicho. — Ja jestem mały człowiek, ja siedzę w domu, ja służę każdemu, kto mnie potrzebuje, ja tu gość. Że musiałem iść się kłaniać Mieszkowi, co za dziw? Każdy musi bronić swoich kości. Ja wojska nie mam, tylko pokłon mój.



Zamilkł, pot ocierając z czoła.

— Gdzie jest pokój, gdzie jest bezpieczeństwo na ziemi? — zamruczał.

Głową począł trząść, rękami ruchy czyniąc dziwaczne. Słów mu brakło ze wzruszenia.

Warsz zatopiony był w sobie.

— Ja muszę radzić inaczej — począł. — Oni powiedzą, że ja miasto wydałem!

Nieprzyjaciół mam między mieszczanami. Powiedzą, że miałem z Kietliczem, że ja naprzeciw niego jeździłem. Kto wie, czego nie zmyślą na mnie? Ja życia nie jestem pewny, mnie stąd z wojskiem trzeba precz. A! — westchnął. — Dom, pola — wszystko zabrać gotowi!

Zawahał się.

— Juchim — dodał — tobie nie będzie nic. Kupuj sobie dom, ogrody, wszystko.

— Ah! — krzyknął Żyd. — A mnie to na co?! Albo ja mam za co kupować i czym płacić?

Ta wojna ostatni grosz mi wycisnęła! Pożyczałem księciu, dałem synowi, wziął Kietlicz: ja nie mam nic, nic!

Potrząsł połami sukni i jęknął. Oba stali długo niemi.

— Życie ratować trzeba, to najdroższe — dodał Warsz. — Kto wie, co jeszcze będzie; kto życie ma, wszystko ma.

Żyd mu nic nie odpowiedział.

Dotąd ze starostą byli w stosunkach takich, że Juchim mu się kłaniał, a Warsz go bardzo szanował. Teraz oba zobojętnieli dla siebie, Juchim stał wyżej, starosta stracił na powadze.

— Co oni mnie zrobić mogą? — począł Warsz na pół do siebie, pół do Żyda. — Co mówicie? Na gardle ukarzą?

Juchim zadumał się.

— Jeżeli sam księżę sądzić będzie, on jest miękkiego serca i krwi niechciwy, ale wojewoda!

— A co im po moim gardle? — zagadnął Warsz. — Starostwo odbiorą? Aby gardło zostało!

Do kopalni nie poszła. A i stamtąd ludzie wracają, gdy się mają czym wykupić. Uciec to znaczy przyznać się do winy i do strachu, skazać się samemu.

Juchim nie przeczył ani potakiwał, jęczał. Starosta przeszedł się po izbie razy parę z głową spuszczoną i prawie bez pożegnania wysunął się nazad do domu. Idąc przechodzić było potrzeba przez uliczki wąskie, od nowego zamku dolnego na miasto wiodące. Przebiegały je oddziały zbrojne, mimo nocy nie ustawało poruszenie w obozie.

W domu zastał Warsz w izbie pustej tylko jednookiego Berezę nad kuflem, który mu kazała podać żona starosty. Kietliczowy sługa, teraz już pułkownik, siedział ponuro zadumany, mrucząc coś sam do siebie. Uzbrojony był od stóp do głów, napiły i zły. Zobaczywszy gospodarza, ledwie się ruszył, ręką ogromną w rękawicy żelaznej uderzył o stół, aż wszystko zabrzęczało. Spojrzał Bereza na Warsza ostro i złośliwie.

— E, wy, wy — zaburczał — wy wszyscy grodowi i ziemianie, i wiele was tu jest, was by jak szczenięta wytopić i wydusić. Co po was? Gdyby dziesięciu panów było, po kolei każdemu będziecie na wierność przysięgali, a wszystkich zdradzicie. My was znamy! Komu tu wierzyć?

Kłanialiście się i za kolana łapali, a jak się tamtego chorągwie pokażą, pójdziecie z pokłonem do niego, e, wy!

Dopił kubka i cisnął nim o stół. Starosta patrzył milczący i gniewny, ale Bereza ani na jego urząd, ni na gniew nie zważał. Nasunął hełm na głowę, poprawił pasa, na którym miecz miał uwieszony, i powoli wywłókł się, nie powiedziawszy: Bóg zapłać. Izba pustką stała.

Zwykle o tej porze bywało w niej najtłumniej, najwrzawliwiej, teraz, choć drzwi stały na oścież otwarte, a światło biło na ulicę, nikt się nie przybłąkał. Przechodzili ludzie różni, nikt nie zajrzał.

Około północy, gdy koguty piał, już żona starosty chciała kazać dom zamykać, gdy niespodzianie zza węgła wysunęła się ludzi gromadka. Nie byli to rycerze ani ziemianie, ale mieszczanie, których tu od niejakiemu czasu mało widywano, oprócz kilku Warsza przyjaciół.

Ci, co teraz po nocy przybywali, właśnie do przeciwnego należeli obozu. Starosta, który jeszcze po izbie chodził stękając, zobaczywszy ich kilkunastu, a między nimi najpoważniejsze głowy, kupców bogatych, rzemieślników dostatnich, zmieszał się nieco.

Milcząc weszli do izby, a ostatni, nie pytając gospodarza, drzwi za sobą zasunął. Warszowi zrobiło się gorąco, potem zimno, zbladł, zmieszał się więcej jeszcze, stał się pokornym, słodkim, uprzejmym dla tych gości, których niedawno w ulicy ledwie chciał znać. Starszyzna ta, poubierana w suknie długie, w kołpakach wysokich, ludzie wiekowi, poważni, stali długo, z początku

rozglądając się, otaczając starostę. Milczenia nikt nie przerywał.

— Cóż mi to, miłościwi bracia, przynosicie? — odezwał się w końcu Warsz łagodnie.

Patrzali po sobie, jakby wybierając tego, co za wszystkich mówić miał. Wsunął się naprzód podżyły, okrągły Soroka i ręką się po głowie pogładziwszy, poprawiwszy pasa, rzekł:

— No, Warsz, wy nas wprowadziliście w kałużę, myślcie, jak z niej wyciągnąć. Co teraz będzie?

— Ja? Ja was wprowadził? — składając ręce przerwał starosta. — Ja? Com ja winien? Czy to my mogliśmy się bronić, aby miasto w perzynę obrócili?

— A dziś ono choć nie w perzynie — dodał Soroka — to bez skóry i bez chleba kawałka.

Popytajcie nas, wy tego nie zaznaliście, co my biedaki, chudziny. A co teraz, panie starosto, co dalej?

— Albo ja temu winien, co jest, abym odpowiadał za to, co będzie?! — zawołał Warsz.

— Hej, Warsz! A któż to z ziemiany siedemdziesiącią, z tą kupą warchołów się wachał, kto im wrota otwierał? Gdybyście wy potajemnie do Mieszka nie jeździli, nie dali mu znać, co gdzie stoi, nie obiecali miasta dać, nie byłoby tego, co jest! Wszyscy gorąco potakiwali, Warsz to się za włosy porywał, to w piersi bił, odskakiwał, przybiegał, a z ust wrywały mu się niepowiązane słowa.

— No, co teraz? — naglił Soroka.

— Ano, teraz — wtrącił Samko Zamiecha śmiało — coście zrobili dla Mieszka, musicie uczynić dla naszego prawego pana, nad którego my innego znać nie chcemy. Mówicie, że miasto ocalić żądaliście? Przyjdzie Kaźmierz, to go też nie pożałuje, gdy mu bramy zamkniemy. On jak on, bo litościwy, a Ruś, którą z sobą ma, z dymem nas puści.

— Pewnie! — potwierdzili stojący za nim. Warsz się za głowę trzymał.

— Albo ja wam bronie otwierać?! — zawołał. — Róbcie sobie, co chcecie! Ja nie wiem, co czynić! Ja zawsze o dobro wasze dbałem jak o swoje, reszta u mnie była niczym. Za was i za miasto ja albo głowę dam, albo do torby przyjdę!

— Ej ej! — rzekł Soroka. — Albo to my was nie znamy? Albo my to nie wiemy, kto na czym siedzi i komu służy? Komu wy to mówicie?

Warsz załamał ręce i milczał. Gromadka starszych stała jak sędziowie przed winowajcą.

— Anośmy po to przyszli — rzekł Soroka — aby wam dowodnie rzec, że chcecie wy czy

nie, my panu Kaźmierzowi otworzymy wrota, a przyjmiemy go jak pana naszego. Na głowę kłamali ci, co rzekli, że umarł; ino co go nie widać.

Warsz, ramionami ściągawszy, po namyśle przystąpił do Soroki.

— Róbcie sobie, co chcecie — rzekł — ja dobra miasta tylko pragnę. Byle mi głowy z karku nie strącili.

— Wasza głowa — wasza rzecz — odparł Soroka — pilnujcie jej sobie, my mały ludek nikomu ich nie zdejmujemy ani przyprawiamy.

Postali chwilę i powolnym krokiem ku drzwiom się skierowali, za nimi kroczył aż do progu pokornie Warsz i gdy ostatni z nich wyszedł, postawszy jak osowiały we drzwiach, powlókł chwiejąc się do izby.

Drugie kury piały. Wiosenna noc już się dalekim ku wschodowi brzaskiem rozjaśniać zaczynała. Warsz, przeszedłszy się po pustej jadalni, powrócił do progu i zapatrzył się w pustą ulicę. O spoczynku myśleć nie czas już było. U Świętego Floriana dzwonek jakiś ranny na

modlitwę wołał. Od strony zamku nowego słyhać było głuchą wrzawę, dolatującą aż tu, gwar stłumiony. Tam też nie spano. Ruch panował w obozie. W izbie światło było pogasło. Starosta oddychał rannym powietrzem, sam nie wiedząc, dlaczego sen go nie brał. Niepokój nim miotał.

Dzień się robił coraz większy, szarzało, bieląło. Od strony obozu z gwaru wyszedł tętent daleki, jakby jazda szła wolną drogą, krokiem mierzonym.

Chwilę jeszcze Warsz stał tak w progu, gdy coraz bliżej słyszeć się dał tętent koni. Ulicą postępował jakiś oddział wojska. Dokąd? Chyba za miasto? Nie naprzeciw Kaźmierzowi ruszył, bo on z tej strony iść nie mógł. Serce mu bić zaczęło, miałoby dobrowolnie opuścić Kraków?

Warsz, drzwi prędko przymknawszy, sam za nimi ukrył się tak, aby przez szparę na ulicę mógł patrzeć.

Oddział stąpił powoli, długo nań czekać musiał. Na ostatek pokazali się ludzie, których poznawał łatwo, jako przyboczną straż książęcą, wszyscy w kolczugach, dobrze zbrojni i jednako poodziewani. Jechali z cicha, jakby miasta budzić nie chcieli, milczący, szyszakami pokryte twarze. Przodem jechał pułkownik, szła chorągiew zwinięta. Za oddziałem w małym przestanku, osobno

postępowało kilku ludzi. Otaczali oni jednego, w którym Warsz poznał Mieszka. Okryty

popielicowym kożuszkiem na zbroję, jechał z głową na piersi zwieszoną, z brodą poddartą, która mu część dolną twarzy zasłaniała, zasepiony, blady, straszny, jakby nie wiedział, co się z nim dzieje. Nie patrzył przed siebie, patrzył pod siebie, konia nie wiódł, szedł on sam za drugimi.

Dokoła go osłaniali dworzanie, ale Kietlicza ani Bolka widać nie było. Domyślił się Warsz, że ci na nowym zamku zostać musieli.

Dwa oddziały szczupłe zamykały ten pochód smutny, jakby pogrzebowy, wśród ciszy

poranku uśpionego wysuwający się z miasta ukradkiem. Książę uchodził, unosząc życie i swobodę, ale wojsko jego nie ustępowało, zamek więc i miasto z nim bronić się miało, wystawiając na zniszczenie.

Przeprowadziwszy ich oczyma, Warsz zamknął drzwi i przy nich upadł na ławę. Ze

znużenia i frasunku, jak był we zbroi, oparłszy się o stół, z głową zwieszoną, wpadł w sen głęboki a niespokojny.

Zbudziło go gwałtowne do drzwi dobijanie się. Zerwał się, nie wiedząc już spełna, gdzie jest i co się z nim dzieje. Biały dzień jasny wpadał przez szczeliny pozasuwananych okiennic. Do drzwi wciąż szturmowano gwałtownie i głosy nakazujące domagały się wpuszczenia. Warsz pospieszył

odryglować zasuwę i ledwie miał czas w bok ustąpić, gdy na próg wpadł od stóp do głów zbrojny Kietlicz, z oczyma zaczerwienionymi, z odgrózkami na ustach, hełm tylko co zdjęty trzymając w ręku.

Zobaczywszy Warsza, ochłonął nieco, ale złość z niego zionęła jeszcze i przekleństwa z ust wymykały się jak grzmoty dalekie po gwałtownej burzy. Warsz zaspany ledwie się trzymał na nogach. Kietlicz tych, co za nim szli, skinąwszy ręką, za drzwiami zostawił.

— Spisz, stary niedołęgo! — zakrzyczał. — A tu miasta bronić trzeba! Ty, niedbalcze, ty!

Wrota zamykać, niech się mieszczanie, kto żyw, zbroją.

— Nie kazał mi nikt! Nie mówił nikt! Nic nie wiem! — odparł Warsz.

— Rusini ciągną z mordem, z pożogą! Idą mścić się za krew i ogień, które wasz miły

Każmierz do ich ziemi nosił! Odwet przychodzi! Brońcież się wy, baby jakieś, bo zamek mój też się będzie bronił do upadłego!

— A! — zawołał starosta. — Brońcież wy i nas! Sami się nie obroniemy.

— Mieszczan wypędź do nogi! Na częstokoły, na wały, do bram! Musicie się bronić,

zajęcze syny, bo życia stradacie. Ruś was miłować nie będzie. Wasz to Każmierz pono prowadzi ją

na swych poddanych, tak jak Władysław — Połowców.

To mówiąc, stojącego jeszcze Warsza Kietlicz pchnął silnie ogromną pięścią zaciśniętą.

— Idź, czego stoisz?! Idź! Coś ogłupiał?! Rozsyłaj, trąb, żeby mi ludzie szli do obrony, z czym kto ma. A poddacie się bez walki, ja was wyrnę w pień! Ja, bo ja na zamku siedzieć będę, póki nie nadciągną posiłki. Idź, idź!

To mówiąc, Serb wystraszonego starostę popędził w głąb izby, a sam zawrócił się do konia, którego łeb we drzwiach widać było. Dysząc oprawca na zamek wprost pobiegł ze swymi.

Pozbywszy się go, Warsz długo stał jak wryty. Co miał czynić? Słuchać jego czy być

posłusznym mieszczanom? Tak czy owak głową odpowiadał. Krzyk wpadającej żony do reszty go pomięszał. Chwycił za hełm na stole i zapomniawszy przypasać miecza, nie wiedząc sam, dokąd, wybiegł w ulicę.

Tu ludzie snuli się tam i sam, wystraszeni jak on, od drzwi do drzwi, spiesząc się, pędząc, stając, wykrzykując, wołając się. Miasto było obrazem nieładu i popłochu. Rządził, kto chciał, rozkazywał, kto głośniej krzyczał, słuchano chwilę, potem czyniono, co kto inny doradzał. Kupki przy wrotach domostw zbierały się niespokojne, zwiększały, rosły, rozpraszały, gromadziły w innych miejscach. Zatrzymywano przechodniów, rzucano się na ludzi nieznanym. Ciekawsi biegli ku bramom, bojaźliwsi uchodzili do lochów i szop, w ogrody.

Warsz, wybiegłszy z domu, opadnięty natychmiast, zarzucony pytaniami, groźbami, nie

odpowiadał na nie, wrywał się, jakby już tylko myślał o własnym ocaleniu. Chwymano go za suknie, szarpano odzież na nim. Nie wiedział, dokąd się skryć, czując tylko, że najgorzej było w domu pozostać. W niepewności, co czynić miał, wołał nic nie robić i skryć się. Jako schronienie jedyne dwór Juchima na myśl mu przychodził.

Wyrwawszy się gwałtem z rąk tych, co się od niego domagali, aby ich bronił i radził im,

Warsz małymi uliczkami zbiegł pod dwór Żyda. Tu pusto było. Bił we wrota, co sił stało, długo odpowiadało mu milczenie tylko. Wreście zasuwę w furcie się. otwarła i blada twarz Juchirna ukazała za nią.

— Idź, ty, człowiecze złej godziny! — zawołał gniewnie Żyd. — Czego ty chcesz ode

mnie?! Ja cię znać nie chcę! Jam ci nie winien nici

— Wpuść, na Boga, zlituj się!

— U mnie miejsca nie ma, nie chcę, nie przyjmę! Na moją starą głowę nieszczęścia ściągać

nie będę! Idź, idź, tu dla ciebie miejsca nie ma!

I zasuwa w oknie zamknęła się tak silnie, iż furta zadrżała. Warsz pozostał sam ze swą rozpaczą.

W mieście tymczasem nieład się coraz powiększał, każdy zrazu czynił, co chciał, potem starsi mieszczanie, naradziwszy się z sobą, poszli do bram, pilnując, aby ich nie zamykano. Chciał kto z miasta precz, wypuszczali go, chciał do miasta, nie bronili: czekali. Poznać było łatwo, że miasto się ani myśli, ni chce opierać, i gdyby był Warsz sprobował spełnić rozkaz Kietlicza, byłby może życia postradał, a nikt by go już nie usłuchał. Wszystko to się spełniło, nim jeden żołnierz Kaźmierzów ukazał się pod murami, nim najmniejsza garstka przodowników przybyła.

Wieść o nadchodzących przyniesiono na zamek, stąd ona rozeszła się po mieście. Zastępy

Kaźmierza odmalowano tak groźnie, że Mieszek po naradzie wołał sam ustąpić i iść po posiłki, a synowi zostawić zamek, powierzając go Kietliczowi. Na dolnym grodzie czyniono przygotowania do rozpaczliwej jego obrony.

Wszystko to nie mogło ujść oka tych, co na Wawelu czuwali. Wojewoda Mikołaj już z

wieczora dostrzegł, co się działo w obozie nieprzyjaciela, serce wszystkim urosło, nowy duch wstąpił. Domyślano się odsieczy. Z wieży czatowano nieustannie, a że Wawel nad dolnym zamkiem panował, widać było najmniejszy ruch w nim i co się działo dokoła.

Pewnym był wojewoda, że największe niebezpieczeństwo przeszło, że lada dzień niewola się skończy. Zamierzał, jak się tylko wojsko Kaźmierzowe ukaże, sam wpaść z zamku, aby oblegających wziąć w kleszcze.

— Teraz ten niezmożony warchoł wpaść musi w ręce nasze — mówił wojewoda, biskupa po rękach całując. — Okrutny nie jestem, zemsty chciwy nie byłem nigdy, ale oszczędzić go — grzech! Inaczej my i pan nasz nigdy nie zażyjemy pokoju.

— Bogu zostaw staranie o pomstę i pokój nasz — odparł biskup — byleśmy z więzienia tego wyzwoleni zostali, a pan nasz na zamek wrócił!

Jak na mieście i zamku dolnym wszystko było w trwodze, tu po długim ucisku oddychało radością wielką. Księżna z synaczkiem i córką Adelaidą szły Bogu dziękować na mszę biskupią. Kościół mimowolnie przypominał jej męża, głos organu i śpiew łązy z oczów wyciskały.

Przypominała sobie Kaźmierza przy tych organach, grającego i śpiewającego pieśni pobożne.

Lud na Wawelu, choć jeszcze nikogo widać nie było, czuł się weselszym, silniejszym.

Nareszcie te okowy, co go opasywały, prysnąć miały, a on odetchnąć swobodniej.

— Pan przybywa! — wołano w dłonie poklaskując. Tłumnie na wałach zebrani na próżno

jednak do wieczora samego oczekiwali, żeby się przeczucia ziściły. Wprawdzie na dole dotąd porozpraszane skupiały się siły, ale jak okiem zajrzeć, żaden oddział ani czaty przednie się nie ukazały. Noc zapadła ciemna, wietrzna, chmurna, dalekimi rozświecona błyskawicami, nic nie dojrzano, nie zmieniło się nic. W mieście tylko gotowało się, wrzało, kipiało i dopiero późno w głęboką noc uciszać nieco zaczęło.

Kietlicz, któremu dano znać, że bramy miasta stały otworem, posłał swych ludzi na

mieszczan i pędzić ich kazał do obrony, a wrota zamykać. Lecz na ruchomą falę ludu, gdy się nie lęka zemsty a czuje trochę silniejszą, nie ma potęgi, co by ją zauzdała i wstrzymała. Schwycić ludzi nie było podobna. Tłumy się rozlewały, znikały, jakby szły pod ziemię, skupiały potem w oka mgnieniu i rozpraszały znowu, jakby naigrawając się z tych, co je opanować myśleli. Małe ledwie gromadki dawały się zapędzić ku bramom, a i te, zaledwie odeszli stróże, znikały gdzieś za domy i płotami.

Noc to była bezsenna.

Niektórzy, na dachy powyłaziwszy, spoglądali w ciemną jej otchłań, wypatrując tego,

którego niegdyś wybawicielem zwali i teraz go tym imieniem witać gotowi.

Cisza panowała w okolicy, tylko wprawniejsze oczy z wierzchołka domostw mogły dojrzeć

na wschodzie jakby bladą lunę na obłokach odbitą. Byłali to jutrzienka nowego dnia czy zwiastunka pożogi i wojny?

Co się z Warszem stało, nikt nie wiedział. Biegano, szukając go wszędzie. Od tej pory, gdy stukał do dworku Juchima, nie widział go nikt. Kietlicz słał po niego ludzi, mieszczanie, starszyzna gromadami upominali się o niego u płaczącej żony, zaklinającej się, że nic o nim nie wiedziała.

Strzęsiono dom, szopy, lochy: nie było śladu. Co widząc, mieszczanie po cichu, między sobą wybrali starostę, ale o nim nie dali znać do zamku, aby Kietlicz nań nie wsiadł. Czekali jutra.

Nazajutrz rano deszcz kroił, ale, słońce dobywało się z chmur, wiatr rozpędzał obłoki

powoli. Po wczorajszym popłochu oczekiwanie dłuższe nieco uspokojenia dało. Na zamku dolnym ochłonięto ze strachu, na górnym ogarniał niepokój. Na mieście już nie wiedziano, co myśleć.

Kietlicz chciał koniecznie, ażeby miasto się zawarło i broniło, ale swoimi ludźmi, za mało ich mając, osadzać go nie mógł. Posłano do ziemian, którzy obiecywali stawać z Mieszkiem i wprowadzili go



do Krakowa; teraz ich już widać nie było. Nie odmawiali posiłków, obiecywali się zwołać, pogotowiu nie było nic. Siedzieli po gródkach patrząc, co Bóg da. Kietlicz się i na nich odgrażał straszliwie, ale odgrózki szły na wiatr.

Dzień cały znowu upłynął przy wzrastającym niepokoju. Chociaż wiadomość o zbliżającym się z Rusią Kaźmierzu pewną była, bo ci, co ją przynieśli, na własne oczy widzieli pułki, które prowadził, zaczynano wątpić, czy wprost na Kraków, pociągnie. Wieczór już nadchodził, gdy okrzyki wielkie u bram miasta, odbiły się na zamkach obu. Nikt przybywających nie widział: podkradli się cicho i ukazali u wrót, gdy się ich nie spodziewano. Stały im wszystkie otworem.

W jednych z nich Soroka z głową odkrytą przyjmował księcia Kaźmierza, który na koniu siwym jechał, u boku mając kniazia Romana. Za nimi szły pułki polskie i ruskie. Razem wojsko i mieszczanie wielkim głosem Kaźmierza okrzykiwać zaczęli. Kilką ulicami wciągnęli tak bez przeszkody do miasta, które Ruś zobaczywszy, z obawy jej puste trochę się wydało. Kaźmierz jechał wprost do kościoła Świętego Floriana, aby tam Bogu za powrót dziękować.

Dopiero, gdy ujrzano z górnego zamku te zastępy i poznano chorągwie, biskup kazał we dzwony uderzyć i na wałach ludzie zahuczeli okrzykami. Na dolnym szczelnie się zamknęli Mieszkowi.

Nadchodzący mrok nie dozwolił nic poczynać. Jechali tylko książęta oglądać poczwarny, naprędcie sklecony gród dolny, aby radzić, jak go zdobywać. Po Haliczu i Brześciu, którym Kaźmierz rady dał, choć obronniejsze były, zamek Kietlicza nie zdał się strasznym. Mógł jednak trochę zachodu i krwi kosztować.

Wojsko w rynku, po ulicach, na przedmieściach, około Wawelu się rozłożyło. Na sam Wawel przystępu bronił obóz i wojsko Mieszkowe. Książę zajął dworzec biskupi. W godzinie zmieniło miasto oblicze, stało się innym niż wczoraj, niby obozem jednym. Nieśmiało otwierali mieszczanie domy swe, Rusinów się obawiając, ale przekonawszy się, że spokojni byli, powoli się i z nimi bratać poczęli. Wszczął się gwar, biesiady, opowiadania, śmiechy, wskazywania, co i gdzie leżało, obliczanie sił, wróżby na jutro. Choć miało obrońców, czuło miasto, że mu jeszcze srodze pokutować przyjdzie, im się Mieszkowych pozbędzie. Wojna miała się stoczyć prawie na ich śmieciskach.

Nocą jeszcze pościągano z miasta do księcia Kaźmierza ludzi, którzy świadczyli, co się tu, jak i przez kogo działo. Nie- którzy dobrowolnie biegli opowiadać, co wiedzieli. Słuchał Kaźmierz i łza mu się w oczach kręciła.

— Com zawinił tym, którzy mnie opuścili? — odezwał się. — Staralem się być dla wszystkich sprawiedliwym i miłosiernym.

Bolało go najwięcej to, że ziemianie krakowscy tak pochopni byli do odstępstwa. Chciano mu imiona ich zliczyć, aby się przekonał, że tych niewielu było, lecz słuchać odmówił.

— Wiedzieć nie chcę, którzy byli, aby w sercu gniew i pomsta się nie zrodziła — rzekł książę.

Późno w noc u drzwi pańskich znalazł się i ten, którego najmniej spodziewać się było można — skarbny Juchim. Stał już od dawna przed wrotami z głową obnażoną, rękami zwieszonymi, dopominając się, by go wpuszczono. Gdy się docisnął do księcia, padł na kolana przed nim i długo ze wzruszenia mówić nie mógł. Chciał uprzedzić, co na niego donosić miano.

— Błogosławiony niech będzie Bóg, który sprowadza sprawiedliwego — począł. — Za Tobą było jęczenie nasze i boleść wielka; głowy mieliśmy posypane popiołem i szaty rozdarte.

Książę, któremu już mówiono, że Juchim Mieszkowi służył, wymówek mu nie czynił. Gdy Żyd jeszcze błogosławił i witał, rzekł doń krótko:

— Służyłeś przecie dawnemu swemu panu!

— A czegoż biedny robak nie czyni, gdy go nogą cisną? Życia bronić musi każdy, Miłościwy Książę! — westchnął Juchim. — Za gardło trzymali mnie, posłusznym musiałem być.

Spytał go książę o starostę, bo o stosunkach jego z Żydem już także miał doniesienie.

— Nie wiem o nim nic, poprzysiąc mogę — rzekł Juchim. — Jeżeli winien kto, że miasto się poddało, chyba on, ale czymże bronić się miało? Komu żywot i mienie niemiłe?

Długo bardzo, niespokojnie Juchim błogosławił, tłumaczył się, uzalał na ubóstwo, na zdzierstwo, na wojnę, na dolę swoją, przypadając do kolan milczącego Kazmierza, który go odpuścił nie dając znaku ani gniewu, ani poruszenia.

Cisnęli się tak, kto mógł, z żalami, doniesieniami, zalecając wierność swoją. Książę na brata Mieszka mówić nie dopuszczał, słuchać nie chcąc obwinień przeciw niemu i otwarcie się z tym oświadczywszy, że Kietlicz był wszystkiemu winien, on namowcą, podżegaczem i sprawcą.

Ktokolwiek poczynał o Mieszku, on wnet prostował sprowadzając na Kietlicza. Na Serba zwalano myśl i wykonanie zamachu i upartą chęć trzymania się na dolnym zamku.

Nazajutrz rano bardzo, ledwie na dzień się brało, ziemianie zaczęli się w mieście okazywać, nawet ci, co do siedemdziesięciu się liczyli, którzy pierwsi z Mieszkiem wciągnęli. Nim rozedniało i książę wstał, liczba ziemian powiększyła znacznie, pierwsi się tu znaleźli, co najwinniejszymi czuli. Jeden na drugiego winę strącał, wszyscy teraz wracali do dawnego pana. Gdy się książę ukazał, pokłonami i okrzykami go powitano. Przyjął to spokojnie, bez wymówek, bez gniewu, ale bez radości z nawrócenia. Śreniawa, któremu najwięcej zarzucali wierni Kaźmierzowi, począł się tłumaczyć.

— Serce ojcowskie przebacz choćby obłąkanym — rzekł. — Ujmowali nas i nęcili nie wiedzieć czym Dobrogost i Sędziwój, najeżdżał Kietlicz.

Kietliczem wymawiali się wszyscy, groźbami tego, zrzucano nań własną winę.

— Sromamy się i kajamy, żeśmy ulegli — mówił Śreniawa — ludzka rzecz pobłądzić,

królewska — przebacz. Odtąd wiernie Tobie i rodowi Twemu służyć będziemy. Zwiedziono nas, grożono.

Zaczęli i inni, już księcia znając, na Kietlicza narzekać.

— Zmuszał nas, nękał, serca nam psował, kłamstwy nas wziął! — wołali.

Z gorliwością wielką ofiarowano się do zdobycia zamku dopomagać, w którym Kietlicza

ująć na pewno się spodziewano. Gdy książę z Romanem na koń siadł oglądać gród nowy, ziemianie wszyscy posypali się za nim.

Zamczysko naprędce sklecone i liche leżało u stóp Wawelu, lada jakim wałem otoczone i

tykami opasane. Do budowy tej nic nie miał Mieszek, oprócz kłód drzewa ogromnych, które z sąsiednich lasów pościągano. Z nich się i szopy, i ogrodzenia składały, łatwym więc zdało się ogień podłożyć i wyprzeć nim nieprzyjaciela. Obszerność zamku znacznych dosyć sił w nim pozostałych domyślać się kazała.

Z wierzchołka Wawelu postrzeżono zaraz Kaźmierza jadącego ze dworem i okrzyk się

podniósł wielki, dzwony Świętego Wacława witały pana radośnie, a z wieży wiała czerwona

chorągiew, którą wiatr wesoło unosił.

Rusini i Polacy stali w szeregach, czekając skinienia, aby się rzucić na gród, lecz książę zwlókł hasło do boju. Nie chciał poczynać lekko, aby żywotów ludzkich oszczędzić. Objeżdżano i oglądano ze wszech stron radząc, jak najłatwiej zdobywać było.

Posłał książę naprzód, domagając się dobrowolnego poddania. Tego, który jechał, strzałami odegnano, łajaniem i pogroźkami. Rusini natychmiast chcieli rzucić się na wały, lecz tego dnia spoczynek dano wojsku i opasano tylko grodek dokoła.

Przez cały dzień coraz nowe gromady ziemian i kmieci przybywały z okolic i dziedziniec a ulice dokoła dworca biskupiego pełne ich były. Jednych tylko braci z Tęczyna brakło, którzy Mieszkowi dotrzymując wiernie, z ludźmi swymi do niego poszli.

## VI

Spełnił Stach poselstwo swe szczęśliwie, choć nie bez wielkich utrapień i mokołu. Nikt by inny tego, co on, nie dokazał może, bo mało kto tyle, oo Stach, włóczył się po ziemiach wszystkich i lepiej znał język ich i obyczaj. Na żadnym gościńcu obco mu nie było, gdzie zajechać, jak się opowiadać, wiedział z doświadczenia. Znaczną część drogi przebywać musiał lasami, od probostwa do probostwa przeprowadzany, wymijając głudniejsze gościńce. Nad granicami szczególnie

bezpieczeństwa nie było, włóczyły się tu gromady zbrojne, jedne Mieszkowymi się mieniać, drugie Kaźmierza, chciwe w istocie zdobywszy tylko, szukając zwady, wdzierali się i Rusini bezpańscy, Połowców prowadząc z sobą na nieopatrne dwory, a niejeden kmieć, gdy małą kupkę mógł napaść, gotów był obedrzeć, mszcząc się tego, co od rycerstwa doznawał.

Stachowi to nie było obcym, wymijał więc, uchodził, krył się, nocami często jadąc, a dniem u księży spoczywając, aby się nie dostać w ręce cudze. Pieczęć biskupa krakowskiego, którego diecezja do granicy sięgała, służyła mu za opiekuna. Szczęśliwie jakoś aż do obozu księcia dobiwszy się, tu, ażeby sam nie był zmuszony stawać przed Kaźmierzem, chorobę udał Stach, a poselstwo Wszeborowi przekazał i listy mu dał.

Jeszcze przed nim na Ruś doszła była wiadomość, iż w Krakowie ziemianie się burzyli, jakoby przeciw wojewodzie Mikołajowi. Kaźmierz nie bardzo temu wiary dawał, lekce sobie waząc. Straszono Mieszkiem, poczytywał to za zmyślenie. Do- piero gdy Stach listy i powieść przywiózł pewną o tym, co się w Krakowie stało, niepokój wielki ogarnął wszystkich. Rycerstwo, wszystko rzucając, natychmiast na odsiecz biec chciało. Nie dano się rozmyślać księciu. Gwałtem niemal chwycono go, aby z Rusią szedł przeciwko zdrajcom. Nigdy może pośpieszniejszym pochodem, ochotniej i gwałtowniej nie biegło wojsko, nie dając sobie ni koniom spoczynku.

Kaźmierzowi też szło i o los miasta, i o żonę a dzieci pozostawione na Wawelu, który długo bronić się nie mógł. Smutny, modląc się przez całą drogę, mało co mówiąc, Kaźmierz jechał dając się więcej prowadzić, niż sam szedł. Pochód był dla ziem, które przebywał, ciężki, bo nie pytano o prawo, a zabierano, żywiąc się, co na drodze znalezione. Porozpręgały się trochę pułki, wszystkie jednym ogłodzonym gościńcem nie mogąc iść, każdy też rad był drugich wyprzedzać, bo gniew i niepokój pędziły. Dopiero zbliżając się ku Krakowu, do jakiegoś ładu Ruś i swoich można było

doprowadzić.

Za dworem Kaźmierzowym ciągnął i Stach, tuląc się po kątach, aby oka na siebie nie zwracać. Przybywszy do Kakowa, gdy już nie miał co czynić innego, przywdział zbroję, zabierając się razem z innymi iść do zdobywania dolnego zamku. Zajrzał do dworku Jagny, w którym

Hreczyna nie zastał i mało co czeladzi zgłodzonej, a spiżarnie puste i zapasy wypróżnione.

Wiedział już z wieczora o wszystkim, co go mogło obchodzić, nawet o zniknięciu Doroty, którą za zaginioną miano.

Nazajutrz po spoczynku Rusinów i swoich utrzymać już było trudno, tak się rwali na gród

dolny. Oblężeni, domyślając się, iż pod parkany ogień podłożyć mogą, aby ich wykurzyć ze wnętrza, nocą koły i drzewo darnią i ziemią pokładali, wodą oblewali; sposobili się do wścieklej obrony. Lecz łatwo przewidzieć było, że bez silnej odsieczy niedługo się w słabych okopach potrafią utrzymać.

Odgrażali się mściwi Kaźmierza pułkownicy, iż noga z tych, co na gródku się zamknęli, nie ujdzie. Opasano ich gęstymi zastępy dokoła, nigdzie wyjścia nie zostawując ani nadziei

przerznięcia przez oblegających. Jedna tylko strona do Wa- welu przylegająca objęta być nie mogła, ale z tej spodziewano się wycieczki wojewody, który na hasło czekać musiał, aby razem z Kaźmierzem rzucić się na Bolka i Kietlicza. Przygotowań żadnych do szturmowania nie potrzebowano ani taranów do bicia zasieków, ani wież, ani drabin. Okopy świeże, niewysokie, parkany były nierówne, bramy drewniane.

Jeszcze się Kaźmierz ociągał z daniem znaku do rozpoczęcia walki, gdy rycerstwo już

cisnęło się na wały, tak że wstrzymać je było trudno. Jeszcze raz, unikając krwi rozlewu, książę chciał posłać do oblężonych, aby się dobrowolnie poddali. Sprzeciwiano się temu, Kaźmierz obstał przy swoim.

Wyprawiono Sieńca, śmiałego człeka i wymownego, z gałęzią zieloną. Ten za ledwie ku

bramie się zbliżył trąbiąc, gdy na wyżkach kilkunastu zbrojnych się ukazało, między którymi łatwo po szerokich ramionach i głowie dużej na krótkim karku Kietlicza poznać było można. Nie dano Sieńcowi się z poselstwa wypowiadać, gdy kilkanaście bełtów z kusz puszczono na niego, a jeden tak nieszczęśliwie padł, że mu kaftan pod ręką przebiwszy i pod blachę trafiając, w samo serce ugodził. Sieniec tylko ręką się za piersi chwycił i na wznak padł, a koń spod niego, ranny kilką strzałami, nazad krwawiąc poleciał.

Za tym wrzaski się podniosły z obu stron straszne, swoich i Rusinów żadna już siła

powstrzymać nie mogła. Rzucili się nawałem ku okopom, beładnie, nie patrząc wodzów,

wyprzedzając, popychając, tłocząc. Zamięszanie powstało wielkie, w mgnieniu oka wały całe się ludźmi okryły. Zdawało się, że ta ciżba mały zameczek zgniecie i rozniesie.

Ale Kietliczowi, którzy dotąd znaku życia nie dawali za parkanami, dopuściwszy ów tłum

do samych ścian, cisnęli gradem strzały, bełty, kamienie i bierwiona. Padło, co stało najbliżej, pobite i pokaleczone, inni po trupach się drzeć zaczęli, wzięła się walka zacięta, bo gdy jedni miotali głązy i belki, drudzy przez parkan ręczny bój zaczęli, toporami, mieczami, oszczepami ku sobie sięgając.

Oblężeni, wiedząc, jaki ich los czeka, bili się rozpaczliwie i zajadle. Co który padł, na miejsce jego darł się drugi, tak że za parkanami żywiej się mieniali walczący niż Kaźmierzowi, którym trupy i kłody drogę tamowały.

Na wyżkach za parkanami widać i rozpoznać było można Bolka w całej zbroi, z mieczem i

Kietlicza, pędzących ludzi, zagrzewających, ciskających strzały.

Walka wrzała zacięta, gdy od Wawelu otwarły się bramy. Wojewoda Mikołaj z dobozem

swoich ludzi puścił się ze swej strony na oblężonych. Kaźmierz też rwał się iść koniecznie do boju, bo był takiego serca, iż gdy w jego oczach walczyli drudzy, beczynnienie na to patrzeć nie mógł i jak prosty wojak biegł życie nastawiając, co i inni wodzowie w owych czasach czynili, aby ludzi przykładem zagrzewać. Wstrzymali go ledwie ci, co przy nim byli, mówiąc, że chwila nie przyszła.

Gdy się tu bój toczył straszny, z miasta, co żyło, wybiegło mu się przypatrywać.

Mieszczanie, choć się o siebie lękali, wytrzymać nie mogli po domach. Tłum ich z dala stał

ogromny, ręce podnosząc, krzykiem swoim posiłkując, rwąc się, jakby chciał też iść do boju, choć tam i miejsca już nie było, bo zamek opasywało wojsko i Ruś, tak że sami się dusili oblegający.

Stojący dalej przez głowy swoim strzały miotali, wytrzymać nie mogąc ażby na nich kolej nadeszła.

Za wrzawą nic słyhać nie było, nawet dzwonów, w które po wszystkich kościołach uderzono, gdzie się duchowieństwo za powodzenie oręża Kaźmierzowego modliło.

Stach był w tłumie na przedzie i szczęśliwie dotąd od kłód i kamieni się ochroniwszy,

oszczep i miecz dobrze już okrwawił, sam niewiele potłuczony.

W pierwszej chwili zdawało się, że bitwa potrwać długo nie może, a w jednej godzinie

wszystko skończy. Upłynęło ich trzy, a nigdzie parkanu nie złamano. Kaźmierzowi, którzy zrazu parli się z wielką zapalczywością, ostygli znacznie, ludu straciwszy dużo, a Kietliczowi nabrali ducha, kilka razy odparłszy szturm.

Trupa na wałach, przygniecione belkami, zabitego kamieniami, rannych od strzał leżało

mnóstwo na wałach; część ledwie ściągnięto w dół, aby drogę oczyścić. Spodziewano się, że oblężonym posiłków zabraknie, ale zawczasu przygotowani, nie szczędzili ich i coraz gęściej sypali. Zaczynano się obawiać, aby w jedną rzucając się stronę, Kietlicz nie przebił i nie uszedł ze swymi.

Zagrzewali więc pułkownicy ruscy i swoi, coraz nowe prowadząc oddziały na słabsze

miejsca, lecz nigdzie się wdrzeć do środka nie udawało. Widząc to, Stach począł nawoływać, aby ogień podłożyć pod parkany. Nikomu jednak nie chciało się miecza na żagiew mieniać, a niektórzy wyśmiewali doradcę.

Zebrał z trudnością Stach małą gromadkę, która mu się namówić dała, aby głównie

przynieść z bliższych domostw, susz i smołę. Nierychło udało się naniecić ognisko pod drewnianą ścianą, z którego dym buchnął kłębam. Stach upatrzył miej sce, gdzie dla wysokiego parkanu mniej ludzi było, drabiny kazał nieść i pęk smolnych pochodni ująwszy, nie czekając na drugich, z nimi się na zasiek drapać począł tak zręcznie i pospiesznie, iż na wierzch się wdarł, nim się opatrzono. Pochodnie zapalać, ciskać wnet jął na dachy do środka, sam wołając: „Gore!”

W istocie dachy dranicowe poczynały się palić, ale więcej dymu na zamek szło z dołu od

kupy chrustu pod parkanami podłożonej. Dym i wrzask spłoszył z tej strony Mieszkowych, którzy cofać się zaczęli i uciekać, powtarzając: „Gore!” Po całym zamku wołanie: „Gore!” się powtarzało.

„Gore! Gore!” Ci, co śmierci w boju się nie lękali, ulękli się, aby ich żywcem nie spalono. Parkan z jednej strony gorzał, na dachach płomienie błyskały, trwoga ogarnęła oblężonych. Kaźmierzowi w tej chwili napadli ze wszech stron i wrota wielkie, bronione słabo, wyłamali. W kilku miejscach tyny pod naciskiem ich powaliły się.

Co się tam działo w tym zwarciu ostatnim, opowiedzieć trudno. Rzeź się poczęła bezlitośna, wiązanie, bicie, pogonie. Dokoła stał lud tak ściśnięty, że nikt uchodzić nie mógł; kto się jednemu z rąk wyśliznął, wpadł na oszczep drugiego. Wielu na ziemię waliło się, udając zabitych, chowając między trapy. Tych tratowano i gnieciono, aż gdy z nich dech się dobywał ostatni, dobijającego trup ów za nogi chwycił, kąsał, obalał i słał drugim pod stopy.

Kaźmierza już w tej chwili zamięszania przyboczni utrzymać nie mogli. Wbiegł i on w te

tlumy z mieczem podniesionym, przerzynając się na drogę wiodącą do Wawelu, która otwartą była.

Niektórzy z Kietliczowych, nie mając innego ujścia, straciwszy głowy, na zamek górny

zbiegać zaczęli, bo ich tu nikt jeszcze nie hamował. Zobaczywszy to, Rusini pierwsi w pogoń poszli za nimi i część walki groziła przeniesieniem się na Wawel, z którego wojewoda Mikołaj był

wyszedł. Bronić go nie było komu. Mogli Kietliczowi ludzie, broniąc się lub mszcząc, podpalić i mordować tych, co na nim byli.

Krzyknął więc Kaźmierz na swoich kilkunastu przybocznych i popędził za Rusinami na górny zamek. Bramę otwartą przebiegł oddział Kietlicza, Ruś za nim i w podwórcach zamkowych, pod oczyma księżnej Heleny, biskupa i resztki dworu, wszczęła się znów walka zacięta.

Kaźmierz, biegnąc za nimi, postrzegł, że przez drzwi otwarte do kościoła Świętego

Wacława część uchodzących wtargnęła, starając się tam ukryć i drzwi zaprzeć za sobą. Rusini przypadli zaraz i pod naciskiem ich wrota świątyni runęły. Z przestraczem ujrzał księżę, co kościołowi bożemu groziło, Ruś bowiem, nie rozróżniając, co swoje, a co nieprzyjacielskie, w pogoni za ludźmi już się na ołtarze rzuciła, chwytając z nich świeczniki i opony. Na widok ten przerażony Kaźmierz z mieczem podniesionym, z krzykiem ogromnym, jak piorun rzucił się na plądrujących.

Znany głos jego, zbroja, hełm natychmiast Ruś powstrzymały od rabunku. Lecz że!

po między ławy, za ołtarze, po kątach ciemnych nacisnęło się mnóstwo zbiegów, za nimi się uganiać poczęto i kościół boży jękami się roległ, krwią oblewał. Nim pochwycić uśpiano zbiegłych, których wszędzie znajdowano, dopadł Wszebór do drzwi wołając, że Kietlicza z nimi uchodzącego tu widziano. Pogoń się zaczęła za nim i szukanie po komorach, na strychu, za ołtarzami, we wszystkich kryjówkach kościoła. Kietlicza nigdzie nie było.

Przed wielkim ołtarzem, głazem ogromnym zamknięte było wniście do krypty i grobów.

Księżę postrzegł, że wieko stało podniesione a wniście otworem. Spuściło się wnet kilku do głębi.

Z podziemia dał się krzyk słyszeć głośny. Skrytego pod trumny wywleczono sprawcę wojny.

Gdy się twarz jego zbladła, z hełmu już obnażona ukazała, a ludzie, ręce mu związawszy,

ciągnęli ku górze, stał właśnie Kaźmierz nad wschodami i pierwszy raz może w życiu gniew

ogarnął go taki, że żelazną rękawicą, którą w ręku trzymał, opoliczkował zdrajcę. Wtem nadbiegł, o Rusinach tu zasłyszawszy, książę Roman.

— Bierz go sobie, daruję ci za niewolnika tego psa! Weź go sobie — zawołał księżę —

inaczej lękam się, abym krwi jego nie przelał, a wszystka krew tego łotra nie opłaci ani cząstki tej pocziwej krwi, która się przezeń wylała!

Kietlicz bezmówny już był i bezwładny, twarz blada krwią mu nabiegła od razów, usta miał

okryte pianą, ciało poranione, pobitą zbroję, poszarpaną odzież, nogi w ucieczce poodzierane do kości. Rusini, kniazia wyrok usłyszawszy, natychmiast go pochwycili.

Pozbyto się zaraz z kościoła i jeńców powiązanych, i pogoni niepotrzebnej w nim, aby co



prędzej oczyścić skalaną świątynię, ku której już zewsząd zbiegali się duchowni, spiesząc bezsilni na obronę.

Książę Kaźmierz upadł na kolana przed wielkim ołtarzem, aby Bogu podziękować za zwycięstwo, ale czasu na długą modlitwę nie było. Biegli za nim ludzie z doniesieniem, że co żywego zostało na dolnym grodzie, zagarnięto w niewolę. Z innymi razem Bolka, syna

Mieszkowego, i kilkudziesięciu ziemian krakowskich, starszyzny wielkopolskiej, Szlązaków.

Mikołaj wojewoda, który razem z tą wiadomością przybył do księcia, cały jeszcze nowym gniewem stare odżywiającym, wołał, by ze zdrajców nikomu nie darować żywota, ścinać wszystkich i wieszać.

— Zostawcie to mnie — przerwał mu Kaźmierz niemniej gorąco — dajcie czasu do rozwagi i namysłu. Życia nikomu brać bez wyroku mojego nie dozwalam. Zabierajcie, zamknijcie, lecz włos nie ma spaść z ich głowy beze mnie. Bolka na zamek niech tu dadzą.

Mikołajowi nie bardzo się to podobało i odparł szorstko:

— Miłościwy Panie, my od nich nigdy pokoju mieć nie będziemy, gdy im bezkarnie ujdzie raz zdrada.

Właśnie gdy to mówił, dostrzegł Kietlicza związanego i pięść wyciągnął ku niemu.

— Czy i temu przepuścicie? — zapytał.

— Ten nie moim już jest jeńcem — rzekł książę — dałem go w moc i władzę kniaziowi

Romanowi, ten ma nad nim prawo życia i śmierci, ale swobody mu dać nie może.

— E e! — rozśmiał się szydersko Rusin. — Bądźcie wy o niego spokojni, ja mu w Haliczu

lub Włodzimierzu znajdę kąć dobry, gdzie sobie w dybach chodzić będzie, drwa rąbać i wodę nosić, a psy karmić. Chłopisko silne, zda się choćby i świnie paść. A już jemu dobrze u mnie będzie!

Gdy tak rozprawiali, walka już była skończona. Wiązano tych, co żyli, dzielono na kupy, odzierano ze zbroi i odzieży, ciury nad trupami znęcały się, co prędzej odzierając swoich i cudzych.

Wieczór już zastał krwawe pobojowisko nagimi trupy usłane, gród dolny spustoszony, na pół spalony i rozerwany. Tłumy zwycięzców zawodziły pieśni radosne razem i okrutne.

Miecz do pochew włożywszy, Kaźmierz otoczony towarzyszami szedł na dworzec, w

którego drzwiach widać było z dala oczekującego nań biskupa, księżnę i dzieci. Oblicze Pełki zarumienione było radością zwycięstwa, do którego on i brat tyle się wytrwałością swą i męstwem przyczynili. Powitanie było rzewne, a księżna, która z trwogi jeszcze ochłonać nie mogła, łzami się ciągle zalewała. Dzikie wrzaski i jacy konających brzmiały w jej uszach śmiercią jeszcze.

— Bóg wielki, Bóg jedyny, Bóg nasz dał nam zwycięstwo! — zawołał biskup, oczy i ręce w niebo podnosząc. — Prawo i sprawiedliwość z nami było! Pan opiekunem sprawiedliwych! Probuje on tylko i krzyże zsyła, aby tym większą okazał łaskę. Imię Jego niech będzie błogosławione!

— Amen! — dodał Kaźmierz rękę jego całując.

Roman stryj witał tymczasem księżnę, mimo powagi i grozy tej chwili strasznej, z uśmiechem figlarnym na ustach.

— E, ty, gołąbko moja biała — zawołał — czyście choć piroga słodkiego dla gości upiec

kazali, do łaźni winników nagotować, starego miodu utoczyć, bo my się tak upłąsali, naskakali, że nam się i stół poczesny, i kubek spory należy!

To mówiąc, i z nogi na nogę przestępując, a kołyszając się, jakby istotnie do płasów się zabierał, ocierał rękami zakrwawionymi uznojone czoło.

— Cieszę się — mówił dalej — że ja też tu na coś się zdał Panu memu, Miłościwemu

Kaźmierzowi, gdy on mnie tylekroć ratował. Rusini moi tak się zwijali koło kosowicy, że pokosy po nich grube leżą, tylko to siano już pachnąć nie będzie.

Żartował tak sobie wesoły zawsze kniaź. U wnijścia dwór cały, wybiegłszy, witał za kolana ściskając księcia. Stał i Goworek na pół smutny, w pół rozweselony, którego po biskupie, żonie i dzieciach pierwszego Kaźmierz uścisnął.

— Zażyliście i wy biedy czasu tego oblężenia — odezwał się — ale ja przybyć wcześniej nie mógł, choć dniem i nocami spieszyłem.

Gwarno opowiadać zaczęto, wszyscy społem, co się na zamku osaczonym działo, co w

mieście, narzekano na zdrajców, a wojewoda Mikołaj piosnkę swą powtarzał, że surowości teraz zażyć było trzeba i nie litować nad winnymi, aby się to nie powtórzyło. Na ziemian nastawał

najwięcej, jak tak dobrotliwego pana zdradzić mogli.

Wspomniał biskup, że posła stąd odprawił, nie mówiąc kogo, a Kaźmierz przyznał, że to powrót jego przyspieszyło.

Chciał zaraz wiedzieć, który był, co życie ważąc, z zamku się wymknął i do wojska przedzierał, aby go nie minęła nagroda, ale biskup, zamilczawszy, o czym innym zagadał.

Wieczór ten zakończył się stołami dla starszyny na zamku, a dla pospolitszego człowieka i dworu książąt obu w podwórcach zastawionymi, przy których do dnia białego pełno było.

Odchodzili jedni, cisnęli się drudzy. Rozporządzano jeńcami, zbierano łupy, przyprowadzano coraz więźniów nowych, przedniejszych, których w lichą odzież z postrachu znajdowano poprzebieranych. Musiano potem od jednego do drugiego z pobranych chodzić i każdemu zaglądać w oczy, aby ukrywających się pułkowników i ziemian rozpoznać. Tych osobno na zamku pod strażą zamknięto.

Stach, który przy zażegnaniu zamku się popalił i ran odniósł kilka, gdy wszystko się skończyło, pomyślał dopiero o sobie i do swego dworku się powlókł. Szczęściem był on trochę odległy, boby go Rusini jak innych nie oszczędzili, choć tam już mało się czym pożywić mogli po Mieszku. Zaledwie kaftan z siebie poszarpany i zbroję potłuczoną zdjawszy, zabierał się lec na łożo i spocząć, gdy w sieni dał się słyszeć głos jękliwy, natarczywie domagający wpuszczenia. W progu, nieśmiało wchodzący, blady Juchim się ukazał.

Czatował widać na powrót Stacha, krokiem niepewnym zbliżył się do leżącego i kłaniając się stanął przed nim. Stach zuchwalstwu temu wydziwić się nie mógł, zerwał się oburzony z pościeli i ukazując na drzwi, krzyknął:

— A idźże ty mi precz stąd, zdrajco bezwstydy! Juchim ten wybuch zniósł spokojnie.

— Co to, zdrajco? Jaki ja zdrajca? — odparł. — A! Nie gniewajcie się! Na co to gadać takie rzeczy?

I z głębi piersi odetchnawszy, dodał:

— Ja już widziałem naszego księcia i pokłoniłem się jemu, ja mu powiedziałem wszystko, jak było. Cóżem ja miał robić? Wojować z moimi starymi rękami?

— Idźże teraz z nimi, gdzie chcesz — rzekł Stach — a mnie spokój zostaw.

— A! Słoweczko tylko — rzekł Juchim. — Wy wiele możecie u biskupa, a biskup może wszystko u księcia. Niech mnie mennicy nie odbierają! A kto im lepiej zapłaci i lepsze pieniądze z

czystego srebra bić będzie?

Stach nie odpowiedział nawet, odwrócił się tylko. Żyd stał uparcie.

— Za co wy macie nastawać i gubić starego Juchima?

— Ani gubić, ani zbawiać cię nie myślę — rzekł Stach porywczo — ani dla siebie, ani dla drugich nic nie chcę, o nic nie proszę. Idź z tym do innych.

— Wyście powiedzieli, że Juchim zdrajca — ciągnął Żyd nie zważając — to jest złe słowo, strasze słowo. Kogo on zdradził? Samego siebie chyba, kiedy do tego nieszczęśliwego kraju noga jego stąpiła.

Nie otrzymując odpowiedzi, Żyd mruczał, kręcił się, nie odchodził, wreszcie zagadując o tym i owym, natrącił o Mierzwie i cicho spytał, co się z nim stało.

— Jeżeli go nie powiesili — rzekł Stach — to spodziewam się, że to wkrótce nastąpi.

— A! Niech go sobie wieszają, co mnie do tego! — zawołał Juchim. — Pytam o niego, bo on mi winien dużo. To jest zdrajca! On wszystkiego nawarzył!

Zbyć się Żyda nie mogąc, Stach okrył głowę i udał usypiającego. Jakoż Juchim, postawszy trochę, odszedł, a nim do wrót się dostał, znużonego już sen głęboki objął z marzeniami gorączkowymi.

Nad ranem książę Kaźmierz poszedł do swej komnaty. Z okna jej widok był za Wisłę ku murowance, której ściana jedna szarzała wpośród drzew zielonych. Książę spojrział w tamtą stronę.

Niegdyś Jagna dawała mu stamtąd znaki, gdy pilno jej było powołać go do siebie. Naówczas w oknie, u którego siadywała, wywieszała kobierczyk szkarłatny, który z dala na murze widać było.

Oko Kaźmierza, nawykłe do tego miejsca, które on zajmował, rozeznawało łatwo, gdy był rozesłany. I teraz zdało mu się, że kobierczyk u okna widać było. Lecz mogłaż się już tam Jagna znajdować? Służąca może niebaczna zawiesiła go, nie wiedząc, co robi. Może go oczy łudziły?

Serce uderzyło.

— Miałażby powrócić?

Smok ranny leżał u drzwi na posłaniu, rękę miał zgruchotaną ciężkim razem obucha. Książę

sam poszedł do niego. Na widok pana zerwał się stary sługa tak żywo, jakby o chustach, którymi miał poobwiązywane ramię i dłoń, zapomniał.

— Co wam, ojczy, trzeba od Smoka? — zapytał troskliwie.

— Tyś ranny!

— Jaka to tam rana — odparł Smok — at, rękę trochę zgnetli.

Patrzył mu w oczy pilno, chcąc z nich coś wyczytać.

— Kobierczyk wisi w oknie — szepnął książę — miałaby do murowanki powrócić?

Smok natychmiast wybiegł. Kaźmierz wrócił, siadł; patrzył oknem i usnął tak znużony.

Dzień już jasny był, gdy Smok powrócił, zajrzał do komory księcia, zobaczył śpiącego i sam się położył, a gdy Kaźmierz wstał, wiedział już, że Jagna była w domu z powrotem.

Hreczyn, który przybył do dworku, oznajmił o tym Stachowi, ale rozpytywany, gdzie się ukrywali przez czas ten, mrucał ni to, ni owo ramionami dźwigając.

Nazajutrz Wichfried też skorzystał z wolnej chwili, aby się przekonać, co z Dorotą się stało.

Słabość miał do niej. Najpewniejszym był, że gdy Mieszek Kraków zajmował, bracia ją pochwycić musieli. Z ich rąk żywą, nawet opieka Kaźmierza wydobyć jej nie mogła. Wchodząc na próg

domostwa zajmowanego przez Dorotę, w myśli się tej utwierdził. Znać tu było przejście żołdactwa i gospodarstwo nieprzyjaciół. W sieniach leżała słoma i siano, na których niedawno kupa ludzi spoczywać musiała, drzwi stały otworem, w izbach dawnego ich przybrania i sprzętów śladu nie było. Przechodząc je, ze zdziwieniem postrzegł Wichfried w trzeciej dwie służebne Doroty, obdarte i wybladłe, krzątające się około drzwi ostatniej komory, która stała zamknięta. Zobaczywszy Wichfrieda, wydały okrzyk radosny. Jedna z nich otworzyła drzwi zaraz, wskazując mu, by wszedł.

Komora stała we mroku, okna były pozasuwane i dojrzeć tu nie mógł nic jeszcze Wichfried,

gdy z kąta głos wymawiający imię jego oznajmił, że Dorota tu była. Jej to był głos, choć osłabły bardzo i zmieniony. Nierychło, przystąpiwszy bliżej, zobaczył ją na łożu leżącą, bladą, wychudłą, z oczyma tylko błyszczącymi jak dawniej. Włos rozpuszczony, poplątany w nieładzie spadał na ramiona jej, których kości spod skóry żółkłej wystawały.

Gdyby nie ten głos i oczy, nie poznałby był jej może, nie śmiał zapytać, co się z nią działo.

Wdowa, dysząc gorączkowo, nie mogła się zebrać na słowo.

— Jakżeście się potrafili ocalić od braci? — zapytał.

— Cudem! — odparła cicho Dorota. — Uciekłam zawczasu z domu! Widziałeś, co z niego

zrobili! Odarli mnie, zniszczyli. Czatowali tu, azali nie wrócę, alem była dobrze ukryta. O, tak, dobrze! O chlebie i wodzie, na wyżkach, na zgniłym sianie, przez szczeliny dachu patrząc na miasto, w wiecznej obawie, aby mnie i tam nie pochwycono. Patrz, co się stało z Dorotą: skóra i kości! Głód, niepokój, niewczasy, zimne noce, choroba. Jedna stara Czechna miała litość nade mną, żywiła mnie, leczyła, jak mogła. Bez niej umierać bym musiała.

Rozpłakała się i wnet z żywością niewieścią a dziecinną poczęła:

— A to nic, przeszło wszystko, siły mam jeszcze. To nic. Odżywię się, spocznę. Krasa moja powróci. Czechna ma na to sposoby. Nie opuszczajcie Doroty, mówcie księciu niech zdrajców braci ukarze. Niech gardła dadzą! Oni nań zbierali ziemian, oni knuli z Mieszkiem. Niech gardła dadzą!

Zaczęła, łzy znowu roniąc nad sobą, a usta się jej nie zamykały. Wichfried patrzył i słuchał z politowaniem.

— Nie ocaliliście nic z tego, coście mieli? — spytał.

— Ani jednej sukni, ani jednego łachmana — mówiła wdowa. — Leżę na barłogu. Zlitujcie się nade mną, ratujcie!

Zmieniła znowu tok rozmowy.

— O, byłem spoczęła, Dorota znowu piękną będzie! — wołała gorączkowo.

— Zobaczycie! Życie jeszcze w sobie czuję, wszystko powróci. Książę też powrócić mi musi albo żyć nie będę!

Plotła tak długo, aż Niemiec się w końcu, obiecując pomoc, oddalił. Wróciwszy na zamek,

przy pierwszej zrzeczności szepnął księciu o losie Doroty, litując się nad nią. Kaźmierz, prosić się nie dając, odesłał go do skarbnego, aby dom i ją zaopatrzone, ale słuchać nie chciał i imienia nawet nie wymówiwszy, odwrócił się. Wspomnienie nawet było mu przykre, wstręt i srom malował się na twarzy.

Wichfried sam też wysławszy, co dla niej zyskał, nie spieszył do Doroty. Kilka tygodni

upłynęło, nim wezwany przez sługę, którego wdowa umyślnie wysłała, Niemiec niechętnie dosyć powlókł się do jej dworu.

Tu nowe go czekało zdumienie: domostwo odzyskało, jeśli nie dawną swą świetność,

przynajmniej pozór zamożności pańskiej. Siady zniszczenia zupełnie zatarte zostały. Wichfried wchodził do wielkiej izby, rozpatrując się ciekawie po niej, gdy z drugiej wdowa wybiegła na jego

spotkanie.

Nie była to już owa piękność dni dawniejszych, jasna i ciągnąca oczy, ale niewiasta jakaś inna, może do życia już wrócona, wdzięczna, uśmiechnięta, wesoła. Trochę schudzona, zdawała się jakby odmłodzoną, oczy jej jaśniały znowu, płeć odzyskała świeżość i rumieńce. Suknia jedwabna okrywała ją, miała już pierścienie, łańcuchy i ochotę a odwagę do życia.

— A co?! — zawołała od progu. — Sądziście, że już po mnie? O, nie! Jeszcze ja niejednemu, gdy zechcę, zawrócę głowę.

Poruszyła się żwawo, aby swą rzeźwość okazać.

— Wszystko złe już przeszło! — wołała.

Niemiec, zdziwiony, nie mógł wymówić słowa, ona się śmiała, szczebiotała, wdzięczyła.

— Na nowo rozpocznę życie — mówiła. — Należy mi nagroda za to, com się wymęczyła

na tych wyżkach, w tej chacie przeklętej! Dym mi, się cisnąc przez dyle, oczy wygryzał; gdy nocą szczury biegały po mnie, krzyczeć musiałam ze strachu! Gzło, suknia popadały na mnie. A te dnie, a te noce, na przemiany to skwarne, to duszne, to zimne, a długie jak wieki; ani ich było przespać, ni przeplakać! I to milczenie bez końca, gdyby w grobie! Tylko czasem jęk chorej baby z dołu, płacz dziecka, a z miasta krzyki pijanych żołnierzy... Com ja tam przeżyła! Odpokutowałam za swoje i cudze grzechy. Teraz chcę zapomnieć o tym i żyć, żyć, na nowo!

Uderzyła w dłonie. Wichfriedowi wstyd było za nią, stał jakoś skłopotany i zdrewniały.

— Cóż, ty? — zapytała. — Przywiozłeś sobie z Rusi jaką córkę bojarską? kniahinię czy chłopkę?

— Nikogo! — rzekł Niemiec. — Dobrze, żeśmy stamtąd życie wynieśli.

Rozśmiała się i pochwyciwszy pod rękę Wichfrieda, do komory go zaprowadziła. Tu

wróciły jej stare nalegania o księcia, zaklinania Niemca, aby jej pomagał, zwierzenie się o napoju, który Czechna przygotowała umyślnie, a ten miał niechybnie serce Kaźmierza skłonić ku niej znowu.

Wichfried był znudzony i gniewny, tak że ledwie półsłowami odpowiadał. Nie zraziło jej to jednak i nie puściła go od siebie, aż go rozchmurzyła i dobyła zeń, co chciała. Niemiec często przybywał tak ostygly i obojętny, powracał oczarowany i zawojowany. Gniewał się sam na siebie.

Dorota tryumfowała.

Wojewodę Mikołaja żelaznym mężem zwano, nazwać go też można było kamiennym, bo

raczej się skruszyć dał niż ugiąć. W bracie jego biskupie Pełce też samą krew i umysł nieugięty łągodziła miłość chrześcijańska i przytomna pamięci jego w każdej dnia godzinie Chrystusowa nauka. Choć pobożny, Mikołaj więcej był rycerzem i żołnierzem niżeli chrześcijaninem. W nim jeszcze stary jakiś szczątek pogańskiego mieszkał ducha. Takim samym był względem pana,

podwładnych i dla siebie, ta siła wielka duszy dawała mu lekceważenie tych, co jej nie mieli, dumny był a bezwzględny. Przyjaciół też miał mało, ale szanowali go i ci, co nie lubili. Jeden biskup powagą swą czasem mógł go powstrzymać i ułagodzić. Kaźmierz nawet, gdy go prosił,

rzadko co wyjednał. Ziemianie się go lękali, lecz czasu wojny nie było nad niego wodza i żołnierza.

Gdy on prowadził, szli wszyscy, pewni zwycięstwa.

Mikołaj wojewoda a brat jego Pełka o te czasy byli już prawie wszechwładnymi. Kaźmierz

ceniał wodza i człowieka, miał w nim przyjaciela, w sprawach kraju dawał mu wiele czynić, nie pytając. Mikołaj swobody tej używał, wcale jej nie szcędząc.

Natychmiast po otrzymanym zwycięstwie wojewoda zapowiedział pomstę nieubłaganą, karę

surową na winnych. Nie byłby zwłóczył z tym i wziął odpowiedzialność na siebie, lecz pierwszego dnia Kaźmierz stanowczo mu oświadczył, iż wymiar sprawiedliwości sobie zostawia. Wojewoda ulec musiał, w duchu klnąc się, iż stanie wbrew księciu i winnym przebaczyć nie da.

Nazajutrz zbyt jeszcze wiele do czynienia miano, aby się losem jeńców zajmować. Jednego

tylko Kietlicza losem rozporządził ksiązę, oddając go w niewolę Romanowi. Wojewoda mrucał na to, wyrzekał, chcąc go natychmiast powiesić, myśleć nawet nie mógł o tym, aby z życiem uszedł

ten, którego on o wszystkie Mieszka knowania i spiski obwiniał. Inni więźniowie wszyscy, nie wyjmując Bolesława, siedzieli na zamku jeszcze, gdzie i ziemian krakowskich kilkudziesiąt z owych siedemdziesięciu liczono.

Bolko, najstarszy z synów z drugiego małżeństwa Mieszkowego, najulubieńszy mu,

młodzian dzielny, silny i mężny, szedł w sprawie ojca więcej jako wojak boju chciwy niż jako zdobywca i nieprzyjaciół stryja.

Tak samo by może wojował był pod wodzą Kaźmierza z Pomorzany lub Prusakami, bo mu

wojna smakowała. Nie było w nim jeszcze namiętności innej, oprócz bojowej i rycerskiej. Bił się też do ostatka wściekle, zbroję miał na sobie połamaną, ciało okryte sińcami, ran kilka, a uśmiechał

się jeszcze na wspomnienie tych, którym się śmiertelnymi ciosami odpłacił. Rozpamiętywał walkę wczorajszą jak łakomec ucztę jaką. Teraz mu już było jedno, co z nim stryj postanowi. Gotów był



znieść los najsroższy, o jedno stojąc, aby oka nie zmrużyć, nie wydać jęku, nie okazać się słabym.

Zostawiony sam sobie, rzucony na słomę, myślał dość obojętnie, jaką męczarnią go ukarzą.

Śmierci się nie bał, tylko wyłupienia oczów, bo kalectwo w młodym wieku, gorsze mu się nad nią zdawało. Rękę jedną dałby był chętnie za tych oczów dwoje. Więzienie też ciemne, smrodliwe, w którym by go skazano gnić, grozę w nim budziło.

Na wspomnienie ojca, braci, życia, swobody, wojny łza mu się w oku czasem kręciła, ale

płacz rycerskim nie był i poświstywał, aby ból ukryć, i uśmiechał się gorzko. Czekał tak zamknięty, a niepewność dolegała mu gorzej może niż to, co go spotkać miało. Wiedział, co się z Kietliczem stało. Niewola na Rusi, zaprzecanie, nędza. Kto wie i jego mógł ten los spotkać? Z niewoli wszak ci uciekali ludzie. To mu się jeszcze uśmiechało więcej niż ciemnica głucha.

Z tych myśli wrzawa go jakaś rozbudziła. Podniósł się ku oknu z kratą drewnianą, przez której szczelbę zamek widać było, wczoraj tyłą krwi oblany. Pierś mu się jeszcze na to wspomnienie wzdymała.

Był to piękny dzień jego młodego życia, taki bój pijany, krwawy, zawzięty, mord, pożoga,

walka wściekła, niestety, zakończona tym, że go tłum na ziemię obalił i na pół zgniecionego pochwycił. Ale bronił się do ostatka. Poznano go ze zbroi i twarzy i posadzono za kratą.

Patrzył; na zamku nie dogorzałym sterczały belki czarne, obalone dachy, porąbane ściany.

Ziemia była zorana i usłana trupami. Żaden z nich nie miał i łachmana odzieży na sobie do mogiły; ciała zabitych świeciły nagie, żółte, sine, krwawe, pogruchotane. Powiązani jeńcy, czerń prosta, siedzieli przy nich i na nich, gryząc chleb suchy, który im z koszów rozdawano. Inni pod strażą, pędzeni przez dozorców, z dołu na zamek znosili trupy, na kupy je zrzucając. Ruch był jakiś śpieszny wśród tych gruzów. Bolko widział, jak z nich odgrzebywano jeszcze, co warte było zachowania, jak z dała nie dopalone drzewo parkanów dźwigano na górę i pokrywano nim trupy, na które rzucano chrust suchy wiązkami.

Jeńców zaczęto spędzać precz potem i stracił ich z oczów, tylko trupy zostały. Patrzył

jeszcze na to miejsce pamiętne sobie, odgadując gdzie stał, kędy padł, gdy dym począł się wznosić miejscami i otaczać trupów pagórki. Pod ściany drewniane podkładano żagwie wszędzie.

Gdzeniegdzie błyszcząły ogniki, z innych kłębiły się gęste dymy i z wolna podnosiły do góry. Z

daleka posłyszał dochodzący trzask płonących bierwion smolnych, dranic z dachów upadłych i

parkanów. Płomię rozlewało się, biegło ku sobie, chwyciło się, i wkrótce cała przestrzeń, którą zamek zajmował, stała kotliną ognistą.

Gród i trupy razem ogień miał pożreć. Dokoła stojące gromady podrzucały chrustu i suszy, pilnując, by się ogień dalej nie szerzył. Powietrze było spokojne, dym rozpląwał się i unosił do góry słupy ogromnymi. Co gdzie stało jeszcze, waliło się z łoskotem; od dołu podgorzawszy, iskry podskakiwały do góry i gasły w powietrzu. Kiedy niekiedy podmuchał lekki wiatru odwiał dym, odrzucił zasłonę siną i ciała poległych widać było piekące się w ogniu szerniałe. Okopy rozrzucali jeńce, nie miało pozostać ni śladu walki braterskiej.

Gdy z jednego okna Bolko spoglądał wzdychając nad losem ojca i swoim, z dwu innych, szeroko roztworzonych, przyglądali się pożarowi siedzący na radzie: Kaźmierz, biskup Pełka, Mikołaj wojewoda, Goworek, Jaksza i kilkunastu starszyny. Nieco na uboczu siedział kniaź Roman, jakby do narady mieszać się nie chciał, uśmiechał się pożarowi.

Biskup pilno badał twarze księcia, brata swojego i otaczających, czytając w nich, co się w sercach działo. Mikołaj już od godziny począł swą sprawę wymownie, gorąco obstając przy tym, że kara surowa na zdrajców była niezbędną dla postrachu i przykładu.

— Miłościwy Książę — mówił — gdyby rodzony brat mój znalazł się pomiędzy jeńcami, Bóg świadkiem duszy mojej, nie żywiłbym go, nie prosił za nim, dałbym winną pod topór głowę.

Surowości w tym państwie potrzeba, bo się wszystko rozprzęga. Prawo boże nie sprzeciwia się karze zasłużonej. Oni nastawali na gardło wasze, na życie, na prawa, na władzę, na skarby, oni by wam nie przepuścili, im się nie godzi przebaczyć.

Ziemianie za nim stojący, już to dla przypodobania mu się, już aby dowieść, że ze zdrajcami nic ich nie łączyło, choć książę milczał, potakiwali surowemu Mikołajowi. Jak skoro on przestawał mówić, szmer i urywane słowa wtórowały karę surową, nieubłaganą. Kaźmierz słuchał, biskup oczy to na brata, to na niego obracał.

— Porwali się na nas, nic to jeszcze — ciągnął wojewoda — bunt to był, ale wojna! Gorzej, że knowali, sprzysięgali się, za- ręczali wierność, a obmyślali zdradę. Porwanie się z orężem krewkością ludzką można rozgrzeszyć, niepoczciwość o pomstę do niebios woła. Całowali nas pocałunkiem Judaszowym, zaklinali się krzywoprzysięstwem. Ślubowali wierność kopiąc doły.

Topor i pieniek — to ich nagroda!

Mruczano, że śmierci winni, gdy książę Kaźmierz, który słuchał cierpliwie, ręce do góry podnosząc, zawołał:

— Miły mój, miły mój, dość już krwawych tych słów! Winni są, a myżesmy bez grzechu?

Cóż, gdy Bóg nas za winy nasze tak srodze karać zechce, jak my ich? Przypomnij codzienną

modlitwę o win odpuszczeniu. Chrystusowa to nauka, a myśmy dzieci tego Pana.

Wyrzekł to z zapałem takim, iż wszyscy, wojewoda nawet uczuł się przejęty. Czoło mu

promieniało, zwrócił się ku biskupowi, jakby Chrystusowego uczucia i kapłana na świadectwo wzywał. W tym samym czasie spojrzął na brata wojewoda; oba te wzroki, między którymi biskup miał rozstrzygać, tkwiły w nim.

Chwilę Pełka, jakby niepewien, milczał, zdawało się, że duszną odmawiał modlitwę, twarz blada oblała się rumieńcem, oko otwarło — zwyciężyło w nim to, co zwyciężyć było powinno — słowo Chrystusa. Wstał natchniony i począł głosem uroczystym, zwracając się do brata:

— Bracie mój, dziecko moje! Niedobre są rady twoje, choć serce twe dobre jest! Nie godzi się, aby miejsce miłości w rodzinie zastąpiła surowość, szlachetniej jest dobroczyńcą być niż mścicielem. Zwycięski Pyrrus, pokonawszy Rzymian, odesłał do Rzymu bez okupu dwóchset żołnierzy, pojmanych, aby ci, co męstwo jego poznali, wspaniałomyślności się też nauczyli.

Aleksander Wielki, wojując z Porusem, gdy go ujrzał tak znękanym, iż pokarmu przyjmować ani ran goić nie dawał, czcząc męstwo duszy, nazad jeńca do domu odesłał. Tysiące takich przykładów przywodzą dzieje. Czytaj o Elizeuszu, Joramie, jaką dać radę prorok. Bóg dał ich w ręce nasze, aby cnotę naszą wypróbował.

Każmierz, usłyszawszy wymowne słowa, rzucił się z siedzenia ku biskupowi i z najwyższą radością obejmując go, po rękach całować zaczął.

— Bądź mi błogosławiony, ojcze! — zawołał w uniesieniu. — Z serca mi wyjąłeś pragnienie, zgadłeś myśl moją, tak! Przebaczeniem ich zwyciężym.

Wojewoda rzucił się, jakby mu cios zadano.

— Przeciwno kapłanowi i ojcu duchownemu — zawołał — nie godzi mi się zdania mojego bronić! Kapłan inaczej mówić nie może, lecz na Boga, inne prawo duchowne a rycerskie i świeckie a królewskie! Znajdujecie przykłady łaskawości, postawię wam inne — surowości.

— Bracie — przerwał biskup — strzeż się, abys rozróżniając prawa, w błąd nie popadł i duszy swej nie zgubił. Nie ma dwu praw na świecie, jedno jest tylko, bo co się z Ewangelią nie zgadza, bezprawiem jest i pogaństwem.

• Wojewoda skłonił głowę przed bratem, ale nie zamilkł.

— Samem to z ust twych słyszał, mój ojciec — rzekł — iż w Piśmie świętym stoi: „Złe drzewo wycięte będzie i na ogień rzucone.”

— Pismo mówi prawdę — odparł żywo biskup — a ty go nie rozumiesz. Nie stoi w Piśmie, kto drzewo ma ścinać i rzucić na ogień. Wyrok spełniającym nie człowiek jest, ale sam Bóg. On karze zło i Jemu zostawmy surowość, gdy nam ułomnym przystało przebaczenie.

Mikołaj na piersi zwiesił głowę.

— Zaprawdę — rzekł kwaśno — przeciwko panu naszemu dobrze jest bunt podnosić. Uda się, to się zyszcze, nie uda, to przebaczy. Czemuż źli ludzie próbować nie mają?

Westchnął ciężko.

— I Kietlicz ujdzie z życiem?

— Kietlicz mój — odezwał się książę Roman z kąta — o niego wy bądźcie spokojni, ja mu zawdzięczę, jak zasłużył.

— A Bolko? — spytał Mikołaj. — I ten wolnym ma być?

— Ten tym bardziej na uwolnienie zasługuje, że szedł nie po woli własnej, ale za rozkazem ojca — odezwał się książę — bratankiem mi jest, krew moja. Rychlej rozbiję Mieszka, gdy go puszcze, niż gdybym go dał ścinać lub trzymał w niewoli. Wszyscy jeńcy pójdą wolni — dodał —

przebaczam wszystkim

— I zdrajcom siedemdziesięciu, co spiskowali? — dodał wojewoda.

— Wszystkim, wszystkim! — począł Kaźmierz i usiłując rozbroić gniewnego wojewodę, poszedł go uściskać.

— Mikołaju, druhu mój — zawołał — nie sprzeciwiaj się głosowi bożemu, który słyszałeś z ust brata! Bóg dał nam szczęście, my dajmy miłosierdzie!

— Amen! — dokończył biskup.

Wojewoda potoczył wzrokiem dokoła, milczeli wszyscy. Kaźmierz na miejsce swe powracał, on powolnym krokiem izbę obrad opuścił. Książę natychmiast przez drzwi otwarte skinął na stojącego w dali Wichfrieda.

— Bratanka mi tu prowadź! — rzekł wesoło.

Niewielka przestrzeń dzieliła dworzec od domu, w którym Bolko był osadzony. Gdy

Niemiec wszedł do izby, w której leżał, młodzian nie znający go, ledwie głowę doń zwrócił.

— Wstawajcie — rzekł Wichfried — pójdziecie za mną.

Jeniec opierać się nie mógł, zawahał się dumnie spoglądając, dźwignął się leniwo i

niechętnie i jak stał, w podartym kaftanie, płaszcz poszarpanego nie biorąc, posłusznie ku drzwiom się skierował. Wichfried nie mówił nic, z twarzy też jego trudno co odgadnąć było.

Zdziwił się, wychodząc, Bolko, że go straż nie otoczyła, szedł wolno. Przejście przez kawał

podwórca, pełnego butnych rycerzy, dla zwyciężonego było bolesnym. Szedł nie słuchając i nie patrząc. Nie wiedząc, dokąd go wiodą; domyślał się innego więzienia albo sądu. Zbroił się męstwem. Tłumy dworzan napełniały izby, Niemiec wskazał mu drzwi.

Były one wpółotwarte, rzuciwszy w nie okiem, ujrzał więzień Kazmierza i biskupa, i

radnych: spodziewał się sądu. Na próg wchodząc, sposobił się stawić hardo, gdy księżę z

uśmiechem na ustach podszedł do niego, rękę wyciągając, głos mu drżał.

— Chciałem ci sam oznajmić, że jesteś wolny — rzekł. — Wracaj do ojca twego jako

świadek, że ja zemsty nie pragnę, że serce dla was mam braterskie, dla ciebie — ojcowskie.

Bolko stał niemy, ledwie mogąc zrozumieć i uwierzyć temu, co słyszał. Z wolna podniósł

oczy zdziwione. Męstwo i duma opuściły go, z niedowierzaniem spojrzął na stryja, który obie ręce do niego wyciągnął. Widząc, że Bolko się nie rusza, przystąpił sam, by go uścisnąć.

Młodzian nagle uczuł się rozrzewnionym, sam nie wiedział, jaka siła ugięła mu kolana, ale Kazmierz nie dał mu się schylić i pochwyciwszy, do piersi przycisnął. Wtem, ujrawszy go tak pobitym i oszarpanym, zawołał na Wichfrieda:

— Miły mój, od tej chwili to gość! Prowadź go do łaźni, rany niech mu zawiążą, okryjcie

go, jak bratankowi memu przystało, nakarmcie, niech spocznie, a potem niech do mnie powraca!

Stał jeszcze oniemiały Bolko, gdy Niemiec łagodnie ujął go pod rękę i wyprowadził.

Kazano przywołać innych jeńców, do których biskup miał przemówić surowiej, oświadczając im łaskę, a karcąc i wzywając do pokuty.

Takiego końca tej wojny, zaprawdę, nikt się nie spodziewał. Zajadłość, z jaką się broniono na

dolnym zamku, krew, którą zdobył jego kosztowało, kazały się obawiać surowego odwetu.

Gdy biskup ogłosił przebaczenie wszystkim i oswobodzenie, po chwili osłupienia wyrwały się im okrzyki na cześć Kaźmierza. Niektórzy przybiegli do nóg jego i biskupa. Dzień to był piękny dla księcia, którego serce otwierało się z rozkoszą miłosierdzia.

Nie wszyscy jednak wiadomość tę przyjęli równie radośnie, jak ci, których ona wyzwalała z więzów. Mikołaj i wielu z nim szemrali chodząc chmurni, poczytywali to za błąd Wielki. Nie zbywało na zazdrosnych, gdy wieczorem Bolko za stołem był posadzony przy stryju, a Kaźmierz, o wszystkim zapomniawszy, przyjmował go jak bratanka, obdarzył go i przewidując, że ojciec o los ukochanego syna niespokojnym być musi, następnego dnia opatrzonego we wszystko wyprawił do Poznania.

Ogłoszone powszechne przebaczenie rozeszło się zaraz po mieście. Po ulicach ze

zdumieniem zaczęto opowiadać, co łaskawy książę uczynił. Wieczorem już ci, co byli znikli ze strachu, zjawiać się poczęli. Pokazał się w domu swym Warsz starosta. Ślubował tylko, że więcej urzędowania żadnego się nie podejmie i żyć chce Boga chwając spokojnie.

Juchim także dowiedział się o tej łasce pańskiej, a na nim ona wrażenie uczyniła

niespodziewane. Korzystał i on z miłosierdzia, ale znajdował je dziwnym. Wiara jego, która głosiła zemstę, ząb za ząb, oko za oko, w powolności tej wskazywała mu słabość i ślepotę. Miał pewien rodzaj wzgardy dla ludzi, którzy siłę mając w ręku, mogąc się pomścić, użyć jej nie umieli.

Uśmiechał się sam do siebie potrząsając ramionami. Doszedł w myśli do tego przekonania, że Mieszek nad ludźmi tak bezrozumnymi kiedykolwiek przewagę mieć będzie. Dla niego było to

wskazówką, aby na wszelki wypadek zapewnił tam sobie opiekunów. Przyszedł mu zaraz na myśl Mierzwa, uwięziony na zamku. Zdało mu się niezłą rachubą, pomóc zapomnianemu do uwolnienia i na przyszłość mieć w nim znowu sprzymierzeńca. Przezorny człek myślał już o jutrze. Łagodny pan według niego długo trwać nie mógł.

— Nie, nie — powtarzał w duchu — oni tu panować nie będą.

Nazajutrz Juchim na zamek się udał, nie obawiając się już wcale, i wyszukał Wichfrieda,

któremu czasem pieniędzy pożyczał.

— Miłościwy panie — rzekł — dobrotliwy książę nasz wszystkim przebaczył z wielkiego

serca swego. Tu siedzi jeszcze biedaczysko, którego posadzono, a on nie zawinił nic, tyle tylko, że do Krakowa tęsknił i przybył tu nie w porę. Niech go wasza miłość wypuścić każe.

Niemiec natychmiast poszedł do księcia i uzyskał bez trudności rozkaz uwolnienia. Dodano

Juchimowi komornika z poleceniem, aby Mierzwę puszczone. Zaledwie się o niego do- pytać

potrafili. Mierzwa zamknięty do ciemnicy, zapomniany, już był prawie nadzieję życia i swobody utracił, choroba go złamała. Gdy Juchim do izby wszedł, znalazł go snem niezdrowym ujętego na garści słomy.

Cień to był dawnego człowieka, ale iskierka nadziei dokazała cudu. Dźwignął się, zbierając łachmany swe, całując Juchima po rękach, bo jemu przypisywał swe uwolnienie. Dopiero na

powietrze wyszedłszy, osłabł znowu i Żyd go musiał pod rękę do dworku swego prowadzić. Po drodze ludzie tego Łazarza, z głową na piersi zwisła, wyżółkłego, szerniałego, do, trupa podobnego, ze wstrętem sobie pokazywali palcami.

Samarytanina czyn spełnił na nim Juchim, choć nie z miłością jego, ale z rachubą na

przyszłość przezorną. Mierzwa, zaledwie odżywiony i wypoczęty, wnet do Poznania schronić się miał, niosąc z sobą wdzięczność dla Juchima i poprzysięgając mu wierną usługę.

Mierzwa, gdy się dowiedział o wszystkim, co się tu stało, choć milczał ze strachu, nie

rozpaczał o przyszłości dla Mieszka. Jedna rzecz go trapiła — to los Kietlicza, bez którego księżę się obejść nie mógł, a zastąpić go trudno było. Oba z Juchimem ufali w to, że zręczny człek i z ruskiej niewoli wyrwać się albo wykupić potrafi.

W kilka dni później dopiero Stach także Mierzwę sobie przypomniał i pobiegł na zamek

dowiedzieć się o niego. Tu i o uwolnieniu go, i o pośrednictwie Żyda mu powiedziano. Strwożyło to Stacha, który zafrasowany z żalem do biskupa się udał. Pełka przyjął swego wiernego sługę łaskawie i z dobrą myślą. Gdy wybladły i znękany ukazał się w progu, wyciągnął rękę i

błogosławił.

— A czegoż to tak zasępiony przychodzisz — odezwał się — kiedy się cieszą wszyscy ze zwycięstwa, ze spokoju i skończonych zatargów braterskich? Co ci to jest?

— Cieszyłbym się i ja — odparł Stach — tylko dla złych łaska zbyt, to ich uzuchwali.

Bóg daj, byśmy dobroci pana nie opłakiwali.

Począł zatem opowiadać, jak już ci, co niedawno drżeli i truchleli, po cichu żarty stroili z miłosierdzia i lekceważyli tego, co je wyświadczył. Narzekał Stach na przebaczenie staroście, Juchimowi i Mierzwie.

Biskup się uśmiechał z początku, starając zbyt troski te Stacha okazać mu

przesadzonymi. W końcu jednak, gdy się obszerniej przybyły wytłumaczył, zgodził się na to, iż czujność była potrzebną.

— Zatem patrz, czuwaj, nie przestawaj stać na straży — dodał biskup.

Chciał dlań jakąś nagrodę uzyskać u księcia, choćby Zaborowi z Przegaja wyjednać ją obiecując, ale Stach odmówił.

— Ojciec mój — odezwał się — jam nagrodę wziął naprzód za cały żywot mój. Wszystko

bym stracił, gdybym inną jeszcze otrzymał. Pokutą być musi życie do zgonu. Gdy mnie Bóg do siebie powoła, naówczas objawicie Panu, jakem mu służył i wdzięczny był.

Postanowiono więc po krótkiej naradzie, aby Stach, nie oddalając się, jak dawniej pilnie miał

na ludzi podejrzanych oko. Chciał biskup przy bracie swym Mikołaju umieścić go, lecz

swobodnym być pragnąc, i tego Stach odmówił.

Wrócił do dworku niezbyt rad z tego, co się działo. Pomimo największej chęci zajęcia się

czymś, śledzenia, Stach nie mógł znaleźć teraz roboty. Ucichło dokoła i Mieszek nawet jawnie nic nie przedsiębrał. Siedział więc w samotnym schronieniu, za całą mając pociechę, że częściej niż dawniej do kościoła chadzał, a dłużej się mógł modlić. Wiek czynił go pobożniejszym coraz i surowszym dla siebie. Nie zostawało mu już w życiu nic, tylko się dowlec do tego proga, od którego zdało mu się, że nie jest już dalekim. Niekiedy rozmyślał o Jagnie, która rzadko znak życia dawała. Był czas, iż mu się marzyło, że Kazmierz opuścić ją może, a on opiekować się nią będzie.

Nadzieja ta teraz coraz słabszą była.

We dworku nudy były nieznośne, na łowy, choć się kiedy wybrał, i one mu już nie

smakowały. Z dawnymi towarzyszami, gdy się spotykał, a ci go gwałtem wciągnęli do gospody w gościnę, wśród wesołych ludzi, siedział jak trup niemy, psując im ich wesele. Do niczego nie miał

serca, tyle pociechy, co w kościele lub na rozmowie z księdzem o rzeczach, które nie są świata tego.

Do Konar, za którymi tęsknił bywało, teraz mu się trudno wybrać było. Zamyślał czasem

jechać, zbierał się, od dnia do dnia odkładał, zawsze coś przeszkodziło. Wolał się włóczyć około zamku, po kościołach i życie prowadzić zadumane a próżniacze. Dawnych znajomości unikał jak mógł, jeden tylko Jaśko Bogoria często doń się wciskał. Ten, jak niegdyś był lekkim a wesołym, tak pozostał nim, choć trochę postarzał i ociężał. Dokazywał jeszcze na łowach lub w mieście i po dworach z takimi, jak sam był. Rodzina go dawno żenić chciała, swatano niejedną, zawsze albo ona jemu, lub on rodzicom się nie podobał. Już wreszcie sam chciałby się być zaswatać widząc, że na starość dzban i koń mu nie starczą.

Jednego dnia Stach leżał patrząc na pułap, jak mu się to często zdarzało, gdy spoczywał, aż usłyszał znany głos Jaśka. Wpadł doń Bogoria podśpiewując podchmielony.



— Ej ej — krzyknął — co bo się z tobą dzieje, pustelniku ty mój zasępiony, a toż cię tu nędza zagryzie! Wstawaj a chodź!

— Dokąd?

— Ano, choćby się przewietrzyć.

Bogoria trochę się zawahał z wyznaniem i uśmiechnął.

— Prawdę powiem — dodał — potrzeba mi na jedną wyprawę towarzysza wiernego. Nie mam, ino ciebie. Idę w takie miejsce, gdzie mi samemu nierzadno być. Chodź ty ze mną.

— Do kogo?

— E, do baby wróżbiarki.

— Po co?

— Chciałbym wiedzieć, czy się ja raz przecie ożenię, czy nie. Baba, słyszę, wróży, jak nie można lepiej, ale sam do niej iść — ot, boję się.

Stach się powoli zwłókł.

— Co ci po wróżbach! — rzekł.

Wyszli jednak razem. Jaśko przez ogrody zaprowadził do chaty, w której Czechna

mieszkała. Weszli do izby, w której ziola schły i garnki stały pełne zapachów odurzających. Ledwie się tu znaleźli, gdy z drugich drzwi wyjrzała stara, bystro ich mierząc oczyma. Zwróciła się zaraz do Bogoryi.

— Czy to ja wam potrzebuję mówić, po co przychodzę? — odezwał się Jaśko.

— Po co gębę studzić — odparła baba za stół siadając. — Taki, jak ty, nie przyjdzie pytać o co innego, tylko o podwikę.

Rozśmiała się, żółtych parę ukazując zębów. Popatrzała potem na Stacha i palec skierowała ku niemu.

— Ot ten, po co się tu przywłókł, nie wiem, bo już mu nic nie pachnie.

— Ja też i wachać tu nie myślę — odparł Stach szorstko.

— Ano, bał się sam do baby iść — przerwała — żeby go nie uczarowała dla siebie, a ludzie się żeń potem nie śmieli, iż się w starej miotle rozmiłował. Ej wy, ej wy wszyscy! — dodała grożąc

Bogoryi.

— No, wróćcie — przerwał, obu rękami na stole się opierając Jaśko — będącili co z tego, co ja sobie myślę?

Czechna głową pokręciła.

— Trzeba zobaczyć — bąknęła.

Bogoria położył garstkę srebrników na stole, które stara pilno naprzód do fartucha zgarnęła.

Wstała, poszła do kąta, dobyła z niego garnek szeroki a płaski, nalała wody coś mruczając, z drugiego naczynia coś dodała i postawiła na stole. Bogoria i Stach patrzyli milcząco. Z komina, w którym pod popiołem stały węgle czerwone, dobyła ich kilka na skorupę, nasypała na nie proszku, dym duszący rozszedł się po izbie. Stach do okna ustąpił.

Bogoria musiał iść i dać się okadzać. Postawiła garnek z wodą przed nim i kazała mu weń

patrzeć pilno, nie odwracając oczu. Jaśko, rycerz nieustraszony, drżał zapatrując się na wodę, w głowie mu się zawracało. Twarz jego bladła, nie mówił, co widział, stał tak osłupiały długo, pot mu z czoła kroplami ściekał. Nagle zakrzyknął dziko, klnąc i odskoczył. Padł na stołek stojący blisko, gdy Stach mu w pomoc nadbiegł. Czech- na szybko garnek zabrała i wodą z niego wylawszy, siadła spokojnie. Spoglądała na Bogorię, który oczy w ziemię utopił i jeszcze do siebie przyjść nie mógł.

Stach, ostro mierząc wzrokiem starą, naglił, aby odchodzili.

— Idźmy bo stąd — mówił.

Jaśko wstać jeszcze nie mógł. Gospodyni zwróciła się do Stacha, jakby zemścić chciała za lekceważenie:

— No, a tobie by nie powróżyć?

— Nie ciekawym.

— Niewierny!

— Wiedzieć nie chcę, co Bóg gotuje — rzekł Stach.

— A juści by ci się zdało — poczęła baba. — Daj no mi rękę, powróżę darmo.

Stach się wahał, gdy go prawie gwałtem chwyciła za prawe, poczęła się w nią wpatrywać pilno, długo i oczy z szyderskim uśmiechem podniosła na niego.

— Ho ho — poczęła — a toć ręka! A toć dłoń, co raz przyłgnęła do twarzy...

Nim stara czas miała dokończyć, Stach spojrział na nią tak groźnie, że zmięszana puściła rękę i mrużąc się cofnęła.

— Nie do jednej ona twarzy na wojnie przylgnęła — podchwycił żywo Stach. — Co było, o tym nie ma co mówić, macie wróżyć, to wróćcie!

Czechna zatopiła w nim oczy ciekawe i poczęła cicho:

— Nie ma tam już nic, at, niedola, niewola!

— A życia tego dużo jeszcze? Stara pokiwała głową.

— Jak dla was, aż nadto — rzekła. — Albo to tam wasze życie? Wyście pono w ciężkiej służbie. Ono wam już na nic, łupina od orzecha, który robak zjadł.

— Dosyć — przerwał Stach zdumiony.

Ustępował już, gdy na myśl mu przyszedł książę; zwrócił się do starej, dobywszy pieniążków.

— Jeśli wszystko wiecie — rzekł — powiedzcie, co czeka tego, którego ja miłuję.

Czechna, spuściwszy oczy, zadumała się.

— Jego — rzekła — czeka to, co wszystkich ludzi. Potrząsała głową i zaśpiewała półgłosem:

— „Kto co lubi, to go zgubi!”

Zamilkła i odwróciła się od niego. Tymczasem wyszedł był ze swego osłupienia Bogoria, nie spojrzawszy na starą, wyciągnął Stacha ze dworku.

Śmiech się dał słyszeć za nimi.

## VIII

Kilka lat upłynęło od opisanych wypadków. - Kraków cały wybiegł na spotkanie

zwycięskiego pana, który z wyprawy przeciw pogańskiej Jaćwie powracał. Wojna to była

przypominająca czasy bohaterskie Krzywousta, walka z dziczą, w kraju niedostępnym, ze zdradą na każdym kroku. Dziś poddawał się Drohiczyn, jutro ci, co wierność poprzysięgli, zasadzali się na wracających spokojnie, aby ich wybić w lasach i moczarach. Kaźmierzowe wojsko wśród błot, topielisk i gąszczy zgmiotło dzicz i rozpędziło. Witano Kaźmierza zwycięzcę.

Nic nie zdawało mu się braknąć do szczęścia. Nikt nie śmiał porywać się na niego, rodzina siedziała cicho na udziałach, Mieszek nawet dochowywał danego słowa, pokój panował w kraju i na rubieżach. Kupcy ciągnęli z ziem dalekich, łany złościły się zbożem, kmieć oddychał, chwała boża rosła, wznosiły się kościoły, uczeni mężowie przychodzili z zagranicy i rodzili się w domu. A na obliczu tego szczęśliwego pana, poza łagodnym uśmiechem, widać było wiekuisty ów smutek dusz wybranych, których ten świat nakarmić ani napoić nie może, a żadne szczęście nasycić.

Tęsknota zawsze biła z twarzy pięknej, spokojnej, malującej ukojony ból wewnętrzny.

Gdy przeciwko zwycięskiemu panu wyszło duchowieństwo z biskupem na czele, witając go pieśnią dziekczynną, Pełka spojrział nań, spodziewając ujrzeć rozpromienionym, a znalazł na obliczu to, co wyniósł z Krakowa. Rycerstwo śpiewało pieśni, powiewało chorągiewkami,

niewiasty, stojąc szeregami klaskały w dłonie, dzwony biły, lud się weselił, Kazmierz jechał w płaszczu białym z krzyżem, który wziął na pogan, z głową spuszczoną, uśmiechając się ledwie tym, co go witali, zadumany, chmurny, jakby nie ze zwycięstwem powracał.

Na zamku czekała z dziećmi księżna, złotowłosego Leszka trzymając za rękę, cały dwór

świetnie przybrany, komornicy, czeladź, lud mnogi. Oko pańskie błdziło po okolicy i ukradkiem biegło za Wisłę do okienka, chcąc dojrzeć, czy tam jest znak życia jaki. Nie widać było nic. Okno stało zamknięte, kraśny kobierzec nie zwieszał się na murze. I tam przecież dochodziły dzwonów dźwięki i stamtąd widać być musiało na zamku powiewające proporce.

W kościele Świętego Wacława hymn sam Pełka odśpiewał, księżę pomodlił się u relikwii i

wstał z dziećmi i żoną, pieszo idąc do zamku. Ale szedł milczący i uśmiechnięty tak smutnie, że ludzie go sobie pokazując, szeptali, iż go tak poleska dzicz zmęczyła wyprawą.

Rycerstwo rozkładało się obozem, szło w miasto rozpowiadać o Jaćwie dzikiej, która w

powrocie o mało nie wzięła im życia. Niejeden płacz rozległ się wśród okrzyków, bo niejedna mogiła została w lasach Polesia.

Stach, który przesiedział ten czas w Krakowie, na posługach biskupa, wywlókł się także na spotkanie znajomych, na rozpytanie o krwawą wyprawę. Tuż nadarzył mu się Jaśko Bogoria z ręką zawiązaną, ale dobrej myśli i wesół, że uniósł życie.

— Patrzajże, Zaborze — wołał z dala do niego — nie będę mógł ręki podać do ołtarza

narzeczonej, poganin mi ją siekierą ciął tak, że się dotąd zrosnąć nie może! Prawda, że on już więcej na tym świecie siekiery nie dźwignie!

Stach witał go, trochę poweselawszy.

— Bóg łaskaw, że i tak nam wracacie.

— Cud prawdziwy — mówił Jaśko. — Pogańska dzicz już się nam w Drohiczynie poddała i

do nóg padała. Poili i kar- mili, przysięgali swym obyczajem posłuszeństwo i wiarę, dali

zakładników, a w powrocie gotowali nam zasadzkę. Wysłali ludzi w gęstwiny i błota, pozarębywali drogi, mieli nas zgnieść do jednego. Spotkać nas miał los Henryka. Aleśmy się bilil Trzeba było widzieć naszego księcia, jak dzielnie mieczem wywijał. Ludzie nań prawią, że tylko przy organie śpiewać i z księżmi rozprawiać umie, a to człek do wszystkiego, prawa Krzywousta krew.

Stach uśmiechnął się smutnie. W tej chwili wśród tłumu który wysypał się na spotkanie

księcia, zobaczył Dorotę strojną, wybieloną, która ażeby przejeżdżający pan widzieć ją musiał, na wozie umyślnie sprowadzonym i wysoko wysłanym stała, górując nad wszystkimi, uśmiechając się, chustą powiewając i obwołując Kaźmierza. Książę też, gdy nad drogą, którą przejeżdżał, miejsce obrała, widzieć ją musiał, litość go wzięła i uśmiechnął się jej, głową skinąwszy.

Z radości zarumieniła się cała, zapomniała, że na nią tyle oczu patrzyło podwajając wołanie i wiewanie chustą, aż ludzie się jej dziwili i naśmiewali. Prawda, że wśród rycerstwa wielu innych miała dobrze znajomych i przyjaciół, którzy też ku niej głowami ukłony słali i od ust posyłali pozdrowienia. Była bo znowu piękna, kwitła drugą młodością urodziwa niewiasta, a śladu lat i tego, co przeżyła, nie było na niej dopatrzeć.

Gdy wojska przeciągnęły, a wóz z nią potoczył się do dworu, na drodze jeszcze miała

niespodziankę Dorota. Bracia jej, Dobrogost i Sędziwój, którzy dla okazania księciu posłuszeństwa, na wyprawę przeciw Jaćwie z nim ciągnęli, w ulicy się z siostrą spotkali. Wymijać wóz jej musieli.

Oba przejechali koło niego, ledwie się obejrząwszy, plując z pogardą na nią. Sto oczów na to patrzyło, Dorota splonęła i nie rzekła nic. Gdyby nie ten dzień, nie miasto, kto wie, na co by się bracia z Tęczyna wazyli. Lecz ludzi było za dużo, którzy by za nią ująć się mogli.

Bogoria pociągnął za wdowę z innymi. Stach, którego chciał wieść z sobą, oparł się, widok bezwstydnego zburzył go i na- pełnił obawą o Kaźmierza, tym bardziej że z Jagną źle się działo.

Gdy książę do Drohiczyna szedł, biedna Ściborzanka niezdrowa już była, niepokój dręczył

ją jakiś straszny. Kilka razy Kaźmierza powoływała do siebie na pożegnanie, we łzach się

rozpływając, choć przyczyny ich nie wiedziała sama. Próżno książę starał się ją uspokoić, wesołością swą rozpraszając jej smutek, który mu się dziwactwem zdawał. Jagna stała, płakała, trzymała się za serce, patrzyła w ziemię, jakieś przecucie ją dręczyło. Po wyjeździe księcia, gdy z murowianki już ani proporczyka widać nie było, wszystko ucichło i zamilkło. Jagna okno

zamknęła, włosy jak do snu związała, zdjęła suknie i pierścienie, poczuła się senną, słabą, biedną i legła na łożo.

Spała tak jęcząc przez sen dzień cały, nie chcąc jeść, do sług nie mówiąc. Gdy na obudzoną spojrzali

jej dziewczki, zdała się im jakby z długiej choroby powstającą, tak była wyniszczona i wybladła. Starsza ochmistrzyni zaczęła ją poić ziele jakims, którego ona pić nie chciała, leżała półsenna, z rękami pod głową, z oczyma ku górze zwróconymi, nie mówiąc nic. Czasem łkanie z piersi się dobyło i łzy widzieli tryskające z oczów, płynące po twarzy, ale się na nic nie skarżyła.

Dnie tak upływały, Jagna wstawać nie chciała czy nie mogła. Co się jej tam przez te czasy prześniło, co przez myśli przesunęło, ona tylko wiedziała jedna. Gdy dziewczęta przychodziły z pytaniami, zdawała się ich nie słyszeć.

Kazmierz był już dawno na wyprawie, gdy Jagna coraz słabnąć gorzej, a czując w sobie

ledwie resztkę życia, Stacha kazała wołać do siebie. Przybiegł natychmiast, lecz gdy ją po długim niewidzeniu zobaczył teraz, przeraził się, tak strasznie nagle znalazł zmienioną. Wychudła jak kościotrup, policzki i oczy zapadły, czoło się zmarszczyło.

— Patrz, co się to ze mną stało! — poczęła z uśmiechem bolesnym, wyciągając ku niemu ręce chude i drżące. — Nie ma już Jagny i nie będzie!

Kwitła, śmiała się i przekwitła, i wyśmiała ostatek. Czas było. Dłużej nie miałyby żyć po co.

— Cóż się wam stało? — spytał Stach.

— Nic, ot tak, siły do szczęścia brakło, bo i na to sił potrzeba. Alboż zdrowe życie takie?

Czekać dzień, a mieć godzinę, płakać rok, a śmiać się chwilę.

I usiadła na łożu, okrywając się włosami rozpuszczonymi, piękne oczy swe świecące obracając na Stacha, który stał z rękami załamany przed nią.

— Wołać ciebie kazałam — mówiła dysząc zmęczona — boś ty mi przecie bratem,

jedynym w świecie. Mojego pana, sokoła mego nie chcę już męczyć dłużej, już miał ze mną dość tej niewoli. Księża go męczyli, że żonę porzucił dla mnie, Pełka mu groził ciągle. Synaczka stracił i męczył się tym jak karą bożą — za mnie. Wszystko dla mnie cierpiał, przeze mnie.

Więc mnie już czas było! To i pójdę! Ciebie chciałam pożegnać, no, i coś zrobić trzeba, aby mienia ojcowskiego obcy ludzie nie zabrali. Sprowadźcie mi takiego, co pisać umie, zapisze moją wolę i zapieczętuje. Was opiewam za męża. Ściborzyce wam zostawię, wieś jedną dam za grzechy mnichom do klasztoru, do Pokrzywnicy, aby się modlili za mnie. Zamilkła.

— Przecież z wami nie tak źle — odezwał się Stach — ludzie ludziom radzą. Są lekarki i lekarze, wyście młodzi.

— Nie, nie, stara jestem — przerwała, patrząc na ręce wyschłe — po co życie wlec? Nosić

jak łachmany dziurawe? Na mnie już całego nie ma nic, ani nitki. Bóg miłosierny, tam, gdzieś, pewno lepiej będzie.

Uśmiechnęła się.

— Co taka, jak ja, niewiasta warta? — mówiła spokojnie. — Niewiasta, której Bóg nie dał

dziecka, a sromać się kazał, oczów pokazać nie może? Trudno żyć. Gdzie? Bez niego? Nie, nie! A z nim, to jemu życie truć. Nie godzi się, nie godzi. Lekarz i lekarka nie pomogą, gdy człowiek chce umierać. Tylko mi takiego dobrego sprowadź księdza, aby mi się sromać nie kazał i diabłu mnie nie dawał. Dam im wioskę do klasztoru. Reszta wasza.

— A mnie to na co? — zapytał Stach.

— O, na *co*? Wezmiesz sobie babę i będziecie żyć spokojnie jak drudzy. Na zdrowie wam!

Stach głową trząśł.

— Albo to wy mnie nie znacie? — rzekł. — Ja też żyję z powinności, nie z ochoty. Mnie na co wioski? Baby żadnej nie wezmę i ziemi nie potrzebuję. Wioski rozdajcie na kościoły.

Jagna się sprzeciwiała.

— Ano, nie! Wy je sobie dacie, komu chcecie. Warn je przekażę, bo się za to choć mężem moim nazwiecie, choć nie byliście.

— Boś nie chciała — dodał Stach.

— Bom nie mogła! — zawołała Jagna. — Dwóch mężów się mieć nie godzi, tamtego się rzec dla was nie mogłam. Gdy się go wyrzeknę, to chyba dla niego samego, aby spokojny był, do murowianki nie jeździł, a biskup się na niego nie gniewał.

Stach starał się te myśli rozpędzić, obiecując bliski powrót Kazmierza, z którym zdrowie wrócić miało.

— Wróci? Nie? Ja tam nie wiem — rzekła. — Już choćby on wrócił, mnie trzeba umierać.

Tak się stało, tak być musiało!

Milczała chwilę i spuściwszy oczy, jakby zawstydzona, palcem kręcąc w włosach, szepnęła:

— Jam się czegoś napiła. Stara Czechna mi dała na powolną śmierć, bom tak chciała.

Stach krzyknął posłyszawszy. Uśmiechnęła się.

— Nie bolało — rzekła — anim czuła. Tylko mnie wypaliło, wysuszyło, wyjadło.

Przyprowadź księdza, a nie z diabłami, takiego, co anioły z sobą wodzi.

Nie mógł się jej Stach dłużej opierać, musiał być posłusznym. Z płaczem niemal odjechał do miasta, a że przy biskupie wielu miał znajomych księży, jednego z nich powiózł do niej.

Jagna się gości spodziewając, sługom kazała przyodziać się pięknie, choć suknie dawne

wisiały na niej jak cudze, bo z niej kości tylko i skóra zostały. Śliczne włosy bujne na wpół

okrywały wychudłą twarzyczkę, w której oczy jasne świeciły blaskiem przedśmiertelnym, ale usta miała spalone i sine, a ręce jak z białej kości. Stać nie mogła, chodzić nie mogła, więc ją posadzili na stołku podparłszy poduszkami, i tak sparta o stół czekała, Z okna znowu patrzyła na zamek pusty i płakała.

Ksiądz Wit, człek dobry, powolny, nawykły w tym kraju przebaczać wiele (tym, co nie

wiedzieli, co czynili) przybył pocieszać, nie zasmucać. Jagna mu w krótkich powiedziała słowach, że Stach mężem jej miał być, więc go za męża liczy, a choćby chciał ich pobłogosławić, byle jej go mężem zapisał, bo mu mienie po sobie chce zostawić. Dodała, że wieś do Pokrzywnicy zapisze do klasztoru, kilka kop groszy do kościoła Świętego Floriana, przy którym ksiądz Wit zostawał.

Wszystko to spisać prosiła. Ostatnią tę wolę opowiedziała spokojnie, przytomnie, stanowczo, prosząc, aby ksiądz Wit poczesnych do listu znalazł świadków i spisał go tak, by pod klątwą, nikt nie śmiał naruszyć. Ksiądz Wit sądząc, że pocieszać był winien, odezwał się, że przecie żyć może.

— A choćbym i pożyła, mój ojczy, możecie spisać, toć nie grzech, woli nie zmienię.

Wręczyła mu jeszcze ofiarę dla niego i kościoła i rzecz była skończona. Wielkich naówczas formalności nie wymagano, a gdy duchowny spisał i świadków postawił, pieczęć przyłożono:

starczyło tego. Księdza Wita odesłano do miasta, Stach pozostał. Nie miała już siły do rozmowy, słabym głosem prosiła go tylko, by się dowiadywał do niej, póki żyła. Stało się wszystko po jej woli.

Po tym dniu nie zasłabła gorzej, owszem uspokoiła się i położyła, leżała pół senna jak

wprzód, polewki trochę żyjąc

Tegoż dnia pod wieczór przyszła do murowanki. Patrzyła na wychudłą, wyschłą ofiarę swą z trwogą zabobonną.

— Widzicie — rzekła Jagna — ot, ciągną. Już by to się było skończyło, gdy przybył ten, co życie moje w swojej dłoni trzyma, umierać nie puszcza. Ja jeszcze żyć będę!

Czechna nie odpowiadała, zdumienie zamykało jej usta.



— Widzisz, stara — mówiła Jagna — ziele zabija, a kochanie żywi, co tamto uśmierci, to wskrzesi, i życie się trzyma.

Spytała stara, czego by chciała od niej.

— Nic, tylko cię spytać, czy tak długo ciągnąć się może.

— Co ja wiem? — odparła schrypłym głosem lekarka. — Dawno się powinno było skończyć; jak się nie skończyło, wina nie moja i rozum mój nie starczy. Ktoś tu lepiej ode mnie czarował.

— Kto? On! — rozśmiała się Jagna. — Nie mogę bo umrzeć, trzyma mnie, a dopóki on będzie miłował, ja schnąć będę, kochać muszę i żyć muszę!

Uśmiechnęła się do starej, pierścień jej rzucając na podolek.

— Weź to — rzekła — już mi cię nie trzeba. Stanie się, co Bóg da!

Czechna jak pijana do domu wróciła, nie mieściło się jej w głowie, aby po jej ziele tak

długo żyć można; silniejszych ono w kilka, kilkanaście dni ze świata brało. Niedługo jednak troskała się tym stara, wiele zawsze mając na głowie. Czasu jej marnie trawić nie dawały

szczególniej panie mieszczyki krakowskie, które od niej tysiąca różnych rzeczy potrzebowały.

Po przybyciu Kaźmierza do Krakowa upłynęła jesień cała i zima. Jagna ciągle słaba, umrzeć nie mogła. Książę dręczył się tym widowiskiem, a oderwać od niego nie mógł. Stach także

przybywał do niej często i nawykł był już tak patrzeć na swą chorą, iż uwierzył, że życie jej powrócić może.

Miało się już ku wiosnie znowu, gdy jednego rana, do biskupa idąc, u którego co dzień się stawić musiał, Stach w ulicy spotkał człowieka opończą osłoniętego, okrytego kapturem, choć dzień bardzo chłodny nie był, przekradającego się pospiesznie pod płotami i oglądającego

bojaźliwie. Zdało mu się, że na widok jego nieznanomy przechodzień, przyspieszywszy kroku, rzucił się na boczną ścieżynę i znikł pomiędzy domami, jakby od niego uciekał. Chociaż nie widział

jego twarzy, postawa i chód mocno go uderzyły. W tym nieznanym człeku coś mu przypominało Kietlicza.

Też same miał ruchy, kark gruby, głowę dużą, wzrost do niego podobny. Na samą myśl tę,

że niegodziwy człek mógł się wyrwać z niewoli na Rusi i zbiec tu dla jakiegoś nowego knowania,

krew w nim zawrzała. Poskoczył za nim co siły. Biegł, nie mogąc go dognać, to z oczów tracąc, to biorąc na oko, a choć w ostatku znikł mu znowu, prawie był pewien, że się schronił do dworku Juchima. To mu więcej jeszcze do myślenia dało.

Juchim był zawsze mennicznym, działało mu się dobrze, udawał wielką miłość dla pana, pod niebiosą go wynosił, a mimo to pewnym było, iż z Poznaniem miał stosunki. Sam on nie krył się z tym, że bił pieniądze i dla Mieszka.

Podjęzienie to powziąwszy, Stach natychmiast do drzwi zastukał, choć od powrotu Kaźmierza noga tu jego nie postąła. Otworzono mu czekać nie dając, a gdy pospiesznym krokiem dobiegł do izby gościnnej, zastał w niej Juchima nad zwitkiem pergaminowym siedzącego spokojnie. Na widok jego Żyd powstał z twarzą rozradowaną, najmniejszej nie pokazawszy obawy.

Stach, nie chcąc mu się zwierzać z podejrzeń, udał, iż szło o małą pieniężną pożyczkę.

Juchim oświadczył z gotowością największą usłużenia bez zastawu nawet i był tak uprzejmym, jakby w istocie Stacha kochał i szanował. Zmusiwszy go napić się grzanego wina, po rozmowie przeciągniętej dość długo, odprowadził go aż do wrót.

Poszlaku człeka w kapturze żadnego tu nie było. Juchim jednak nadto mu się wydał swobodnym, zbyt wesołym i uprzejmym, aby się z czymś ukrywać nie potrzebował. Stach wyszedł czując to.

Natychmiast wróciwszy do domu, z Żegciem umówił się o pilny nadzór nad dworkiem

Juchima. Przez cały dzień zwykle tłumy różnych ludzi uczęszczały do bogatego Żyda, urzędnicy dworu, ziemianie, rycerstwo, duchowni nawet, bo Juchim pieniądze pożyczzał, mieniał, przesyłał, kupował kruszce, dostarczał ich. Dozór nad dworkiem potrzebował bystrego oka, by w ciżbie tej rozpoznać podejrzanego człowieka.

Stach sam naglądał z daleka, nie ukazując się. Nie udało mu się dopatrzeć zakapturzonego człowieka, ale Żegiec mówił, iż go widział i w ślad za nim chodził nie postrzeżony. To, co opowiadał, zwiększyło podejrzenie, iż w kapturze Kietlicz się mógł ukrywać. Żegiec szedł za nim do dworku starosty Warsza, a potem do Czechny, którą znali wszyscy jako lekarkę i wróżbiarkę.

Drugiego dnia Stach sam z dala stanął na czatach. Kaptur, obejrzawszy się dokoła, wysunął się z dworku Juchima i wolnym krokiem, pod ścianami się tuląc, przez mniej uczęszczane zaułki, przekradał się do domu Czechny. Stach z dala go śledził nie płosząc. Świadkiem był, gdy po naradzie Czechna go na próg wyprowadzała. Twarzy i teraz dojrzeć nie mógł, ale głos stłumiony dźwięczał mu

jakby Kietliczowy. Słyszał, gdy stara mówiła mu:

— Przyjdźcie jutro; dziś u mnie bab pełno w sieni, mówić o tym nie pora. Święto u nas, będę sama.

Długie życie, na czatach spędzone uczyniło Stacha wprawnym i przebiegłym, potrzebował koniecznie człowieka widzieć, podsłuchać rozmowę i zaraz o tym myśleć począł.

W izbie, w której stara przyjmowała, był z Bogorią, znał ją, potrzebował skryć się gdzieś tak w pobliżu, by mógł jutrzejszą schwycić rozmowę. Począł błądzić około dworku, czatując czy stara nie wyjdzie na miasto, aby się dostać do wnętrza. Nad wieczór Czechna wyszła na nieszpór

przedświętny i drzwi zaparła. Została sługa jedna, która po ziele na ogród wybiegłszy, za sobą dworku nie zamknęła. Skoczył Stach do sieni żywo i po drabinie na wyżki puste. Tu musiał noc przesiedzieć całą, czasu do powrotu starej z nieszpóru używszy na przeszkobanie w pułapie otworu do izby, przez który by coś widzieć i lepiej mógł słyszeć.

Nierychło powróciła lekarka i nie sama. Przywiodła z sobą mieszczanina jakiegoś, za

którego się podobno wydać myślała, pomimo że zębów nie miała. Był świadkiem Stach, jak go poiła i namawiała, prawiąc o swych dostatkach i o szczęśliwym życiu, jakie mógł z nią pędzić.

Zapalono drzazgę. Czechna postrzegła na stole glinę, która się z pułapu posypała, gdy Stach otwór sobie wiercił. Zobaczywszy to, stara oczy zwróciła w górę, głową potrząsa zaczęła szczury przeklinać. Szczęściem, że się to na nie złożyć mogło. Stach jako tako umieścił się na strychu, choć na nim wiązki słomy nawet nie było. Nawykły spać na ławie, na dylach się położył, słuchając do późna, jak mieszczanin miód popijając, o przyszłości ze starą rozprawiał. Nastąpiła cisza głucha i noc nie przespana.

Gdy dzień się robić zaczął, niecierpliwy Stach oka już nie zmrużył. Dokuczał mu trochę

głód, a więcej niepokój. Nie rychło dały się słyszeć kroki i Stach oko przyłożywszy do otworu, zobaczył wchodzącego w kapturze, nic oprócz kaptudojrzeń nie mogąc i ramion szerokich.

Rozmowę słyhać było wyraźnie, głos zdał mu się Kietliczowy, ale niżony, cichy i jakby umyślnie zmieniony. — No, starucho — rzekł — nie drożże ty mi się, nie dasz ty, znajdzie się druga. —

Mów, dla kogo tego chcesz? — spytała Czechna.

— Co ja ci mam się spowiadać dla kogo — odpowiedział mężczyzna — to moja rzecz, na moje sumienie biorę, nikomu nic do tego.

— Nie powiesz, to nie dam — odezwała się Czechna — szukaj drugiej.

Nastąpiło milczenie.

— Ty się żony chcesz zbyć? — spytała.

— Nie — mówił mężczyzna.

— Brata? — Nie.

— Wroga?

— Ano — wyrwało się zapytanemu — wroga takiego, co nie jednemu mnie, a tysiącom już dojadł i dokuczył, i należy mu śmierć.

— Mów, jaki? kto? co? — poczęła stara. — Muszę wiedzieć. Nie głupiam! Gdyż moźnego człeka zgładzicie, powloką was, wydacie mnie, kołem będą tłukli albo końmi szarpali.

— A jaż to mam być głupszy od ciebie i dawać tak, aby mnie za rękę chwycili. — rzekł mężczyzna. — Czy mnie się chce też być szarpanym i bitym? Będę wiedział, jak i przez kogo dawać.

— Komu? komu? — pytała Czechna uparcie. Mężczyzna się uniósł.

— A! Ty wiedzmo stara — krzyknął — dawaj albo nie, a wnętrzości ze mnie nie ciągnij!

Nie twoja to rzecz. Mów. co zapłacić, a powinno być takie, by jak piorun ubiło, rozumiesz?

— I takie u mnie jest — odparła Czechna — co, gdybym ci go tylko powąchać dała, przewróciłbyś się i nie wstał, i takie, co kropla konia ubije.

— Takiego mi potrzeba — odparł kapturowy — dawaj mi go i mów, co chcesz za nie.

Czechna po cichu wymieniła coś sporo grzywien srebra, a mężczyzna krzyknął:

— Oszalała!

Wszczął się targ. Czechna wołała:

— Ani życie, ani śmierć darmo nie przychodzi! Za mało oddać takiego zieleń nie mogę, bo mnie ono samą kosztuje wiele zdrowia. Trzeba wiedzieć, gdzie szukać, jak zbierać, z czym warzyć.

Darmo mnie tego nie uczyli. Życiem ważyła gotując. — Rozgniewana dokończyła: — Idź sobie do szatana, niech ci on darmo służy!

Znowu się targowali sprzecząc, kaptur dawał mniej, Czechna przy swoim stała, łajali się wzajem,

potem milczenie trwało chwilę, mężczyzna się poruszył, dobywał powoli coś spod

oponczy, stara poszła drzwi zaryglować, okno zasunąć, tak że w izbie mroczno się zrobiło.

Szeptali po cichu, zaczął przybyły pieniądze liczyć na stole, a stara siadła nad nimi.

Brała niektóre do rąk i do ust, próbując, czy dobre są. Szeptano cicho, brzęczały srebniki zgarniane do garnka. Lik ich trwał dosyć długo, a gdy się skończył, Czechna poszła jedną okiennicę na pół odsunąć i z wysokiej półki zza garnków dobyła maleńką banieczkę glinianą, tak drobną, że się w garści mieściła.

Kaptur, spostrzegłszy ją, począł wołać:

— A to co? Za tyle grzywien taka odrobina?!

— Coś ty chciał, abym ci wiadro dała? Żebyś studnie pozatruwał? — odparła stara. —

Będzie z ciebie i tego, bo kropli dość na człowieka.

— A jak nie poskutkuje? — zapytał.

— Pobrobuj! — rozśmiała się stara.

Zawahawszy się sięgnął po bańkę.

— A patrz, ostrożnie z tym — dodała Czechna — abyś nie rozlał. Padnie ci na ciało, wyżre je do kości; pryśnie w oko, wypali; jedna kropla w napój olbrzyma zwali.

— W czym dać? — spytał cicho kaptur.

— W czym chcesz — szepnęła Czechna z powagą nauczyciela — albo w winie, w miodzie, w piwie, a choćby i w jadle.

— Dużo?

— Kropli dosyć.

Uwinięto bańkę w kawał płótna starannie i człek włożył ją za pazuchę z ostrożnością. Już miał wychodzić, gdy stara ze śmiechem poczęła mówić:

— Myślisz, żem ja ciebie pytać potrzebowała, ktoś ty taki i na co ci trutka? Probowalam tylko. Ano cię znam i wszystko wiem.

Zbliżyła się, szepcząc mu coś na ucho. Mężczyzna klnąc odskoczył od niej ku drzwiom,

pogoniła śmiechem za nim. Słysząc było, jak drzwi nagle odsunawszy, rygle otworzył i wybiegł prędko.

Stach chciał się wnet puścić za nim, ale czekać musiał, aż baba wyjdzie, aby nie płoszyć, i nierychło dopiero, widząc, że za długo siedzieć przyjdzie, z dachu dranicę wydarłszy, skoczył w ogród, uchodząc. Słyszał, jak za nim wrzawę wielką baby podniosły, bo posłyszano łoskot.

Powybiegały na ogród, gdy on już przez płot do drugiego sadu się dostał i uszedł.

Do domu powróciwszy, lec musiał odpocząć, tak go kości bolały po nocy na strychu

spędzonej. Niewiele się to na co przydało, podejrzenie jednak wielkie miał, iż kupującym truciznę Kietlicz być musiał. A jeżeli on był, straszna myśl przychodziła, dla kogo on ją mógł przeznaczać.

Stach chciał kapturowego bądź co bądź pochwycić i zatrzymać. Żegiec i on zasiedli znowu

około dworku Juchima, śledząc i piklując, lecz dla mnóstwa ludzi porwać się w ulicy nie śmiał

Żegiec, chodząc tylko za nim i strzegąc, aby im nie umknął.

Drugiego dnia wieczorem dopiero, gdy ulica pustą była, udało się im podejrzanego

zachwycić, tak iż się nań rzucić mogli. Ostrożnie tozpatrując się przesuwał uliczką małą i Stach czatujący nań, właśnie gdy się miał nań rzucić, poznał odsłoniłą nieco twarz Kietlicza.

W chwili jednej z obu stron padli nań z Żegciem, lecz sługa w pośpiechu, biegnąc, o kół na drodze zawadziwszy, wywrócił się. Spłoszył się Kietlicz i uchodząc sam w ręce Stacha się rzucił, który za kark go chwyciwszy, na ziemię obalić usiłował. Napadnięty, nie tracąc przytomności, dobył nóż z za pasa i żgnął nim Stacha, nie mającego na sobie nic oprócz łosiowego kaftana, w same piersi. Nóż wbił się głęboko, Stach zachwiał i padł na wznak, a nim Żegiec dobiegł, począł kaptur uciekać, korzystając z mroku, w krzaki się rzucił i zniknął.

Na drodze leżał przebity Stach jęcząc, z nożem, który mu jeszcze tkwił w piersi. Kląkł nad nim Żegiec, aby naprzód żelazo dobyć z rany, po które Stach bezsilną już sięgnął ręką. Krew strumieniem buchnęła. Krzyknął przebity i omdlał, zda- wało się, że dlań ostatnia wybiła godzina.

Nie mogąc odstąpić rannego Żegiec wielkim głosem krzyczeć zaczął, nawołując o ratunek. Cisza nocna dozwoliła głosowi jego rozleć się szeroko i ludzie z uliczek bocznych i domostw wybiegać zaczęli.

Wypadkiem znalazł się i Jaśko Bogoria, w pobliskim stojący dworze. Wzięto Stacha i

zaniecono do dworku Jagny. Krew chustami trochę zatamować się dała, a Żegiec po lekarza

pobiegł na dwór biskupi. Rana była ciężka i głęboka, ale się nie zdawała być śmiertelną, bo nóż, w serce wymierzony, po żebrach się ośliznąwszy, niżej był zatopiony.

## IX

Było to pierwszych dni maja 1194 roku, a rzadko u nas ten miesiąc kwiatów i zieleni tak pięknym bywa, jak go Bóg dał w tym roku. Ciche, spokojne upływały dni wonne w ogrodach, którymi Kraków otaczał się dokoła. Cieszyli się wszyscy spoczywając po wojnie, i długie, szczęśliwe panowanie zapowiadało.

Wrzawliwiej, szumniej nie zabawiano się nigdzie może jak we dworze wdowy Doroty, która teraz większą zdawała się mieć niż kiedy nadzieję, spoglądając na Wawel, że księżę do niej powróci. Wiedziała ona, że Jagna dogorywała, że życie jej było na włosku, a Kazmierz przy wjeździe do stojącej na wozie uśmiechnął się i pozdrowił ją tak, jak gdyby dawne czasy

przypomniał. Skinienie to pańskie łaskawe lepszą przyszłość zdawało się zwiastować. Wszystko się składało pomyślniej Wichfried był czulszym i niezbyt się wyrzekął pośrednictwa, rachując też na Jagny chorobę. Czekano tylko, aby zgasła. Niemiec naówczas miał Dorotę przypomnieć i namówić Kazmierza, aby dla rozrywki ją odwiedził.

W wigilię świętego Floriana, którego uroczystość, jako patrona Krakowa i kraju, od

sprowadzenia zwłok jego obchodzono z wielką świetnością, bo i sam księżę bardzo czynnie się nią zajmował, Dorota miała wieczorem gości wielu. Znaczna ich część porzochodziła się zawczasu, wdowa została sama. Czekala na kogoś jeszcze, coraz to oknem wyglądając. Zmierzchało, a w miarę jak wieczór nadchodził, wdowa coraz większą niecierpliwość okazywała. Zawołała wreszcie na starszą sługę, ulubienicę swą, Jagodę.

Jagoda to była, jak jej pani, już wielce dojrzała, ale wzorem jej nie wyrzekająca się jeszcze młodości. Usłyszawszy wołanie, wbiegła z poufałością powiernicy i ręce na piersiach złożywszy, czekała marszcząc się nieco, co jej Dorota powie.

— Czego wam trzeba? — spytała.

— Czego? Wiesz przecie — odparła Dorota — ten twój obiecany nie przychodzi, czekam na niego.

— O, przyjdzie pewnie! — odpowiedziała Jagoda. — Czekaj może, abyście sami byli, nierad trafić na ludzi, dlatego nie spieszy.

— Obiecał przynieść z sobą? — przerwała niecierpliwie wdowa.

— Na pewno, obiecał! — głową potakując mówiła Jagoda.

— A nie oszuka mnie?

— Gdzie zaś! Człek stateczny, zna go dobrze Juchim. On lekarstwami handluje i zza morza je przywozi. Jeździ na Ruś po różne zioła, leki, krople, smarowania, a wiadomo, że tego nigdzie lepiej jak tam przyprawiać nie umieją. Nasza stara Czechna ani się do niego umywała.

— O, ta stara! — odparła Dorota. — Ona tylko okłamać, a grosz umie wyciągnąć. Ziele jej żadne nie skutkowało. Nawet ta woda, którą mi się umywać kazała, wcale marszczek nie zgładziła.

Chód się dał słyszeć, Jagoda obejrzała się, wybiegła, a po chwilce wprowadziła człowieka w opończy z kapturem, zdającego się ukrywać twarz, aby niezbyt w nią patrzano. Milcząc i rozpatrując się dokoła, wsunął się do izby. Dorota podbiegła ku niemu.

— Macie z sobą? — spytała.

— Mam go — odpowiedział głos stłumiony i schrypty, z wolna dobywając z zanadru coś w płótno obwiniętego.

Nie puszczał jednak z rąk, choć Dorota chciwie sięgała po nie. Zaczęły się szepty i targi o posiadanie tego skarbu, do którego przybyły choć przywiązywać się zdał cenę wielką, ustąpił go wszakże łatwo, Dorota ciągle rękę miała wyciągniętą, aby węzełek ów chwycić.

— Trzeba wiedzieć, jak się z tym obchodzić — rzekł przybyły — ani dotykać, ani wachać, bo wszystka siła uleci. Dopiero gdy się kropla ma lać w naczynie do picia, można bańkę otworzyć. A ma moc taką, że i ręce pali, gdyby na nie padło.

Wdowie oczy świeciły.

— Ma moc wielką? — pytała.

— Ma moc straszną, wiekuistą. Ten, co się napije, nigdy już kochać nie przestanie. Gdy będzie pił, trzeba mu tylko imię niewiasty szepnąć.

To mówiąc, przybyły z wolna bańkę zawiniętą rozpowił, ukazując Dorocie, i znowu starannie zawiązał.

— Dziw, jak oni wszyscy jedne mają naczynia — odezwała się wdowa. — Czechna mi takie same bańki przynosiła.



Targ był skończony, wdowa oddała cenę umówioną w worku, który przyniosła Jagoda.

Kupiec nie liczył, zalecił tylko, by nie dotykać naczyń i postąpić, jak przykazał, co prędkiej uchodząc z domu. Po wyjściu jego wdowa z radości wielkiej, trzymając drogi nabytek przyciśnięty do piersi, skakała po izbie, lubując się nim i podśpiewując. Z obawy, aby się co bańce nie stało, schowała ją za suknię.

Była godzina, w której zwykle Wichfried nadchodził. Niemiec, postarzaawszy, coraz więcej jeść i pić lubił. Gospodyni dlań zawsze przygotowaną miała ucztę obfitą i wina podostatkiem.

Nigdzie też lepiej napoju tego nie umiano osładzać i korzenną zaprawą wzmacniać. Rozkoszował się Wichfried w napoju na pozór łagodnym, który dziwną mu wesołość i odwagę wlewał. Późno w noc nadszedł zmęczony.

— Coście to tak na siebie długo mi czekać kazali? — zapytała wdowa, podchodząc ku niemu wystrojona i wonnościami oblana, uśmiechając się zalotnie.

— Przy panu musiałem być — rzekł Niemiec. — Nie przebaczyłby mi zaniedbania przy nabożeństwie do swojego świętego. Jutro mamy świętego Floriana, w kościele obchodzono nieszpory, sam Kazmierz śpiewał pieśń, którą mistrz Wincenty ułożył po łacinie.

— Jutro więc cały dzień będziecie pobożni? — spytała Dorota.

— Jutro od rana do nocy nie będzie spoczynku — mówił Wichfried. — Księżę prawie nie wychodzi z kościoła, czci patrona sam gorliwie, aby mu inni też cześć oddawali.

— A po nabożeństwie, juści, będzie na zaniku uczta dla wszystkich? — zapytała wdowa.

— Jutro nie, bo to dzień święty — mówił Wichfried — następnego dnia dopiero gotuje się przyjęcie wielkie, na które wszyscy biskupi, duchowni, rycerstwo i ziemianie się ściągają.

Będzie to dzień spoczynku i wesela.

Dorota słuchała ciekawie chwytając każde słowo Wichfrieda. Niemiec tymczasem oglądał

się z taką chciwością za napojem, jak ona za jego słowami. Zrozumiawszy to, gospodyni poszła przodem do jadalni. Wieczera była gotową, wszystko co Wichfried lubił najlepiej. Jagoda ciepłe wino w sporym kubku podała mu zaraz z jakimś szyderskim uśmiechem. Siadał Niemiec za stół

żywo i lice mu się rozjaśniło. Pieczona sarna, której zapach po izbie się rozchodził, wabiła go, dobył noża i umywszy ręce, zabrał się do krajania. Dorota usiadła naprzeciw, dotrzymując

rozmowy, lecz nie tykając ją.

— A taż — spytała — żyjeli jeszcze?

— Mówią, że żyje — rzekł Wichfried. — Chora bardzo, a umrzeć nie może, prawią ludzie.

— Ciągnie długo! — poczęła Dorota głową trzęsąc. — Na co się już jej życie zdało?

Każmierz tych kości i skóry kochać nie może! A cóż? Smuci się bardzo?

— Ponury zawsze — rzekł Wichfried łakomie zajadając. — Smutek ten powoli przejdzie.

Dziś w kościele twarz miał pogodną i jasną.

— Musi o niej zapomnieć — mówiła Dorota — nieprawdaż? A jak jej się zbędzie, kolej na mnie, że sobie musi Dorotę przypomnieć. Mówiłam wam, gdy do Krakowa wjeżdżał, jak mi się pokłonił i uśmiechał!

Podsunęła nałany kubek Niemcowi.

— Pij bo, pij, póki nie ostygło!

Gdy Wichfried kubek drugi wypróżnił, pochyliła się ku niemu.

— Stary druhu, moje szczęście w twoich rękach!

Ruszył na to ramionami Niemiec, a Dorota dodała prędko:

— Nie zzymajcie się, nie chcę, abyście mu mówili za mną, ani go ciągnęli. Zrobi się tak, że sam przyjdzie.

Wichfried spojrział pytająco.

— Mam taki sposób, co go przyciągnie — mówiła wdowa — i na wieki go do mnie przykuje. Byłe mu go dać kroplę i po cichu, gdy będzie pił, wymówić imię moje.

— E, stare baśnie pleciesz! — przerwał śmiejąc się Wichfried. — Niemałoż mu ziela nadawaliście, a przecie go nie macie?

— Takie to było ziele! Czechna zwodziła mnie! Nie zna i nie umie nic. Dopiero teraz za drogie pieniądze z Rusi dostałam takiego lubczyku, takiego!

Wichfried śmiał się ciągle.

— Obeszłoby się bez tego, byle chciał przyjść — rzekł — a pociągnąć go nie można, tak się boi.

— Otóż napój to zrobi, że się bać przestanie — odrzekła Dorota. — Jedna kropla do wina wlane wystarczy, jedna kropelka.

To mówiąc, wydobyła zza sukni zawiniętą bańkę, pokazała ją z dala i prędko schowała znowu.

— Odykać jej nie można — rzekła — dopiero gdy się nalewać będzie. Inaczej siłę postrada, tak mnie nauczono. Dam wam, ale dopiero, gdy mi przysiążecie, że użyjecie, jak przykażę.

Zzymał się Niemiec.

— Ja nie chcę! — rzekł krótko.

— A komu innemu ja nie powierzę — zawołała Dorota — wy musicie wziąć i musicie mu dać!

— Nie! — odparł Niemiec,

— Całe moje mienie wam przekażę — poczęła gorąco wdowa — całe mienie, wszystkie ziemie, co mi po ojcu należą, co po mężu oddać powinni. Wszystko oddam wam! Dzieci ja mieć nie będę. Przy świadkach wam zapiszę!

Wichfried się odwrócił.

— A bracia? — spytał.

— A książę? — odparła Dorota. — On za zdradę mógł im i tak wszystko odjąć, co po ojcach mają. Obroni tego, co ja napiszę.

Zadumał się Niemiec.

— Kto wie, co w napoju jest? — przebąknął.

— Nie już bym ja, co go miłuję, źle mu uczynić chciała?! — zawołała wdowa. — Czyż nie wiecie, że Bóg daje różną siłę ziołom dla mocy człowiekowi? Że jedne ciągną, drugie odpychają. Jedne kochać każą, drugie nienawidzić?

— A są i takie, co zabijają! — zawołał Wichfried.

— Czyż ja bym mu śmierci mogła życzyć?! — krzyknęła wdowa. — Ja? Ten, co mi lubczyk sprzedał, człek pewny, stateczni ludzie ręczyli za niego.

Wichfried jadł i pił, słuchał jednym uchem, a w głowie coś liczył.

— Ziemi mieć będziecie po mnie dosyć — dodała kusicielka — byle ksiązę się zaopiekował, a tego wam nie odmówi. Siędziecie na niej jak ksiązę udzielny.

— W pustyni! — mruknął Niemiec.

— Pustki się przecie zaludniają — mówiła Dorota — byle ziemia była, ludzie się znajdują.

Choćby i z waszych Niemiec pójdą chętnie.

Prawiła żywo, Niemiec słuchał coraz mocniej zadumany, ale jadł i popijał coraz raźniej.

Dorota przysunęła się do niego, kubki nalewając sama, pogłaskała go po głowie, objęła za szyję.

Zaczynał się rozochocony uśmiechać.

— E — rzekła — bądź bo rozumnym a dobrym dla mnie i dla siebie. Zrób, jak mówię, nie pożałujesz!

Niemiec się przestał opierać.

— Pojutrze, w czasie uczyty — mówiła cicho — pod sam jej koniec, podając mu ulubioną jego czarę, jak się ona tam zowie?

— Teodulfowa — zamruczał Wichfried.

— Odetkniesz tę oto bańkę, dopiero gdy będziesz miał nalewać, wpuścisz z niej choćby kroplę jedną, a gdy pić będzie, szepniesz mu do ucha imię moje, więcej nie potrzeba.

Niemiec głową potrząsał, ona ciągnęła dalej:

— Siła tego napoju sprawi, że zaraz zechce przyjść do mnie, a gdy przyjdzie, już mnie nie opuści.

Słuchający głową, nie dowierzając, potrząsał, wdowa dobywała bańkę strzegąc, aby zatyczki jej nie tknąć.

— Tak, ty to musisz uczynić — mówiła, nie zważając na opór Wichfrieda — musisz, uczynisz! Przysięgam, a ja uczynię cię moźnym i szczęśliwymi

Milczał jeszcze trochę upojony, trochę znudzony Niemiec, ale ręka jego już po owo naczynie sięgała.

— Bóg z tobą — rzekł — naprzykrzona, natrętna, niepozbyta babo. Zrobię, co chcesz, ale skutku z tego tyle będzie, co z twych innych czarów, chyba... tamtej nie stało, a innej mu się szukać nie chciało.

Wyciągniętą trzymał rękę.

— A przysięż-że mi — natarczywie zawołała Dorota — że zrobisz, jak mówię, na Boga, na świętych, na uczciwość twą! Dasz mu dopiero przy uczty końcu.

Niemiec rzekł z obojętnym uśmiechem:

— No, przysięgam, przysięgami

I pochwycił w rękę bańkę, którą mu Dorota oddała, pilnując, aby ją natychmiast schował.

Wichfried rozpiął kaftan na piersi, włożył naczynie, zapięła mu go Dorota i lice jej zajaśniało niezmierną radością. Śmiejąc się nowy kubek mu podała.

— Pij — rzekła — dałabym ci złota roztopionego, gdyby je pić było można. Będiesz mym dobroczyńcą!

— Byle napój poskutkował — dodał Niemiec.

— O, musi, ja wiem, ten będzie skutecznym!

Uderzyła w ręce i zrywając się z ławy, płasac poczęła we- soło przed Niemcem, który już

ruszyć się nie mógł. Ale patrząc, lice mu się uśmiechało na widok pięknej jeszcze niewiasty tak szczęśliwej, tak wesołej, że jemu się część tego szczęścia i wesela udzielała. Pił tymczasem po troszę, bo napój ten palił go wewnątrz i zamiast gasić, powiększał pragnienie. W głowie kręciło mu się i szumiało. Coraz to kubek opróżniony stawiał, wyzywając do nalewania, a parę ich jeszcze wychyliwszy, sparł się z wolna o ścianę i usnął, ustami tylko poruszając uśmiechniętymi i coś niewyraźnie pomrukując. Dorota zabezpieczyła go od upadku, aby z nim drogie naczynie nie zostało nadwerężone i pozostała na straży.

Gdy we dworku wdowy tak się do oczarowania Kaźmierza przygotowywano, w domu

Stacha Żegieć i kilku przyjaciół otaczali łoże rannego. Upływ krwi z piersi szeroko rozplątanej wstrzymać się udało. Żegieć wprędce od biskupa przyprowadził uczonego benedyktyna, który był

Pełki i księcia lekarzem. Staruszek opatrzył starannie ranę, pilno chorym się zajął, dał mu wewnątrz jakieś leki, po których sen przyszedł spokojny, balsamem zalał bok skaleczony, ale pytany o chorego, nie odpowiadał nic z początku, w końcu rzekł, że wszystko jest w mocy bożej, a On cuda czyni, gdy wola Jego. Ze wszystkich ciekawych, którzy z początku łoże chorego otaczali i domek napełniali, po upływie pół dnia pozostał tylko Żegieć wierny i ksiądz, który przyrzekł odwiedzać chorego.

Nie wyjaśnioną dla wszystkich była tajemnicą, ta rana otrzymana od nieznanego

człowieka, na którego dlaczego Stach po nocy się rzucił, nikt też odgadnąć nie umiał. Domyślano się różnie, Żegieć mówić nic nie chciał, ci, co znali rannego, wiedzieli, że dla pieniędzy i przez chciwość tego uczynić nie mógł, że z zazdrości o niewiastę nie rzucił się pewnie, bo płochości wszelkiej wyrzekł się dawno. Musiała więc jakaś chęć zemsty i śmiertelna nim powodować uraza.

Jeden biskup Pełka, lepiej od innych wiedząc, co się w sercu Stacha działo, domyślał się

sprawy większej wagi i był niespokojnym. Zlecił też benedyktynowi, aby pilne miał o chorym staranie. Po dniu spokojnym, drugiego rozwinęła się gorączka i ranny marzyć zaczął. Zrywał się z łoża, chciał biec, wołając ciągle, iż pana otruć zamierzano.

Słyszał to lekarz i sługa, ale i oni, i wszyscy przypisywali gorączce to majaczenie

dziwaczne, żadnego do wyrazów poplątanych nie przywiązując znaczenia.

Ile razy ze snu ciężkiego przebudził się Stach, z tą samą myślą się zrywał, znowu krzycząc, że na ratunek biec *trzeba*, bo pana otruć mają. Uparte to ostrzeżenie, wołanie i prośby, uderzyły wręście benedyktyna, tak że do biskupa wróciwszy, z politowaniem mu o tym rozpowiadał. Pełka tłumaczył to sobie marzeniem chorego, którego znając przywiązanie do księcia, nowy dowód jego w tym upatrywał.

— Śni się biedakowi — rzekł — jak mu całe życie się marzyło, że zawsze panu jego coś

zagrozi. Pocziwy sługa żył lat wiele jednym staraniem o bezpieczeństwo pańskie, więc i teraz w głowie się to powtarza. Daj mu Bóg ozdrowienie i życie.

Za życie to lekarz nie ręczył jeszcze, drudzy mu go nie wróżyli. Choć silny, Stach krwi

utracił wiele, rana była głęboka, a co się wewnątrz jej działo, czy oręż nie był jakim jądrem zatruty, Bogu jednemu wiadomym było. Gorączka rosła, sił ubywało i tylko gdy dziwaczne

marzenie o truci księcia wracało, naówczas zrywał się z taką mocą, iż go kilku ludzi ledwie mogło utrzymać. Benedyktyn leki uspokajające powiększał coraz, dopóki tego szалу wycieńczającego nie przemógł. Chory, choć go już skrepowała bezwładność, jeszcze mrucał przez sen, aby czuwano nad panem.

W sam dzień świętego Floriana. gorączka wręście ustawać zaczęła i przyszło osłabienie

wielkie. Chory stękał, na ból , głowy się skarżył, mnichowi się zwierając, że go prześladował sen trapiący, jakoby Kaźmierzowi na uczenie do napoju trucizny wlać miano.

Badał go benedyktyn, skąd mu myśl ta przyjść mogła, lecz przed nim jaśniej się tłumaczyć

Stach obawiał. Na karb gorączki poszedł ten niepokój. Tego dnia lekarz obiecywał więcej i pocieszającą wiadomość zaniósł biskupowi, który na in- tencję chorego mszę świętą u relikwii świętego Floriana odprawić obiecał.

Stary Hreczyn, który się był do Stacha przywiązał, w początku chorej Jagnie o wypadku

znać dawać nie chciał. Po cóż miał chorą męczyć na próżno? Gdy lekarz zrobił nadzieję

wyzdrowienia, Hreczyn pomyślał, iż powinien pójść powiedzieć, co się stało i dlaczego Stach nie przychodzi. Dnia tego z południa, po wielkim nabożeństwie, na które lud do dwu kościołów

tłumnie się gromadził, bo na Wawelu i na Kleparzu kości męczennika były złożone, Hreczyn

powlókł się za Wisłę.

Starego sługę swojego mile Jagna przyjmowała i dowiedziawszy się o nim, zaraz go

wpuścić kazała. Wszedł Hreczyn zbiedzony, z głową spuszczoną, nie wiedząc, co mówić. Jagna odziana siedziała oparta w oknie.

— Coś ty tak smętny? — zapytała spojrzawszy.

— Stacha nam pokaleczyli — westchnął Hreczyn, wprost mówiąc, z czym przyszedł. —

Leży biedak, dlatego nie widzicie go od dni kilku.

— A! — krzyknęła Jagna. — Kto? Co? Mów!

— Nikt dobrze nie wie, jak się to stało — rzekł stary. — Nocą w ulicy napaść jakaś. Zdaje się, że z Żegciem czatowali na kogoś i ująć go chcieli. Ten, broniąc się, w piersi nożem pchnął

Stacha, dobrze, że go nie ubił. Biskup przysłał mnicha lekarza, okładają ranę; majaczył dużo, teraz się uspokoił.

Jagna płacząc słuchała. Osłabiej teraz łzy przychodziły łatwo, drżała ze wzruszenia. Nie

kochała nigdy Stacha, ale go jak brata miłowała i wdzięczną mu była. Jedyne to był człowiek, co ją nie zdradził, nie ciążył jej, był wiernym zawsze. Myśl stracenia go była dla niej bolesną. Chciała sama umrzeć wprzódy, pamięć swą zostawując mu w spadku. I to życzenie zagrożonym było.

— A! Hreczynie, Hreczyniel — zawołała. — A! Gdybym ja siły miała, ale ani na konia sięść, ani pieszo iść, ani na wozie jechać nie mogę, a ja tam przy nim powinnam być!

Załamala ręce.

— Hreczynie! Hreczynie! Wy mnie zanieście do niego! Stary się począł mocno opierać.

— Ani wam myśleć o tym, miłościwa pani — rzekł — choremu nie pomożecie, bo mu spokoju potrzeba, sobie zaszkożycie, a jak by was nieść? Pełen teraz Kraków ludzi dla odpustu, dla nabożeństwa, zawalone ulice. Zobaczyliby was, gadali, dowiedziałby się pan i gniewał srodze.

Jagna płakała.

— Jakże go tak porzucić?! -- wołała. — Jak mu powiedzieć, że mi go żal?!

— Ja mu powiem, gdy każecie — odparł Hreczyn.

— Inna rzecz posłanie, a inna żywe słowo — mruknęła Jagna — ale wam nie poczuć tego.

Hreczyn, kłaniając się do ziemi, już miał odchodzić, gdy Jagna odzyskała tę wolę wielką, jaką dawniej miała.

— Słuchaj stary — rzekła rozkazująco. — To nie może być! Wy mnie tam o mroku zanieść musicie! Choćbym umarła, nie pomoże nic! Muszę tam być! Nosze zróbcie, zakryjcie mi twarz chustami, droga niedaleka. Zaniesiecie mnie. Dziś święto patrona pańskiego, on u mnie nie będzie, ja u Stacha muszę być. Słowo mu rzeknę i powrócę.

Opierał się Hreczyn jeszcze, ale Jagna już wołała na sługi.

— Musi tak być, jak każę. Gałęzi urąbcie w lesie, nosze mi zrobicie.

Nastraszyły się służebne, ale nawykłe były do posłuchu, gdy Jagna chciała czego, próżno się jej opierać było. Hreczyn, przeklinając siebie, że przybył z tą złą wieścią, musiał pójść rąbać drągi i gałęzie na nosze. Nim wieczór nadszedł, były one gotowe. Jagna od stóp do głów wielką się chustą okryła, a że iść nie mogła sama, prowadzić się, na pół nieść musiała kazać. Włożono ją na nosze jak rannego w boju i była w istocie Łazarzem porąbanym na pobojuwisku życia. Nie mówiąc słowa, z twarzą zakrytą dała się nieść nie jęknawszy. Na promie przebyła Wisłę, weszli do miasta, gdzie ludzi pobożnych ścisk był wielki. Myśleli spotykający, że rannego lub zabitego niosą, słudzy na pytania nie odpowiadali. Gdy w dworku stanęli,

Stach spał. Jagnę, choć ją niesiono powoli, zmęczoną, wpółżywą wprowadzili do ciemnej izby, w której chory odpoczywał. Posadzili ją w kącie na ławie, sparła się na stole i tak



przebudzenia czekała.

Nierychło otworzył oczy Stach jęcząc i wołać począł o wodę. Żegieć, podając mu ją, szepnął, że Jagna się tu przynieść kazała.

Zdumiał się mocno Stach.

— Gdzież ona jest?

— Tutaj jestem! — odpowiedział cichy, słaby głos z kątką. — Kaleka do kaleki przybyłam, aby rzec ci jedno słowo: żal mi ciebie!

Stach kazał przynieść światło.

— Niech ją choć zobaczę, lżej mi będzie — rzekł przejęty. Zaniecono drzazgę i lampkę.

Izba była niewielka, mógł więc łatwo dojrzeć siedzącą, a że mu smutku przynieść z sobą nie chciała, poczęła się uśmiechać. Na tej twarzyczce wychudłej, na której śmierć już położyła piętno swoje, uśmiech wykwitł jak piołun cmentarny, jak dziewanna mogilna. Widząc go, Stachowi

zapłakać się chciało. Uśmiech ten przywołał wspomnienia młodości i krasy dawnej. Długo na twarzyczce jej pozostać nie mógł i zniknął. Spytała go o ranę; Stach spowiadać się nie mógł.

— A! — rzekł. — Sam bo nie wiem, za com ją otrzymał, co mi się przyśniło. Człek mi się

zdał podejrzany, włóczyłem się za nim, chodził do Czechny po trutkę, mnie się widziało już, że mogła być dla Kaźmierza przeznaczoną. Strach ogarnął.

— Dla niego? — przerwała Jagna. — A któż by śmiał tego anioła bożego, człowieka, co nigdy nikomu zła nie uczynił, wszystkim przebaczał, wrogów kochał. Któż by śmiał?

— Nie do rzeczy marzyłem — odparł Stach — sam wiem. Wyście to wiedzieć powinni, że kto kogo kocha, o nim śni i myśli, a śniąc mu się widma roją. A a! Sen był i zmora, a przecie niechby mu kto powiedział, aby nie pił inaczej, aż podczaszy skosztuje napoju.

— Taki obyczaj na dworze — rzekła Jagna.

— Ale pan ufny jest — mówił Stach. — Nie jeden podczaszy, lada kto mu napój nalewa i daje.

— Możeż on mieć nieprzyjaciół?! — wołała Jagna.

Stach zamilkł, wiedział i on, że żaden z książąt nigdy takiej u wszystkich miłości nie miał.

Ci, co go otaczali, życie zań dać byli gotowi, ale Kietlicz? A jemu się zdało, że poznał niecnotą.

— Gdy pana zobaczycie — dodał chory — od siebie mu powiedźcie, niech napoju probować każe!

— Ani dziś, ani jutro ja go widzieć nie będę — westchnęła Jagna — a za dwa dni, czy moje usta będą co mówiły, któż wie? Dziś święto obchodzą, jutro wielkie gody. Szczęśliwi ludzie będą tam patrzeć w twarz pana mojego, napawać się słodkim wejrzeniem, słodszy głosem i sercem najśłodszy jego!

Rozmowa skończyć się musiała, Hreczyn czatował na swą panią i do powrotu naglił.

Chmury się od Tatrów zbierały, błyskało w nich, chciał ją odnieść, nimby burza nadciągnęła.

Więc groził nią stary.

— E, Hreczynie! — zawołała z uśmiechem. — A pamiętasz, stary, w jakie my burze z tobą puszcze przebywali?! Gdy się drzewa od piorunów płonące na nas waliły, iskrami obsypując, a teraz ty się boisz!

— Teraz wam trzeba do domu — rzekł Hreczyn.

— Nieście — szepnęła cicho. — I ręką od ust posłała Stachowi pozdrowienie.

— Wyzdrowiej mi prędko, póki ja nie umrę — rzekła wesoło.

Jak dziecię sługi ją na ręce wzięły i tak ze skłonioną głową na podwórze wynieśli, a Stach pozostał sam w stokroć teraz puściejszym domku. Jak sen chorobliwy przesunęła mu się ta twarz Jagny blada, słyszał jeszcze jej głos, widział oczy. Chciał naprawdę usnąć z tym obrazem, spokojniejszym był, zleciwszy jej poselstwo do pana. Sen też ogarnął go znowu.

Lecz ledwie zamknął powieki, stanęła przed nim postać zakapturzonego człowieka z

Kietliczową twarzą, który szeptał szydersko: „Za późno! Jutro gody! Jutro mu może naleją napoju, po którym się nie wytrzeźwi. Jutro gody!”

Całą noc tym snem był Stach dręczony, a gdy o brzasku się zbudził i benedyktyn przyszedł ranę mu balsamem zalewać, pot ciekł z uznojonego marzeniem czoła.

— A! Ojczy! — zawołał. — Znowu miałem sen srogi! Pan dziś gody sprawia. Widmo straszne jakieś lało mu do czary truciznę.

— Z choroby to są marne Widziadła — rzekł ksiądz — a może nagabania szatańskie,

uczynicie krzyż, mówcie modlitwę, uspokoi się dusza.

Posłuszny Stach modlił się, lecz niepokój przez dzień cały dręczył go coraz większy we śnie i na jawie. Gdy wieczór nadszedł, rozpałała mu się gorączką twarz, krew w żyłach kipieć poczęła; wytężył słuch, serce biło.

Z wysiłku tego padł na łoże osłabły i krzyknąwszy: „Ratunku!” przytomność utracił.

## **X EPILOG**

Nazajutrz po dniu świętego Floriana dla wszystkich tych, co z nim razem obchodzili święto patrona Krakowa, książę Kaźmierz wspaniałą ucztę gotował. Z dawna ją przysposabiano, gdyż zaproszonych liczba niemała była, a książę uczcić ich chciał ze szczodrobliwością królewską.

Trzech biskupów przybyło umyślnie na tę uroczystość do stolicy, wszyscy panowie rady,

dostojniejsi ziemianie, wojewodowie, żupani, starzy druhowie Kaźmierza i Henryka. Jaksa z Miechowa, Rusław, na którego ziemi sulejowski klasztor zakładał, Jarosław Belina, Goworek z Sandomierza, Żyra z Płocka stawili się do boku pańskiego. Do relikwii tego danego państwu swemu patrona książę najwyższą przywiązywał cenę, widział w nich porękę błogosławieństwa

bożego dla tej ziemi. Pomędzy duchowieństwem jak perła czystej wody jaśniał mistrz Wincenty, ulubieniec pański, któremu niedawno Kaźmierz napisanie hymnu na cześć świętego polecił.

Sekwencję tę sam przy mszy wielkiej śpiewał u organów w kościele i podobała się wszystkim.

*Saive, martyr gloriose!*

Swą grą wyrazów, porównaniem świętego do kwiatu, wzywaniem opieki dla Krakowa:

*Cracovia, gaude vere* zachwycał duchownych, którzy hymnem tym zastąpić postanowili inny po kościołach w Niemczech na cześć świętych Wiktoryna

\* Bardzo prawdopodobnie może to być Kadłubka dzieło i styl i język na tą myśl

naprowadzają (przyp. autora).

i Floriana śpiewany: *Carus Deo, Florianus — Toto coide fide sanus*. Od dawna księcia weselszym, aż do łez rozkosznych rozczulonym serdeczniej nie widywano. Wdzięcznie się

wszystkim uśmiechał i szczęśliwi byli, widząc ten rzadki promyk wesela na zwykle smutnej twarzy jego. Poważny nawet biskup Pełka, surowy Mikołaj wojewoda dnia tego oblicza pogodnie mieli, odmłodzone.

W istocie państwu teraz nie zbywało na niczym. Z łaski pana Mikołaja pokój był z Węgrami

zmówiony, Ruś była w ład wprowadzona orężem Kaźmierza, Jaćwa pokonana wyprawą zwycięską,

Niemcy, zajęci podbojem reszty pogan na Pomorzu, nie myśleli o napaści, od cesarstwa się jej nie obawiano.

Dostatek panował w domu; po utraconym Bolku jedyna ojca i matki pociecha Leszek się chował zdrowo i szczęśliwie jak siostra i brat młodszy. W środku państwa, co dawniej wicherzyło i bruździło, ukoilo się i przycichło. Dzielnica bezpotomnego syna Kędzierzawego spadła na Kaźmierza, Mieszek po oddaniu mu syna siedział upokorzony, książęta szląscy nie wazyli się porywać. Lżejsze prawo nowe kmieciom dozwalało odżyć po Połowieckich najazdach i Kietliczowym ucisku. Świetne w przyszłości zapowiadały się lata. Rozumny Pełka i silny Mikołaj ziemian butnych trzymali w karności, nic się nie przeciwilo, nic nie wyrывało.

Następstwo po Kaźmierzu papieską bullą utwierdzone było w jego rodzie, duchowieństwo stało na straży prawa. Z biskupami Kaźmierz rządził wspólnie i zgodnie dzieląc władzę, którą oni wielkim swym wpływem podtrzymywali. Klasztory, zwłaszcza cysterskie, rosły, mnożąc się prawie codziennie, krzewiły w ziemi niedawno pustej i bezludnej. Mnożyły się też osady po trzebieżach, ludność po miastach, handel złotymi drogami przerzynał kraj ze wschodu na zachód.

Z Zachodu, co tylko Włochy, Francja, Niemcy miały, otrzymywała dzielnica Kaźmierzowa, płynął towar, szli rękodzielnicy. W mniejszym stopniu odbijały się tu wszystkie ruchy umysłów, jakie się czuć dawały w krajach innych. Ziemiański ów udział w rządzie i radzie nie był bez związku z wyswobadaniem możnych w Niemczech i we Włoszech. Pokora Rudobrodego w Wenecji, u stóp papieża składającego głowę dumną, w Polsce się odbiła, biskupom przyczyniając siły.

Kaźmierz, który miłował sprawiedliwość i pokój, dla którego słowo boże było prawem najwyższym, nie pragnący zbytnej władzy, dzielący się nią chętnie, cieszył się tym wszystkim, bo działało się po myśli jego. Wyswobodzony z brzmienia rządu samowolnego mógł swobodnie oddawać się ulubionym marzeniom, o rzeczach zaświatowych rozprawiać z uczonymi, uczyć dziejów i śpiewać chwałę bożą.

Gdy nad wieczór goście wszyscy na zamku się zgromadzili dokoła stołów książęcych, dość było spojrzeć po ich twarzach, ażeby zgadnąć, że mieli pana miłościwego, który był im ojcem a bratem.

Gdy piękny zawsze jeszcze, z podniesionym do góry czołem jasnym dnia tego, z włosami na ramiona puszczone, z łańcuchem na szyi, u którego klejnot z orłem i lwem był zawieszony, wszedł

książę strojny, rzeźwy, wesół do wielkiej izby, oczy wszystkich z wyrazem ukochania zwróciły się doń jak do słońca. Sunęli się doń i cisnęli, aby słówko posłyszeć, wejrzenie dostać, uśmiechem się pocieszyć albo choć otrzeć o niego. Nie było jednej twarzy ponurej, jednego niechętnego serca. Nawet ci, co niegdyś obalamuceni szli przeciw niemu, przejednani dziś, życie zań dać byli gotowi.

Zaprawdę inaczej też być nie mogło, tak miłością chrześcijańską, sercem anielskiej dobroci pełnym, wielkim był Kaźmierz, który dumy innych panów nie miał, a pokorą świętą obleczony, jeszcze się większym wydawał.

Choć zwykle na dworze jego zbytniego przepychu nie było, bo bogactwy swymi chętniej się dzielił, niż ich używał, na ten dzień, w cześć świętego patrona wspaniałość królewska jaśniała.

Wszystko, co skarbiec miał najpiękniejszego, wzięto na stoły. Police przy ścianach błyszcząły od srebra i złota.. Siedzenia wywyższone dla księcia, księżnej, biskupów okryte były szkarłatem, cała izba zielonością przybrana majową, potrząsiona zioły wonnymi. Dwór pański przywdział szaty święteczne, krasne i pokaźne, kto co miał najkosztowniejszego, włożył na siebie.

Śmiać się zdawało wszystko. Dzień przed wieczorem do zbytku był ciepły, więc szeroko otwartymi oknami, gość pożądany, wonne wiosenne wchodziło powietrze. Na twarzy księżnej Heleny, zwykle mającej wyraz jakby trwogi i tęsknoty, w dniu tym widać było pokój i szczęście.

Gwar po izbach przytomnością pańską hamowany tylko, to przycichał, to tłumionymi śmiechy i zwawszymi ożywiał się wykrzyki. Około księcia skupiło się, co było poważniejszego z

duchownych i świeckich panów, a biskup Pełka, pobłogosławiwszy stół, sam począł rozmowę od tego, iż należało Bogu za pomyślność, jaką na to królestwo zlewał, dziękować.

— Tak Bóg sprawiedliwym błogosławi — rzekł — i przez pana naszego płynie nam łaska jego.

Książę skłonił głowę.

— Bóg daj — odezwał się — zasłużyć na to, coście mi niegodnemu rzekli. Nie przypisuję tego sobie, ale waszym modlitwom.

Tak zagajona poważnie mowa, wnet przez Chmarę, który siedział nie opodal, na weselszy tor została zwróconą.

— Komu my to winni, dojść trudno — rzekł stary — to pewna, że nam ubożuchnym z tym dobrze i bodaj długie wieki trwało, czego używamy. A my biedacy możeśmy zasłużyli też na

miłosierdzie boże, bośmy długo cierpliwie plagi i chłostę znosili.

— W niepamięć to puścić — rzekł biskup. — Święcą się lepsze czasy, w niebie mamy orędownika rycerza, który i od ognia, i od wody broni.

— Bodaj też i od złych ludzi — dodał Chmara — bo to gorsze od ognia i wody.

Książę się począł nabożeństwem wspaniałym po kościołach radować, chociaż, jak mówił, wiele jeszcze nie dostawało, aby świątynie polskie włoskim, niemieckim i francuskim równały.

— Da Bóg i my takie będziemy mieli — odrzekł Pełka — choć nam o kamień trudno, glina go zastąpi.

Cysters się oderwał, że mistrzów do budowania sprowadzając, swoich można było nauczyć tej sztuki, a Jarosław Bogoria wtrącił, iż z kamienia, prawda, cudzy lepiej budować umieli, a z drzewa od naszych cieślów uczyć by się mogli.

— Proste było życie dawne na tych ziemiach — począł Jaksa — więc rzemiosła nie kwitły.

Z obyczajem lepszym i ręce ludziom urosną zręczniejsze, boć nie święci garnki lepia.

Rozprawiano tak, jedząc, o rzeczy wszelakiej, książę słuchał, niekiedy wtrącając słowo.

Biesiada trwała dosyć długo, coraz się stając gwarniejszą, tak że w końcu już tylko najbliżsi słyszeć się mogli. W każdym kątku o czym innym rzecz się toczyła. Przy dalszych stołach rozmowy od ucha pańskiego odleglejsze stać się musiały swawolne, gdyż je gęste śmiechy i puste słowa zdradzały. Przeciągnęło się to do późnego wieczora, aż niektórzy wstawać poczęli. Odeszła księżna, ziemianie dla chłodu na podsienia ustąpili, a książę został, tylko otoczony szczuplejszym gronem poważnych mężów.

Zostali przy nim biskupi, duchowni, Jaksa, Goworek, wojewoda Mikołaj i ziemian co

ciekawszych kupka milcząca. Mogli już teraz rozpocząć mówić o ulubionych Kaźmierzowi

przedmiotach, o rzeczach niepowszednich. Wichfried dnia tego wziął na się dobrowolnie

podczasostwo, chodząc głównie około pana i biskupów, których rozmów słuchał, a kubki im

nalewał. Książę przyjaźnie mu się uśmiechał i dnia tego, dobrej będąc myśli, często swą czarę nalewać dawał.

— A! — odezwał się głośno. — Gdyby życie całe płynąć mogło jak ten dzień dzisiejszy, pół na nabożeństwie z Bogiem, na pół z ludźmi sercu miłymi, na rozmyślaniu o rzeczach ostatecznych!

Niestety, nie tak zawsze się dzieje, ma prawa swe dzień powszedni, jak ma łaski dzień świąteczny.

Chleb codzienny pożywać musimy we złach i pocie naszych skroni. Niczym by to było, gdyby duch nie cierpiał, gdyby go nie trapiła tęsknota wiekuista, która i najjaśniejsze chwile przyćmiewa.

— Miłościwy Panie — rzekł Pełka — nie wyłamać się nam z tego, czemuśmy przez ciało nasze podlegli, a co powiedział

Hiob święty, prawdą wieczną. Człek z niewiasty narodzony, pełen jest wszelkiej nędzy, wschodzi jako ziele i więdnije jako trawa.

— Tak — dodał mistrz Wincenty — aleć to życie znikome wstępem jest do wiecznego, a jak powiada modlitwa, którą czytamy za umarłych: „Życie się odmienia, nie ustaje” (*Vita mutatur non tollitur*). I dobrze rzekł Prudencjusz: „Nie płaczcie, matki, dzieci swych, bo śmierć jest żywotem nowym. Tak wyschłe ziarna pszeniczne umierają w ziemię zakopane i zielenią się, wytykając z zagonów, kłosami odnowione.”

— Nam to tylko, Chrystusowym dzieciom — rzekł Pełka — dostępna ta prawda żywota, pociechy tej nie mają poganie.

— Aliści — przerwał Wincenty — przeczucie onego życia drugiego i u najdzikszych pogan się znajduje, jako to wiemy o Getach (Prusakach), którzy wierzą, że dusze, z ich ciał wyszedłszy, do innych narodzić się mających przechodzą, a inne — nawet w zwierzęta.

— Myśmy — rzekł książę — doświadczyli tego w ostatniej wyprawie, iż gardzić śmiercią umieją, bo się bili mężnie i zakładników swych na stracenie skazali bez żalu.

— Jakże my, cośmy tego żywota wiekuistego pewniejsi — odezwał się biskup płocki — od nich śmielszymi być powinni w pogardzie śmierci.

— Tak, ojczy mój — odparł książę — życiaśmy pewni, lecz jakie ono dla nas będzie, czym? Któż to wie? Kto przewidzi?

— Określić to trudno — rzekł Pełka — co jest nad rozum człowieczy i nad słowo ludzkie.

— Wstyd mi tu przywozić — przerwał jeden z benedyktynów — tego, którego święty

Bernard herezjarchą zowie (spojrzał na cystersów z ukosa), ale Abaliardus ów potępiony pięknie wyraził się o przyszłym życiu, że ono przez to jest szczęściem, iż będzie zapatrywaniem się na

doskonałość bożą: „Światło słoneczne blask sieje w południe, ciepło potęgą swoją świat ożywia, najwyższą szczęśliwością będzie, gdy widok Boga serca nasze rozpłomieni. Im lepiej poznamy, tym więcej ukochamy wszystkie jego doskonałości. Patrząc na nie będzie najwyższą

szczęśliwością. Szczęśliwe wejrzenie, oczy błogosławione, które tej chwały używają.”

Cysters, czując się dotkniętym wymówką świętemu Bernardowi uczynioną, po krótkim namyśle odparł:

— Ten to nasz Bernard, który Abaliarda potępił, przyczynę swego sądu w liście do niego

wyraża, pisząc w nim, co się i do innych mędrków czasu tego da zastosować: „Igra się teraz z prostaczków wiarą, rozdzierają się tajnie boże, zagadnienia rzeczy najwyższych zuchwale roztrząsają.”

— Ojcie miły — przerwał Kaźmierz, który uczuł się z kolei dotkniętym zarzutem. — Nie

godzi się może rozbierać i roztrząsać, ale godzi chcieć oświecać i szukać światła nawet

prostaczkom jak my. U ojców kościoła, u poetów chrześcijańskich, o których od was się uczę, wszak nieodgadnione zagadnienia co chwila wracają, bo się człowiek zajmowaniu nimi oprzeć nie może.

— Zaprawdę tak jest — dodał mistrz Wincenty — zagadki jednak pozostały nie rozwiązane.

Mędrcomie uczą nas, że się nic nie wie, oprócz tego, że się nie wie nic. Teofrastus dodaje, że się w nic wierzyć nie powinno, oprócz, że niczemu wierzyć nie trzeba. A Eudemiusz poprawia go, dodając: „prawie.”

— Smutno byłoby w tych ciemnościach wiekować — rzekł książę. — Coś przecie światła płynie od ludzi duchem świętym natchnionych.

— Zapewne — dodał Pełka — poetom też śpiewać się przydarza o tym, czego oko nie widziało, ucho nie słyszało, a co ich dusza przeczuwa.

— Świadkiem ów piękny opis raj u świętego Awitusa — rzekł mistrz Wincenty.

— Nie pomnicież go? — zapytał Kaźmierz.

— Jakżeby mistrz Wincenty miał nie pomnieć czego? On, którego pamięć za *armarium* starczy — odezwał się biskup, zwracając ku niemu z uśmiechem.

Skromnie zarumienił się powołany.



— Sądzę, że opis ten przypomnę sobie — odparł i po małym namyśle rozpoczął:

„Za indyjską ziemią, kędy świat się poczyna, jak mówią, a kończyny ziemi z niebiosy łączą, jest las śmiertelnym niedostępny, zamknięt w granicach wiekiustych, odkąd pierwszego grzechu sprawca wygnany był zeń po upadku, a aniołowie niebiescy przyszli na tej poświęconej ziemi zastąpić słusznie wygnanych winowajców. Nie ma tam pór roku przemiennych, wiodących za sobą

'zimę, słońce letnie nie przyświeca tu po mrozach. Gdy krąg wyniosły roku dla nas przywraca porę skwarów, gdy nasze pola bieleją szronem okryte, dzięki łagodności klimatu tu wieczna panuje wiosna. Gwałtowny auster tu nie szumi, chmury uciekają od czystego powietrza, niebo jest zawsze jasnym. Ziemia nie potrzebuje deszczów, by ją orzeźwiały, rośliny karmią się rosą samą. Zielenieje ziemia, powierzchnia jej ogrzana łagodnie, wdzięcznie i świeżo wygląda, wzgórza okrywają trawy, drzewa zachowują zielone swe warkocze i tysiące wydając kwiatów, coraz nowymi odżywiają się soki. Tam owoce, które my raz do roku zbieramy, co miesiąc obficie się rodzą. Słońce nie warzy lilij jasnych, fijołki, których żadna nie tyka, kwitną bezprzestannie, barwa ich nie blednie, kielich nie więdnije. Zimy tam nie ma nigdy, ani letnich upałów, ssących ziemię, wiosna tylko z

kwiatami, jesień z owocami panują rok cały. Tu rosną cynamony, które wieść kłamliwa wyłączną własnością Sabeanom przyznaje, rośliny, które zbiera feniks, gdy ma umierać, źródła dlań nowego żywota. Płonie on na gnieździe swym i odradza się z popiołów, z martwych powstając po

dobrowolnym zgonie. A nie dość że się rodzi po raz wtóry, odnawiając żywot ciała laty znękanego, coraz nowe narodziny starości mu oszczędzają, która w płomieniach ginie. Drzewa sączą z żył

plodnych wonne balsamy. Gdy lekki wiatr powieje, gęsty las oddechem jego poruszony, szeleści i mruży, uginając gałęzie kwieciste, a powietrze napełniając wonią słodką i rzeźwiącą. Źródło przejrzyste i jasne tryska z głębin, w których oko się nurza, srebro nie błyszczy jaśniej, kryształ nie połyskuje świetniej nad wody jego. Płyną one wśród kamieni drogich, rozrzuconych po brzegach, a najszacowniejsze klejnoty tu się walają jak głązy. Pola, barwami malowane świetnymi, natura zdobi królewskim przepychem.”

Wszyscy słuchali zachwyceni opisem raj, aż biskup Pełka rzekł:

— Piękny jest raj ten, lecz w poecie czuć poganina, wołę świętego Orienta, gdy mówi o życiu przyszłym.

Książe się zwrócił ku niemu, jakby pytał i żądał więcej, a biskup kończył:

— Nie powtórzę ja słów jego tak wiernie, jak mistrz Wincenty Awitusa, ale coś mi z nich w pamięci zostało i święty Orient powiada: „Koniec nasz nie jest końcem, a śmierć, przez którą umieramy, sama nieustannie umiera. Duchem i duszą, które trwają i żyć mają wiecznie, człowiek żyć będzie wiekuiście. Tak, człowiek wiekuiście żyć będzie, ale tu łzy przerywają słowa, bo lepszym byłoby losem dla niego z żywotem się pozbyć boleści, a nawet zrodzonemu raz podobnym być tym, co się nie rodzili nigdy, niżeli umarłym być dla żywota i żyć męczarniami w tych czasach niedoli, gdy grzech panuje światu. Nie sądźcie, proszę, aby srogość kary zmniejszoną była przez to, iż płomień

sprawiedliwy prędko pożre winowajców. Patrzcie na one góry, które wieczne ognie trawia, palą się one zawsze, a nigdy spalić nie mogą. Patrzcie na świeże źródła i rzeki lazururowe, płyną one ciągle, a wyschnąć nigdy nie mogą. Tak ogień wieczny zreć będzie złych, którzy w nim nigdy nie zgorzeją."

Po obrazie raju Awitusa, ten drugi — mąk piekielnych zachmurzył lice, a księżę przerwał żywo:

— Straszne to groźby, niestety, dla nas grzeszników!

— Bośmy, myśląc o wieczności, i trwogę jej mieć powinni — dodał biskup. — Lecz zaprawdę, za poważne to do stołowej rozmowy.

— Owszem — odparł Kaźmierz — żadna rozmowa miłszą być nie może. O śmierci myśleć potrzeba w każdej, żywota godzinie.

— Tak, znikome jest wszystko — rzekł cysters — i jak Prosper Tyro powiada: „Wszystko, co posiadamy, przechodzi; co upłynęło, nie wraca. Próżności tego świata budzą dusz naszych ciekawość ludzącymi pozory, a w rzeczy są niczym."

— Mój zaś Orientus w tąż śpiewa — dorzucił Pełka. — „Każdy dzień nas do śmierci zbliża, umieramy, gdy to mówimy, nie dostrzeżonym pochodem krocym do dni ostatka.

Jak pochodnie woskowe, które z nocy dzień czynią, płoną od ognia powoli, a płomień je pożera, ludzkie rzeczy, dokonywając się, giną, a co żyje, niszczy i umiera."

Wtem mistrz Wincenty, ujrzawszy posepniejące oblicza, począł weselej:

— Różnie się ludziom różnym ten koniec przedstawia: jednym smutnie, drugim wesoło. I

tak opowiadają \*, iż raz na okręcie jednym filozof z błaznem płynęli. Wtem zerwała się burza, dokoła świat cały oblokły ciemności, łoskot powstał okrutny, ludzkie się ozwały krzyki, bałwany srogie nawą miotać poczęły. Wiatry wściekłe to go pogrążyły w przepaście, to na falach wznosiły do góry, strącając z nich w mokre otchłanie.

Filozof, widząc śmierć zbliżającą się, trwożyć poczynał wielce. Drżał, o przyszłe kłopotząc się życie. Pewien był drugiego żywota, przecie mu i tego doczesnego żal było. Tymczasem błazen widząc, że już do stracenia nic nie ma, płasy wyprawiał, skoki dziwne i żarty szalone, ruchami śmiesznymi zabawiając potrwożonych. Aż oto burza ustawać zaczęła powoli, uspokoiło się

wszystko. Naówczas błazen przystąpił do filozofa, drwiąc z jego strachu, na co mu tamten odrzekł:

„Nie

*\*Kronika Wincentego (przyp. autora), [s. 139—140].*

miałeś się troszczyć o co, bo dawno jesteś stracony, błazen nie stał o błazeńskie życie, jam się o żywot filozofa obawiał." Rozśmiał się książę, a stary Chmara rzekł:

— Oстрым językiem odciął mu się filozof, toć prawda; ano, błazen to ma za sobą, że odwagi nie stracił.

— Filozofowi też trwogi tak bardzo za złe się mieć nie godzi — odezwał się Kaźmierz —

bo wierzymy w żywot ów drugi, ale nam go ciemności śmierci zasłaniają i choć przeczuwamy

wiele, nie wiemy nic.

— Oprócz tego, co nam chrześcijańska nauka podaje — poprawił Pełka. — Prudencjusz

powiada: „Wierzymy, że ciało nie ginie, choć je grób pożera, bo Chrystus Pan wskrzesił ciało na krzyżu zmarłe i zaniósł je do tronu Ojcu, a przez to gościniec wytrzebił zmartwychwstaniu."

— Pozwólcież — wtrącił cysters — abym do Prudencjuszowych dołożył tu słowa świętego

Paulina z Noli, który o życiu przyszłym głosi: „Czeka ma dusza obmycia się z grzechu, drży mi serce pełne wiary, tętnią w nim więzi wszystkie. Duch mój w trwodze przyszłości lęka się, aby go nie spętały troski o ciało, by ciężar jego nie przygniótł go do ziemi, boi się, aby gdy trąba brzmiąca z otwartych ozwie się niebios, nie podołała skrzydły lekkimi unieść się na spotkanie króla, dźwignąć ku niebu do tysiąca świętych, pełnych chwały, którzy z pęt świata wyzwoleni, ulatują lekko w przestrzenie ku gwiazdom wysoko. Niesieni na obłokach płynących między gwiazdami, unoszą się w powietrzu, by pozdrowić króla niebios i połączyć się z jego zastępy jasnymi u stóp wielbionego Chrystusa."

— Ten to sam Paulin święty — przerwał Wincenty — powiedział pięknie: „Dusza ta, która

ciała zniszczenie przeżyje, jest nieśmiertelną, dzięki jej niebieskiemu pochodzeniu. Zachowa więc uczucia swe i miłość swą z żywotem razem. Jeżeli umrzeć nie może, nie może zapomnieć, bo ma żyć wiecznie i wiecznie pamiętać."

— A! — zawołał książę z uniesieniem. — Co za pocieszające słowa! Wolno nam więc

będzie kochać, cośmy miłowali, widzieć to, do czegośmy przywiązali się w życiu, spotkać druhów serdecznych, odnaleźć tam straconych ojców, braci, dzieci! Chwilę milczano.

— To, co pocziwą miłością było w Chrystusie Panu — odezwał się Pełka — czemu by

poza kres życia doczesnego przeciągnąć się nie miało? Wszak ci nie tylko duszą nieśmiertelną, ale i ciało ubłogosławione przywdziejemy znowu, a mój święty Orient powiada... Mistrzu Wincenty, tyś

mi to czytał, a co czytasz, to pamiętasz.

Wszyscy się zwrócili ku Wincentemu, który skromnie rumienił się, ilekroć do niego jak do księgi się odwoływano.

— Pomnę to miejsce — rzekł. — Brzmi ono: „Przez nasze pobożne pragnienia i życie święte, staniecie się chwałą godnymi w żywocie wiecznym i doczesnym tak, abyście uczczeni już przez pocziwy żywot, który prędko upływa, po zgonie mogli wieczną chwałę pozyskać, albowiem — wierzajcie mi, a pomnijcie to — że wszystko, co szalonym zdaje się znikomym, jest trwałym.

Wiedźcie, że dusze wnikną w te same ciała znowu i wdzieją swe cielesne powłoki. Postawa, barwa, krew, żyły, skóra, kości, włosy — powrócą, jak były. I nie tylko to, co kamienie spojone zachowały w grobach, co nie zepsutym przechowują balsamy i prochy Arabii; i to co częścią w grobach leży, częścią w rzekach spłynęło — wszystko powróci prędzej, niż wyrzeczę się słowo i stanie ciałem twardym. Co zniszczył wichur, co rozszarpały zwierzęta, co ogień strawił, co gruzy przysypały — wszystko z rozproszonych części się połączy, choć je ptacy pożarli, ryby i dzikie potwory połknęły, wstanie na głos trąby pańskiej.”

— A! — zawołał słuchający z chciwością Kaźmierz — mnie na usta przychodzi ów rytm świętego Augustyna o raju, który do moich modlitw należy: „Serce moje spragnione chce się orzeźwić u źródeł żywota, dusza pragnie skruszyć więzy ciała, które ją zakuły w niewolę i jak wygnanka płonie żądzą powrotu do ojczyzny, ucieczki.”

— A Miłościwy Książę — przerwał Chmara — zlitujcie się, nie uciekacie sierotom, potrzebniście nam!

— Niech Bóg da mu żywot najdłuższy — podchwycił Pełka — a o końcu myśleć nie szkodzi nam wszystkim.

— Nie zapominam o nim — mówił Kaźmierz — sposobie się doń, a choć opatrność boża i ten mój pobyt na ziemi szczęśliwym uczyniła, przecie prawdziwej szczęśliwości tam dopiero wyglądam.

— Bo jej na ziemi być nie może — odparł Wincenty — ani cienia nawet! Nie ma tu chwili jednej bez kropli gorczy.

— Tak, ojczyzno moja, wielka to prawda! We wszystkim, co tu nas spotyka, na dnie żółć i ocet

się znajduje, po największej rozkoszy największy ból ogarnia, wiecznie tu tęskniemy, pragniemy wiekuiście i ze spaloną wargą do źródła przyjdziemy.

To mówiąc, Kaźmierz smutnie się uśmiechnął.

Stała przed nim ulubiona czara jego, misternie ze złota wykuta, pięknymi barwy obleczone, którą mu z Francji przywieziono w podarku. Zdobiał ją dokoła biejący napis Teodulfa, biskupa Orleanu, który, że wiele pisał o sprawiedliwości, książę go sobie często czytać kazał i wysoce pisma jego szacował. Dlatego cystersi, którzy tę czarę kazali robić dla księcia, wyryć na niej dali napis łaciński przez Teodulfa niegdyś ułożony: „Ty, coś niegdy wode przemienił w wino, dając jej smak i barwę jego, pobłogosław tak rękami swymi tę czarę naszą, a spraw, byśmy długo dni

używali szczęśliwych.”

Wichfried stał właśnie za księciem, godzina była spóźniona, Kaźmierz, pomyślawszy

trochę, jakby się wahał, czy ma jeszcze jedną wychylić czarę, podał ją z uśmiechem pełniącemu podczaszego obowiązku.

— Nalej, Wichfriedzie, ostatnią — rzekł — i idźmy na spoczynek.

Z pewną bojaźnią i pomięszaniem Wichfried przyjął czarę z rąk księcia, poszedł z nią, gdzie stało wino, pochylił się. Czy wino ciekło powoli ostatekami, czy Niemiec czarę wy- mywał, zabawiał

trochę długo, aż Kaźmierz, który rękę wyciągniętą trzymał, zawołał:

— Wichfriedzie, wina!

Podczaszy z wolna niósł nalaną czarę, a gdy książę do ust ją przykładał, schylił się szepcząc mu coś na ucho.

Jeszcze nie dokończył pić Kaźmierz, gdy złota czara z rąk mu wypadła, pochylił się na

siedzeniu, głowa zwisała za poręcz, oczy stanęły słupem, drgnął tylko i ciężarem całego ciała na ziemię się obalił. Wszyscy się rzucili ku niemu, pierwszy Wichfried przerażony, obejmując go rękami. Zerwali się biskupi, powstawali ziemianie, runęły ławy, rozruch się stał straszliwy, trwoga niewysłowiona. Wołano: „Wody” „Lekarza!” Kaźmierz leżał już blady, zsiniały, martwy, zabity jak od piorunu, który mu nie dał jęknąć ni wymówić słowa.

Nikt wierzyć nie chciał zrazu, żeby ten, który przed chwilą pełen był życia, mógł do tej

wieczności, o której marzył i rozprawiał, przejść w jednym oka mgnieniu. Odcierano go, oblewano wodą, klękli dokoła dworzanie, podnieśli na rękach płacząc. Trupem już był zastygłym i zimnym.

Dziwną łaską jakąś twarz ta, którą dłoń śmierci dotknęła tak gwałtownie, nie miała na sobie śladów żadnej walki z życiem, żadnej męczarni ani cierpienia. Błogi spokój ją oblewał, zdawał się uspijonym, powieki nawet same mu na oczy zapadły, a usta zdawały się uśmiechać.

Po chwili osłupienia rykiem boleści rozległ się zamek, podwórca, miasto: „Kazmierz nie żyje!”

Noc to była straszna, zamętu, popłochu, łez, przerażenia. Na wszystkich spadł ten cios jak kamień z niebios w dzień pogodny. Co się stanie z królestwem? Co z Krakowem? Co z przyszłością? Co mieli poczynać biskup, starszyzna, ziemianie? Dokąd i do kogo się obrócić?

Gdy u nóg martwego pana i małżonka leżała półmartwa, rozpadając się z żalu, drąc na sobie szaty Helena z trojgiem dzieci, biskup Pełka i Mikołaj wojewoda musieli już, łzy połykając, radzić, aby uchronić sierotom ich ojcowiznę, nie dopuszczając czyhającego na nią Mieszka.

Noc majowa nie dobiegła do końca, gdy już na biskupstwie zebrała się rada i z rozpaczą w sercu, z trwogą w duszy, starsi o losach rodu i narodu radzić musieli. A każdemu słowu niemal towarzyszyły okrzyki: „Sieroty jesteśmy, sieroty, nie pana straciliśmy — ojca!”

Któż taką chwilę boleści narodu całego odmalować potrafi? Gdy w nocy zawrzała na zamku i krzyki się rozległy straszne, a żałobne dzwony miasto rozbudziły, kto żyw, wybiegał w ulice.

Jedni drugim podawali wieść żałobną, wieść nie do wiary: „Książę umarł. Umarł pan i ojciec nasz.”

Nie chcieli uwierzyć ci, co go kochali. Biegli półnaczy na zamek, gdzie ciało jeszcze w ubraniu ucztowym, nietknięte, leżało otoczone płaczącymi.

Wichfried, włosy rwąc na głowie, o ściany się rozbijał z rozpacz. Dziwne wieści krążyły, podawane cicho z ust do ust. Pełka go kazał przywieść do siebie. Zamknęli się w izbie osobnej, słyhać było głosy podniesione, jęki i wołanie, i jakby padanie na ziemię, a gdy Wichfried odszedł, biskup powrócił niemy, blady, nie mogąc się na nogach utrzymać. Niemiec wprost do klasztoru na Tyniec jak pokutnik powlókł się piechotą.

Nim ranek nadszedł, Kraków cały był jedną izbą żałobną, jęki i zawodzenia słyhać było wszędzie.

Na dworze Doroty z wieczora pozapalano światła, służba przybrana stała, gospodyni strojna wyglądała oknami na drogę ku zamkowi. Gdy na mieście uderzono we dzwony i krzyki się słyseć dały, Dorota na próg wybiegła. Ulicą leciał człek bez nakrycia na głowie, rozpasany, z włosami rozwianymi i wołał nieprzytomny:

— Pan nie żyje! Pan umarł!

Wdowa zabiegła mu drogę. Powtórzył jak obłąkany:

— Sieroty my! Pan nie żyje! U końca uczty, czarę do ust niosąc, skonał!

Z krzykiem dzikim Dorota nazad rzuciła się do domu i na progu padła zemdlona. Stąd ją na ręce wzięły sługi i na łożo zaniósły.

Wśród tego zamieszania, jakie po zgonie księcia panowało, około południa następnego dnia bracia z Tęczyna nie zapomnieli skorzystać z chwili, na którą od dawna oczekiwali. Oddział ich ludzi otoczył dwór Doroty i pochwyconą powieziono do Tęczyna. Tu w wieży, która potem przez długie wieki od imienia nieszczęśliwej zwała się Dorotką, bracia zamknęli ją, ażeby więcej rodowi ich sromu nie czyniła \*. Żyła w tym więzieniu pokutując szalona niewiasta lata długie, więcej już nie widząc świata.

Stach, który w gorączce ciągle marzył o otruciu pana, tej nocy złowrogiej nie dowiedział się o śmierci jego. Żegieć mu ją utaił, uspokajając, jak umiał, tym, że wołanie i bicie we dzwony było resztą wielkiej uroczystości i uczty zamkowej. Benedyktyn dopiero, gdy ranę przyszedł opatrywać z zapłakаныmi oczyma, na pierwsze zapytanie o wrzawę w mieście, odpowiedział z rezygnacją mnicha:

— Módl się za duszę pana, którego Bóg wziął do swej chwały.

Padł twarzą na ziemię Stach onieprzytomniały z bólu. Wróciła gorączka, zaogniła się rana, ale nie przeznaczonym mu było życia tak rychło dokonać. Powoli znowu zablizniać się zaczęła rana, wróciły siły, tylko nie ochota do nowego życia.

Stach mógł odzyskać dawne nazwisko swoje, chciał Pełka go umieścić u brata wojewody.

Nie przyjął tego znękany człek, który ciszy i pokoju pragnął. A że wiek mu do klasztoru wstąpić nie dozwalał, pozostał w mieście wzięwszy szatę pokutniczą, więcej żyjąc w kościele niż z ludźmi, milczący, dogorywający już tylko.

Gdy na Wawelu dzwony uderzyły, zwiastując zgon pana, a głos ich doszedł do murowanki

za Wisłą, Jagna, która na łożu swym wpół drzemała, pół marzyła, otwarła oczy, tchnęła silnie, dłoń przyciskając do piersi, i nazajutrz sługi znalazły ją uśpioną na wieki.

**KONIEC**

# Document Outline

- [TOM I](#)
- [I](#)
- [II](#)
- [III](#)
- [IV](#)
- [V](#)
- [VI](#)
- [IX](#)
- [X](#)
- [TOM II](#)
- [I](#)
- [II](#)
- [III](#)
- [IV](#)
- [V](#)
- [VI](#)
- [VII](#)
- [VIII](#)
- [IX](#)
- [KONIEC TOMU DRUGIEGO](#)
- [TOM III](#)
- [I](#)
- [II](#)
- [III](#)
- [IV](#)
- [V](#)
- [VI](#)
- [VII](#)
- [VIII](#)
- [IX](#)
- [X](#)
- [KONIEC TOMU TRZECIEGO](#)
- [TOM IV](#)
- [I](#)
- [II](#)
- [III](#)
- [IV](#)
- [V](#)
- [VI](#)
- [VII](#)
- [VIII](#)
- [IX](#)



- [X EPILOG](#)
- [KONIEC](#)